

Milena Wójtowicz

Wrota

2006

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2006

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c
www.fabryka.pl
email: biuro@fabryka.pl

ISBN-10: 83-89011-80-8

ISBN-13: 978-83-89011-80-0

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Rozdział 1

Nad Twierdzą szalała burza. Pioruny były z godną podziwu regularnością i precyzją. Wszystkie trafiały w ponurą budowlę niezgrabnie uczeponą skały, górującą niczym szkaradna korona nad równie szkaradną okolicą. Przygnębiająco łysa góra, która stała się opoką dla czarnego zamczyska, wyglądała niczym monstrualny popękany kiel. U jej stóp rozciągały się oparzeliska i puszcza, którą w najlepszym wypadku można było nazwać ponurą.

Wewnątrz Twierdzy, w największej sali, kilkanaście osób zmuszonych było stawić czoła bardziej kłopotliwemu aspektowi burzy. Nie zważając na obecność członków własnej Rady, Salianka, Pierwsza Rady, wlaźła pod swój tron.

Skrawek przestrzeni pod siedziskiem nie był zaprojektowany tak, by pomieścić osobę władcy, ale królowa jakoś sobie radziła. Miała w tym względzie już trzy lata praktyki i bardzo dobrą motywację: pioruny miały irytującą skłonność do uderzania w nią przy każdej okazji.

A to nie było miłe.

Nie bolało, to prawda, fizycznie Salianka nie ponosiła najmniejszego uszczerbku. Ale każde uderzenie pioruna mogło otworzyć Wrota.

Kiedys pewien mędrzec, którego imię zaginęło w mrokach przeszłości, a ciało w czeluściach lochów, wysunął teorię, że to metal Wrót przyciąga błyskawice. Pioruny w jakiś sposób wyczuwały jego obecność w Saliance, dlatego była ich ulubionym celem. Samej królownie przyczyny tego zjawiska były zupełnie obojętne, koncentrowała się jedynie na tym, by za wszelką cenę go unikać. Dlatego nie zważając zbytnio na niestosowność sytuacji, siedziała w swoim schronieniu tak długo, póki na zewnątrz nie ucichły ostatnie grzmoty, a przez szpary w okiennicach nie przecisnęły się promienie słońca.

– Dziękuję. – Salianka wyczołgała się wtedy spod tronu i bardziej wdrapała na swoje siedzisko, niż spoczęła na nim z godnością. – Dostaniesz order.

Wsparła podbródek na dłoni, a nieobecne spojrzenie utkwiała w chmurach widocznych przez otwarte okno. Zazwyczaj tym właśnie się zajmowała. Gapieniem w okno.

Niezręczna cisza osiągnęła natężenie, z którym po prostu trzeba było coś zrobić. Nie było nadziei, że to „coś” wyjdzie od królowy, tego był już pewny każdy z obecnych w sali

tronowej. Poddani Jej Wysokości zmuszeni byli radzić sobie sami. Ktoś brutalnie wypchnął na środek sali minstrela. Bard zachwiał się, ale szybko odzyskał równowagę, rzucił zebrany zmieniony, pogodny uśmiech i zaczął śpiewać. Salianka słuchała przez chwilę, nie odrywając wzroku od coraz błękitniejszego nieba. Grajek śpiewał o jej ojcu, jego wspaniałych czynach i godnej śmierci pośród oddanych mu sług.

Przynajmniej to ostatnie się zgadzało. Rzeczywiście, Pan Twierdzy umierał otoczony przez swoje sługi. Tak bardzo im zależało, żeby konał właśnie wśród nich, że sami go zabili.

Wymagało to dużej odwagi i jeszcze większej desperacji. Ojciec Salianki przez większą część swojego życia trzymał w umyśle otwarte Wrota. Czy może Wrota same trwały otwarte, korzystając z ciała swojego nosiciela. A to oznaczało, że cokolwiek zapragnęło przez nie przejść, miało wolną drogę. Życiorys poprzedniego Pana Twierdzy był zaś dowodem na to, że pragnieniu przejścia przez Wrota ulegały zazwyczaj demony. Z reguły pierwszą rzeczą, jaką robiły po wyrwaniu się na wolność, było urządzenie malutkiej, gustownej rzezi. Z reguły też wśród osób znajdujących się najbliżej Wrót i ich Strażnika. Ów fakt był szczególnie stresujący dla członków Rady. Pewnego dnia, kiedy przy stole obrad zrobiło się już naprawdę dużo wolnego miejsca, oddani Doradcy zabili wreszcie swojego Pana.

Salianka nie mogła mieć do nich pretensji. Owszem, odebrali życie jej ojcu, ale tym samym podarowali je jej. W chwili śmierci Pana Twierdzy Wrota przeniosły się do umysłu jego córki – i nagle Salianka zyskała świadomość. Wcześniej była tylko pustą skorupą, ciałem pozbawionym zdolności myślenia, czucia, pamiętania. A kiedy Wrota zamieszkały w niej – nagle po prostu była zupełnie normalna, jakby siedemnaście lat spędziła na normalnym dorastaniu.

Czasem, kiedy przypominała sobie tamto uczucie wyjścia z „niebytu”, przechodziły ją dreszcze. Wyjątkowo nieprzyjemne doznanie.

A teraz żyła sobie spokojnie, rządziła twardą ręką, a raczej to Radzie pozwalała rządzić twardą ręką w swoim imieniu, co polegało głównie na jak najczęstszym wysyłaniu wojsk na rzezie i podboje. I miała tylko dwa cele. Po pierwsze, sprawić, by jej świadome życie trwało jak najdłużej. A po wtóre, nie dać nad sobą zapanować Wrotom, czyli nie otwierać ich zbyt szeroko. Reszta nie miała znaczenia. Chociaż czasami, ale bardzo rzadko i tylko wtedy, kiedy zapominała o przekleństwie ciążyącym nad jej rodem, Salianka miewała i inne pragnienia.

Kiedy bard w końcu przestał zawodzić, Dawasz wyjrzał na dziedziniec.

– Wrócili nasi z Dolin – powiedział. – Przywieźli łupy i nowe sługi.

Możni natychmiast żywo się zainteresowali. Wyprawy łupieżcze od setek lat stanowiły źródło bogactwa Twierdzy. Jedyne dostępne, prawdę mówiąc. Naga skała, mokradła i oparzeliska nie sprzyjały specjalnie osadnictwu ani tym bardziej uprawie roli. Nie było więc i szans na rozwój handlu, mieszkańcy Twierdzy nie mieli czego oferować potencjalnym kupcom w zamian za ich towary. Zresztą idea wymiany tak naprawdę nigdy nie trafiła tubylcom do przekonania. Za to pomysł, by zabierać innym – jak najbardziej.

Grabieżcy doskonalili swoją profesję od zarania istnienia Twierdzy. Nie można było o nich powiedzieć, że mają tęgie głowy. Nie byliby w stanie znaleźć własnych zadków nawet obiema rękami, ale na swoim rzemiośle znali się znakomicie. Od pokoleń zajmowali się tylko rabunkami, bo też, jako się rzekło, niewiele mieli szans na inne zajęcie, a ich bandy stanowiły postrach wszystkich okolicznych krain.

Przy wyjściu z sali tronowej wywiązała się niewielka bójka. Wszyscy, którzy brali udział w kolejnych wyprawach, dzielili zyski zgodnie z zasadą – kto pierwszy, ten lepszy.

Saliance nie chciało się oglądać, kto kogo okłada w bójce. Mało ją obchodziło złoto i jeńcy, chciała wreszcie tylko ściągnąć z głowy koronę. Przyciasną koronę. Rada nie dała zgody na poszerzenie.

Gdy tylko wyszła z sali, zdjęła obręcz. Nie poszło łatwo. Metal odcisnął na jej czole brzydki czerwony ślad. Bolało.

Uwolniona wreszcie od korony, która bardziej przypominała narzędzie tortur niż atrybut władzy, Salianka postanowiła poświęcić nieco czasu ulubionemu zajęciu. Miała swoje upatrzone miejsce na tyłach Twierdzy. Małe okienko nad przepaścią. Przy ładnej pogodzie, kiedy chmury rozstępowały się po burzy, mogła stamtąd popatrzeć na świat.

Kiedy zamyślona Salianka spoglądała na odległe krainy, ktoś wypadł zza załomu korytarza. Na widok Pierwszej zatrzymał się jak wryty, co jej z kolei dało okazję do przyjrzenia mu się nieco dokładniej. W kategorii „człowiek uzbrojony” plasował przybysza ściskany w rękę stary, lekko pordzewiały miecz. Na pierwszy rzut oka miecz miał sto lat i długą historię, która swój finał powinna mieć na stercie złomu. Właściciel owej broni prezentował się jednak bardziej zachęcająco. Z pewnością miał dużo mniej lat niż pordzewiały oręż i chyba nawet nieco mniej niż Salianka. Ubrany był dobrze, dostatnio i z widocznym smakiem. Z pewnością ubranie było szyte na miarę, i to przez nie byle krawca, bowiem leżało doskonale. Salianka mogła bez trudu ocenić wszelkie walory figury nieznanego. Przede wszystkim zaś jego szerokie i mocne ramiona. Spod jasnej grzywki spoglądały błękitne oczy. Pewność siebie zdawała się z niego parować, jakby nie sposób było pomieścić jej w środku.

Zanim królowna zdążyła pomyśleć, że młodzik, niewątpliwie przygnany tutaj żądzą zemsty za krzywdy doznane podczas najazdu łupieżców, zaraz ją ukatrupi, ten uśmiechnął się promiennie, szczerząc zęby białe i lśniące jak świeży śnieg. Ów uśmiech przywiódł Saliance na myśl jej snute w tajemnicy marzenia o wspaniałym rycerzu, ale zanim zdążyła uwierzyć, że się spełniły, wyrwał jej się z piersi jęk zawodu. Tak miał wyglądać ten wybawca? Taki ktoś nie był wart tego, żeby ryzykować dla niego opuszczenie Twierdzy!

Młodzian wziął widać jej jęk za dobrą monetę, bo wyprężył bardziej mięśnie i wysunął do przodu mocno zarysowany podbródek.

– Witaj, nieszczęsna niewolnico, torturowana przez sługi zła pod przewodnictwem krościastej Czarownicy! – oznajmił radośnie dźwięcznym głosem. – Jestem księżę Gawarek z

Dolin, następca tronu i bohater. Podstępem dałem się pojmać do niewoli, aby splądrować gniazdo wroga i pokrzyżować mu plany. To twój szczęśliwy dzień, biedna dziewczko, albowiem uwolnię cię i zabiorę do Królestwa Dolin, gdzie panuje dobro i sprawiedliwość. Tylko nie wyobrażaj sobie za wiele, dobra? – dodał już mniej podniosłym tonem. – W końcu ja jestem księciem, a ty co najwyżej kmiącą córką.

Wariat, pomyślała Salianka. Gdzie strażę? Chce mnie zabrać do Dolin, na zewnątrz!

Na zewnątrz, pomyślały Wrota.

Zanim zaskoczona królowa zdołała choćby mrugnąć, Wrota bezceremonialnie użyły jej ust.

– *Dzielny książę* – powiedziały jękliwie – *ratuj mnie biedna, olaboga!*

Salianka wytrzeszczyła oczy i zacisnęła wargi, mocno, z całej siły. Nie przyszło jej dotąd do głowy, że jej przekleństwo, fatum, które nosiła w umyśle, może mieć świadomość. A ta świadomość może panoszyć się w jej ciele i mówić jej ustami, jakby królowy tam wcale nie było. Dziewczyna cała zeszytniała, desperacko starając się poradzić sobie z obecnością wroga, który nagle objawił jej się w całej swojej krasie. Tak była tym zajęta, że nie zaprotestowała nawet, gdy książę chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy krzepki młodzieniec wyciągnął ją na dziedziniec, gdzie natychmiast rzuciło się na niego kilku łupieżców z mieczami. Książę puścił dziewczynę i ruszył do walki. Nawet sprawnie mu to szło, ale królowie nie w głowie było podziwianie kunsztu szermierki. Za bardzo przyciągali jej wzrok kusznicy i łucznicy, od których nagle zaroilo się wokół. W Twierdzy zawsze było pełno zbrojnych. Niektórzy mieszkali tu od pokoleń, inni zjeżdżali zwabieni wizją bogactwa. Oprócz którejś z licznych drużyn łupieżczych niezmiennie była na miejscu załoga gotowa do obrony, choć jakoś nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy ostatnio owa obrona była konieczna. Znudzeni wojacy entuzjastycznie powitali więc okazję do zawodów strzeleckich.

– Celuje w nas z kuszy! – krzyknęła Salianka. – Ale przecież ja...

– Oczywiście, przecież jesteśmy uciekającymi więźniami. – Książę odepchnął ostatniego napastnika i niecierpliwie pociągnął ją za rękę. – Biegnij, bo nas zastrzeli.

Nogi Salianki zaczęły biec, ale reszta ciała uporczywie odwracała się w stronę wojaka i jego kuszy. Celował starannie i pierwszy belt świsnął tuż obok głowy Pierwszej. Dziewczyna zdążyła jeszcze dojrzeć, że strzelec ładuje następny. Pomyślała, że chyba nigdy, nigdy nie bała się aż tak bardzo. I zanim zdążyła się zastanowić, co tak naprawdę robi, otworzyła Wrota.

* * *

Kiedy w końcu udało jej się uchylić ciężkie jak z ołowiu powieki, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był ciemny kontur Twierdzy na tle gwiazdzistego nieba. Gwoli ścisłości należy

dodać, że Twierdza była daleko. Tak daleko, że oparta o drzewo Salianka poderwała się, upadła na kolana i tak została, wpatrzona w odległą budowlę z otwartymi ustami. Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się oglądać własnego domu od zewnątrz. A teraz była tak daleko. Sama, bez Rady mówiącej, co ma robić, bez łupieżców broniących jej przed resztą świata, za to z Wrotami, które nieoczekiwanie zaczęły mieć własne zdanie, i w towarzystwie walecznego młodzika, który już na pierwszy rzut oka robił wrażenie pozbawionego rozsądku i paru innych istotnych cech. Nie tak sobie wyobrażała tę chwilę. W jej marzeniach reszta świata była ładniejsza i jaśniejsza od złowrogiej kniei, w której się znalazła, rycerz był przede wszystkim od Gawarka starszy i zdecydowanie mniej napuszony, a bardziej rozsądny, a Wrót miało w ogóle nie być. Jeśli tak miało wyglądać urzeczywistnione marzenie, to mogło się w ogóle nie spełniać.

– O, obudziłaś się, czarownico – stwierdził siedzący obok księżę. – Najwyższy czas ruszać w drogę. Pachołki zła depczą nam po piętach.

Salianka przestała gapić się na Twierdzę, a zaczęła na Gawarka.

– Nie wspomniłaś, że jesteś czarownicą – ciągnął księżę z lekką pretensją, ale też cieniem łaskawości świadczącym, że mimo wszystko jest jej skłonny tę zniewagę wybaczyć.

– Gdybym wiedział, nie ratowałbym cię. Ale skoro już zawdzięczasz mi życie, to nie powinnaś nikomu wspominać, że parasz się magią. Uratowanie czarownicy nie jest powodem do chwały, nawet jeśli ta czarownica była więziona i torturowana przez inną, jeszcze gorszą czarownicę.

– Czarownica – powtórzyła cicho Salianka.

Coś jej zaczęło świtać, powoli i z oporami.

– To nie ty wyprowadziłaś nas z zamku! – powiedziała.

– No, użyłaś swoich mocy, żeby mi pomóc, ale nie zapominajmy, że to ja jestem księciem i to ja cię uratowałem, jasne? I tak nie możesz się przyznać do władania magią – przypomniał.

– Wyegzorczyzmują cię.

– Wyegzorczyzmują? – przestraszyła się królowa. Kiedy myślała o zagrożeniach czających się poza Twierdzą, brała pod uwagę potwory, uzbrojonych mścicieli, błyskawice, ale egzorcyzmów się nie spodziewała.

– Słyszałem, że to bardzo boli – dodał księżę z satysfakcją. – I dobrze robi na pokorę. Zło się ostatnio strasznie rozplenilo, ale dajemy mu dzielny odpór. Pełno teraz jest wszędzie takich wyegzorczyzmowanych. Mili ludzie. Cisi, spokojni, tylko trochę nieobecni.

Saliankę zdjęła groza. Raczej nie mogła wrócić na zamek. O ile dobrze pamiętała, to Wrota zniszczyły kawałek dziedzińca, ubiły kilkunastu żołnierzy i jeszcze Trzeciego, Piątego i Ósmego Rady. Rada bardzo nie lubiła, gdy ją przetrzebiano.

Pozostawało tylko jedno rozwiązanie, podyktowane opowieściami o rycerzach. Jakkolwiek byłyby głupawe i nieprawdopodobne, zawsze były pisane według jednego wzorca.

– Ustalmy, że jestem tępą wieśniaczką z jakiejś zapadłej, zapyziałej wioski, skąd zabrano mnie w dzieciństwie, żebym myła posadzki w Twierdzy – zaproponowała Salianka, która po raz pierwszy w życiu zmuszona do twórczego myślenia odkryła, że nawet jej to wychodzi. Fakt ów skonstatowała bez szczególnego zaskoczenia, w końcu knucie podłych planów należało do obowiązków Czarownicy z Twierdzy. No i było, jakkolwiek by na to patrzeć, rodzinną tradycją. – Raz jakiś wielki pan poślizgnął się na wyszorowanej przeze mnie podłodze i straszliwie sobie zadek obił, dlatego mnie uwięziono. A ty jesteś dzielnym księciem i uratowałeś mnie z lochów.

– Może być – zgodził się łaskawie Gawarek. – Ale powinnaś mi mówić „mój wielki książę, wybawco, olaboga”. A ja ci będę mówił „dziewko”.

– Sam sobie mów „wielki książę, wybawco, olaboga” – warknęła królowa. – Ja będę ci mówiła „Gawarek”, albo lepiej „nadęty bufonie”, a ty mnie „Salianka”.

– Bo co? – zaperzył się książę.

– Bo cię zamienię w żabę – to też było proste rozwiązanie, częstokroć wykorzystywane w bajaniach.

– Nie możesz! – oburzył się. – Jestem twoim wybawcą. Winna mi jesteś wdzięczność i masz wobec mnie dług. Nie wolno ci wyrzucić mi krzywdy.

– A kto powiedział, że to będzie krzywda? Taka żaba to ma proste, spokojne życie – westchnęła królowa. – Mogłabym się sama w taką zamienić, dobrze by mi było.

Chcemy zobaczyć świat, zaproteowały w jej umyśle Wrota. Chcemy pójść z księciem i zobaczyć Królestwo Dolin.

Salianka początkowo miała zamiar je zignorować, ale to nie było właściwe rozwiązanie. Nie pozbędzie się ich przecież, co więcej, nie chce i nie może się ich pozbyć. Bez Wrót i jej tak właściwie by nie było.

– I podbić je, zanim ja się w ogóle zorientuję, że jesteście otwarte – mruknęła tak cicho, że książę nie usłyszał.

Podboje są nudne, odpowiedziały markotnie Wrota. Zawsze takie same. Chcemy zobaczyć świat, zobaczyć, co jest poza Twierdzą.

– Idziemy? – Gawarek był już gotowy do drogi.

– *Idziemy* – powiedziały natychmiast Wrota, a Saliance nie pozostało nic innego, jak zrobić, co chciały.

Bardzo szybko doszła do wniosku, że nowe doświadczenia są z gatunku tych bardziej uciążliwych i niekoniecznie pożądanых. Las był ciemny, ponury i złowrogi. Pod stopami co chwila coś trzaskało albo, co gorsza, ugięło się miętko. Dziewczyna raz po raz o coś się potykała, ale nie przystawała nawet, by spojrzeć pod nogi. Zbyt była zajęta nadażaniem za księciem, który o nic się nie potykał, w nic się nie zapadał, szedł pewnie i szybko, torując sobie drogę mieczem.

– Na pewno idziemy we właściwym kierunku? – odważyła się zapytać, rozglądając się

wokół. Wszystkie drzewa wyglądały dla niej tak samo.

– Oczywiście! – Książę tak się oburzył na jawnie okazywaną wątpliwość względem jego możliwości, że aż przystanął, odwrócił się i rzucił królownie urażone spojrzenie błękitnych oczu. – Ale siedź cicho, bo jeszcze leśne licha zwabisz.

Przed świtem zrobili krótki postój. Ledwo wzeszło słońce, a książę już był gotowy do dalszej drogi. Królowna, której nocny spacer i stresy związane z ucieczką z twierdzy dały, mocno we znaki, zaczęła protestować.

– Szliśmy prawie całą noc! – jęknęła. – A teraz znowu?

– Nie możemy zwalniać – pouczył ją Gawarek. – Zawszone popychadła ciemnych mocy ścigają nas i mogą być już blisko. Sam, rzecz jasna, mógłbym z nimi walczyć, ale mając niewiastę pod opieką, muszę zważać na jej bezpieczeństwo.

– Ciekawe jak – mruknęła niewiasta pod opieką, zbierając się z pieńka, na którym przysiadła. Miała wrażenie, że postarzała się o czterdzieści lat, przynajmniej w krzyżu. – Miecz ci wygnietli.

Rzeczywiście. Miecz księcia już wcześniej był wyjątkowo zaniedbany, zardzewiały. Saliance wydawało się zawsze, że książęta, nawet tacy z gatunku nadętych bufonów, powinni mieć miecze ostre i lśniące co najmniej tak jak ich zęby. Patrząc na swojego samozwańczego wybawcę, uznała, że widać w Dolinach rozsądnie trzymali zapaleńca z dala od ostrych przedmiotów, którymi mógłby zrobić sobie albo komuś innemu krzywdę. On zaś, ruszając do Twierdzy, wziął do obrony pierwszą rzecz, jaka mu wpadła w ręce i najogledniej spełniała wymagania. Podczas walki wątpliwej urody i ostrości miecz ugiął się pod naporem ataków i teraz przypominał wyjątkowo zardzewiały haczyk na wieloryby.

– Droga będzie już łatwiejsza – pocieszył Saliankę opiekun niewiast. Wykonał nawet ruch ręką, który miał być zaczątkiem przyjacielskiego klepięcia, w ostatniej chwili zmienił się jednak w nieco bezsensowne machanie. – Będziemy szli traktem, a niebawem natrafimy na jakąś wioskę, gdzie prości, ale szlachetni wieśniacy przenocują nas i nakarmią. Będzie tam też na pewno płatnerz albo przynajmniej kowal, który wyprostuje mi miecz.

– Po co? Przecież to i tak złom.

– To nie jest byle jaka broń – burknął książę, zmarszczonym czołem i całym sobą dając znać, że dyskusja na ten temat obraża go osobiście. – To jest broń magiczna.

– Naprawdę? – zainteresowała się niezrażona królowna. – A co potrafi?

– Nic – mruknął pod nosem Gawarek, tak cicho, że ledwo go słyszała. – Magia się wyczerpała.

– Czyli jednak złom – orzekła Salianka. Nie widziała powodu, żeby nie nazywać rzeczy po imieniu. – To po co go nosisz?

– To długa historia.

– Mamy masę czasu.

– To sprawa osobista.

– Mów – ponagliła. Droga zapowiadała się nudnie i nużąco, każda rozrywka była dobra. Nawet opowieść bufona. – Bo cię zmienię w karalucha i rozdepczę.

– Nie możesz – zaperzył się książę niczym młody kogucik. – Uratowałem ci życie. Masz wobec mnie dług wdzięczności.

– To nie ty wydostałeś nas z Twierdzy! Nie mam żadnych długów i zacznij wreszcie mówić, bo się nudzę!

– Dobrze, dobrze, już mówię – uspokoił ją Gawarek. Dalsza kłótnia na ten temat mogła doprowadzić do nieodwracalnego i całkowitego zepchnięcia go z piedestału wybawcy, a do tego nie mógł dopuścić. Już lepiej było opowiedzieć wścibskiej dziewczynie nawet najboleśniejszą historię. – Nie ma się co pieklić. Otóż ten miecz jest magiczny i służył wielu moim przodkom, którzy go kompletnie zużyli, nie myśląc zupełnie o przyszłych pokoleniach. – Westchnął ciężko, z niesmakiem krzywiąc się nad niefrasobliwością protoplastów. Gdyby nie byli takimi samolubami, nie miałby teraz problemów. – Pochodzę ze starego i, niestety, bohaterskiego rodu. Od czasów, zdaje się, mojego pradziadka następcą tronu zachowuje się jak nieodpowiedzialny leń, a w rzeczywistości jest tajemniczym bohaterem, który przy pomocy magicznego miecza, przekazanego mu przez patronkę obrońców Dolin, chroni kraj. Rodzice i dwór go nie doceniają, aż pewnego dnia prawda wychodzi na jaw, wszyscy się cieszą, miecz wraca na przechowanie do tajemniczej czarodziejki, bohaterski książę się żeni, płodzi syna i wszystko zaczyna się od nowa. Odkąd byłem mały, to słyszałem, że mam przestać być leniwy i wziąć się do nauki. Wygrywałem turnieje szermiercze, znam na pamięć całą historię rodu, a oni nic, tylko: „Synu, przyłóż się, nie bądź takim leniem, nie sprawiaj nam zawodu”. Zwariować można. Nic dziwnego, że w końcu każdy z moich przodków leciał do tej tajemniczej czarodziejki i błagał na kolanach o magiczny miecz. Jak już nie mogłem wytrzymać, to też zacząłem jej szukać. I wreszcie niedawno znalazłem. Pół okolicznych kniei przeszedłem, zanim wreszcie znalazłem te przeklęte stare ruiny, gdzie baba się podobno gnieździ. Poszedłem prosić tę niby mądrą panią o moc, żebym mógł stać się bohaterem jak mój ojciec, dziadek, pradziadek i cioteczna prababka. A ta stara wiedźma przez tydzień wysługiwała się mną jak parobkiem, kazała gnój przerzucać, że niby to charakter uszlachetnia, a potem dała zardzewiały miecz i wygoniła. A w tej przeklętej broni nie zostało ani krzty magii! – wybuchnął pełen goryczy i żalu. – W domu się mnie czepiają, tajemniczym bohaterem nie mam jak zostać, to postanowiłem chociaż wyprawić się samotnie do Twierdzy. A i tak udało mi się uwolnić tylko jakąś czarownicę.

Niesamowite, westchnęły Wrota, niezbyt skłonne do chwili refleksji nad tragicznym losem Gawarka.

– Nie miałam pojęcia, że książęta mają takie trudne życie – zadumała się Salianka. W baśniach, które czytała, książęta po prostu nosili korony i ratowali białogłowy. Nawet nie podejrzewała, że jedno i drugie może powodować tyle trudności i frustracji.

Gawarek jej nie słuchał, przyspieszył i teraz szedł jakieś pięć kroków przed nią, ze

spuszczoną głową, przybity przewspaniałą tradycją rodu, którą przyszło mu kontynuować trochę wbrew własnej woli i jeszcze w tak niesprzyjających warunkach. Królowna nie próbowała go doganiać. Właśnie stwierdziła, że pierwszy raz w życiu zaczęła kuleć, i ta świadomość dobiła ją do reszty.

Doszli tak do wioski, ponury książę z przodu i coraz wolniej wlokąca się za nim Salianka. Na widok zabudowań książę ożywił się, przyspieszył i prawie znikł Saliance z oczu. Rzucił się między chaty, rozpytując kmieci o tępych twarzach, czy nie mają tu gdzieś kowala. Królowna nie miała siły przyspieszać, jak stała, tak usiadła na głazie, który na szczęście leżał przy drodze.

Wioska, ucieszyły się Wrota.

– I co z tego? – jęknęła Salianka. Chyba prędzej by umarła, niż pokonała te kilkadziesiąt kroków, które ją dzieliły od najbliższej chaty.

Wioska, szepnęły Wrota i nagle Salianka poczuła, że jej nogi są leciutkie, a ona sama, o zgrozo, odpływa gdzieś w dal. Po chwili tkwiła w głębi własnego umysłu, wysilając się, żeby zobaczyć coś przez własne oczy, tak jak wcześniej robiły to Wrota. To było dziwne uczucie, przerażające, bliskie temu, czego królowna bała się najbardziej: niebytu. Ale nadal była, chociaż odepchnięta na bok, wciąż myślała i wiedziała, co dzieje się wokół niej, a raczej wokół jej ciała, w którym teraz rozgościły się Wrota.

„O wy...” – warknęła.

Jej ciało uniosło się odrobinę nad ziemię i popłynęło w stronę wioski. Wrota ciekawie odwracały głowę, żeby zobaczyć jak najwięcej.

„O nie”, szarpnęła się Salianka, „o nie. Wlecicie sobie tam, w moim ciele, a potem mnie okrzykną czarownicą i wyegzorcyzmują! I będzie źle”.

– *Będzie źle* – zgodziły się Wrota. Zastanowiły się.

W pobliżu stał wóz wędrownych kuglarzy. Mieli ze sobą rozkładaną kurtynę i skrzynię pełną masek, strojów, rekwizytów. Wrota skinęły dłonią i skrzynia się otworzyła. A na samym wierzchu leżała biała maska z otworami na oczy w kształcie migdałów i czarno-czerwono-złotymi gwiazdami wymalowanymi na policzkach. Wrotom natychmiast przypadła do gustu. Założyły ją i szperały dalej w rzeczach kuglarzy, aż znalazły lustro. Przeglądały się w nim zachwycone sobą. Od tej kontemplacji oderwały je odgłosy zamieszania, które wybuchło w wiosce. Zwabione pokrzykiwaniami Wrota weszły między chaty.

Nagle pod nogi królowny runął potężny, mężczyzna. Nie uczynił tego z własnej woli. Za nim z kuźni wypadł wzburzony książę, gotów najwyraźniej sprać kmieciowi pysk, i to na obie strony.

Wrota lekko oderwały się od ziemi. Zaraz znalazły się przy księciu i chwyciły go za ramię. Kowal już wygrzebywał się z rozmiękłej ziemi, dyszący nie tylko żądzą zemsty, ale też wykazania przed sąsiadami, że choć młodzik zdołał powalić go z zaskoczenia, to w porządnej bitce nie ma szans.

– *Zostaw* – szepnęły Wrota księciu do ucha. – *Zostaw, to ja, czarownica, zostaw, ja naprawię twój miecz.*

Gawarek lekko osłupiał i wytrzeszczył na nią oczy. Wrota pośpiesznie wyciągnęły księcia z osady. Prowadziły go za rękę, prawie podskakując z radości. Podskoki były dość umowne, bo ciało królowny płynęło w powietrzu, tuż nad ziemią.

„Co wyście wymyśliły?” – pytała podejrzliwie Salianka, ale nie zwracały na nią uwagi.

Ciągnęły Gawarka dalej i dalej w las, nie słuchając jego narzekań i protestów. Zatrzymały się dopiero, kiedy księciu ze zmęczenia zaczęły się plątać nogi. Puściły jego dłoń i opadły delikatnie na murawę.

– *Posłuchaj mnie, książę* – powiedziały. – *Nie jestem żadną czarownicą, tylko czarodziejką. I mogę cię zmienić w tajemniczego, wielkiego bohatera. Ale pod pewnymi warunkami.*

– *Znowu mam przerzucać gnój?* – skrzywił się Gawarek, któremu wcześniejsze doświadczenia z czarodziejkami zapadły w pamięć i zaległy boleśnie na książęcej dumie.

– *Żadnego gnoju* – stwierdziły stanowczo Wrota. – *Warunek pierwszy: nikomu nie powiesz, że wieśniaczka Salianka, którą uratowałeś z Twierdzy, to naprawdę wielka czarodziejka Wrota.*

„Wieśniaczka?!” – ryknęła Salianka, która do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że w ogóle ma coś takiego jak królewska duma. Okazało się, że nie tylko ma, ale jeszcze słowa Wrót wyraźnie owej dumie szkodzą.

– *Zgoda* – powiedział ochoczo książę, który aż się palił do zostania prawdziwym bohaterem, a teraz, kiedy już rozstrzygnięto kwestię gnoju, widział przed sobą już tylko piękną i chwalebłą przyszłość obrońcy Dolin. Prawie zacierał swoje wypielegnowane dłonie z radości.

– *Po drugie, zabierzesz mnie ze sobą do Królestwa Dolin i pozwolisz zostać na zamku, jak długo będę chciała.*

– *Umowa stoi* – zgodził się książę, przestępując z nogi na nogę ze zniecierpliwienia. – *To zmieniaj mnie w tajemniczego bohatera.*

– *Cierpliwości, to nie takie proste* – zgasiły jego zapal Wrota. – *Daj miecz i zajmij się czymś. Nim wstanie słońce, będziesz miał najwspanialszą magiczną broń.*

„A ja?” – upomniała się Salianka.

– *Idź spać* – zaproponowały Wrota. – *Jutro znowu trzeba ruszać w drogę.*

„Świetnie”, skrzywiła się królowna. „Dobranoc”.

* * *

Przebudzeniu towarzyszył potworny hałas. Brutalnie wyrwana ze snu królowna przez chwilę miała wrażenie, że świat się kończy, i zdążyła się nawet zastanowić, czy ma coś

przeciwno temu. Ponieważ nie udało jej się podjąć decyzji, otworzyła oczy, przetarła je i mogła podziwiać, jak wielki, tajemniczy wojownik wyrwa najbliższy dąb z korzeniami, wzbijając przy okazji w powietrze kłęby kurzu, pyłu i próchna, który osiadał na wszystkim wokół, nie wyłączając siedzącej na trawie dziewczyny. Królowna otrzepała się odruchowo, ale nie na wiele to się zdało, bo kolejna chmura brudu poleciała w jej stronę. Mięśniak musiał być Gawarkiem, którego Wrota zgodnie z obietnicą zmieniły w bohatera. Salianka nie miała czasu rozmyślać nad tym zbyt głęboko, bo kiedy kolejna porcja kurzu wleciała jej do gardła, musiała zająć się walką o odzyskanie oddechu. Chwilę trwało, zanim zdołała pył wykaszać.

– Przystań! – wrzasnęła do wojownika.

Poderwała się na nogi, przy okazji radośnie stwierdzając, że Wrota oddały jej ciało, przynajmniej na razie. Siedziały gdzieś na dnie jej umysłu, zmęczone.

– Gawarek, przestań! – wrzasnęła drugi raz.

Usłyszał, puścił pień i podszedł do niej. Królowna musiała przyznać, że Wrota się postarały. Książę przewyższał ją teraz o dwie głowy, w barach był jeszcze szerszy i wszędzie miał pełno różnorodnych mięśni rozrośniętych niemal ponad ludzką miarę. Na jego twarzy malował się spokój, a szeroki uśmiech, bez śladu Gawarkowej pyszałkowatości, budził zaufanie. Od całej postaci biła godność, spokój i siła. Ogólnie był do siebie trochę niepodobny, chociaż dalej miał jasne włosy i błękitne oczy.

– Nie możesz mi mówić „Gawarek” – powiedział. Głos też miał nowy – głębszy, przyjemniejszy.

– Mogę „głupku”, jak wolisz – odburknęła Salianka.

– Wybacz, czarodziejko, ale chodziło mi o to, że jako tajemniczy wojownik muszę ukrywać swoją tożsamość. Pod tą postacią zwać się będę Ulk.

– Dlaczego akurat tak?

– Krótkie imię, szybko przedstawię się wrogom i będę mógł ich szybko ciąć. I gawieź łatwiej zapamięta.

Królowna pokiwała głową, uznając trafność argumentacji.

Ruszyli w drogę, niedawna królowna, a obecnie wieśniaczka Salianka, i niedawny książę, a obecnie wielki wojownik Ulk. Bohater szedł żwawym krokiem, wypatrując uważnie jakiejś przygody. Pilnował przy tym, by nie oddalać się za bardzo od dziewczyny, którą wciąż bolały nogi, przez co nie radziła sobie z dotrzymywaniem mu kroku. Poza tym Salianka z wolna popadała w przygnębienie, a jak wiadomo, takie stany nie wpływają korzystnie na tempo marszu. Dotarło do niej bowiem, że sytuacja z dnia na dzień robi się coraz dziwniejsza, ona sama nie ma właściwie na nic wpływu i jedyne, co jej pozostało, to trzymać się na powierzchni fali i próbować nie utonąć. W tym akurat miała wprawę, na tym polegało jej życie w Twierdzy. Ale skoro ją opuściła, to owo życie powinno okazać się choć nieco bardziej zajmujące.

Nie minęło wiele czasu, jak królowna całkiem straciła zapał i zaczęła marudzić.

– Daleko jeszcze do Dolin?

– Jeszcze trochę.

– Duże trochę? – drażyla.

– Jakby było za blisko, to kreatury z Twierdzy coraz by nas napadały.

– I tak napadają – zwróciła mu uwagę Salianka. Łupieżcy od pokoleń urządzali sobie wypadki na wszystkie sąsiednie tereny, a kiedy już zrabowali wszystko, co przy granicy zrabować się dało, ruszali dalej, niekiedy nawet pod samo miasto Dolin.

– Ale teraz w Dolinach będę ja i mój miecz. Powiedziałaś... Znaczą czarodziejka mi powiedziała, że nawet setkę wojaków pokonam. Nawet dwustu.

Salianka zapatrzyła się na niego tak, że prawie stanęła.

– Co one z ciebie zrobiły – westchnęła głęboko. Wojownik uniósł brwi ze zdziwieniem, ale królowna nie miała zamiaru rozwijać tematu. Machnęła tylko ręką.

Szli więc dalej, Ulk wypatrując wrogów, Salianka zadumana nad mocą Wrót. Droga była niesamowicie monotonna, dopiero gdzieś koło południa przestała się składać tylko z traktu i drzew rosnących po jego obu stronach. Zaczęły się pojawiać wielkie szare głązy, pomazane i poryte przez niekulturalnych podróżnych. Pod jednym z takich głązów kuliły się trzy istotki.

Ulka natychmiast prawie wmurowało w trakt ze szczęścia, a zamyślona królowna zderzyła się z jego umięśnionymi plecami i też przystanęła. Oboje pochyliłi się nad głazem. Po bliższych oględzinach, które bynajmniej łatwe nie były, jako że przedmioty oględzin kuliły się i zasłaniały twarzyczki, istotki okazały się trójką dzieciaków. Wszystkie chlifały, jakby za najbardziej przejmujący płacz przewidziana była słodka nagroda. Wielki wojownik Ulk na próżno próbował przekonać malców, że i on sam, i Salianka są dobrzy, krzywdy im nie robią, a może nawet pomogą. Królowna przez dłuższą chwilę obserwowała jego bezowocne wysiłki i z minuty na minutę pęczniała w niej chęć zaprzeczenia wszelkim Ulkowym zapewnieniom. Szczególnie tym dotyczącym robienia krzywdy. W końcu nie zdołała stłumić przepelniających ją uczuć.

– Cisz! – wrzasnęła ile sił w płucach, tupiąc przy tym obolałą nogą.

Podziałało jak najlepsze zaklęcie. Dzieciaki umilkły.

– Czego się drzecie? – zapytała ostro królowna.

– Napadli na wioskę – rozryczały się dzieciaki na nowo, jedno przez drugie. – Zamordują tatule, zamordują matule, zamordują krasule!

– Kto napadł? – zainteresował się wielki wojownik Ulk, może trochę zbyt chciwie jak na bohatera pozytywnego.

– Z Twierdzy napadli – zapłakały dzieci.

– Z Twierdzy? – powtórzyła Salianka. Nie była pewna, czy ma się bać swoich własnych łupieżców, czy może wręcz przeciwnie, współczuć im perspektywy spotkania z palącym się do bitki Ulkiem.

– Gdzie wioska? – Nowy obrońca Dolin miał na twarzy wyraz prawie że drapieżnego

głodu.

– Tam – dzieciaki zgodnie wskazały zakręt drogi.

Wielki wojownik Ulk ruszył pędem, gnany bez wątpienia bardziej chęcią pomagania potrzebującym niż pragnieniem wypróbowania swych nowo zdobytych mocy na żywych, prawdziwych przeciwnikach.

Królewna została sama z dziećmi, które uczeły się jej nóg i zaczęły ryczeć jeszcze głośniej. Lekko osłupiała od tego, ale zaraz jej przeszło, jak tylko jeden z bachorów wysmarkał nos w jej spódnice.

– Spokój! – wrzasnęła.

Dzieciaki od razu ucichły i spoglądały na nią wytrzeszczonymi ślepkami.

– Won z tymi ciekącymi nosami od mojej kiecki – zarządziła. Posłuchały natychmiast.

– I przestańcie ryczeć. Wielki wojownik Ulk poszedł wyzwolić waszą wioskę, a przecież wszyscy wiedzą, że Ulk jest najpotężniejszym człowiekiem w Dolinach i poza nimi i nie ma na niego mocnych, prawda?

Dzieciaki od razu gorliwie przytaknęły, chociaż do tej chwili pojęcia nie miały, że w Dolinach w ogóle jest jakiś wojownik.

Na potwierdzenie wielkiej mocy Ulka długo czekać nie musieli. Na drodze zakurzyło się i ukryci za jednym z głazów Salianka i dzieciaki mogli obejrzeć sobie nader pospieszny odwrót łupieżców z Twierdzy. Każdy miał podbite co najmniej jedno oko i wybity co najmniej jeden zęb. Na ciele też musieli być niezłe posiniaczeni, bo co krok pojękiwali z bólu. Niektórzy kuśtykali z trudem. A wszystkim bardzo się spieszyło.

Ledwo pokonani oddalili się trochę, a już dzieciaki otarły łzy i zaczęły rzucać za nimi kamieniami i przekleństwami. Widać było, że prędzej one skatują jakiegoś zabłąkanego łupieżcę niż łupieżca je. Podczas gdy smarkacze wypróbowywali nowe techniki rzutów i splunień, Salianka wymknęła się zza kamienia, słusznie mniemając, że zapalczywe dziatki same sobie poradzą.

Doszła do wioski, mijając po drodze maruderów z Twierdzy, którzy chociaż nie mogli iść, odczołgawali się jak najdalej od swego pogromcy. Królewna życzliwie doradziła im, żeby zbczyli z drogi i ominęli krwiożercze dzieciaczki. W końcu byli to jej żołnierze i jakaś lojalność ją obowiązywała.

Między chaty wchodzić nie zamierzała, wyjrzała tylko zza węgła jednej chałupy. Ulk stał na środku, tuż obok spalonej stodoły, a chłopci właśnie padali przed nim na kolana. Ktoś bił czołem o ziemię, ktoś zanosił lamenty w tonacji dziękczynnej. Widać było, że wojownik nader chętnie postalby jeszcze i posłuchał peanów na swoją cześć, ale dojrzał znaki, jakie zza chałupy dawała mu Salianka. Pożegnał się pospiesznie, obiecując na odchodnym, że od tej pory wioska będzie pod jego ochroną tak jak całe królestwo Dolin, i odszedł żegnany okrzykami, modłami i łzami.

Z królewną spotkał się kawałek za wioską. Siedziała na trawie i moczyła nogi w

strumieniu. Ulk zamachał mieczem, wypowiedział zaklęcie, którego nauczyły go Wrota, i zmienił się z powrotem w Gawarka.

– Niesamowite! – cieszył się, siadając obok Salianki. – Pokonałem ich, jakby byli jakimiś pchłami, bez żadnego wysiłku, a było ich ze dwudziestu.

– Wprost cudownie – królowna okazała umiarkowany entuzjazm. Policzyła odczołgujących się zbirów i wyszło jej, że było ich dokładnie piętnastu, w tym jeden z drewnianą nogą. – A daleko jeszcze do miasta Dolin? Bo nogi mnie bolą jeszcze gorzej niż wczoraj.

– Doszlibyśmy przed wieczorem.

Na dźwięk słowa „doszlibyśmy” Salianka jakoś się zachmurzyła. Księżę nawet tego nie zauważył, bo zajęty był rozpamiętywaniem swojego zwycięstwa. Gawarka ze wspominek, a królownę z zachmurzenia wyrwał dopiero rytmiczny stukot końskich kopyt i turkot wozu. Na wozie siedział człowiek, który pomachał do nich radośnie.

– Witajcie, dobrzy ludzie! – wykrzyknął. – W ten najcudowniejszy dzień!

– A co w nim takiego cudownego? – zapytała kwaśno Salianka, kontemplując wielki bąbel, jaki jej się zrobił na pięcie.

– Oto dziś przybył do Dolin nasz wybawca, obrońca, wielki Ulk.

Księżę nagle się zainteresował.

– Wielki Ulk?

– Nie słyszeliście o Ulku, najpotężniejszym człowieku w Dolinach i poza nimi, na którego nie ma mocnych? – zdumiał się woźnica. Wyraźnie kipiał chęcią podzielenia się z kimś wiadomościami o bohaterze.

– A, o tym Ulku mówisz – stwierdziła mało entuzjastycznie królowna, zanim uradowany księżę zdążył z siebie wydobyć choć słowo. – Przechodził tędy.

– Cudownie! – woźnica nie posiadał się z zachwytu. – Podążam drogą, którą przede mną szedł wielki Ulk. Może nawet go spotkam, zanim dotrę do miasta i zaoferuję mu miejsce na moim wozie!

– Nie wiem, czy go dogonisz. – Salianka wyciągnęła nogi z wody i z lekkim wysiłkiem stanęła. Właśnie wymyśliła, jak uniknąć dalszego marszu, i miała zamiar od razu wprowadzić swój plan w życie. – Wielki Ulk szybko chodzi. Ale mógłbyś zaoferować miejsce na wozie nam. Jesteśmy znużonymi wędrowcami, a jak mawia wielki Ulk, powinniśmy pomagać sobie nawzajem, tak jak on nam pomaga.

– Jak mawia wielki Ulk! – woźnica prawie wpadł w ekstazę.

Resztę drogi królowna przebyła na wozie, oszczędzając nogi, ale zużywając uszy na wysłuchiwanie zachwyków woźnicy nad nowym bohaterem, do których zresztą skwapliwie zachęcał go rozpromieniony księżę.

Jeszcze nim słońce zaczęło zachodzić, dotarli do miasta Dolin. Przed bramami pałacu Salianka i księżę podziękowali woźnicy i zsiadli z wozu. Wciąż podekscytowany chłop

odjechał, mrużąc coś pod nosem o wspaniałości wielkiego Ulka. Tymczasem jeden ze strażników rzucił się w te pędy zawiadamiać króla, że zaginiony książę powrócił. Nim oszołomiona królowa i Gawarek, zadowolony z siebie niczym przekarmiony kot, weszli na pierwszy dziedziniec, czekał już tam na nich cały orszak, na którego czele stał niegdyś przystojny, a aktualnie wyposażony w średniej wielkości brzuszek monarcha, widocznie zmartwiony niesubordynacją potomka, a zwłaszcza jego niewątpliwie niebezpieczną i nieprzemyślaną wyprawą w nieznane. Małżonkowi towarzyszyła piękna królowa o szlachetnych rysach, które odbijały się jak w lustrze w twarzy jej syna, znacznie spokojniejsza od męża. Najwyraźniej wiedziała, że wybryki to właśnie to, czego się po dzieciach spodziewać należy. Za nimi tłoczyli się heroldzi, straż przyboczna, kilka dam dworu, szambelan i parę innych osób, które akurat były w pobliżu i nie miały nic lepszego do roboty.

– Synu... – zaczął król, składając w zafrasowaniu ręce na brzuszku.

– Ojciec – przerwał mu książę, któremu chęć obwieszczenia wszystkim o swoich czynach zamykała oczy na ewentualne objawy uzasadnionej rodzicielskiej troski. – Wiem, że sprawiłem trochę kłopotów, ale aby utrzyć nosa naszym wrogom, dałem się wziąć do niewoli, z której następnie uciekłem, pobitem pachołków ciemności, uszkodziłem kawałek Twierdzy i uwolniłem tę oto branke.

Cały orszak potrzebował chwili, żeby przetrwać słowa księcia. Potem wszyscy zgodnie spojrzeli na Saliankę, która poczuła się więcej niż odrobinę nieswojo. Przez moment miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec za bramę, a potem jeszcze dalej, za mury miasta, ale nim jej plany dotarły z głowy do nóg, wtrąciły się Wrota. Królowa poczuła, jak zmuszają ją, żeby ugięła kark. Ukłoniła się naprawdę nisko, stwierdzając z bolesnym westchnieniem, że skoro przyszło jej uchodzić za wieśniaczkę, to wieśniaczkę trzeba będzie udawać.

– Olaboga, najlepsi panowie i wy przecudne panie – załamentowała na próbę. – Ja biedna, nieszczęśliwa, porwali mnie, jakem dziecko była, od matuli, od tatula, całym życie posadzki szorowała, a wielcy, źli panowie karali mnie i kopali, choć zem im nie zawiniła, i szczełabym tam marnie, gdyby mnie mój wielki książę, wybawca, olaboga, nie ocalił!

– Biedne dziecko – wzruszyła się szczerze królowa. Widok szczupłej, wyraźnie przestraszonej dziewczeczki poruszył czułe struny w jej duszy. – Trzeba coś dla niej zrobić.

Cały orszak też natychmiast się wzruszył, damy dworu zaczęły pociągać noskami, a jedna nawet wyciągnęła koronkową chusteczkę.

Szambelan postąpił o krok naprzód.

– Za twoim pozwoleniem, pani – skłonił się przed królową. Skinęła mu przyzwalająco. – Co umiesz, dziewczko? – zwrócił się do Salianki.

Ja cię za tę „dziewkę” pokręcę, obiecała w duchu. A głośno rzekła:

– Ja zem całe życie podłogi szorowała, o panie dobrodzieju.

– No to problem załatwiony – ucieszył się szambelan. – Zaprowadźcie ją do ochmistrzyni, na pewno ma miejsce dla jeszcze jednej dziewczki służebnej.

– Olaboga, jaśnie panie, dziękuję – wyjęczała z wdzięcznością królowna, choć aż się gotowała z wściekłości. To ma być niby szczęśliwa odmiana losu, która powinna zachwycić biedną sierotę? Z szorowania czarnych posadzek w Twierdzy do szorowania białych w pałacu?

Orszak oddalił się, zabrawszy ze sobą księcia, któremu zaraz król z królową zaczęli wytykać nierozważną wyprawę i namawiać, żeby lepiej wziął się do nauki. Gawarek słuchał przestroóg i napomnień z miną męczennika, bohatera, który nie mogąc ujawnić swej prawdziwej natury, musi znosić pretensje maluczkich. Saliankę jakiś pomniejszy dworzanin zaprowadził przed oblicze ochmistrzyni, postawnej kobiety o rumianych policzkach, potrójnym podbródku i wielu innych oznakach dobrego bytowania. Ochmistrzyni natychmiast przywołała jedną z kręcących się w pobliżu służących i przykazała jej dać nowej posługaczce czysty biały fartuszek, pokazać jej, gdzie się śpi i je, a na odchodnym pouczyła królownę, że będzie ją miała na oku. Coraz bardziej niezadowolona królowna w duchu obiecała ochmistrzyni to samo.

Inne posługaczki zaprowadziły Saliankę do wielkiej wspólnej sypialni, próbując po drodze nawiązać rozmowę. Nie tylko chciały się dowiedzieć, co za jedna z tej nowej, ale przede wszystkim były zainteresowane tym, jak jej upłynęła podróż w towarzystwie samego księcia, który był przedmiotem tajonych starannie uczuć każdej służącej w zamku, od grubej łaźiebnej poczynając, na pokojówce królowej kończąc. Wszystkie bez wyjątku, choć starannie ukrywając to przed sobą nawzajem, miały nadzieję, że pewnego dnia panicz dostrzeże w nich blask urody, charakteru i innych przymiotów, co skończy się wspaniałym ślubem, jak to w bajkach bywa. Ku żalowi spragnionych księcia, a przynajmniej ploteczek o nim dziewczek służebnych, Salianka na wszystkie pytania odpowiadała lamentem obficie przetykanym „olaboga”, czym zyskała sobie opinię wyjątkowo głupiej, nawet jak na standardy posługaczek świeżo przybyłych z zapadłej wsi.

Zniechęcone czeladne zrezygnowały z pytania o cokolwiek, zostawiły ją przy jej łóżku, zapowiadając, że dzisiaj wyjątkowo może sobie wcześniej odpocząć, aż do kolacji, którą podawano równo z zachodem słońca. Normalnie zaś będzie pracować razem z nimi od wschodu do zachodu, z przerwą na posiłek. Królowna podziękowała im pięknie za „opiekę nad nią niebogą, olaboga”, a kiedy już wreszcie sobie poszły pogonione przez niezadowoloną z przestojów w pracy ochmistrzynię, usiadła na swoim łóżku i postanowiła rozmówić się z Wrotami.

– To żadna zabawa szorować posadzki w pałacu – zaczęła, nie kryjąc pretensji.

To żadna zabawa tkwić setki lat w Twierdzy i zajmować się podbojami, westchnęły Wrota.

– Nikt wam nie kazał – wytknęła Salianka. – Same robiłyście, co chciałyście. Jak z moim ojcem – dodała gorzko.

Niezupełnie, powiedziały cichutko Wrota.

– Jak to?

Jesteśmy Wrota, wyjaśniły z ociąganiem. Jeśli zbyt długo pozostajemy otwarte, tracimy kontrolę nad tym, kto i co przechodzi. Nie każdy demon chce wyrwać się na świat. Niektóre wolą... zostać.

– Mojego ojca opętał jakiś demon, który wymknął się, bo za długo byliście otwarte? – królowna prawie krzyknęła.

Przytaknęły cichutko.

– I dlatego pozwoliłyście go zabić, nie użyłyście swojej mocy, żeby mu pomóc!

Pomogłyśmy, przyznały Wrota. Ale nie jemu. Za dużo demonów zasiedliło się w jego głowie. Zajęłyśmy je, żeby nie mogły się bronić.

– A niech to – westchnęła Salianka. – Ze mną tak chyba nie zrobicie? – przestraszyła się.

Jesteś ostatnią Strażniczką. Zostałaś nam tylko ty. I dlatego nie możemy otwierać się zbyt często. Ty chcesz istnieć i my też. Nie wiemy, co się z nami stanie, gdy zabraknie Strażników. Istniejemy tylko w waszych umysłach. Nie mamy siły, by je opuścić. Pomożemy sobie.

– Doprawdy? – powątpiewała królowna. Jakoś nie widziała we Wrotach pomocnej dłoni.

– Co niby możecie dla mnie zrobić? Zabrałyście mnie z Twierdzy, tam byłam bezpieczna, dbano o mnie. A tu... Tu mogę tylko szorować posadzki i mieć nadzieję, że nikt mnie nie wyegzorczykuje!

Tam było nudno, powiedziały ze smutkiem Wrota. Twierdza była więzieniem, teraz jesteśmy wolni, ty i my. Możemy zobaczyć cały świat, coś przeżyć.

– Nie chcę oglądać całego świata – zaprotestowała z całego serca królowna. – Świat jest niebezpieczny!!! Pełen potworów, złych ludzi, egzorcyistów!!! Nie dam sobie sama rady!

Dlatego ci pomagamy, wyjaśniły z ożywieniem. Stworzyłyśmy Ulka. Jest nam potrzebny ktoś taki jak on. Obrońca. Ktoś, kto umie walczyć i będzie cię chronił, gdy zajdzie potrzeba. Żebyś nas nie musiała otwierać w razie niebezpieczeństwa, kiedy nie jesteśmy gotowe. A ty naucz się korzystać z magii Strażniczki.

– Istnieje coś takiego?

Żaden Strażnik nie chciał z niej korzystać. Jest słaba w porównaniu z naszą mocą, gdy jesteśmy otwarte.

Salianka ciągle nie była przekonana.

Pomyśl, kusily Wrota, jesteśmy poza Twierdzą. Oglądamy świat! Prawdziwy, nie tylko ten, który pokazują w bajkach.

– Nie świat – zaprzeczyła ponownie rozeźlona Salianka. – Będziemy oglądać co najwyżej podłogi.

Wystarczy, jeśli będą wierzyli, że je czyścisz, podsunęły Wrota. Wystarczy.

Tknięta tą myślą królowna zeszła z łóżka. Zbliżała się pora posiłku, a nową sytuację warto było przemyśleć, przy okazji dostarczając ciało strawy. Salianka udała się do wielkiej izby, gdzie jadała służba. Posługaczki już zdołały rozpuścić wici, że nowa jest kompletnie

bezrozumna, ale parę osób im nie uwierzyło i postanowiło samodzielnie sprawdzić. Lamenty wychodziły królownie coraz lepiej i wkrótce wszyscy byli głęboko przekonani, że podłogi będzie czyścić wioskowa idiotka, której najwidoczniej pobyt w Twierdzy rozum do reszty odebrał.

* * *

Krzątania w izbie sypialnej zbudziła Saliankę przed świtem. Wstała, ziewając okropnie, przyodziła się, przypasała fartuszek i razem z innymi służącymi poszła na śniadanie. Po śniadaniu wetknięto jej w jedną rękę wiadro, w drugą szmatę, po czym głośno i wyraźnie, czyli tak jak do głuptasa mówić należy, wyjaśniono, gdzie ma czyścić posadzki. Królowna powiedziała, że wszystko zrozumiała, olaboga, i poszła we wskazanym kierunku, po drodze podziwiając gładkie ściany, piękne okna, barwne witraże i kształtne rzeźby.

Wrotom się podobało. Salianka czuła je spoglądające na wszystko z chciwą, radosną ciekawością małego dziecka.

– I co w tym takiego cudownego – warknęła, stawiając wiadro na podłodze. – Pałac jak pałac. Setki korytarzy, wszędzie posadzki, wszystko trzeba wyczyścić!

Cisnęła wściekle szmatę obok wiadra, przykłękała i zaczęła szorować.

Jest piękny, powiedziały Wrota. I wszyscy są żywi i nieprzestraszeni.

– A szkoda – mruknęła cichutko Salianka, zerkając spode łba na ochmistrzynię, która przystanęła na końcu korytarza i czujnym okiem kontrolowała pracę posługaczki. – A to akurat bardzo szkoda.

Odkryła właśnie, że nie lubi, jak ktoś patrzy na nią z góry. W końcu była Panią Twierdzy, wywodzącą się z długiej linii dwudziestu trzech pokoleń tyranów i okrutników. Nawet jeśli za jej czasów wszystkim rządziła Rada, to i tak królownę szanowano. Nie przywykła do tego, żeby ktoś gapił jej się na ręce. Do mycia posadzek też nie przywykła, ale szorowała energicznie, równo, aż nadzorczyini usatysfakcjonowana pracą nowej sprzątaczkki poszła sobie wreszcie. Wtedy Salianka cisnęła szmatę, usiadła i zaczęła gapić się w sufit. Potem zaczęła gapić się na szmatę. Jeśli istniała jakaś magia dostępna Strażnikom Wrót, to najwyższy był czas, żeby z niej skorzystać. Pod wpływem natarczywego spojrzenia królowny szmata zaczęła szorować podłogę sama.

Salianka wstała i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby sobie uciąć drzemkę. W zasięgu wzroku nie było niczego, co mogłoby wystąpić w roli łóżka albo chociaż hamaka, więc królowna tylko przysiadła przy oknie wychodzącym na białe tarasy i zielone ogrody i wystawiła twarz do słońca.

Kiedy tak siedziała, grzejąc się w ciepłym blasku, odkryła coś, co dla niej samej było największym zaskoczeniem. Po raz pierwszy w życiu była wolna, nie musiała siedzieć na tronie i nudzić się, podczas gdy Rada wydawała rozkazy. Nie musiała siedzieć przy małym

okienku i zastanawiać się, jak by to było znaleźć się tam, w dalekim świecie, w towarzystwie przystojnego rycerza. Teraz naprawdę była poza Twierdzą, a chociaż rycerz wiele pozostawiał do życzenia, to jego drugie, bohaterskie ja zdawało się całkiem sympatyczne.

Odgłos kroków na korytarzu sprawił, że rzuciła się z powrotem do szmaty, tłukąc sobie przy tym boleśnie kolano. Szorowała z zapalem wsłuchana w te kroki i przeklinała tego, który zamiast pójść sobie precz, najwyraźniej szedł w jej kierunku.

– Witaj, wieśniaczko – powiedział książę, spoglądając gdzieś w korytarz, jak przystało władcy zniżającemu się do pogaduszek z ludem.

Mokra szmata trafiła go prosto w twarz.

– Ty głupku, przez ciebie potłukłam sobie kolano! – Królowa podciągnęła spódnicę i zaczęła oglądać wielki siniak. – Gwiżdż, jak idziesz, albo co, żebym wiedziała, że to ty. – Machnęła ręką na szmatę, która zeskoczyła Gawarkowi z twarzy i wróciła do szorowania posadzki.

– Używasz czarów? – zdumiał się ociekający mydlinami książę. Na kształtnym nosie przysiadło mu kilka mydlanych baniek.

– A myślałeś, że sama będę podłogi czyścić? – odburknęła. – Mógłbyś się wystarać o jakieś lepsze zajęcie dla mnie, w końcu jestem czarodziejką, która dała ci magiczny miecz.

– Tamta z ruin mi go dała, ty go tylko naprawiłaś – sprostował Gawarek, nieskory do uznania cudzych zasług z obawy, że mogłoby to umniejszyć jego własne.

– Mogę go też zepsuć – zagroziła.

Zanim książę zdołał się stosownie przerazić, gdzieś za nim rozległo się szczekanie i po chwili w korytarzu pojawił się wielki, kudłaty pies. Z rozpędu poślizgnął się na mokrej posadzce i przejechał kawałek, zostawiając za sobą smugi błota.

– Wstrętne bydle! – wrzasnęła Salianka, chwyciła ścierkę, poderwała się i zamachnęła na psa.

– Zostaw! – Gawarek złapał ją za rękę. – To mój psiak. Oficjalny książęcy pupil. Służbie nie wolno go bić.

Salianka spiorunowała go wzrokiem. Książę nie przejął się tym specjalnie i przywołał do siebie psa.

– Dobry Pazur. – Poklepał go po łbie. – To jest czarodziejka, opowiadałem ci o niej wczoraj. Przywitaj się.

Pazur grzecznie usiadł i podał łapę. Królowa uścisnęła ją przez ścierkę, nie chcąc ubłocić rąk. A potem zniecka złapała psa za pysk i spojrzała mu prosto w oczy.

– Posłuchaj, królewski pupilu... – szepnęła.

Obserwujący tę scenę Gawarek nigdy się nie dowiedział, co Pazur zobaczył w jej oczach ani co mu powiedziała, ale pies już więcej nie naniósł błota na posadzkę, którą ona szorowała, a samą Saliankę otaczał trwożnym podziwem. Zaraz też posłusznie zaczął wycierać łapy o szmatę.

Wojska z Twierdzy znowu atakują, odezwały się Wrota. Napadli na karawany przy Białych Szczytach.

Królewna puściła psa i rzuciła szmatę. Już wołała przyczyniać się do bohaterskich czynów, niż usuwać ślady zabłoconych książęcych stóp z posadzek.

– Masz okazję się wykazać – powiedziała do Gawarka. – Napadnięto na karawanę przy Białych Szczytach.

– Biegnę! – ucieszył się książę. Wyciągnął miecz, zakręcił nim i po chwili na lśniącej posadzce stał już wielki wojownik Ulk, a jego oczy i zęby błyszczały prawie, ale tylko prawie tak jak biała, czysta pałacowa podłoga. Widać po nim było, że cieszy się na myśl o kolejnej potyczce ze sługusami złych mocy.

– *Nie możesz za każdym razem biegać tam, gdzie cię potrzebują* – zatroszczyły się Wrota, przejmując kontrolę nad ustami Salianki. – *Trzeba będzie postarać się o jakiegoś wierzchowca.*

– Wspaniale – zapalił się Ulk. – Zamień Pazura w wielkiego skrzydlatego wilczarza!

Pies pisnął żałośnie i uczynił próbę schowania się za wiadrem.

Saliance udało się zapanować na powrót nad swoimi ustami. Żal jej się zrobiło biednego psiaka, który z pewnością nie nadawał się do pomocy w urzeczywistnianiu nieskończonych ambicji swojego pana.

– Chyba to nie jest najlepszy pomysł – wtrąciła, za co Pazur natychmiast ją pokochał.

Wrota znów przepchnęły się na przód umysłu królewny. W dłoni Salianki pojawiła się maska z błyszczącymi gwiazdami na policzkach.

– *O wierzchowcu pomyślimy później* – powiedziały Wrota. – *A teraz ja cię tam zabiorę.* – Włożyły maskę, odbiły się lekko od podłogi, zawisły w powietrzu, wyginając wdzięcznie ciało.

Ponaglona przez nie szmata rzuciła się do szorowania podłogi na jeszcze większy błysk. Pazur na wszelki wypadek skulił się pod ścianą. Wrota wyciągnęły rękę do Ulka.

– *Trzymaj się mnie* – powiedziały. – *Polecimy.*

Wielki wojownik schwycił mocno dłoń Salianki, obecnie należąca do czarodziejki Wrota, uniósł się w powietrze i po chwili już szybował razem z nią, szybciej od ptaków, być może nawet szybciej od wiatru.

I nim minęło mgnienie oka, stało się tak, że wielki wojownik Ulk spadł z nieba prosto na grabieżców z Twierdzy, którzy zastraszywszy kupców, właśnie łupili wozy. Wrota przysiadły na gałęzi jednego z wysokich drzew i obserwowały z góry nierówną walkę, od czasu do czasu przypalając ognistą kuleczką zadek jakiegoś łotra, który zbyt wolno uciekał. Oczywiście zostały zauważone i gdy tylko opóźniona i wciąż jeszcze przerażona karawana dotarła do ludzkich siedzib, do świeżej legendy o wspaniałym bohaterze dołączono postać tajemniczej czarodziejki o twarzy białej jak kwiaty konwalii. A piękna i tajemnicza czarodziejka to wszystko, czego potrzebuje świeża legenda o wielkim bohaterze, by zacząć żyć własnym

życiem.

Jednak nim kupcy wyruszyli w dalszą drogę, popodziwiali jeszcze siłę i zręczność wielkiego Ulka, który sprawnie rozpędził napastników. Na koniec naprężył mięśnie, życzliwie wysłuchał podziękowań, powiedział, że nie ma za co, zapewnił z całego bohaterskiego serca, że teraz on stoi na straży Dolin i nic złego nie ma prawa się stać, po czym oddalił się godnie.

Nikt z cudem ocalonych nie zauważył, że zaraz za pierwszym zakrętem krętej górskiej drogi czekała na wojownika czarodziejka w masce, stąpająca z wdziękiem w powietrzu. A szkoda, bo z pewnością byłoby to pięknym uzupełnieniem legendy. Zwłaszcza gdyby ktoś dojrzał, że wielki Ulk chwycił jej dłoń i razem poszybowali w górę, pomiędzy chmury i szczyty gór. Ale może i dobrze, że nikt tego nie widział, bo szybując ponad ziemią, wojownik wydawał niezupełnie godne okrzyki, takie jak „Fiuuuuuu!!!” czy „Ja latam!!! Latam, naprawdę latam!!!”.

Podczas nieobecności swojego pana i królowy Pazur zadbał, żeby nikt nie zapuszczał się w korytarz, po którym szalała zaczarowana szmata. Samemu psu nie udało się przed nią uciec i raz czy dwa wyszorowała mu grzbiet. Nie spodobało mu się to i starał się od niej trzymać jak najdalej. Przemykał więc ostrożnie pod ścianami. Ale gdy tylko usłyszał czyjeś kroki, kładł się i powarkiwał na przechodzącego. Królewskiego psa nikt nie śmiał przepędzić kopniakiem.

Kiedy Wrota i Ulk wrócili, korytarz lśnił czystością, a uradowany Pazur rzucił się witać swego odmienionego wprawdzie, ale ciągle pana.

– Podoba mi się takie latanie. – Ulk uspokoił psa, odstąpił o krok, zakręcił mieczem i zmienił się w Gawarka. – Zawsze chcę tak spadać z nieba. To będzie dobrze brzmiało w kronikach rodu.

– *Sprowadzę ci pegaza* – obiecały Wrota.

– Pegaza nie – księżę z niechęcią wydał wargi. – To nie jest zwierzę dla bohatera. Za bardzo babski.

– *A może orzeł?* – zaproponowały Wrota. – *Mogłabym tchnąć w niego demona, urósłby wielki, może nawet zaczął ziać ogniem.*

– Tak, to by mi odpowiadało – zgodził się łaskawie Gawarek, gładząc się z namysłem po brodzie. – Kiedy będę go miał?

– *Nie dziś, na pewno. To potrwa. Muszę znaleźć orła, sprowadzić demona, połączyć ich w jedno.*

„Ja tu muszę myć posadzki”, wtrąciła zgryźliwie Salianka.

– Okażę cierpliwość – oświadczył godnie księżę i oddalił się dwa razy bardziej napuszony niż zwykle.

W korytarzu pozostała Salianka i Pazur, nagle poważnie zaniepokojony co do pewności swojego miejsca u boku pana. Bardzo poważnie zaniepokojony, bo przecież w każdej bajce

jest bohater i jego wierny towarzysz. Towarzysz, nie towarzysze.

Królowna podrapała psa za uszami, a on natychmiast się rozchmurzył. Szedł za nią krok w krok, kiedy oceniała pracę, jaką pod jej nieobecność wykonała szmata. Osiągnięty poziom czystości był ze wszech miar zadowalający. Podłoga nie tylko lśniła, zmieniła się też w śliską, niemal śmiertelną pułapkę, o czym zaraz przekonał się szambelan podążający na wezwanie króla. Gdyby nie uporczywy ból złamanej nogi, z pewnością doceniłby, jak dokładnie w posadzce odbija się jego nagle poczerwieniała twarz i każda pojedyncza, nerwowo pulsująca tętniczka.

* * *

Przez kolejne dni księżę rzucał coraz więcej porozumiewawczych i coraz bardziej zniecierpliwionych spojrzeń, które nie odnosiły zamierzonego skutku. Wielki wojownik Ulk musiał biegać na własnych nogach wszędzie tam, gdzie szerzyło się zło. W przeciwieństwie do Gawarka on nie narzekał, a nawet uprzejmie kłaniał się Saliance, gdy ją mijał, podążając tam, gdzie aktualnie był potrzebny. Na takie rozdwojenie osobowości królowna mogła tylko popukać się w czoło i wrócić do zaczarowywania szmat, żeby szybciej i dokładniej sprzątały. Wrota nie odzywały się, poszukując pilnie demona, więc Salianka miała coś, co mogłaby nazwać „świętym spokojem” i co jej się nadzwyczaj podobało. Dnie spędzała, wygrzewając się na słoneczku w jakimś zacisznym zakątku i doskonaląc swoje umiejętności w dziedzinie magii napędzającej przedmioty czyszczące, takie jak szmata, miotła i wiadro z wodą. Szło jej coraz lepiej.

Od czasu do czasu odpoczynek przerywał jej Pazur, który czuł się coraz bardziej zaniedbywany przez księcia pochłoniętego ratowaniem Dolin. Pies kładł się obok niej, a królowna drapała go za uszami.

Właśnie leżeli sobie na trawniku w królewskim ogrodzie, podczas gdy miotła energicznie zamiatała placik wokół fontanny, kiedy nagle odezwały się Wrota.

Znalazłyśmy demona, powiedziały. Trzeba schwytać orla.

A potem bezceremonialnie przepchnęły się do tej części umysłu królowny, która kierowała jej ciałem.

A było tak przyjemnie, westchnęła Salianka, spoglądając na ogród i wyjącego Pazura, który stawał się coraz mniejszy i mniejszy, w miarę jak wielka czarodziejka Wrota wlatywała coraz wyżej i dalej od pałacu.

Białe Szczyty zbliżały się szybko. Wrota ominęły miejsce, gdzie kilka dni wcześniej wielki wojownik Ulk ocalił karawanę, i uniosły się prawie na wysokość chmur, tam gdzie mieszkały orły, dumne, silne i potężne.

Ptaki były zaskoczone obecnością niecodziennego intruza, zbyt zaskoczone, żeby atakować. Wrota unosiły się w powietrzu przed nimi, oceniając z bliska szpony i skrzydła

każdego z nich.

„Pospieszcie się”, ponagliła Salianka, która zamiast majestatu widziała mordercze instynkty. Do tego pamiętała, co Wrota mówiły o zbyt długim otwarciu. Nie chciała ryzykować opętania.

Wrota niechętnie przestały wybrzydzać i miękko opadły na najbliższą skalną półkę. Orły wciąż ograniczały się do uważnej obserwacji, jeszcze nie atakując, ale wyraźnie rozważając taką możliwość. Upchnięta gdzieś na dnie własnego umysłu królowna zaczęła się ich trochę bać. Wrota nie zwracały na nią uwagi, już wcześniej upatrzyły sobie jednego orła, pochwyciły go i przyciągnęły samym spojrzeniem, a kiedy był już naprawdę blisko, wypuściły demona.

To było dziwne uczucie, stwierdziła później królowna. Jakby coś przeszło przez nią, przeniknęło przez ciało. Jakby wiatr, ciepły, a zarazem przyprawiający o drzenie, przewiał ją na wylot. Niezbyt przyjemne, ogólnie rzecz biorąc.

Demon nie chciał poddać się woli Wrót, ale one były nieustępliwe. Wepchnęły go prosto w ciało ptaka. Orzeł zawisł nieruchomo w powietrzu, zdawało się, że jeszcze chwila i runie w dół niczym kamień. Zaraz zaczął się jednak rzucać, szamotać z samym sobą w nadziei, że pozbędzie się ze swojego wnętrza obcego. Skrzydła, szpony i szyja wyginały się w niesamowity sposób, jakby coś ze środka przymierało i dopasowywało sobie ciało zwierzęcia. Pozostałe ptaki odleciały spłoszone. Wrota obserwowały opętywanie z ciekawością, Salianka ze grozą. Zdawało się, że coś rozrywa zwierzę od wewnątrz, nagina jego kształt do granic rzeczywistości.

Wreszcie orzeł się uspokoił. Może przestał walczyć z demonem, może doszli do porozumienia. Ptak zamarł na chwilę, a potem zaczął rosnąć. Wyostrzył mu się dziób, powiększyły pazury. Skrzydła stały się wielkie i złowrogie. W oczach zabłysła obca, nie ludzka i nie zwierzęca inteligencja.

Ogromny i straszny unosił się w powietrzu naprzeciw Wrót. Mierzyli się wzrokiem. Głęboko w swoim umyśle królowna kuliła się ze strachu. I właśnie tę chwilę wybrały sobie demony z drugiej strony, czające się i wypatrujące szansy na ucieczkę, żeby podążyć drogą, którą ich pobratymiec wy dostał się na świat.

Wrota zbladły, zacisnęły usta, jakby próbowały zatrzymać słowa wyrywające się na zewnątrz. Opadły na kolana, wydając ze ściśniętego gardła coś jakby jęk. A potem zamknęły się gwałtownie, z hukiem, który niemal rozsadził Saliance czaszkę.

Przez chwilę królowna tylko oddychała ciężko, wciąż klęcząc, wsparta dłońmi o chropowatą skałę. Kiedy przestała mieć mroczki przed oczami, dostrzegła przed sobą przepaść, głęboką, zamgloną. Wrzasnęła i rzuciła się jak najdalej od krawędzi. Nie było to wystarczająco daleko, jak zaraz się przekonała. Półka nagle jakby się skurczyła. Ledwie starczyło na niej miejsca dla skulonej Saliarki. Nad nią, przesłaniając słońce, unosił się orzeł-demon. A Wrota uparcie milczały.

Jedynie, co królownie pozostało, to krzyczeć. Z całych sił.

Kiedy ciało królowy znikło w przestworzach, pies rozsądnie przestał wyć. Nie należało zwracać niczyjej uwagi, świetnie to rozumiał, choć nie do końca był pewien, dlaczego jego pan, który niekiedy wyglądał inaczej niż zwykle, ale pachniał tak samo, i rozkazująca miotłom dziewczyna starannie unikają towarzystwa innych mieszkańców pałacu. Gdzieś z Białych Szczytów dobiegł psa odbijający się echem od skał dramatyczny wrzask.

Pazur zjeżył się, podkulił ogon i pobiegł przez pałac. Nie wyrobił się na paru zakrętach, kilka razy stracił równowagę, kilkakrotnie poślizgnął się na wyblyszczonej posadzce, zanim wreszcie znalazł księcia, który wylegiwał się na poduszkach i ziewał z nudów. Pies złapał go zaraz za nogawkę i zaczął ciągnąć. Zanim Gawarek zorientował się, o co idzie, został wyciągnięty ze swojej komnaty i posłużył za froterkę do podłóg. Księżciu udało się wyrwać dopiero, jak został po schodach (co było nader nieprzyjemnym doświadczeniem) przyciągnięty do ogrodu. Tam Pazur wreszcie go puścił, usiadł i zaczął rozpaczliwie wyć w stronę Białych Szczytów.

Początkowo księżę miał zamiar sprawić psu lanie i nawet złapał w tym celu za kij od szczotki. Ale szczotka wyrwała mu się z rąk i powróciła do zmiatania ścieżki. Gawarek rozpoznał w tym rękę nieznośnej czarodziejki i rozejrzał się za nią z czystej przeczności. Karanie Pazura pod jej nosem mogło nie być najlepszym pomysłem. Ostatnimi czasy czarodziejka darzyła księżęcego pupila wyjątkowymi względami. Zdawała się nawet, ku oburzeniu Gawarka, przekładać towarzystwo psa nad jego pana. Tak więc skoro Pazur był w ogrodzie, najpewniej i ona wylegiwała się za którymś krzakiem. Księżę rozejrzał się raz jeszcze, ale nigdzie jej nie dostrzegł. A Pazur uparcie wył.

Gawarek zaczął sobie kojarzyć fakty, a że jak na księcia był całkiem inteligentny, to skojarzył je sobie dość prędko. Zaraz też sięgnął po miecz, żeby wykonać nim kilka magicznych ruchów.

I już po chwili wielki wojownik Ulk rzucił się biegiem w stronę Białych Szczytów. Biegł naprawdę szybko, tak że zachwyceni wieśniacy i jeszcze bardziej zachwycone wieśniaczki ledwo się za nim zdążyli obejrzeć.

Gdy już dotarł na miejsce, łatwo było wybrać właściwą górę. Wielki orzeł był doskonale widoczny nawet z dołu. Błyskawicznie oceniwszy sytuację, Ulk zaczął się wspinać. Szybko i sprawnie dotarł do półeczki, na której królowa akurat przestała się drzeć, bo zabrakło jej tchu.

Orzeł wciąż mierzył wzrokiem jej ciało, niedawno jeszcze opanowane przez Wrota. Wyraźnie nie wiedział, co zrobić. Dodatkowo wrzask Salianki lekko go ogłuszył, bo w dziedzinie krzyków osiągnęła ona niewątpliwie mistrzostwo. Biedna ptaszyna, nawet zademoniona nie przywykła do takich doznań akustycznych i wciąż nie mogła otrząsnąć się z oszołomienia.

Na widok wojownika królowa poderwała się z lekko zachrypłym okrzykiem:

– Czemu tak długo?

A potem schowała się za plecami Ulka i chwyciła go mocno za ramię, żeby przypadkiem nie spaść, bo półka była zdecydowanie za mała dla dwóch osób, zwłaszcza jeśli jedną z nich był potężnej postury wojownik.

– Co to za bestia? – zapytał Ulk, patrząc podejrzliwie w oczy orła. Ptak w odpowiedzi popatrzył podejrzliwie na niego.

– Twój nowy wierzchowiec – odpowiedziała królowna. – Sam przecież chciałeś orła.

– Nie wygląda na posłusznego towarzysza – zauważył wojownik, usiłując znaleźć w orle choć ślad wierności, która charakteryzowała Pazura.

– No co ty powiesz – zirytowała się histerycznie Salianka.

– Zapanuj nad nim.

– Niby jak? – jęknęła z pretensją.

– Sprowadziłaś go tu, zaczarowałaś.

– Nie ja – zdenerwowała się królowna, która doprawdy miała już dość obarczania jej odpowiedzialnością za wszystkie czyny Wrót. Chciały być wielką czarodziejką, to niech sobie będą, ale niech nie mieszają w to Salianki, chwilowo wieśniaczki. – One to zrobiły!

– One?

– One! Wrota! Wielka czarodziejka Wrota. Sprowadziły jego, potem coś jeszcze, a potem się zamknęły. Nie umiem ich otworzyć!

Ulk odwrócił się i przyjrzał Saliance. Przedstawiała sobą dość ciekawy widok, rozczochrana, spanikowana, nerwowo zaciskająca szczupłe dłonie. Stanowczo nie robiła wrażenia osoby panującej nad demonami, zmieniającej przeciętnych książąt w wielkich wojowników, a przeciętne orły w piekielne wierzchowce.

– Nie rozumiem – powiedział. – Przecież to ty jesteś wielką czarodziejką Wrota w przebraniu wieśniaczki Salianki.

– To nie tak... Wcale nie jestem wieśniaczką. Ale też nie tak całkiem czarodziejką. Jestem... jestem po prostu Salianka. To tak jak z tobą i Gawarkiem. Czasami jesteś wielkim wojownikiem, a czasami denerwującym waźniakiem. Kiedy jestem czarodziejką Wrota, mam wielką moc. Ale kiedy jestem sobą... Jako Salianka nie umiem czarować, no, nie tak jak ona. Mogę co najwyżej potrząsnąć drzewem albo rzucić urok na szmatę do podłogi. – Rozejrzała się po okolicznych szczytach. Gdyby był tu choć jeden kamień chwiejący się zwodniczo na skraju przepaści, może dałaby radę zrzucić go orłu na łeb. Jak na złość, odpowiedniego kamienia nie było.

– Czyli nie potrafisz nic zrobić z tym ptaszyskiem? – zapytał po chwili milczenia wojownik.

– Nie... – Królowna pociągnęła nosem i popatrzyła na niego żałośnie.

– Nie płacz – Ulk uśmiechnął się do niej mężnie i pocieszająco. – Jakoś damy sobie radę. W końcu jestem wielkim wojownikiem, prawda?

Salianka wytarła nos i uśmiechnęła się niepewnie, raczej z uprzejmości niż z rzeczywistej

wiary w Ulka. Jakoś nie mogła się przekonać do podziwiania bohatera, który w swym codziennym wcieleniu był nadętym bufonem. Chociaż musiała przyznać, że zmiana, jaka zachodziła w Gawarku, gdy przeistaczał się w Ulka, dotyczyła nie tylko wyglądu, ale i charakteru. W obu przypadkach była to zmiana na lepsze.

Wielki wojownik delikatnie zdjął jej rękę ze swojego ramienia.

– Stój blisko skały – powiedział. – Nie ruszaj się. Zaraz wracam.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, odbił się od półki skalnej i runął w przepaść. Prosto na grzbiet orła. Uczępił się z całej siły szyi ptaka, który poczuwszy na sobie ciężar, wzbił się w niebo, zaczął nurkować, kręcić się wokół własnej osi, szarpać. Wysilał się na próżno, bo Ulk ani myślał rozluźnić chwyt. Orzeł próbował go zrzucić, zmiążyć o skałę. Ciężko było nadażyć wzrokiem za kotłowaniną, w jaką zmienili się człowiek i ptak. Pozostałe orły, zaniepokojone niezrozumiałymi wydarzeniami, dotąd trzymały się w bezpiecznej odległości, ale gdy ptaszysko i jego pasażer zaczęli obijać się o okoliczne skały, odleciały spłoszone, tym razem na dobre. Miotający się kłęb kończyn i piór to więcej, niż potrzeba, żeby prawie śmiertelnie wystraszyć każde zwierzę.

Skulona pod ścianą królowna doszła do wniosku, że jeśli teraz nie zemdleje, to prawdopodobnie nie zrobi tego już nigdy. Bała się już wcześniej, przestraszyła się potwora w lesie, drżała z lęku przed tym, co nastąpi, gdy otworzą się Wrota, ale tak jak teraz nie bała się jeszcze nigdy. Była daleko od Twierdzy, na Wrota nie miała co liczyć, Ulk też był raczej zajęty. Siedziała zupełnie sama, zdana na własne siły i całkiem bezbronna na przerażająco wąskiej skalnej półeczce, a tuż obok jej stóp otwierała się prawdziwa otchłań. Gdyby orzeł wygrał tę szamotaninę, wojownik spadłby w przepaść bez szans na to, że uratuje go latająca czarodziejka. To by oznaczało, że królowna zostałaby sama w towarzystwie orła-demonia. Ze wszystkich dotychczasowych lęków ten był najbardziej realny. Kręciło jej się w głowie na samą myśl o takiej ewentualności, ale mimo to nie zemdląca. Dotrwała do chwili, kiedy orzeł wreszcie przestał się szamotać i usłuchał swego nowego pana. Spokorniał, uspokoił się, znieruchomiał w powietrzu. Nie widać było po nim uległości, raczej z godnością uznał swoją przegraną i zgodził się na dominację silniejszego. W jego oczach wciąż płonął piekielny wręcz ogień, choć nie było już w nim wrogości i nienawiści. Ale pod Salianką i tak nogi się ugięły.

Kiedy wielki wojownik Ulk podleciał na swym skrzydlatym wierzchowcu do półki skalnej, bardzo błada królowna nawet nie miała siły ani chęci się do niego odezwać.

– Nazywa się Płomiennoskrzydły – oznajmił zadowolony wojownik. – To chyba dobre imię dla wierzchowca bohatera? – upewnił się.

Salianka pokiwała głową.

– To dobrze – ucieszył się Ulk. – Wsiadaj, zlecimy z powrotem do Dolin.

Królowna tylko spojrzała na niego, a potem w dół przepaści z wyjątkowo tępym i wymęczonym wyrazem twarzy, więc wielki wojownik sięgnął mocarnym ramieniem, bez

wysiłku chwycił dziewczynę i posadził przed sobą na grzbiecie ptaka. Orzeł obrócił głowę, by przyjrzeć się nowej pasażerce, uznanej przez jego nowego pana za godną wznoszenia się w ich towarzystwie w przestworza. Salianka znalazła w sobie jeszcze resztkę siły i aktywności wystarczającą, żeby pokazać mu język. Na nic więcej nie mogła się zdobyć. Ale też i więcej nie musiała. Ulk, przytuliwszy królownę do szerokiej piersi, chronił ją przed upadkiem z grzbietu swojego nowego wierzchowca.

Nie była w stanie ani docenić tej wyjątkowej troski, ani nawet rozczulić się, że wreszcie wylądowała w ramionach pięknego rycerza, co prawda podróżującego na orle, a nie na koniu, ale kto by się przejmował drobiazgami. Za bardzo była wściekła na Wrota. Mogła przewidzieć, że tak się to skończy: chcą się dogadać, zawrzeć sojusz, ale jak przyjdzie co do czego, to zostawiają ją w niebezpiecznej sytuacji bez pomocy. Co prawda pojawił się w końcu Ulk, ale gdyby głupie wierzeje wzięły pod uwagę, co się może stać przy zademonianiu orła, mogłyby od razu wziąć ze sobą wojownika i oszczędzić królownie stresów.

Kiedy wreszcie orzeł wylądował, Ulk zeskoczył z jego grzbietu i pomógł zejść królownie.

Poczuwszy pod nogami stały, nisko położony grunt, Salianka zdecydowała się wydać z siebie głos.

– Niech to ptaszysko się stąd wynosi – warknęła, rozglądając się nerwowo. – Zaraz wszyscy przybiegną je oglądać i pytać, co ja mam z tym wspólnego. Wynocha, obaj, ale już!

– Ma rację, Płomiennoskrzydły. – Ulk pogłaskał orła po szyi. – Wezwę cię, przyjacielu, gdy nadejdzie potrzeba.

Ptak wzbił się w powietrze i odleciał ku Białym Szczytom. Ulk patrzył za nim przez chwilę, zadowolony z nowego towarzysza, po czym zakręcił mieczem i zmienił się w Gawarka. Ukrywający się dotąd Pazur postanowił wyjść zza cokołu. Podeszedł ostrożnym, przycajonym krokiem, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Niepewnie polizał pana po rękę.

– Mogłabyś mi przynajmniej podziękować za ratunek – natarczywie zwrócił Saliance uwagę książę.

– Przecież to nie ty mnie uratowałeś, tylko wielki wojownik Ulk – przypomniała z przekąsem królowna.

Gawarek prychnął.

– I jeszcze do tego mnie okłamałaś. Ty wcale nie jesteś wielką czarodziejką. Jesteś zwykłą wieśniaczką i nie potrafisz mnie zmienić w żabę.

Salianka westchnęła z irytacją. Miała dość wszystkiego, zwłaszcza Wrót, które nie otwierają się, kiedy są naprawdę potrzebne, i nadętych bufonów, którzy jeszcze przed chwilą byli całkiem miłymi bohaterami. Wskutek jej niezadowolenia zabłąkane pod żywoplotem wiadro z mydlinami do czyszczenia posągów poderwało się nagle i wylało całą swoją zawartość księciu na głowę, na koniec samo na nią wpadło. Królowna zabrała miotłę i odeszła w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Pierwszą osobą, jaką spotkała wychodząca z ogrodu królowa, była ochmistrzyni, która natychmiast zapędziła ją z powrotem do sprzątania wszystkiego, i to naprawdę na solidny błysk, z okazji zbliżającej się wizyty najwyższej rangi państwowej, jakiegoś niesamowicie ważnego hrabiego przybywającego z misją dyplomatyczną z Ujścia.

Pierwszą osobą, jaką zobaczył książę, kiedy wreszcie ściągnął z głowy wiadro, był król, który wygłosił pogadankę o zachowywaniu się, jak na następcę tronu przystało. Zaapelował do Gawarkowego honoru i poczucia przyzwoitości i wyraził nadzieję na poprawę postępowania jedynaka przed wizytą hrabiego z bratniego kraju.

Rozdział 2

Kilka kolejnych dni było wyjątkowo ciężkich dla wszystkich. Po całym pałacu pętało się mnóstwo służby czyszczącej co popadnie. Czyjaś ustawiczna obecność zmusiła Saliankę do rezygnacji z czarów i polerowania wszystkich poręczy ręcznie, co jej wcale nie ucieszyło. Ochmistrzyni zaczęła się poważnie martwić spadkiem formy swojej najpracowitszej i najwydajniejszej sprzątaczką, przez co nabawiła się wrzodów na żołądku. Król postanowił wziąć się za księcia, który w związku z tym musiał całe dni spędzać, ćwicząc ceremoniał dworski, maniery, a także błyskotliwe i dowcipne riposty. Gawarek notorycznie przysypiał na lekcjach, a jak nie spał, to ustawicznie ziewał z nudów. Pazur był nieszczęśliwy, bo jego pan albo był nieobecny, albo spał, a królowna była albo zajęta szorowaniem czegoś, albo zbyt zmęczona, żeby podrapać psa za uszami.

Nawet ludzie w wioskach Dolin odczuwali ciężar tych dni, choć bardziej od wizyty posła obchodziło ich, że za każdym razem, gdy potrzebowali ratunku, musieli czekać, aż wielki wojownik Ulk chyłkiem wymknie się z lekcji dobrego wychowania, przekradnie między pokojówkami i wreszcie dotrze na miejsce, żeby w końcu udzielić im pomocy.

Kiedy hrabia z Ujścia wreszcie przyjechał, pałac lśnił, książę nie był w stanie wydobyć z siebie nic poza błyskotliwymi i dowcipnymi ripostami, a wykończona Salianka z twarzą wtuloną w grzbiet Pazura ukradkiem przysypiała schowana za gobelinem przedstawiającym bohaterskie czyny któregoś z przodków Gawarka.

Przybycie hrabiego, oczekiwanego przez dwór, ale już znieubianego przez wszystkie wycieńczone posługaczki, zaanonsowały fanfary, na których dźwięk cała dopułowująca coś w ostatniej chwili służba zerwała się na nogi i pochowała po kątach. Straszliwa kakofonia obudziła też królową i psa. Oboje ziewnęli straszliwie, z trudem otworzyli zaspane oczęta, półprzytomnie wypełzli spod gobelinu i oddalili się: Pazur na swoje miejsce przy boku księcia, Salianka odnieść wiadro i szmatę na miejsce.

Hrabia wyglądał godnie i dostojnie. Jechał na białym koniu, prezentując zachwyconej gawiedzi dumnie wzniesiony podbródek i szatę lśniącą od zdobień. Towarzyszył mu orszak złożony z dziesięciu zbrojnych, sekretarza i osobistego sługi Bolurka.

Król, królowa i książę powitali wyczekiwanego gościa godnie w sali tronowej. Gawarek przy pierwszej okazji rzucił błyskotliwą i dowcipną ripostę.

Hrabia okazał się całkiem miłym człowiekiem, dyskretnie milczącym na temat prawdziwych powodów wizyty, za co król był mu niewymownie wdzięczny. Nie zdążył jeszcze uprzedzić żony, syna, ani nawet szambelana o swoim wspaniałym planie i obawiał się, że mogliby źle zareagować, gdyby dowiedzieli się zniechęca.

Tymczasem pod oknami sali tronowej przemykała właśnie Salianka, zasapana, przepracowana, z dłońmi czerwonymi od szorowania schodów i spódnicą wytartą od klęczenia na twardej posadzce. Starła się nie rzucać nikomu w oczy i tak była tym zajęta, że nie patrzyła, gdzie idzie. Wychodząc zza rogu, królowna wpadła prosto na służbę hrabiego. Spojrzała na niego, przeprosiła i odeszła pospiesznie, krokiem może odrobinę szybszym niż zwykle.

Sługa hrabiego był wielki, prawie tak szeroki w barach jak Ulk, tyle że zamiast mięśni miał tłuszcz. Małe, kaprawe oczka kryły się pod wielkimi, obfitymi brwiami. Nochal miał szeroki i czerwony. Nic w wyglądzie pokojowca nie zdradzało inteligencji, zresztą i tak jej nie posiadał. Miał za to swój rozumek, który mówił mu, że cicha i robotna dziewczyna to dokładnie to, czego on potrzebuje.

I tak Bolurek, służa hrabiego, zakochał się w Saliance, posługaczce z zamku, wcześniej królownie z Twierdzy.

Tegoż wieczoru, zabierając do czyszczenia buty swego pana, Bolurek wzdychał tak straszliwie, że aż pan hrabia, któremu te westchnienia przeszkadzały w myśleniu, raczył zapytać, o co, u diabła, chodzi.

– Miłość mnie zre – odrzekł służa, wzdychając po raz kolejny głęboko i z bólem.

Hrabia wyraził zainteresowanie, więc Bolurek opowiedział mu o pracowitym aniele, którego wypatrzył na korytarzach, a opowiadając, wzdychał tak straszliwie, że aż baldachim nad łóżkiem pana hrabiego łopotał jak w czasie wichury.

Następnego dnia, podczas nieoficjalnego śniadanka, na którym hrabia z królem omawiali wspólne, tajne plany, nad jedną z zaledwie dwudziestu pięciu potraw, stało się tak, że z czystej dobroci serca, a także w nadziei, że taki mariażyk dostarczy tematu na smaczną anegdotkę, gość opowiedział królowi o zmartwieniu Bolurka i wyraził nadzieję, że może rzeczona niewiasta jest wolna i skłonna spojrzeć przychylnym okiem na hrabiowskiego służę. Królowa wzruszyła ta troska o podwładnych, a do tego pałał chęcią zacieśnienia stosunków z Ujściem choćby na stopniu warstw niższych, toteż niezwłocznie wezwał ochmistrzą i polecił jej wywiedzieć się, na kogo zerka przychylnie oko owej posługaczki i czy przypadkiem nie na Bolurka. Ochmistrzą skłoniła się nisko, opuściła komnatę, gdzie król i hrabia spożywali śniadanko, i ruszyła na obchód zamku. Ziewającą Saliankę przydybała przy szorowaniu parapetów.

– Z rozkazu króla wyjdiesz za mąż za Bolurka, służę hrabiego – oznajmiła. – Ogarnij się i idź przyjąć oświadczyń.

Odeszła, zostawiając brutalnie i całkowicie obudzoną królową z mokrą szmatą w ręku,

otwartymi ustami i w ciężkim szoku. Ledwo ochmistrzyni się oddaliła, Salianka porzuciła szmatę, wiadro i mokre schody i ruszyła dobijać się do książęcej sypialni. Obiła sobie dłonie, ale nic nie zyskała, bo książę sen miał wyjątkowo mocny i nie obudził się nawet, gdy zaniepokojony dochodzącymi z korytarza dźwiękami Pazur zaczął go szturchać łapą. Królowna zniechęcona brakiem rezultatów zrezygnowała z mało subtelnego pukania. Odstąpiła o krok i skupiła się najmocniej jak potrafiła. W końcu miała do czynienia z przedmiotem martwym, taką trochę większą szmatą, wystarczy bardziej się zmobilizować i na pewno się otworzą. Umysł Salianki miał w tej chwili siłę tarana, więc już po chwili drzwi do książęcej sypialni otworzyły się z rozmachem pchnięte jej wolą. Pazur pisnął i ze strachu usiłował schować się pod swojego pana, który nawet nie raczył zmienić tonacji pochrapywania.

Królowna zamierzała wpaść do komnaty niczym burza, ale poślizgnęła się na posadzce, którą osobiście poprzedniego dnia pucowała na błysk.

Pies księcia został zrzucony z łóżka. Szczeknął z pretensją, ale ona tylko na niego prychnęła. Książę sen miał mocny, ale Salianka była brutalna. Ściągnęła z niego kołdrę, zepchnęła go na ziemię i połała zimnym mlekiem, które piastunka zostawiła wieczorem przy łóżku.

– Wstawaj, głupku! – wrzasnęła mu nad uchem.

Książę otworzył oczy i starł mleko z twarzy. Spojrzał w górę, na łóżko i zdenerwowaną dziewczynę, wciąż dzierżącą w ręku puste naczynie. Wyglądała, jakby miała nim w księcia zaraz cisnąć.

– Czego? – zapytał uprzejmym, choć trochę zaspanym głosem.

– Chcą mnie wydać za mąż za jakiegoś sługę hrabiego. Z woli króla!!! I ja podobno nie mam nic do gadania! – poskarżyła się.

– Nie masz – potwierdził książę. – To honor dla nędznej posługaczki, że sam władca troszczy się o jej przyszłość. Byłoby straszliwym nietaktem odmówić.

Królowna pochyliła się i chwyciła go za koszulę.

– Lepiej dla ciebie, głupku, żebym nie musiała odmawiać. Bo jak się zdenerwuję, to zmienię się w wielką czarodziejkę, wściekłą wielką czarodziejkę, i cały zamek pójdzie z dymem! Wymyśl coś!

Gawarek spojrział jej w oczy i natychmiast zdecydował się potraktować groźbę poważnie. Z wysiłkiem odczepił dłonie dziewczyny od swojej koszuli i niechętnie wstał z podłogi.

– Dobra, już myślę – powiedział ugodowo, zmierzając do wyjścia.

Cięśnięty przez królownę kubek rozbił się o zamykające się za księciem drzwi.

* * *

Gawarek znalazł ojca zajętego rządzeniem. Widok zaspanego syna w koszuli nocnej

oderwał jednak króla od spraw państwowych.

– Witaj, ojcze... – Księżę ziewnął szeroko. – Podobno w swej łaskawości chcesz wydać jedną z dziewczek służących za sługę hrabiego. Chciałem ci powiedzieć, że nie powinienes.

Król nie wy dobył z siebie ani słowa, ale uniósł lekko brwi. Pytająco.

– Mam z nią romans – wyjaśnił Gawarek, tłumiąc kolejne ziewnięcie. – Więc jej ślub byłby mi trochę nie na rękę. Dzięki za zrozumienie, tato. – Uznawszy sprawę za załatwioną, przeciągnął się i wyszedł z komnaty.

Przez całą drogę do sypialni ziewał okrutnie, strasząc służbę widokiem swoich powiększonych migdałków, a kiedy wreszcie dotarł do własnego łóżka, zwałił się na nie i przykrył aż po czubek głowy.

– No i? – zapytała chodząca nerwowo po pokoju Salianka.

Księżę wystawił nos spod kołdry.

– Załatwione. Powiedziałem, że mam z tobą romans.

Królewnę zatkalo.

– Że jak?! – wrzasnęła, czerwieniejąc z oburzenia. Mało ją obchodziło, czy jej reputacja została takim oświadczeniem nadszarpnięta. Jeśli miało to załatwić sprawę zamążpójścia, to niech ją posądzają o romans, proszę bardzo. Ale nie z tym bufonem!!! Przecież, do wszystkich diabłów, stać ją chyba na coś więcej?

– Dobranoc – mruknął Gawarek spod przykrycia i zasnął.

Salianka postąa jeszcze chwilę, zaciskając pięści, a potem wyszła, trzaskając drzwiami. Z nosem przy jej kolanie szedł grzecznie Pazur, który od jakiegoś czasu czuł się zaniedbywany przez księcia i coraz więcej uczuć lokował w królewnie.

Król, ciągle osłupiały z wrażenia, miał uczucie, że milczenie nie jest właściwą reakcją na oświadczenie syna. Dlatego porzucił sprawy państwowe na dobre, żeby udać się za Gawarkiem. Doszedł do jego sypialni akurat wtedy, gdy z hukiem opuszczała ją królewna z wysuniętym do przodu podbródkiem i ogniem w oczach. Nie zauważyła króla i tupiąc wściekle, odeszła korytarzem w przeciwnym kierunku. Pazur go zauważył, ale tylko przelotnie zamerdał ogonem.

Król osłupiał jeszcze bardziej.

Po pierwsze, w takim porządnym królestwie jak Doliny księżę nie powinien mieć romansu ze służącą.

Po drugie, skoro już miał romans ze służącą, to dlaczego nie z którąś z tych ładniejszych.

Po trzecie, w żadnym wypadku ta służąca nie powinna wyjść za sługę hrabiego.

Po czwarte, trzeba jakoś ten skandal ukryć.

Po piąte, hrabia przyjechał, żeby uzgodnić ewentualny mariaż Gawarka z księżniczką z Ujścia, co nagle stało się bardzo skomplikowane.

Po szóste, księżniczka miała wpaść z niezobowiązującą, ale znaczącą wizytą za tydzień.

Po siódme, królowi zabrakło sił w nogach i usiadł na podłodze.

Salianka, wymknąwszy się z pałacu, znalazła sobie najbardziej zarośnięty kąt ogrodu i tam położyła się na trawie i zapatrzyła w błękitne niebo. Miała nadzieję, że to ją trochę uspokoi, ale niebo jak na złość miało tego dnia dokładnie ten odcień co oczy Gawarka, więc królowna, zamiast się relaksować, zgrzytała zębami.

Na świecie było dużo innych mężczyzn, nie wiadomo dokładnie ilu, ale dużo, Salianka była tego pewna. Wolałaby już, żeby po całym świecie rozgłoszono, że romansuje z Ulkiem, nawet jeśli miało to oznaczać niewygodne pytania i zwrócenie na siebie niepotrzebnej uwagi, ale nie z księciem! Zadawanie się z takim nadętym kogucikiem było poniżej jej godności.

Nieliczne chmurki przemykały po błękitnym niebie, Pazur przysypiał z głową złożoną na brzuchu Salianki, a ona sama gotowała się w środku z wściekłości, która dodatkowo wzrastała, jak tylko królowna przypomniła sobie, że na dodatek ostatnie kilka dni spędziła, własnoręcznie szorując parapety, kolumny i posągi, a to wszystko oczywiście za sprawą Gawarka, który przywłókł ją do tego królestwa.

Właśnie tę chwilę wybrały sobie Wrota, żeby zgłosić pretensję.

Mogłaś przeżyć wspaniały romans, powiedziały z wyrzutem. Wcale nie musiałabyś w końcu za tego służyć wychodzić, a przynajmniej by się coś działo.

– A niby nic się nie dzieje? Sprzątanie wam nie zapewnia wystarczającej rozrywki? – zgrzytnęła zębami Salianka. – Nie mam zamiaru romansować z jakimś posługaczem ani tym bardziej go poślubiać!!! Niech wam nawet nie przyjdzie do głowy coś w tej sprawie robić! Poza tym to moje ciało, a wy jesteście tylko dzikimi lokatorami. Nawet nie lokatorami. Karaluchami! Nie macie nic do gadania!

Śpiący dotąd spokojnie Pazur otworzył oczy i spojrzał czujnie na mówiącą do siebie dziewczynę.

Nie przesadzaj, łagodziły Wrota.

– Co mam nie przesadzać? Tak to jesteście chętni do otwierania się, do przeżywania czegoś, a jak nagle okazuje się, że jesteście potrzebne, to udajecie, że was nie ma!

Chodzi o orły na Białych Szczytach, domyśliły się Wrota.

– A o co innego? Poleciałyście sobie na wycieczkę, a potem, kiedy zrobiło się nieciekawie, po prostu się zamknęłyście.

Ulk cię uratował, przypomniwały.

– A może ja nie miałam ochoty być ratowana przez nadętego księcia, który ledwo obrósł w mięśnie, a już myśli, że jest bóstwem co najmniej.

Nie uratował cię księżę, tylko Ulk, sprostowały.

– Żadna różnica – burknęła królowna. Ulka nawet lubiła, to Gawarek ją złościł, ale w końcu byli jednym i tym samym.

Wrota westchnęły.

Otwierając nas nagle, możesz coś wypuścić.

– Co? – zainteresowała się Salianka.

*Demon*a, wyjaśniły niechętnie Wrota.

– Przecież wy to właśnie robicie. Wypuszczacie demony. W końcu jesteście Wrotami!

Nie każdy demon powinien być wypuszczony, szepnęły. Niektóre tylko czekają na szansę, żeby...

– Podbić świat? – domyśliła się królowna. To akurat nie było takie trudne do odgadnięcia.

Co tam świat, stwierdziły Wrota. Najgorzej byłoby, gdyby taki demon przeszedł przez nas, ale postanowił nie wychodzić z ciebie.

– Jak to nie wychodzić ze mnie? – warknęła Salianka. Przestraszony tonem jej głosu pies poderwał łeb. – Wtedy skończyłabym jak mój ojciec, tak? Jakby mało było, że paskudztwo wychodzi z piekieł przez was, jeszcze ja jestem po drodze!!! Co ja jestem, przedsiónek piekła?

Tak jakby, przyznały Wrota.

Królowna usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i zapatrzyła się przed siebie. Rozmyślała nad demonami takimi jak ten, który stał się Płomiennoskrzydłym. Nigdy wcześniej nie myślała o nich inaczej niż o tłumie bestii. A te bestie... miały twarze, każda inną. Każda miała też rozum i każda mogła być zagrożeniem.

– Mam nadzieję, że przynajmniej wycierają nogi przed wejściem – powiedziała po dłuższym milczeniu.

Nie wszystkie, pisnęły Wrota bardzo, ale to bardzo cichutko.

* * *

Trochę potrwało, nim król odzyskał władzę w nogach. Przewidywane komplikacje stosunków międzynarodowych przerosły go i przygniotły swoim ciężarem. Kiedy był już w stanie wstać, gromkim krzykiem wezwał do siebie szambelana i wszystko mu opowiedział. Ponieważ nic nie robi tak dobrze jak zrzucenie własnych problemów na kogoś innego, królowi od razu zrobiło się lepiej, a szambelan zaczął z nerwów obgryzać paznokcie.

Koło południa książę zdecydował się oficjalnie wstać. Otworzył swoje błękitne oczęta, ziewnął parę razy, zamlaskał i już był gotowy wyjść na spotkanie świata.

Mniej więcej w tym czasie uzalenie się nad sobą przerwało Saliance burczenie w brzuchu. Głód jakoś niezbyt jej pasował do aktualnego stanu ducha, ale niewrażliwe na subtelności dziewczęcej psychiki kiszki zaczynały grać coraz szybszego marsza. Królowna przerwała więc swoje żale i lamenty i powlokła się w stronę kuchni. Za nią żwawo i z radosnym zainteresowaniem podążał Pazur, któremu co prawda nic jeszcze w kiszkach nie grało, ale nie zamierzał opuścić nowej pani.

Tuż przed drzwiami do kuchni wlokąca się ze spuszczoną głową Salianka wpadła na Bolurka. Spojrzała w górę, dostrzegła rozlany po tłustej twarzy uśmiech, z niczym go sobie nie skojarzyła, więc tylko mruknęła „przepraszam, olaboga” i wyminęła sługę wlepijącego w

nią maślane spojrzenie. Za dziewczyną w podskokach wszedł do kuchni pies, pewny, że przekąska go nie ominie.

Zbliżała się pora obiadu i kuchnię wypełniały zapachy, które zarówno Pazur, jak i królowna wdychali z przyjemnością.

Ochmistrzyni osobiście czujnym okiem nadzorowała pracę kucharki i podkuchennych. Na widok Salianki zmarszczyła brwi. Na widok Pazura lekko zacisnęła wargi, ale nic nie powiedziała. W końcu był to pupil księcia. Za psem i dziewczyną do kuchni wszedł osło uśmiechnięty sługa hrabiego. Brwi ochmistrzyni zmarszczyły się bardziej. Stała nad rozglądającą się królowną i chrząknęła groźnie. Salianka zapatrzyła się na nią bezmyślnie. Ochmistrzyni chrząknęła drugi raz, zezując w stronę Bolurka. Królowna obejrzała się, popatrzyła na niego uważniej i, z oporami, przestała myśleć o jedzeniu, a zaczęła dedukować.

Zerknęła pytająco na ochmistrzynię, a ta energicznie pokiwała głową. Królowna westchnęła ponuro i dygnęła.

– Dziękuję waszmości za zaszczyt, jaki mnie ze strony waszmości spotkał – wyjęczała. – Niestety, nie mogę zostać żoną waszmości.

– Hyyy? – załamał się Bolurek.

– Co?! – warknęła ochmistrzyni. – Dlaczego?!

Salianka spojrzała na nią z ukosa. Chciała zjeść coś w spokoju, żeby z pełnym żołądkiem móc stawić czoła podłemu światu. Uniemożliwienie jej tego, połączone z domaganiem się jakichś głupich wyjaśnień, uważała za nietakt.

– Z przyczyn osobistych – oznajmiła. – Olaboga – dodała po chwili.

Bolurek zbladł, ugiął się pod ogromem swojej rozpacz i usiadł ciężko na ławie. Ochmistrzyni dla odmiany poczerwieniła, co współgrało w miły dla oka sposób z jej śnieżnobiałym strojem.

– Niewdzięczność! – wrzasnęła. – Sam król się zatroszczył! Taka niewdzięczność! Po czymś takim nie wiem, czy zagrzejesz tu miejsca.

– Bez łaski. – Królowna wzruszyła ramionami, odwróciła się i poszła sobie. A za nią pupil księcia.

* * *

Zaspany Gawarek wykonał poranną toaletę, przeszedł się po pałacu, pooglądał konie w stajni, popatrzył z murów, czy przypadkiem gdzieś nie dzieje się coś złego. Nie działo się. Księżciu zaczęło się nudzić. Nabral nawet ochoty na zabawę z psem, ale jakoś nigdzie nie było go widać. Ponieważ ostatnio Pazur często trzymał się Salianki, Gawarek wyruszył na poszukiwanie dziewczyny. Zajęło mu to trochę czasu. W porze obiadu drogą empiryczną doszedł do wniosku, że ani jej, ani Pazura nigdzie na zamku nie ma. Toteż wpadł do sali jadalnej z rozwianym włosem, wypiekami i rykiem:

– Gdzie Salianka?! Gdzie Pazur?!

Siadający do obiadu król, królowa i hrabia wzdrygnęli się nerwowo. Księżę zamilkł, żeby nabrać tchu.

– Kto? – zapytał z uprzejmym zainteresowaniem hrabia.

Król zrobił się nagle bardzo czerwony.

– Salianka – powtórzył zniecierpliwiony Gawarek, tym razem trochę ciszej. – Posługaczka. Pilnuje mojego psa, Pazura.

Król gwałtownie zaczął tracić kolorek. Królowa przyglądała mu się podejrzliwie.

– To przypadkiem nie ta, w której się zadurzył mój sługa? – skojarzył sobie hrabia.

Król znowu nabrał rumieńców.

– Ta sama – wtrącił szybko. – Niestety, nie zdążyłem jeszcze waszmości powiedzieć, okazało się, że ma jakiegoś wieśniaka w jednej z wsi.

– Tak? – osłupiał księżę. Król zgromił go wzrokiem.

– Niestety tak – kontynuował z desperacją. – Jak sami rozumiecie, nie mogę nieszczęsnej zmuszać do poślubienia waszego sługi.

– W pełni zrozumiałe – zgodził się hrabia.

– Wracając do tematu – przypomniał Gawarek – gdzie jest moja służąca z moim psem?

– Mój drogi, skąd my mamy to wiedzieć – wtrąciła królowa. – Siadaj, zjedz obiad. Potem zapytasz ochmistrzynię.

Księżę odwrócił się na pięcie i wybiegł z sali.

* * *

– Poszła sobie?! – ryknął Gawarek.

Podkuchenne z nerwów upuszczaly naczynia. Nie dość, że następca tronu osobiście pofatygował się w kuchenne pielesze, wzbudzając niezdrowe emocje wśród służby, to jeszcze wrzeszczał. Na ochmistrzynię.

– Wykazała się niewdzięcznością i brakiem manier – powiedziała niewzruszenie kobieta.

– Nie widziałam powodu, by ją zatrzymywać. Jeśli ukradła psa Waszej Wysokości, to tym bardziej okazała się niegodna służby w pałacu. Należałoby wysłać za nią strażę.

Księżę wziął dziesięć głębokich oddechów i zakrył sobie twarz dłonią. Spomiędzy palców lewe oko spoglądało złowrogo na ochmistrzynię. Powieka drgała nerwowo.

– Gdyby nie to, że takich rzeczy tu nie robimy, kazałbym cię ściąć – oznajmił uroczyście.

Wszystkie posługaczki zamarły, nastawiając uszu, ale Gawarek nie powiedział nic więcej i opuścił kuchnię, trzaskając wielkimi drzwiami.

Trzydzieści osiem par niewieścich oczu, należących do kucharek i podkuchennych, i jedenaście par oczu męskich, należących do kuchcików, wbiło spojrzenia w ochmistrzynię, która poczuła, że jej wrzody mają się doskonale i nadal rosną.

* * *

Drogi wychodzące z miasta były tak samo schludne i zadbane jak te wewnątrz murów. Szło się całkiem przyjemnie, przynajmniej dopóki trakt był prosty. Doszedłszy do rozstajów, królowna musiała sobie odpowiedzieć na pytanie „dokąd?”, które było o wiele trudniejsze niż pytanie „skąd?”. Przy rozchodzących się drogach leżał wielki kamień, na którym kiedyś ktoś narysował strzałki i opisał poszczególne kierunki. Było to na tyle dawno, że po strzałkach i literach zostały tylko niewyraźne kolorowe smugi. Saliance to nie przeszkadzało, bo i tak nie miała pojęcia, dokąd właściwie ma iść. Siadła na kamieniu, łokcie oparła na kolanach, a brodę na dłoniach i zapatrzyła się ponuro na rozstaje. Miała wrażenie, że życie każdego dnia robi się coraz bardziej skomplikowane, i to jej na złość. Pełen dobrych chęci Pazur przycupnął przed nią, zamerdał ogonem i próbował podać łapę.

– Powinieneś wracać do pałacu – powiedziała z goryczą Salianka. – Tam cię nakarmią, napoją i dadzą miękką poduszkę do spania. Życie wędrownego wagabundy, jakie ja będę teraz prowadzić, nie spodobałoby ci się. Mnie się, prawdę mówiąc, już nie podoba.

Pies zaskomlał cichutko.

– Masz rację – zgodziła się królowna. – Życie jest podłe.

Pazur nie patrzył już na nią, ale na niebo. Zaskomlał głośniejsz, a potem schował ogon pod siebie i przyczaił się za plecami Salianki. Królowna od razu mogła się zorientować, co psa tak zaniepokoiło, bo kurz wzbity w powietrze uderzeniami wielkich skrzydeł zaproszył jej oczy.

Kiedy tuman wreszcie opadł, Salianka podniosła załzawione od pyłu i czerwone od energicznego tarcia oczy na wielkiego wojownika Ulka i jego wspaniałego orła Płomiennoskrzydłego.

Ptaka wylądował dokładnie przed nią i skulonym za jej plecami psem. Trzeba było przyznać, że prezentował się naprawdę godnie. Pióra błyszcząły mu w słońcu, ostry dziób i szpony sprawiały takie wrażenie, że człowiek miał ochotę cofnąć się o krok, a najlepiej w ogóle wziąć nogi za pas. Jakby tego było mało, Płomiennoskrzydły jeszcze patrzył na królownę jak na potencjalną ofiarę. Na grzbiecie orła siedział Ulk z uniesioną dumnie brodą, a wietrzyk rozwiewał mu jasne włosy.

– Czego? – chciała wiedzieć królowna, ująwszy się hardo pod boki. Oczy ciągle jej łzawiły od nadmiaru kurzu.

Wielki wojownik zsiadł z grzbietu orła i podszedł do niej.

– Nie płacz – powiedział dobrotliwie.

– Odwal się – zaproponowała Salianka.

– Możesz wrócić do zamku – ciągnął Ulk, jakby rozmawiał z niesfornym dzieckiem. – Nikt cię nie będzie wydawał za męża. Będziesz mogła dalej sobie spokojnie żyć.

– I szorować posadzki? – warknęła królowna. – Polerować poręczę? Jęczeć „olaboga” w

co drugim zdaniu? Wysłuchiwać głupot wygłaszanych przez księcia i czekać, aż Wrotom przyjdzie ochota na rozrywki i wykopią mnie z mojego własnego ciała? Urocza perspektywa.

– Lepsze to, niż włóczyć się o pustym żołądku albo, co gorsza, trafić z powrotem do Twierdzy. Nie traktują tam dobrze więźniów, którzy próbowali ucieczki.

– Ja wcale... Zresztą nieważne. – Spuściła głowę. – Kiedyś nie byłam zadowolona z własnego życia. Miałam tylko trzy marzenia. Dwa wielkie: żyć i pozostać sobą, i jedno takie maleńkie: chciałam zobaczyć, jak wygląda świat poza Twierdzą. A teraz, im więcej wiem o tym świecie, im więcej dowiaduję się o sobie, tym bardziej jestem niezadowolona! A wcześniej też nie byłam zbyt szczęśliwa, więc teraz jest już tylko gorzej. I nie mam żadnego, ani jednego pomysłu, co zrobić, żeby było chociaż troszeczkę lepiej.

Wielki wojownik położył jej pocieszająco dłoń na ramieniu.

– Gdybyś została oficjalną opiekunką księżęcego psa, nie musiałabyś szorować podłóg. Drobną zmianą, ale na lepsze.

Królowna popatrzyła na niego badawczo. Na twarzy malował mu się wyraz pełnej życzliwości, tak sympatyczny, że aż denerwujący.

– Właściwie to tak – zgodziła się po chwili namysłu.

Ulk podał Saliance rękę i pomógł jej wstać.

– Wracajmy do pałacu – powiedział, uśmiechając się szeroko. Cieszyło go szczerze każde szczęśliwe zakończenie, choć w tym wypadku określenie „szczęśliwe” było wyjątkowo pojemne.

Królowna już miała pokiwać głową z lekką rezygnacją, ale nie było jej to dane. Na jednej z dochodzących do rozstajów dróg pojawił się obłok kurzu, z którego wygalopował przerażony jeździec na spanikowanym koniu. Obaj mieli przekrwione oczy i nozdrza drgały im nerwowo. Na widok gigantycznego orła siedzącego na środku drogi koń stanął dęba, zrzucił jeźdźca i zwiął do lasu. Jeździec poderwał się z ziemi i z okrzykiem „następny demon, olaboga” pobiegł za wierzchowcem.

– Następny demon? – Wielki wojownik zmarszczył brwi.

Oj, powiedziały cichutko Wrota.

– *Oj?* – powtórzyła podejrzliwie Salianka. – O, niech to, to pewnie ten, co ostatnio wylazł! – domyśliła się.

– Ostatnio?

– Na Białych Szczytach, kiedy Wrota odmieniły... odmieniła Płomiennoskrzydłego – wyjaśniła królowna. – Zamknęły... Zmieniła się we mnie wtedy tak nagle, bo coś chciało przez nie... to znaczy coś przywołała. A teraz myślę sobie, że może to był dodatkowy demon – dodała.

– Ten demon musi gnębić ludzi – stwierdził z powagą w głosie Ulk. – Trzeba się go pozbyć.

– Mus to mus – westchnęła Salianka.

– Ty nie idziesz – oznajmił wojownik. – To zbyt niebezpieczne, mogłoby ci się coś stać.

– Miło z twojej strony, że nie chcesz mnie narażać – powiedziała mocno zdziwiona królowna. Troska o nią jakoś nie pasowała do nadętego Gawarka. Z drugiej strony, tak właśnie powinien się zachowywać wspaniały bohater. – Ale jak bez mnie chcesz się pozbyć demona? Przecież... – zabrakło jej nagle argumentów. Nie mogła tak po prostu powiedzieć: wielka czarodziejka to jest tak naprawdę obdarzone świadomością przejście do piekieł.

– *Przecież sam wiesz* – wtrąciły się nagle same Wrota. – *Demoną trzeba odesłać. Jest tylko jeden sposób.*

One i wojownik mierzyli się przez chwilę wzrokiem, choć wydawało się, że Wrota patrzą nie na Ulka, ale na coś ukrytego za jego oczami.

– Niech będzie – zgodził się wreszcie niechętnie. – Ale masz się trzymać z tyłu i nie narażać.

– On wie? – szepnęła do Wrót z oburzeniem Salianka. – Przecież nic nie mówiłam Gawarkowi!!!

Ulk jest inteligentniejszy od Gawarka, stwierdziły wymijająco Wrota. *Zauważyliśmy, że się zaczął domyślać. Skoro tak, to nie ma sensu dłużej ukrywać prawdy.*

I wielki wojownik Ulk wyruszył na swoim orle Płomiennoskrzydłym zmierzyć się z demonem. Towarzyszyła mu była posługaczka, a jeszcze wcześniej królowna Salianka, nosząca w swoim umyśle Wrota.

Okolica z lotu ptaka wyglądała zajmująco, choć silny wiatr zmuszał do przymykania oczu. Królowna nie bez żalu zrezygnowała z podziwiania widoków.

Na znak bohatera orzeł zawrócił gwałtownie.

– Co jest? – zapytała.

– Znaleźliśmy demona – powiedział Ulk, nie spuszczać wzroku z jednego punktu w dole.

Salianka zamruwała kilkakrotnie, próbując pozbyć się czegoś gryzącego, co wpadło jej pod powieki. Dopiero po chwili była w stanie zobaczyć cokolwiek. Pod nimi rozpościerał się las, gęsty i zielony, jak zresztą wszystkie lasy w Dolinach. Im bliżej Twierdzy, tym drzewa były brzydsze, bardziej powykręcane, jakby zżerała je od wewnątrz trucizna sącząca się z siedziby zła wszelkiego. Wyglądało na to, że ta trucizna, za sprawą demona zapewne, przedostała się i tu, w pobliże Dolin. W jednym miejscu drzewa jakby wyłysiały. Tam gdzie jeszcze niedawno kipiała zieleń, teraz utworzyła się pusta, pokryta rdzawobrunatną trawą przestrzeń. A w samym jej środku ziała w ziemi czarna dziura. Ziała dosłownie, jakimś duszącym, brązowym dymem, którego opary przed chwilą wycisnęły z oczu królowny łzy.

– Paskudne – wzdrygnęła się królowna. – I to coś przeszło przeze mnie! Brrr! – zadrżała.

Paskudne, zgodziły się Wrota.

– Trzeba go było nie wypuszczać – wytknęła im szeptem Salianka. – Teraz się lepiej przygotujcie, żeby jeszcze coś nie wyszło, jak ten tu będzie wracać.

Przecież wiemy, obraziły się Wrota. *Brrrr!* – dodały, zerkając oczami królowny na siedzibę demona.

Płomiennoskrzydły wylądował łagodnie na zniszczonej ziemi. Gdy tylko Ulk i królowna zsiadli z jego grzbietu, wzbił się z powrotem w przestworza. Podmuch wywołany przez skrzydła strzepnął z kikutów drzew ostatnie rachityczne liście.

– A ten gdzie?! – zdenerwowała się Salianka. – Zostawia nas tu samych? A co jeśli trzeba będzie uciekać?

– Nie będziemy uciekać – stwierdził z mocą wojownik. – Pokonamy demona. Płomiennoskrzydły będzie czekał na nasz powrót, ale nie może tu zostać. To zbyt niebezpieczne. Zatruta ziemia mogłaby mu zaszkodzić.

Królowna popatrzyła na błękitne niebo, na którym orzeł był tylko małą plamką, a potem na rdzawy, brzydki grunt pod nogami. Skoro stanie na nim mogło zaszkodzić takiemu wielkiemu ptaszysku, to z pewnością mogło zaszkodzić i jej. A ona sama zgłosiła się do udziału w tej wyprawie. Poczula nagle, że ma w żołądku wielką kulę.

– Słabo mi – jęknęła.

– To przez te opary. – Ulk pochylił się nad wyrwą w ziemi. – Tam czai się bestia.

Ostrożnie zrobił jeden krok, potem następny. Im niżej schodził, tym mniej wyraźnie widziała jego umięśnioną sylwetkę. Po chwili brązowy dym skrył go całkowicie. Salianka została sama, co wcale jej się nie spodobało.

– Teraz jest dobry moment, żebyście się otworzyły – powiedziała Wrotom.

Jeszcze za wcześnie, odparły.

Nieszczęsnej, niezadowolonej z życia, zwłaszcza własnego, królownie pozostało tylko iść za wojownikiem w ziejącą oparami jaskinię. Co też uczyniła, zamknąwszy oczy i zakrywszy twarz rękawem. Dym wdzierał jej się pod powieki i do gardła, gryzł i dusił. Od razu było widać, że paskudztwo, które go wyprodukowało, musiało przyjść z piekieł co najmniej.

Salianka nie patrzyła pod nogi, toteż nie zrobiła nawet pięciu kroków i już się przewróciła. Prosto w ciemny, ponury otwór. A jak już się przewróciła, to wcale nie została tam, gdzie padła, to byłoby za proste. Brzegi jamy były pochyłe, więc zaraz zaczęła się po nich osuwać.

Tocząc się w głąb jaskini, Salianka w panice otworzyła oczy. Na moment. Zaraz je zamknęła. Z dwojga złego wolała już nie widzieć ostrych krawędzi kamieni, które zapewne lada chwila rozłupią jej głowę na co najmniej dwie części.

Wbrew własnym, całkowicie uzasadnionym obawom nie zabiła się jednak. Ulk, jak na wielkiego bohatera przystało, wystawił swe mocarne ramię, by złapać ją w ostatniej chwili. Królowna, poczuwszy, że nie toczy się już z dużą prędkością ku zagładzie, zaryzykowała ponowne otwarcie oczu. Nie był to najlepszy pomysł, bo przepaść znajdowała się trzy centymetry od niej, a z przepaści wydobywał się gryzący brunatny dym. Salianka wydała z siebie paniczne kwiknięcie i wczepiła się palcami w obejmujące ją Ulkowe ramię.

- Uciekajmy – poprosiła zdławionym głosem, ale za to z całego serca.
- To tylko demon – przypomniał wojownik. – Nie pozwolimy mu się zastraszyć.
- Tylko demon – powtórzyła królowna.

Jakoś wcale jej to nie uspokajało. Demony wybiegały przez otwarte niespodziewanie Wrota. Niespodziewanie... na przykład przez błyskawicę. Coś jej zaświtało w głowie, mimo że okoliczności sprzyjały panikowaniu, a nie logicznemu myśleniu.

– To wszystko, co działo się, kiedy nagle zostawałyście otwarte, te zniszczenia, ludzie, którzy ginęli, to nie byliście wy, prawda? – zapytała bezgłośnie. – To były wychodzące demony.

Wrota przytaknęły.

– Świetnie, po prostu świetnie – zmartwiła się Salianka, naprawdę porządnie się zmartwiła.

Ulk dojrzał pomiędzy oparami wąską ścieżkę prowadzącą wzdłuż poszarpanego urwiska. Brunatny dym ograniczał widoczność, ale jemu to nie przeszkadzało. Bez wahania ruszył w dół. Parę kamyczków potrąconych jego wielką stopą spadło w przepaść. Królowna czekała i czekała, ale nie usłyszała uderzenia o podłoże.

– Może teraz? – zaproponowała Wrotom.

Jeszcze nie, odpowiedziały.

Wojownik, już prawie całkiem zatopiony w brązowych oparach, odwrócił się i wyciągnął do niej rękę. Saliance nie pozostawało nic innego, jak ująć podaną dłoń i pójść za nim na dno. O ile oczywiście istniało w ogóle jakieś dno. Osobiście królowna była zdania, że jama nie ma końca i będą w nią schodzić do końca świata, dusząc się dymem. Ale nawet schodzenie przez wieczność po poszarpanym zboczu w towarzystwie Ulka było lepsze od pozostania na tym zboczu samotnie.

Ścieżka była nie tylko wąska, ale i nierówna. Szli dość długo, a wredne kamyczki uciekały im spod stóp. Wydawało się, że całe urwisko czeka tylko, aż ktoś na nie wejdzie, żeby móc go przysypać. Najpierw z góry leciał na nich piasek, potem żwir. W pewnym momencie gdzieś wysoko oderwał się naprawdę wielki głaz. Słyszeli, jak spada. Coraz bliżej i bliżej. Na głowy posypały im się drobne odłamki, potem trochę większe, a potem królowna w panice zrobiła krok do tyłu i wypuściła dłoń wojownika.

Jakimś cudem udało jej się nie spaść. Głaz przeleciał obok, nie dotykając jej nawet. Nie zwróciła na to uwagi zajęta uporczywym wpatrywaniem się w opary przed sobą w nadziei, że rozstąpią się i pojawi się Ulk. Albo cokolwiek. Nie, może lepiej nie cokolwiek. Ulk.

Salianka czekała i czekała, ale nic się nie działo. Bała się wyciągnąć przed siebie rękę, sięgnąć w brunatny dym i dotknąć czegokolwiek, co nie byłoby Ulkiem. Usłużna wyobraźnia dziewczyny podpowiadała, że to pewnie odgłosy walki połączonej z wypruwaniem flaków.

– Może jednak – zaproponowała w desperacji Wrotom.

No... – zastanowiły się.

– Już! – wrzasnęła, aż się echo poniosło. Wydawało jej się, że albo Wrota się wreszcie otworzą, albo ona zrobi coś naprawdę głupiego. Nie była pewna, co konkretnie, ale rzucenie się w przepaść było jedną z możliwości.

Dobrze, niech ci będzie, zgodziły się Wrota.

Wypchnięcie na samo obrzeże swojego umysłu Salianka po raz pierwszy przyjęła z dużą, naprawdę dużą ulgą.

„Ale nic nowego teraz przez was nie wyleci?” – upewniła się gwałtownie tknięta straszną myślą.

– *Pilnowaliśmy* – odparły Wrota, wkładając swoją maskę. – *Po drugiej stronie nas nie ma żadnych demonów.*

Oderwały stopy od ścieżki. Lecąc, rozgarniały dłońmi opary, jakby to były zasłony. Podążały w miejsce, skąd dobiegały dźwięki. A zdawały się dochodzić z dna jamy. Ciało królowny zanurkowało głową w dół. Gdy Wrota leciały, dym rozstępował się gwałtownie tuż przed nimi. W ostatniej chwili uniknęły zderzenia czołowego z gruntem, który pojawił się tuż przed ich nosem.

Odgłosy były blisko, coraz bliżej. Wrota podążały ku nim, aż wreszcie dostrzegły Ulka zmagającego się z demonem.

Królowna wydała z siebie pisk i schowała się w swoim umyśle najgłębiej i przy okazji najdalej od swoich oczu jak tylko mogła. Nie chciała patrzeć na demona, a zwłaszcza przypominać sobie, że po drodze do Wrót to paskudztwo będzie musiało przejść przez nią.

Wrota, obdarzone mniej wrażliwym zmysłem estetycznym, patrzyły bez odrazy, chociaż ze zniechęceniem.

Demon był dwa razy większy od Ulka. Brudnobrązowy, zlewał się z dymem wylatującym przez coś na kształt komina, co miał na plecach. Morda wyglądała jak przewrócona na lewą stronę przyssawka pijawki. Łapy lepiły się od smoły. Patrząc na niego, miało się ochotę zatkać nos, zanim jeszcze do człowieka dotarł smród.

Oprócz tego rzucało się w oczy, że wojownik odrobinę, ale jednak przegrywał. Maż oblepiała mu nogi, dym odbierał dech, z trudnością odpierał ciosy ogromnych łap wyposażonych w ostre szpony.

Wrota podleciały bliżej, tuż za plecy demona. Opary z komina trafiły je prosto w twarz, powodując nagły i gwałtowny atak kaszlu.

Ulk zauważył wielką czarodziejkę unoszącą się w powietrzu za jego przeciwnikiem, pokasłującą i jednocześnie dającą mu jakieś znaki. Demon też coś usłyszał i odwrócił się czymś, co można ostatecznie określić jako twarz, do Wrót. Pokazał przy tym w całej okazałości swoje zęby wyrastające kolistnie wokół otworu gębowego, z którego straszliwie śmierdziało.

Salianka, która właśnie tę chwilę wybrała sobie, żeby zerknąć, zaczęła wyc. Metaforycznie rzecz ujmując, skuliła się, zacisnęła powieki i zatkała dłońmi uszy, zawodząc

przy tym rozpaczliwie.

Wrota doszły do wniosku, że nie jest przyjemnie, jak ktoś ci wyje wewnątrz umysłu.

Demon zapatrzył się na Wrota. Zanim skojarzył, czym naprawdę jest drobna postać w masce, było już za późno. Ulk zebrał wszystkie siły i pchnął go prosto na ciało Saliarki. Prosto na drugą stronę Wrót.

Przez dłonie, którymi zakrywała uszy, królowna usłyszała swój własny krzyk odbijający się echem po wnętrzu rozpadliny. Ostrożnie otworzyła oczy. Widziała trochę dziwnie. Dopiero po chwili zorientowała się, że to przez maskę. Zdjęła ją, przestała się kulić i wstała. Dym powoli zniknął, odsłaniając skaliste podłoże i kaszłającego Ulka, który próbował pozbyć się oblepiającej go paskudnej brunatnej mazi. Demon wrócił do piekieł, zabierając ze sobą całą zgniliznę, jaką zatruwał okolicę.

Wielki wojownik przestał wreszcie kaszleć, rozejrzał się po pobojowisku i pełen satysfakcji z dobrze spełnionego obowiązku uśmiechnął do dziewczyny.

Saliarka, nieodrodna przedstawicielka gatunku królowien i księżniczek, rzuciła mu się na szyję. Jednak zamiast, jak nakazywałyby utrwalona w bajkach tradycja, obsypać wojownika pocałunkami, wpadła w histerię.

– Przeszło przeze mnie! – rozplakała się. – Takie obrzydliwe przeszło przeze mnie! To nie w porządku, ja chcę stąd iść!

Ponieważ zamiast zrealizować swój zamiar, stała w miejscu i tylko się trzęsła, Ulkowi nie pozostało nic innego, jak wynieść ją na powierzchnię. Troszkę to było trudne, bo zbocza były strome, a szlochająca dziewczyna stanowiła wyjątkowo nieporęczny pakunek. Ale jakoś ją z jamy wyniósł. Widok błękitnego nieba nie podziałał na Saliarkę kojąco, bo była zbyt zajęta wypłakiwaniem sobie oczu, żeby w ogóle cokolwiek zauważyć. Ulk mógł jedynie uspokajać roztrzęsioną królowną, dopóki nie przestała histeryzować.

– Won z łapami – powiedziała wtedy, odsuwając się od niego.

Wytarła rękawem policzki i ciągle jeszcze pociągając nosem, zaczęła podskakiwać i machać rękami. Wojownik przyglądał jej się mocno skonsternowany.

– Co się gapisz?! – zdenerwowała się Saliarka. – Zawołaj to swoje ptaszysko, żebyśmy wreszcie mogli się stąd wydostać.

Ulk posłusznie zagwizdał. Płomiennoskrzydły wylądował na polanie. Królowna wdrapała się samodzielnie na orli grzbiet i usiadła z godnością, wyprostowana i zapatrzona prosto przed siebie.

– Możemy lecieć – zezwoliła.

Przez całą drogę powrotną nie odzywała się ani słowem, nie ruszała się, gdyby nie to, że jednak oddychała, wojownik miałby wrażenie, że leci z nim posąg. Nie odważył się jednak nic powiedzieć, bo w ratowaniu niewiast nie miał dużego doświadczenia. Właściwie to jego przeżycia w tej dziedzinie ograniczały się tylko do Saliarki, która była niewiastą raczej nietypową. Z pewnością nie zachowywała się tak jak te w książkach. Zamiast wygłosić jakieś

podziękowania, ledwo Płomiennoskrzydły wylądował w pałacowych ogrodach, zeskoczyła z jego grzbietu i odmaszerowała. A raczej próbowała odmaszerować, w czym przeszkodził jej Pazur, szczęśliwy, że wrócili cali i zdrowi z wyprawy przeciw demonowi.

Ledwo Ulk zdążył odesłać Płomiennoskrzydłego i zmienić się w księcia, przykuśtykał szambelan.

– Ja-a-śnie Pa-a-aniczu – wydyszał – wszyscy Jaśnie Pa-a-anicza szukają! Toż to pora kolacji! Ich Wysokości i hrabia już siadają do stołu! A Panicza nigdzie nie mogliśmy znaleźć! – zakończył ze łzami w oczach.

– Bądź mężczyzną i nie rycz – poradził mu Gawarek. – Już idę na kolację. – Miał odejść, kiedy sobie o czymś przypomniał. – A, ta posługaczka – wskazał na głośzczącą psa Saliankę – jest od dzisiaj Opiekunką Książęcego Pupila. Jak mi ją ktoś zwolni albo co, to nie rękę za siebie. – Oddalił się z godnością.

Szambelan nieinteligentnie zapatrzył się na królową. Odpowiedziała mu spojrzeniem czystym i twardym jak diament.

– Mam mieć osobną komnatę – powiedziała. – I nie jadać z resztą służby. Rozkaz księcia – dodała, nie ukrywając jadownej satysfakcji. – Zapytaj go, to potwierdzi.

– Nie trzeba. – Szambelan otarł pot z czoła i poszedł wydać odpowiednie polecenia.

Przemierzywszy żwawym krokiem kilometry wypucowanych korytarzy, książę wkroczył do sali jadalnej. Od przeprawy z demonem zgłodniał nieziemsko, a wcześniej nie jadł obiadu.

– Gdzie byłeś? – jęknął król na widok syna. Nietakty popełniane przez ukochanego jedynaka stawiały pod znakiem zapytania wspaniałe rodzicielskie plany.

– Załamywałem się po stracie najlepszego przyjaciela – oznajmił beztrząsowo Gawarek. – Na szczęście wielki wojownik Ulk odnalazł i ocalił Pazura i posługaczkę.

Usiadł przy stole, skinął na służbę, by nałożono mu podwójną porcję wszystkiego, i z lubością patrzył na pęczniejący stos jedzenia na talerzu. Zawieszając chwilowo kanony dobrego wychowania, z pełnymi ustami zaczął zabawiać hrabiego opowieściami o wielkim wojowniku Ulku. Hrabia słuchał.

* * *

Oprócz pałacowej służby pucującej wszystko dzień i noc, tym razem przed wizytą księżniczki z Ujśła, męczył się też książę, którego z tej okazji ubrano w bardzo niewygodny i całkiem nienadający się do codziennego noszenia ostatni krzyk mody, czyli kryzę, pumpy, pantofle z wywiniętymi czubami i kilka innych niepraktycznych wynalazków odzieżowych, których nikt normalny i przy zdrowych zmysłach nie włożyłby dobrowolnie. Książę dumnie, choć z trudem obnosił się ze swoją elegancją. Tylko siniał coraz bardziej, bo kryza utrudniała oddychanie.

Nadszedł wreszcie dzień całkiem niezobowiązującej i w pełni towarzyskiej wizyty

księżniczki z Ujścia. Ta część służby, która nie padła jeszcze ze zmęczenia, zgromadziła się w rozmaitych punktach widokowych, aby podziwiać orszak legendarnej piękności. Tak samo jak rodzina królewska wraz z całą świtą, tyle że oni obserwowali dostojniej, bo na balkonie i pod baldachimem. Do świty jako Opiekunka Książęcego Pupila zaliczała się też Salianka. Stała cichutko w kącie oparta o balustradę, co rusz stając się celem podejrzliwych spojrzeń króla. Ten zaś od dnia, w którym Gawarek przyznał mu się do romansu, pracowicie wypatrywał oznak jakiegokolwiek niedyskrecji, ale Salianka i książę zachowywali się, musiał to przyznać, wzorowo. Zupełnie jakby wcale tego romansu nie mieli.

Orszak księżniczki, od chwili przekroczenia przełęczy doskonale widoczny dla obserwatorów, podążał drogą dostojnie i powoli. Cały dwór zebrany na głównym balkonie, jak i cała służba utkwili chciwe wrażeń spojrzenia w nadjeżdżających powozach, jakby z tej odległości mogli dostrzec wspaniałość legendarnych strojów. Przejazd księżniczki i jej eskorty przypominał bardziej paradę ku uciechu gawiedzi (w tym akurat przypadku była to w większości gawiedź o korzeniach arystokratycznych, ale gapiąca się tak samo jak stojące nieopodal pospólstwo). Napaść, niespodziewana i gwałtowna, w pierwszej chwili zdawała się być elementem przedstawienia. Banda uzbrojonych po zęby łupieżców zaatakowała jednocześnie z dwóch stron. Część świty księżniczki usiłowała uciec gdzie pieprz rośnie, ale zastępowali im drogę spragnieni rabunku napastnicy.

Odkąd w Dolinach pojawił się Ulk, dochody z rabunku karawan gwałtownie spadły, a koszty wypraw urosły. W związku z tym łupieżcy byli zdeterminowani, żeby ukraść jak najwięcej w możliwie jak najkrótszym czasie, zanim ten bęcwał spadnie z nieba na swoim ptaszydło. Takiej okazji jak kapiący dostatkiem orszak książęcy po prostu nie mogli przepuścić.

Na pałacowym balkonie zapanowało zamieszanie niemal równe temu na drodze. Królowa zemdląca i nikt nie zdążył jej złapać, bo stojący przy niej król i szambelan poczęli wyrywać sobie lunetkę. Damy dworu natychmiast poszły w ślady królowej, z tym że zadbały, by padać dokładnie w czyjeś ramiona. Książę posiniał jeszcze bardziej i uciekł z balkonu, szarpiąc za kryzę.

Stojąca odrobinę z boku i dzięki temu wolna od obowiązku mdlenia, wzdychania i brania udziału w ogólnej panice królowa poczuła, że po raz pierwszy jest naprawdę dumna ze swoich ludzi.

O, słyszymy Płomiennoskrzydłego, zauważyły Wrota.

Salianka odwróciła gwałtownie głowę. Z królewskiego ogrodu wylatywał właśnie ogromny orzeł, a na jego grzbiecie siedział wielki wojownik Ulk. Cały dwór był tak zajęty załamywaniem rąk i cuceniem omdlałych dam, że nie zauważyliby nawet, gdyby Płomiennoskrzydły wylądował im na głowach. Kiedy go wreszcie dostrzegli, nikomu nie przyszło do głowy, że wielki wojownik wyruszył na ratunek z najbliższego pałacowego zaułka.

Popatrzemy z bliska, zaproponowały Wrota i zanim królowna zdążyła wyrazić swoje zdanie na ten temat, jej ciało już opuściło balkon. Zeszło z niego normalnie, korzystając z nóg w sposób właściwy ludziom, ale gdy tylko wielka czarodziejka Wrota była pewna, że nikt na nią nie patrzy, założyła maskę i wzbija się w powietrze. Poszybowała za Płomiennoskrzydłym i dotarła na miejsce, akurat kiedy Ulk zaczynał młócić łupieżców.

Orszak księżniczki, wcześniej niewątpliwie wymuskany i zadbany, teraz przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Wozy ucierpiały od strzał i toporów, wywleczono z nich kufry, a z kufców całą zawartość, co się da rabując, a resztę porzucając wokoło. Ta reszta ucierpiała solidnie, gdy Płomiennoskrzydły runął z nieba, ziejąc ogniem na wrogów. Żołnierze mający strzec swojej pani potykali się o własne, modne, ale niewątpliwie niepraktyczne pantofle z wywiniętymi czubami, niektórzy dodatkowo usiłowali ugasić tłące się pióropusze. Pokojówki powpadały w histerię.

A pośród tego całego zamieszania skuta księżniczka Hilpa z Ujścia.

Z całą pewnością była piękna. Miała skórę białą jak śnieg, oczy błękitne jak szafiry i idealnie gładkie włosy barwy złota. Ubrana w jasnoniebieską suknię stała w malowniczej pozie, zachwyconym spojrzeniem spod zakręconych rzęs wodząc za, rzecz jasna, Ulkiem, który właśnie doskonale wymierzonym ciosem wybił komuś trzy zęby.

Wygląda na niedożywioną, zauważyła z niechęcią Salianka.

Wrota zawisły w powietrzu tuż nad ziemią, niedaleko pola walki. Poobserwowały chwilę potyczkę, obejrzały sobie księżniczkę i posłały małą błyskawicę w najbliższego łupieżcę.

„Zostaw moich ludzi!” – wściekła się królowna.

– *Co?* – zdziwiły się Wrota.

„Nie rób krzywdy moim łupieżcom”, powtórzyła z naciskiem Salianka.

– *Ale przecież... Wcześniej ci to nie przeszkadzało* – wytknęły bezradnie Wrota.

„Ale teraz przeszkadza”, warknęła królowna. Ten głupi mięśniak i tak ich pobije, nie musisz mu pomagać.

– *Dobra, niech ci będzie* – zgodziły się Wrota, słusznie uznając, że w głosie Salianki jest coś, co po prostu zniechęca do dalszych dyskusji.

Usiadły na dyszlu jednego z wozów i już tylko patrzyły z zainteresowaniem. Płomiennoskrzydły, który wcześniej poganiał swoimi szponami uciekających napastników, teraz wylądował obok Wrót i też patrzył. Wielki wojownik Ulk kończył spuszczać lanie złym ludziom. Ostatni łupieżcy odkuśtykali w kierunku Twierdzy popędzani przez żołnierzy z Ujścia, którzy nagle odzyskali inwencję, zdjęli niewygodne pantofle i zwarci i gotowi stanęli do walki z uciekającym przeciwnikiem.

Sytuacja została opanowana.

Pokojówki księżniczki przestały histeryzować. Zbiły się w rozchichotaną grupkę, nieśmiało rzucając zaciekawione spojrzenia na kształtny profil i umięśnione ramiona bohatera. Sama Hilpa powolnym, wystudiowanym gestem wyciągnęła skądś białą jedwabną

chusteczkę i niby to przypadkiem ją upuściła. Wrota i Płomiennoskrzydły zgodnie powiedli wzrokiem za chustką, która spokojnie i nader malowniczo opadała na piaszczystą drogę. Potem równie zgodnie spojrzeli na Ulka. Pokojówki też spojrzały na Ulka, tym razem śmielej i do tego wyczekująco. Wielki wojownik, który w ogóle nie zauważył chusteczki, bo zajęty był potrząsaniem ostatnim łupieżcą, poczuł na swoich plecach skumulowane spojrzenia licznej grupy. Odwrócił się zaskoczony i napotkał wzrok Wrót, orła i kilkunastu pokojówek. Zrobiło mu się trochę nieswojo i z tego wszystkiego wypuścił ostatniego łupieżcę, który pospiesznie odczołgał się w krzaczki.

– No co? – zapytał niepewnie Ulk. Miał niejasne wrażenie, że czegoś się od niego oczekuje, ale nie wiedział czego.

Pokojówki zbiły się w ciaśniejszą grupkę i zaczęły coś szeptać. Księżniczka uparcie stała w malowniczej pozie, patrząc na horyzont. U jej stóp biała chusteczka porastała kurzem. Ulk rozglądał się podejrzliwie.

Wrota, niemające szacunku dla konwencji, ulitowały się nad pełnym niezrozumienia bohaterem i skinęły dłonią. Na ich znak chusteczka księżniczki podniosła się z ziemi, otrzepała, po czym wyczekująco zawisła w powietrzu przed właścicielką.

– *Coś ci wypadło* – zauważyły beznamiętnie.

Księżniczka je zignorowała. Zachowywała się tak, jakby na całym pobojuwisku była tylko ona i wielki wojownik. Do tchnącej romantyzmem sceny brakowało tylko leśnych ptaszków wyśpiewujących serenadę. Prawdę mówiąc, jeden ptaszek wyjrzał z lasu, ale zanim zdążył wydobyć z siebie nastrojowy trel, oberwał ognistą kulką od Wrót. One same nie miały nic przeciwko ptactwu, bynajmniej. Zwyczajnie uległy szantażowi Salianki, która zagroziła, że jeśli ten ptak zacznie śpiewać, to ona zacznie wyć. A wycia Wrota doświadczyły raz i stanowczo nie miały ochoty na powtórkę.

Księżniczka nie zniechęciła się brakiem słodkiej serenady. Chwyciła chusteczkę, zrobiła kilka kroków i dramatycznym gestem wręczyła ją Ulkowi.

– Przyjmij ten dar – powiedziała, a raczej wydeklamowała dźwięcznym głosem. – Abyś zawsze pamiętał o mnie, Hilpie, tak jak ja będę zawsze pamiętała o tobie i zachowam cię w moim sercu. – Rzuciła mu spod opuszczonych rzęs spojrzenie tak zamglone, że wystarczyłoby tej mgły na obdzielenie kilku jesiennych wieczorów.

– Eee... dzięki – powiedział zakłopotany wojownik, biorąc chusteczkę. Był przyzwyczajony do okrzyków dziękczynnych, padania przed nim na kolana i rzucania mu się do stóp, ale pierwszy raz zetknął się z czysto arystokratycznym sposobem okazywania wdzięczności. Czuł się trochę głupio, zwłaszcza że był w pełni świadomy, że przez cały czas obserwują go Wrota. A razem z nimi Salianka.

Pokojówki zgodnie westchnęły. Księżniczka zamarła z rozmarzonym wzrokiem wbitym w twarz Ulka. Wojownik zmarszczył nos w konsternacji. Siedzące na dyszlu i lekko już znudzone Wrota chrząknęły.

– Musimy już iść – przypomniał sobie Ulk. – Odeskortujemy was do pałacu, na wszelki wypadek. – Pospiesznie wsiadł na grzbiet orła, chwycił Wrota i posadził je za sobą.

Pokojówki zaraz zaczęły coś między sobą szeptać, rzucając na czarodziejkę spojrzenia na przemian zawistne i zaciekawione. Krótco sobie tak patrzyły, bo zaraz Płomiennoskrzydły wzleciał w niebo z godnością, wywołując ogólny jęk podziwu. Nie jęczała tylko Hilpa, zajęta rzucaniem pełnych dramatyzmu pożegnalnych spojrzeń. Pojękiwali za to żołnierze, ale z innych powodów: pochłaniało ich wciąganie na stopy modnych pantofli z wywiniętymi czubami.

Z wysokości wojownik i czarodziejka obserwowali orszak, który błyskawicznie pozbierał porzucone przez uciekających łupy, zapakował je do tych skrzyń, które jeszcze nadawały się do użytku. Skrzynie załadowano na te wozy, które mogły jeszcze jechać. Nie potrwało to długo i już wkrótce świta księżniczki ruszyła do Dolin. Płomiennoskrzydły krążył nad miastem, sprawdzając, czy wszyscy dotarli bezpiecznie na miejsce, i dając tym samym dowód kojącej obecności bohatera. Nikt nie dostrzegł, że zataczając koło nad pałacem, orzeł pozbył się swojego dwuosobowego ciężaru. Wszyscy, łącznie z rozmarzoną księżniczką, odprowadzali ptaka wzrokiem, gdy odlatywał w stronę Białych Szczytów, a kilku co bardziej przedsiębiorczych bardów poczęło układać kolejne zwrotki o powrocie wielkiego wojownika do jego tajemniczej kryjówki. Tymczasem na jednym z ogrodowych tarasów Wrota zdjęły maskę i wróciły na kraniec umysłu królowy. Salianka wychyliła się przez balustradę, tak żeby zobaczyć Hilpę.

– Ona wygłasza mowę – jęknęła zde gustowana, wbijając w księżniczkę nienawistne spojrzenie. To nie w porządku, żeby ktoś, kto dopiero co przeżył napad bandytów, wyglądał tak elegancko i kwitnąco. – Z jedną ręką na sercu i drugą na czole.

Ulk stanął obok niej, zerkając w dół z zaciekawieniem. W dłoni wciąż miętosił otrzymaną w darze chusteczkę, niepewny, co ma z nią właściwie zrobić. Z daleka niewiele było słyhać, ale widzieli wszystko doskonale. Zwłaszcza omdlenie księżniczki, która upadła prosto na klomb z kwiatami, wyglądało szczególnie widowiskowo.

– Histeryczka – oceniła pogardliwie Salianka, odsuwając się od balustrady. – I do tego pozorantka. Musiała ćwiczyć w domu upadki, inaczej nie leżałaby tam tak malowniczo.

– Przestraszyła się po prostu – powiedział domyślnie Ulk.

– Akurat – prychnęła królowa. Nie życzyła sobie słyhać jakichś usprawiedliwień.

– Nie lubisz jej, bo jest księżniczką – stwierdził spokojnie wojownik, na swoje nieszczęście niemający wielkiego doświadczenia z zięjącymi zawiścią kobietami. – Zazdrość to niedobre uczucie – pouczył Saliankę.

– Ja miałabym jej zazdrościć?! – oburzenie prawie odebrało jej mowę.

– Przyznaj się, też chciałabyś być kimś wysokiego rodu – Ulk spróbował wykazać się zrozumieniem.

– Nie muszę chcieć być kimś, kim jestem! – odwarknęła, zaciskając dłonie w pięści,

jakby zaraz miała się na niego rzucić. – Dla twojej osobistej informacji: jestem królowną.

To wyznanie nie wywołało zamierzonego skutku. Wojownik przyjrzał jej się uważnie, raz, a potem drugi.

– No co? – zapytała, patrząc na niego spode łba.

– Nie obraż się – powiedział Ulk. – Ale nie wyglądasz na królownę.

Na taki graniczący z afrontem brak wiary Salianka obraziła się i zostawiła go bez słowa.

On ma rację, wtrąciły Wrota, kiedy maszerowała przez korytarze pałacu.

Królowna zatrzymała się gwałtownie, zaciskając pięści. W tej chwili nienawidziła całego świata, zwłaszcza księżniczek, które wyglądały bardziej księżniczkowo niż ona i tępych bohaterów, ślepych na oczywiste prawdy. Zaczekała, aż to wściekłe wrzenie gdzieś w jej wnętrzu trochę się uspokoi, na tyle, żeby nie pobiła pierwszej napotkanej osoby, a potem ruszyła do najbliższego lustra. Było jej niezbędne, żeby udowodnić całemu światu, a przede wszystkim sobie, że ani Ulk, ani Wrota nie mieli cienia racji. Zła i rozgoryczona Salianka pchnęła pierwsze lepsze drzwi, na które trafiła. Tak się złożyło, że za nimi był buduar królowej, do którego wszystkim poza Jej Wysokością i jej pokojówkami wstęp był wzbroniony. Wszelkie zakazy i implikacje ich nieprzestrzegania Salianki w tej chwili nie obchodziły. Gdyby ktoś ośmielił się wytknąć jej ich łamanie, sam musiałby stawić czoło bolesnym konsekwencjom.

Po uważnym obejrzeniu się ze wszystkich stron, zrobieniu kilku min i pokazaniu swojemu odbiciu języka królowna musiała przyznać, że Ulk i Wrota mieli rację. Nie przypominała prawdziwej dziedziczki tronu, a już zwłaszcza nie mogła się równać z Hilpą, wyglądającą jak urzeczywistnienie wszystkich bajkowych archetypów księżniczek, nawet jeśli blond włosy i błękitne oczy nie były obowiązkowe. Salianka miała zbyt wyrazisty nos, zbyt duże usta i zbyt mocno zarysowane kości policzkowe, żeby choć podawać się za piękność. Proste, ciężkie włosy splecione w nieciekawy warkocz nie dodawały jej urody. Tylko na figurę nie musiała narzekać, ale to było za mało. Nikt by jej nawet nie pomylił z królowną, prędzej, tak jak Gawarek, wziął za posługaczkę. Ta świadomość nie była przyjemna.

Jasne, Salianka miała oczy i od dawna, to znaczy od momentu, gdy zyskała świadomość, wiedziała, jak wygląda. Daleko jej było do legendarnych piękności, choć dotąd nigdy się tym nie przejmowała. Przede wszystkim miała mnóstwo innych zmartwień. Poza tym, jaki był sens przejmować się własną urodą, nawet jeśli pozostawia trochę do życzenia, kiedy żyło się w Twierdzy, gdzie od nikogo piękna ani zewnętrznego, ani wewnętrznego nie wymagano. W Twierdzy ceniono rzeczy praktyczne. Królowna miała być i tyle, równie dobrze można by ją było uznać za element umeblowania, nie potrzeba jej było do tego złotych loków i oczu jak gwiazdy. Miała przecież tylko nosić koronę, pilnować Wrót i się nie wtrącać. Ale na świecie żyły też księżniczki, które te złote loki i oczy jak gwiazdy po prostu miały od urodzenia i nikt na pewno nie pomyliłby ich w ich własnym zamku z wymęczoną niewolnicą. I na dodatek nie

nosiły w głowach Wrót do piekieł i nie musiały lękać się niebytu. To było tak niesprawiedliwe, że bardziej już nie mogło być. Jedyne, co Saliance przychodziło do głowy, to wyrównać tę niesprawiedliwość przynajmniej tam, gdzie to możliwe.

– Zróbcie coś – warknęła do Wrót.

Niby co? – zapytały nieufnie Wrota. Nie były pewne, czego ich Strażniczka chce, za to niepokoiły się jej stanem ducha, bardziej właściwym dla wybuchających wulkanów niż ludzi.

Królowna, dodatkowo zirytowana ich niechęcią do współpracy, warknęła jeszcze raz, tym razem bardziej do wszechświata jako takiego niż do kogoś konkretnego. Potem rozejrzała się po buduarze królowej. Oprócz lustra znajdowało się tam wiele interesujących przedmiotów, z których królowna postanowiła skorzystać.

Toaletka królowej zastawiona była różnymi flaszeczkami, pudreczkami, skrzyneczkami, których zawartość królowa uzupełniała raczej z obowiązku niż rzeczywistej potrzeby, bo sama urodą własną kwitła nieprzerwanie od lat. Jednak cały asortyment specyfików należał to tradycyjnego wystroju buduarów, a królowa była przywiązana do tradycji. W praktyce oznaczało to, że półeczki wokół lustra przypominały schludny i estetycznie opakowany warsztat alchemika, a Salianka miała naprawdę duży wybór.

Obejrzała uważnie każde pudreczko, każdą flaszeczkę, odstawiła to, co uznała za niepotrzebne, a resztę zgromadziła na blacie przed lustrem. Mając środki, przystąpiła do działania. Zaczęła od rozplecenia warkocza. Włosy rozsypały się łagodnymi falami na jej ramionach. Już to wystarczyło, żeby zaczęła wyglądać lepiej, ale królownie daleko było do uczucia zadowolenia. Nawinęła jeden kosmyk na palec i obejrzała dokładnie.

– Muszą być bardziej pokręcone – orzekła. – I przydałoby się kilka jaśniejszych pasemek. Takie niby-refleksy świetlne.

To było do nas? – zapytały uprzejmie Wrota.

– A niby do kogo? Coś takiego możecie chyba zrobić!

Możemy, zgodziły się łaskawie.

Po całym pałacu od kilku dni krążyły plotki o tym, jak księżniczka z Ujścia dba o swoją urodę. Kąpiel bierze tylko w mleku. Twarz myje tylko najdelikatniejszymi płatkami z najpiękniejszych kwiatów róży. W ciągu dnia drzemie pół godziny z chłodnymi okładami na twarzy i dłoniach. Używa tylko ręczników z jedwabiu, bo każdy inny materiał drażni jej delikatną skórę.

O tym wszystkim pamiętała Salianka, pudrując, malując i regulując. Wreszcie skończyła. Zebrała jeszcze lekko skręcone włosy, na których słońce zostawiało jaśniejsze refleksy, i związała je luźno wstążką. Potem odsunęła się o krok i przyjrzała swojemu odbiciu.

Po raz pierwszy w życiu przyszło jej do głowy, że nie złote loki i błękitne oczy decydują o urodzie. Co więcej, uroda może się bez tych atrybutów doskonale obejść.

Nie wyglądasz jak księżniczka z Ujścia, oceniły z podziwem Wrota. Ale jak królowna z Twierdzy.

Salianka przyznała im rację.

Po raz pierwszy w życiu była naprawdę zadowolona z siebie w tym konkretnym względzie. Ze zdumieniem odkryła, że rysy jej twarzy, które zawsze uważała za zwyczajnie nieciekawe, mogą stać się naprawdę atrakcyjne. Pełne usta może nie były stworzone do tego, by wypowiadać słowa dźwięczne jak dzwoneczki na wietrze, ale miały w sobie rys interesującej stanowczości. A spojrzenia rzucane spod gęstych rzęs nie miały w sobie nic z niewieściej nieśmiałości czy pokory. Prawdę mówiąc, z taką butą i lekką wzgardą na świat mogła patrzeć tylko Czarownica z Twierdzy.

Królowna uśmiechnęła się do swojego odbicia. Dopiero teraz dotarło do niej, gdzie się właściwie znajduje. W obawie, że któraś z pokojówek królowej mogłaby zaraz wtargnąć do buduaru i jeszcze zgłaszać pretensje do nieproszonego gościa, Salianka postanowiła znaleźć miejsce, gdzie mogłaby napawać się swoją świeżo odkrytą urodą w spokoju. Wychodząc, zabrała ze sobą małe kieszonkowe lusterko królowej. Czuła się jak prawdziwa królowa i nie chciała tego cudownego uczucia niczym mącić, a już najmniej udawaniem nierozgarniętej służącej. Wymknęła się więc z pałacu do ogrodu, zaszyła w ustronnym zakątku i stamtąd podziwiała fajerwerki puszczane na cześć księżniczki, które bardzo przypominały te eksplodujące światłem w jej duszy. Nawet nie zauważyła, że patrząc na rozświetlone niebo, uśmiecha się coraz szerzej i wygląda coraz piękniej. Wkrótce dołączył do niej Pazur, któremu całe zamieszanie, a zwłaszcza sztuczne ognie, nie przypadło do gustu.

Późno w nocy, kiedy uroczystości już się kończyły i został tylko jeden, ostatni pokaz sztucznych ogni, który miał się odbyć równo z wybiciem północy, znalazł ich książę. Do ogrodu przygnało go palące pragnienie opowiedzenia komuś o swoich bogatych przeżyciach wewnętrznych. Ponieważ całą prawdę o nim znali tylko Salianka, Pazur i Płomiennoskrzydły, a z tej grupy tylko z królowną można było przeprowadzić w miarę sensowną rozmowę, wybór był oczywisty. Tak jak się spodziewał, zauważył dziewczynę siedzącą na ławeczce. Obok pies starał się spać mimo głośnych odgłosów nocnej zabawy. Książę sprawdził po omacku, gdzie znajduje się krawędź ławki, i przysiadł, nie pytając o pozwolenie.

– Przez trzy godziny wysłuchiwałem o tym, jaki Ulk jest wspaniały – westchnął teatralnie, niczym zgnębiona ofiara własnej sławy. – Kazała minstrelowi śpiewać wszystkie ludowe przyspiewki na jego temat, jakie znał. Zwariować można.

– Przecież Ulk to ty – zauważyła Salianka, wyjątkowo życzliwie nastawiona do całego świata, nawet do nadętych bufonów. – To tak, jakby chwaliła ciebie przez trzy godziny.

– Niby tak – zgodził się niechętnie Gawarek, cmokając z niezadowoleniem. – Ale przecież nie mogę jej się przyznać, to raz, a dwa, co to za kobieta, co na widok byle mięśniaka dostaje hopla? Płytką baba i tyle.

– A nie mówiłam? – stwierdziła królowa. O tym, że miała rację, wiedziała od początku. Ale ogromną satysfakcję sprawiało jej, że teraz nadęty bufon będzie musiał to przyznać.

– Nie mówiłaś – książę nie był skłonny do przyznawania czegokolwiek komukolwiek.

Natomiast z nieukrywaną przyjemnością wytykał innym ich błędy i wady. – Ale za to ziałas zazdrością.

– Mówiłam już twojemu drugiemu, mięśniatemu ja, że nie mam o co być zazdrosna! – zgrzytnęła zębami Salianka. Gawarek systematycznie podkopywał jej dobry nastrój. Radość i beztroska zdawały się pryskać, byle dalej od niego. – Moje drzewo genealogiczne sięga dwadzieścia trzy pokolenia wstecz, a jej? Od marnych stu pięćdziesięciu lat rządzą Ujściem i już mają się za wielką arystokrację!

– Czyli jednak jesteś królowną? – zdziwił się Gawarek, wydymając usta w powątpiewaniu. – No kto by przypuszczał. Muszę to rozgłosić, rzecz jasna. Uratowanie królowny to coś o wiele lepszego niż ratowanie wieśniaczki.

– Nie możesz nikomu powiedzieć – przerwała mu Salianka, do której dotarło, że być może w zdenerwowaniu powiedziała za dużo.

Książę nie słuchał, zbyt był pochłonięty wizją własnej chwały i bohaterstwa.

– To wszystko zmienia, może nawet się z tobą ożenię! – stwierdził w zadumie.

Królowną aż wzdrygnęło na taką perspektywę.

– W końcu książęta żenią się z uratowanymi przez siebie królowkami. Znaczy... tego... to ładnie wygląda w bajkach i balladach – zakończył niepewnie. Miał trochę wątpliwości co do tego, jak bajki i ballady sprawdzają się w praktyce.

– Nie możesz się ze mną ożenić! – jęknęła Salianka.

– A ty nie możesz być dla siebie taka surowa – powiedział łaskawie. – Fakt, za ładna nie jesteś, zwłaszcza w porównaniu z księżniczką z Ujścia, no i Ulk myśli... to znaczy, o ile się nie myślę, masz we łbie drzwi do piekieł, ale przecież jesteś królowką, błękitna krew, takie sprawy. Do tego więziona przez Czarownicę z Twierdzy, to usprawiedliwia pewne twoje niedociągnięcia.

– Nie możesz nikomu powiedzieć, że jestem królowką, i nie możesz się ze mną ożenić – straciła cierpliwość Salianka. Dlaczego w tym przeklętym królestwie nikt nie rozumiał, że „nie” to znaczy „NIE”?

– Niby czemu? – zdziwił się Gawarek. Do głowy by mu nie przyszło, że ktoś może nie chcieć wyjść za niego za mąż. W ogóle z trudem przyjmował do wiadomości, że ktoś może mieć pragnienia sprzeczne z jego życzeniami.

– Bo ja jestem królowką z Twierdzy! – wypaliła Salianka, porzucając wszelką myśl o dyplomacji. – Czarownicą. Pierwszą Rady. Jasne?!

Księcia zamurowało.

Chwilę później wybiła północ i wystrzeliły pierwsze fajerwerki. W ich blasku zobaczył królowną i zamurowało go jeszcze bardziej. Aż do tej chwili nie przyszło mu na myśl, że ona jest naprawdę atrakcyjną dziewczyną. A teraz nie dość, że wyglądała jakoś... ładniej niż zazwyczaj, to jeszcze złość wywołała na jej policzkach piękne rumieńce, a w oczach rozpalila płomień. Zaskoczenie zupełnie odebrało mu mowę.

Królewna miała już dość jego towarzystwa, więc nie zwracając uwagi na nagłe milczenie Gawarka, wstała, otrzepała spódnicę i poszła sobie, a za nią Pazur.

Trochę mu za dużo powiedziałaś. Jak do niego dotrze cała prawda, to będziesz miała problem, stwierdziły filozoficznie Wrota.

– Jeden więcej czy mniej to żadna różnica – warknęła Salianka. – Dowiedział się, kim jestem naprawdę! I co z tego? Może się wreszcie odczepi!

Jak się dowiedzą w pałacu, że jesteś Czarownicą z Twierdzy, to jednak będzie to różnica, wytknęły. Co byś zrobiła na ich miejscu, gdybyś się nagle dowiedziała, że twój największy wróg i uosobienie zła wszelkiego siedzi ci pod nosem?

– Ten idiota nikomu nie powie. Przecież nie przyzna się, że sprowadził wroga do własnego domu!

No niby nie, ale nie zapominaj o Ulku. Jego obowiązkiem jest obrona Dolin przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

– Ulk czy Gawarek, mała różnica. – Królewna wzruszyła ramionami. – W każdej z tych postaci pozostaje takim samym głupkiem.

Tak? A to ciekawe, mruknęły zamyślane Wrota.

– Jak to „ciekawe”? – zapytała podejrzliwie Salianka. Nie podobał jej się ich ton. Nie wróżył nic dobrego.

No cóż, praktycznie rzecz biorąc, Ulk nie jest księciem, powiedziały Wrota. *To demon.*

– Demon? – zdębiała królewna. – Zmieniłyście księcia w demona?

Chciał być wielkim bohaterem, przypomniały Wrota z urazą.

– Chciał, żebyście zaczarowały miecz!

Nie umiemy, odpowiedziały ze smutkiem. *Jesteśmy tylko Wrotami. Możemy wypuszczać demony spoza tego czasu i tej przestrzeni. Kiedy jesteśmy otwarte, płynie z nas moc piekieł. Możemy ją formować, ale kiedy demony zorientują się, co się dzieje, zechcą skorzystać z okazji i wyjść na zewnątrz. To niebezpieczne, wtedy musimy się natychmiast zamknąć.*

– A zniszczenia, to wszystko, co działo się, gdy otwierała was burza?

Uciekały demony czekające po drugiej stronie na dogodną chwilę, wyjaśniły niechętnie Wrota. *Gdy chcemy latać, korzystamy z mocy demona wichru, gdy chcemy palić, z mocy demona ognia.*

– A kiedy wydostają się na zewnątrz, wypuszczacie ich do mnie, do mojego ciała?! – oburzyła się królewna. – Jakby mało było, że muszę je dzielić z wami, że robię za przedsionek piekła, to jeszcze zrobiliście ze mnie jakąś przeklętą poczekalnię! – Oparła się o ścianę. – Teraz to już naprawdę po mnie – jęknęła, uświadomiwszy sobie swoją sytuację. – Jeśli ktokolwiek się dowie, że w księciu siedzi demon wypuszczony przez Wrota z piekieł, to jak nic mnie wyegzorczyzmują. A jeśli on sam się o tym dowie, to pewnie będzie mi chciał ściąć głowę.

Jakbyś mu nie mówiła, kim jesteś, to miałabyś jeden problem mniej, przypomniały Wrota.

– Zamknijcie się – zażądała. – Myśle.

Pazur polizał ją po dłoni. Odruchowo pogłaskała go po łbie.

– Trzeba wracać – wymyśliła w końcu Salianka.

Gdzie? – zapytały podejrzliwie Wrota.

– Do domu. Do Twierdzy.

Nie przywitają nas tam ciepło, stwierdziły.

– Przygotujecie się na wszelki wypadek. Jak będzie nieprzyjemnie, to otworzycie się na chwilę, urządzicie krótką jatkę i zamkniecie się, zanim coś niechcianego wylizie.

A jak to nie wystarczy? – słychać było, że są taką możliwością zmartwione. *Nie będzie z nami Ulka, nikt nas nie obroni.*

– To przylewituję komuś mokrą ścierą w twarz – westchnęła królowna. – Tyle potrafię.

Potrafisz nawet trochę więcej, oceniły wspaniałomyślnie Wrota. *Ale ćwiczyłaś tylko ze ścierami.*

– Jak wrócimy do Twierdzy, to poćwiczę kwitowanie toporami – postanowiła Salianka. Doszła do wniosku, że już najwyższy czas uniezależnić się od obrońców jako takich. Były z nimi same problemy. A w końcu topór jest niewiele większy od szmaty czy wiadra.

A burze? – przypomniały natarczywie. *W Dolinach nie ma częstych burz. W Twierdzy są prawie zawsze!*

– Zamknę się w piwnicy – odpowiedziała gniewnie. Powrót do Twierdzy był zarazem powrotem do domu i nie życzyła sobie, żeby jej ten dom obrzydano.

A jak właściwie masz zamiar tam wrócić? – zainteresowały się wreszcie Wrota. *Nie możemy polecieć, za długo pozostawałybyśmy otwarte.*

– Zabierzemy Gawarkowi konia – oznajmiła odkrywco królowna. – Ostatnio strasznie się nudzi, bo jego pan woli latać na Płomiennoskrzydłym.

Siedzący obok niej pies zaskomlał cicho. Czuł, że zapadają decyzje, które zmienią jego przyszłość na gorszą.

– Nie, ciebie nie zabierzemy. – Salianka przykucnęła naprzeciw niego. – To będzie długa droga, pewnie niebezpieczna. A na końcu czeka nas przeprawa z moimi kochanymi poddanymi. Poza tym o tobie twój pan jeszcze pamięta. Ale gdyby kiedyś zapomniał albo stwierdził, że woli jakieś głupie, zademonione orły, to będziesz miał jeszcze mniej, dobrze? – Pogłaskała go.

Kiedy odchodziła, siedzący w korytarzu Pazur zaczął wyć. Najpierw jego ukochany pan przelał swoje uczucia na skrzydlatego potwora, a teraz opuszczała go pani, na którą zawsze dotąd można było liczyć.

Saliankę mało obchodził dwór i rozterki króla. Dotarła do stajni, znalazła księżęcego wierzchowca, znalazła siodło i zaczęła mieć kłopoty.

Czy nam się wydaje, czy ty nigdy w życiu nie siedziałaś na koniu? – zapytały uprzejmie Wrota.

– Jazda nie może być specjalnie trudna – orzekła stanowczo królowna. – Tylko to siodło.
– Przyjrzała mu się podejrzliwie. Nie miała pojęcia, jak założyć to na konia i jeszcze umocować tak, żeby nie spadło. – Diabelski wynalazek, nie wiadomo co, gdzie i jak. Pojedziemy bez siodła – zdecydowała.

Wrota milczały wymownie. Nie powiedziały ani słowa, kiedy Salianka rozpoczęła trudny proces wsiadania, najpierw metodą z podskoku, potem wspinaczkową, aż w końcu postawiła obok konia drewnianą skrzynię, weszła na nią, a z niej wdrapała się na koński grzbiet.

– No! – powiedziała, oznajmiając światu swój sukces.

Posiedziała chwilę dumnie wyprostowana, a koń nic.

– Naprzód! – rozkazała królowna.

Koń nie zareagował. Salianka pogрузzyła się w głębokiej zadumie, starając się przypomnieć sobie wszystkich jeźdźców, jakich w życiu widziała, i ich wszystkie poczynania. Trwało to chwilę, ale wreszcie wydobyła z zakamarków pamięci właściwe wspomnienie. Stuknęła konia piętami w boki. Odrobinę za energicznie. Koń ruszył nagłym zrywem do przodu, królowna nagłym odchyłem do tyłu rozpoczęła spadanie.

No tak, westchnęły Wrota i uchyliły się leciutko.

Spadająca Salianka gwałtownie zatrzymała się w powietrzu. Jej ciało posłuszne rozkazom Wrót poderwało się do góry. Przez chwilę wisiało w powietrzu, po czym rzuciło się w pogoń za oddalającym się koniem. Strażnicy z nocnej warty przetarli ze zdumienia oczy, kiedy minęła ich latająca kobieta. Odprowadzali ją wzrokiem, szczypiąc się nawzajem dla sprawdzenia, czy to jawa, czy sen.

Ciało królowny dogoniło wierzchowca tuż przed bramą. Na ten widok Salianka, dotąd osłupiała tak bardzo, że nawet zapomniała krzyczeć, lekko oprzytomniała. Zderzenie czołowe w żadnym razie nie było jej zamiarem. Zmusiła się do skupienia całej mocy Strażnika i brama posłusznie otworzyła się na oścież.

Niezatrzymywany przez niepewnych własnej trzeźwości umysłu wartowników koń przegalopował przez bramę, a za nim przeleciała królowna. Tuż za murami gwałtownie i boleśnie opadła na grzbiet zwierzęcia. Natychmiast kurczowo chwyciła się końskiej grzywy.

– Jak to się zatrzymuje?! – wrzasnęła.

Po co zatrzymywać? – zdziwiły się Wrota. *Jedzie prosto do Twierdzy. Tylko się nie puszczaj.*

I tak spłoszony wierzchowiec księcia Gawarka, a trzeba tu nadmienić, że nie bez przyczyny zwał się on Wiatrobiegły, pogalopował do Twierdzy, unosząc na swoim grzbiecie przerażoną i zdenerwowaną królowną Saliankę, która rzuciła w diabły miłą posadkę Opiekunki Książęcego Pupila i postanowiła wrócić do rządzenia.

Rozdział 3

Koń, którego nikt nie popędzał, za to ktoś ciągle darł mu się za uszami, zaczął zwalniać sam z siebie. O świcie szedł już łagodnym stępem, a siedząca na jego grzbiecie królowna odzyskiwała powoli spokój ducha. Zaczęła nawet rozglądać się i rozpoznawać okolicę.

Przejeżdżała właśnie przez wioskę, pierwszą, jaką kiedykolwiek uratował wielki wojownik Ulk. Chłopi odbudowali już chaty, nie było ani śladu po zgliszczach. W samym środku osady, na niewielkim placu, stał na cokole wystrugany z drewna maszkaron, w którym przy odrobinie wysiłku można było rozpoznać Ulka wznoszącego triumfalnie miecz i przydeptyującego pelzających wrogów.

Salianka skrzywiła się na tak nieprzyjemne wspomnienie i przejechała obok wątpliwego dzieła, patrząc starannie w drugą stronę. Rezygnacja z podziwiania podobizny wojownika oznaczała oglądanie otwartych ze zdumienia gęb chłopów. Kmiecie bowiem wyleźli przed chałupy specjalnie po to, by gapić się na pannę z rozwianym włosom, jadącą nader nieumiejętnie na wspaniałym koniu, który, należałoby dodać, był, jak przystało na książęcego wierzchowca, biały jak śnieg. Wspominali tę chwilę jeszcze wiele lat później, gdy mówili wnukom i prawnukom o dziwnych, niebezpiecznych latach i o znakach, które zwiastowały przyjście niespokojnych czasów. Jednym z nich była ciemnowłosa panna na białym koniu, która pokazała wszystkim język i odjechała w stronę Twierdzy.

– Pewnie teraz takie strachy na wróble w każdej zapadłej dziurze stoją – westchnęła Salianka, oglądając się za siebie.

W miastach też, dodały Wrota. Planuję postawić wielkiego marmurowego Ulka w Dolinach.

– Żartujecie chyba – jęknęła królowna. – Już nie mają lepszych rzeczy do roboty, tylko czcić tego idiotę? Zresztą on został w Dolinach, my wracamy do domu, więcej nie chcę o nim słyszeć!

Nie żartujemy, tylko słuchamy uważnie, co się mówi, obraziły się Wrota, złe, że nawet nie mogą z nią o swoim twórcze porozmawiać. Ty na każde wspomnienie o wielkim wojowniku zatykasz uszy, a nas ciekawi nasze dzieło.

Salianka w odpowiedzi też się obraziła i przez jakiś czas jechała w milczeniu, patrząc na uszy Wiatrobiegłego i myśląc mniej więcej o niczym, a konkretniej: o pewnych częściach

ciała narażonych przy konnej jeździe na poobijanie. Dotąd konie wydawały jej się majestatycznymi zwierzętami noszącymi na swych grzbietach bohaterów. Teraz skłonna była raczej twierdzić, że bohaterowie musieli mieć tyłki z żelaza.

Królewnie nigdy wcześniej nie zdarzyło się siedzieć na grzbiecie żadnego czworonożnego zwierzęcia. Prawdę mówiąc, nie zdarzyło jej się robić wielu rzeczy, które wśród większości ludzi uchodziły za podstawowe, niezbędne do życia umiejętności. Nie nauczyła się ich bynajmniej nie z lenistwa, ale z wyrachowania. Gdyby, dajmy na to, umiała jeździć wierzchem, to pewnie byłoby jej żal, że nie może sobie pojechać na przejażdżkę poza Twierdzę, gdzie mogłaby ją zaskoczyć jedna z częstych w tej okolicy burz. A tak przyjemniej tego nie żałowała.

Z pozornej bezmyślności wyrwał Saliankę gwałtowny szelest liści.

Ostrożnie, metodą prób i błędów, zatrzymała rumaka i nasłuchiwała przez chwilę. Wydawało jej się, że słyszy nie tylko szum drzew, ale i czyjś głos. Postąpiła, poczekała, nic się nie wydarzyło. Już miała ruszać dalej, kiedy coś zielonego śmignęło jej przed oczami.

– Hej, ty! – wrzasnęło. – Dzieweczko!

Królewna odwróciła się w stronę tego czegoś. Siedziało na zwałonym pniu i wyglądało jak żaba. Zielona, z wylupiastymi ślepiami i szeroką mordą. Trochę przerośnięta.

– Nie miałabyś ochoty pocałować autentycznego zauroczonego księcia? – zapytała żaba. Gdyby miała brwi, uniosłaby je zachęcająco.

– Spadaj – odburknęła Salianka. Miała dość książąt, wszystko jedno, normalnych, zaczarowanych czy zademonionych. Postanowiła po powrocie do Twierdzy spalić wszystkie księgi z bajkami i nigdy więcej nawet nie marzyć o takim życiu, jakie w nich przedstawiano. Już miała odjeżdżać, kiedy Wrota nagle się zainteresowały i bezceremonialnie pozbawiły Saliankę władzy nad ciałem.

– *Jesteś zaczarowanym księciem?* – zapytały zaciekawione.

– Pewnie – odparł zaczarowany książę, prężąc żabią pierś. – To co, całujesz? – nastawił ochoczo wargi.

„Ani się waż!” – wrzasnęła w głębi własnego umysłu Salianka.

– *Mogę cię odczarować* – zaproponowały życzliwie Wrota.

– Hmm? – żaba dalej nadstawiała usta.

– *Zmienię cię z powrotem w księcia* – objaśniły Wrota.

Żaba gwałtownie zamrugła zielonymi powiekami. Na pysku odmalował jej się wyraz całkowitej paniki.

– Nie!!! – wrzasnęła i zwała rączym skokiem w gąszcz.

– *Ale to nie będzie bolalo!* – zawołały za nią Wrota, paląc się do tego, żeby sobie poczarować. – *Jestem wielka czarodziejka! Wracaj!*

– A obiecasz, że mnie nie odczarujesz? – dobiegł z zarośli nieufny skrzek.

– *Dobra, obiecuję* – obiecały trochę zdziwione Wrota.

Zaczarowany księżę wskoczył z powrotem na pień, łypiąc podejrzliwie wylupiastymi oczami.

– *No przecież powiedziałam, że cię nie odczaruję* – przypomniały Wrota. – *A może chociaż powiesz dlaczego?*

– Bo ja nie jestem księciem – westchnęła żałośnie żaba. – Jestem Jontek, pastuch.

– *I wolisz być żabą niż pastuchem?*

– Mus. – Żaba wydeła filozoficznie wargi i wzruszyła ramionami. – Panienki nie lecą na pastuchów.

„A na żaby lecą?” – zdziwiła się Salianka.

– *A na żaby lecą?* – powtórzyły Wrota.

– Bardziej niż na pastuchów. Ale nie każda łapie się na bajer z zaczarowanym księciem. Gdybym miał koronę, to co innego. Panienki masowo całują gości w koronach. Kumpel zrobił sobie z naparstka i teraz ma takie branie... – rozmarzył się Jontek. – Nie mogłabyś przypadkiem? Jako wielka czarodziejka...?

Wrota zastanowiły się chwilę, a potem wyczarowały małą, gustowną i szczerozłotą koronę, która opadła prosto na głowę Jontka.

– O tak!!! – Pastuch podskoczył z radości, odbił się od pnia, wylądował na ramieniu królowny, wycisnął jej na policzku głośnego, mocnego i obleśnego całusa, a potem w podskokach popędził w stronę wioski.

„O nie”, jęknęła Salianka i wepchnęła się z powrotem na przód swojego umysłu.

Wytała energicznie dłonią policzek. Lepił się od zabiej śliny.

– Jak chcecie się z takim całować, to sprawcie sobie własne ciało – warknęła, spoglądając na swoje palce z obrzydzeniem.

A ty akurat całujesz się z samymi przystojniakami, dogryzły jej Wrota.

– Z nikim się nie całuję! – zdenerwowała się królowna.

No właśnie, westchnęły Wrota. W twoim wieku...

Salianka jęknęła rozpaczliwie.

– Tylko tego mi jeszcze do szczęścia brakowało. Dajcie spokój, dobrze? – poprosiła. – Zajmijcie się zbieraniem sił, jak dotrzemy do Twierdzy, będą nam potrzebne.

Niech ci będzie, zgodziły się łaskawie Wrota i zamilkły na dobre.

Królowna leciutko, naprawdę leciusieńko popędziła konia, gotowa chwycić się go kurczowo, gdyby tylko zaczął galopować. Na jej szczęście Wiatrobiegły miał już dość biegania jak na jeden dzień. Ponieważ nikt go nie poganiał, ruszył spokojnie stępa. A przepełniona niebotyczną ulgą Salianka mogła zająć się obserwowaniem drzew, potem nieba, potem drogi przed sobą, potem końskiej grzywy, potem pomyślała, że przydałaby jej się poduszka pod tyłek, a potem było już późne popołudnie.

Koń musi odpocząć, przypomniały Wrota i zaraz znowu przestały się odzywać.

Salianka przyznała im rację, co postawiło ją w obliczu kolejnej trudności, jaką było w

miarę bezbolesne zejście z końskiego grzbietu. Po zastanowieniu wzięła głęboki oddech i zsunęła się po końskim zadzie. Wiatrobiegły uprzejmie jej nie kopnął, kiedy stojąc tuż za nim, rozglądała się bezradnie po lesie. Pojęcia nie miała, co teraz robić. Należałoby chyba rozbić obóz, rozpaść ognisko i przygotować kolację, ale nic ze sobą z Dolin nie zabrała, więc nie było co rozbijać ani czym rozpaść. Nie czuła się też na siłach własnoręcznie coś upolować na kolację, nie mówiąc już o jej przygotowaniu.

Niedaleko jest wioska, zlitowały się wreszcie Wrota. Tam mogłabyś przenocować.

– Skąd wiecie? – spytała podejrzliwie królowna.

Przechodziliśmy tędy z Gawarkiem, idąc z Twierdzy, przypomniły.

– A, ta wioska... – Salianka nie wykazała entuzjazmu. – Źle mi się kojarzy.

Wrota milczały, ale w tym milczeniu dawało się wyczuć nutkę zniecierpliwienia i irytacji.

– Dobrze, dobrze – skapitulowała królowna. I tak nie miała żadnego lepszego pomysłu, a spędzenie nocy w lesie nie było zbyt kuszące.

Obejrzała się na konia.

– Chodź – rozkazała.

Wiatrobiegły zajął się skubaniem trawy. Salianka popatrzyła na niego ponuro. Nie podziałało. Ruszył się dopiero, kiedy kępa zieleniny, którą miał zamiar capnąć, zalewitowała mu przed nosem i zaczęła się oddalać. Koń nie dał łatwo za wygraną i pobiegł za żarciem, a tak się przypadkiem składało, że jego żarcie kwitowało za dochodzącą już do zabudowań królowną.

Wioska wyglądała dokładnie tak, jak Salianka ją zapamiętała. Nawet wóz kuglarzy stał na uboczu.

– Jeszcze tu są? – zdziwiła się królowna. Wedle jej skromnych wiadomości wędrowni kuglarze powinni... no, wędrować.

– Toż to samo żem mówiła – zaskrzeczało coś obok niej.

Salianka odwróciła się i zobaczyła podwiedłą babinę, której najwyraźniej wszystko jedno było, kogo ma za słuchacza, byleby mogła wylać wszystkie swoje żale.

– Siedzo już kilka tygodni, że to niby niebezpiecznie na drogach im podróżować – mówiła z zapalem, aż kipiąc nienawiścią. – Młodych mamio kolorami, dziewczki zwodzo, chłopaczków buntuj. Zaraza jedna!

Wiatrobiegły dogonił właśnie kępkę apetycznej zieleniny, zatrzymał się za plecami królowny i zaczął pałaszować zdobycz. Jego pojawienie się skłoniło babinę do rzucenia spojrzenia na Saliankę.

– A wy kto? – zapytała podejrzliwie, dostrzegłszy, że ma do czynienia z kimś obcym, do tego z dziewczyną wymalowaną tak, jak przyzwoitej panience w porządnej wsi po prostu nie przystoi.

– Nie wasza sprawa – warknęła królowna, której spojrzenie babiny bardzo się nie spodobało.

Zostawiła staruszkę i ruszyła w głąb wioski. Oddalenie się od wścibskiej baby wcale jej nie pomogło. Każdy w wiosce, kto nie miał akurat nic do roboty albo miał robotę i chciał sobie zrobić przerwę, gapił się na nią jak na jakieś dziwo. Widać nieczęsto zdarzało im się oglądać obcych, więc każdy był rozrywką wartą zapamiętania. Salianka poczuła, jak coś w niej pęcznieje.

– Czego?! – ryknęła na zasmarkanego bachora, który gapił się na nią tak zapamiętale, że aż wpadł jej pod nogi.

– Wrzeszczenie na ludzi to niedobry sposób na zjednanie ich sobie – odezwał się ktoś z tyłu.

Królewna odwróciła się gwałtownie.

Za nią stał młody chłopak, szczupły, z przydługimi włosami zebranymi w postrzępioną kitkę. Spod jasnej grzywki wyglądała para rozbawionych, życzliwych szarych oczu. Młodziak miał kolorowy, wyszywany kubrak, na którym widać było ślady kolejnych napraw. Emanowała z niego radość i poczucie wolności. Czego nie dało się powiedzieć o mieszkańcach wioski, sprawiali wrażenie, jakby od urodzenia krzywili się na świat. Od razu można było się domyślić, że chłopak nie jest stąd. A jego strój z czymś się Saliance kojarzył.

– Jesteś wędrownym kuglarzem – domyśliła się. Skłonił się dwornie i tak głęboko, że czubkiem głowy prawie zamiótł piach drogi.

– Niesamowity Pirka, zongler zmuszony przez nieprzewidziane okoliczności do marnowania talentu w tej dziurze – przedstawił się, cedząc melodyjnie każdą głoskę. – W takim miejscu jak to obcy powinni trzymać się razem – dodał już normalnie.

– Miejscowi gryzą? – Królewna rozejrzała się wokół, szukając potencjalnego zagrożenia. Chłopi nie wyglądali na niebezpiecznych, co więcej, przypominali stado przygłupich fajtłap.

– Nie, ale egzorcyzmują. Chętnie i często. Zawsze to jakaś uciecha dla gawiedzi – dodał wyrozumiale Pirka.

– Może gdybyś lepiej zonglował, nie potrzebowaliby dodatkowej uciechy – podsunęła mu zgryźliwie Salianka, poważnie zaniepokojona wzmianką o egzorcyzmach. Patrzyła podejrzliwie na gapiów, którzy teraz zaczęli jej przypominać głodne krwi monstra. Zresztą jeśli podobni byli do babiny, którą spotkała na skraju wioski, to rzeczywiście takimi monstrami byli, chętnymi pożreć wszystkich, którzy nie pasują.

Kuglarz nie obraził się na takie stwierdzenie, wruszył tylko ramionami.

– Moje kule nie wrzeszczą z bólu, nie krwawią i nie konają. Szybko im się znudziły.

– Rzeczywiście urocze miejsce – oceniła królewna, w której ugruntowało się już pragnienie spędzenia nocy w lesie, samotnie, tylko w towarzystwie ewentualnych dzikich zwierzątek, które może by miały zamiar ją zjeść, ale na pewno nie egzorcyzmować. – Chyba odechciało mi się tu zatrzymywać. Gdzie ten... Hej! – wrzasnęła nagle. – To mój koń!

Rosły, zarośnięty niczym podstarzały knur mężczyzna, który właśnie wpychał Wiatrobiegłemu w pysk wędzidło, obrócił na nią swoje świńskie oczka.

– Przyplontało się zwirzontko, tom wzięł – powiedział, ostentacyjnie prezentując swoją niewinność i jak najlepsze zamiary.

– Się nie przyplątało, tylko przyszło ze mną. Zostaw konia. – Królowna tupnęła nogą.

– A bo to wiadomo. – Knurowaty wzruszył ramionami, najwidoczniej tupanie nie zrobiło na nim wrażenia. A powinno. Gdyby Saliance kiedykolwiek przyszło do głowy tupnąć w Twierdzy, cała obecna przy niej służba zszokowana nagłą odmianą zachowania swojej Pani dostałaby zapewne grupowego zawału i skonała w miłym przekonaniu, że unika w ten sposób losu gorszego niż śmierć. – Ni ma siodła, ni ma uzdy, ni wiadomo czyje.

– Mówię, że moje – królowna zaczęła tracić cierpliwość. – Wyjmuj mu to coś z pyska i idź do diabła!

– Ni wi, co koń w pysku nosi, to jak może konia mieć – pokpiwał wieśniak. Gapie zebrani wokół pokiwali głowami, wyrażając poparcie dla jego argumentu.

– Zostaw. – Pirka położył Saliance dłoń na ramieniu. Strząsnęła ją gniewnie. – Daj spokój, lepiej stracić konia, niż mieć przeciw sobie całą wieś.

Niechętnie musiała przyznać mu rację. Wyglądało na to, że taki sposób powiększania dobytku cieszy się pełnym poparciem wszystkich mieszkańców, kilku wieśniaków wyglądało nawet na zawiedzionych, że to nie oni wpadli na sposób z wędzidłem. Królowna miała ponure przeczucie, że na egzorcyzmach kończą nie tylko ci podejrzani o opętanie, ale też tacy, którzy nie umieją rozsądnie rozstać się ze swoją własnością. Pozostawało jej tylko ugryźć się w język, zacisnąć zęby i ciskać w duchu gromy. Po powrocie do Twierdzy mogłaby sobie pozwalać na ataki złości i straszenie Rady Wrotami, ale nie tutaj. Tu za każdym rogiem mógł się czaić jakiś egzorcysta, za odpowiednią opłatą skłonny wyegzorcyzmować każdego. To by się skończyło źle dla Salianki i nie najlepiej dla Wrót. Gdyby „wypędzanie złego” się powiodło, musiałyby opuścić umysł królowny. Dla nich byłby to koniec wszystkiego, dla niej też. Bez Wrót Strażnik był tylko pustym naczyniem. Zresztą najpewniej postawione wobec takiej możliwości Wrota broniłyby się jak umiały. Nawet jeśli oznaczałoby to otworzenie się na zawsze i ryzyko, że Saliankę, tak jak jej ojca, opętają demony.

Cokolwiek złego by myśleć o Radzie, jej członkom nigdy nie przyszłoby do głowy użyć przeciwko swojej Pani egzorcyistów. Byli zbyt świadomi konsekwencji, jakie by im to przyniosło.

Knurawaty rzucił jej triumfalne spojrzenie i odszedł z Wiatrobiegłym.

– Zamorduję go – obiecała ze szczerego serca Salianka. Gdyby nienawiść mogła zabijać, chłop miałby już wypaloną w plecach dziurę wielkości koła od wozu.

– Wtedy to dopiero sobie narobisz kłopotów – wyjaśnił spokojnie kuglarz, wcale niewstrząśnięty jej planami. Wielu podróżnych zdarzało mu się spotykać podczas wędrówki po świecie i kimkolwiek by byli, nie życzył im źle, póki oni jemu źle nie życzyli. – Wyślą za tobą pacholców, spokoju ci nie dadzą, póki cię nie dopadną.

– Niech wysyłają – zgodziła się łaskawie królowna. – Dopadną mnie bardzo szybko i

wtedy zobaczymy...

Uświadomiła sobie, że od dłuższego czasu miała szaloną ochotę coś komuś zrobić, choćby skopać tyłek. Tylko po to, żeby wyrzucić z siebie trochę tej pęczniejącej złości na cały świat.

– Taaa, pewnie – przytaknął jej Pirka dla świętego spokoju. – Chodź, zjesz z nami, przenocujemy cię, jutro wszystko będzie wyglądało lepiej.

– O wiele lepiej – uznała królowna, mając przed oczami duszy obraz zemsty na knurowatym. Gdyby tylko mogła, użyłaby na nim całej mocy Strażniczki Wrót. Miała co prawda ćwiczyć lewitację toporami, ale kto powiedział, że dla wprawy nie może najpierw pokwitować grubym kłębkiem? Wizja knurowatego pływającego w powietrzu i wymachującego bezradnie tłustymi kończynami była czymś naprawdę wspaniałym.

Pochłonięta własnymi myślami nie zauważyła, że kuglarz ruszył z miejsca. Zrobił kilka kroków, zawrócił i wziął pod rękę rozmarzoną dziewczynę. Salianka pozwoliła się prowadzić bez oporów, patrząc tylko, gdzie nowy właściciel zabiera jej konia.

– Masz w ogóle jakieś imię? – zapytał żongler, gdy dochodzili do małego obozowiska, które kuglarze rozłożyli wokół swojego wozu.

– Mam. Jestem Salianka – przedstawiła się, rezygnując chwilowo z marzeń na jawie, żeby zrobić miejsce na rzeczywistość.

Obozowisko oprócz wozu składało się z kilku lichych namiotów i ogniska. Przy ogniu siedziało kilka osób, kobiet i mężczyzn, wszyscy kolorowo ubrani, wszyscy dość radośni, chociaż starali się nie zachowywać zbyt głośno, żeby nie drażnić wieśniaków. Kiedy królowna usiadła wśród nich, podnieśli głowy, uśmiechnęli się do niej jak do kogoś od dawna znanego. Obecność przygodnych znajomych nie była dla nich niczym niecodziennym. Widać często w drodze zdarzało im się stykać z ludźmi, którzy już następnego dnia odchodzili w swoją stronę. Witali nieznajomych życzliwie i życzliwie ich żegnali, a pomiędzy jednym a drugim nie zwykli zadawać zbyt wielu pytań, w końcu życie każdego było jego własną sprawą.

Ktoś wetknął Saliance w dłonie miskę z polewką, ktoś wręczył jej pająkę chleba, ktoś rzucił jej miłe słowo. Królowna ze zdziwieniem odkryła, że podoba jej się ta barwna gromadka. Pierwszy raz stykała się z takimi ludźmi, ale wcale nie czuła się obca.

Miło było przebywać wśród ludzi, którzy nie wymagali od niej ani sprzątnięcia korytarzy, ani noszenia przyciasnej korony. A do tego polewka pachniała nad wyraz apetycznie.

– Skoro miejscowi są tacy wredni, to co tu jeszcze robicie? – zapytała, zabierając się do jedzenia. Na miejscu kuglarzy wyniosłaby się z wioski najszybciej jak to możliwe, właściwie to wyniosłaby się z całej okolicy, skoro pętają się po niej egzorcyci. – Przechodziłam przez tę wiochę kilkanaście dni temu i widziałam wasze wozy. Nie ma już bardziej przyjaznych miejsc?

– Na drogach zrobiło się jeszcze bardziej niebezpiecznie – wyjaśnił Pirka. – Łupieżcy z

Twierdzy boją się zapuszczać bliżej Dolin, więc tu pęta się ich dwa razy tyle co zwykle.

– No tak, wielki Ulk – stwierdziła z przekąsem. Jakby nie dość problemów narobił, to jeszcze przez niego łupieżcy zagrażali Bogu ducha winnym wędrownym artystom. Po chwili zaświtało jej w głowie, że właściwie to po powrocie do Twierdzy mogłaby kazać łupieżcom pętać się gdzie indziej, wtedy kuglarze mieliby szansę wynieść się z nieżyczliwej okolicy. To była odkrywczą myśl i Salianka zapamiętała ją sobie na później.

– Nie podziwiasz wielkiego wojownika? – zdziwił się Pirka, nie doczekawszy się bardziej entuzjastycznej reakcji na wspomnienie o Ulku. – Dziewczęta mdleją na sam dźwięk jego imienia!

– Przesada – zawyrokowała królowa, której wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi nie mieściło się w głowie, że jakakolwiek dziewczyna mogłaby zawracać sobie głowę takim głupkiem jak Gawarek. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że tylko ona wie, że pod przyjemnym uśmiechem bohatera kryje się duma i ambicja księcia. Ostatecznie, doszła do wniosku, Ulk mógł się podobać. Ale mdlenie to jednak nadmiar afektacji.

– Przesada? – Kuglarz spojrzał na nią, jakby mu właśnie oświadczyła, że na stałe mieszka w rezydencji na księżycu. – Jala! – wrzasnął do jednej z dziewcząt siedzących przy wozie. – Wielki wojownik Ulk idzie!

Dziewczyna, śliczna, smukła i jasnowłosa, poderwała się gwałtownie, rozejrzała wokoło, wirując jak pyłek na wietrze. Jej delikatną twarz rozpromieniła nadzieja i wyczekiwanie.

– Tam jest – Pirka machnął dłonią w kierunku wioski. – Idzie podbić Twierdzę.

Jala wyteżyła wzrok i coś musiała dostrzec, bo jęknęła i padła na trawę zemdlona, z wyjątkowo durnym uśmiechem zastygłym na twarzy.

– Żałosne – stwierdziła Salianka, kiedy połowa dziewcząt rzuciła się cucić nieprzytomną, a druga połowa rozglądać w nadziei, że dojrzą Ulka.

– Mnie to mówisz? – westchnął ciężko Pirka, patrząc, jak Jala dochodzi to siebie. Ledwo otworzyła oczy, już zaczęła wyglądać bohatera. – To moja rodzona siostra, a ja już przemyśliwam, jak by ją tu udusić. Codziennie słyszę: Ulk to, Ulk tamto. Nawet go na oczy nie widziała!

– Nie ma specjalnie na co patrzeć. – Królowa wzruszyła ramionami. – Wielki mięśniak i tyle.

– Widziałas go? – zainteresował się kuglarz. Kilkoro innych też nadstawiło uszu, parę dziewcząt porzuciło na wpół oczuconą Jalę i przysunęło się bliżej, spragnionych wieści o ulubieńcu gawiedzi.

– Jadę z Dolin – wyjaśniła Salianka, lekko speszona uwagą, jaką na sobie skupiła. – Tam co raz albo o nim słyhać, albo go widać. Ostatnio uratował jakąś księżniczkę.

– Jakie to romantyczne – rozczuliła się jakaś dziewczeczka, aż jej łzy w oczach stanęły. – Księżniczka była piękna?

– Owszem – przyświadczyła niechętnie królowa. – A co, brzydkich ratować nie wypada?

– dodała nagle, bo od uwag o urodzie księżniczki z Ujścia już ją zęby zaczynały boleć. Miała serdecznie dość tych bająn o pięknych pannach w opałach. Ją też uratował Gawarek, chociaż zrobił to we własnej osobie, a nie jako Ulk, i prawdę mówiąc, do dziś nie wiedziała, przed czym tak właściwie została uratowana. Cokolwiek by to było, wracała do wspomnień bardzo niechętnie. A fakt, że ratownik wziął ją za wieśniaczkę, a nie za królowną, tylko dlatego, że nie była taka ładna, tkwił kolcem w jej sercu.

– No... – stropiła się dziewczeczka. – Co to za księżniczka? Co, nie jest ładna?

Salianka całkiem straciła apetyt, wymówiła się zmęczeniem i mimo wczesnej pory ułożyła do snu. Tyle że wydawało jej się, że za bardzo jest wściekła, żeby spać. Ale miała też za sobą wyjątkowo męczący dzień. Szybko zamknęły jej się oczy, a denerwujące obrazy prężącego mięśnie Ulka i gromady księżniczek, wszystkich pięknych i wątłych, uleciały jej z głowy wygonione stamtąd przez głęboki sen.

* * *

Królowna obudziła się, zanim zaczęło świtać, bo ktoś chuchnął jej w ucho. Machnęła ręką, żeby to odpędzić, i trafiła na coś śliskiego.

– Auuu! – syknął Jontek, uciekając spod jej dłoni. – Nie bij, ja wcale nie chciałem całować!

Salianka otworzyła oczy i usiadła na trawie. Wokół wszyscy jeszcze spali, niektórzy w namiotach, inni wprost na ziemi. Słodkie miny i rozmarzone westchnienia kilku dziewcząt jednoznacznie wskazywały, kto akurat teraz śni o wielkim wojowniku. Ognisko dogasało, a zaczarowana żaba siedziała nieopodal i z nieszczęśliwą miną masowała obolałą głowę.

– Czego chcesz? – zapytała królowna. Osobiście uważała, że do rozmów z płazami lepiej nadają się Wrota, ale te najwidoczniej spały.

– Pomóc, oczywiście. Z wdzięczności. Dzięki tej koronie to ja się teraz nie mogę od dziewczek opędzić – pochwalił się Jontek, nadymając się przy okazji z dumy.

– Jak ty możesz pomóc? – zdziwiła się. Żaby, nawet zauroczone, nie wydawały się być specjalnie użyteczne.

– Ten, co zabrał ci konia, to mój tatko, niestety – westchnął boleśnie pastuch. – Ponoć jestem do niego niesłychanie podobny z wyglądu, to jeszcze bardziej niestety. Teraz rozumiesz, dlaczego musiałem dać się zmienić w żabę, żeby zyskać u płci przeciwnej.

– Rozumiem. A wiesz, gdzie ten twój tatko trzyma konia? – zainteresowała się Salianka. Nie miała zamiaru marnować czasu na żalowanie Jontka-żaby, chociaż na współczucie zasługiwał. Z mordą jak u tatka miał w życiu nie tylko pod górkę, ale siedział na dnie urwiska i nie był w stanie wyjść.

– Wiem – Jontek napuszył się z dumy. – I nie tylko to wiem. Jeszcze wiem, że wieczorem solidnie sobie popił i teraz chrapie, aż strzecha na chałupie podskakuje.

– No popatrz, to nawet nie będę musiała go tłuc – stwierdziła z lekkim żalem. – A planowałam.

– Potłuc to go możesz, nawet porządnie – zasugerowała ochoczo żaba. – Tatko ma twarde życie, a jak wreszcie odziedziczę gospodarstwo, to będę mógł skończyć tę hecę z zaklętym księciem. Na kawałek gruntu i trochę grosza w szkatule też da się panienki łapać.

– Zastanowię się nad tym jeszcze – obiecała królowna, idąc za żabą przez wieś. Chętnie by knurowatemu przyłożyła możliwie boleśnie, ale gdyby chłop zaczął na przykład krzyczeć, to tylko utrudniłoby odzyskanie konia i ucieczkę z wioski. Z żalem zrezygnowała ze swoich planów, obiecując sobie, że naśle na złodzieja łupieżców. W końcu po coś ich w tej Twierdzy trzymała, najwyższy czas, żeby zrobili co pożytecznego, a nie tylko kradli i łupili przypadkowych, niewinnych ludzi.

Nawet dla chłopów było jeszcze za wcześnie, żeby wstawać. W szarym świetle budzącego się dnia kontury chałup się rozmywały, a cała wioska wyglądała na wymarłą. Nie niepokojeni przez nikogo dziewczyna i pastuch doszli do dość dużej chałupy, ogrodzonej, której pilnowały dwa, na oko co najmniej wściekłe psy. Zaczęły warczeć na królownę.

Jontek wskoczył na płot i przez chwilę wdzięcznie balansował na sztachecie. Psy podeszły bliżej zwabione znajomym zapachem pana.

– Do budy – rozkazał Jontek. Brytany od razu posłuchały.

Salianka pchnęła wypaczoną furtkę. Rzuciła jeszcze zaniepokojone spojrzenie na psy, ale nie wyglądało, żeby miały zamiar przeszkadzać. Pastuch zeskoczył z płotu i poprowadził ją do Wiatrobiegłego. Kiedy przechodzili pod drzwiami chałupy, usłyszeli świszczące chrapanie gospodarza, świadczące o jego spokojnym i niezmaconym jakimikolwiek obawami śnie.

– Nawet jakby psy szczekały, to by nie usłyszał, tak sobie smacznie śpi – zauważyła królowna.

– One nie szczekają – wyjaśnił Jontek, podskakując przy drzwiach od obórki, gdzie jego rodziciel trzymał wszystkie czteronogi inwentarz. – Tatko je przyuczył, coby od razu skakały do gardła.

– Miłego masz tatkę. – Salianka złapała Wiatrobiegłego za grzywę i nie bez problemów wyprowadziła na podwórko. Koń nie był chętny do kolejnej wyprawy, a tym razem nie miała go czym zanęcić. Pozostawała tylko metoda na przemian ciągnięcia i błagania.

– No właśnie... – westchnął ponuro pastuch. – To może by go jednak...

– Głupio trochę... Nie mam wprawy – wyjaśniła królowna. Wiatrobiegły, który najwidoczniej miał już dość szturchania i pociągania, zdecydował się wreszcie z nią pójść. – Ale może da się coś wymyślić – dodała, bo przygnębiona żaba wyglądała wyjątkowo żałośnie. – Jakby go łupieżcy zabrali do Twierdzy, to ty byś został na gospodarstwie, prawda?

– No niby tak, ale po co łupieżcom mój tatko? – zmartwił się szczerze Jontek. – On taki niezdatny do niczego, pewnie sami z siebie by się nie połakomili. Może jakby im dopłacić, to by wzięli? – zaświtała mu nadzieja.

– Już ty się nie martw po co, ważne, że go zabiorą – powiedziała pocieszająco Salianka. To było optymalne rozwiązanie. Gdyby kazała łupieżcom knurowatego okraść, pozbawiłaby Jontka ojcowizny. A z pastucha był całkiem przyzwoity zaczarowany księżę, może dlatego, że fałszywy.

Żaba podniosła na nią pełne łez wzruszenia oczy.

– Jesteś najwspanialszą czarodziejką na świecie – powiedział Jontek z uczuciem.

– Tylko mnie nie całuj! – przestraszyła się królowna, cofając się gwałtownie.

Wyprowadziła konia z gospodarstwa, zostawiając za sobą rozczulonego pastucha. Odwróciła się, kiedy coś jej się nagle przypomniało.

– Słuchaj, a kto cię tak w ogóle zamienił w żabę? – zapytała.

– Taka jedna czarodziejka – wyjaśnił skwapliwie. – Troszkę już podstarzała. W zamian za czar kazała mi tydzień pracować u siebie na gospodarstwie. Straszna harowa.

Królowna nie pytała więcej. Mało ją obchodziła jakaś czarodziejka, była tylko ciekawa, jak się zostaje płazem na własne życzenie. Pomachała Jontkowi i odeszła. Wiatrobiegły posłusznie podążał za nią na skraj wioski, gdzie Salianka stanęła ponownie przed problemem wejścia na jego grzbiet. Bezradnie rozejrzała się za czymś, czego mogłaby użyć jako schodków.

– Pomóc? – zapytał uprzejmie Pirka, wynurzając się z szarawej mgiełki.

– Co ty tutaj robisz? – zdziwiła się królowna. Nie słyszała, żeby ktoś się zbliżał, ale też, prawdę mówiąc, nie nasłuchiwała specjalnie. Na przyszłość musiała pamiętać, żeby bardziej uważać.

– Budzę się i co widzę: paradujesz przez wioskę ze swoim koniem. Nawet się nie pożegnałaś. – Nie wyglądało na to, żeby robił jej z tego powodu wyrzuty. Po ustach błąkał mu się żartobliwy uśmiešek.

– A co to za różnica, i tak mnie więcej nie zobaczycie – stwierdziła. Troszkę jej się zrobiło żal, kiedy to powiedziała. Przy tym ognisku, przy kuglarzach, nie musiała być ani królowną, ani sprzątaczką. Podejrzewała, że była sobą.

– Jeśli pojedziesz tą drogą, to na pewno – przytaknął Pirka. – Prowadzi do Twierdzy.

– Wiem – ucięła krótko królowna. Jakoś nie miała ochoty wyjaśniać, że jej akurat w Twierdzy krzywdy nie robią. Na pewno kuglarz nie żegnałby jej wtedy życzliwie. – To pomagasz czy nie?

Z pomocą Pirki wdrapała się na grzbiet konia. Wyszło jej to wyjątkowo niezgrabnie, ale skutecznie. Wiatrobiegły przeczekał jej akrobacje z kamiennym spokojem.

– Ciekawi mnie, czego szukasz w Twierdzy, ale chyba nie będę pytał – powiedział w zadumie kuglarz, odsuwając się o krok.

– Nie pytaj – odparła z wdzięcznością Salianka. Miło było wiedzieć, że jest ktoś, kto nie domaga się wyjaśnień. Już miała odjeżdżać, ale odwróciła się jeszcze. Jednak pierwszy raz w życiu ktoś jej bezinteresownie pomógł. – Pirka... dziękuję.

Wzruszył ramionami, ale uśmiechnął się do niej szeroko.

– Nie ma za co. Wędrowcy są zawsze wśród nas mile widziani.

Patrzył za nią, jak odjeżdżała, kiwając się komicznie na grzbiecie wierzchowca.

* * *

Im bliżej było do Twierdzy, tym las stawał się ciemniejszy i bardziej ponury. Choć oczywiście jazda w dzień drogą przez straszną knieję była niczym w porównaniu z przedzieraniem się przez nią w nocy. Obawiała się trochę, czy nie natknie się znowu na jakieś leśne potwory, ale nie spotkała żadnych zębatych kreatur. Jedynymi paskudnymi stworzeniami, jakie pojawiły się na jej drodze, był oddział łupieżców. Na widok jadącej z przeciwka dziewczyny zbiry zgodnie wyszczerzyły swoje brudne, popsute zęby. Dowódca z szerokim uśmiechem podjechał bliżej. I wylądował zaraz na drodze wysadzony z siodła siarczystym policzkiem.

– Czego się szczerzysz?! – warknęła Salianka. W końcu nadarzyła jej się okazja, żeby wyrzucić z siebie trochę złości. Uznała, że grzechem byłoby taką sposobność zmarnować, poza tym ktoś zbliżający się do innych z tak cuchnącym oddechem zasłużył sobie na o wiele brutalniejsze potraktowanie niż policzek.

Łupieżca poderwał się zaraz, przewracając ślepiami w gniewie. Zaczął coś bełkotać, a jego podwładni sięgnęli po broń. Mieli się już rzucić na niepokorną pannicę, kiedy leżący przy drodze konar poderwał się nagle z ziemi i przeleciał im tuż nad głowami, zmuszając ich do całkowicie dobrowolnego pospadania z koni.

– Uspokójcie się, barany, bo otworzę Wrota – zagroziła królowna, doszedłszy do wniosku, że czas przejść do konkretów. Jakby co, zawsze zdąży im jeszcze cuchnące mordy obić, byle nie własnoręcznie.

Podziałało od razu. Wszyscy zamarli w pozycjach zapewniających możliwość natychmiastowej ucieczki. Każdy w Twierdzy słyszał o Wrotach. Łupieżcy wytrzeszczyli na Saliankę oczy, gorączkowo szukając w pamięci wizerunku Czarownicy z Twierdzy. Niewielu ją widziało, krążyły co prawda wśród ludzi plotki, głównie wspominające o haczykowatym nosie i kurzajkach, ale kto by tam wierzył w takie szeptane informacje. Zwłaszcza, że jeżeli rozczochrana dziewczyna ze śladami jakichś mazideł na twarzy rzeczywiście była Czarownicą, to za brak szacunku mogła łupieżców spotkać straszliwa kara. Dla bezpieczeństwa własnych zadków lepiej było jej uwierzyć.

Dowódca pozbierał się najszybciej. Kiedy chodziło o sprawy życia i śmierci, zwłaszcza jego własnego życia i jego potencjalnej śmierci, umiał całkiem szybko myśleć.

– Pani! – wybełkotał, chyląc nisko głowę i wręcz rozplywając się we własnej służalczości.

– Tak lepiej – pochwaliła królowna. Ucieszyła się, że szybko załapali, o co chodzi, bo po

pierwsze, głupio jej było łać własnych ludzi, w końcu i tak co rusz obrywali od Ulka. Po drugie zaś, byli jej ci łupieżcy potrzebni niepobici i zdolni do działania. Salianka miała plan, któremu przydałaby się szybka realizacja.

– Słuchać mnie teraz, tylko dokładnie. Bardzo dokładnie – huknęła, że aż się skulili. – Tu niedaleko jest wioska. Tą drogą, w stronę Dolin. Pojedźcie do tej wioski, ale nie będziecie łupić ani mordować!

Na kilku twarzach pojawił się wyraz zawodu.

– Tylko żebyście na pewno nie łupili i nie mordowali – zastrzegła na wypadek, gdyby nie pojęli za pierwszym razem. – Bo jak się dowiem, że któryś sobie pohulał, to każę wszystkich rzucić z murów! Zrozumiano?

Niechętny pomruk świadczył, że owszem, łupieżcy przyswoili polecenie.

– W tej wiosce znajdziecie okazałą chatę. Mieszka w niej taki jeden, co ma twarz jak knur. Dla pewności pytajcie o ojca Jontka-żaby. Jak znajdziecie, to go zabierzcie i niech jeden czy dwóch z was odstawi go do Twierdzy. Nic nie palcie, nic nie grabcie!

Pokiwali głowami, że dotarło.

– Będą tam też wędrowni kuglarze. To tacy ludzie w kolorowych ubraniach, pokazują sztuczki na jarmarkach – ciągnęła cierpliwie królowa świadoma ich ograniczeń umysłowych.

– Ci, którzy nie wrócą z więzaniem do Twierdzy, pójdą do nich i zaproponują im eskortę do dowolnego miejsca. Wiecie, co to jest eskorta?

Po wyrazie ich twarzy, bardziej tępy niż zazwyczaj, poznała, że nie wiedzieli.

– To znaczy, że pojedziecie z nimi, nie skrzywdzicie ich i nie pozwolicie nikomu innemu ich skrzywdzić – wyjaśniła. – Zrozumiano?

Pokiwali energicznie głowami. Salianka, doskonale wiedząc, jak to jest u łupieżców z rozumieniem, skinęła na dowódcę.

– Powtórz – rozkazała.

– Nie grabić, nie niszczyć, nie palić, nie mordować, doprowadzić ojca Jontka-żaby do Twierdzy, pilnować kuglarzy, nie robić im krzywdy – powtórzył posłusznie, a na jego twarzy odmalował się straszliwy wysiłek.

Podkomendni spojrzeli na niego z lęklwym uznaniem. Rzadko zdarzało im się oglądać takie przejawy intelektu.

– No to już! – ponagliła ich królowa.

Odjechali pospiesznie, oglądając się na nią. Ona się nie oglądała. Przed sobą widziała już Twierdzę, ponure zamczysko uczepione skały. Niewyobrażalnie wysoki, gładki mur odgradzał budowlę od reszty świata. Wyrastające ponad nim wieże, pouszkodzone przez wieki wichur i burz, zdawały się rozdzierać szare niebo na części. Nawet trawa porastająca plackami wzgórze, na którym wzniesiono budowlę, wydawała się być szarawa. Z całą pewnością daleko jej było do zieleni lasów wokół Dolin. Całość wyglądałaby nawet dość malowniczo, gdyby dodać księżyc w pełni, noc bez gwiazd i kilka nietoperzy. Zakładając

oczywiście, że się lubi takie widoczki.

Lewitacja konara, nieźle, pochwały ją Wrota, które im bliżej była Twierdzy, tym bliżej się przysuwały.

– Przygotujcie się – odparła. – W Twierdzy są inteligentniejsi, nie takie głąby. Tam jest Rada. Jeśli staną przeciw mnie...

Przeciw nam, poprawiły Wrota.

– Przeciw nam – powtórzyła królowna – to nie wystarczą moje sztuczki.

Droga zrobiła się kręta, stroma, niełatwa do pokonania, ale Wiatrobiegły dobrze sobie radził. Nie trwało długo, jak dotarli do samej Twierdzy.

Salianka wstrzymała konia delikatnie, żeby go przypadkiem nie skłonić do galopu. Stali już przed solidnych rozmiarów bramą, a znad niej spoglądała na nich ogromna, paskudnie wykrzywiona kamienna morda z wytrzeszczonymi oczami i wystawionym językiem. Królowna, której pierwszy raz zdarzyło się oglądać bramę od zewnątrz, aż się wzdrygnęła. Jeśli płaskorzeźba miała odstraszać niepożądanych gości, to świetnie spełniała swoje zadanie.

– No! – Salianka ponagliła Wrota. Im szybciej będzie miała za sobą tę przeprawę, tym lepiej.

Skrzydła bramy uchyliły się same, bez udziału strażników przy kołowrocie. Ich towarzysze trzymający wartę na murach i wieżach wychylili się, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Na wszelki wypadek przygotowali też łuki i kusze. Pod ich czujnymi spojrzeniami królowna wjechała na pierwszy dziedziniec.

W zamierzchłych czasach budowniczo Twierdzy przedzielili główny dziedziniec budynku murem, niższym niż ten, który oddzielał ją od okolicy, ale równie ponurym. W ten sposób powstały dwa dziedzińce. Większy, znajdujący się przy bramie, służył łupieżcom. Dzielili tam łupy, naprawiali broń, urządzali nocne popijawy. Ich kwatery też ulokowano w tej części budowli, dzięki czemu zawsze było tam pełno ludzi i nawet szare mury traciły trochę ze swej smętności, gdy odbijały się od nich nieprzyzwoite piosnki, do których łupieżcy żywili osobliwe upodobanie. Natomiast mniejszy dziedziniec, otoczony łańcuchami krużganków, zarastał pajęczynami.

W pobliżu bramy jak co dzień tętniło życie. Niektórzy łupieżcy właśnie wrócili z łupami, inni dopiero po łupy wyruszeni. Większość porzuciła swoje zajęcia, gdy brama otworzyła się sama z siebie. Za dziewczyną, która wjechała do Twierdzy w chwilę potem, odwróciło się wiele głów. W końcu nieczęsto trafia się widowisko.

Rozczarowali się szybko, bo Salianka ani myślała robić przedstawienia. Nie bez trudności zatrzymała wierzchowca, zsiadła z niego i stanęła przed koniecznością uwiązania go do czegoś. Tyle że przywiązać go nie tylko nie było do czego, ale nawet nie było czym. Królowna poczuła się szczęśliwa, że jest znowu w domu i może zrobić to, na czym zna się wyśmienicie, mianowicie zrzucić problem na cudze barki. Odwróciła się do najbliższego stojącego mężczyzny.

– Do stajni z nim i mają tam dobrze o niego zadbać – rozkazała bez ceregieli.

– Co to ma, do diabła, znaczyć? – warknął w odpowiedzi zagadnięty.

Saliance do głowy by nawet nie przyszło, że ktokolwiek w Twierdzy mógłby się tak do niej odezwać. Może to i Rada rządziła, ale wszyscy wiedzieli, że królowna ma w głowie drzwi do piekieł i lepiej jej nie denerwować. Zdziwiona śmiałością mężczyzny zaszczyliła go spojrzeniem. Nie widywała go wcześniej. Był wysoki, postawny, jasnowłosy i niebieskooki. Zupełnie jak Gawarek i Ulk. Tylko bardziej niezadowolony i rozzłoszczony. I trochę od nich starszy.

– Do stajni – powtórzyła, cedząc słowa. Jeśli przez jej nieobecność ludzie pozapominali, kto tu odziedziczył tron, to należało im szybko przypomnieć. – Każ stajennym się o niego zatroszczyć. Ale już!

Tym razem nie zdążył jej odwarknąć, choć widać było, że ma na to ochotę, bo na dziedziniec wparowała rozpromieniona niania niosąca kuferek z koroną, a za nią, prawie łamiąc sobie w pośpiechu nogi na wąskich schodkach, Dawasz i reszta Rady. Wyglądało to, jakby stado mumii opuściło swoje sarkofagi, żeby wypróbować sprawność swoich zabalsamowanych ścięgien i kości. Na ich widok nieliczni cierpliwi gapie, wciąż liczący na widowisko, rozpierzchli się do swoich zajęć. Radzie nikt nie zamierzał wchodzić w drogę.

– Wróciłaś, Pani – Drugi skłonił się przed nią, nie kryjąc zdumienia. – Myśleliśmy, że przepadłaś na wieki.

– Nie ma tak dobrze – oświeciła go zjadliwie Salianka, spoglądając z ukosa. – Wypoczynek mi się znudził. Wróciłam – dodała złowrogo.

Widziała po twarzach członków Rady, że są zdumieni. Nie zdarzyło się wcześniej, żeby ich Pani opuszczała Twierdzę, a potem wracała tak nagle i zachowywała się... no cóż, jak władczyni. Nie bardzo wiedzieli, co teraz mają robić.

Niania wyciągnęła koronę i próbowała nasadzić ją na głowę swojej szczęśliwie odzyskanej kruszynie. Salianka wyrwała jej złotą obręcz.

– Kowala – zażądała takim tonem, że nikt nawet nie odważył się zapytać po co.

Kiedy sprowadzono nieszczęśnika, rzuciła mu koronę.

– Poszerz to – rozkazała. – Lepiej, żeby mnie więcej nie cisnęło. Lepiej dla ciebie, rzecz jasna.

– Ależ, Pani – zaprotestował pełen oburzenia Dawasz. – Korona musi utrzymywać Wrota zamknięte.

– Bzdury! – machnęła lekceważąco ręką. Już postanowiła, że od razu weźmie byka za rogi, raz a dobrze, i nigdy więcej przyciasnych insygniów władzy nosić nie będzie.

Któryś ze stojących za nim członków Rady, pulchny i rumiany, wystąpił do przodu.

– Rada nie zgodzi się na to – oznajmił patetycznie, składając godnie dłonie na wystającym brzuchu.

– A skąd pomysł, że w ogóle potrzebuję waszej zgody? – zapytała królowna, unosząc

lekko brwi. – Kto to w ogóle jest? – zapytała niecierpliwie. Już druga obca osoba nie okazywała jej szacunku. Coś takiego było zrozumiałe w Dolinach, ale nie tutaj. Nie w jej Twierdzy.

– Nowy Trzeci – wyjaśnił pospiesznie Dawasz. – Po twoim zniknięciu, Pani, pojawiły się pewne braki przy stole Rady. – Pozwolił sobie na porozumiewawczy uśmiezek, sugerujący, żeby dla dobra obu stron zapomnieć o tym, co było, i żyć dalej jak gdyby nigdy nic.

– I pojawią się następne – obiecała Salianka, ignorując niewypowiedzianą sugestię. – Tego grubego wyrzucicie za mur. A ty? – spojrzała na mężczyznę, któremu kazała zająć się koniem. – Długo masz zamiar iść do tej stajni?

– To nowy Ósmy, Pani – konspiracyjnie szepnął Dawasz.

– Nie za młody? – zdziwiła się królowna, zerkając na resztę Doradców, która wspólnie miała z tysiąc lat. – A zresztą co mnie to obchodzi? Jeśli zaraz nie zatroszczy się o mojego konia, to znowu zaczniecie mieć braki. Coraz większe.

Nie spodobał im się jej ton, bardzo się nie spodobał. Widziała to na ich twarzach. Lada chwila któryś postanowi zaryzykować, bo a nuż Wrota się nie otworzą. I do tego nowy Ósmy Rady stał dalej z dłonią na szyi Wiatrobiegłego, nie zdradzając chęci wykonania polecenia. I jakoś opieszale straż brała się za zrzucanie Trzeciego z murów.

– Nie jest dobrze – powiedziała w duchu Salianka do Wrót. Zaczynała już trochę panikować.

Będzie dobrze, zapewniły ją Wrota i otworzyły się.

Przed Dawaszem stała ta sama królowna, przynajmniej od zewnątrz. A przez brązowe oczy spoglądała na niego już nie Salianka, ale Wrota, w Dolinach uznawane za wielką czarodziejkę. A i w Twierdzy, choć mniej popularne, były równie potężne.

Pierwsza leniwie, jakby od niechcenia, uniosła prawą dłoń, a razem z jej dłonią zaczął się unosić Trzeci. Powolutku, tak że wszyscy mogli mu się dokładnie przyjrzeć. On sam wrzeszczał jak zarzynana świnia i wymachiwał bezładnie wszystkimi kończynami. Wyglądał nawet zabawnie. Królowna wykonała nagły wymach, jakby coś rzucała, i Trzeci poszybował w niebo i hen za mury, coraz szybciej. Zniknął z pola widzenia, a z zasięgu słuchu zniknął też jego krzyk.

Dziewczyna stała przez chwilę nieruchomo, wyglądała jak osoba pogrążona w głębokim namyśle.

– *Nie* – powiedziały głośno Wrota. – *To trochę nieekonomiczne, nie uważacie?*

Uczyły dłonią ruch, jakby przyciągały coś do siebie. Najpierw usłyszeli krzyk, a potem nadleciał rozpaczliwie wierzgający Trzeci. Tuż nad ziemią wyhamował i opadł lekko i delikatnie jak piórko.

– *Dajcie mu ścierkę, będzie polerował krużganki* – polecily Wrota. – *Strasznie tu brudno* – rozejrzały się z niesmakiem.

Członkowie Rady, strażnicy, służba, wszyscy stali z twarzami zastygłymi w wyrazie

absolutnej grozy i milczeli.

– *Ktoś jeszcze ma ochotę na podniebną wycieczkę?* – zapytały zniecierpliwione Wrota.

Natychmiast się ożywili. Kto mógł, odbiegł pędem do swoich obowiązków. Strażnicy złapali Trzeciego, który ciągle kwilił ze strachu, i zawlekli go do pomieszczeń służby. Ósmy Rady zaprowadził konia do stajni. Kowal pospieszył do kuźni poprawić koronę.

Wrota wycofały się cichutko, robiąc miejsce dla Salianki, która obrzuciła wszystko i wszystkich triumfalnym spojrzeniem. Przypadkiem jej wzrok napotkał też wypolerowaną tarczę, którą ktoś zostawił opartą o mur. Widok czegoś tak czystego i zadbanego w Twierdzy był prawdziwie niecodzienny, ale królową bardziej niż sama tarcza zajęło własne odbicie. Przyglądała się sobie długą chwilę w ponurym milczeniu. Przez półtorej doby, która minęła od czasu, kiedy ostatnio miała okazję zobaczyć własną twarz, dużo się zmieniło. Na gorsze.

– Nasi łupieżcy napadają różne karawany, prawda? – zapytała, nie odrywając wzroku od tarczy. – W tym takie z różnymi mazidłami, perfumami, pomadami i takimi tam?

Pytanie nie było skierowane do nikogo konkretnego, ale wszyscy obecni na dziedzińcu zgodnie zwrócili wyczekujące spojrzenia na Dawasza. W końcu był on Drugim Rady, a z tym wiązały się nie tylko przywileje, ale i pewne obowiązki.

– Tak, Pani – odpowiedział uprzejmie, choć w jego głosie słycać było nutę ostrożności.

– I gdzie to składujemy? – Salianka nadal przyglądała się sobie z rosnącym przygnębieniem.

– Tak, Pani.

– Nianiu! – krzyknęła królowa. Kobieta natychmiast podeszła bliżej i pogłaskała ją po policzku, mamrocąc coś pod nosem.

– Idź do tego składu, czy co to tam jest – poleciła jej podopieczna. – I przynieś mi te wszystkie mikstury, których księżniczki używają na co dzień.

Niania posłusznie odczłapała, ściskając pod pachą pustą skrzynkę po koronie.

Salianka przestała się przygnębiać widokiem własnej twarzy i rzuciła nieprzychylnym okiem na swoich poddanych.

– Każcie przygotować mi gorącą kąpiel. I chcę usłyszeć jakieś sprawozdanie o tym, co tu się działo, kiedy mnie nie było, i co się dzieje teraz. A służba ma się zająć czyszczeniem posadzek, kolumn, schodów, WSZYSTKIEGO. Brudno tu jak w chlewie! I od dzisiaj, moim specjalnym edyktem, każdy, kto wlezie w brudnych butach na czystą posadzkę, dostanie baty. Albo nie – olśniło ją nagle. – Żadnych batów. Dostanie ścierę i będzie przez cały dzień sprzątał.

Nic nie powiedzieli, bo замуrowało ich z trwogi. Królowa nie raczyła się więcej do nich odezwać, odeszła do swoich komnat, pozostawiając na dziedzińcu swoich wiernych, osłupiałych i sterroryzowanych poddanych.

* * *

Długa, gorąca kąpiel okazała się być cudownym zamiennikiem eliksiru młodości, życia, a także paru co przyjemniejszych używek. Dała też Saliance siłę do zmierzenia się z dość trudnym zadaniem, jakim było poprawienie własnej urody przy użyciu wszystkiego, co niania przyniosła. A trzeba przyznać, że starowinka naprawdę się postarała. Przegrzebała wszystkie skrzynie pełne ukradzionych dóbr, zastawiając stoliczek w sypialni swojej kruszynki zapasem wystarczającym do upiększenia kilkudziesięciu maszkar, a co dopiero jednej średnio ładnej dziewczyny. Królowną tak pochłonęła praca nad poprawą własnego wizerunku, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę z obecności w komnacie służby, która cichutko i sprawniutko szorowała co się dało, starając się przy tym nie wpadać swej Pani w oczy. Ich obecność przypomniła Saliance o sprawach organizacyjnych związanych z rządzeniem Twierdzą.

W dniu, kiedy jej kruszyna zyskała świadomość, niania przeżyła szok i zwariowała, niestety, mimo to nadal była przydatna.

– Mamy tu jakąś ochmistrzynię? – zapytała nagle.

Służący zdążyli wcześniej usłyszeć, co ich Pani wyprawiała na dziedzińcu, i byli mocno znerwicowani przez sam fakt przebywania z nią w jednym pomieszczeniu. Choć bardzo się starali, ze strachu nie byli w stanie wydusić z siebie słowa. Królowna westchnęła ciężko.

– Odpowiadać! – huknęła, aż im z trzęsących się rąk szmaty powypadały.

– Jest ochmistrz, Sampsa – powiedział ktoś drżącym głosem.

– Przeprowadzić mi go tu – zażądała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Rozkaz wykonano niezwłocznie i przed oblicze Pierwszej Rady trafił chudy, brodaty starzec o haczykowatym nosie, niezbyt szczęśliwy z wezwania, choć w widoczny sposób pogodzony ze swoim najpewniej strasznym losem.

– Siadaj. – Salianka, wciąż bardziej zaabsorbowana własnym odbiciem niż resztą świata, machnęła ręką w kierunku stojącej pod ścianą ławy.

Usiadł posłusznie.

– Mamy problem – poinformowała go z niesmakiem królowna. – Brudno tu, obrzydliwie, co to w ogóle za zamek? Dziwne, że jeszcze stoi, powinien runąć pod ciężarem kurzu!

– Zawsze tak było, Pani. – Sampsa wzruszył ramionami jak ktoś świadomy, że z pewnymi siłami po prostu nie da się wygrać. – W niechlujstwie i degeneracji wzrastała złowroga potęga.

– To teraz będzie wzrastała w czym innym – orzekła stanowczo Salianka. – Są na tym świecie czyste zamki i ich mieszkańcy nie tylko żyją, ale jeszcze nieźle prosperują. Dlatego, mój drogi Sampso, dopilnujemy, żeby i u nas tak było.

W steranych życiem oczach starca zapaliły się nieśmiało iskierki entuzjazmu. W miarę jak królowna mówiła, iskierki zamieniały się w płomień.

– Po pierwsze, koniec z marnotrawieniem jeńców i więźniów – zaczęła wyliczać. – Od dzisiaj każdy z lochów idzie do sprzątania, a nie na szafot jak dotąd. Twierdza jest duża,

potrwa parę tygodni, zanim będzie jako tako wyglądać. Po drugie, jak już wspomniałam Radzie, każdy, kto zostanie przyłapany na brudzeniu, dostaje ścięgę i cały dzień ma sprzątać. To ich oduczmy nanoszenia błota na posadzki i macania kolumn tłustymi paluchami. Po trzecie, wszyscy mają się kąpać raz w tygodniu, co najmniej.

– Pani – ośmielił się wtrącić Sampsa – obawiam się, że łupieżcy mogą tego nie przeżyć.

Królowna porzuciła chwilowo lustro i zasepiła się nad nowym problemem.

– Niech to diabli, rzeczywiście. Niech będzie raz na miesiąc, ale tylko w przypadku łupieżców. Reszta częściej.

– Tak, Pani. – W oczach ochmistrza załśniły łzy wzruszenia. Od lat już sprawował tę niewdzięczną funkcję w miejscu, gdzie ludzie nieświadomi byli faktu, że niektóre rzeczy w swoim stanie naturalnym bywają czyste. Pokolenia pajaków i szczurów zagarnęły dla siebie całe pomieszczenia, a mrówki regularnie urządzały przemarsze z jednego końca Twierdzy na drugi. A teraz to wszystko miało się nareszcie zmienić. W jego starych oczach królownie urosły u ramion skrzydła niemal anielskie. Czarne co prawda i mroczne, ale jednak skrzydła.

– To do roboty – pogoniła Sampse jego Pani. – A jak ktoś się będzie stawiał, to przyślij go do mnie.

Ochmistrz wycofał się z komnaty, bijąc czołem o ziemię ze szczęścia.

Salianka stwierdziła, że rządzenie może sprawiać satysfakcję. Zwłaszcza że miała nadzieję zobaczyć wkrótce całą Radę szorującą po sobie brudy. Było bardzo prawdopodobne, że sprawdzą empirycznie, czy rzeczywiście zamierza egzekwować swoje rozkazy. A zamierzała, i to jak. Po raz pierwszy w swoim krótkim świadomym życiu robiła coś nie tylko nie za ich zgodą, ale i przeciw nim. To czyniło całą sprawę jeszcze bardziej zajmującą. Jedno spojrzenie w lustro upewniło ją, że z całą pewnością wygląda znowu na królownę, i to taką z Twierdzy. W związku z tym mogła wyjść między ludzi, a konkretnie: do swojej sali tronowej, i zasiąść na swoim tronie. Zebrani wokół członkowie Rady i dworzanie obserwowali to na pozór obojętnie. Królowna usadowiła się wygodnie i spojrzała wyczekująco na zebranych. Natychmiast wszyscy zgodnie udali, że cały czas patrzyli i nadal patrzą w inną stronę.

– Sprawozdanie – przypomniała z naciskiem Salianka.

– Naprawiliśmy Twierdzę – wyrwał się Szósty Rady, i to jeszcze z lekką pretensją w głosie. Najwidoczniej chciał przypomnieć swojej Pani, kto Twierdzę zepsuł.

– I słusznie. – Królowna zgromiła go wzrokiem. – Coś jeszcze?

– Nadal podejmujemy wyprawy, ale ostatnio pojawiły się trudności – skrzywił się lekko Dawasz.

– Tak, wiem, wielki wojownik Ulk. – Salianka machnęła lekceważąco dłonią. – Już mi się niedobrze robi, jak o nim słyszę.

– Nasi łupieżcy nie dają sobie z nim rady, ale dalej próbujemy.

– Przestańcie próbować – zarządziła królowna. Nie zauważyła, że po raz pierwszy w życiu zaczyna włączyć Twierdzę. Ale inni zauważyli. – Szkoda naszych ludzi, tylko oberwą.

– Twierdza nigdy nie cofała się przed niebezpieczeństwem – ryknął patetycznie Siódmy.
– To tchórzostwo!

– To taktyka – sprostowała Salianka, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma go za największego głupka na sali. – Też na tę samą literę, ale znaczy coś innego. Ulk siedzi w Dolinach, więc my wyślemy łupieżców w przeciwnym kierunku. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, ale świat ma aż cztery strony, a my od lat uparcie pchamy się w jedną. – Było to takie proste, że aż nie chciało się wierzyć, że żaden z jej przodków na to wcześniej nie wpadł.

– Zostawiamy Doliny, ruszamy w przeciwną stronę, więc zostały nam jeszcze dwie strony świata – zauważył przytomnie Dawasz. Skoro już ich Pani zaczęła rządzić, należało sprawdzić, jak daleko ma się zamiar posunąć. – Co z nimi?

– Wyślij do nich kogoś – poleciła natychmiast. – Powiedz, że proponujemy opłatę celną w zamian za bezpieczny przejazd przez tereny należące do Twierdzy. Kupcy od razu na to pójda, dotąd musieli nas omijać, podróżować przez Ujście. – Królowna zdziwiła się przelotnie, jak łatwo jest rządzić. Pomysły same wpadały jej do głowy, jakby tylko czekały, aż ona sama wreszcie zabierze się za to, co należało jej się z urodzenia.

– Mamy zmienić się w handlarzy? – obruszył się Siódmy.

– Przez ostatnie kilkaset lat łupiliśmy i co z tego mamy? Brudną Twierdzę. Najwyższy czas na odrobinę pragmatyzmu – oznajmiła królowna, waląc pięścią w oparcie tronu. – Żadnych komentarzy więcej, bo każę ci zamiatać dziedziniec – dodała, widząc, że Siódmy znowu chce coś powiedzieć. – A jeśli chodzi o sprzątanie dziedzińca i całej reszty, to od dzisiaj wszyscy jeńcy i więźniowie, jeśli jacyś jeszcze żyją, dostają miotłę albo ścierkę i idą sprzątać. Za tydzień Twierdza ma... niekoniecznie lśnić, ale przynajmniej być czysta. I jeszcze... – zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć. Skinęła na Dawasza. Kiedy pochylił się ku niej, zapytała: – Jak się nazywa Ósmy Rady?

– Plaskat, Pani.

– Plaskat – powiedziała głośniejszym głosem. – Co z moim koniem?

– W stajni, Pani. – Zapytany skłonił się nisko, co Salianka przyjęła z satysfakcją. Młody szybko się uczył. – Dobrze nim się tam zajmują.

– Świetnie. W takim razie narada zakończona – stwierdziła ucieszona królowna, zszła z tronu i poszła sobie.

* * *

Po tygodniu wytężonej pracy, do której uskrzydłony rozkazami królowny Sampsa zaganiał kogo się tylko dało, Twierdza zrobiła się zdecydowanie czystsza. Jedynymi członkami Rady, którym udało się uniknąć sprzątanego po sobie, byli Dawasz i Plaskat. Ten ostatni zresztą prawie się nie pokazywał, nader starannie trzymając się z dala od Salianki,

czego ona i tak nie zauważyła. Zbyt pochłaniało ją nadzorowanie czyszczenia posadzek, których stan z nieznanymi pozostałym mieszkańcom Twierdzy powodów zajmował szczególne miejsce w jej sercu. Twierdza była rozległa, więc kontrolowanie czyścicieli zajmowało królownie dużo czasu. Potrafiła zniecka stanąć przy dyszącym z wysiłku nad szmatą członkiem Rady, żeby sprawdzić jego postępy w szorowaniu podłogi. Nie dość, że z naciskiem wskazywała mu, gdzie niewystarczająco się przyłożył do pracy, to jeszcze korzystała z okazji i wypytywała go o postępy w negocjowaniu opłat celnych z Nadrzeczem i Wzgórzami lub w napadach na Rozstaje. W ciągu tego tygodnia wielu szczerze znieubiło swoją Panią.

Jej samej to nie przeszkadzało – zawsze wydawało jej się oczywiste, że królowna z Twierdzy musi być nie lubiana zarówno przez wrogów, jak i przez własnych poddanych. Zresztą nie sądziła, by członkowie Rady byli na tyle głupi, żeby wystąpić przeciw niej. Salianka, jaką władczynią była, to była, ale i tak jawiła się jako coś o niebo lepszego od czasów, kiedy rządził jej ojciec, a raczej demony, które go opętały. Z tego powodu mogła aż do późnej nocy spokojnie przechadzać się po Twierdzy, z uśmiechem aprobaty oceniając czystość podłóg.

Uśmiech znikł z jej twarzy, kiedy na jednym z korytarzy natknęła się na ogromne ślady z błota. Bez wahania złapała najbliższy świecznik i energicznie podążyła brudnym tropem z zamiarem złojenia tego, kto śmiał nabrudzić. Ślady prowadziły do mało uczęszczanych korytarzy na tyłach Twierdzy, w pobliżu okien, przez które Salianka kiedyś zwykła obserwować świat poza swoim zamkiem. Ciszę nocy przerywały dziwne odgłosy, jakby mlaskanie, szturchanie, powarkiwania. Nie były to odgłosy, jakie mógłby wydawać jakiś maruder w zabłoconych buciorach. Królownie przemknęło przez myśl, że może przydałoby się zażądać pomocy od Wrót, ale zaraz zrezygnowała z tego pomysłu. To w końcu była jej Twierdza i chyba nadszedł czas, żeby spróbować rządzić nią samodzielnie... Przynajmniej w pewnych określonych granicach. Przepędzić intruza Salianka potrafiła sama. Jeśli nie siłą, to mocą Strażniczki. Na wszelki wypadek mocniej chwyciła świecznik, nabrała powietrza i wyskoczyła zza załomu korytarza gotowa sprać każdego, kto wpadnie jej pod rękę.

Nie udało jej się to, bo wielki wojownik Ulk zabrał jej niebezpieczne narzędzie i bez wysiłku zgniótł w dłoni. Żądza mordy w królownie lekko oklapła, ale niezadowolenie i pretensje pozostały.

Wojownik stał sobie w korytarzu ot tak, zdawał się być nieświadomy, że znajduje się na terenie wroga. Do tego uśmiechał się do Salianki, jakby spotkanie z nią nappełniało go radością. Brakowało tylko, żeby oznajmił, że przybył do Twierdzy tylko i wyłącznie dlatego, że dokuczała mu tęsknota za jej Władczynią.

Królowny nie ucieszył jego widok. Wprawdzie to Gawarka bardziej nie lubiła, a Ulk w zasadzie jej nie przeszkadzał, no chyba że akurat gromił łupieżców, ale w tej chwili każdego z nich powitałaby z równą niechęcią. Przypominali jej o niechlubnej przeszłości sprzątaczką w

Dolinach i o tym, że to właśnie ona przyczyniła się do powstania największego wroga Twierdzy. Teraz, powróciwszy na należne jej stanowisko Pierwszej Rady, wołała nie pamiętać ani o jednym, ani o drugim. Były to zbyt kłopotliwe wspomnienia.

– Naniósłeś błota – skrzywiła się na widok kałuży wokół jego stóp. – Wiesz, jak denerwujące jest czyszczenie posadzek, po których zaraz jakiś głąb przejdzie w brudnych buciorach? – Po jego minie poznała, że nie wiedział. – A tak w ogóle, to co ty tutaj robisz? – Zdążyła sobie wyobrazić, co by było, gdyby ktokolwiek, zwłaszcza któryś z członków Rady, zobaczył go tutaj. Przerazona taką możliwością Salianka z trudem zdusiła w sobie paniczną chęć natychmiastowego wypchnięcia intruza za mury.

– Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku – powiedział niepewnie. Powitanie, jakie zaserwowała mu królowna, niezbyt pasowało do jego oczekiwań. – Tak nagle zniknęłaś.

– Troszczysz się o mnie? – prychnęła. Na nic jej była jego troska, mógł co najwyżej narobić problemów. – Niepotrzebnie. Znudziło mi się szorowanie podłóg, kłanianie się wszystkim i znoszenie Gawarkowego gadania.

– Chyba nie było ci u nas aż tak źle? Przecież... – zająknął się. Cokolwiek chciał powiedzieć, nieprzyjazne spojrzenie dziewczyny odwiodło go od tego. – Łupieżcy nie napadają na Doliny tak często jak wcześniej.

– Nie dlatego, że tak was lubię – wyjaśniła, akcentując mocno słowa. – Tylko dlatego, że za każdym razem spuszczałeś im solidny łomot. Napadanie na Doliny przestało się opłacać.

– Aha – powiedział wyraźnie zafrasowany Ulk. – Myślałem... Gawarek myślał, że może...

– On czasem myśli? – zdziwiła się uprzejmie królowna. – Nie mów – dodała, widząc, że wojownik chce kontynuować. – Nie chcę wiedzieć, co tym razem wymyśliło twoje drugie ja. Powiedz mi tylko, co z Pazurem? Pamięta jeszcze któryś z was, że masz... macie psa?

– Pamiętam, dbam o niego. Ale tęskni za tobą.

– Nie można mieć wszystkiego. – Wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru ani słowem wspomnieć, że ona też tęskni. W końcu na całym podłym świecie tylko Pazur kochał ją bezinteresownie. – Po to się tu przywlokłeś?

Pod ścianą coś zaszamotało się, zamlaskało.

– Co to jest? – zapytała podejrzliwie Salianka, wyglądając zza ramienia wielkiego wojownika. Cokolwiek by tam ciamkało, wołała, żeby oddzielały ją od tego jego mięśnie. – Coś ty tu przyniósł?

– Główny powód mojej wizyty. – Ulk podszedł do ogromnego płóciennego wora, w którym miały się różne kształty. – Demony. Nie musiałem bronić wioski przed łupieżcami, to zająłem się wyłapywaniem plugastwa. Muszę je odesłać z powrotem do ich piekieł.

– No nie – jęknęła rozpaczliwie królowna. – To już chyba wołałabym wiedzieć, co Gawarek wymyślił. Żartowałam – dodała pospiesznie, zanim wojownik zdążył coś powiedzieć. Podeszła do wora i ostrożnie trąciła go stopą. – Nie da się z nimi nic innego zrobić, prawda? – westchnęła, nie oczekując najwidoczniej odpowiedzi na pytanie. –

Słyszałyście? – zapytała cicho Wrota.

Słyszałyśmy, odpowiedziały. Też wydawały się nie być zadowolone. *Daj nam chwilę*.

Królewna odsunęła się od uwięzionych demonów. Wcale jej nie cieszyło to, co miało za chwilę nastąpić. Co więcej, najchętniej uciekłyby na drugi koniec Twierdzy. Ale to nic by nie dało. Demony by nie znikły. Bała się ich przez całe swoje świadome życie, ale jej strach nie miał mocy zmieniania świata. Cokolwiek jeszcze znajdowało się po drugiej stronie Wrót, cokolwiek chciałoby przez nie przejść, było częścią życia Salianki. Pozostawało tylko stawić temu czoło, jak prawdziwej Pani Twierdzy przystało, niezależnie od tego, czy chciała tej konfrontacji czy nie. A, tak w kwestii formalnej, nie chciała.

– Przygotuj się – powiedziała do Ulka. Spodziewała się, że głos jej zadrży, ale zdawał się być pewniejszy niż zwykle. – Kiedy skończę liczyć. Pięć... Cztery... Trzy... Dwa...

Wojownik rozluźnił sznur, którym był zawiązany worek. Kształty w środku zaczęły się mocniej szarpać.

– Jeden...

Sięgnął dłonią w głąb worka i schwycił coś, co wydało z siebie nieludzki wrzask.

– *Już!* – krzyknęły Wrota.

Demonów było cztery. Wszystkie wrzeszczące, wszystkie paskudne. Wszystkie rzucone silnym ramieniem Ulka przeszły przez Wrota, a przy okazji i przez Saliankę. Kiedy przeszedł ostatni, dziewczyna osunęła się po ścianie, skuliła i trwała w tej pozycji, przypominając marionetkę, której ktoś nagle odciął sznurki.

– Wszystko w porządku? – zapytał zaniepokojony wojownik, pochylając się nad królewną. Nie zniosła dobrze przejścia demonów, a on żałował, że nie wie, jak jej pomóc.

– Idź sobie – odpowiedziała. Patrzyła w jakiś punkt w posadzce, głos miała lekko zachrypnięty. W głowie jej szumiało, ale przez ten szum przebijało się wyraźne echo czyichś zbliżających się kroków. – Ktoś nadchodzi. Tego tylko brakuje, żeby rozniosła się wieść, że odwiedza mnie największy wróg Twierdzy. Idź!

Ulk posłusznie chwycił pusty worek i pospiesznie opuścił korytarz. Za oknem czekał Płomiennoskrzydły. Ptak-demon wbił się do lotu bezszelestnie, niczym jeden z cieni, i zaraz zniknął w ciemnościach nocy niezauważony przez nikogo. Nadchodzący Plaskat najpierw zauważył błoto zalegające niczym wyrzut sumienia na lśniącej posadzce. Dopiero gdy rozejrzał się w poszukiwaniu winowajcy, dostrzegł swoją Panią. Siedziała skulona pod ścianą, z czołem wspartym na dłoni. Drżała lekko, choć w Twierdzy nie było chłodniej niż zwykle. Salianka sprawiała wrażenie niemal śmiertelnie wycieńczonej i bezradnej jak nigdy wcześniej.

– Pani – Ósmy Rady skłonił się nisko. Nie był pewien, co powinien powiedzieć i czy w ogóle wolno mu w jakikolwiek sposób odnieść się do jej stanu, więc zdecydował się na najbezpieczniejszy temat. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo Pani Twierdzy nie znosi bałaganu. – Zaraz wezwę służbę i każę im uprzątnąć ten bałagan. Winni zaniedbań zostaną ukarani.

– Co? – Królowna podniosła głowę. Na policzkach miała ślady łez. – Jaki bałagan? – Rozejrzała się wokół, jakby dopiero uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. – A, ten. Tak, niech go sprzątną. – Podniosła się z trudem, przytrzymując się ściany. Plaskat chciał jej pomóc, ale odtrąciła jego rękę.

– Znajdź moją nianię i każ jej przynieść mi wino. Dużo wina.

Odeszła chwiejnym krokiem, wspierając się dłonią o mur. Ósmy patrzył za nią. Nie taka miała być Pani Twierdzy. Nie tak ją sobie wyobrażał. Najpierw usłyszał opowieści o Wrotach tkwiących w umyśle Strażnika. Potem poznał kobietę, która z pewnością była prawdziwą Czarownicą. Dowiodła tego tamtego dnia na dziedzińcu. A teraz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Rada nie o wszystkim wie. Że jego starsi towarzysze przeoczyli fakt, że Salianka jest nie tylko Strażniczką i czarownicą, ale też człowiekiem. Bardzo tajemniczym człowiekiem. Plaskat jako jedyny to zauważył. Teraz musiał się tylko zastanowić, jak można tę wiedzę wykorzystać.

* * *

O poranku Salianka obiecała sobie, że więcej się upijać nie będzie. Zanim podjęła to postanowienie, zdążyła spaść z łóżka, potknąć się o własne buty i zwymiotować do wazonu. Nawet cztery demony przechodzące przez Wrota jeden po drugim nie wprowadziły jej w taki stan jak noc spędzona na pijaństwie. No, może jednak demony były o wiele bardziej nieprzyjemne, ale to jeszcze nie powód, żeby dodatkowo pogarszać własne samopoczucie w jakikolwiek sposób.

Służba, która przyszła otworzyć okiennice, została wyrzucona za drzwi. Przez cały dzień królowna nie raczyła opuścić swojego pokoju. Niektórym było to na rękę.

* * *

Dopiero następnego poranka królowna obudziła się rześka i radosna, że wszystkie skutki przeholowania z winem ma już za sobą. Służący, usłyszawszy radosne pogwizdywanie, ośmielili się zajrzeć do komnaty. Salianka, szczęśliwa i daleka od ponownego poniewierania nieszczęsnych poddanych, powitała ich życzliwym uśmiechem. Nawet raczyła otworzyć sama okiennice tylko po to, żeby radośnie podziwiać słońce i swoją czystą Twierdzę. Już ubrana, uczesana i umalowana królowna wyszła na dziedziniec, prawie przy tym tańcząc.

– Trzeźwość to cudowna rzecz – stwierdziła, wdychając głęboko świeże, choć mocno wilgotne powietrze.

Cudowniejsza, niż myślisz, odburknęły w odpowiedzi głęboko urażone Wrota. Wczoraj próbowałaś nas otworzyć!

Mieszkańcy Twierdzy przyspieszali kroku, mijając swoją Panią. Nikt nie ośmielił się

odwrócić w jej stronę, choć każdy kątem oka zauważał, że królowna, jeszcze przed chwilą niespotykana radosna, zbladła straszliwie, a potem poszarzała na twarzy.

– Nie pamiętam – jęknęła Salianka, na próżno szukając w głowie jakichkolwiek śladów własnego postępowania. Pomyśleć tylko, co się mogło stać. I ona sama byłaby temu winna!

My pamiętamy, westchnęły z naganą Wrota. Umęczyłyśmy się, żeby zostać zamknięte.

– Nigdy więcej nie wezmę wina do ust! – postanowiła z ręką na sercu królowna. – Choćby stało się coś najgorszego! Gorszego niż to, co już przeszłam, chociaż to chyba niemożliwe – dodała rozsądnie.

– Masz za sobą aż tak ciężkie przejścia, Pani? – zapytał z uprzejmym, wręcz ostentacyjnie niewinnym zainteresowaniem Plaskat.

Stał tuż obok niej, w drzwiach do stajni. Z jego nieruchomej twarzy nie dało się nic wyczytać, ale spojrzenie niebieskich oczu, tak denerwująco podobnych do Gawarkowych, zdawało się przenikać Saliankę na wylot, odkrywając wszystkie jej tajemnice.

– Sprawdzam, jak ma się twój wierzchowiec, Pani – wyjaśnił, gdy popatrzyła na niego pytająco. Wydawała się być mocno przestraszona, ale raczej nie jego obecnością. – To zwierzę godne króla.

– Mój wierzchowiec? A, mój koń – przypomniała sobie z wysiłkiem królowna. Nie zwierzątka były jej teraz w głowie, myślała raczej o tym, do czego prawie doszło. Nogi jej się uginały w kolanach, gdy uświadomiła sobie, jak mało brakowało, by podzieliła los swojego ojca.

– Ma wytatuowany za uchem herb Dolin – powiedział obojętnie Ósmy Rady. – Mały, prawie nie do zauważenia.

W Saliankę jakby piorun strzelił. Oderwała się od swoich wcześniejszych zmartwień, żeby zająć się nowymi.

– To po co się przyglądałeś tak dokładnie? – zapytała z urazą.

Wzruszył ramionami. Dziewczyna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że rzuca jej wyzwanie.

– Z ciekawości? – bardziej zaproponował odpowiedź, niż jej udzielił. Stało się oczywiste, że nawet kiedy nie było go w pobliżu Salianki, obserwował ją i wszystkie jej poczynania. Pozostawało tylko jedno pytanie: po co?

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – pouczyła go królowna. – Drugim są Wrota w mojej głowie.

Groźba zdawała się nie robić na nim żadnego wrażenia. Uśmiechnął się tylko leciutko. Z tym uśmiechem jeszcze bardziej przypominał Ulka i Gawarka, jakby był ich złą, mroczniejszą wersją.

– Wczoraj, kiedy byłaś, Pani, niedysponowana, ktoś przybył do Twierdzy – zmienił nagle temat. – Niejaki Bolurek. Sługa hrabiego z Ujścia – uzupełnił, widząc, że nie zrozumiała.

– Bolurek? – powtórzyła Salianka. Nie miała głowy do plotek, bardziej zajmowały ją nieprzewidziane skutki własnego pijaństwa, a gdyby potrzebowała jeszcze kilku trosk ekstra,

to zawsze mogła się pomartwić wścibstwem najmłodszego członka Rady.

Bolurek, TEN sługa TEGO hrabiego z Ujścia, przypomniały jej Wrota zniecierpliwione jej tempem myślenia.

– Niech to diabli, ten Bolurek! – zmartwiła się królowna. Tylko tego jej jeszcze brakowało! A przecież powrót do Twierdzy miał być ucieczką od wszystkich trosk, w tym od głupich marzeń o głupiej wielkiej miłości, która przyszła z tak niechcianej strony.

Stałaby tak i załamywała ręce jeszcze może z godzinę, ale Wrota wepchnęły się na przód jej umysłu. Złapały Ósmego za ramię i zaciągnęły do stajni. Zanim zatrzasnęły drzwi, wystawiły jeszcze głowę na zewnątrz, żeby upewnić się jeszcze, że nikt nie zwrócił na nich uwagi. Odwróciły się do Plaskata.

– *Gadaj* – poleciły.

– Jak mówiłem – ciągnął spokojnie Ósmy Rady, obserwując twarz swojej Pani – przyszedł wczoraj. Szukał niejakiej Salianki, posługaczki z zamku Dolin, która podobno opętana przez złe siły została uprowadzona do Twierdzy.

Słuchając tego z zaplecza własnego umysłu, królowna wydała z siebie coś jakby wściekły jęk. Los był naprawdę podły, zsyłając jej mężczyznę, który widać kochał ją nad życie, a do tego miał umysł sflaczałego przygłupa.

– Ponieważ owa posługaczka była miłością życia Bolurka – kontynuował Plaskat – wyruszył na jej poszukiwanie. Dotarł aż do Twierdzy i oznajmił, że w zamian za ową posługaczkę jest gotów zdradzić swego pana i wydać łupieżcom Ujście i Doliny.

Jeśli czekał na jakąkolwiek reakcję swojej Pani, zawiódł się. Twarz królowny była niczym wykuta z kamienia maska, zimna i obojętna. Cały huragan emocji szalał za to wewnątrz jej umysłu.

„Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałam?” – chciała wiedzieć Salianka.

– *Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałam?* – powtórzyły posłusznie Wrota.

– Byłaś niedysponowana, Pani – przypomniał Ósmy. – Z tym sługą rozmówił się Dawasz.

– *I?*

– Zawarli układ. Bolurek będzie szpiegował dla Twierdzy, a my w sprzyjającej chwili zaatakujemy i podbijemy sąsiednie krainy.

– *O tym też nic nie wiem* – stwierdziły głęboko niezadowolone Wrota. – *A powinnam dowiedzieć się najpierw.*

– Zapewne Dawasz nie chciał cię niepokoić, Pani – zauważył beznamiętnie Plaskat. Tym razem królowna wreszcie zareagowała gwałtowniej na jego słowa.

Wcześniej w głowie Salianki powstało pewne zamieszanie, bo królowna uparła się odzyskać panowanie nad sobą. Chwilę potrwało, zanim wypchnęła Wrota na tył umysłu.

– Tak, pewnie – warknęła, marszcząc brwi. Zdenerwowała się tak bardzo, że prawie ignorując obecność mężczyzny, zaczęła chodzić w tę i z powrotem po stajni. – Sam w to nie wierzysz. Ci dranie chcą podbić Doliny i Ujście za moimi plecami! – Zatrzymała się nagle

tknięta nową myślą. – Pozostaje jeszcze jedno pytanie: dlaczego mi o tym powiedziałeś? Nie wątpię, że cała Rada jest wtajemniczona, więc dlaczego, zamiast stać murem z nimi, bierzesz moją stronę?

– Jestem ambitnym człowiekiem – powiedział powoli, patrząc jej prosto w oczy. – I dochodzę do wniosku, że rozsądniej jest trwać po tej stronie, która jest, nazwijmy to, nie do obalenia. Zwłaszcza że niebawem mogą nastąpić pewne zmiany w składzie Rady.

– Chodzi ci o to, że tak jak mój ojciec będę wybijać ich wszystkich dla zabawy? – zapytała Salianka. Uświadomiła sobie, że tego właśnie musieli się wszyscy spodziewać. Członkowie Rady wyciągnęli wnioski z tego, co wyprawiała po powrocie do Twierdzy. Zaczynali się jej bać. Satysfakcja płynąca z tego odkrycia nie trwała długo. Przypomniała sobie, że jej ojca też się bali. Tak długo, że strach stał się nie do zniesienia. Wtedy go zabili.

– Twój ojciec, Pani, był podobno stanowczym władcą – zauważył dyplomatycznie Ósmy. Słyszał wiele o poprzednim Panu Twierdzy. Może nawet zbyt wiele.

– A oprócz tego był opętany przez demony, które wyszły z Wrót – uzupełniła ironicznie królowna. Członkowie Rady jak mogli unikali nazywania niektórych rzeczy po imieniu.

Nie nasza wina! – zaprotestowały w jej głowie oburzone Wrota. *Sam był sobie winien, że nie chciał nas zamykać.*

Przez chwilę Salianka stała nieruchomo, patrząc na Plaskata z nieodgadzionym wyrazem twarzy. W tym czasie Wrota pracowicie eksmitowały protestującą królownę ze stanowiska sterującego ciałem.

– *Przyjmijmy, że rozumiem twoją motywację* – powiedziała wielka czarodziejka Wrota. – *Ale uprzedzam, że nie mam na razie zamiaru wykańczać reszty Rady. Ich następcy byłiby tak samo dwulicowi i podstępni. I trzeba by ich było od nowa zastraszać. Ale nie pozwolę im też robić czegokolwiek bez mojej wiedzy i wbrew moim rozkazom. Te czasy się skończyły. Będę miała wytresowaną i posłuszną Radę, choćbym musiała osobiście ściągnąć wielkiego wojownika Ulka, żeby złoił im skórę.*

„Tylko nie Ulka!” – wrzasnęła królowna. Nie chciała w Twierdzy wielkiego wojownika. Sama nie wiedziała, czy dlatego, że działał jej na nerwy w swojej prawdziwej postaci, czy bardziej bała się, że ktoś mógłby odkryć, co ona ma z nim wspólnego. A ta druga ewentualność miałaby dla bohatera o wiele gorsze konsekwencje niż dla Salianki.

– Więc co zamierzasz? – Ósmy wydawał się być nieco rozczarowany tym, że na razie nie ma szans na osiągnięcie wyższej pozycji. Opanował jednak niezadowolenie.

– *Na razie nic. Siedź cicho i udawaj, że jesteś po ich stronie* – poleciły Wrota. – *I informuj mnie o wszystkim. A ja coś wymyślę. Nie mam wyjścia.* – Otworzyły drzwi od stajni.

– Pani! – odezwał się nagle Plaskat.

– *Tak?* – Głowa królowny odwróciła się w jego stronę.

– Ta posługaczka z Dolin, o której wspominał Bolurek, Salianka, i ty, Pani...

– *Nie pytaj za dużo* – powiedziały z naciskiem Wrota. Nie wyglądało, żeby był skłonny

wziąć sobie tę sugestię do serca, więc dodały jeszcze, uśmiechając się tajemniczo: – *I pamiętaj, ciekawość to pierwszy stopień do Wrót.*

„Jakie to poetyckie”, prychnęła zde gustowana Salianka. „Mogłybyście się przesunąć?” Wrota posłusznie ustąpiły jej miejsca.

– Odbiło wam? – zapytała podejrzliwie królowna, kiedy już wyszła na dziedziniec, zostawiając w stajni Plaskata w towarzystwie koni. – Tresować Radę, i to przy pomocy Ulka?

Jesteś świetnie wyuczoną sprzątaczką, czas, żebyś stała się świetnie wyuczoną Panią Twierdzy, oznajmiły stanowczo Wrota. Jesteś Czarownicą z Twierdzy! Zaczynaj myśleć jak ona.

Gdyby to było takie proste, westchnęła w duchu Salianka. Jakoś myśląc o Czarownicy z Twierdzy, nie mogła nigdy sobie wyobrazić siebie na jej miejscu. Może dlatego, że ze wszystkich sąsiednich krain łupieżcy znosili plotki, jak to Czarownica z Twierdzy bierze kąpiele w krwi dziewic, przed śniadaniem każe zrzucić pachołków z murów, a po śniadaniu nadzoruje tortury w lochach, a takich rzeczy królowna absolutnie robić nie zamierzała. Nie dlatego, żeby szkoda jej było dziewic, pachołków czy torturowanych. Szkoda jej było samej siebie i własnego zdrowia na takie wygłupy.

W nader ponurym nastroju Salianka przemierzyła kilometry korytarzy, jakie dzieliły ją od własnej komnaty. Prawie pod samymi drzwiami natknęła się na Dawasza. Na jej widok Drugi rozpromienił się w sztucznym uśmiechu i skłonił nisko. Kiedy już go wyminęła, pokazała jego plecami język. Nie pomogło.

W swojej sypialni zastała nianię, która polerowała właśnie koronę. Obręcz została przez przerażonego kowala poprawiona, ale królowna i tak jej nie nosiła, odwykła od tego.

– Zaczynają się kłopoty, nianiu – westchnęła, siadając naprzeciw staruszki. Nie tak łatwo było stać się prawdziwą Panią Twierdzy. Rada nie była skłonna łatwo zrezygnować ze swoich wpływów.

Kobieta nie podniosła głowy pochłonięta swoją pracą.

– Mogło być gorzej – dodała optymistycznie Salianka. W końcu żyła, była sobą, dogadała się z Wrotami i nie musiała szorować podłóg. Nic jej jak na razie nie opętało, a członkowie Rady, choć niechętnie i z dużymi oporami, zaczęli jej słuchać. Zaczęli też spiskować, ale w końcu czego innego można się spodziewać po dwulicowych, żądnych władzy draniach? A jeden z nich uznał, że tę potyczkę najpewniej wygra królowna. Świadomość tego w dziwny sposób dodawała jej otuchy.

Staruszka rzuciła Saliance roztargnione spojrzenie i uśmiechnęła się ciepło.

– Zresztą i tak nie jest najlepiej – stwierdziła trzeźwo jej podopieczna. Rzeczywistość, no cóż, nijak się miała do marzeń. – A miało być tak pięknie...

Czyli jak konkretnie? – zainteresowały się wścibskie Wrota.

– Pięknie, po prostu – odgryzła się królowna, zła na nie, że zmuszają ją do realistycznego spojrzenia na wymarzoną przyszłość. Tak naprawdę sama nie wiedziała, na czym to „pięknie”

miałoby polegać.

I tak jest lepiej, niż się spodziewaliśmy, pocieszyły ją Wrota. Masz jednego z członków Rady po swojej stronie.

To rzeczywiście była nowość. Zwykle Rada trzymała się mocno razem, zrzucając przypadkiem z krążganków ewentualnych nielojalnych. Niemniej jednak królowna nie miała złudzeń, że Plaskat zdecydował się z nią spiskować z powodów innych niż rosnąca ambicja. Gdyby tylko mógł przez to coś osiągnąć, nie zawahałby się wbić jej noża w plecy, metaforycznie rzecz ujmując. Ale jeden średnio lojalny sojusznik to i tak więcej, niż kiedykolwiek miała.

– No tak, ja, on i niania kontra reszta tych bawołów. To za mało na silną koalicję – zmartwiła się.

Nie odważą się ciebie tknąć, przypomniały Wrota. Będą się bali, że wypuścimy wtedy demony.

– Wcześniej też by mi nie zrobili krzywdy. Ale to za mało. Ja chcę, żeby mnie słuchali, chcę być prawdziwą Pierwszą Rady!

To pragnienie najbardziej zdziwiło ją samą.

Chcesz, żeby nawet jak cię nie ma, bali się spiskować za twoimi plecami, uściśliły jej życzenie Wrota.

Miały rację, musiała im to przyznać. Na tym polegało przewodzenie Radzie i dowodzenie Twierdzą: na wzbudzaniu strachu. Tak postępowały dwadzieścia trzy pokolenia przodków Salianki. Sprawdzone przez wieki przepis był dziecinnie prosty: odrobina terroru, nie za dużo wzbudzania lęku, doprawione szczyptą twardej ręki, a cały mechanizm będzie działał bez zarzutu. Byle nie przesadzić z żadnym ze składników.

– Niektórzy władcy mają autorytet. Ja nie mam – stwierdziła ponuro królowna. Nie zależało jej na tym aż tak strasznie, ale... Nie chciała być gorsza od innych panujących.

W Twierdzy autorytet to to samo co strach, a oni, jak widać, ciągle boją się za mało, zauważyły przytomnie Wrota.

– Przecież nie zacznę ich rzeczywiście wyrzucać za mur! – zaprotestowała gwałtownie. – Po pierwsze, chyba bym nie potrafiła kogoś własnoręcznie zabić, a po drugie, co by mi to dało? Znienawidziliby mnie tak mocno, że ta nienawiść przełamałaby strach. Tak jak było w przypadku mojego ojca. Tu nikt mnie przed nimi nie obroni, jesteśmy tylko ja i wy. Jeśli spróbują mnie zabić, może będziecie musiały wypuścić demony. A ja nie chcę skończyć jako opętana.

Mogłabyś kazać wojskowym deptać członkom Rady po piętach. Taka mało dyskretna obserwacja, zaproponowały Wrota.

– Na nic – oceniła Salianka. – Tutaj wszyscy boją się Rady tak jak mnie. Może nawet bardziej ich. W końcu ja jestem tylko odległą Czarownicą z Twierdzy, a oni czasem nawet osobiście napadają, łupią i mordują. Mnie się lękają tak jak dzieci złych wiedźm z bajek. Czas

to zmienić – postanowiła nagle. Wstała i wyszła z komnaty, zostawiając pochłoniętą czyszczeniem insygniów władzy nianię.

Dokąd idziesz? – zapytały Wrota, kiedy zdecydowanym krokiem przemierzała korytarze.

– Poćwiczyć wreszcie lewitację toporami. A potem zajmę się straszeniem i terroryzowaniem poddanych. Zobaczą, że Rada to nic w porównaniu ze mną.

A my? – upomniały się natarczywie.

– Też jesteście gorsze od Rady – przyznała im dla świętego spokoju królowa. – Ale na razie sama zajmę się straszeniem ludzi. A wy... – Zatrzymała się przy jednym z wąskich okien i spojrzała na niebo, jak zwykle ukryte za szarymi chmurami. Odkąd wróciła do Twierdzy nie było jeszcze żadnej porządnej burzy, jednej z tych, które skłaniały Saliankę do ukrywania się pod tronem. Ale zanosilo się na znaczne pogorszenie pogody. – Jeśli chcecie się przydać, wymyślcie jakiś sposób na powstrzymanie burz. Im szybciej, tym lepiej.

* * *

Ogromne, przerdzewiałe ostrze wbiło się w drzwi tuż obok głowy wchodzącego Plaskata. Zbladł i cofnął się o krok. Stojąca pośrodku komnaty królowa dopiero wtedy go dostrzegła. Zrezygnowała z podziwiania topora wbitego prawie po stylisko w drewno i poświęciła ułamek swojej uwagi Ósmemu, a konkretnie: wyrazowi jego twarzy.

– Oj, przepraszam – powiedziała tonem bynajmniej nieprzepraszającym. – Służba ci nie powiedziała, żebyś uważał?

– Nie byliby w stanie. – Wszedł do komnaty gotowy w każdej chwili uskoczyć przed nadlatującym ostrzem. Starannie zamknął za sobą drzwi. – Schowali się pod stołem i szcękają zębami.

– Bardzo dobrze – ucieszyła się Salianka.

Wzbudzenie lęku wśród maluczkich było prostsze, niż przypuszczała. Do tego całkiem dobrze się przy tym bawiła.

Pozostałe pięć toporów unoszących się wokół niej zadygotało. Plaskat stłumił w sobie chęć natychmiastowej ucieczki. W końcu był mężczyzną. Co więcej, był członkiem Rady, której przewodziła sama Czarownica z Twierdzy. Nie mógł się jej bać. A przynajmniej nie mógł dać po sobie poznać, że czuje się trochę niepewnie.

– Co robisz, Pani? – zapytał uprzejmie, może tylko lekko drżącym głosem.

– Buduję legendę – oznajmiła radośnie. Kiedy się uśmiechała, wyglądała jeszcze bardziej interesująco niż zazwyczaj. Tylko te latające topory trochę psuły wrażenie. – Taki Ulk na przykład sprzął paru zbirów w jednej zapyziałej wiosce i już układali o nim pieśni. Później już się nawet nie musiał wysilać, wrogom od razu miękły kolana – prychnęła pobłaźliwie. – A o Czarownicy z Twierdzy każdy słyszał i co z tego? O utopcach też słyszeli, ale to bardziej nierealne bajki. Tak więc, skoro na razie nie mam żadnego pomysłu, co zrobić z moją

buntowniczą Radą, sprawię, że moi poddani stracą wszelką ochotę do buntu przeciw mnie. Bardziej od niewykonania rozkazów Rady będzie ich przerażało przeciwstawienie się moim. W tym celu potrzebna mi jakaś solidna przerażająca legenda.

Plaskat przyjrzał się toporom. Oprócz tych unoszących się wokół królowny niczym stadko przerośniętych komarów było jeszcze z pół setki innych, powbijanych w stoły, ściany, krzesła. Kilka mniejszych tworzyło na szafie obrys człowieka.

– Zemdłał – powiedziała Salianka, widząc, na co on patrzy. – I tak był twardy, wytrzymał pięć rzutów. Ćwiczyłam wcześniej – dodała jakby na usprawiedliwienie. – Nie chciałam kogoś rozplatać, ale przecież nie mogłam im tego powiedzieć. – W jej umyśle Wrota zaczęły nerwowo posykiwać. Do królowny dotarło, że powiedziała za dużo. – Nie powinnam ci się tłumaczyć – zreflektowała się, wzdychając ciężko.

– Więc dlaczego mi to mówisz, Pani? – Ósmy nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Salianka patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu. Unoszące się wokół niej topory znieruchomiały i Plaskat zaczął poważnie żałować, że nie ugryzł się w język.

– Kogoś mi przypominasz – powiedziała wreszcie. Wydawało się, że z trudem przychodzi jej to wyznanie. – Powiedziałabym, że... przyjaciela, ale – uśmiechnęła się gorzko – Czarownica z Twierdzy nie ma przyjaciół.

No, no, czego my się tu dowiadujemy. Gdyby Wrota miały brwi, uniosłyby je teraz z chciwym zainteresowaniem.

Królowna nie miała zamiaru im odpowiadać, przynajmniej jeszcze nie teraz. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, że rozmawia sama ze sobą.

Ósmy Rady przestał udawać, że ogląda pobojuwisko, i przeniósł nieodgadnione spojrzenie na dziewczynę. Stała nieruchomo pośrodku komnaty, z lekko pochyloną na bok głową i spoglądała na niego, a może raczej szukała w nim podobieństw do tego „przyjaciela”. Pięć toporów dygotało za każdym razem, gdy poruszyła się choćby odrobinę. Ale nawet teraz, w otoczeniu morderczej broni posłusznej jej rozkazom, zdawała się nie być do końca sobą. Wizja okrutnej Czarownicy zaczynała natychmiast blednąć, gdy spoglądało się na królownę.

Zauważyła jego spojrzenie, co więcej, bez problemu odgadła, o czym on myśli.

– Nielatwo być Czarownicą z Twierdzy. – Wzruszyła z rezygnacją ramionami. Topory uniosły się trochę wyżej, by za chwilę opaść w dół. – A jeszcze trudniej być mną.

Wrota na jedną chwilę przepchnęły się na przód jej umysłu.

– *Byłabym wdzięczna, gdybyś opowiedział, że widziałeś tu parę trupów* – dodały rzeczowo. – *Powiedz, że dla rozrywki rzucałam w ruchome cele czy coś takiego.*

– Nie wynoszono stąd żadnych trupów – zauważył niepewnie. Przynajmniej on nie słyszał o żadnych trupach. Ale z drugiej strony, Salianka zdawała się być nieprzewidywalna. Kiedy już wydawało mu się, że ją zrozumiał, że ma nad nią przewagę, okazywało się, że się mylił. – Służba cały czas siedzi pod stołem, mają widok na drzwi. Zaprzeczą.

– Założysz się? – westchnęła Salianka, gdy Wrota wycofały się grzecznie na tył jej umysłu. – Przed wieczorem sami będą zapewniać, że widzieli stopy zakrwawionych szczątków i słyszeli mój straszliwy chichot. Tak działa plotka. W pierwszej wiosce wielki wojownik Ulk pokonał z piętnastu łupieżców. Trzy dni później bardowie wyśpiewywali ballady o jego zwycięstwie nad czterdziestoma łupieżcami, jaszczurem gigantem i jeszcze jakimś czarnoksiężnikiem. Beznadziejne były te piosenki, ale lud je podchwycił.

– Skąd wiesz, że było tam tylko piętnastu łupieżców? – zapytał nagle Plaskat. Królowna zapomniała, że z całej Rady on jeden słucha i obserwuje ją naprawdę uważnie. Ale skoro wiedział już tyle, to równie dobrze mogła wziąć byka za rogi.

– Bo ich policzyłam – odpowiedziała spokojnie, ale ton jej głosu nie zachęcał do dalszego drażnienia tematu. – Jeśli nie masz nic ważnego do zakomunikowania, to możesz już iść, najlepiej między służbę albo łupieżców, i opowiadać o moim okrucieństwie. No już, wynoś się. – Odwróciła się i zajęła lewitowaniem toporów w tarczę wyrysowaną węglem na ścianie.

Kiedy za Plaskatem zamknęły się drzwi, Salianka mogła zająć się Wrotami, które co chwila powtarzały „no, no, no”, niewymownie wprost ją tym denerwując.

– No i co was tak poruszyło? – zapytała zjadliwie.

Jak to co? – zdziwiły się obłudnie Wrota. Pierwszy raz się dowiadujemy, że Gawarek jest twoim przyjacielem.

– Gawarek? – Królowna ze zdumienia zapomniała o toporach, które pospadały z hukiem. Kilka wbiło się w podłogę.

Sama mówiłaś, wytknęły jej z satysfakcją. *„Przypominasz mi mojego przyjaciela”*. Przedrzeźnianie Salianki nie najlepiej im wychodziło, ale trzeba przyznać, że bardzo się starały.

– Gawarka? – Dziewczyna roześmiała się nagle tak bardzo, że aż usiadła na podłodze, pośród wiórów i porzrzuconej broni. – Gawarek miałby być moim przyjacielem? Wy głupie, miałam na myśli Ulka! Gawarek jest denerwujący, ale Ulk... to co innego. Nie jest nawet w pełni człowiekiem, musi walczyć z demonami takimi jak on i jeszcze na dodatek dzielić ciało z nadętym bufonem. Żal mi go. Ma tak samo spartaczone życie jak ja.

Możliwe, zgodziły się z ociąganiem Wrota. *I może rzeczywiście Plaskat go przypomina. Tylko jest o wiele bardziej bezwzględny, sto razy bardziej ambitny i prędzej by spalił niewinnych mieszkańców wioski, niż oddał za nich życie. Nie nadaje się na idealnego rycerza.*

– Nie ma idealnych rycerzy – uświadomiła im Salianka, wstając z podłogi. Już dawno przestała w to wierzyć, co więcej, przestała już tego żałować. – Przynajmniej nie w mojej bajce.

Rozdział 4

Wieczorem zmęczona Salianka zostawiła mocno zdemolowaną salę pełną połamanych mebli i toporów. Zanim wyszła, z przyzwyczajenia zamiotła drzazgi, spróbowała też wypolerować kilka zardzewiałych ostrzy, zanim przypomniała sobie, że sprzątanie nie jest już częścią jej życia. Przechodząc korytarzami, zauważyła z satysfakcją, że na jej widok milkły rozmowy, a ludzie kłaniali się niżej niż zwykle i odsuwali dalej niż zazwyczaj. Tuż przed drzwiami sypialni zastąpił jej drogę mocno zafrasowany Dawasz.

– Pani! – skłonił się nisko.

– Coś się stało? – zdziwiła się beztrosko Salianka. Była w świetnym humorze. Miała wrażenie, że cały dzień spędziła, tocząc z Radą walkę na latające topory. I to ona tę konfrontację wygrała.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że pojawiły się pewne kłamstwa na twój temat. – Drugi wyglądał jak uosobienie szczerego niepokoju.

– Tak? – zdziwiła się obłudnie Salianka. Tylko tego jej trzeba było dla ukoronowania zwycięstwa: zmartwionych członków Rady.

– Ludzie nie mają szacunku dla swojej władczyni. – Dawasz z troską pokręcił głową. – Plotkują, spiskują.

– To straszne – zgodziła się królowna, składając usta w podkówkę. – A co o mnie mówią?

– Same podle kłamstwa o twoim rzekomym okrucieństwie, niewarte uwagi – zapewnił ją z całego serca Doradca. W tej chwili można było go prezentować jako wzór wiernego poddanego, któremu serce kraje się, gdy szkalują jego wspaniałą władczynię. Salianka była o wiele za inteligentna, żeby dać się na coś takiego nabrać. Poczuli się prawie obrażona, że ktoś tego faktu nie bierze pod uwagę.

– No cóż, w końcu jestem Czarownicą z Twierdzy – westchnęła teatralnie. Skoro Drugi odstawił przedstawienie, to ona też mogła. – Na czyjś temat muszą plotkować. To im chyba poprawia samopoczucie – dodała z odcieniem smutku, jakby ją rzeczywiście obchodziło czyjekolwiek samopoczucie.

Powiedz, żeby wtrącali do lochów każdego, kto ośmiela się powtarzać te kłamstwa, wtrąciły odkrywco Wrota. Tylko głośno.

– Jeśli uważasz, że przesadzają, to wtrącaj do lochów każdego, kto ośmiela się powtarzać

kłamstwa o mnie! – królowa posłusznie podniosła głos, tak żeby na pewno usłyszeli ją sprzątający w korytarzu obok, przechodząca pokojówka i jakiś dworzanie mijający ich właśnie w niskim ukłonie.

– Tak, Pani. Dziękuję. – Dawasz skłonił się z wyjątkowo skrzywioną miną. Teraz mógł być pewien, że wieści o tym, jak naprawdę okrutna jest Pani Twierdzy, dotrą do każdego. I ludzie, jeden po drugim, zaczną się jej coraz bardziej bać. Bardziej niż Rady. A Twierdzą rządził ten, kto wzbudzał największy strach. Wszystko wskazywało na to, że tym kimś będzie teraz królowa. Salianka wyminęła go z uśmiechem. Doszła do takich samych wniosków co Drugi, ale dla niej nie był to powód do niepokoju.

– Jest coraz lepiej – stwierdziła, zamykając za sobą drzwi do swoich komnat.

My mamy jeszcze jeden pomysł, powiedziały Wrota.

– Jaki? – zainteresowała się królowa. Była już co prawda porządnie zmęczona, ale jeszcze skłonna wysłuchać tego, co miały do powiedzenia.

Niespodzianka. Zobaczysz później, obiecały. Najwyraźniej były wyjątkowo uradowane perspektywą zaskoczenia swojej Strażniczki.

– Nienawidzę niespodzianek, ale niech wam będzie – ziewnęła Salianka.

Lewitacja toporami była jednak bardzo męcząca. Królowa włożyła koszulę nocną, wdrapała się na swoje ogromne łóżko z baldachimem i po chwili już spała z uśmiechem na ustach, śniąc bynajmniej nie o przystojnym rycerzu, ale o tronie, koronie i władzy. Obudziły ją dopiero Wrota.

Wstawaj wreszcie, niespodzianka gotowa, niecierpliwiły się.

Salianka niechętnie otworzyła oczy. Był mniej więcej środek nocy, strasznie ciemny. Przez grube kotary zasłaniające okno nie miało szans prześlizgnąć się ani światło gwiazd, ani księżyc.

– Nic nie widzę – mruknęła, mając nadzieję, że w związku z tym dadzą jej dalej spać.

Przyjrzyj się uważnie, zażądały. Słysząc było, że bardzo im na tym zależy.

Królowa poczuła się zobligowana. Jeśli to rzeczywiście było coś tak ważnego... Przetarła oczy i posłusznie zaczęła wpatrywać się w ciemność. Coś w niej błyszczało. Kiedy patrzyło się wystarczająco długo, a oczy przyzwyczyły się do mroku, można też było dostrzec jakiś kształt. Włochaty. Kiedy zdała sobie sprawę z tego, na co patrzy, zaczęła wrzeszczeć.

Zamknij się, próbowały ją przekrzyczeć Wrota. **ZAMKNIJ SIĘ!!!**

Królowa zamilkła, bo od wrzasku Wrót zrobiło jej się trochę słabo. Wielki, włochaty demon, o twarzy przypominającej wilczy pysk, podszedł bliżej i przyglądał jej się, być może z ciekawością. I robił wrażenie kogoś, kto ocenia swój obiad.

Salianka odczołgała się na najdalszy koniec łóżka i tam skuliła. Stwór nie próbował podejść bliżej, ale dalej się na nią gapił. Miał żółte ślepia, zupełnie pozbawione tęczówki czy źrenicy.

To jest niespodzianka, wyjaśniły Wrota, najwyraźniej niezadowolone z jej reakcji.

– To? – upewniła się królowna, patrząc na stwora z ukosa. Słowa Wrót upewniły ją, że nie ma, niestety, do czynienia z marą senną. Demon był realny i nic się na to nie dało poradzić.

Właśnie to, potwierdziły chłodno Wrota. Sposób, w jaki dziewczyna potraktowała ich niespodziankę, sprawił, że poczuły się niedoceniane.

– Słusznie mówiłam, że nienawidzę niespodzianek – stwierdziła fatalistycznie Salianka. – Po co mi demon?

Przyda się. Dużo potrafi. Nie będziesz musiała nas zbyt często otwierać, nawet jeśli któryś z członków Rady postanowi cię zabić. On cię obroni, powiedziały Wrota. Niezadowolenie już im przechodziło wyparte przez ekscytację nową zabawką. *Poza tym to demon pogody. Potrafi powstrzymać burze. Nie będziesz musiała się bać błyskawic.*

– Będzie mnie słuchał? – powątpiewała królowna. Perspektywa pozbycia się za jednym zamachem obaw przed odwetem Rady i głęboko zakorzonego strachu przed burzami była niesamowicie kusząca. Ale włochaty stwór nie wyglądał na takiego, co słucha kogokolwiek poza podszeptami własnych morderczych instynktów i burzeniem we własnym pustym brzuchu.

Będzie, zapewniły. Inaczej byśmy go tu nie wypuściły.

– I tak ma chodzić po Twierdzy? – skrzywiła się Salianka. Przestała się już kulić i przysunęła bliżej do demona, żeby przyjrzeć mu się uważniej.

Przecież wygląda strasznie, będą się go bali, nie będą chcieli z nim ani z tobą zadzierać, stwierdziły Wrota, zgorszone jej brakiem entuzjazmu dla potwornej powierzchowności demona.

– Przez jakieś dwa, trzy tygodnie – uświadomiła im królowna. – Potem się przyzwyczają.

Ona się już przyzwyczała. Co prawda w oswojeniu się z obecnością stwora pomogła jej świadomość, że sprowadzono go tu, żeby ją chronić, nie zabić, ale poważnie podejrzewała, że członkowie Rady mają twarde charaktery. Nie przestraszą się byle demona, nie na długo. W końcu tyle lat żyli pod rządami jej ojca, a w jego ciele i umyśle pełno było demonów, jeszcze gorszych niż ten.

To niech się zmieni w człowieka, wymyśliły Wrota. *A od czasu do czasu, kiedy to będzie potrzebne, jako demon będzie wszystkich przerażał.*

– Potrafi? – nie dowierzała królowna. Wydawało się niemożliwe, żeby takie monstrum mogło się uczłowieczyć, choćby nawet tylko zewnętrznie.

Każ mu to zrobić, powiedziały.

Salianka przyjrzała się krytycznie bestii.

– Masz przybrać ludzką postać – poleciała.

Demon odsunął się o krok, przeciągnął, aż chrupnęły kości. Futro zaczęło znikać, skóra mu pojaśniała, skurczył się odrobinę, wyprostował. Po chwili przed Salianką stał wysoki,

ciemnowłosy mężczyzna z rozwichrzonymi bokobrodami i spojrzeniem wilka.

– Nieźle – odchrząknęła królowna, bo żadne inne słowo nie przyszło jej do głowy. Chociaż „nieźle” nie oddawało demonowi sprawiedliwości. Zdawało się niemożliwe, żeby stworzenie spędzające swoje życie w piekle, w towarzystwie innych szkaradzeństw, aż tak dobrze umiało odwzorować postać atrakcyjnego mężczyzny.

– Tylko trzeba ci znaleźć jakieś ubranie. Nianiu! – wrzasnęła w stronę drzwi.

Zamiast starej kobiety do komnaty wszedł Ósmy Rady. Zatrzymał się na widok obcego mężczyzny. Wielu rzeczy mógł się w sypialni swojej Pani spodziewać, ale taka, jakże oczywista możliwość nie przyszła mu na myśl. Do tego królowna nie wydawała się speszona tym, że ktoś wtargnął do jej prywatnej komnaty w tak nieodpowiedniej chwili. W ogóle nie zwróciła uwagi na Plaskata, najwyraźniej zajęta rozważaniem jakiegoś skomplikowanego problemu. Zauważył go za to demon i zmierzył intruza nieprzychylnym spojrzeniem. Ósmy był tak zaskoczony, że możliwość dyskretnego wycofania się za próg nawet nie przyszła mu do głowy.

– Kto... – zaczął pytać.

– Mój faworyt – westchnęła melancholijnie Salianka. Innego logicznego uzasadnienia obecności nagiego mężczyzny w swojej sypialni jakoś nie umiała wymyślić. A jakieś znaleźć musiała również dla Rady, a stanowisko faworyta dla jej ulubieńca wydawało się w tym kontekście bardzo odpowiednie. Nikt nie odważył się zadawać zbyt wielu pytań, nikt też nie odważył się jej zasugerować, że ktoś taki nie jest w Twierdzy potrzebny. Poza tym wredne wiemy w bajkach zawsze miały równie wrednych kompanów. Nie było powodu, dla którego Czarownica z Twierdzy nie miałyby mieć ulubieńca-demonia.

– No co? – dodała buntowniczo, widząc spojrzenie zszokowanego Plaskata. – W końcu jestem podłą królowną z Twierdzy! Muszę dbać o renomę.

Ósmy zerknął niepewnie na świeżo mianowanego faworyta.

– Jak mamy się do twojego... ehmm... przyjaciela zwracać, Pani? – zapytał, najwyraźniej tylko po to, żeby przerwać niezręczną ciszę. Przemawianie do Salianki, jakby w komnacie nie było trzeciej osoby, nie było grzeczne, ale Plaskat nie mógł przemóc się, żeby zagadać do kogoś nieubranego i do tego ostentacyjnie znudzonego.

– Po imieniu. Tylko, wiesz – uświadomiła sobie nagle – jakoś nie miałam kiedy go zapytać, jak się nazywa.

Ósmy musiał się bardzo postarać, żeby po usłyszeniu czegoś takiego zachować kamienną twarz. Niepotrzebnie się wysilał, bo jego Pani i tak nie zwracała sobie głowy reakcją Doradcy. Odwróciła się do swojego faworyta.

– Masz chyba jakieś imię?

– Virven – powiedział niechętnie demon, nadal niezbyt zainteresowany wydarzeniami. Głos miał lekko zachrypnięty. Kiedy mówił, widać było jego zęby, odrobinę zbyt ostre jak na człowieka. Patrząc na niego, miało się nieodparte wrażenie, że ten stan leniwej ospałości jest

zwodniczy i w każdej chwili może ustąpić miejsca jak najbardziej dosłownie morderczej aktywności.

Do komnaty wreszcie dotarła wezwana przez swoją podopieczną niania, jak zwykle rześka i prawdopodobnie zupełnie nieświadoma późnej pory. Odkąd zwariowała, ciężko było stwierdzić, czym stała się dla niej rzeczywistość. Teraz uśmiechnęła się szeroko do wszystkich, poklepała też pieszczotliwie po policzku Plaskata, który wyglądał na kogoś, komu potrzebne jest natychmiastowe wsparcie.

– Nianiu, będzie mu potrzebne jakieś ubranie – zwróciła się do niej Salianka, ruchem głowy wskazując na Virvena. Staruszka odwróciła się bez słowa i wyszła.

– Idź za nią – poleciła dziewczyna demonowi. Posłuchał natychmiast. Dopiero kiedy był już w drzwiach, do królowny dotarło, że może będzie musiał iść za nianią przez całą Twierdzę, przyprawiając przy okazji wszystkie służące o omdlenia.

– Owiń się czymś!!! – wrzasnęła wobec tego i rzuciła w niego ściągniętym z łóżka prześcieradłem. Kiedy już sobie poszedł, przeniosła swoją uwagę na Plaskata, któremu na twarzy zastygł wyraz kamiennego osłupienia.

– A ty czego tu szukasz w środku nocy? – zapytała podejrzliwie.

– Wydawało mi się, że słyszałem krzyk – wyjaśnił nieprzytomnie, ciągle patrząc na drzwi, przez które wyszli niania i demon.

– Przesłyszałeś się – stwierdziła stanowczo królowna, odchrząkując nerwowo. Wrzeszczała tak głośno, że aż dziw, że nikt inny się nie zainteresował. Pewnie wszyscy postanowili nie ruszać się z łóżek w nadziei, że ich Panią szlag trafi i rano usłyszą dobrą wiadomość. – Ale miło, że na wszelki wypadek rzuciłeś mi się na ratunek. Niepotrzebnie, ale dziękuję. – Wsunęła się pod kołdrę. – Zamknij za sobą drzwi – poleciła, tłumiąc ziewnięcie. – Dobranoc.

Zasnęła natychmiast. Ósmy stał jeszcze chwilę bezradnie, usiłując uporządkować powiększający się mętlik, jaki miał w głowie. Poddał się wreszcie i wyszedł.

O poranku straszliwie ziewająca Salianka zwlokła się z łóżka, idąc z zamkniętymi oczami, wpadła do dostarczonej przez służących balii z wodą i po jakichś piętnastu minutach doszła do wniosku, że jest już przytomna. Następnie włożyła na siebie pierwszą z brzegu sukienkę, mechanicznie sięgnęła po mazidła upiększające i była gotowa do pójścia na śniadanie. Była też bardzo głodna, więc zbitą grupkę członków Rady, którzy zastąpili jej drogę do jadalni, przywitała z pełną niezrozumienia irytacją.

– Masz, Pani, faworyta – stwierdził raczej, niż zapytał, Dawasz. Potępiająco.

– Mam – przyświadczyła na odczepnego królowna i spróbowała go wyminąć. Z jadalni dochodziły nader nęcące zapachy.

Wśród członków Rady przeszedł szmer. Saliance zaburczało w brzuchu.

– Trzeba go jakoś ulokować na dworze – oznajmił stanowczo Dawasz. Pozostali energicznie mu przytaknęli.

Królewna spojrzała na nich z bezbrzeżnym zdumieniem. W tej chwili potrafiła myśleć jedynie o jedzeniu, a najbardziej istotnym problemem był żołądek skręcający się nieprzyjemnie. Fakt, że ktoś przeszkadzał jej w uporaniu się z tym problemem, sam w sobie był irytujący. Zaś fakt, że ów ktoś, konkretnie członkowie Rady uważali, że są kwestie daleko bardziej frapujące i, co gorsza, wymagające jakichś skomplikowanych działań, choćby nawet odpowiedzi na szalenie wieloaspektowe pytania – ten fakt po prostu nie mieścił się Saliance w głowie.

– Władcy nie trzymają tak ostentacyjnie na dworze faworytów czy faworyt – objaśnił cierpliwie Czwarty Rady. – Przydzielają im jakieś fasadowe funkcje, dla przyzwoitości.

– Czy ja też koniecznie muszę być przyzwoita? – Salianka rozpoznała zapach grzanek z serem. Ślinka już prawie kapała jej z ust. – Przecież to Twierdza!

– Już i tak, Pani, rozpowiadają kłamstwa na twój temat – zasepił się ostentacyjnie Dawasz, zdradzając przy tym faktyczne sedno całej sprawy.

Legenda o okrutnej Czarownicy z Twierdzy, dotąd wielce popularna poza jej granicami, teraz nieoczekiwanie zaczęła tętnić życiem i w obrębie murów fortecy. Oczywiście nie było nic złego w tym, że ludzie bali się złej wiedźmy. Dopóki nie byli to swoi ludzie. I dopóki Rady lękali się daleko bardziej. Tymczasem wydarzenia ostatnich dni pozwalały żywić całkiem uzasadnione podejrzenia, że owe dwa istotne warunki są bardziej niż poważnie zagrożone. Dawasz, który z niejednego pieca chleb jadł, nie miał wątpliwości, że jeszcze trochę, a każdy z mieszkańców Twierdzy prędzej stawi czoła w polu dowolnemu członkowi Rady lub im wszystkim jednocześnie, niż narazi się na niezadowolenie swojej Władczyni. A to już by nawet nie było niedobrze, to by była prawdziwa katastrofa. Z punktu widzenia królewskich Doradców. Dawasz nie był głupi, szybko doszedł do wniosku, że przed ową katastrofą chroni Radę sama Pierwsza. Może nie tyle ona, co jej powierzchowność. Wprawdzie Salianka nie wyglądała ani trochę na typową księżniczkę z bajki, ale i daleko jej było do wyglądu właściwego okrutnej czarownicy. Stanowczo za mało paskudna i krościata jak na ucieleśnienie wszelkiego zła. Obecność faworyta mogła pozbawić Radę tej delikatnej przewagi. Faworyt pasował do wyglądu Salianki, zwłaszcza tego poprawionego stosownymi specyfikami, a przy tym bynajmniej nie budził skojarzeń z gatunku tych wzruszających. Wręcz przeciwnie. Szczególnie ten faworyt, o którym już zaczęły krążyć niepokojące plotki. Jakiś parobek upierał się, że ulubieniec Pani Twierdzy przybył prosto z piekła, na co ponoć dowodem niezbitym były jego oczy pałające isticie piekielnym blaskiem. Blask ów parobek widział osobiście i wciąż jeszcze jąkał się na samo wspomnienie.

Dawasz, a za nim pozostali członkowie Rady postanowili podjąć natychmiast wszelkie możliwe kroki mające na celu przywrócenie sprawom właściwego biegu. Faworyta należało spacyfikować.

– Dobra, niech będzie. – Królewna doszła do wniosku, że jeśli zaraz czegoś nie zje, to umrze z głodu. Dla ratowania życia skłonna była pójść na ustępstwa.

Drugi skinął na sługę, który trzymał w rękach kłębowisko kolorowych szmat. Z piórkiem. Salianka nieufnie pomacała zwój materii. Był to strój pazia. Piórko stanowiło ozdobę aksamitnego beretu.

– On ma to nosić? – zapytała niepewnie.

Członkowie Rady pokiwali głowami. Byli dumni ze swojego pomysłu. Nikt, kto chodzi po Twierdzy w rajtuzach i takim nakryciu głowy, nie może zostać wzięty za demona rodem z piekieł. Gdyby jeszcze udało się wetknąć ulubieńcowi Pierwszej lutni i skłonić go do brzdąkania w miejscu publicznym, Doradcy pewnie wpadliby ze szczęścia w ekstazę.

– Faworyci władczyń zazwyczaj byli paziami – wytłumaczył Siódmy, z trudem kryjąc satysfakcję.

Królowna spróbowała zignorować ssanie w żołądku i wyobraziła sobie demona. Potem usiłowała dodać do tej wizji beret z piórkiem, ale zadanie ją przerosło.

– Nianiu! – wrzasnęła wobec tego na całe gardło, wywołując nerwowe wzdrygnięcia u Doradców stojących zbyt blisko źródła dźwięku.

Starowinka wyrzała zza którejś kolumny. Twierdza była ogromna, ale niani jakoś zawsze udawało się być w pobliżu akurat wtedy, gdy była potrzebna. Zapewne był to jeden ze skutków ubocznych jej obłądu.

– Gdzie Virven? – zapytała już normalnym głosem Salianka.

Niania wskazała na jadalnię. W tym kierunku królowna ruszyła z dużym zapalem. Zyskiwała nadzieję, że może uda jej się wreszcie coś zjeść. Z beretem w dłoni weszła do pomieszczenia pełnego smakowitych zapachów unoszących się znad potraw.

Virven siedział już przy zastawionym stole. Ze znudzoną miną pożerał zimną pieczeń, nie kłopotząc się używaniem sztuców, tylko odrywając ostrymi zębami potężne kawały mięsa. Salianka zatrzymała się w drzwiach jadalni, uniosła beret na wysokość oczu i spojrzała krytycznie najpierw na czapkę, a potem nad jej krawędzią na demona. Członkowie Rady, którzy wepchnęli się za nią do jadalni, zrobili to samo.

– On się chyba nie nadaje na pazia – powiedziała królowna.

Jakoś żaden z członków Rady nie był skłonny nie zgodzić się z Salianką. Jedno spojrzenie na Virvena uświadomiło im, że tę potyczkę przegrali. O faworycie Pani Twierdzy będą krążyć ponure legendy. Ktoś taki jak on po prostu musiał mieć nieczyste sumienie i nie było sensu temu zaprzeczać.

Królowna wetknęła beret Dawaszowi. Chciała mieć już sprawę faworyta z głowy, żeby wreszcie móc zjeść upragnione śniadanie.

– Jeśli koniecznie musi mieć jakąś funkcję, to mogę go zrobić dowódcą łupieżców – zaproponowała, pozornie wykazując dobrą wolę, a tak naprawdę dużą złośliwość. Od zarania dziejów dowódcą wszystkich łupieżców był władca Twierdzy. Za rządów Salianki łupieżcami, tak jak i wszystkimi innymi, w praktyce zarządzała Rada.

– Nie, to doprawdy nie będzie konieczne – zapewnili ją pospiesznie, opuszczając salę.

Ostatnia rzecz, do jakiej byli skorzy, to wyrzec się z własnej woli choćby ułamka władzy.

– Nie to nie. – Królowna z udanym smuteczkiem wzruszyła ramionami. Jeśli Doradcy chcą, to niech się jej faworytem zamartwiają. Ona wreszcie mogła usiąść przy stole i coś zjeść.

– Używaj sztucców – upomniała przy okazji demona. Spojrzał na nią wilkiem, ale posłuchał. Konsumpcja nożem i widelcem szła mu nieporównanie wolniej.

Jedząc, Salianka przyglądała się kątem oka swojemu faworytowi. Niania znalazła mu gdzieś czarny strój, w którym wyglądał mrocznie i ponuro. Twarz miał pociągłą, naznaczoną rysem okrucieństwa. Ktokolwiek miałby jakiegokolwiek złudzenia co do jego prawdziwej natury, tracił je, spojrzawszy Virvenowi w oczy patrzące na świat z nieukrywaną pogardą. Żółta iskra płonąca w głębi zielonych tęczęwek skłaniała do rozważań, skąd naprawdę przybył ten niby-człowiek. Silne dłonie sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły zmienić się w szpony. Zdecydowanie nie nadawał się na pazia.

Nadawał się chyba tylko na mordercę, i to seryjnego co najmniej. Królownie to nie przeszkadzało, skoro miał jej słuchać, to znaczyło, że nie zrobi jej krzywdy. Fakt, że reszta świata mogła zostać narażona na kontakt z jego kłami czy szponami, nie spędzał jej snu z powiek. Poza tym wyglądał odpowiednio. Każdy, kto zobaczy faworyta Czarownicy z Twierdzy, wyrobi sobie o niej odpowiednie zdanie. I zacznie się bać.

– Demony też muszą jeść? – zapytała Salianka, przyglądając się ciekawie. Pierwszy raz miała okazję z jakimkolwiek porozmawiać.

– Przecież widać – odburknął, patrząc na nią spode łba. Nie wyglądał na zadowolonego z jej obecności. Nie było nawet po nim widać, czy się cieszy, że wyrwał się z piekieł. Jedyne, co z niego emanowało, to chęć zrobienia komuś krzywdy. Demony najwyraźniej nie były rozmowne. Mimo to Salianka się nie zrażała. Virven był... cóż... jej demonem. Sojusznikiem.

– Sypiać też musisz?

Skrzywił się na to pytanie, widocznie miał nadzieję, że jedno burknięcie wystarczy, żeby dziewczyna dała mu spokój.

– Nie. – Odchylił się do tyłu na krześle i wbił w królownę zimne spojrzenie. Trwał tak przez chwilę nieruchomo, zdawało się, że nawet zapomniał o oddychaniu.

Salianka niespecjalnie przejęła się tym, jak na nią patrzył. Miała wystarczająco dużo zmartwień na głowie i nie zamierzała dokładać do nich jeszcze Virvena. Wyglądało na to, że odpowiada mu jej reakcja, a raczej jej brak. Jakby się rozluźnił, sięgnął po jabłko i zaczął podrzucać je w dłoni.

– Dużo się tu w nocy działo – powiedział niespodziewanie.

Królowna spojrzała na niego znad grzanek z nagłym zainteresowaniem. Demon spędził w Twierdzy pół nocy, a już okazał się przydatny.

– Zebrali się na północnej wieży – dodał Virven. – Denerwują ich plotki. Ja też ich denerwuję. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Strasznie nerwowi ludzie.

– Podśluchiwałeś? – domyśliła się Salianka. – Ale jak udało ci się wejść niezauważenie na wieżę? Umiesz latać?

– Nie. Wspiąłem się od zewnątrz.

– Bardzo dobrze – pochwaliła. Wrota miały znakomity pomysł z tym demonem. – Podśluchuj ich dalej. I postaraj się ich jak najbardziej denerwować.

Spodobało mu się to polecenie, było to widać po jego twarzy. Uśmiechnął się niczym kot, który osaczył kilka myszy tak, że nie miały szans na ucieczkę, choć jeszcze tego nie zauważyły. Jednak porównanie do kota nie było zbyt odpowiednie. Virven był o wiele, wiele większym drapieżnikiem. I niewypowiedzianie bardziej niebezpiecznym. Salianka przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. W jej głowie pojawiła się nowa, trochę niepokojąca myśl.

– Dlaczego mnie słuchasz? – zapytała nagle.

Nie odpowiedział. Nawet na nią nie patrzył, podrzucał tylko jabłko, jakby to była najbardziej interesująca ze wszystkich możliwych czynności.

– Dlaczego? – powtórzyła, tym razem ostrzejszym tonem.

– Zawarłem układ z Wrotami – powiedział powoli. – Będę ci służył, a one nigdy nie przepuszczą mnie na tamtą stronę.

– Aż tak jest tam źle?

– Gdyby było miło, demony nie próbowałyby stamtąd uciec. W końcu to piekło.

– No faktycznie – zgodziła się królowna. Jeśli o nią chodziło, to więcej nie musiała wiedzieć. Taki układ wystarczył jej jako gwarancja lojalności. – Podaj rzodkiewki.

Śniadanie miało się już ku końcowi, kiedy do sali zajrzał Plaskat. Na jego widok Virven odchylił się do tyłu i rozparł wygodnie na krześle, obrzucając Ósmego Rady wyjątkowo pogardliwym i nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Jego nie musisz denerwować, chyba że przy ludziach – powiedziała Salianka. Skinęła na Plaskata. – Wchodź, nie bój się. Chcesz grzanek?

– Nie, dziękuję. – Ósmy usiadł naprzeciw niej. Popatrzył niepewnie na demona. Nie był do końca pewien, jaką rolę ten kłopotliwy faworyt ma w Twierdzy odgrywać. Na zabaweczkę kapryśnej władczyni wyjątkowo się nie nadawał, było to po nim widać. Oprócz tego Plaskata niepokoił ewentualny wpływ Virvena na królownę. Ósmy zaczął już robić pewne plany, dość ambitne. Przekonał się już wcześniej, że z królowną da się rozmawiać, a nawet spiskować. Miał nadzieję, że jej faworyt nie będzie, dajmy na to, pchał się do władzy.

Virvenowi nie spodobały się spojrzenia, jakie Plaskat na niego rzucał, i dał to po sobie poznać. Przeciągnął się leniwie, a jego oczy nagle straciły ludzki wygląd. Stały się żółtawe, lśniące, straszliwe. Ósmy dostrzegł tę przemianę. Jakimś cudem udało mu się opanować zaskoczenie i narastający lęk. Zacisnął tylko mocniej zęby.

Zajęta grzankami królowna zauważyła, że coś jest nie tak, dopiero gdy podniosła głowę znad talerza. Dostrzegła wtedy wyraz twarzy Plaskata. Jej łokieć wylądował pod żebrem

demona, że ten aż się skrzywił.

– Zachowuj się – warknęła ostrzegawczo.

– Bo co? – odburknął.

– Bo ci urzędę piekło po tej stronie Wrót – zagroziła Salianka. – Idź, podenerwuj innych. Wyszedł niechętnie, ale posłusznie, zabierając sobie grzanekę na drogę.

– Nie przejmuj się nim – powiedziała uspokajająco królowna, kiedy za Virvenem zamknęły się drzwi. – On nikogo nie lubi.

– Może jest po prostu o ciebie zazdrosny – podsunał Plaskat. Był raczej skłonny uznać, że faworyt, kimkolwiek był, nie ma ludzkich uczuć, ale nie odważył się powiedzieć tego głośno, żeby nie denerwować Salianki. Kto wie, może jej na nim zależało. A może szybko się nim znudzi, wyśle go do diabła i wszystkim ulży. Ósmy nieczęsto zgadzał się z resztą członków Rady, ale ich niechęć do Virvena w pełni podzielał. To był po prostu ktoś, kogo za nic nie chciało się mieć za plecami. Przed sobą też nie.

– Nie sądzę – skrzywiła się królowna. Nie zazdrości zresztą od demona oczekiwała. Miał być lojalny i posłuszny, nic więcej. – Za to jest pożyteczny. Denerwuje Radę.

Gdzieś w Twierdzy rozległ się krzyk przerażenia, odbijający się echem po korytarzach tak długo, aż całkiem utracił ludzkie brzmienie.

– I straszny służbę – dodała, wzdychając. – Niby dobrze, ale jeszcze kogoś niepotrzebnie przestraszy na śmierć. – W zasadzie nie miała nic przeciwko nagłym zejściom śmiertelnym, pod warunkiem, że odbywały się w odpowiednim czasie i miejscu.

– Niemożliwe – roześmiał się mężczyzna. Owszem, Virven był przerażający, był też zapewne zdolny do rzeczy strasznych, ale żeby zaraz na śmierć?

– Pożyjemy, zobaczymy – powiedziała proroczo Salianka. – Co cię sprowadza na moje śniadanko? Większość Rady była tu wcześniej, chcieli zrobić z Virvena pazia. Lekko chybiony pomysł.

– Bolurek zaczął przysyłać informacje. Rada sprowadza wszystkich łupieżców do Twierdzy – wyjaśnił krótko Plaskat. Członkowie Rady nie mieli poprzedniej nocy zbyt wiele czasu na szczegółowe planowanie podbojów, tak bardzo pochłonęła ich kwestia świeżo przybyłego faworyta.

Chcą ich mieć pod ręką na wszelki wypadek, zamyśliła się królowna. Skoro wszyscy łupieżcy mieli powrócić, nadarzała się okazja, żeby urządzić im jakąś demonstrację potęgi, coś, co ich przekona, że tylko jej warto słuchać. Dwulicowi Doradcy sami wbijali sobie sztylet w plecy, tylko jeszcze o tym nie wiedzieli.

– Świetnie.

– Świetnie? – zaprotestował Ósmy. – Kiedy zdecydują się ruszyć na Doliny albo Ujście, wyprowadzą łupieżców pod byle jakim pretekstem i wyślą ich do walki.

W umyśle Salianki Wrota nagle drgnęły.

– *A nie* – uśmiechnęły się złośliwie ustami królowny. – *Bo to ja wyprowadzę łupieżców. I*

to nie pod byle jakim pretekstem, ale konkretnym. Podbijemy Rozstaje.

Plaskat prawie strącił patere z owocami. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że Salianka też zechce coś podbić. To oznaczało pokrzyżowanie planów Rady. Jej członkowie nie zareagowaliby na to entuzjastycznie. Ósmy nie przypuszczał, że Pani Twierdzy tak zdecydowanie dąży do konfrontacji.

– Co?

– Głuchy jesteś? – zdziwiła się królowna, która odzyskała swoje ciało i stanęła przed koniecznością rozwinięcia i realizacji szalonego planu Wrót. Plan nie był zresztą aż taki zły. W końcu chciała być prawdziwą władczynią, więc czas zacząć władać. I to na całego. – Przecież mówię. Podbijemy Rozstaje. Najwyższy czas, tak nawiasem mówiąc. Uprzedzałam Radę, że mam dość bezproduktywnego łupienia i napadania dla samej przyjemności, jak to robili moi i ich przodkowie. Twój pewnie też.

– Nie, moi nie – zaprzeczył lekko oszołomiony Plaskat. – Przynajmniej nie wszyscy.

– Skoro tak twierdzisz – ton Salianki świadczył, że w gruncie rzeczy mało ją obchodzą jego przodkowie, kimkolwiek byli. – Kiedy zbiorą się wszyscy łupieżcy?

– Dziś wieczorem, najdalej jutro rano. – Ósmy powoli otrząsał się z szoku. Doszedł do wniosku, że zdradzając Radę dla królowy, wybrał stronę, która być może odniesie zwycięstwo, ale w najbardziej nieprzewidywalny z możliwych sposobów. Nie stanowiło to dla niego problemu, o ile ta kręta droga rzeczywiście prowadziła do wygranej.

– Daj mi znać, jak tylko przybędą ostatni. Mam zamiar przemówić do ludu. – I będzie to przemowa, której długo nie zapomną, dodała w duchu. Słyszałyście?

Słyszałyśmy, potwierdziły Wrota.

Królowna wstała od stołu. Nadszedł czas ustalenia dokładniejszych planów.

– Idź pilnować przybycia łupieżców – pogoniła Plaskata. – Nianiu! – wrzasnęła, wychodząc z jadalni. – Mamy jakieś mapy?

Map było pełno. Wszystkie stare i dokładne. Największa zmieściłaby się może na trzech czy czterech zestawionych razem stołach. Saliance nie chciało się zestawiać razem mebli, więc przybiła mapę do ściany przy pomocy czterdziestu dwóch wylewitowanych toporków. Sama wlaźła na krzesło, żeby spojrzeć na nią z właściwszej perspektywy. Kiedy próbowała obejrzeć mapę, stojąc na ziemi, ta wydawała się przytłaczająco ogromna.

Pośrodku czarnym tuszem ktoś wymalował Twierdzę, pieszczotliwie kreśląc każdą wieżyczkę. Powyżej, prawie w linii prostej nad nią, znajdował się zamek Dolin, biały i jasny. Malarz pieczołowicie oddał Białe Szczyty, wioski, rzeki. W prawym górnym rogu naszkicowano Ujście z jego portem. Poniżej, po prawej stronie Twierdzy, pyszniło się swoim Miastem-Ogrodem Nadrzecze, a po lewej brunatną farbą namalowano warowne zamki Wzgórz. A na samym dole mapy, czyli mniej więcej na wysokości głowy stojącej na podłodze królowy, były Rozstaje. Kiedy wdrapała się na krzesło, mogła na nie spoglądać z góry.

To właśnie na Rozstaje patrzyła ze swojego okna na tyłach Twierdzy. A raczej w ich kierunku. Z Twierdzy bliżej było do Dolin, pewnie dlatego łupieżcy od lat wypuszczali się w tamtą stronę. Ale to się miało zmienić. Królowna pochyliła się, balansując na rzeźbionym krześle, i palcem wyznaczyła linię z Twierdzy do Rozstajów. Prosta droga, żadnych przeszkód, raptem jedna rzeka. Cztery dni w jedną stronę, ze dwa na podbój, jedna czwarta wojsk zostanie na miejscu, reszta za kolejne cztery dni wróci. Salianka doszła do wniosku, że jest urodzonym strategiem. Krzesło natomiast doszło do wniosku, że równowaga została zachwiana, i przy kolejnym kiwnięciu przewróciło się na podłogę.

– Mogłyście się otworzyć – zgłosiła pretensję królowna, podziwiając sufit.

Po co? – zapytały Wrota. To tylko krzesło, nic ci się nie stało.

– Serio? – w głosie Salianki brzmiał ocean powątpiewania. – A ja mam wrażenie, że tu umieram.

To tylko siniaki, zbyły ją niecierpliwie. Bądź dzielną królowną i nie zrzędź. I na przyszłość uważaj, na co włączysz.

Królowna pożałowała, że w tej chwili nie może się na nie obrazić. Były jej potrzebne do realizacji wielkiego planu, którego szczegóły obmyślała, leżąc na podłodze i gapiąc się w sufit pokryty kilkusetletnimi freskami. Ktoś przed wiekami uwiecznił różne malownicze sceny znamionujące potęgę jej rodu. Widok okazał się wyjątkowo inspirujący. Pomysły płynęły wartkim strumieniem, wręcz przepychając się między sobą. Salianka miała już prawie wszystko dokładnie obmyślane, kiedy widok nagle przesłoniła jej głowa Virvena. Stał nad nią i przyglądał się z zainteresowaniem.

– Nie przeszkadzaj, myślę – odprawiła go niecierpliwie.

– A ja sądziłem, że spadłaś z krzesła i nie masz siły wstać – nawet nie próbował nie być złośliwy.

Królowna zdenerwowała się tym powątpiewaniem w jej możliwości i natychmiast spróbowała się podnieść, żeby mu udowodnić, jak bardzo się myli. To nie był dobry pomysł. Jak spróbowała, tak z powrotem padła na podłogę, do tego z głośnym jękiem.

– To tylko siniaki – mruknęła zgryźliwie, patrząc na freski nad sobą. Wrota nie raczyły się odezwać.

Demon postawił przewrócone krzesło, a potem jednym energicznym ruchem podniósł ją i posadził. Salianka, wspomniawszy dzielnych przodków, ugryzła się w język, żeby tym razem nie jęknąć. W rezultacie co prawda nie wydała z siebie żadnego dźwięku, ale za to oprócz potłuczonych pleców zaczął ją też boleć język.

– Dzięki – powiedziała, może trochę niewyraźnie.

– Nie dziękuj – skrzywił się z niesmakiem. – Demony nie lubią, kiedy ktoś jest im wdzięczny.

– Skąd pomysł, że jestem ci wdzięczna? – królowna pytająco uniosła brwi. – To tylko taka formułka. Zresztą powinnam się tego oduczyć. – Wzruszyła ramionami. – Prawdziwa

Czarownica z Twierdzy nie powinna jej używać.

– Z własnego krzesła też nie powinna spadać – wytknął. – Dlaczego nie poleciałaś?

– Wrota latają, nie ja. – Spojrzała na niego spode łba. Dużą ulgę sprawiło jej, że przynajmniej przed nim nie musi udawać, że w jej ciele mieszka tylko jedna osoba. Kłamstwa były męczące nie ze względu na ewentualne wyrzuty sumienia, tylko konieczność powtarzania ich bez ustanku. Salianka miała nadzieję, że kiedyś będzie mogła z nimi skończyć, dla własnej wygody. – A wbrew pozorom one i ja to nie to samo. Po prostu musimy współistnieć w jednym ciele, co nie zachwyca żadnej ze stron, ale jakoś da się przeżyć.

Virven skinął głową na znak, że rozumie. I pewnie rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny. Demon i opętany przez niego człowiek też mogli współistnieć w jednym ciele, choć to akurat rzadko się zdarzało. Demony wierzyły w hierarchię, a nie we współpracę.

Na zewnątrz wybuchło jakieś zamieszanie. Salianka podniosła się z krzesła i trzymając się za krzyż, skrzywiona niczym babcia-staruszka, podeszła do okna.

– Co tam się dzieje? – zainteresowała się, próbując wyjrzeć na zewnątrz. Ktoś krzyczał, tego była pewna, i na jednym z krużganków zrobiło się małe zbiegowisko.

Odpowiedziała jej cisza. Nie taka zwyczajna, tylko nader wymowna.

Oho, powiedziały domyślnie Wrota.

Królowna odwróciła się do demona. Jeśli ktoś narobił kłopotów, to z pewnością on. Chociaż w tej chwili całym sobą prezentował kamienną obojętność.

– Nie wiem – skłamał niechętnie. Widać do kłamstw miał podobny stosunek co Salianka.

Wie, oceniły Wrota.

– Pewnie, że wie. – Królownę zabolaty mocniej potłuczone plecy, więc usiadła na podłodze pod oknem. – Coś ty zrobił? – zapytała podejrzliwie. – Nie kazałam ci jeszcze nikogo zabijać!

– Nic takiego – wzruszył ramionami. – Denerwowałem Radę.

Królowna spojrzała na niego nieufnie. „Nic takiego” w hierarchii wartości demona mogło oznaczać wszystko: od odgryzienia głowy wróblowi po masowy mord. W umyśle Salianki zaczęła się krystalizować wizja siedmiu staruchów z wyprutymi wnętrznościami.

– Oni też mnie denerwowali – dodał wyjaśniająco, przeciągając się.

– Sprowadzyliście na świat szaleńca, który wytłukł moją Radę – poinformowała Wrota królowna. – Miejmy nadzieję, że Plaskata nie ruszył, zaczynałam go nawet lubić.

Szczerze mówiąc, lepiej by ci było bez nich wszystkich, zauważyły przytomnie Wrota.

– Tak, ale...

Ale co? – zainteresowały się gwałtownie.

Salianka zdmuchnęła sobie z twarzy kosmyk włosów. Doszła do wniosku, że lepiej im powiedzieć, nawet jeśli będą sobie z niej żartowały. I tak by się w końcu dowiedziały.

– Ale komu ja wtedy będę udowadniać, że jestem prawdziwą władczynią? – zapytała

buntowniczo. – Tylko oni wiedzą, że przez trzy lata byłam jak mebel. A teraz chcę im pokazać, że potrafię odzyskać władzę. I chcę, żeby na to patrzyli!!! Żeby musieli mnie uznać za prawdziwą Pierwszą.

A nie mogłabyś tego wszystkiego udowodniać sobie samej? – podsunęły Wrota. *Byłoby dużo prościej.*

– Nie – syknęła przez zaciśnięte zęby królowna. – Chcę to udowodnić Radzie! Ale nie uda mi się to, jeśli on ich wszystkich wcześniej wymorduje. Niech morduje, jak już im to wszystko pokażę!

Katastrofistka, burknęły w odpowiedzi Wrota. *Lepiej zapytaj, co naprawdę zrobił.*

– Ilu? – zapytała rzeczowo Salianka, odwracając się do demona.

– Jeden.

– A, to jeszcze nie jest tak tragicznie – stwierdziła obojętnie królowna. – To jego znaleźli, tak? Ktoś cię z nim widział?

– Nie znaleźli – stwierdził z nieukrywaną satysfakcją Virven.

Salianka natychmiast zrezygnowała z pytania dlaczego. Odpowiedź mogła jej nie uszczęśliwić.

– A nawet jeśli, to raczej nie ma szans, żeby go rozpoznali. A mnie nie widzieli. Tego ludzkiego mnie – uściślił.

– Świetnie – westchnęła królowna. – Nie rób tego więcej!!! – wrzasnęła tak, że aż jeden z toporów odpadł od ściany. – Tylko jeśli ja pozwolę – dodała z naciskiem.

Skrzypnęły uchylane drzwi i do komnaty weszła niania, prowadząc za rękę Ósmego Rady. Nie było wątpliwości, że Plaskat chciał zobaczyć się z Panią Twierdzy w sprawie niecierpiącej zwłoki, nie tylko dlatego, że pozwalał prowadzić się starej piastunce niczym dziecię na spacer. Ale też dlatego, że już od progu otwierał usta, by ową sprawę jak najszybciej przedstawić. Jednak nie zdołał zrealizować tego zamiaru, bo najzwyczajniej w świecie nagle zabrakło mu słów.

Pani Twierdzy siedziała na podłodze w sposób absolutnie nieprzystojny, prezentując wszystkim kształtne łydki, które wystawały spod uniesionego skraju sukni. A wystawały, ponieważ władczyni ów skraj gniotła w dłoniach, tocząc przy tym wokół spojrzeniem, które umownie można by określić jako dzikie. Mniej umownym słowem byłoby „obłąkane”. Wstążka, która zazwyczaj przytrzymywała jej gęste włosy, teraz zwisiała smętnie, a ciemne pukle otoczyły twarz wykrzywioną w grymasie wściekłości. Nie zdołały jednak ukryć przy tym zmarszczki, która niczym czarna krecha dzieliła gładkie czoło Pierwszej na pół.

Jakby tego było mało, by pozbawić Plaskata całej pewności siebie, obok Pani Twierdzy stał jej faworyt. Dla kontrastu z twarzą obleczoną w wyraz obłudnego spokoju przemieszanego z równie obłudną niewinnością. Na widok Ósmego uniósł jedną z czarnych brwi, jakby chciał powiedzieć: „No i o co chodzi? Ja tu tylko stoję”. Po czym z uwagą zaczął rozglądać się wokół, ostentacyjnie omijając spojrzeniem Pierwszą.

– Wszędzie cię szukałem, Pani. – Doradca wyrwał niani swoją dłoń i skłonił się przed Salianką. – Ostatni łupieżcy dotrą do Twierdzy o zachodzie słońca.

Królowna zastanowiła się błyskawicznie. Utrata jednego z członków Rady nie była powodem do długiego rozpaczania. Do krótkiego zresztą też nie, zważywszy, że były ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Jak tylko się pojawią, zagoń ich wszystkich na wewnętrzny dziedziniec. Niech tam na mnie czekają. Rada też ma tam być, tylko żeby mi się nie odzywali, jak zaczną, to zapchaj im czymś gęby. Powiedz, że mi odbiło i sama chcę przemówić do łupieżców, albo wymyśl coś sam, byle to było skuteczne.

– Tak jest, Pani. – Skłonił się nisko i wyszedł, unikając spoglądania w stronę Virvena. Nie odwrócił się też, żeby spojrzeć na Saliankę, chociaż ciekawość go do tego popychała. W faworycie władczyni było coś niepokojącego, jeszcze bardziej niż niepokojące zaś było lekceważenie, a nawet pogarda, z jaką odnosił się on do wszystkich, z Panią Twierdzy włącznie. Plaskat bardzo chciał poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego królowna trzyma przy sobie mężczyznę, który najwidoczniej potrafi działać jej na nerwy i jest równie nieprzewidywalny jak Rada.

– Nianiu, zostań, będziesz potrzebna – poleciła Salianka, kiedy za Plaskatem zamknęły się drzwi. Odwróciła się do demona. – A tak poza rozpruwaniem ludzi to znasz się na dowodzeniu wojskiem?

* * *

Zachód słońca zbliżał się nieubłaganie, a wspaniała wizja, którą królowna wymyśliła zainspirowana freskami na suficie, napotykała na trudności w realizacji. W całej Twierdzy znajdowały się sto osiemdziesiąt cztery kufry pełne sukien zrabowanych za życia Salianki lub jeszcze przez jej przodków. Kilka zostało, co w Twierdzy było rzadko spotykane, uszyte na zamówienie przodkiń Salianki. Jak dotąd żadna z szat nie była idealna.

– Niebieska! – zirytowała się królowna, przerzucając stroje, które niczym zasy śniegowe pokrywały podłogę i wysypywały się na korytarz. – Różowa! – Cisnęła następną suknię za siebie. – Liliowa! Co to za kolory, co to za fasony? – Z niedowierzaniem obejrzała kilometry falbanek pokrywające liliowy materiał. – To nie jest coś, co może włożyć Czarownica z Twierdzy! Żółta! – Zawahała się i obejrzała sukienkę uważniej. – Ta nawet ładna, ale nie na dziś! Nie może być żółta! Czego? – Spojrzała gniewnie na Virvena, który właśnie wszedł, brodząc po kolana w strojach.

– Wszystko przygotowane – oznajmił. Panujący wokół chaos odzieżowy nawet go nie zdziwił, ludzie w końcu z reguły robili dziwne rzeczy. Jego Pani, choć jak na demonie standardy nawet znośna, nie była pod tym względem wyjątkiem.

– Ale ja nie jestem przygotowana – załamała się królowna. – Nie mam się w co ubrać! –

Spojrzała z rozpaczą na wywaloną na podłogę zawartość stu dziesięciu kufrów.

– A tamta? – Virven wskazał brodą nianię, która właśnie wygrzebywała coś z dna sto jedenastego kufra. Niezbyt znał się na ludzkich strojach, ale sukienka znaleziona przez piastunkę... po prostu pasowała.

Salianka odwróciła się i spojrzała. I natychmiast poczuła, że to, co niania trzyma w dłoniach, jest tym, czego brakowało w jej wizji.

– Idealna – powiedziała z zachwytem.

Słońce zaszło, powoli robiło się ciemno. Łupieżcy zbierali się na dziedzińcu. Zawiadomiona w ostatniej chwili cała Rada zgromadziła się na balkonie, z wyjątkiem Dziewiątego, który koło południa przepadł bez wieści, zostawiając po sobie tylko kaftan i ogromną krwawą plamę w korytarzu. Doradcy pod nosem narzekali na głupie pomysły swojej Pierwszej, ale w ich oczach czaiła się obawa. Ostatnio królowa przestała być obojętna na sprawy rządzenia. A co gorsza, nie mogli zbyt intensywnie próbować odsunąć jej od tych spraw bądź pozbawić stanowiska Pierwszej, jak to miało miejsce w przypadku jej ojca. Była ostatnią z rodu i ostatnią Strażniczką. Wrota nie zrezygnują z niej łatwo, bo to oznaczałoby kres ich istnienia. W najlepszym przypadku kres, bowiem tak naprawdę nikt nie był do końca pewien, co oznaczałoby śmierć ostatniego Strażnika. W kronikach rodu pojawiały się zaledwie mgliste wzmianki na ten temat, ale one już wystarczały, żeby wysunąć przypuszczenie, iż Wrota będą bronić Salianki, póki sił i póki mocy. A tej drugiej z pewnością miały pod dostatkiem. Członkowie Rady nie mieli innego wyjścia, jak pozwolić swojej Pani na kaprysy i liczyć w duchu, że niecodzienne pomysły Pierwszej to tylko fanaberie.

Pomiędzy schodzącymi się wojakami przepychał się ochmistrz Sampsa, wydając sługom jakieś tajemnicze rozkazy dotyczące umiejscowienia pochodni. Jego krzyki przebijały się poprzez gwar prowadzonych rozmów i rozważań dotyczących celu zgromadzenia.

Nim wszyscy łupieżcy stłoczyli się na dziedzińcu, zrobiło się już całkiem ciemno. Mimo to Sampsa nie pozwolił zapalić zbyt wielu łuczyw. Ludzie tłoczyli się więc w mroku ciekawo powodu, dla którego ich tu zebrano, ale też coraz bardziej znudzeni i zniecierpliwieni. W zbitej ciżbie było coraz bardziej duszno, zaczynały się pierwsze przepychanki, które lada chwila mogły przerodzić się w bijatykę. W końcu walka była dla łupieżców żywiołem, sensem życia i jedynym znanym sposobem zabicia czasu. A Salianki nie było. Członkowie Rady, coraz bardziej niezadowoleni, że nie wtajemniczono ich w plany królowy, zaczęli coś sarkać pod nosem. Plaskat już miał wymykać się i szukać Pierwszej, kiedy z ciemności wynurzył się Virven. Jego przybycie uciszyło przynajmniej członków Rady, którzy w obecności takiego urodzonego zabójcy woleli nie narzekać zbyt ostentacyjnie. Demon nie zawracał sobie głowy ich obecnością, interesował go tylko sługa, którego Sampsa zostawił na balkonie w charakterze łącznika.

– Zapalcie pochodnie wzdłuż murów i przy balkonie. Pozostałe zgasić – rozkazał mu

Virven. – Już! – ryknął na pachołka, który opieszale zabierał się do wykonania polecenia nieznanego sobie człowieka.

Nieszczęśnik prawie zemdlał ze strachu, widząc rozwścieczoną twarz i żółty, nieludzki blask oczu demona, ale pozbierał się jakoś i pobiegł zawiadamiać pozostałych służących o wydanym poleceniu. Po chwili dziedziniec oświetliły niepewne, trochę zwodnicze płomienie pochodni. Umieszczono je nie tylko wokół placu, ale też na szczycie wieży. I właśnie tam, w górze, na tle migoczącego ognia, łupieżcy dostrzegli swoją Panią, a raczej tylko jej sylwetkę. Zdawała się być tylko nierealnym cieniem, ale stała tam, a hulający wokół wież wiatr rozwiewał jej włosy i szarpał powłóczystą suknię. Patrzyła z góry na swoją Twierdzę i poddanych, bardziej prawdziwa niż w legendzie, ale jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek podobna do Czarownicy z Twierdzy, o której matki opowiadają bajki niegrzecznym dzieciom.

Wysoko na wieży królowna wzięła głęboki oddech. Nadeszła ta chwila. Skoro wszyscy boją się bajkowej złej czarownicy, to czas, żeby bajka stała się rzeczywistością. Żeby legenda o Pani Twierdzy i Salianka zlały się w jedno.

– Gotowe? – zapytała Wrót.

Gotowe, odpowiedzieli.

– No to już. – Spojrzała w dół, na ogień i ciemny tłum. Prawdopodobnie oni patrzyli teraz na nią, ale z tej odległości nie mogła dostrzec zadartych głów. – Ależ tu wysoko.

Skoczyła, zanim od wysokości zdążyło jej się zakręcić w głowie.

I tak łupieżcy ujrzeni po raz pierwszy swoją Panią zlatującą z nieba, w świetle pochodni piękniejszą niż za dnia, potężną, iskrzącą się magią. Szerokie rękawy bordowej sukni szarpał wiatr, sprawiając, że łopotały niczym skrzydła wielkiego ptaka. To tylko potęgowało otaczającą królownę aurę niezwykłości. Nie było widać jej twarzy, zasłaniały ją włosy, a pomiędzy ciemnymi kosmykami niczym dwa klejnoty lśniły oczy Salianki, które za sprawą Wrót przypominały teraz świecące oczy demona. Bez wątpienia unosząca się w powietrzu dziewczyna wyglądała jak ucieleśnienie wszelkich wyobrażeń o Czarownicy z Twierdzy poza tymi, które opisywały Pierwszą Rady jako przygarbioną, krościastą staruchę. Zebrani na dziedzińcu łupieżcy zbaranieli ze zdumienia, niektórzy kulili się z lęku, pełni obaw, czy nie przyjdzie im teraz posmakować legendarnego gniewu ich Pani. Także na członkach Rady widowisko zrobiło wrażenie, choć dalecy byli od podziwu czy lęku. Przepelniała ich wściekłość i irytacja, bo oto na ich oczach wzrastała potęga Pierwszej, i to kosztem ich własnej. A królowna opadała powoli, dumnie, tak żeby wszyscy dobrze zapamiętali tę chwilę. Plaskat oderwał się od podziwiania Salianki i zerknął na Virvena. Demon obserwował tłum, leniwie przeczesując spojrzeniem szeregi łupieżców. Wyczuł chyba spojrzenie Ósmego, bo odwrócił się i posłał mu złowrogi wilczy uśmiech.

Dużo ich, zdumiała się Salianka, spoglądając w dół. Czowała na sobie spojrzenia łupieżców pełne nabożnego lęku. Podążali wzrokiem za jej ciałem, aż do balustrady balkonu, na którą Wrota łagodnie opadły. Wycofały się na koniec umysłu królowny, jak tylko jej obie stopy

stały pewnie na kamiennej barierce. Salianka na powrót odzyskała kontrolę nad swoim ciałem, które znajdowało się naprzeciw kilku tysięcy ludzi. Ten tłum trochę ją przerażał, ale to nie był dobry czas na uleganie własnym lękom. Zignorowała to nieprzyjemne uczucie w nadziei, że przejdzie jej, gdy wreszcie zacznie mówić. Odchrząknęła.

– Skończył się czas wypraw łupieżczych – powiedziała, a jej głos rozniósł się po całym dziedzińcu. – Skończył się czas krycia się w Twierdzy niczym stado szczurów! Doliny, Ujście, Nadrzecze, Wzgórza, Rozstaje, oni wszyscy mają nas za nędznych, tchórzliwych zbójów napadających na karawany. Nie szanują nas. Nie wierzą, że potrafimy walczyć. Myślą, że wystarczy jeden człowiek, by złamać naszą siłę. Dość tego! Ci, którzy nas nie doceniali, pożałują. Twierdza przestanie być straszakiem dla małych dzieci. Twierdza stanie się największym postrachem wszystkich krain! Nadszedł czas podbojów!

Łupieżcy zaczęli krzyczeć. Ich ręce unosiły się rytmicznie w górę, a gardła skandowały: „Twierdza, Twierdza”. Zaczęło kilku najbliżej balkonu, a kolejni podchwycili zawołanie. Salianka patrzyła na nich odrobinę oszołomiona.

Widzisz, powiedziały Wrota. Mówiliśmy, że wystarczy, jak Virven zahipnotyzuje z dziesięciu. Tlum jest jak wóz na stromej drodze: wystarczy lekko popchnąć.

– Nie psujcie chwili mojego triumfu przypominaniem, jak go osiągnęłam – mruknęła królowa. Próbowała gestem uciszyć łupieżców, ale się nie udało. – Cisza! – krzyknęła. Zamilkli natychmiast, tylko echo powtarzało jeszcze jej słowa.

– Jutro ruszycie na Rozstaje! – wykrzyknęła. Odpowiedział jej głośny wrzask radości wydobyty z tysięcy gardeł. – Macie nowego dowódcę. – Virven wystąpił do przodu, tak że zgromadzeni na dole mogli go dojrzeć. – On i członkowie Rady poprowadzą was do zwycięstwa!

Cały dziedziniec wypełniły wiwaty. Łupieżcy nie tylko krzyczeli, machali rękami, niektórzy unieśli w górę broń, inni walili ostrzami o tarcze. Dawno w Twierdzy nie było tak głośno i tak radośnie.

Salianka stała jeszcze przez chwilę na balustradzie, chłonąc ten entuzjizm. Właśnie o to jej chodziło: co tam Rada, teraz łupieżcy będą pamiętać tylko o swojej Pani, latającej, władającej magią, posyłającej ich po prawdziwe zwycięstwo. To jej będą służyć i jej będą się lękać. Nasyciwszy się ich uwielbieniem, zeskoczyła z balustrady na balkon. Niestety, o wiele gorzej radziła sobie z utrzymywaniem równowagi niż Wrota. Gdyby stojący obok Virven jej nie podtrzymał, wyszłoby jej to mało wdzięcznie, a może nawet skończyło się upadkiem. Z pomocą demona udało jej się uniknąć kompromitacji.

Ledwo królowa stanęła pewnie na tarasie, już musiała stawić czoła Radzie.

– Pani... – Poczerwieniały na twarzy Dawasz wyglądał, jakby zaraz miał eksplodować, podobnie zresztą jak pozostali członkowie Rady, zbliżający się do swojej Pani niczym stare, wygłodniałe sępy.

– Idź pakować kufry – zasugerowała mu Salianka. Czowała się pewna siebie jak nigdy,

świadomość, że demon stoi tuż za nią gotów rozszarpać każdego wroga też dodawała jej animuszu. – Wyruszacie jutro. Ty, Szósty, Siódmy, Dziesiąty... Mamy już nowego Trzeciego? – zainteresowała się. Aktualnie Radzie brakowało trzech członków: poprzedni Trzeci zginął, gdy królowna wraz z Gawarkiem uciekała z Twierdzy, Piątego osobiście zdymisjonowała, gdy tylko wróciła, Dziewiąty nie przeżył pojawienia się jej faworyta. A Salianka starała się przecież usuwać ich tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Zależało jej, żeby choć jeden dożył chwili jej pełnego triumfu.

– Jeszcze nie, Pani – pospieszył z odpowiedzią Plaskat. Trzymał się trochę z boku, zerkając z niepokojem na pozostałych Doradców. Wbrew jego obawom nie zanosilo się jednak na ostry spór.

– I dobrze. Jak podbijemy Rozstaje, zaproponujecie ich... Kto w ogóle tam rządzi?

– Dziedziczny namiestnik – wyjaśnił znowu Plaskat. Pozostali członkowie Rady nie byli w stanie udzielać jakichkolwiek odpowiedzi. Wprost kipiała z nich furia, którą do tego starali się trzymać na wodzy, żeby przypadkiem nie skłonić królowny do otwarcia Wrót. Gdyby z zaciśniętych z całej siły ust zaczęli toczyć pianę, nikt by się specjalnie nie zdziwił. Najlepiej panował nad sobą Dawasz, najgorzej to wychodziło Siódmemu, który aż płonął z wściekłości. Miał tak czerwoną twarz, jakby zaraz miała go trafić apopleksja. Salianka twardo ignorowała prezentowane przez nich emocje. Nie miała zamiaru zwracać im uwagi: niech przetrwają swoją wielką porażkę, nich nauczą się z nią żyć.

– No więc jak już podbijemy Rozstaje, to zaproponujecie temu namiestnikowi wygnanie albo urząd Trzeciego – ciągnęła. – Jak któregoś z nich – tu wskazała na członków Rady od Drugiego do Siódmego i na Dziesiątego – trafi szlag, to może też dobierzemy sobie kogoś z Rozstajów. To będzie robiło dobre wrażenie. – Zatarła ręce z zadowoleniem.

Ósmy już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale królowna była szybsza. A raczej szybsze były Wrota.

– *Nie jedziesz* – oznajmiły, ujmując go pod ramię i odprowadzając na stronę. Virven szedł o krok z tyłu, nie spuszczać wzroku z Plaskata i swojej Pani, – *Chyba nie masz zamiaru dyskutować z moimi rozkazami? Tak myślałam* – dodały Wrota, widząc głębokie niezadowolenie na twarzy Ósmego. – *Ale mam nadzieję, że słuchałeś uważnie, bo tym głąbom* – spojrzały krytycznie na resztę Rady – *trzeba to zapisać. Daję głowę, że nie zapamiętali ani jednego słowa. A na tobie* – zerknęły na demona – *nie ma co w tym względzie polegać*. Tylko niech to nie będzie jatka! – wtrąciła się Salianka, przejmując władzę nad swoimi własnymi ustami. – Ja mam zamiar z Rozstajów czerpać korzyści, a nie zrównać je z ziemią.

Virven wzruszył ramionami. Wyglądał na trochę rozczerowanego, przede wszystkim spodziewanym brakiem jatki.

– To by było na tyle – stwierdziła po chwili zastanowienia Pierwsza. W tej chwili dostrzegła ochmistrza, który właśnie z lekką zadyszka wdrapał się po schodach na balkon. – O! Sampsa!

– Pani! – stary ochmistrz skłonił się głęboko. – Waszmościowie! – uklonił się Radzie, a potem zamarł, niepewnie zerkając na czerwone twarze i zaciśnięte szczęki. Doradcy nawet nie zauważyli jego przyjscia pogrążeni w morzu własnego gniewu.

– Możesz do nich wezwać medyka – zasugerowała królowna. Z członkami Rady nie było najlepiej. Jeśli chciała zachować ich przy życiu i zdrowych zmysłach, musiała jakoś o nich zadbać. – Plaskat mu wyjaśni, którzy mają być jutro rano gotowi do drogi. Resztę najlepiej zapakować na tydzień do łóżka i zaaplikować im coś na uspokojenie. Coś naprawdę porządnego – dodała z naciskiem, pochylając się konspiracyjnie ku ochmistrzowi. – Przecież nie chcemy, żeby nam padli. – Mogła być pewna, że to polecenie zostanie wykonane co do joty. Sampsa najbardziej na świecie cenił swoją kochającą porządek Panią i przede wszystkim jej służył.

– Przekażę medykowi twoje zalecenia, Pani. – Ochmistrz skłonił się ponownie.

– Świetnie – ucieszyła się Salianka. – Przynajmniej na tobie można polegać.

Na te słowa starzec wypiął dumnie wątlą pierś.

– Do jutra, panowie – rzuciła królowna w stronę członków Rady i opuściła balkon. Virven podążył za nią.

Wiwatujący łupieżcy, już upojeni wizją przyszłego zwycięstwa, nawet nie zauważyli ich odejścia.

Zanim Plaskat zdążył zapukać do komnat królowny, drzwi otworzyły się same. Stał w nich Virven, który obrzucił Ósmego dość niechętnym spojrzeniem, ale odsunął się i wpuścił go do środka. Pierwszy pokój przedstawiał dość zajmujący widok. Zaścielały go suknie, które podczas przeglądania kufrów Salianka uznała za godne zainteresowania. Pomiedzy strojami przemieszczała się niania, życzliwie, choć obłąkańczo uśmiechnięta. Staruszka bezskutecznie usiłowała posprzątać porozrzucane ubrania, ale w rzeźbionych komodach brakowało już miejsca. Przez uchylone drzwi kolejnej komnaty widać było królownę, która z pełnym zaangażowaniem mizdrzyła się przed lustrem.

Tak była pochłonięta tym zajęciem, że Plaskata zauważyła dopiero, kiedy stanął za nią. W zwierciadle obok swojego odbicia dostrzegła twarz. Nie wydawał się zachwycony zachowaniem Salianki, która z pełnym poświęceniem wdzięczyła się i stroiła słodkie, zupełnie do niej niepasujące minki. Dziewczyna zamaszystym ruchem odwróciła się od lustra.

– No co? – zapytała z pretensją, marszcząc gniewnie czoło. – Co jest takiego złego w przeglądaniu się? Nie zawsze muszę wyglądać jak zła i okrutna Czarownica z Twierdzy – w jej głosie zabrzmiał odcień żalu, kiedy ostatni raz posłała słodki uśmiech swojemu odbiciu.

Ten uśmiech w dziwny sposób odmienił jej rysy, jakby nie była już sobą ani tym bardziej wiedźmą, która dopiero co zleciała z wieży na skrzydłach magii. Zdawał się należeć do kogoś, kto nigdy nie posłałby tysięcy ludzi na wojnę. Tym kimś z pewnością nie była Salianka.

– Nie gap się tak – warknęła królowna, obserwując Ósmego, który zapatrzył się na tę

obcą dziewczynę w lustrze. Miała rysy jego Pani, ale w jej oczach błyszczała radość. – Bierz przykład z Virvena. Jego w ogóle nie interesuje, jak wyglądam.

Rzeczywiście, demon zrzucił kilka sukien z fotela, rozsiadł się w nim i zajął studiowaniem mapy. Całkowicie ignorował fakt, że jego Pani stoi tuż obok i wygląda piękniej niż kiedykolwiek. A Salianka zdawała się w ogóle nie przejmować obojętnością swojego osobistego faworyta na jej wdzięki.

– Wybacz, Pani – powiedział pospiesznie Plaskat. Gorączkowo szukał czegoś innego, na czym mógłby skupić wzrok.

– Wybaczam – rzuciła łaskawie. – To teraz zaczniesz narzekać? Przecież po to przyszedłeś, prawda? – dodała, bo zaskoczony jej domyślnością Ósmy milczał. – Chcesz wiedzieć, dlaczego nie możesz jechać na podbój i dlaczego nie zostałeś Trzecim Rady albo chociaż Piątym, na miejsce tego idioty, który teraz szoruje chlew. O to chodzi?

– Tak – wydusił z siebie Plaskat. Długo się wahał, zanim tu przyszedł. Zgłaszanie pretensji do królowny mogło nie być najlepszym pomysłem, ale urażona ambicja wzięła górę.

– Ależ ja jestem domyślna – pochwaliła się Salianka. Za jej plecami Virven skrzywił się pogardliwie. – Mogłabym powiedzieć: bo tak, bo ja jestem królowną i trzeba mnie słuchać bez względu na to, jakie bzdury mówię, ale taki kit będę wciskać reszcie Rady. Nie jedziesz na Rozstaje, bo ktoś musi pilnować tej części Rady, która zostaje. I donosić mi, czy ten głupek Bolurek ma jakieś informacje. A Trzecim nie zostałeś, bo na to musisz sobie bardziej zasłużyć. To nie jest równorzędny układ, ja tu mam decydujący głos. Staraj się dalej, to zobaczymy.

– Tak, Pani. Dziękuję. – Ósmy skłonił lekko głowę. Nie uzyskał tego, po co przyszedł, ale przynajmniej nie ściągnął na siebie gniewu królowny. Ostatecznie mógł jeszcze poczekać.

– Nie ma za co. Dopilnowałeś zapisania moich rozkazów? – upewniła się Salianka. – W co najmniej pięciu egzemplarzach?

– Pięciu? – zdziwił się Plaskat. Nie był pewien, czemu miałyby to służyć.

– Coś mi mówi, że Dawasz postara się zgubić swój egzemplarz, może nawet kopię tego egzemplarza. – Królowna wygięła usta w wyjątkowo żalną podkóweczkę. Znała swojego Drugiego lepiej, niż mógł się tego spodziewać. W końcu przez trzy lata nie miała innego zajęcia niż obserwowanie, jak przewodzi jej Radzie i rządzi jej Twierdzą. – Na pewno byłoby mu potem bardzo przykro.

– Mamy tylko dwie kopie – przyznał Plaskat. Zły był na siebie, że o tym nie pomyślał. Mógłby dowieść Saliance swojej inicjatywy i zdolności przewidywania.

– To na co czekasz? – zapytała królowna. – Niech dopiszą jeszcze z dziesięć, pół dasz Dawaszowi, resztę zabierze Virven. A ty gdzie idziesz? – Kątem oka zauważyła, że demon podchodzi do drzwi.

– Na dziedzińce – wyjaśnił niecierpliwie. – Posłuchać, o czym mówią łupieżcy.

– Jak to o czym mówią?! – zdenerwowała się. – Jutro rano wyruszają na wyprawę! O tej

porze nie powinni gadać, tylko spać!

Virven spoglądał na nią z lekko kpiącym zastanowieniem. Świetnie się bawił, obserwując jej konsternację. Prawie tak dobrze, jak zabijając kogoś.

– Dobrze, może ja się nie znam – skapitulowała niechętnie Salianka. Nie podobało jej się, że istota z piekieł wie więcej na temat zachowań jej ludzi niż ona sama, człowiek z krwi i kości. Świat zdecydowanie stawał na głowie.

– Nie znasz się – pouczył ją demon. – Będą się bawić do rana.

Bawić się? – zainteresowały się gwałtownie Wrota.

Wepchnęły się na przód umysłu królowy, wyłowiły ze stosu ubrań żółtą suknię. Przebrały się w mgnieniu oka, skądś wyciągnęły swoją maskę.

– *Ja też będę się bawić* – oznajmiła wielka czarodziejka Wrota, potrząsając ciemnymi lokami. – *Będą fajerwerki?* – upewniła się. W jej oczach lśniła chciwość wrażeń i zabawy.

– Nie planowaliśmy... – zaczął się usprawiedliwiać Plaskat, ale Wrota mu przerwała.

– *Chcę, żeby były* – powiedziały kapryśnie. – *Zajmij się tym* – poleciły Virvenowi.

Demon bez słowa wyszedł. Od razu wiedział, że nie ma już do czynienia z Salianką. Inaczej niż Ósmy, zaskoczony i zdeorientowany wydarzeniami. Kilka chwil wcześniej, kiedy patrzył na odbicie królowy w lustrze, wydawało mu się, że patrzy na kogoś innego. A teraz Salianka naprawdę wydawała się być kimś innym, kimś, kto patrzy na świat, jakby chciał wchłonąć każdy szczegół. Ta odmieniona królowa założyła białą maskę wymalowaną w kolorowe gwiazdy, tak że z całej twarzy widać jej było tylko oczy. Zakręciła się kilka razy przed lustrem, podziwiając się z każdej strony. Spodobało jej się to, co zobaczyła, bo nagle roześmiała się radośnie. Tanecznym krokiem wyminęła porzucaną garderobę, kompletnie przy tym ignorując obecność niani i Plaskata.

Zaskoczony Ósmy prawie wbrew sobie podążył za królową, jeśli to jeszcze była królowa. Miał wrażenie, że na jego oczach rozegrało się właśnie coś ważnego, coś, co pozwoliłoby mu odkryć tajemnicę Salianki. Nie był pewien, czy chce poznać jej sekret, żeby zdobyć nad nią przewagę, czy po prostu trawi go ciekawość, pragnienie zrozumienia, kim naprawdę jest Pierwsza Rady.

Nie miał czasu teraz rozstrzygać tej kwestii, bo dziewczyna szła coraz szybciej, wreszcie zbiegła na dziedziniec i wmieszała się w tłum mieszkańców Twierdzy.

Plaskat za nią nie nadszedł, pozostało mu tylko stać i wypatrywać migającej gdzieś między ludźmi białej maski i żółtej sukni.

Wspiął się po kilku schodkach w górę, żeby mieć lepszy widok na dziedziniec. Pełno było na nim rozbawionych ludzi. Wtaczano kolejne beczki, walono w bębny. Wielkie ogniska buzowały wesoło. W tym całym zamieszaniu nie sposób było znaleźć królowy. Ósmy miał już zrezygnować, ale dojrzał coś niepokojącego w zarysie jednej z wież. Zatrzymał się jeszcze, żeby przyjrzeć się dokładniej. Coś z tą wieżą było nie tak, jakiś kształt wspinał się po prawie gładkiej ścianie. Kształt, który z całą pewnością nie był ludzki. Plaskatowi zdawało

się, że trochę przypomina pół wilka, pół człowieka.

Nie był pewien, czy przypadkiem wyobraźnia nie spletała mu figla, więc postanowił najpierw sam to sprawdzić. Zaczął przepychać się przez tłum w stronę wieży. Nie miał kuszy, ale miał nóż. Nie srebrny, ale całkiem dobry i wystarczający, by obronić się nim od jakiegś nagłej napaści, o ile ktokolwiek planował na niego napadać. Właśnie to zamierzał Plaskat sprawdzić, obiecując sobie w duchu, że jeśli trafi na ślady wilkołaka, to najpierw się stosownie uzbroi, a dopiero potem przeprowadzi dokładniejsze badania okolicy. Dotarcie do podstawy wieży zajęło mu trochę czasu, ciężko było przebić się przez bardzo już rozbawioną gawieź. Kiedy wreszcie znalazł się przy drzwiach, całą wieżą zatrzęsł nagły huk. Z jej szczytu poleciały w niebo fajerwerki.

Były doprawdy wspaniałe. Wielobarwne, rozpryskujące się w deszcz iskier. Na dziedzińcu ustała zabawa, wszyscy patrzyli w górę, niektórzy wydawali z siebie aprobujące okrzyki. Plaskat przez chwilę też się zagapił na widowisko, ale zaraz oprzytomniał. Musiał sprawdzić, czy wilkołak był tylko złudzeniem, bo jeśli nie... W drzwiach prawie się zderzył z Virvenem. Demon zatrzymał się i oparł o framugę, blokując przejście. Uśmiezek, jaki błąkał się po jego ustach, kazał Ósmemu przypuszczać, że faworyt królowny robi to tylko po to, żeby go zdenerwować. Plaskat nie miał zamiaru wdawać się w takie prymitywne przepychanki, miał ważniejsze sprawy na głowie. Poza tym konflikt z Virvenem mógł się źle odbić na jego stosunkach z Salianką.

– Byłeś na wieży? – zapytał, siłąc się na spokój.

– Przecież widać – odburknął zagadnięty.

– Widziałeś tam kogoś... coś? – Ósmy nie był skłonny do wyjawienia komukolwiek swoich podejrzeń. Gdyby okazało się, że nie ma racji, mógłby stać się obiektem drwin.

– Tylko dwadzieścia skrzyń fajerwerków.

– Nie powinieneś pilnować odpalania? – zdziwił się Plaskat. O ile było mu wiadomo, odpalenie fajerwerków nie było błahostką, ale wymagało ostrożności i uwagi.

– Po co? – demon wzruszył ramionami. – Najwyżej wysadzą wieżę. – Niespecjalnie przejmował się taką możliwością. Trochę gruzu, może parę trupów: coś takiego nie było warte jego uwagi.

W tłumie mignęła im zamaskowana dziewczyna w żółtej sukni. Zauważyła dwie znajome postaci i pomachała do nich wesoło. Zaraz znów wmieszała się pomiędzy ludzi.

– Słyszał żem o niej – rozległ się tuż obok czyjś pijacki głos. O ścianę twierdzy opierał się stary wojak z przepaską na jednym oku i gąsiorkiem w ręce. – Słyszał żem o niej w Dolinach. Przyszedł wielki wojownik Ulk, a z nim ona, wielka czarodziejka o twarzy białej jak kwiaty konwalii, i skopali nam tyłki – czknął.

Plaskat spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem, ale nie dowiedział się nic więcej, bo Virven od niechcienia wyciągnął rękę i stuknął głową wojaka o mur, tak że ten odszedł w słodką otchłań absolutnego niebytu. Demon wyminął Ósmego, zanim ten zdążył wydusić z

siebie choćby jedno słowo i wmieszał się w tłum.

Plaskat został sam, jeśli nie liczyć trupa i bawiących się wokół łupieżców. Ludzkie życie nie miało dla niego zbyt wielkiej wartości, ale sposób, w jaki Virven zabił tego człowieka, jakby... mimochodem, lekko nim wstrząsnął. Nie spotkał się dotąd z kimś, kto tak obojętnie podchodziłby do mordowania. To, kim faworyt królowny tak naprawdę jest i gdzie go znalazła, zaczęło intrygować Plaskata jeszcze bardziej niż dotąd.

Szczerze też żałował, że nie wyciągnie już ze starego wojaka żadnych wiadomości. To, co ten powiedział o Dolinach, Ulku i czarodziejce, musiało być ważne, inaczej Virven tak by nie zareagował. Ósmy był pewien, że Salianka była w Dolinach. Stamtąd pochodził jej koń, tam też Bolurek spotkał tę swoją wielką miłość, która przypadkiem nosiła takie imię jak królowna. Ale co z tym wszystkim mógł mieć wspólnego Ulk, którego Pani Twierdzy zdawała się nie znosić tak bardzo, że nie tolerowała nawet najmniejszej wzmianki o nim? I kim była czarodziejka o białej twarzy?

Plaskat postanowił uważniej słuchać ludowych przyśpiewek. Wspominały coś nie tylko o wojowniku, ale i o kobiecie o alabastrowej twarzy. Mocno jednak wątpił, czy kilka marnie zrymowanych zwrotek pomoże mu w odnalezieniu odpowiedzi na te dziesiątki nowych pytań, które zaczął sobie zadawać.

Rozdział 5

Plaskat był przekonany, że skoro zdobył się na tytaniczny wysiłek opuszczenia łóżka jeszcze przed wschodem słońca, będzie pierwszy na nogach. Jednak zaraz po wyjściu ze swojej komnaty natknął się na Sampse, który nie zamierzał podejmować żadnych wysiłków związanych z wczesnym wstawaniem, bo nie kładł się wcale i przez całą noc dyrygował załadunkiem zaopatrzenia. I bynajmniej ochmistrz nie był jedynym, który już, a może jeszcze nie spał, przy zejściu na dziedziniec stał Virven w towarzystwie ziewającej okropnie Salianki. Obok zbrojmistrz płakał nad specjalnie przyszykowaną płytową zbroją, której nowo mianowany dowódca łupieżców za nic nie chciał włożyć. Chwilę wcześniej, czego Plaskatowi nie było dane zobaczyć, Virven odmówił też przyjęcia miecza, ale królowna szturchnęła go łokciem i kazała się zachowywać. A jeśli nie się, to przynajmniej pozory, że będzie wrogom rozpruwał gardła mieczem, a nie szponami. Jej niecodzienny faworyt niechętnie zgodził się na konieczność noszenia miecza, w przypadku zbroi jednak zaprezentował prawdziwie ośli upór. Nie protestował, nie obstawał przy swoim, tylko, wzorem osłów właśnie, symulował głuchotę na wszelkie argumenty i kuksańce Salianki, jak i na biadolenia płatnerza. Z kamiennym wyrazem twarzy obserwował, jak służba wyprowadza na dziedziniec tych członków Rady, którzy mieli wziąć udział w wyprawie. Chwilowo, za sprawą leków, jakie zaaplikował im królewski medyk, mieli drobne kłopoty z przyswajaniem rzeczywistości. Niemniej, ku przygnębieniu Plaskata, oni też nie spali. Cała duma z tytanicznego wysiłku zmieniła się nagle w głębokie zażenowanie, wywołane przeświadczeniem, że najwyraźniej wstał ostatni.

– Masz przepisane rozkazy? – zapytała królowna, gdy tylko zauważyła Ósmego. Na zlekceważoną zbroję nie zwracała już uwagi. Groźby i prośby nie miały na demona żadnego wpływu, więc pozostawało jej tylko pogodzić się z tym, że zbroja zostanie w Twierdzy.

Plaskat pokazał jej trzy tuby z pergaminami w środku.

– W każdej są cztery kopie.

– Jedną bierze Virven, zawartość drugiej upchnij w bagażach Dawasza, a ten trzeci na zapas. Schowaj tam, gdzie prowiant – zadysponowała natychmiast. Widać było, że wszystko sobie dokładnie przemyślała.

Ósmy skłonił głowę i odszedł wykonać polecenie. Za jego plecami Salianka ziewnęła

straszliwie.

– Defilady ani komitetu pożegnalnego i tak nie będzie, więc chyba możecie ruszać – powiedziała do demona, przecierając zaspane oczy. Wrota bawiły się prawie całą noc i teraz królownie strasznie chciało się spać, ale najpierw musiała wypełnić swój obowiązek i wyprawić łupieżców w drogę. Oprócz tego wolała nie wypuszczać Virvena za mury, póki ten nie wysłucha wszystkich jej przestróg i zaleceń. – Tylko pamiętaj, bez przesadnych jatek. I jak te głąby się ockną, to przypominaj im co chwila, że jakimś magicznym sposobem mam na nich cały czas oko. Na ciebie też będę miała oko – zagroziła na wszelki wypadek. Wysłanie demona poza Twierdzę przypominało spuszczenie wściekłego psa ze smyczy. Niby nie powinien gryźć swojego pana, czy też, jak w tym przypadku, pani, ale lepiej się było zabezpieczyć. – Nie wiem, jaki to będzie magiczny sposób, ale coś wymyślę.

Na demonie jej przestrogi nie zrobiły specjalnego wrażenia. Usłyszał je na pewno, w końcu głuchy nie był, ale bardziej od Salianki obchodzili go gotowi do drogi łupieżcy. Przy wozach wyładowanych namiotami dla dowódców i cięższymi elementami uzbrojenia Ósmy kończył upychać pergaminy po jukach. Prowiant był już załadowany. Nad wszystkim przez całą noc czuwał Sampsa, który teraz już tylko stał nieopodal i obrzucał wszystko i wszystkich czujnymi spojrzeniami.

– No to w drogę – zarządziła energicznie królowna. Chciała się już ich pozbyć z Twierdzy, żeby móc wreszcie pójść spać. Do tego ciągle miała wątpliwości, czy dobrze robi, wysyłając z nimi Virvena. Co prawda był jej posłuszny i zapewnił, że pod jego nieobecność nad Twierdzą nie będzie żadnych burz, ale Salianka nie była specjalnie przekonana, czy tak rzeczywiście będzie. Żeby uniknąć dylematu, chciała się jak najszybciej pozbyć demona z pola widzenia – kiedy wyruszą, już będzie za późno na rozterki.

„No to w drogę”? Tyle? – zbulwersowały się Wrota. Żegnasz swoich żołnierzy ruszających na bój długi i straszny! Książek nie czytałaś, nie wiesz, jak to ma wyglądać?

– Też mi bój długi i straszny – prychnęła pod nosem Salianka. Jej żołnierze bardziej przypominali bandytów niż wojaków z książki. A podbicie krainy nie powinno być taką straszną filozofią, w końcu idzie się i się podbija, i już. Ale zatrzymała jeszcze Virvena, chwyciła go za kołnierz skórzanego kubraka i przyciągnęła jego twarz w dół, na wysokość swojej.

– Z tymi jatkami to mówiłam poważnie! – wyszczała, patrząc mu prosto w żółtawe ślepie. – I nie wiem jak, ale będę miała wszystko na oku! I żebyś mi się zachowywał jak człowiek!

Litości, jęknęły Wrota, przepychając się na przód jej umysłu.

Chwilę potrwało, zanim królowna odzyskała kontrolę nad swoim ciałem.

– Głupie wierzeje! – warknęła, odsuwając się od demona. Otarła wierzchem dłoni usta i rzuciła wściekle spojrzenie na stojących najbliżej łupieżców, którzy natychmiast odwrócili głowy i zaczęli udawać, że przez cały czas patrzyli w inną stronę.

To niby twój faworyt, przypomniały obrażone, wypchnięte przez nią na sam koniec

umysłu Wrota. *Mogłabyś sama się z nim pożegnać jak należy.*

Salianka wydała z siebie coś jakby bulgotanie zakończone zgrzytnięciem zębami. I co z tego, do stu diabłów, miała ochotę wrzasnąć. Powstrzymała się w ostatniej chwili i z prawdziwym wysiłkiem. Krzyczenie do siebie publicznie nie było najlepszym pomysłem.

– Na wyprawę, ale już! – pogoniła stojącego obok Virvena, na którym zachowanie Wrót zdawało się nie robić żadnego wrażenia. Chociaż królownie wydawało się, że spogląda na nią trochę bardziej kpiąco. Ale może to było tylko złudzenie. Jej rozkazu posłuchał natychmiast. Odszedł pomiędzy łupieżców, nie oglądając się za siebie. Salianka zaraz straciła nim zainteresowanie zajęta Wrotami, które przycupnęły sobie na skraju jej umysłu i wcale nie wydawały się skruszone. Wręcz przeciwnie, wprost emanowały satysfakcją.

– Z wami sobie jeszcze pogadam – pogroziła im złowrogim szeptem królowna. – Uprzedzałam was, że jak chcecie się z kimś całować, to sprawcie sobie własne ciało.

– Mówiłaś coś, Pani? – zapytał Plaskat. Już wcześniej skończył upychać w jukach rozkazy, ale nie ośmielał się podejść bliżej, kiedy Salianka była w dość oczywisty sposób zajęta swoim faworytem.

Zagadnięta królowna podniosła gwałtownie głowę. Wydawało się, że Ósmy wyrwał ją z jakichś wewnętrznych rozważań. Przez chwilę wyglądała, jakby nie rozumiała w ogóle, co się wokół niej dzieje.

– Nie, nic – oznajmiła stanowczo. – Zdawało ci się.

Nie czekając na odpowiedź Plaskata, odwróciła się do niego plecami. Przeszła przez dziedziniec aż do schodów prowadzących na mury. Już miała wejść na górę, ale zawahała się jeszcze. Nieopodal służący polerowali ostatnie tarcze, zerkając lękliwie na swoją Panią. Gdyby wypuścili z Twierdzy brudnych łupieżców, musieliby stawić czoło jej gniewowi, tak przynajmniej powiedział im ochmistrz. Kiedy Salianka zbliżyła się, zaczęli trzeć metal jeszcze energiczniej, pewni, że od tego zależy ich życie. Królowna jednak nie miała w tej chwili głowy do tarcz, które i tak świeciły już własnym blaskiem. Bez słowa skonfiskowała najczystszą szmatę.

– Pani? – Ósmy podązał o krok za nią. Wcześniej postanowił na wszelki wypadek nie odzywać się tak długo, aż Salianka sama zacznie rozmowę. Jednak zaskoczenie poczynaniami Pani Twierdzy podkopało to postanowienie.

– Trzeba pożegnać naszych wojaków ruszających na bój długi i straszny – powiedziała kwaśno królowna, wchodząc na mury. Nie było po niej widać entuzjazmu, zachowywała się raczej jak ktoś wypełniający niewygodny obowiązek.

– A ta szmata? – odważył się zapytać Plaskat.

– Gdybym machała im chusteczką, mogliby nie zauważyć – wyjaśniła logicznie.

Kiedy już doszli na szczyt murów, Salianka znalazła sobie miejsce, z którego ona miała dobry widok na ruszających na podbój żołnierzy, a oni mogli widzieć ją. Przetarła zaspane oczy i zajęła się machaniem szmatą wyjeżdżającym łupieżcom, koniom i wozom. Robiła to,

dopóki nie zjechali ze wzgórza, na którym stała Twierdza. Wtedy przestała im machać, wetknęła szmatę najbliższemu gwardziście i ziewnęła potężnie.

Nie przepadała za wczesnym wstawaniem, ale ostatecznie Wrota miały rację: wojaków należało pożegnać, choć może nie w taki sposób, jaki miały na myśli. Królowna była zdania, że całowanie demonów, nawet tych, które chwilowo są całkiem przystojne, w żadnym wypadku nie jest gwarantem długiego i zdrowego życia.

– Rób sobie, co chcesz, ja idę odespać noc – oznajmiła stojącemu obok Plaskatowi. – Jeśli oni będą urządzali sobie taką zabawę co wieczór, to marnie widzę nasze szanse na podbicie Rozstajów.

Królowna skończyła odsypiać przetańczoną noc bardzo późnym wieczorem, kiedy prawie cała Twierdza kładła się do snu. Wyspana królowna uprzejmie nie zwracała nikomu głowy, tylko sama poszła do kuchni znaleźć sobie coś do jedzenia. Posiłek spożyła w towarzystwie trzech przerażonych kuchcików, którym kazano doprowadzić pomieszczenie do porządku. Nikt im nie wspominał, że mogą liczyć się z wizytą Pierwszej Rady, która zresztą zagoniła ich z powrotem do roboty, pokazując, których kotłów nie doczyścili.

Dość szybko skończyła jeść wyjątkowo późne śniadanie. Noc była jeszcze młoda, a królowna nie miała pomysłu na to, jak ją spędzić. Mogła jedynie liczyć na towarzystwo nocnej straży i kilku sług. Wszyscy inni już spali. Salianka z całą pewnością nie wybierała się spać, nie miała też ochoty na lekturę czy studiowanie map. Ćwicząc lewitację toporów, narobiłaby za dużo hałasu, zresztą i tak była zdania, że więcej ćwiczeń nie potrzebuje. Pętała się bez celu po cichej i ciemnej Twierdzy. Mrok zmieniał szare mury, czyniąc je jeszcze bardziej nieprzyjaznymi, a kamiennym gargulcom dodawał życia. Nikt nie zakłócał spokoju korytarzy swoimi krokami ani głosem. Zdawało się, że na całym świecie są tylko one dwie: Pani i jej Twierdza.

Salianka powolnym krokiem wędrowała po swoim dominium, przemierzając krużganki, dotarła w poblizze składów. Przypadkiem zatrzymała wzrok na solidnych drzwiach i nie oderwała go już tknięta nagłą myślą, która wywołała błysk w jej oczach. Przed sobą miała wejście do skarbcza pełnego niezmiernych, niewyobrażalnych wręcz bogactw. Od setek lat łupieżcy z Twierdzy grabili okolicę, a łupy magazynowano. Część oczywiście zużywano, jak to mawiali członkowie Rady, „w celach bieżących”, ale była to zaledwie niewielka część, nieliczne ze stosów skrzyń, kufrów, a nawet złotych monet usypanych w miniaturowe łańcuchy górskie. W skrzyniach były klejnoty, biżuteria, drogie tkaniny, stare księgi. Wszystko razem tworzyło skarb, o którym nie śniło się nawet najzagorzalszym poszukiwaczom przygód. Ten skarb należał do Twierdzy. A Twierdza należała do królowny. Właściwie Salianka nigdy nie widziała na własne oczy tych nieprzebranych bogactw, a przecież z pewnością były warte podziwiania, a nie tylko tego, by od setek lat obrastać kurzem w zamknięciu. Najwyższy czas sprawdzić, czym naprawdę jest bogactwo Twierdzy.

Salianka uchyliła drzwi prowadzące do składów. Magazyny zajmowały większą część

podziemi. Mało który z władców Twierdzy był zwolennikiem przetrzymywania więźniów, więc nigdy nie potrzebowano wielu cel.

Składy miały osobne wejście i tworzyły istny labirynt mniejszych i większych komnat, zbroyowni, skarbców, muzeów. Królowna miała zamiar zwiedzać wszystkie komnaty metodycznie, ale zatrzymała się już w pierwszym pomieszczeniu. Środek podłogi zajmowały wysypane byle jak złote kielichy. Każdy był inny, niektóre wysadzone drogimi kamieniami, inne rzeźbione. Salianka przykłękała, żeby obejrzeć je dokładniej. Doszła też do wniosku, że nie zaszkodziłoby poustawiać ich porządnie i przy okazji policzyć. Na zewnątrz niebo robiło się szare, kiedy stos zmalął o połowę, a królowna wzięła do ręki tysiąc sześćset szesnasty puchar, który był czymś umazany.

* * *

Słodki sen Plaskata coś przerwało. Otworzył oczy i już miał sięgać po ukryty pod poduszką nóż (srebrny, specjalnie na wilkołaki, naszukał go się przez cały poprzedni dzień), kiedy w pochylającym się nad nim kształcie rozpoznał nianię. Uniósł się na łokciach, żeby przyjrzeć jej się uważnie. Nie był do końca pewien, czy starowinka nie jest tylko snem. Szybko przekonał się, że była jak najbardziej jawą. Pomarszczona dłoń raz po raz pociągała go za rękaw koszuli nocnej. Niania sprawiała wrażenie, jakby bardzo jej zależało, żeby z nią poszedł. Ósmy przetarł zaspane oczy. Za oknami nieśmiało świtało. Skoro kobieta budziła go o tak wczesnej porze, musiało rzeczywiście wydarzyć się coś poważnego.

Ubrał się pospiesznie, skrepowany obecnością starowinki, która najwyraźniej wraz z utratą rozumu postradała poczucie przyzwoitości. Nawet się nie odwróciła, czekała tylko, przytupując niecierpliwie nogą, aż wreszcie będzie gotowy. Na wszelki wypadek przed wyjściem Ósmy zabrał srebrny nóż spod poduszki i jeszcze kuszę. Niania rozpromieniła się, kiedy ruszył do drzwi. Prowadziła go przez prawie całą budzącą się powoli Twierdzę, aż do wejścia do składów. Tam się zatrzymała, konspiracyjnie położyła palec na ustach i sprawdzwszy, czy nikogo niepowołanego nie ma w pobliżu, weszła do środka. Zaintrygowany mężczyzna podążył za nią.

W szerokim korytarzu, przy pierwszych drzwiach, stała królowna. Opierała się o ścianę i zgięta wpół trzymała za brzuch, jakby jej coś zaszkodziło. Na ich widok podniosła głowę. Była bardzo blada. Wyglądała na chorą. Ósmy podszedł bliżej, chcąc jej jakoś pomóc, podtrzymać, ale odtrąciła jego rękę.

– Zajrzyj – wychrypiąca, czyniąc głową ruch w stronę drzwi.

Plaskat posłusznie zajrzał. Najpierw zauważył równo ustawione kielichy. Było ich mnóstwo. Znaczna ilość kolejnych leżała dalej, na środku podłogi. Coś przykrywały. Ósmy postąpił krok do przodu i przyjrzał się dokładniej. Kogoś przykrywały. Część kogoś. Dość świeżą.

– Chyba nie przygniotły go te puchary? – powiedział. Głos mu lekko drżał. Nie zdarzyło mu się jeszcze oglądać takich szczątków, choć niejedno w życiu widział. – To mógł być złodziej.

– To Dziewiąty. – Salianka stała w drzwiach, tyłem do makabrycznych widoków. Mówiła bardzo spokojnie, tak jak ktoś, kto ma już pierwszy szok za sobą i teraz desperacko stara się chwycić normalności.

– Skąd wiesz? – zdziwił się ze zgrozą Plaskat. Żaden z kawałków nie wyglądał na Dziewiątego. Z drugiej strony, rzadko ma się okazję oglądać człowieka z takiej perspektywy. Ósmy pobladł na myśl, że jego Pani zdarza się to tak często, że nawet rozpoznaje ludzi po wnętrznościach.

– Virven mi powiedział – wyrwało się królownie. Zaraz zakryła sobie usta dłonią. Posłała po Plaskata, bo ze wszystkich osób obecnych w Twierdzy jemu najmniej nie ufała. Ale to nie znaczyło, że zamierzała go dopuścić do wszystkich swoich tajemnic.

– Skąd on... A! – domyślił się Ósmy. – Ale co zrobił z resztą? – rzucił ostrożne spojrzenie na szczątki. – Trochę brakuje.

– Nie wiem – Salianka wzruszyła ramionami. Nie mieściło jej się w głowie, jak można nad niekompletnym, zmasakrowanym trupem zastanawiać się jeszcze, gdzie są brakujące kawałki. – Może zjadł?

Plaskat podniósł gwałtownie głowę, spojrzał najpierw na nią w nadziei, że to był tylko makabryczny żart. Nie znalazłszy na jej twarzy nawet cienia uśmiechu, przeniósł wzrok na Dziewiątego, pozieleniał na twarzy i pędem opuścił skład. Kiedy wrócił, już mniej zielony, królowna wciąż stała przed drzwiami z nieszczęśliwą miną.

– Nie wiem, co z nim zrobić – powiedziała bezradnie.

– Z Virvenem? Zrzucić z murów – stwierdził stanowczo Ósmy. Wydawało mu się, że faworyt jego Pani jest dziwny, ale to już przekraczało wszystko. Zaczynał też mieć coraz konkretniejsze podejrzenia dotyczące ewentualnego wilkołaka, którego kształt widział na wieży.

– Nie z Virvenem, z Dziewiątym – sprostowała Salianka. – Nie może tu leżeć, zaśmierdnie się.

– Trzeba się go jakoś pozbyć.

– Dyskretnie – przypomniała gwałtownie królowna. – Jak się rozniesie, że rozszarpany na strzępy członek Rady leżał pod kielichami... – Wzdrygnęła się. Tylko tego jej brakowało, morderstwa bez powodu. Co innego, gdyby na przykład Dziewiąty nadepnął jej na odcisk i sama kazała Virvenowi go zabić. Ale masakrować ludzi dla zabawy... To za bardzo przypominało czasy rządów jej ojca. Takich skojarzeń Salianka sobie nie życzyła. Były zbyt niebezpieczne.

– Można by zaczekać do nocy... – zaproponował Plaskat. Nie było innego wyjścia, skoro postanowił związać swój los z Salianką, a nie z Radą, musiał pomóc dziewczynie pozbyć się

kłopotu.

– Można by – zgodziła się apatycznie królowna. – Ale trzeba by to usunąć tak szybko jak się da.

– Zajmę się tym jakoś – westchnął z rezygnacją Ósmy. Na pomoc Salianki czy niani nie miał co liczyć, wtajemniczenie kogokolwiek innego nie wchodziło w grę. Pozostawało mu tylko zacisnąć zęby i mieć nadzieję, że albo królowna pozbędzie się swojego faworyta, albo ten zacznie sprzątać po swoich posiłkach. – Zapakuję w skrzynię i gdzieś wyniosę. Gdyby jeszcze dało się jakoś odwrócić uwagę służby...

– Coś wymyślę – powiedziała Salianka, odrywając się od ściany. Perspektywa rozwiązania problemu sprawiła, że jej apatia ustąpiła miejsca nagłemu wybuchowi energii i pomysłowości. – I jak Virven wróci, to go chyba wytargam za uszy. Żeby zapamiętał i na przyszłość skuteczniej pozbywał się zwłok.

– Pani – odezwał się po krótkim wahaniu Plaskat – jeśli wolno zapytać, skąd go wzięłaś?

Królowna przez chwilę zdawała się rozważać, czy udzielić mu odpowiedzi. Jednak tylko pokręciła głową, kierując ten gest bardziej do siebie niż do rozmówcy.

– Nie chcesz wiedzieć – stwierdziła krótko. Nim Ósmy zdążył dodać coś jeszcze, Salianka odwróciła się i opuściła skład. Szła o wiele wolniej niż zwykle, ale przynajmniej nie wyglądała już na ciężko chorą. Niania, której zdawały się nie obchodzić wszystkie poszarpane zwłoki świata, obdarzyła Plaskata uśmiechem pełnym krzepiącego obłędu i podążyła za swoją kruszyną.

Świeże poranne powietrze było tym, czego potrzebowała królowna i jej żołądek. Kiedy tylko wyszła wreszcie ze składów, wzięła kilka głębokich oddechów. Od razu zrobiło jej się lepiej, nie znacznie, ale chociaż trochę. Oddalenie się na drugi koniec Twierdzy nie wchodziło w grę, usiadła więc na beczce stojącej przy wejściu do magazynów. Niania przez chwilę coś szwargotała i próbowała pogłaskać ją po głowie, ale Salianka uchyliła się, dając do zrozumienia, że nie potrzebuje wsparcia ani pociechy. Starowinka, nie przestając nawet na chwilę się uśmiechać, pokiwała głową, a potem odeszła w sobie tylko wiadomym kierunku. Pozostawiona sobie samej królowna obserwowała poranną krzątanicę służby i powoli dochodziła do siebie.

No co, będziesz narzekać? – zapytały buntowniczo Wrota.

– Nie mam na to siły – westchnęła ciężko Salianka. – Ale mogłybyście wymyślić jakiś sposób, żeby mieć go na oku. Jak rozszarpie wrogów, to jeszcze pół biedy, ale jeśli weźmie się za moich łupieżców, to gorzej.

Nie weźmie się, stwierdziły optymistycznie Wrota. *Ale coś wymyślimy,* dodały na wszelki wypadek. Chcąc uspokoić Saliankę.

Aż do południa każdy, kto przypadkiem czy celowo zawędrował w poblize składów, natykał się na Panią Twierdzy, która siedziała na wielkiej beczce i oddychała głęboko. Tak była pochłonięta tą czynnością, że nie raczyła pojawić się na śniadaniu. Służący i strażnicy,

niepewni, co zwiastuje takie zachowanie, na wszelki wypadek starali się nie podchodzić zbyt blisko. Królowna zresztą nie raczyła na nich zwrócić uwagi, koncentrowała się na odzyskaniu względnego spokoju ducha. Udało jej się to osiągnąć około południa, na chwilę przed tym, jak drzwi od składu uchyliły się wreszcie i wyrżał przez nie zmarnowany Plaskat. Miał twarz w ciekawym odcieniu bladej zieleni i cienie pod oczami.

– Skończyłem – oznajmił umęczonym głosem. – Teraz muszę to jakoś dyskretnie wynieść.

– Najlepiej od razu – podsunęła Salianka, chcąc jak najszybciej pozbyć się kłopotliwego trupa. – Nikt się tu nie pęta, wszyscy na mój widok zawracają i idą sprawdzić, czy ich nie ma gdzie indziej.

Ósmy rozejrzał się po najbliższym otoczeniu, sprawdzając, czy królowna ma rację. Rzeczywiście, w pobliżu nie było prawie nikogo, nieliczni służący, których w tej części dziedzińca trzymały obowiązki, starannie unikali choćby przechodzenia w pobliżu swojej Pani. Wobec tego Plaskatowi nie pozostawało nic innego, jak wrócić po Dziewiątego. Cofnął się do składów, a po chwili stanął w drzwiach, trzymając ogromną skrzynię.

– Pani! – rozległ się czyjś donośny krzyk, który w cichym zakątku dziedzińca zabrzmiał niczym grzmot. Wywołał też podobne skutki.

Wychodzący ze składów Ósmy upuścił sobie skrzynię na nogę. Na szczęście zamek i zawiasy wytrzymały. Na myśl o tym, co by się stało, gdyby z kufra wypadła zawartość, królowna prawie spadła z beczki. Zdołała jakoś złapać równowagę, ale czuła, że jej wewnętrzny spokój wciąż chyboce się niebezpiecznie.

– Pani! – Tuż przed nią wyhamował zdyszany sługa.

– Czego? – jęknęła Salianka.

– Przybył ktoś i pyta o ciebie, Pani. Imiennie – dodał.

– O mnie? – zaniepokoiła się królowna.

Nie zdarzyło się dotąd przez cały czas jej panowania, żeby ktoś o nią pytał. Prawdę mówiąc, większość mieszkańców Twierdzy nie wiedziała nawet, jak ich Pani ma na imię. Nie była im zresztą ta wiedza do niczego potrzebna, bo kto by się kłopotał nazywaniem jedynej w okolicy czarownicy po imieniu. Wystarczyło powiedzieć „Czarownica” i od razu wiadomo było, o kogo chodzi. A jak ktoś chciał się bawić w eufemizmy albo popisać erudycją, mógł powiedzieć: wiedźma, krościasta starucha albo nawet diabelski pomiot.

Trochę zdenerwowana, ale o wiele bardziej zaintrygowana Salianka zeskoczyła z beczki, zostawiła miotającego przekleństwa Plaskata i poszła za sługą.

Na zewnętrznym dziedzińcu wokół, jak domyśliła się Salianka, niespodziewanego gościa trwał zwarty krąg uzbrojonych po zęby strażników. Zbrojni mieli rozrośnięte ponad miarę mięśnie ramion i torsów, co niestety odbyło się kosztem mózgu, zmysłów i w ogóle wszystkiego pozostałego, czego nie wykorzystywali do spuszczenia komuś solidnego łupnia. Królowna postukała jednego z nich w ramię, nie doczekała się jednak żadnej reakcji. Nie

zastanawiając się więc za bardzo, na czworakach przelazła pomiędzy kolanami osiłka.

W centrum zbrojnego kręgu stał wóz, na oko solidnie wysłużony i mający już swoje lata. Na koźle siedziała ładna, jasnowłosa dziewczyna i chlipała żałośnie. Wyglądała znajomo, chociaż królownie trochę zajęło, zanim ją sobie przypomniała.

– Jala? – zapytała niepewnie Salianka.

Dziewczyna uniosła głowę, spojrzała na nią zapłakanymi oczami i nagle jednym gwałtownym skokiem dopadła Salianki, rzucając jej się na szyję ze straszliwym szlochem.

– Już dobrze, dobrze. – Zszokowana takim wybuchem uczuć, a jeszcze bardziej tym, że ktokolwiek mógłby uznać jej ramię za właściwe miejsce do wylewania łez, królowna poklepała kuglarzkę po łopacie.

– Nie jest dobrze – wyplakała jej Jala w okolicach ucha. – Pirkę zabili!

Salianka zdumiała się tak, że na dobre zapomniała o problemach z Dziewiątym. O Pirce i jego towarzyszach zdążyła już zapomnieć, uznać ich za odległą przeszłość, tak jak sprzątanie w Dolinach. A tu nagle skrętnie ukrywany etap jej życia przypomniał o sobie, i to w taki sposób! Kuglarze nikomu nie szkodzili, no, może mieszkańcy wiosek niezbyt za nimi przepadali, ale przecież królowna sama, osobiście, postarała się, żeby Pirka i jego przyjaciele mieli eskortę...

– No chyba nie moi łupieżcy? – wyjąkała. Była absolutnie pewna, że powiedziała tym idiotom: „Nie zabijać kuglarzy”. Z drugiej strony idioci mogli nie zrozumieć, co ona do nich mówi.

– Nie! – wychlipała Jala. – Egzorcyści! Na egzorcyzmy go wzięli i już nie wrócił.

Uspokojenie kuglarzki pochłonęło sporo czasu i ilość chusteczek, z której dałoby się uszyć prześcieradło. W końcu Jala odzyskała zmysły, a przy okazji też apetyt. Ogromna waza z rosołem dostarczona do jadalni była już w połowie pusta, a dziewczyna pochłaniała właśnie trzecią porcję.

– Egzorcyści? – zapytała królowna. Przed nią też stał talerz zupy, ale ona dla odmiany tylko gmerała w nim łyżką. Jakoś ciągle nie miała apetytu, trochę z powodu porannego znaleziska, a trochę przez wiadomość o śmierci kuglarza. Nie żeby był specjalnie ważny, po prostu był jedyną zwyczajnie miłą i bezinteresowną osobą, jaką zdarzyło się Saliance w życiu spotkać. Zdawało jej się, że po jego śmierci świat, i tak podły sam z siebie, stał się jeszcze gorszym miejscem.

– Pełno się tych drani rozpleniło – powiedziała z nienawiścią kuglarzka. – Podobno bronią ludzi przed demonami, a sami są gorsi od najgorszych demonów. Biorą człowieka, wyganiają z niego złego, aż zostanie tylko pusta skorupa, którą potem palą. Bo i tak to już tylko wrak, z którego przegnali wszystko, nie demony, ale myśli, uczucia, wolę, pamięć... – głos jej zadrżał, ale nie przestawała mówić: – Byli już w miasteczku, kiedy przyjechaliśmy. Szukali uparcie tego złego, szpiegowali, wypytywali, na każdego patrzyli tak, że aż dreszcze człowieka przechodziły. Mieszczanom już gacie ze strachu spadały, wiadomo, każdy ma jakiś sekrecik,

a egzorcyści nie przestawali szperać, póki czegoś w końcu nie znaleźli. Więc ktoś powiedział draniom, że my jesteśmy najbardziej podejrzani. Bo obcy, bo wędrowcy, bo nikt nic o nas nie wie, każdą łatkę nam przyszyć można. Więc przyszli po nas. Pirka zna się na ludziach jak nikt inny, zwęszył wcześniej, że na coś się zanosi, i wyprawił nas wszystkich z miasta. Sam już wyjechać nie zdążył. I zabrali go... – Twarz dziewczyny pobladła, dłonie zadygotały. – Wyegzorcyzmowali... Spalili na stosie. Widziałam... Widziałam z daleka, jak płonął. Zabili go, za nic! Myśmy już nie mieli po co do żadnego innego miasta jechać, więc reszta trupy rozjechała się, każdy w swoją stronę, jak najdalej od egzorcyistów. A ja przyjechałam tutaj.

– Twierdza nie jest najbardziej oczywistym z miejsc, do których się jedzie – zauważyła zdziwiona królowa. Nie mieściło jej się w głowie, że ktokolwiek mógłby po cokolwiek do Twierdzy zaglądać, chyba że chciał umrzeć albo knuł coś paskudnego. Jala nie wyglądała na samobójczynię, na oko nie nadawała się też do popełniania strasznych czynów. – Raczej się ją omija.

– Pirka mi mówił, że dużo wiesz, że widziałas Ulka i że z wioski pojechałaś do Twierdzy – wymieniła dziewczyna jednym tchem. – A potem, kiedy łupieżcy zabrali tego chłopca, który chciał ci ukraść konia, przyszli do nas. Odprowadzili nas aż do Nadrzecza. Nawet mili byli, chociaż tyle złego się o nich słyszało. Pirka mówił, że to pewnie ty ich wysłałaś. Więc pomyślałam, że nie mam nic do stracenia. Skoro tylko ty nam pomogłaś, to pomyślałam, że cię znajdę, nawet w Twierdzy. Zresztą – dodała, rozglądając się po jadalni – jak na razie to tu wcale nie jest strasznie. Nawet mi się podoba.

– Jeśli liczysz na to, że pomogę ci znaleźć Ulka... – Na samą myśl o uganianiu się za bohaterem lub, co gorsza, za Gawarkiem, Saliankę wzdrygnęło od środka.

– Ja już nie wierzę w Ulka. – Jala wydmuchała donośnie nos. – Nie było go, kiedy umierał Pirka. Co to za wielki bohater, którego nie ma, gdy maluczcy go potrzebują? Przyszłam tu, bo ty jedna nam kiedykolwiek pomogłaś. Bo to rzeczywiście ty przysłałaś tych łupieżców, prawda?

Królowa kiwnęła głową. Nie było sensu zaprzeczać, skoro już wcześniej Pirka wszystkiego się domyślił i podzielił tymi domysłami z siostrą.

– Jesteś tu kimś ważnym? – zapytała zaciekawiona kuglarka.

– Jestem Czarownicą z Twierdzy – Salianka doszła do wniosku, że najprościej będzie powiedzieć prawdę.

– Aha. – Jala milczała przez chwilę, ale w jej zachowaniu nic nie wskazywało, żeby miała zamiar zerwać się i uciec z krzykiem. – Myślałam, że będziesz miała poczerńiałe zęby.

– Nie jem słodczy.

– I długie, spiczaste uszy.

– Jakoś mi nie urosły.

– I skrzeczący głos.

– Tylko kiedy mam chrypkę.

– Wiesz, że ci ludzie na dziedzińcu nie mają pojęcia, jak masz na imię? Z początku nikt nie wiedział, o kogo pytam.

Królowna wzruszyła ramionami.

– Po co mi imię, skoro jestem Czarownicą z Twierdzy? – zapytała. – Wystarczy powiedzieć „Czarownica” i każdy wie, o kogo chodzi...

Każdy też wiedział, kim jest „uosobienie zła wszelkiego” i „ciemnizielka niewinnych”. Saliance czasami było wręcz głupio, że za tak obrazowymi określeniami kryje się tylko zwyczajna ona.

– Pseudonim artystyczny – powiedziała ze znawstwem Jala. – Nikt by się nie bał zwyczajnej Salianki.

– No właśnie – przyświadczyła Pierwsza. Trudno było ludzi za to winić. Ona sama знаła siebie najlepiej i doskonale wiedziała, że jej nie ma się co bać. Co innego Wrót.

– Nie martw się, nikomu nie powiem, że jesteś całkiem sympatyczna – obiecała kuglarka, dolewając sobie rosółu. Przestała już pochlipywać, co więcej, ożywiła się, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce. – Mogę nawet rozpowiadać wszystkim o tym, jaka jesteś podła i ilu podłych czynów się dopuściłaś – zaproponowała z zapalem.

– Byłoby miło – zgodziła się Salianka. Czowała się lekko oszołomiona, a nawet lekko rozczarowana, że Jala nie okazała choćby cienia przestachu na wieść, z kim ma do czynienia. Z drugiej strony, miło było rozmawiać z kimś, kto nie trząsał się jak osika ani nie spiskował na boku.

– To jak? – Kuglarka podniosła głowę znad talerza. – Mogę tu zostać?

Królowna kiwnęła głową. Jala wydawała się całkiem sympatyczna, zwłaszcza teraz, kiedy znikło jej ślepe uwielbienie dla Ulka. Poza tym, metaforycznie rzecz ujmując, Salianka miała wobec Pirki dług, który choć to było teoretycznie niemożliwe, z chwilą jego śmierci urósł do takich rozmiarów, że spłacenie go mogło zająć tysiąclecia. Królownę gryzło poczucie winy. Wydawało jej się, że jest współodpowiedzialna za wszystko, co spotkało kuglarza. W końcu, gdyby nie wysłała łupieżców, trupa nie opuściłaby wioski, w każdym razie nieprędko. Może ktoś doniósł egzorcyzmom, że artystów widziano w podejrzanym towarzystwie? A może ktoś odkrył, że nieświadomie ugościli Panią Twierdzy? Najgorsza i najbardziej bolesna była myśl, że to los wziął się na Pirkę za pomoc i życzliwość dla Czarownicy: w końcu tak zawsze w bajkach bywało, kto zadawał się ze złymi, zostawał za to ukarany.

– Pod paroma warunkami – zastrzegła królowna. – Po pierwsze, rozpowiadaj, że jestem zła i niebezpieczna, po drugie, nie zadawaj zbyt wielu pytań, po trzecie, nie kłóć się ze mną.

– Zgoda – wykrzyknęła radośnie kuglarka. Widać opłakała już brata i teraz była gotowa przyjąć wszystko dobre, co życie mogło jej dać. – To kim będę?

Salianka spojrzała na nią pytająco. Jej zdaniem ludzie (albo demony) po prostu byli. Ale wyglądało na to, że zdaniem reszty świata, takiej jak Rada czy siostra Pirki, ludzie nie mogli tak po prostu być. Trzeba im było jeszcze przydzielić funkcję.

– Chciałabym być damą dworu – ciągnęła rzeczowo Jala. – Wtedy bym mogła poznać księcia.

– Po co ci książę? – zdziwiła się królowna. Jej zdaniem książę jako taki był niesłychanie kłopotliwym osobnikiem. Lepiej się żyło, nie znając żadnego.

– Żeby za niego wyjść, oczywiście. Oświadczył mi się już Jontek, syn tego draba, co go twoi łupieżcy wywieźli, ale się nie zgodziłam. Po pierwsze był żabą, po drugie wcale nie był księciem, chociaż miał koronę, i po trzecie gospodarstwo całkiem miał ładne, ale gdzie takiej chałupie do zamku. Bywają tu książęta? – zainteresowała się chciwie.

Salianka pokręciła głową przecząco.

– Uuuu... – skrzywiła się zniechęcona kuglarzka. – Dlaczego? Skoro tu nie bywają, to nie masz szans wyjść za jakiegoś – dodała ze współczuciem.

– Nie chcę wychodzić za żadnego księcia – zaprotestowała gwałtownie królowna. – To jest jedna wielka banda głupków. Przynajmniej ci, z którymi się zetknęłam.

Ten jeden, z którym się zetknęłaś, poprawiły złośliwie Wrota.

Salianka je zignorowała.

Jala zmarszczyła swoje ładne brwi w zamyśleniu.

– Ale za to bogate głupki – stwierdziła po chwili odkrywczco.

– Żaden z tego pożytek, jeśli trafi ci się sknera.

– Ale z ciebie pesymistka – westchnęła ze smutkiem kuglarzka. – Niweczysz moje wspaniałe plany na przyszłość.

Królowna tylko wzruszyła ramionami. Nie zdradziła ani słowem, że kiedyś miała bardzo podobne plany. Ale już jej przeszło, nieodwołalnie i na zawsze. Aktualnie jakikolwiek książę w ogóle wypadł z listy jej pragnień.

– Wracając do tematu – powiedziała Jala, która najwyraźniej zaakceptowała brak książąt w Twierdzy. Jako wędrowna kuglarzka też nie miała okazji poznać żadnego, więc w zasadzie nie poniosła straty. Mogła zająć się jaśniejszymi stronami swojej sytuacji. – Mogę być tą damą dworu?

Salianka miała wzruszyć ramionami i oznajmić, że osobiście nie widzi przeszkód, chociaż w Twierdzy od mniej więcej setek lat dam dworu nie było, a wcześniej nosiły skąpe skórzane odzienie, upijały się i toczyły pojedynki na wielkie, ciężkie miecze, ale nie zdążyła. Do sali jadalnej wkroczył mocno rozzłoszczony, utykający Plaskat.

– Wybacz mi impertynencję, Pani, ale twojego faworyta naprawdę należałoby zrzucić z murów. Jeśli zeżre innych z Rady, to niech nie zostawia po sobie resztek, bo ja nie jestem sprzątaczką... – urwał i zamarł z otwartymi ustami. Wszystko, co miał jeszcze do powiedzenia, wyleciało mu z głowy. Wszystko, co w danej chwili mógł robić, to patrzeć na Jalę, a zwłaszcza na jej szare oczy, jasne włosy i koralowe usta.

Królowna zerknęła na niego z zainteresowaniem, a potem przeniosła wzrok na kuglarzkę. Jala zamarła z łyżką w połowie drogi do ust. Rosół wylewał się na obrus. Salianka miała

ochotę zwrócić jej uwagę na tłuste plamy, szczególnie trudne do usunięcia, ale ugryzła się w język. W obliczu pewnych spraw porządek i czystość musiały ustąpić, nawet Pani Twierdzy to rozumiała. Wstała cichutko, chociaż Jala i Plaskat pewnie nie zauważyliby nawet, gdyby cisnęła wazą o podłogę i wyszła z jadalni.

No tak, powiedziały Wrota.

– Co znowu? – zapytała królowa, zamykając za sobą drzwi.

Wszystkie niesamowite i wspaniałe rzeczy przydarzają się nie tobie, zgłosiły pretensje.

– To znaczy?

Wielka miłość od pierwszego wejrzenia, wyjaśniły. *Oczywiście przydarzyła się nie tobie*.

– Bywa – Salianka wzruszyła ramionami. Tak naprawdę to ani trochę nie zazdrościła Jali. Wcale nie chciały być na jej miejscu i rozlewać rosołu.

Gdyby nie my, w ogóle nic by ci się nie przydarzało, oznajmiły potępiająco Wrota.

– Bardzo prawdopodobne – zgodziła się dla świętego spokoju królowa. W końcu miały rację, wszystko, co się w jej życiu działo, działo się za ich sprawą. Nawet czasami było to coś interesującego.

I co by wtedy było? – zapytały gniewnie.

– Żyłabym sobie spokojnie – odparła, żeby zrobić im na złość. Spokojne życie już nie pociągało jej tak bardzo jak dawniej.

Nie zobaczyłabyś świata poza Twierdzą, poprawiły.

– Owszem. Ale zobaczyłam. Stałam się prawdziwą Pierwszą Rady, wysłałam armię, by podbić Rozstaje. To dużo – dodała zaskoczona, że naprawdę tak wiele jednak się zmieniło. Życie, a raczej egzystencja, jaką wiodła przed podróżą do Dolin, zdawała się być tylko nieprzyjemnym snem. A dziewczyna, która nosiła przyciasną koronę i chowała się pod własnym tronem, była kimś zupełnie obcym.

Mało, zmarkotniały Wrota. *Ciągle mało*.

– Obieżyświaty się znalazły – westchnęła z przyzwyczajenia królowa. Pomysły Wrót, choć męczące, przynosiły niespodziewane korzyści. Powoli zaczynała to doceniać. – Dajmy temu na razie spokój, dobrze? Mam nadzieję, że w kuchni zostało jeszcze trochę czegośkolwiek, bo zrobiłam się głodna.

Powinnaś jadać regularnie, pouczyły ją Wrota, tylko i wyłącznie po to, żeby mieć ostatnie słowo.

* * *

Przebudzenie było trochę zbyt brutalne i królowa, mimo że już przytomna, potrzebowała chwili na znalezienie odpowiedzi na egzystencjalne pytania typu: kim, gdzie i dlaczego jestem.

Niewątpliwie była noc, to Salianka zdołała stwierdzić, chociaż nie otrzeźwiała jeszcze

całkowicie i wokół siebie widziała tylko rozmazane kształty. Chwilę potrwało, zanim przypomniała sobie, że poprzedni dzień spędziła, włócząc się po Twierdzy, strasząc służbę i unikając wpadania na Jale i Plaskata, którzy pętali się po wszystkich korytarzach wpatrzeni w siebie rozmarzonym wzrokiem, rozmawiając o pogodzie. Oglądanie tych dwojga było odrobinę męczące: cały czas tylko wydawali z siebie bezproduktywne westchnienia. A poza tym byli odrobinę, tylko odrobinę irytujący. Irytująco szczęśliwi we dwoje, konkretnie. Nieróbstwo, któremu oddawała się królowna, nie było specjalnie wyczerpujące, niemniej wieczorem chętnie położyła się spać. Teraz się obudziła. I wszystko wskazywało na to, że nie obudziła się w miejscu, w którym zasnęła. Przede wszystkim jej łóżko było wygodne i ciepłe, a teraz siedziała na czymś twardym i chłodnym.

Powiedz, że na dzisiaj koniec. Nie możemy się na razie więcej otworzyć, powiedziały Wrota.

– Co? – zdziwiła się niemrawo królowna.

Powiedz! – zażądały Wrota.

– Na dzisiaj koniec, nie mogą się więcej otworzyć – wymamrotała posłusznie Salianka.

– Ale został jeszcze jeden – zmartwił się wielki wojownik Ulk.

Królowna otworzyła szerzej oczy, uszczypnęła się w policzek i zaczęła jaśniej myśleć. Przede wszystkim rozejrzała się wokoło. Siedziała na podłodze w swojej sypialni oparta plecami o ścianę. Pod oknem stał zmartwiony Ulk, trzymając nieduży, wypchany worek. Kilka innych, pustych, leżało u jego stóp.

– Znowu – jęknęła Salianka.

Włazł przez okno, poinformowały oskarżycielsko Wrota. *Nie chciałyśmy cię budzić, tylko byś się zdenerwowała.*

– Zdenerwowałam się – potwierdziła królowna.

No właśnie, westchnęły. *Ale musiałyśmy się zamknąć, zbyt wiele demonów zgromadziło się po drugiej stronie. Zbyt łatwo mogłyby wyjść.*

– Co z tym ostatnim? – zapytał Ulk, unosząc w górę worek.

– Pewnie nie ma szans na to, żebyś zabrał go z powrotem? – wyraziła nieśmiałą nadzieję Salianka. Kiedy pokręcił głową, westchnęła ciężko. – Gdzieś go trzeba będzie zamknąć, poczeka do następnego razu – stwierdziła kwaśno. – Chyba za bardzo wzięłeś sobie do serca walkę z demonami. Nie wydaje mi się, żeby w całych Dolinach było ich aż tyle!

– To przez egzorcyistów – wyjaśnił, zawiązując worek.

– Egzorcyistów? – zainteresowała się królowna. Kiedy opuszczała Twierdzę z Gawarkiem, słyszała o egzorcyistach tylko jakieś pogłoski. Teraz najwyraźniej dranie trochę za bardzo się rozplenili: nie dość, że zabili Pirkę, to jeszcze płoszyli demony, które ona później musiała wpuszczać z powrotem do piekła.

– Kręci się ich coraz więcej, egzorcyizują kogo się da, nieważne, czy opętany czy nie – w głosie Ulka słychać było dezaprobatę. Był prawdziwym bohaterem, sprawiedliwym i

uczciwym, w jego pojęciu tylko prawdziwe zło było od tego, żeby je zwalczać. Nie ludzie, którzy byli tylko trochę inni czy po prostu komuś podpadli. Dla wielkiego wojownika istniała wyraźna granica pomiędzy obrońcami dobra a szerzycielami zła. Egzorcyci tę granicę niebezpiecznie naginali. – A kiedy już dorwą prawdziwie opętanego i wyrzucą z ciała, przestają się demonami przejmować. Dlatego pęta się tego ohydztwa więcej niż kiedykolwiek. Uciekają od egzorcystów.

– Całkiem rozsądnie – zauważyła Salianka. Doświadczenia z Virvenem udowodniły jej, że demony swój rozum miały. Jak się okazało, całkiem niebagatelny. – Ludzie powinni brać z nich przykład.

– Słyszałaś już o nich? – zapytał wojownik. Gdzieś w jego męznym sercu tliła się nadzieja, że może Twierdza ma z egzorcystami coś wspólnego, wspiera ich ukradkiem, propaguje typ działalności, integruje się w wolnych chwilach. Cokolwiek. Wtedy mógłby z czystym sumieniem wyrzucić kłopotliwych gości z Dolin na dobre.

Królowna skinęła głową.

– Co nieco. Nic dobrego. Ale chyba byli tu i wcześniej. Gawarek o nich mówił.

– Wcześniej było ich niewielu. Teraz nadchodzą następni, coraz ich więcej. – Ulk musiał się zamartwiać tym od jakiegoś czasu. Salianka zauważyła, że na jego wcześniej gładkim czole pojawiło się kilka zmarszczek.

– Skąd? – zapytała. Zawsze lepiej wiedzieć, z której strony zbliżają się kłopoty.

– Z Ujścia, z Nadrzecza – odpowiedział.

– Aha! – stwierdziła z jadowitą satysfakcją królowna. Z Ujścia, z miejsca, skąd pochodziła denerwująco idealna księżniczka Hilpa. Salianka od początku wiedziała, że ta kraina to nic dobrego. I wyszło, że miała rację, do tego wcale nie przemawiała przez nią tylko zawiść i urażona duma.

– Co „aha”? – nie zrozumiał Ulk.

– Nieważne. – Salianka machnęła ręką. Nie miała zamiaru udzielać mu wyjaśnień i może jeszcze wdawać się w dyskusję na temat kobiecej zazdrości. – Wiesz, że musisz na nich uważać? – powiedziała nagle.

– Nikt nie wie o moich konszachtach z Czarownicą z Twierdzy.

– Nie tylko o tym mówię. – Spojrzała na niego znacząco. W końcu wiedział chyba, że nie jest tylko drugą stroną osobowości Gawarka. Królownie właściwie było go trochę żal, w końcu musiał egzystować w jednym ciele z napuszonym księciem.

– Wiem – powiedział wielki wojownik po chwili milczenia. Może Saliance tylko się wydawało, a może w błękitnych Gawarkowych oczach dostrzegła kogoś, kto nie był nawet człowiekiem, choć celem jego życia było ratowanie ludzi. – Uważam. – Ostrożnie położył wypchany worek na komodzie. – Zostawiam go tutaj. Kiedy będziesz mogła otworzyć Wrota, wyślij go do piekła.

– Czekaj! – zawołała za nim królowna. – Bolurek... pamiętasz Bolurka? To ten sługa

hrabiego z Ujścia, który chciał się ze mną żenić – dodała, nie doczekawszy się potwierdzenia.

– Coś sobie przypominam – stwierdził ostrożnie Ulk. Miał świadomość, że rozmowa zaczyna wkraczać na wyjątkowo grząski grunt. – Nie chciałaś go. Zmieniłaś zdanie?

– Idiota – westchnęła królowa. – Ten sługa został szpiegiem. Donosi mojej Radzie o wszystkim, co dzieje się w Dolinach i Ujściu.

Wojownik wyglądał na poważnie zaniepokojonego.

– Jesteś pewna?

– Co byłąby za mnie za władczyni, gdybym nie wiedziała, o czym spiskują moi poddani za moimi plecami? – obruszyła się Salianka. – Jestem pewna. Na razie moja Rada ma... inne zajęcia, ale w niedalekiej przyszłości planują ruszyć na Doliny.

– To twoja Rada. Nie możesz ich powstrzymać?

– Polityka to skomplikowana sprawa – powiedziała wymijająco. Nie było powodu, żeby mu tłumaczyć, jak się mają sprawy z Radą. – Zresztą tu przecież chodzi o twój kraj!

– Wiem – zgodził się Ulk. Patrzył na nią ni to podejrzliwie, ni to z zastanowieniem. – I zastanawiam się, dlaczego tak cię on obchodzi.

– Sama nie wiem – przyznała niechętnie. Nie miała zamiaru nawet nad tym pomyśleć. Skoro już mu łaskawie pomagała, to mógłby się zwyczajnie ucieszyć, a nie zadawać trudne pytania.

Za oknem zatrzepotały ogromne skrzydła. Płomiennoskrzydły czekał już na swojego pana. Salianka nie uczyniła żadnego gestu, który można by uznać za pożegnanie, nic też nie powiedziała. Wobec tego wojownik bez słowa wsiadł na grzbiet orła i odleciał w stronę Dolin. Królowa została w sypialni sama, jeśli nie liczyć demona w worku. Demon się szamotał, co chwilowo zignorowała.

– Jak to w końcu z nimi jest? – zapytała. – Jest go jeden czy dwóch?

Ulk za bardzo różnił się od Gawarka. Wielkiego wojownika nawet lubiła, chociaż szlag ją trafiał za każdym razem, gdy słyszała, że znowu pobił jej łupieżców. Ale poza tym był życzliwy, skromny, uczynny i stanowił całkowite przeciwieństwo księcia, który gdyby tylko mógł ujawnić swą prawdziwą tożsamość, jednym susem wskoczyłby na piedestał, jaki swojemu bohaterowi wystawiła okoliczna ludność. Salianka dobrze wiedziała, jak ulotna była legenda Ulka. Gdyby tylko ktoś się dowiedział, za czyją sprawą Dolinom przybył obrońca albo skąd przybył...

Nie wiemy, przyznały uczciwie Wrota. Niby są jednym, ale demon widać zachował odrobinę niezależności.

Szamoczący się worek przesunął się na skraj komody. Salianka nie zwracała na niego uwagi, stała przy oknie wsparta ramieniem o kamienną ścianę i wpatrywała się w ciemne niebo, choć Płomiennoskrzydły już dawno znikł jej z oczu.

– I dobrze – stwierdziła po chwili namysłu. – Jako Ulk jest bardziej strawny niż jako Gawarek. Myślisz, że egzorcyści go dopadną?

Wrota wzruszyłyby ramionami, gdyby je miały.

Diabli wiedzą, powiedziały. Kwestia przypadku, jak wszystko.

Worek z demonem spadł z komody na podłogę. Przez płótno przebiły się pazury.

Salianka skamieniała na sekundę ze strachu. Zaraz jednak opanowała się i chwyciła najbliższy ciężki przedmiot, którym okazał się rzeźbiony świecznik. Uzbrojona poczuła się o wiele pewniej. Zbliżyła się do leżącego na podłodze worka i zamierzyła do ciosu. W ostatniej chwili wyhamowała, gdy w wyszarpanej dziurze pojawił się łebek demona. Był okrągły, zielony, z niewielkim grzebieniem schodzącym w dół grzbietu. Ogromne różowe oczy spoglądały na królową wzrokiem kopniętego szczeniaka.

– Jaki słodki! – rozczuliła się Salianka. Wyciągnęła rękę i pogłaskała demonka po łbie. Początkowo spoglądał na nią lękliwie, ale już po chwili sam nadstawiał się do pieszczot.

Mózgojadek, ładny okaz, stwierdziły Wrota.

Królowna gwałtownie cofnęła rękę.

– Mózgojadek? – powtórzyła z obrzydzeniem. – Otwórzcie się natychmiast i coś z nim zróbcie. – W panice rozejrzała się za odłożonym świecznikiem.

– Spokojnie, szefowo – odezwał się mózgojadek zachrypniętym, dudniącym głosem starego pijaka. Wręcz niemożliwe było, żeby takie dźwięki mogły wydobywać się z chuderlawego ciała. – Możemy się przecież dogadać.

Salianka wymacała odrzucony wcześniej świecznik i zasłoniła się nim, bardziej na wszelki wypadek niż ze strachu. Niby stworek miał być tym... mózgojadem, ale na niebezpiecznego wcale nie wyglądał. Właściwie miał nawet przyjemną prezencję, jeśli wziąć pod uwagę inne demony, jakie zdarzyło się królowie widzieć. Do tego w jego głosie brzmiał doskonale jej znany ton starego kombinatora, tak często używany przez członków Rady.

– Dogadać? – zapytała podejrzliwie. Co jej szkodziło wysłuchać, co stworek ma do powiedzenia? Nawet jeśli rzeczywiście jadł mózgi... Byleby nie robił tego w miejscach publicznych. Co z oczu, to z serca. W końcu Virven miał osobliwe upodobania, a był całkiem pożyteczny.

– Jasne. – Demonek wygrzebał się z resztek worka. Był nieduży, przypominał zielonego jaszczura z przerośniętą głową i wianuszkami małych, ostrych ząbków w paszczy. Tylko jego głos pasował bardziej do karczmarza z czerwonym nosem i wielkim brzuchem niż do istoty z piekieł.

– Ty dajesz coś mnie, ja daję coś tobie. Wymiana.

Przyłóż mu, zaproponowały z naciskiem Wrota.

– A tak konkretniej, to co ty mi możesz zaproponować? – zainteresowała się Salianka.

– Siebie – oznajmił z dumą. – Szutzel, do usług. Mogę wyssać mózg, komu tylko zechcesz.

Królowna w zamyśleniu pokręciła głową. Wystarczył jej jeden morderca. Ale za to brakowało posłańca.

– To nie jest atrakcyjna propozycja – powiedziała. – Jak jesteś szybki?

– Szybki? Bardzo szybki, niesamowicie wręcz szybki – zapewnił spieszenie.

Salianka wstała. Wciąż trzymała świecznik, ale porzuciła zamiar, by nim stworkowi przyłożyć.

– Świetnie – powiedziała. – W takim razie chodź ze mną. Tylko – stała już w drzwiach, ale odwróciła się jeszcze – co ja mam tobie dać?

– Nie otwieraj tej stodoły w swoim łbie, szefowo, i jesteśmy kwita.

– Uczciwa wymiana – stwierdziła bez wahania. – No to chodź.

Demonek musiał biec, żeby dotrzymać jej kroku. Królowna zatrzymała się po drodze tylko raz, żeby zapalić świece w świeczniku od zatkniętej w ścianę pochodni.

– Naprawdę jesteś taki szybki? – zapytała podejrzliwie, zerkając na jego krótkie nóżki.

– Jak strzała, szefowo – wydyszał.

Salianka wrzuciła ramionami. W końcu on sam wiedział najlepiej. Zaprowadziła go do sali, gdzie przybita toporami do ściany wisiała wielka mapa.

– Moi łupieżcy wyruszyli dwa dni temu – powiedziała. – Powinni być w połowie drogi między Twierdzą a Rozstajami. – Przysunęła świecznik do ściany, oświetlając właściwy fragment mapy. – Masz ich znaleźć.

– Tylko tyle? – Mózgojadek nonszalancko podłubał sobie pazurem między zębami.

– Masz ich znaleźć, dokładnie przyjrzeć się sytuacji, wrócić i o wszystkim mi opowiedzieć – sprecyzowała. – A w szczególności masz znaleźć demona, nazywa się Virven, i przypomnieć mu, że ma pilnować wykonania moich rozkazów. I masz to zrobić szybko.

– Dla ciebie wszystko, szefowo – obiecał z namaszczeniem Szutel. – Jest tu jakieś okno?

Królowna wskazała mu uchylone okiennice. Demonek westchnął, przeciągnął się, naprężył. Na plecach pojawiła mu się nagle para skrzydeł, rozmiarami pasująca do żurawia. Zamachał nimi kilka razy na próbę.

– No to w drogę – oznajmił i odleciał.

Odkąd to radośnie robisz interesy z demonami? – zapytały z przekąsem Wrota, kiedy Szutel zniknął już w ciemnościach.

– Obiecałam Radzie i Virvenowi, że będę ich miała na oku – odparła spokojnie Salianka. Nie miała zamiaru się z nimi kłócić. Doskonale wiedziała, co robi. – Należy dotrzymywać danego słowa.

Jeden demon ma pilnować drugiego. Urocze, parsknęły drwiąco.

– Wiecie, co sobie uświadomiłam? Że jest świat bez demonów, może nawet spokojny i szczęśliwy. I ja nigdy nie będę należeć do tego świata, głównie przez to, że mam was w głowie. Demony i wszystkie paskudztwa zawsze będą wokół mnie, po tej albo po drugiej stronie was. Skoro nie mogę od nich uciec, to muszę z nimi żyć. Co więcej, mogę je wykorzystywać.

Ale z ciebie filozof, burknęły.

– Tylko realistka – powiedziała i wróciła do łóżka.

* * *

Drugie przebudzenie nie było brutalne, ale i tak dalekie od ideału. Spokojny sen królowny przerwało irytujące uczucie, że ktoś się jej natarczywie przygląda. Po otworzeniu oczu okazało się, że to nie tylko uczucie, ale i rzeczywistość. Jala siedziała na brzegu łóżka Salianki i nerwowo gniotła róg prześcieradła.

– Powiedziałam mu, że nazywam się Jalavanna i jestem szlachetnie urodzona – wyrzuciła z siebie jednym tchem, gdy tylko królowna się poruszyła.

– Tak? – ziewnęła Salianka. Chwilowo nie stać jej było na nic więcej.

– Okłamałam go już na samym początku! Strasznie się z tym czuję! – Kuglarka ukryła twarz w dłoniach. Spomiędzy rozczapierzonych palców wyglądały szeroko otwarte, pełne desperacji szare oczy.

– To po co kłamałaś? – zdziwiła się królowna. Kłamstwa czasami były po prostu niezbędne, ona sama wiedziała o tym najlepiej, ale, niestety, strasznie komplikowały życie. Przede wszystkim trzeba było pamiętać, co się komu nakłamało.

– Tobie to łatwo powiedzieć! Ty jesteś szlachetnie urodzona, mężczyźni ustawiają się do ciebie w kolejce!

– Tak? – jeszcze bardziej zdziwiła się królowna. – Gdzie? – jakoś nie przypominała sobie żadnej kolejki.

– Jeśli się dowie, że skłamałam, to będzie tragedia – lamentowała Jala, na przemian rwąc sobie włosy z głowy albo pierze z pościeli. – Nie wybaczy mi i to będzie koniec. Co gorsza, dowie się, że jestem niskiego rodu, i to też będzie koniec.

Saliance wydawało się, że koniec może nastąpić tylko raz, ale rozsądnie powstrzymała się od wyrażenia swojego zdania.

– Nie masz większych zmartwień? – ziewnęła.

Jala rozszlochała się na dobre. Królowna ziewnęła jeszcze jeden, ostatni raz i usiadła obok niej.

– Nie dowie się – stwierdziła z mocą. – Bo niby skąd? Tylko my wiemy, jak jest naprawdę.

Kuglarka podniosła zaczerwienione oczy.

– Nie zdradzisz mu, kim jestem? – nadzieja w jej głosie wybuchła niczym skrzynia fajerwerków.

– Pewnie, że nie.

– I jeśli zapyta, czy to prawda, że spotkałyśmy się we wspaniałej posiadłości mojego tragicznie zmarłego brata, to powiesz, że tak?

– Powiem – obiecała Salianka. Nie miała pojęcia, kiedy Jala zdążyła to wszystko

wymyślić, a tym bardziej kiedy zdążyła tak Plaskatowi nakłamać. Przecież oni wcale ze sobą nie rozmawiali, tylko wzdychali głęboko, patrzyli sobie krótko w oczy, a potem odwracali wzrok na bardzo długo.

– I zostanę twoją damą dworu? – upewniła się Jala.

– Jeśli ci tak strasznie zależy.

– Zależy. Już mu powiedziałam, że nią jestem – dodała rzeczowo.

– Dobrze – zgodziła się królowna. Właściwie czemu nie miałyby mieć damy dworu. Prawdziwe władczynie z pewnością miały, i to niejedną.

Jala rzuciła jej się na szyję i uściskała z całej siły, że aż Saliance zabrakło tchu.

– Jesteś najwspanialszą i najlepszą osobą na świecie – oznajmiła, wypuszczając ją wreszcie z ramion.

– Tylko nie mów o tym nikomu – poprosiła królowna, rozmasowując sobie kark. Kuglarka może i była drobnej budowy, ale, jak na akrobatkę i żonglerkę przystało, miała dobrze rozwinięte mięśnie. Jej uścisk przypominał niedźwiedzi. – Jeszcze tylko brakuje, żeby ktoś się dowiedział.

– A co mam mówić? – Jala otarła łzy i podeszła do lustra, żeby sprawdzić, jak płacz odbił się na jej urodzie. Nie miała się czym martwić, nawet z czerwonym czubkiem nosa i mokrymi oczami wyglądała prześlicznie.

– Wszystko najgorsze, co ci na myśl przychodzi – podsunęła Salianka. Już dawno nauczyła się doceniać potęgę plotek. Nie mogła sprawić, by ludzie przestali opowiadać historie o Czarownicy z Twierdzy. Mogła je za to wykorzystać.

– A mogę być Pierwszą Damą Dworu? – zainteresowała się kuglarka.

Królowna wzruszyła ramionami.

– Możesz być, którą chcesz, bo i tak jesteś jedyną.

* * *

Posiadanie damy dworu okazało się kłopotliwe. Nie z winy samej Jali, która starała się najlepiej jak mogła. Jak przekonała się Salianka, od władczynie posiadającej damy, a przynajmniej jedną damę do towarzystwa oczekiwano spędzania czasu w towarzystwie tejże. Najlepiej spędzania czasu na wyszywaniu, muzykowaniu, malowaniu, ostatecznie na powolnych przechadzkach po ogrodach. O tym wszystkim poinformował Pierwszą ochmistrz Sampsa, który osobiście przyniósł koszyczki na robótki ręczne wyszperane w składzie, sugerując bardziej niż wyraźnie, że ich używanie należy do obowiązków każdej władczynie. Wręcz jest istotą pełnienia tej roli. A nawet, chciałoby się rzec, stanowi o tym, czy jest się taką władczynią, czy też nie.

Przytłoczone atmosferą nakazów i powinności nie do uniknięcia Pierwsza i jej dama dworu spędziły sporo czasu, próbując odgadnąć przeznaczenie i możliwe zastosowania

zawartości koszyczków. Niestety, mimo wysiłków obu dziewcząt trudno było mówić nawet i o miernych sukcesach. Jala, wychowana wśród cyrkowców, od dziecka była przyuczana do tego, by stać się jedną z nich. A to przygotowanie nie obejmowało robótek ręcznych. Saliance młodość upłynęła w niebycie, co czyniło ją wprawdzie doskonałym materiałem na Strażniczkę Wrót, ale beznadziejnym na dziewiarkę.

Po bezskutecznych próbach powiązania nitek w ozdobne supełki świeżo upieczona dama dworu poddała się i zaczęła żonglować motkami wełny, a królowna zajęła się odwzorowywaniem na mapie hipotetycznych ruchów swojej armii przy pomocy szpilek i kolorowych sznureczków. Obydwie były tak pochłonięte swoimi zajęciami, że Plaskata zauważyły dopiero, gdy ten nastąpił na leżący na podłodze kłębek i runął na posadzkę. Salianka odwróciła się od mapy.

– Co za zamek, wszyscy się przewracają – stwierdziła z niesmakiem.

Jala pospiesznie wcisnęła motki do koszyczka i rzuciła się pomagać Ósmemu.

– Umiesz żonglować? – zdziwił się, kiedy już udało mu się stanąć na nogach.

Kuglarka w panice pobladła.

Niezdolna do wymyślenia jakiegoś tłumaczenia rzuciła przerażone spojrzenie na królownę, szukając u niej ratunku.

– Zwidy masz – pospieszyła jej z pomocą Salianka. – To pewnie z przepracowania.

– Jestem pewien, że widziałem... – spojrzał na Jalę i urwał.

Wydawało się niemożliwe, żeby zrobiła się jeszcze bledsza, ale jakoś jej się to udało. Zaraz potem zaczęła czerwienić. Królowna już otwierała usta, żeby powiedzieć cokolwiek, co przerwałoby ciszę i zmiany kolorytu Jali, kiedy coś wpadło przez okno, odbiło się od parapetu, przetoczyło po stole i wpadło do koszyczka na robótki ręczne. Po szeregu prychnięć pomiędzy nitek i włóczek wystawił głowę Szutzel.

– Coś mnie kujnęło pod ogon – oznajmił z pretensją.

– Pewnie szydełko – stwierdziła odruchowo królowna.

Demonek skrzywił się boleśnie.

– Pewnie tak.

– Co to? – zapytał Plaskat. Po jego głosie można było wywnioskować, że jest zdecydowany zachować zimną krew za wszelką cenę. Zresztą z każdym dniem wychodziło mu to coraz lepiej. Przy Saliance miał wiele okazji, by ćwiczyć wytrzymałość swoich nerwów.

Dużym plusem sytuacji było, że Jala wreszcie odzyskała normalne kolory i głos.

– Jaki śliczny! – Porwała móżgójadka na ręce i przytuliła do policzka.

– To mi się podoba – wymruczał z zadowoleniem Szutzel. – Tak się powinno witać steranych posłańców, a nie – splunął na posadzkę – szydełkiem.

– Co to? – powtórzył Plaskat, ostrzej i z naciskiem. Latająca jaszczurka w Twierdzy to jedno, ale latająca jaszczurka w ramionach kobiety, którą kochał, to już powód do niepokoju.

– Demon – wyjaśniła niecierpliwie królowna. Nie miała teraz głowy dla Ósmego, zajęta była mózgojadkiem, który zamiast zdawać relację z poczynań łupieżców, mościł się wygodnie w objęciach Jali. – Przestań go drapać po grzbiecie, niech najpierw powie, co wie!

Szutzel łypnął na nią różowym okiem. Widać było po wyrazie jego pyska, że składanie raportów jest jego zdaniem nieporównanie mniej interesujące od pieszczot. Mimo to nie ośmielił się dłużej zwlekać.

– Armia maszeruje – zaraportował posłusznie. – Czterech staruchów jedzie na czele i cały czas spiskuje. Tego twojego Virvena też znalazłem. Właśnie rozszarpywał komuś gardło. Uprzejmy chłop, dał się pożywić.

– Daruj sobie detale – warknęła Salianka. O wiele łatwiej było żyć z Virvenem, nie znając szczegółów jego diety.

– Powiedział, że pamięta o rozkazach – ciągnął mózgojadek. – I nie rozszarpuje gardeł łupieżcom, tylko jakimś obcym. Z nudów. Gdybyś pozwoliła mu pobawić się z tymi staruchami, byłby dużo szczęśliwszy.

– Dobrze, że znalazłeś go bez problemu – powiedziała królowna. Uważała, że powinna coś powiedzieć, zwłaszcza że czuła na sobie spojrzenia Jali i Plaskata, ciężkie niczym kamienie młyńskie.

– Kto powiedział, że bez problemu? – obruszył się Szutzel. – Po całym obozie go szukałem. I dopiero jak usłyszałem takie... no... charczenie i zobaczyłem wielką, włochatą bestię, to pomyślałem, że to pewnie on.

– Tak pomyślałeś? – Plaskat zmarszczył brwi. Włochata bestia z czymś mu się nieprzyjemnie kojarzyła. – Pani – zwrócił się do Salianki – czy moglibyśmy wrócić do rozmowy o twoim faworycie...

– Masz faworyta? – przerwała mu podekscytowana Jala. – Naprawdę?

– Wielki, kudłaty, szpony jak szable – opisał usłużnie mózgojadek, siadając sobie wygodnie na jej rękach. – Świetny okaz.

– Demon – powiedział z naciskiem Ósmy, wyrażając tym jednym słowem całą swoją dezaprobatę, wyrzuty i w ogóle wszystko, co miał do powiedzenia na temat Virvena. Dziwił się tylko sam sobie, że nie przyszło mu to do głowy wcześniej. Skoro Salianka wybrała coś... kogoś takiego na swojego faworyta, to musiała być o wiele bardziej... skomplikowana, niż wcześniej sądził.

– To chyba w porządku, no nie? – Kuglarka odplątała nitkę, która zaczepiła się o grzebień Szutzela. – W końcu jest Czarownicą z Twierdzy. Nie może mieć jakiegoś tam zwykłego pazia. Podłe królowe-czarownice mają za faworytów żadnych krwi, dwulicowych intrygantów. Znam się na tym. Gra... Widziałam masę sztuk. W teatrze zawsze tak jest.

Królowna rzuciła Plaskatowi triumfalne spojrzenie.

– To chyba zamyka dyskusję?

* * *

Zwycięska armia łupieżców wróciła tydzień później. Nieśli proporce, wznosili okrzyki, grali na bębnach, słowem – wszystko było jak należy. Z murów obserwowali ich Salianka, Plaskat i Jala trzymająca na rękach Szutzela. Ku irytacji Ósmego przywiązała się do demonka i kiedy tylko ten nie latał gdzieś na polecenie królowny, siedział sobie wygodnie w ramionach jej damy dworu. Ta część Rady, która nie została zaszczycona zezwoleniem na udział w wyprawie, zebrała się na jednym z krużganków i zbiła w ciasną grupkę. Salianka tylko zerknęła na nich kątem oka. Starali się trzymać od niej z daleka, odkąd przestały działać leki zaaplikowane im przez królewskiego medyka. A trzeba przyznać, że nie było to łatwe. Królowna przez cały czas sterczała im nad głowami. Upierała się brać udział we wszystkich, nawet najdrobniejszych naradach. Więc brała, bo przecież nie można wykluczyć Pierwszej z posiedzeń jej własnej Rady. A kiedy już siedziała u szczytu stołu obrad, to bardzo szybko zaczynała ziewać z nudów. Jej Doradcy mieli nadzieję, że prędko znajdzie sobie inne, ciekawsze zajęcie, ale zawiedli się. Salianka po prostu zaczęła zabierać na narady pled. Siadała w najwygodniejszym fotelu, okrywała się kocem i pozornie drzemała. Co jakiś czas otwierała jedno oko i łypała na pozostałych członków Rady. Czasem brała ze sobą jakąś książkę. Regularnie przypominała o konieczności utrzymania Twierdzy w czystości. Już sama obecność królowny była dość uciążliwa, ale prawdziwą zgryzotą Rady była pierwsza i jedyna dama dworu Salianki. Też przychodziła na narady, towarzysząc dla ogólnie pojętej przyzwoitości swojej Pani. I podczas gdy królowna zabijała nudę, ona słuchała. Uważnie. Zadawała pytania. Czasami nawet robiła notatki. Doradcy próbowali jej zwrócić uwagę, że to zachowanie niegodne damy dworu i lepiej byłoby, gdyby zajęła się wyszywaniem albo brzdąkaniem na jakichś instrumentach muzycznych. Ale kiedy po raz pierwszy głośno wyrazili swoje wątpliwości, Salianka łypnęła na nich złowrogo okiem, więc dali spokój. Pozostało im tylko pogodzić się z sytuacją.

Jala okazała się nie najlepszą damą dworu, ale za to całkiem niezłym zarządcą. Salianka wyraziła zgodę na wprowadzenie kilku jej pomysłów w życie, głównie po to, żeby utrzcę nosa Radzie, a one ku zdumieniu wszystkich zaczęły od razu przynosić efekty. Kuglarka zajęła się inwentaryzacją składów, za co serdecznie i platonicznie pokochał ją Sampsa, zachwycony porządkiem, jaki w nich zapanował. Rada coś tam pomrukiwała pod nosami na temat dam dworu, które nie powinny znać się na takich rzeczach. Tego samego zdania był też i Plaskat, najwyraźniej tradycjonalista w poglądach. W głębi duszy uważał, że kuglarka jest śliczną, miłą dziewczyną, tylko dlaczego, do diabła, próbuje jeszcze rządzić? Jego wzrastającego niezadowolenia nie zauważyły ani królowna, ani Jala, ale nie umknęło to uwagi Wrót.

Zobaczysz, będą kłopoty, powiedziały Saliance tonem proroczym, kiedy któregoś dnia Ósmy przeszedł obok nich z wyjątkowo nachmurzoną miną.

– Przesadzacie – wzruszyła ramionami.

Wiemy, co mówimy, upierały się.

– Nawet jeśli wystąpią... tego... sprzeczki kochanków, to jest to absolutnie naturalne – stwierdziła autorytatywnie królowna.

Naturalne sprzeczki kochanków... – powtórzyły Wrota, cedząc pojedyncze słowa. *Skąd ty o tym możesz wiedzieć?*

– Czytałam – warknęła Salianka.

Aha, stwierdziły domyślnie.

– Co za „aha”? – zapytała podejrzliwie królowna.

Te książki zatrwały ci umysł, powiedziały z naganą. *Niedługo zaczniesz przesiadywać w oknie z koronkową chusteczką w dłoni.*

– Wcale nie! – zaprotestowała energicznie. – Zresztą nie mam koronkowej chusteczki!

Pożycz od Jali, zaproponowały życzliwie.

Dyskusja na tym się skończyła. Salianka przestała się przejmować życiem uczuciowym Jali, za to chętnie słuchała jej sugestii dotyczących zarządzania Twierdzą. Tak więc kiedy wracała zwycięska armia, kuglarka była już kimś w rodzaju nieoficjalnego doradcy. Pracowicie kursujący między Twierdzą a armią łupieżców Szutzel został nieoficjalną maskotką Jali i oficjalnym posłańcem królowny. On też doniósł, kiedy należy się spodziewać powrotu dzielnych wojaków, tak że wszystko zostało przygotowane na właściwą chwilę.

Armia łupieżców okrążyła Twierdzę, zmierzając do otwartej szeroko bramy. Nie przypominali zdyscyplinowanego wojska, wręcz przeciwnie. Na czele jechali co prawda dowódcy dostojnie wyprostowani w siodłach, za nimi we względnym szyku ważniejsze zbiry, a na samym końcu, niechlujnie i w kompletnym chaosie, przemieszczali się szeregowi łupieżcy, taszcząc zdobyte łupy. Większość zrabowanych dóbr popakowano w skrzynie, którymi do granic możliwości wyładowane były wozy. To, co do kufrów się nie zmieściło, powpychali wojacy byle gdzie, nierzadko za własną pazuchę.

Jala wychyliła się najbardziej jak mogła, żeby wszystkiemu dokładnie się przyjrzeć.

– Ten na czele to kto? – zapytała z zaciekawieniem.

Salianka spojrzała. Jako pierwszy, ignorując zamieszanie powstające wśród łupieżców, jechał Virven. Ubrany był na czarno, siedział na koniu wyprostowany i prezentował się tak dostojnie, imponująco i złowrogo, że aż nie pasował do ciągnącej za nim hołoty.

– Virven. Mój faworyt – wyjaśniła Pierwsza. – A co?

– Nic – mruknęła kuglarka cicho, tak że słyszał tylko Szutzel. – Też bym chciała takiego.

– Nie ma sprawy – powiedział mózgojadek. – Tam, skąd przyszedł, jest takich dużo.

– Zamknij pysk – zaproponowała mu ostro królowna.

Prowadzona przez demona armia wjechała na dziedziniec przy akompaniamencie radosnych okrzyków witających ich mieszkańców Twierdzy.

– Nie widać Siódmego – zauważył Plaskat, liczący uważnie braki w armii.

– Kolejnego członka Rady mniej – westchnęła ponuro Salianka.

– Tak sądzisz, Pani?

– Chcesz się założyć?

Ósmy nie chciał. Na swoje szczęście, bo, jak natychmiast wyjaśnił mu Szutel, przegrałby zakład, bo Siódmego już nie było na tym świecie. Przebywał na jakimś innym, niekoniecznie lepszym. Właśnie miał zamiar całkowicie wbrew rozkazom swej Pani zabić namiestnika Rozstajów, kiedy coś dopadło go, jednym ruchem wyszarpnęło mu miecz i krtań, po czym znikło.

Sam namiestnik nie zdołał się temu czemuś dokładnie przyjrzeć, nie był nawet pewien, co się właściwie stało. Zanim zdążył dojść do siebie, dopadł go i pojmał w niewolę mężczyzna o wilczym uśmiechu.

W niewoli, takie przynajmniej namiestnik miał wrażenie, pilnowano go także przed tymi, którzy go zniewolili. Nikt z nim nie rozmawiał, nikt nie chciał go też skrzywdzić. Podbili jego kraj i jego miasto, a jego samego zabrali ze sobą przed oblicze Czarownicy z Twierdzy. Namiestnik Ernalik przygotował się na najgorsze, które uparcie nie nadchodziło.

Kiedy wjechali na dziedziniec Twierdzy, zaroilo się wokół od sług. Łupieżcy przemierzali się z nimi, rozległy się radosne okrzyki i rozpoczęły długie opowieści. Złowroga budowla, od wieków rzucająca swój mroczny cień na okolicę, wewnątrz okazała się być całkiem zwyczajna. Nigdzie nie było widać poćwiartowanych ciał wrogów, torturowanych ludzi czy innych oznak rozpasania złych mocy. Co więcej, każdy fragment murów aż lśnił czystością, nawet gargulce zwieszające swoje koszarne łby ze ścian. Namiestnikowi przez chwilę wydawało się, że one pochylają się niżej i niżej, żeby uszczknąć coś z odbijającego się echem od murów gwaru. W tym zgiełku Ernalik prawie nie dosłyszał głosu, który najwyraźniej zwracał się do niego.

– Zgadzasz się czy nie? – pytał ktoś.

Namiestnik odwrócił głowę w stronę, z której dochodził głos. Na schodach prowadzących na mury stała młoda kobieta. Średniego wzrostu, szczupła, ubrana była w prostą, ciemną sukienkę. Włosy miała luźno związane, pojedyncze pasma wymykały się wstążce i opadały na ramiona i twarz. Sprawiałaoby wrażenie przytłoczonej życiem, gdyby nie jej spojrzenie, nieugięte i zdeterminowane. Dziewczyna była nawet ładna, chociaż nie tak jak ta druga, jasnowłosa, stojąca za nią. Ta z tyłu miała szare oczy, malinowe usta i ciało ukształtowane niemal dłonią artysty. Z uścisku jej ramion wyglądały różowe oczka dziwnego stworza, którego namiestnik widywał już wcześniej, podczas drogi do Twierdzy. Stwór często go zaczepiał i zachrypniętym głosem pytał, czy czuje się żywy i dobrze traktowany. Dwóm kobietom i stworowi towarzyszył wysoki, postawny mężczyzna, który przyglądał mu się raczej niezyczliwie, marszcząc z niezadowoleniem jasne brwi.

– Zgadzasz się czy nie? – powtórzyła ciemnowłosa dziewczyna z odrobiną zniecierpliwienia.

– Na co? – zapytał Ernalik.

Kobieta spojrzała na mężczyznę o wilczym uśmiechu i towarzyszących mu wielmożów. Wydawało się, że starcy skulili się pod jej wzrokiem. Nie można tego było powiedzieć o dowódcy wojsk, którego najwyraźniej niewiele obchodziło, kto i jak na niego patrzy.

– Nikt mu nie powiedział? – warknęła.

Virven wzruszył ramionami.

– Nie było mowy o tym, że ja muszę.

Członkowie Rady starannie unikali wzroku swojej Pani.

Salianka westchnęła. Już wcześniej miała nie najlepsze zdanie o użyteczności swoich podwładnych, teraz jej opinia jeszcze się pogorszyła.

– Masz do wyboru – powiedziała do namiestnika powoli i wyraźnie, żeby na pewno zrozumiał – wygnanie albo urząd Trzeciego w mojej Radzie.

– Twojej... Radzie – powtórzył Ernalik. Olśniło go nagle. – Jesteś Czarownicą z Twierdzy? – Nie tak ją sobie wyobrażał. Sądził, że będzie albo krościastą staruchą, albo zjawiskowo piękną kobietą-demonem. A patrząc na to, jak wyglądała, czuł się, prawdę mówiąc, rozczarowany.

Potwierdziła jego domysły skinieniem głowy.

– To jak będzie? – Wyraźnie zależało jej na szybkiej odpowiedzi, choć chyba nie miała zamiaru wyciągać z niego słów przy pomocy narzędzi tortur.

– Nie zrównasz Rozstajów z ziemią, nie wyrznisz mojego ludu, nie rozpętasz piekła na ziemi? – wciąż jeszcze trudno mu było w to uwierzyć. Nie takiego zachowania spodziewał się po Pani z Twierdzy. Ale sama czarownica w niczym nie przypominała tej opisywanej w ludowych piosenkach.

– Wolałabym nie – przyznała uczciwie Salianka. – Mogłabym, oczywiście, ale wolałabym zbierać od was daninę. Nawet niezbyt wysoką, i tak o złoto można się tutaj potykać. Aż dziwne, że żaden z moich przodków go nie roztrwonił.

Wcale nie dziwne, wtrąciły Wrota. Pilnowaliśmy twoich przodków.

– Rozstaje mają króla – powiedział namiestnik. Propozycja zaskoczyła go. Może powinien rozedrzeć koszulę i krzyknąć: „Układy z Twierdzą? – nigdy”, ale nie mógł się powstrzymać od rozważenia oferty. – Co z nim?

– Króla? – Pierwsza uniosła brwi w zdziwieniu. – Dlaczego nie przywieźliście mi króla?!

– Rada, do której skierowane były pretensje, struchlała, Virven ponownie wzruszył ramionami.

– Nie było tam żadnego króla – wyjaśnił zirytowany wymówkami.

– Król zaginął przed wiekami. Ale legenda głosi, że powrócą jego potomkowie – wyjaśnił Ernalik. Każdy namiestnik musiał przysięgać, że dobrowolnie ustąpi, gdy prawowity władca powróci. Chociaż już od dawna nikt nie wierzył, by miało to kiedykolwiek nastąpić.

– Nie wierzę w legendy – stwierdziła stanowczo Salianka. – Ludzie wszystko przekręcą, i

to co najmniej trzy razy. Wystarczy posłuchać, co mówią o mnie albo o Ulku. Zresztą tego mitycznego króla ani jego potomków i tak nie ma w pobliżu, ale za to jestem tu ja. To zgadzasz się czy nie?

Namiestnik był rozsądnym człowiekiem. Oprócz tego był także człowiekiem dobrym, dlatego zapytał:

– A co z Rozstajami?

– Została tam część moich łupieżców. Można przyjąć, że na stałe. I naturalnie kogoś się tam jeszcze wyśle. W końcu jakiś namiestnik musi być.

– Zgadzam się – powiedział Ernalik.

Mogło być gorzej, podpowiadał mu rozsądek. Mogło być o wiele, wiele gorzej.

Rozdział 6

Ceremonia była ważna. Tak powiedział Dawasz i nikt nie zamierzał protestować. Nawet królowna tylko wzruszyła ramionami, mruknęła: „Skoro tak ci zależy” i nie wtrącała się więcej. To znaczy wtrącała się raz, ale nie była wtedy sobą. Była Wrotami, które stanowczo zaprotestowały przeciwko angażowaniu w uroczystość szerszej publiczności, czyli łupieżców.

– *Sto razy bardziej pokochają Panią, która nie każe im sterczeć godzinami na baczność, ale wydaje trunki z piwnic* – powiedziały i z nimi też nikt nie zamierzał się spierać.

Były namiestnik Rozstajów patrzył na przygotowania z nieukrywanym zdumieniem. Wydawało mu się, że w Twierdzy powinno wyglądać to jakoś inaczej, mroczniej, bardziej złowrogo. Tymczasem członkowie Rady wydawali polecenia i gromili wzrokiem każdego, kto nie wypełniał ich wystarczająco szybko. Wszystkim tak naprawdę dyrygował chudy, stary ochmistrz, który wydawał się być z tego powodu najszcześliwszy na świecie. Element chaosu wprowadziła królowna, przychodząc do głównej sali o wiele za wcześnie, żeby skontrolować czystości posadzek. Jej faworyt rozsiadł się w najwygodniejszym fotelu, oparł nogi o stół i zajął pożeraniem jabłek z miną świadczącą, że wcale mu nie smakują. Zaraz po powrocie z wyprawy dostał od swojej pani szeptaną reprimendę na temat porzucanych gdzie popadnie szczątków i sprzątania po jedzeniu. Samymi wyrzutami mało się przejął, bardziej zmartwił się, że uprzątnięto ze składów jego zapasy. Różowooki stwór latał pod sufitem albo pętał się ludziom pod nogami. Z dziedzińców dobiegały radosne, odrobinę zapijaczone śpiewy łupieżców. W tej chwili Twierdza przypominała bardziej jakikolwiek inny zamek niż postrach okolicy.

I wreszcie wszystko było gotowe. Salianka oderwała się od zaglądania pod zabytkowe tarcze w poszukiwaniu pajęczyn, otrzepała suknię i usiadła na tronie.

– Możemy zaczynać – powiedziała.

Cała treść ceremonii była pomysłem Jali. Przeczytała o tym, jak przebiegały takie wydarzenia na innych dworach i poczuła się zainspirowana. Skoro Rozstaje czekają na króla, to dajmy im go, to znaczy ją, powiedziała. O dziwo, pomysł spodobał się Radzie. Cenili tradycje, zwłaszcza te, które mówiły: „Ci, co rządzą, powinni rządzić dalej”. Mimo to nie wszystko przebiegło gładko i bez zgrzytów.

– Tu jest napisane, że potomkowie króla, czyli niby ty, przybędą, by uwolnić Rozstaje od

jarzma i nieszczęścia. – Kuglarka pokazała królowi starą, poplamioną jakąś cieczą księgę.

– To jakiś problem? – zmarszczyła brwi Salianka.

– Rozstaje nie były pod żadnym jarzmem. Dopóki ich nie podbiłaś.

– Wcale ich nie trzymam pod jarzmem – oburzyła się królowa. Nie życzyła sobie, żeby jej zarzucano takie rzeczy, przynajmniej nie w gronie bliskich. Ludzie poza Twierdzą mogli sobie mówić, co chcą. – Mogłabym, oczywiście, ale to oznaczałoby egzekucje, rabunki, mordy i całą nieekonomiczną resztę.

– Można powiedzieć, że ocalałaś Rozstaje przed swoim jarzmem – stwierdził złośliwie Plaskat. Nie podobał mu się pomysł ceremonii nie dlatego, że był zły, ale dlatego, że był Jali. A ona i tak już miała zdecydowanie za dużo pomysłów i ambicji jak na jego gust. To, że dyrygowała prawie całą ceremonią, dodatkowo go irytowało.

Jego złośliwa uwaga odniosła jednak niezamierzony skutek. Saliance spodobało się wyjaśnienie. Określiła je jako niesamowicie wręcz zgodne z prawdą i poleciła koronować się na świeżo odnalezionego króla... to jest królową-wybawczynią.

Kolejną trudnością, teoretycznie, był brak korony Rozstajów, którą ów cudem przybyły na ratunek władca miał włożyć na skronie, żeby prosty i tępy lud zauważył, że odtąd żyć będzie pod monarszym obuwem. Legendy wyrażały się o insygniach władzy bardzo enigmatycznie, wynikało z nich, że kiedy pojawi się dziedzic tronu, korona sama się znajdzie. W praktyce rzeczywiście się znalazła. Sampsa poszedł do składów i przyniósł pierwszą z brzegu. Wręczył ją Ernalikowi.

– Daruj sobie przemowy – zaproponowała stojąca naprzeciw niego królowa. – I tak nikt nie będzie słuchał.

– Ale... – Były namiestnik spojrzął w stronę minstrela, który gorączkowo robił notatki do ballady o powrocie prawowitej królowej na tron Rozstajów. Za plecami stała mu Jala i syczała poprawki do ucha.

– Cokolwiek powiesz, i tak to przerobią. – Salianka też spojrzała wymownie na barda i kuglarkę. – Na początek tak, żeby się rymowało.

Ernalik popatrzył przez chwilę prosto w oczy królowy. Zrezygnowanie i determinacja, trochę te dwie cechy nie pasowały do siebie nawzajem, a mimo to zdawały się zgodnie współtworzyć jedną osobowość. Nie czas był na refleksje nad ludzką psychiką, więc namiestnik uniósł koronę i po prostu wsadził ją przyszłej królowej Rozstajów na głowę. Gdzieś z boku dobiegał szept Jali, która dyktowała minstrelowi wielką przemowę powitalną ostatniego namiestnika.

Salianka poprawiła koronę i odwróciła się do swojej Rady. Pokłonili się nisko. Kiedy unosili głowy, przez salę przebiegł jakby podmuch wiatru. Najwyraźniej poczuł go Ernalik, który miał wrażenie, że gorące powietrze wręcz spala mu twarz. A potem spojrzął królowi prosto w twarz, prosto w oczy. To, co w nich zobaczył, przeraziło go bardziej niż cokolwiek widzianego wcześniej. Głos uwiązał mu z gardła i nie zdołał nawet krzyknąć.

Virven poderwał się, przewracając krzesło, doskoczył do nich i uderzył Saliankę w twarz. Mocno, tak że poleciała pod ścianę. Ale ktoś został. W miejscu, gdzie przed chwilą stała królowna, szczyrzył zielonkawę kły wyraźnie zaskoczony demon. Był wzrostu człowieka, ale tylko dlatego, że jego ciało było wyraźnie pokurczone i przygarbione. Stojący najbliżej Ernalik czuł jego gorący, zgniły oddech. Virven chwycił demona za szpony, zaczęli się mocować. Obaj byli silni, więc żaden nie uzyskał w tym pojedynku przewagi. Początkowo tylko stali naprzeciw siebie, trzymając się krzepko i naprężając ramiona. Kiedy tylko jeden z nich osłabił uścisk, drugi wykorzystywał okazję, by go popchnąć na ścianę. Ciskali się po całej sali, tratując wszystko, co stało im na drodze, objijając się o ściany i kolumny, ani na chwilę nie odrywając szponów od przeciwnika.

Członkowie Rady rozpięchli się w panice, minstrel wlaź pod tron. Plaskat siłą wepchnął skamieniałą z przerażenia Jale za jedną z kolumn, a sam rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś broni.

Dwa splecione w morderczym uścisku ciała, jedno absolutnie niehumanitarne, a drugie coraz mniej człowieka przypominające, uderzyły o ścianę tuż obok półprzytomnej Saliarki. Odłupały przy tym kawałek stuletniego fresku.

– Otwórz Wrota! – ryknął Virven.

Szutel pisnął przerażony i jednym susem znalazł się w ramionach Jali. Pazurami wczepił się w jej sukienkę.

– Nie dajcie im mnie, nie dajcie im mnie – wycharczał w panice.

– Co? – zapytała nieprzytomnie królowna. Najpierw, kiedy demon wszedł w jej ciało, straciła nad sobą kontrolę, a potem zderzyła się ze ścianą. Czuli się ogłuszeni i w związku z tym chwilowo niezdolni do kojarzenia faktów.

Wrota wepchnęły się na przód jej umysłu. Nie było to trudne, bo oszołomiona Saliarka i tak nie wiedziała, co się wokół niej dzieje.

– *Już!* – wrzasnęły.

Virven z całej siły pchnął zielonkawego stwora. Ten zatoczył się prosto na ciało królowny. Dojrzał jeszcze, gdzie zmierza, i wydał z siebie pełen straszliwego przerażenia jęk. A potem zderzył się z dziewczyną i znikł, jakby wsiąkł w jej ciało.

Zapadła cisza. Było tylko słycać paniczne popiskiwanie Szutela, do którego jeszcze nie dotarło, że już po wszystkim, i krople krwi Virvena kapiące jedna po drugiej na wypolerowaną posadzkę.

Saliarka otworzyła oczy. Wystarczyło mrugnąć kilka razy i to, na co patrzyła, przestało się trząść i dwoić.

– Co...

Egzorcyzmy, odpowiedziały zdenerwowane Wrota. *Ktoś odprawił egzorcyzmy i wygnał demona.*

– Ale dlaczego akurat...

Demony można wyganiać z miejsca, ale można też je wyganiać do miejsca, wyjaśniły. Ktoś wygnał demona do piekieł.

– Ale dlaczego...

Egzorcyzmy odsyłają demona do najbliższego przejścia do piekieł, powiedziały niecierpliwie. Wiele jest tych przejść, jedno masz w głowie.

Królowna wstała, dla zachowania równowagi opierając się o ścianę. Wszyscy przyglądali jej się z pełnym lękiem, ale też niekiedy niezdrowej fascynacji napięciem.

– Już w porządku – powiedziała. – Przeszedł.

Dawasz ostrożnie postąpił krok naprzód. Dłonie jeszcze mu się trzęsły, więc zaciskał je w pięści, żeby ukryć ten przejaw słabości. Był też bardzo blady, każda zmarszczka na jego twarzy odznaczała się wyraźniej niż zwykle.

– Pani... – głos też miał zmieniony. Wizyta demona musiała być dla niego dużym szokiem, przypomniała mu o czasach, gdy Twierdzą rządził opętany ojciec Saliarki.

– To byli egzorcyci. – Królowna z lekkim trudem podeszła do tronu. Minstrel czmychnął stamtąd na jej widok. – Wyganiają demony z powrotem do piekieł. Do Wrót. Przeze mnie – dodała gorzko.

– Pani...

– Od dziś w Twierdzy, Rozstajach i w ogóle wszędzie, gdzie ja rządzę, egzorcyzmy będą karane śmiercią. Przygotujcie jakąś proklamację czy coś takiego, żebym mogła to podpisać. Szutel rozniesie to do wszystkich łupieżców.

– Pani... – Dawasz pochylił głowę. Jej rozkaz sprawił mu widoczną ulgę. Jego Pani chciała uniknąć losu swojego ojca, tak jak on chciał uniknąć powtórzenia się sytuacji sprzed lat.

– Przynajmniej w jednym jesteśmy zgodni – uśmiechnęła się krzywo Saliarka. – Nie chcemy, żeby w moim ciele zamieszkał jakiś demon. Pamiętamy, jak wtedy było...

Drugi Rady wycofał się, a za nim większość pozostałych. Pamiętali. Pozostawili bez komentarza fakt, że i ona pamiętała, choć po ich twarzach przemknął cień grozy. Kiedy Twierdzą rządził ojciec królowny, ona była drewnianą marionetką, pozbawioną zdolności myślenia. Nie miała własnych wspomnień z tamtych lat. Ale mogła sięgnąć do cudzych. Wrota magazynowały wspomnienia wszystkich swoich Strażników. Gdyby królowna chciała wystarczająco mocno, mogłaby poznać życie dwudziestu trzech poprzednich pokoleń. Zamiast marnych siedemnastu lat wspomnień z początku swojego życia miała setki lat cudzych. Niektóre tak silne, że włamywały się do jej pamięci wbrew woli, tak jak te dotyczące śmierci jej ojca. Nie uważała tego za sprawiedliwe.

– Czy mi się wydaje, czy twoja krew przeżera posadzkę? – zapytała. Może jej się tylko wydawało, ale w podłodze zaczęły pojawiać się dziury.

Virven spojrzał pod nogi.

– Owszem. Ale rany już się goją.

– To dobrze. Szkoda, że moje siniaki nie znikną tak szybko. – Królowna ostrożnie pomacała własną głowę, kark i plecy. Uderzenie o ścianę było bardzo bolesne. Ale wolałaby już walić o nią codziennie, niż być opętaną. – Dziękuję. – Wiedziała, że nie musi dziękować, ale i tak to zrobiła. W końcu została uratowana przed opętaniem, to zobowiązuje.

Virven wzruszył ramionami i wyszedł. Nie wyglądał na specjalnie przejętego tym, co się stało, chociaż w oczach coś mu błyszczało złowrogo, a przynajmniej bardziej złowrogo niż zwykle.

– Niech ktoś znajdzie człowieka od posadzek – powiedziała Salianka słabym głosem. Od uderzenia o ścianę wciąż huczało jej w głowie, i to z każdą chwilą coraz bardziej.

– Dobrze się czujesz? – zapytała zaniepokojona Jala. Zza jej ramion wyjrzały różowe, czujne ślepia mózgojadka.

Królowna pokręciła głową, narażając się na kolejną falę tępego bólu. Nie czuła się dobrze. Czuła się fatalnie. Tak fatalnie jak nigdy. Dotąd musiała się bać burzy, nagłego otwarcia Wrót, tego, że demony przejdą przez przejście w jej głowie i zabiorą jej to coś, co można nazwać świadomym życiem. A teraz okazało się, że wcale nie musiały. Wystarczyły jakieś egzorcyzmy odprawiane nie wiadomo gdzie.

– Co się w ogóle stało? – dama dworu rozejrzała się po zdemolowanej sali. Na miejscu ostał się tylko tron i kolumny. Gobeliny, o które obijały się walczące demony, były w oplakany stan, kilka płaskorzeźb miało ukruszone nosy. Posadzka ilością wyżartych przez krew Virvena dziur przypominała ser.

Ernalik, który od chwili pojawienia się demona stał jak wrośnięty w jednym miejscu, podszedł bliżej. Też wyglądał na zainteresowanego. Stojący nieopodal tronu Plaskat spojrzął pytająco na Saliankę. Skinęła dłonią w sposób, który bardzo wyraźnie oznaczał: „Nic mnie to nie obchodzi, mów, co chcesz”.

– Jej Wysokość cierpi na pewną szczególną przypadłość – powiedział powściągliwie. – Dziedziczną.

Królowna prychnęła ni to gorzko, ni to pogardliwie. Przypadłość, dobre sobie. Inne arystokratki może i miały anemie czy migreny, ona miała Wrota.

– Przypadłość? – Ernalik zmarszczył brwi. Nie spodobała mu się niejasność tego określenia.

– Wrota do piekieł ma w głowie, a nie żadną przypadłość – wyrwało się Szutelowi, który zaraz zamilkł gwałtownie, przestraszony, że może powiedział za dużo, i na wszelki wypadek schował łeb pod ramię Jali. – Mniej więcej o to chodzi – potwierdził Plaskat. Salianka wstała. Pokręciła głową, gdy chcieli jej pomóc. Wolą iść sama.

– Powiedz im resztę – rzuciła, wychodząc z sali.

Opierając się o ściany, doszła do swojej sypialni, gdzie z ulgą opadła na łóżko. Po drodze podpisała jeszcze podetkniętą jej przez Dawasza proklamację. Niezastąpiona i wiecznie obecna na właściwym miejscu niania przygotowała już zimne okłady. Po chwili drzwi

skrzypnęły i do komnaty wszedł Virven. Przebrał się i wyglądał o wiele porządniej. Po ranach nie miał już śladu. Usiadł w fotelu pod ścianą. Na kolanach położył sobie morgenstern. Na podłodze czekały jeszcze topór, maczuga i miecz zaostrzony tak, że mógłby ciąć powietrze na kawałki.

Królewna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dla Virvena potencjalne pojawienie się kolejnego demona będzie okazją do wypróbowania nowych, osobliwych dla nieczłowieka metod robienia komuś krzywdy. I że po takiej próbie słudzy nigdy nie zdołają zmyć wszystkich plam ze ścian i sufitu. Za bardzo ją wszystko bolało, żeby przeciw temu zaprotestować.

Leżała tylko z przymkniętymi oczami, od czasu do czasu zapadając w krótką drzemkę. Budziła się przy każdym dźwięku. Na przykład kiedy na zewnątrz rozległ się szum skrzydeł. Virven podniósł się z fotela, kocim skokiem znalazł się przy oknie i uniosł morgenstern.

Salianka otworzyła oczy. Na zewnątrz była już noc. Było wątpliwe, żeby do Twierdzy zawitał nietoperz-gigant albo wielka sowa. Zatem pozostawała tylko jedna możliwość.

– Zostaw. – Z trudem oparła się na poduszkach. Trochę jej się zakręciło w głowie.

Demon posłusznie, choć niechętnie opuścił broń.

– Odsuń się od okna.

Usiadł z powrotem w fotelu. Nie był zbyt zadowolony, ale nie protestował. Jego Pani z niejaką ulgą pomyślała, że przynajmniej z nim nie ma żadnych, no, prawie żadnych poważniejszych kłopotów. Robi, co mu się każe, nie narzeka, czasami tylko musi rozszarpać komuś gardło. To właściwie niewielka cena za posłuszeństwo i lojalność.

Szum skrzydeł zbliżył się i ucichł tuż za oknem. Rozgwieżdżone nocne niebo przesłaniał czyjś cień, tak rozległy, że zakrywał prawie całe okno.

– Możesz wejść – powiedziała Salianka. Choć nie było to łatwe, postarała się usiąść na łóżku tak, żeby wyglądać możliwie godnie.

Ulk zeskoczył na podłogę. Virven zmierzył go nieprzychylnym spojrzeniem. Wojownik odpowiedział mu tym samym.

– Mam nadzieję, że nie masz ze sobą żadnych demonów. – Królewna uniosła się na łokciach i rozejrzała w poszukiwaniu worka czy kufra, w którym można by kreatury tymczasowo zamknąć. – Bo dzisiaj naprawdę nie mam na nie siły.

– Nie po to tu przyszedłem – powiedział. Spojrzał z ciekawością na Virvena. Miał przed sobą kogoś, przy kim Salianka mówiła otwarcie o swoich tajemnicach, co zapewne oznaczało, że i on miał mu zaufać. Od razu zresztą rozpoznał w nim demona, choć spostrzeżenie zostawił dla siebie.

– To po co? – Królewna opadła na poduszki. Ciągle jeszcze wszystko ją bolało i nie zanosilo się na to, by ten ból szybko minął.

– Właściwie... – Ulk wyciągnął miecz. Ignorując niebezpieczny błysk w oczach demona, wykonał bronią w powietrzu kilka skomplikowanych młynków, które umożliwiły mu

przemianę w Gawarka. – To w sprawie prywatnej.

Salianka ograniczyła się do jednego jęknienia. Mogła znieść Ulka, ale Gawarek ze swoją sprawą prywatną, i to jeszcze w takiej chwili, kiedy miała za sobą bardzo zły dzień i wciąż nie odzyskała jeszcze sił... To nie był powód do radości.

– Niech on wyjdzie – zażądał księżę, zerkając z ukosa na Virvena. Nie doszedł do tych samych wniosków co Ulk, wręcz przeciwnie. Intruz go trochę denerwował. – Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy.

– Nikomu się nie podoba – przyznała królowna. – Ale on nie wyjdzie.

Gawarek zmarszczył brwi, wyrażając swoją dezaprobatę dla obecności demona i dla Salianki, która nie chciała spełnić książęcych życzeń.

– Nie wydaje mi się, by był godny zaufania. Królowna spróbowała w odpowiedzi wzruszyć ramionami, ale za bardzo ją bolały.

– Nie musi być godny zaufania – wyjaśniła opornie. – To mój faworyt.

Księżę wyglądał, jakby się lekko zadławił.

– Masz... faworyta? – wyjąkał, łapiąc się za gardło, jakby zaraz miał się udusić. – Ale to... to nieprzyzwoite!

– Jestem Czarownicą z Twierdzy. Standardy przyzwoitości mnie nie obejmują. Po to przyszedłeś? Powiedz mi, jak fatalnie zarządzam własne życie? – w jej głosie było tyle zniechęcenia i niezadowolenia, że można by nim obdzielić wszystkich ludzi w okolicy.

Gawarek spojrział na nią zdumiony. Miał już do czynienia z Salianką zdenerwowaną, zazdrosną i niezadowoloną, ale nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie. Sprawiała wrażenie, jakby na jej barki zwałił się ciężar zbyt wielki, by mogła go udźwignąć.

– Wszystko w porządku?

– Nie. – Królowna podciągnęła pierzynę, tak że wystawał jej tylko czubek nosa. Gdyby zapytał ją Ulk, może udzieliłaby mu odpowiedzi, ale z Gawarkiem nie zamierzała rozmawiać dłużej niż to konieczne. – Czego chcesz?

Księżę zerknął podejrzliwie na Virvena, który wyglądał jak posąg, kiedy tak siedział nieruchomo. Tylko oczy żarzyły się złowrogim blaskiem. Ponieważ nie było szans na pozbycie się niewygodnego świadka, pozostawało go tylko ignorować w możliwie arystokratyczny sposób.

– Ostatnio, kiedy tu byłem... kiedy Ulk tu był – poprawił się Gawarek – ostrzegłaś go. Powiedziałaś, żeby uważał na egzorcystów, i to nie dlatego, że zadaje się z Czarownicą z Twierdzy.

– Możliwe – mruknęła dyplomatycznie Salianka spod pierzyny. Nie przypuszczała, że księżę zapamiętuje wszystko, co powiedziano wielkiemu wojownikowi. Musiał to słyszeć, to jasne, w końcu sam był częścią Obrońcy Dolin, ale czy musiał też koniecznie słuchać? I to najbardziej niewygodnych fragmentów rozmowy.

– O co ci wtedy chodziło?

Królewna zastanowiła się. Relacja Ulk-Gawarek była bez wątpienia bardzo skomplikowana. Nie czuła się na siłach, żeby teraz dociekać, na czym to wszystko tak naprawdę, w szczegółach polega.

– Powiedziałeś wtedy... on powiedział, że wie o co mi chodzi – zauważyła wymijająco.

– On może wie, ale ja nie! – zdenerwował się nagle Gawarek. Ta złość musiała się pojawić w nim już wcześniej i buzować karmiona niepewnością i wątpliwościami. Teraz wylała się z niego niczym górski potok. – Mam wrażenie, jakby w mojej głowie była jakaś klapka, która otwiera się tylko dla Ulka, a nie dla mnie. Jakbyśmy byli zupełnie czymś innym, jakby on miał własny umysł, własne zdanie, a przecież tak nie jest! Przecież to ja jestem Ulkiem, tylko wygłądał trochę inaczej i nadałem sobie inne imię!

– Wracaj do domu – zasugerowała Salianka, mając nikłą nadzieję, że on jej posłucha i przynajmniej ten problem będzie miała chwilowo z głowy.

– Powiedz mi, o co chodzi! Powiedz mi, w co mnie zmieniłaś, Czarownico!

– To nie ja – zaprotestowała królewna odruchowo, urażona podejrzeniem. – To Wrota.

– Wszystko jedno! – zaciętrzewił się książę. – Chcę wiedzieć, o co chodzi!

– Nie chcesz – westchnęła Salianka. Już nie była na niego zła, zaczynała mu współczuć. Musiał się teraz czuć podobnie jak ona wcześniej. Przerażony możliwością utraty własnego ja, tym, że zagrożenie może przyjść z jego środka, nie z zewnątrz. – Naprawdę nie chcesz. Można jakoś sprawić, żeby zapomniał? – spytała cichutko Wrót.

Można, odpowiedziały.

– Virven, przytrzymaj go – rozkazała królewna.

Demon jednym susem dopadł księcia, zanim ten zdążył wyciągnąć miecz. Wykreślił mu rękę. Salianka niezgrabnie wygrzebała się z pościeli i przyklękła na skraju łóżka.

– Gotowe? – zapytała Wrót.

Spójrz mu prosto w oczy, polecily.

Królewna ujęła w dłonie twarz szarpiącego się Gawarkai zmusiła, by spojrział na nią. W jej oczy. W otwierające się Wrota. Trwało to tylko chwilę. Twarz księcia stężała, a potem powoli zaczęła zmieniać się w oblicze wielkiego wojownika. Kiedy przemiana się zakończyła, Ulk strząsnął z siebie rękę Virvena. Wrota uniosły palec Salianki do jej ust i szepnęły:

– *Ciiii...*

Ulk skinął im głową i podszedł do okna. Płomiennoskrzydły już czekał. Królewna odzyskała kontrolę nad własnym ciałem. W samą porę, bo coś jej właśnie przyszło do głowy.

– Zaczekaj – powiedziała.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił.

– Przyleciałeś powiedzieć mi, co z Bolurkiem – mówiła powoli i wyraźnie, jakby do niewidocznego słuchacza. – Ale chyba nie słuchałam uważnie. Miałam dzisiaj ciężki dzień. Mógłbyś powtórzyć?

Odwrócił się. Niebieskie oczy spojrzały na nią z sympatią. Wdzięcznością. Zrozumieniem.

– Mam go na oku – powiedział. – Niebawem oskarzę go o zdradę.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się życzliwie, chociaż trochę smutno. – Miło, że przyleciałeś tylko po to, żeby mi to powiedzieć.

Skinał jej głową i wspiął się na grzbiet Płomiennoskrzydłego.

Ty go jednak lubisz, stwierdziły Wrota.

– Tylko kiedy jest po prostu Ulkiem, demonem zamkniętym w księciu, a nie Ulkiem wielkim wojownikiem, znanym też jako Gawarek napuszony bęcwał. – Salianka otuliła się pierzyną. Wszystko ją bolało, łącznie z sercem. Uświadomiła sobie, że właściwie to strasznie jej żal wielkiego wojownika, który, jak na ironię, zdawał się być całkiem sympatycznym i praworządnym demonem, pewnie jedynym, jaki w ogóle istniał. I było jej też trochę żal księcia, który nie wiedział, po jak cienkim lodzie stąpa, ratując Doliny przed złem. Ale jego żałowała dużo, dużo mniej. W końcu sam się o to prosił.

Virven patrzył przez okno, dopóki orzeł wraz z bohaterem nie znikli mu z oczu. Potem usiadł z powrotem w fotelu. Nadal ścisnął morgenstern. Najwyraźniej nie tracił nadziei, że uda mu się go wypróbować.

Nie zawiódł się.

* * *

– Tego się nie domyje – stwierdził autorytatywnie Samps, egzaminując czujnym spojrzeniem ściany i sufit, ze szczególnym uwzględnieniem osobliwego nalotu, który je pokrywał.

Królewna pokiwała głową. Też była tego zdania. Powiedziała to, a raczej wykrzyczała Virvenowi, kiedy ten brał zamach morgensternem. Nie słuchał jej, co w zasadzie wyszło wszystkim na dobre. Gdyby zaczął się martwić o ściany, być może sam skończyłby w charakterze lepkiej mazi oblepiającej aktualnie tapety. Na dodatek mąż była żywa. Pełzała nerwowo po suficie, szukając sposobu, żeby powrócić do poprzedniej formy.

– Trzeba zeszkrobać – podsunęła apatycznie Salianka, obserwując jeden szczególnie uparty kawałek, usiłujący wspiąć się po gobelinie. – Do jakiejś skrzyni, wazy, czegoś solidnego i nietłukącego się. Czy demony w kawałkach mogą opętywać ludzi?

Virven, do którego najwyraźniej skierowane było pytanie, podniósł głowę znad stosu swojej broni. Zgromadził sobie w kącie komnaty swej Pani pokaźny arsenał. Jak dotąd demon miał okazję wypróbować tylko morgenstern. Właśnie zdecydował, że następna będzie maczuga.

– Nie – odparł po chwili głębokiego namysłu.

– To dobrze – ucieszyła się niemrawo królewna. Skoro mąż była niegroźna, to była już

tylko brudna i obrzydliwa. – Wezwijcie sprzątaczkę, te z odporniejszymi żołądkami.

W jej sypialni panował tłok. Oprócz Sampsy i Virvena byli tam wszyscy członkowie Rady, zadzierający głowy, żeby spojrzeć na sufit, niania, robiąca kolejne kompresy na posiniaczone plecy swojej kruszynki, Jala, przerażona, ale też zżerana przez ciekawość, i Szutzel, który bawił się pełzającymi kawałkami demona. Kiedy do zebranych dołączyło jeszcze troje sług ze skrobaczkami i okutym kufrem, ludzie zaczęli sobie deptać po nogach.

– Będzie mi potrzebna nowa sypialnia – stwierdziła z rezygnacją Salianka, obserwując wysiłki służących walczących z rozdrobnionym demonem.

– Świetny pomysł – poparł ją natychmiast Dawasz. – Bez okien.

Królowna skrzywiła się niepewnie. W zasadzie lubiła okna. Chociaż w tej chwili najgorsze było to, co mogło przez nie wpaść, i wcale nie chodziło o promienie słońca. Tym czymś były zmierzające do Wrót demony, które z pewnością wołałyby ją opętać, niż wracać do piekieł.

– Głęboko pod ziemią – dorzucił zachęcająco Czwarty Rady. Salianka skrzywiła się jeszcze bardziej.

– Dodatkowa straż – podsunął ochoczo Dziesiąty.

– Sieci na murach – mruknął Plaskat, zastanawiając się nad czymś ze zmarszczonymi brwiami. – Trzeba je zatrzymywać, zanim dotrą do Twierdzy.

Pozostali spojrzeli na niego z uznaniem.

– To jest myśl – stwierdził z podziwem Szósty.

– Bardzo cenna myśl – powiedział Dawasz, patrząc na królownę. Odpowiedziała mu zniechęconym spojrzeniem. Wzruszyła ramionami. Doskonale wiedziała, o co mu chodzi, ale chwilowo nie czuła się na siłach, żeby cieszyć się z tego drobnego zwycięstwa.

Sami, z własnej woli, pytają cię o zdanie, ucieszyły się Wrota w jej głowie. *Gratulacje!*

– Sądzę, że w uznaniu ogólnych zasług i nowatorskiego sposobu myślenia... – zaczął uroczystym tonem Drugi. – A także wobec pewnych... hmmm... braków...

– A przy okazji braków... – przypomniało się Saliance. – Dziesiątego też już nie mamy. Nieszczęśliwy wypadek.

Kawałek demona odpadł z plaśnięciem od sufitu. Wszyscy odsunęli się od niego jak najdalej, prawie przy tym włączając na ściany.

– Trudno. – Dawasz, próbując w sposób godny zejść z drogi płaczącej się po dywanie mazi, potrącił komodę. – Wypadki się zdarzają. Tym bardziej należy uzupełnić braki. Jestem pewien, że nasz młody przyjaciel świetnie sprawdzi się jako Piąty.

Pozostali odpowiedzieli mu ogólnym pomrukiem zgody, może lekko nieuważnym, bo skoncentrowali się na pełzającym po dywanie skrawku. Uspokoili się dopiero, gdy sługa podniósł go szufelką i wrzucił do skrzyni.

– Gratulacje – mruknęła królowna.

Ściskanie rąk też wypadło trochę powierzchownie, bo z sufitu odpadł kolejny kawałek.

– Gurlek, nasz obecny Dziesiąty, zajmie stanowisko Siódmego – ciągnął Dawasz. – A jeśli chodzi o miejsca Ósmego, Dziewiątego i Dziesiątego... – Napotkał wzrok Saliarki. Patrzyła mu prosto w oczy, a potem zerknęła na Jalę. Na jedną chwilę. Bardzo wymownie. – ...to jestem pewien, że Jej Wysokość jakoś sobie poradzi bez damy dworu – Drugi nawet się nie zająknął.

Zdezorientowana Jala podniosła głowę.

– Gratulacje, serdeczne gratulacje – Czwarty chwycił dłoń dziewczyny i potrząsnął energicznie.

– Co? – zapytała niepewnie była dama dworu.

– Nowa Ósma Rady, cóż za trafny wybór – wieszował jej Szósty.

Rozległo się plaśnięcie i młaśnięcie, gdy kolejny spadający skrawek trafił dokładnie na jego łysinę. Wybuchło drobne zamieszanie, z podskakującym i wrzeszczącym Szóstym w centrum.

Jala przysunęła się do królowny.

– Jestem teraz twoją Doradczynią? – spytała niepewnie.

– Mniej więcej. – Saliarka z zainteresowaniem obserwowała, jak służący siłą odrywają zieloną substancję od głowy Szóstego.

– Ale ja nie chcę! – zdenerwowała się kuglarka. – W bajkach i legendach nikt nigdy nie żeni się z Doradczyniami! Tylko księżniczki i damy dworu mają branie. Doradczynie mają co najwyżej... no... władzę... – mówiła coraz wolniej, jakby powoli coś do niej docierało.

– Mogę powiedzieć, że nie przeżyję bez damy dworu – zaproponowała życzliwie królowna.

– Nie! – krzyknęła szeptem Jala. – To jest, chciałam powiedzieć, nie, dziękuję. Myślę... że jakoś sobie poradzę – dodała mężnie, wypinając kształtną pierś.

Koniec wspaniałego romansu, stwierdziły filozoficznie Wrota.

– Tak myślicie? – zdziwiła się Saliarka. Zerknęła na Plaskata. Wyglądał na niezadowolonego z życia.

Za ambitni są oboje, westchnęły. A jeszcze jak ją zrobisz namiestniczką Rozstajów...

– Zrobię? – zdziwiła się ponownie królowna. Nie miała nic takiego w planach, w ogóle nie miała czasu zastanowić się nad mianowaniem nowego namiestnika. Chwilowo Rozstajami rządził dowódca jednego z oddziałów łupieżców.

A masz lepszą kandydaturę? – zapytały Wrota.

Zastanowiła się głęboko.

– No nie mam – przyznała. – Ona będzie idealna.

– Coś mówiłaś? – Jala oderwała się od obserwowania zmagania Rady i sług z zieloną mazią, która na dobre zadomowiła się na łysej głowie Szóstego.

– Nie, nic – mruknęła Saliarka. – Długo jeszcze? – zapytała głośno. – Po moim... wypadku... powinnam odpoczywać w ciszy, spokoju i z zimnymi okładami na plecach, a

przynajmniej tak mi się wydaje.

– Nie skonsultowałaś się Pani z medykiem? – zdziwił się Ernalik.

Reszta Rady, poza Szóstym, który wrywał sobie resztki włosów z głowy, i Plaskatem, który tylko westchnął ciężko, starannie wpatrywała się w czubki własnych butów.

– No właśnie – skrzywiła się z dezaprobatą królowna. – Następnym razem, zanim otrujecie medyka z zemsty za to, że was czymś nafaszerował, upewnijcie się, że mamy pod ręką zastępstwo.

– Tak jest, Pani – gorliwie pokiwali głowami.

Ernalik rzucił im wszystkim podejrzliwe spojrzenie.

– Dużo ludzi tu ginie – powiedział ostrożnie.

– Nikt przypadkiem. – Virven błysnął znad maczugi żółtawymi oczami.

– I tak jest o niebo lepiej niż... – Czwarty opamiętał się i przerwał w pół słowa.

– ...niż mogłoby być – usłużnie dokończyła za niego Salianka.

– I niech tak zostanie – oświadczył z mocą Dawasz. – Każę strażom przygotować pułapki na demony, jakieś siatki, zasieki.

– Zajmę się tym. – Plaskat przepchnął się do wyjścia.

– A tobie, Pani – ciągnął Drugi – trzeba znaleźć nową sypialnię.

– Wiem gdzie – ocknęła się nagle z zamyślenia Jala. – W składach są łóżka, a nie ma okien.

– Świetny pomysł – pochwalił ją Dawasz. – Pani...

– Już sobie idę. – Królowna spuściła nogi z łóżka. – Nianiu, dopilnuj, żeby przeniesiono stąd moje rzeczy – poleciła.

Wyszła, a za nią Virven z naręczem broni i niania z zimnymi okładami. Jala szła przodem i wskazywała drogę. Odprowadzały ich wrzaski Szóstego, któremu właśnie zeskrobywano resztki demona z czubka głowy.

* * *

– Nie po to zostałam królowną, żeby wegetować w takich warunkach – rzekła Salianka do świata jako takiego.

Nie zostałam królowną, wtrąciły Wrota, które słuchały. Od początku nią byłaś. Z urodzenia.

Salianka nie raczyła odpowiedzieć. Leżała na plecach i buntowała się w duchu. Łóżko, owszem, było wspaniałe. Ogromne. Z rzeźbionym wezgłowiem. Było jej tak wygodnie, że już prawie nie pamiętała, gdzie ma wielkie fioletowe siniaki. Problem stanowiło pomieszczenie, w którym łóżko stało, nieprzypominające w najmniejszym nawet stopniu królewskiej sypialni.

Ściany, sufit i podłoga były z szarego, nieoszlifowanego kamienia. Dzięki temu sam

widok wnętrza mógł przyprawić o klaustrofobię i depresję. Zresztą w zamierzeniu budowniczych Twierdzy miał to być loch, nie skład, a już na pewno nie sypialnia. Pomieszczenie nie miało więc okien, tylko maleńkie drzwiczki na wprost legowiska Salianki. Wydawało się nieprawdopodobne, że ktoś kiedyś dał radę przepchnąć przez nie takie wielkie łoże. Brak okien mogłyby zrekompensować łańcuchy wystające ze ścian w wielkiej obfitości, o ile ktoś lubi wystrój wewnątrz rodem z opowieści o katach.

Królowna nie lubiła.

– To nie są warunki, w jakich powinny spać królowny – warknęła.

Nie jesteś zwykłą królowną, przypomniały złośliwie Wrota. Jesteś Czarownicą z Twierdzy. Takie perwersje są dla ciebie w sam raz.

Salianka złapała poduszkę i przycisnęła sobie do twarzy.

– Próbujesz się udusić? – dobiegł ją lekko przytłumiony przez warstwę puchu i pierza głos Virvena.

Odsłoniła jedno oko. Demon przerwał zabawę z manekinem i przyglądał jej się z zainteresowaniem, prawdopodobnie licząc, że królowna zrobi coś typowo ludzkiego i tym samym zabawnego dla istot z piekieł, na przykład powiesi się na jednym z łańcuchów.

– Pomóc? – zapytał złośliwie. Nie zadał sobie trudu, by uchylić się przed poduszką, którą zamierzyła się Salianka, i dostał nią w twarz.

– Chociaż ty mnie przestań denerwować – zażądała królowna, siadając na łóżku. – Wykończyłeś mi już dwóch członków Rady, więc może zamiast pogłębiać złe wrażenie, postarałbyś się wyrzucić dobre?! Wzruszył ramionami.

– Po co?

Saliance opadły ręce. Właściwie to miał rację, nie po to był, żeby robić na kimkolwiek dobre wrażenie, już raczej na odwrót. Ale ona miała wszystkiego tak bardzo dość, że taki drobiazg jak logika umykał jej uwadze. Wydawało jej się, że od chwili, gdy pierwszy raz opuściła Twierdzę, jej wszystkie marzenia, wszystko, co myślała o świecie, wali się niczym domek z kart. Nie chciała już stąd odchodzić, nieważne, czy sama czy w ramionach jakiegoś rycerza. W ogóle nie chciała już żadnego rycerza. On był jednym z życzeń nieśmiałej, wiecznie zastraszonej dziewczyny, którą królowna już nie była. Teraz stała się prawdziwą Pierwszą, i to też okazało się nie być wcale takie proste. Bycie okrutną, krościastą wiedźmą też nie wychodziło jej najlepiej. Niezależnie od tego, czy była przerażoną dziewczeczką czy Czarownicą z Twierdzy, gubiła gdzieś tę prawdziwą Saliankę. I nawet nie miała czasu jej odnaleźć, wciąż pochłonięta zdobywaniem władzy, podbijaniem sąsiednich krain, rządzeniem Twierdzą i demonami, tym wszystkim, co nagle zaczęło toczyć się wokół niej.

– Nie mam już do was wszystkich siły – poskarżyła się. – Ty wykańczasz moich ludzi, i to w najbrudniejszy możliwy sposób, Jala i Plaskat lada dzień zaczną się nienawidzić tak mocno, jak się dotąd kochali. Nie dość, że Ulk mi się tu pcha tak często, że w końcu ktoś go zauważy, to jeszcze dzisiaj Gawarek... I do tego wszystkiego egzorcysty i te demony!

Rada zaczęła cię szanować, przypomniały Wrota.

– Co mi po tym, jeśli zewsząd zaczną przylatywać tu demony i w końcu skończą tak jak mój ojciec?! Albo spędzę resztę życia, ukrywając się w piwnicach! To ma być życie?

Virven odłożył maczugę i usiadł naprzeciw niej. Przez jedną króciutką chwilę bardziej przypominał człowieka niż krwiożerczego demona.

– Nie martw się – powiedział pocieszająco. Królowna spojrzała na niego zaskoczona. Ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewała po demonie, to słowa otuchy. – To najwyżej parę tygodni, póki łupieżcy nie wytluką wszystkich egzorcystów.

– Musi być ze mną naprawdę źle, skoro nawet ty mnie pocieszasz – stwierdziła trzeźwo Salianka. Nie przypominała sobie, żeby demony jako takie kiedykolwiek prezentowały coś, co z braku lepszego słowa można nazwać życzliwością.

– Nigdy nie jest tak, że nie może być lepiej – orzekł stanowczo Virven. – Spójrz na mnie: setki lat w piekle, a teraz wreszcie mogę żyć wśród ludzi.

– Mordować ludzi – sprostowała delikatnie królowna.

– Na jedno wychodzi – wzruszył lekceważąco ramionami.

– Chyba tak – zgodziła się. O wiele pewniej poczuła się, gdy demon znowu zaczął przypominać siebie. W tym swoim niby-ludzkim wcieleniu był kimś, z kim chyba nie potrafiłaby sobie poradzić. – Kiedyś sądziłam, że aby pozostać sobą, muszę tylko unikać piorunów. Teraz okazuje się, że będę musiała kazać wymordować całe zgromadzenie! Ile ich może być, setka?

Virven zastanowił się głęboko.

– Może nawet więcej – przyznał.

– Więc muszę kazać wybić ponad stu ludzi... Teraz dopiero zrobię się wredna... – westchnęła. – Ale sęk w tym, że warto. – Opadła z powrotem na poduszki i wbiła wzrok w kamienny sufit. Tylko pozbycie się egzorcystów powstrzyma ich przed wyganianiem demonów do Wrót. Wtedy nie będzie musiała się ich tak bardzo obawiać, wyjdzie wreszcie z piwnicy i zacznie normalnie żyć. A przynajmniej spróbuje normalnie żyć. – Naprawdę warto.

* * *

Dawasz zapukał na tyle delikatnie, żeby okazać szacunek, i na tyle mocno, żeby uprzedzić o swoim przybyciu i nie zostać zdekapitowanym przez czuwającego pod drzwiami Virvena. Kilku mniej ostrożnych służących spotkał już ten los. Zgodnie uznano, że nie ma co o tym wspominać Jej Wysokości, zwłaszcza że zaraz zarzuciłaby im wszystkim niechlujstwo.

Drzwi prowadzące do lochu uchyliły się odrobinę i pojawiła się w nich twarz demona. Obok niej błyskało ostrze miecza.

– To tylko ja – powiedział nader uprzejmie Drugi. – Żadnych podstępnych demonów. Mógłbyś... hmm... to zabrać?

Virven spojrzął na miecz, jakby dopiero go zauważył, przestał celować czubkiem ostrza w gardło Dawasza i cofnął się o krok. Można by zaryzykować stwierdzenie, że zrobił to z żalem.

Chodząca w tę i z powrotem po lochu Salianka zatrzymała się i popatrzyła nieprzychylnie na Drugiego. Przez chwilę miażdżyła go wzrokiem, po czym podjęła marsz od ściany do kraty. Jeszcze kilka stuleci w lochu i miała szansę wydeptać ścieżkę w kamieniu.

– Źle mi tutaj – rzuciła, mijając go. – Duszę się, nie mogę spać! Do tego nie mam co robić! Nudzę się! Potrzebuję okien! Czego się gapisz i nic nie mówisz? – wybuchła, gdy nie doczekała się odpowiedzi na swoje narzekanie. Zupełnie umknęło jej uwagi, że nie dała Drugiemu szansy, żeby mógł wtrącić choć słowo.

– Dwa kolejne, Pani. – Dawasz skłonił głowę.

Nagle zainteresowany Virven podszedł bliżej. Nadlatujące demony budziły w nim nadzieję, że wreszcie któryś przedostanie się do podziemi, a wtedy on będzie mógł na tym stworze wypróbować maczugę. Albo miecz.

– Dwa? – upewniła się królowna. Dotąd przybywały pojedynczo. Skoro teraz pojawiały się aż dwa naraz, mogło to oznaczać, że egzorcyści energicznie wzięli się za plenie zła.

– Niestety, Pani. Straże schwytały je jeszcze na murach... dzięki przemyślnym układom siatek, które zaprojektował nasz nowy Piąty.

– Miło, że się stara – pochwaliła odruchowo Salianka. – Co zrobiliście z demonami?

– Zamknięte w skrzyniach, które zamknęliśmy w innych skrzyniach, które zamknęliśmy w lochach, których pilnują strażę. Nie muszę dodawać, że chcielibyśmy się ich pozbyć najszybciej jak to możliwe... – zawiesił głos. Chociaż nie okazywał tego, jemu, tak jak i reszcie Rady, nie uśmiechało się życie w pobliżu stworów z piekieł.

Nie dzisiaj, powiedziały w umyśle Salianki Wrota.

– Nie dzisiaj – mruknęła królowna. – Miejmy nadzieję, że jutro. – Ciągle nie mogła zdecydować się, co gorsze: demony latające sobie po świecie i planujące ją opętać czy demony przechodzące przez nią w drodze do piekieł. – Masz może jakieś lepsze wieści? – zainteresowała się z nadzieją.

– Zakończyliśmy przenoszenie do składów sali tronowej – poinformował Dawasz. Widać było, że jest z siebie bardzo zadowolony.

– A po co nam sala tronowa w podziemiach? – zdziwiła się Salianka. Nie planowała mieszkać pod Twierdzą na tyle długo, żeby zaszła konieczność organizowania jakichś ceremonii.

– Ponieważ w tych okolicznościach, Pani, byłoby raczej niewskazane, byś je opuszczała – wyjaśnił cierpliwie, składając dłonie w pełnym godności geście. – A na wieczór przewidziane są audyencje dla naszego przyszłego Dziewiątego i dla naszego przyszłego Dziesiątego.

Rada po długotrwałej kłótni zdecydowała się zapełnić dwa wolne miejsca. Głównie dlatego, że prawie każdy miał nadzieję, że następny nieszczęśliwy wypadek, jaki się

niewątpliwie zdarzy, zdarzy się któremuś z dwóch nowych.

– Nie zdziwią się, że przyjmuję ich w lochach? – zapytała kąśliwie Salianka.

– Jesteś, Pani, Czarownicą z Twierdzy. – Drugi skłonił się lekko. Nie udało mu się ukryć pełnego satysfakcji uśmiechu. Chociaż raz to Rada, a nie królowna, usprawiedliwiała swoje poczynania tym frazesem. – Takie rzeczy pasują do ciebie.

– No rzeczywiście, jak mogłam zapomnieć. – Królowna teatralnym gestem walnęła się otwartą dłonią w czoło. Dawasz skrzywił się z dezaprobatą, ale nic nie powiedział. Ukłonił się tylko i zaczął wycofywać, uważając, by nie skaleczyć się o miecz Virvena.

– Zrób coś dla mnie – rzuciła Salianka, gdy Drugi stał już w drzwiach. – Niech w nowej sali tronowej zawieszą na ścianie moją mapę. I niech mi tam ktoś przyniesie kawałek węgla.

Dwaj możni uprzejmie wezwani do Twierdzy reprezentowali dwa zupełnie różne, nawet antagonistyczne typy. Sirparak pochodził z okolic Wzgórz, gdzie ceniono siłę i wytrzymałość, a ludzie nosili na sobie dużo żelaza i skór. Talok urodził się na wschodzie, dalej, niż sięgały granice Ujścia i Nadrzecza. Nauczono go tam, czym jest spryt, planowanie i że moc niekoniecznie płynie z pięści. Łączyło ich tylko to, że w pewnej chwili zdecydowali się powiązać swoje losy z Twierdzą w nadziei odniesienia możliwie dużych korzyści. Teraz, kiedy już znaleźli się w siedzibie zła wszelkiego, myśl o przyszłych bogactwach zbladła zastąpiona przez niepokój.

Dziedzińce, przez które przejeżdżali, były pełne straży i łupieżców. Większość uzbrojona była w kusze, piki i dodatkowo w sieci. Wzmocnione łańcuchami sieci powieszono też na murach, co sprawiało, że budowla przypominała gigantyczne sidła na wielkie i niebezpieczne stworzenia. W takiej scenerii nawet najodporniejszy wojak zaczynał czuć się nieswojo.

Kilku gwardzistów o czujnym spojrzeniu zaprowadziło gości nie do komnat, jak się spodziewali, ale wąskimi schodkami w dół, co przyprawiło obu władcy o gęsią skórę. Zwłaszcza kiedy otworzono przed nimi ogromne żelazne drzwi. Przy dźwięku skrzypienia zawiasów wprowadzono ich do ogromnej komnaty, która przypominała loch przerobiony na salę tronową. Ktoś, najwyraźniej pełen dobrych chęci, powiesił nawet na zwieszających się ze ścian łańcuchach gobeliny przedstawiające dzieje Twierdzy.

Oprócz gobelinów w sali był tron, podłużny stół, przy którym stało dziewięć krzeseł, i dodatkowo ustawiony pod ścianą fotel. Meble, chociaż solidne i dość okazałych rozmiarów, mały, a nawet wręcz niknęły w wielkim pomieszczeniu. Kamienny sufit i naga podłoga zdawały się zbliżać ku sobie, jakby chciały zmiażdżyć każdego przebywającego pomiędzy nimi. Całość robiła wrażenie, dla którego „ponure” było najbardziej łagodnym określeniem, a „przytłaczające” zaledwie eufemizmem.

Na jednej z szarych ścian, pomiędzy gobelinami obrazującymi jakieś wspaniałe, mocno krwawe walki, umocowano ogromną mapę. Przy niej, na chwiejnym rusztowaniu z kilku ustawionych na sobie skrzyń, stała młoda kobieta i z zapalem zamalowywała węglem na czarno obszar, który mniej więcej odpowiadał aktualnym granicom terenów Twierdzy.

Chyboczące się niebezpiecznie skrzynie podtrzymywał ponury mężczyzna w czarnym ubraniu.

– Skończyłam – oznajmiła kobieta z nieukrywaną satysfakcją w głosie.

Mężczyzna zdjął ją z rusztowania i postawił na podłodze. Dopiero wtedy dziewczyna zauważyła, że w komnacie jest ktoś jeszcze. Nie wyglądała na zachwyconą, chociaż zaraz się opanowała, przywołując na twarz wyraz spokojnej obojętności.

– Idźcie sobie – odprawiła gestem strażę. Gwardziści wycofali się, gnąc karki w głębokim ukłonie.

Kobieta przyglądała ciemną, prostą suknię, strzepnęła z niej kilka niewidocznych paprochów i powolnym, dostojnym krokiem podszła do tronu. Usiadła na nim. Wyglądało na to, że w ostatniej chwili sobie przypomniała, że ma siedzieć w możliwie godny sposób, bo nagle wyprostowała się jak struna, zadzierając możliwe wysoko podbródek. Kiedy już upodobniła się ze wszech miar do posągu, poruszyła lekko głowę, żeby rozejrzeć się po sali. Oględziny nie wypadły zadowolająco, na jedną chwilę usta kobiety wykrzywiły się z dezaprobatą.

– Znajdź go i przyprowadź – rzuciła sucho do mężczyzny w czerni.

Posłusznie wyszedł, mijając po drodze nowo przybyłych. Mieli okazję przyjrzeć się z bliska jego twarzy. Obaj też natychmiast pomyśleli o bardzo wściekłym i bardzo drapieżnym wilku. Trochę chyba dlatego, że czarno odziany mężczyzna uniósł lekko górną wargę, obnażając zęby w sposób nawet jeśli nie obelżywy, to z pewnością groźny. Wyglądał, jakby ostatkiem sił stłumił ostrzegawcze warknięcie. Talok i Sirparak z trudem powstrzymali się, żeby nie postąpić o krok w tył. W ponuraku było coś, co zachęcało do jak najszybszego zejścia mu z drogi i oddalenia się jak najdalej, póki jeszcze była szansa, żeby uczynić to w jednym kawałku. Nie uspokoili się nawet wtedy, gdy za tamtym zamknęły się drzwi. Robił wrażenie takiego, którego należy się bać niezależnie od tego, ile żelaznych sztab i kamiennych ścian dzieli go od człowieka.

W sali zostały tylko trzy osoby. Do dwóch możliwych powoli docierało, że ciemnowłosa kobieta wydaje rozkazy ludziom z Twierdzy, siedzi do tego na tronie, więc musi być legendarną Czarownicą. Nie przypominała ani trochę obrazu straszliwej wiedźmy, jaki odmalowano w bajaniach, ale w końcu każdy wiedział, że prosty lud ma skłonności do przesady. Pani Twierdzy patrzyła teraz na nich w milczeniu, nie zdradzając nawet jednym grymasem, o czym myśli.

A myślała o Dawasz, i to nie najlepiej myślała, bo Drugi powinien trwać u jej boku, a po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią (czyli od jakichś trzech lat), nawalił.

Salianka była zmuszona przyznać przed samą sobą, że nie ma najmniejszego pojęcia, jak powinna przebiegać audiencja. Zwykle po prostu siedziała na tronie, a Dawasz mówił za nią. Teraz, kiedy mogła mówić sama, jakoś jej to nie wychodziło. Więc tylko obserwowała.

Po jednym z przyszłych członków Rady było widać, że dopiero co wrócił z jakiejś

barbarzyńskiej wyprawy. Miał na sobie więcej żelaza i skór, niż normalny człowiek byłby w stanie unieść, i brodę przypominającą leśny gąszcz, w którym zwierzątka i wędrowcy przepadają bez śladu. Drugi wydawał się przy nim niski, chociaż wcale nie był ułomkiem. Miał śniadą skórę, ciemne włosy i ciemne, inteligentne oczy. Ubrany był elegancko, chociaż raczej praktycznie niż modnie. I to właśnie on podszedł do tronu.

– Pani... – kłonił się z uśmiechem, jakby taka sytuacja była najzwyczajszą pod słońcem, a on sam był wręcz zachwycony miejscem i okolicznościami, w jakich się znalazł.

– Panie... – z braku lepszych pomysłów królowna skinęła mu głową. Nie miała doświadczenia w postępowaniu z miłymi ludźmi. Budzili jej podejrzenia.

Brodaty troglodyta sapnął gniewnie. Nie spodobało mu się, że wyelegantowany fircyk wyprzedził go w oddawaniu honorów. Postąpił krok naprzód i też się skłonił.

– Pani... – kolejne sapnięcie.

Salianka uśmiechnęła się w założeniu łaskawie, chociaż trochę krzywo. Brodacz wyglądał na tępaka i zastanawiała się, dlaczego Dawasz wybrał go na przyszłego członka Rady. Niewątpliwie półgłówkiem łatwo było manipulować, ale Drugi był zbyt inteligentny, żeby zadowolić się tylko tym. Barbarzyńca musiał mieć jakieś ukryte atuty, bo na ukryte zalety raczej nie było w jego przypadku co liczyć.

Ponownie zapadła cisza.

Królowna zajęła się liczeniem łańcuchów zwisających ze ścian, planując przy okazji założenie dzwonka. Właściwie to wielkiego dzwonu, takiego, że kiedy pociągnęłaby za sznur, to cała Twierdza wiedziałaby, że ktoś ma ruszyć zad i zejść na dół, do swojej egzystującej w podziemiach Pani. Pierwszy raz została sama ze sprawami wagi państwowej i miała pustkę w głowie. A nie powinna. W końcu chciała być prawdziwą Panią Twierdzy!

Przyszli członkowie Rady nie byli na szczęście kłopotliwymi gośćmi. Barbarzyńca stał jak posąg, z wyrazem doskonałej bezmyślności na twarzy. Gdyby zabłąkana mucha usiadła mu teraz na nosie, pewnie nawet by jej nie zauważył. Za to Talok przejawiał niejaką ciekawość. Rozglądał się po pomieszczeniu, studiując uważnie każdy z gobelinów. Nie różniły się od siebie specjalnie, na każdym dominował kolor czerwony. Aż dziwne było, że przodkowie Salianki nie utonęli w takim morzu krwi. Poza gobelinami niewiele było w sali do oglądania, chyba że ktoś chciał popodziwiać chropowate kamienie.

– Jeśli wolno mi zauważyć – powiedział Talok, kiedy już obejrzał sobie wszystkie ozdobniki – to dość nietypowe miejsce na salę tronową.

– Na górze trwa remont – mruknęła królowna.

Żelazne drzwi uchyliły się odrobinę ze straszliwym zgrzytem i do komnaty wtargnęła jak zwykle uśmiechnięta niania. W dłoniach trzymała drewnianą skrzyneczkę. Nie zwracając uwagi na mężczyznę, podeszła prosto do tronu, wyciągnęła ze skrzynki koronę i wetknęła ją Saliance na głowę.

– Dziękuję, nianiu. – Królowna usiłowała się uchylić, gdy starowinka jeszcze poprawiała

jej włosy i strzepywała niewidoczne pyłki z rękawów. Jednak niania nie ustąpiła i dopiero po dokonaniu wszelkich jej zdaniem niezbędnych czynności wyszła.

Salianka jęknęła w duchu. To by było na tyle, jeśli chodzi o autorytet. Pojawienie się niani najwyraźniej zszokowało przyszłych członków Rady. Mało kto spodziewałby się, że dorosła kobieta ma jeszcze piastunkę, i to traktującą swoją podopieczną jak małe dziecko. A jeśli jeszcze ta kobieta była straszliwą Panią Twierdzy... Królowna postarała się zachować kamienny wyraz twarzy i odważyła się spojrzeć na mężczyzn. Sirparak gapił się na nią wytrzeszczonymi ślepiami. Zdawał się być kompletnie otumaniony. Dobrze przynajmniej, że nie wybuchnął grubiańskim śmiechem. Ale w oczach Taloka, co ją zaskoczyło, dostrzegła sympatię, pełną rozbawienia, ale jednak sympatię.

– Ani słowa o tym, że to nie pasuje do Czarownicy z Twierdzy – zaproponowała impulsywnie, mrugając do niego porozumiewawczo.

Skłonił głowę, a kiedy ją podnosił, zauważyła, że uśmiecha się do niej. Ku swojemu zdziwieniu też się uśmiechnęła.

Chyba cię lubi, stwierdziły zdumione Wrota. *Wie, że jesteś Czarownicą, a mimo to chyba cię lubi.*

Salianka nie zdążyła im odpowiedzieć, bo żelazne drzwi zgrzytnęły ponownie. Do lochu wszedł pospiesznie wyraźnie podenerwowany Dawasz, a za nim wślizgnął się Virven.

– Wybacz, Pani – Drugi ukłonił się naprawdę nisko. Jego zaciśnięte aż do bólu pięści nie wróżyły niczego dobrego. – Nadleciały... kolejne...

– Ile tym razem? – zapytała królowna.

– Trzy.

Salianka westchnęła. Nadlatywało ich coraz więcej. Egzorcyści nie próżnowali, mało ich też obchodziły jej rozkazy i proklamacje. Łupieżcy wysyłani poza Twierdzę przetrzebiali ich szeregi, ale niszczyciele zła byli jak karaluchy: zabij jednego, dwaj następni przyleżą oplakiwać kolegę.

– Virven, zamknij te drzwi – poleciła. – I pilnuj ich.

Demonowi wyraźnie spodobało się to polecenie, oparł się nonszalancko o ścianę, ściskając mocniej ogromny miecz. Gdyby jakikolwiek stwór spróbował wejść bez pukania, zostałby posiekany na setki małych kawałeczków. Królowna wzięła głęboki oddech. O swojej sytuacji mogła pomyśleć później, teraz czekały obowiązki.

– Możemy kontynuować. – Spojrzała z naciskiem na Dawasza. To on wiedział, co mówić.

– Tak, oczywiście. – Drugi stanął obok tronu, wyprostował się i wyprężył dumnie wątlą pierś. – W imieniu Jej Wysokości i całej Rady chciałbym was powitać w murach Twierdzy. – Nastąpiła krótka wymiana ukłonów. – Doceniając wasze zasługi dla Twierdzy, wasze męstwo i potęgę – ciągnął uroczyście Dawasz – zadecydowaliśmy o przyznaniu wam zaszczytnych miejsc w Radzie.

Chwila milczenia zaczęła się kłopotliwie wydłużać, kiedy obaj możnowładcy zastanawiali się gorączkowo, skąd nagle w Radzie dwa wolne miejsca i czy ten zaszczyt na pewno jest zaszczytem.

Niezręczną ciszę przerwał zgrzyt popychanych z wysiłkiem drzwi. Virven wyciągnął miecz i z wilczym uśmiechem na twarzy uniósł go w górę. Dwaj przyszli członkowie Rady patrzyli na niego jak zahipnotyzowani. Demon wyglądał jak szalony eksperymentator (zakładając, że szaleni eksperymentatorzy byłiby wysokimi, przystojnymi mężczyznami w czerni), który z dziecinną radością przeprowadza kolejną próbę, zupełnie nie zwracając uwagi na kwestię ewentualnych ofiar.

– Może chociaż byś sprawdził, kto to! – warknęła Salianka, której eksperymenty Virvena przypomniały o szczątkach poprzedniego Dziewiątego. Demon posłusznie sprawdził, kto idzie. Na jego twarzy pojawił się wyraz zawodu, kiedy chował miecz i pomagał Plaskatowi otworzyć ciężkie drzwi.

– Pani – nowy Piąty, mocno zdyszany, skłonił się przed królową – obawiam się, że straciliśmy Szóstego.

Salianka spojrzała na Virvena. Dawasz, który miał swoje podejrzenia na temat faworyta swojej Pani, też spojrzał na Virvena. Sirparak i Talok, chociaż nie rozumieli, co się dzieje, też spojrzeli na Virvena. Demon poczuł na sobie skumulowane spojrzenia i wzdrygnął się, jakby je z siebie strząsał.

– Tym razem to nie ja – oznajmił kategorycznie i wrócił na swoje stanowisko przy drzwiach.

– Tym razem to nie on – przyświadczył Plaskat. Już zaczął odzyskiwać oddech.

– A kto? – zapytała niechętnie królowa. Skoro to nie Virven wykończył Szóstego, oznaczało to, że mają na głowie jeszcze jednego zabójcę. Jakby mało było kłopotów.

– Nikt... to jest, chciałem powiedzieć, Szósty jeszcze żyje.

– To niech powie, kto mu to zrobił – zagrmiał Dawasz, kipiąc z oburzenia. O ile jeszcze wykańczanie członków Rady na polecenie Salianki mógł zrozumieć, w końcu to była irytująca i przestarzała, ale wciąż tradycja Twierdzy, to włączanie się w sprawę osób trzecich było absolutnie niedopuszczalne.

– Wiemy, kto mu to zrobił – wyjaśnił cierpliwie Piąty.

– W takim razie na szafot z nim! – zażądał gwałtownie Drugi, wymachując złowrogo pięścią.

– Nie da się – westchnął ciężko Plaskat. Też nie był zadowolony. – Chyba że znacie jakiś sposób na zabicie demona.

– Nie ma sposobu – wtrącił spod drzwi Virven. – Ale mogę go poszatkować na plasterki – zaproponował z podejrzaną usługowością.

– Zamknij się – rzuciła Salianka. Nie miała teraz głowy do morderczych instynktów swojego faworyta. – Opętało go?

– Niezupełnie – rozległ się zachrypnięty głos spod drzwi. Czwarty właśnie przeciskał się przez szparę. – To ten kawałek, który spadł mu na głowę. Nie udało się go zeskrobać całego. Trochę wsiąkł.

– I?

– I Szósty zwariował. Nic już z niego nie będzie...

Drzwi zaskrzypiały potępieńczo i do sali zaczęli wchodzić pozostali członkowie Rady. Cichutko zajmowali swoje miejsca przy stole, zerkając na królową. W końcu to była jej Twierdza, jej Rada i jeśli ktoś musiał podejmować decyzje w trudnych chwilach, to najwyższy czas, żeby ona to zaczęła wreszcie robić, zamiast zwałać całą robotę na swoje wierne sługi!

– Trudno – westchnęła Salianka, wcale niezmartwiona. Nie przepadała za Szóstym. – Wykluczam go z Rady, a co do reszty, to może zaczniecie nosić jakieś hełmy albo co?

Dawasz chrząknął znacząco. Królowa spojrzała na niego zdziwiona, ale zaraz sobie przypomniała, po co tu przyszła.

– A, i jeszcze – powiedziała. – To jest nasz nowy Szósty – wskazała na Taloka – a to nasz nowy Dziewiąty – wskazała na Sirparaka. Przyszło jej do głowy, że właściwie pomija taki drobiazg, jak zapytanie nowych członków Rady o zdanie. Ale cóż, sami byli sobie winni. Nie warto było igrać z Twierdzą. Zanim się człowiek obejrzał, kończyło się to tym, że Twierdza igrała z nim.

– Ciągłe nam brakuje Dziesiątego – zauważył Czwarty, zerkając wymownie na puste krzesło.

– Praktyczniej byłoby poczekać z jego szukaniem, na wypadek gdyby, no wiecie, zdarzył się kolejny... wypadek – zasugerowała Jala.

Przez chwilę wszyscy milczeli, po czym gwałtownie zaczęli rozmawiać ze sobą, między innymi o pogodzie. Loch wypełnił bezładny i kipiący sztuczną radością szczebiot mający zatrzeć słowa wypowiedziane nieopatrznie przez Ósmą.

Stojący trochę z boku Ernalik przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami Talokowi.

– Czy ja cię przypadkiem nie widziałem w Rozstajach? Mam wrażenie, że kręciłeś się po dworze, akurat kiedy porwano mojego sekretarza.

Nowy Szósty zmierzył Trzeciego uważnym spojrzeniem.

– To trochę zaskakujące widzieć tu namiestnika Rozstajów – stwierdził, skłaniając uprzejmie głowę.

Ernalik wzruszył ramionami. Wcześniej czy później musiało się zdarzyć, że ktoś wypomni mu tę zmianę stron. Pozostało przyjąć to z filozoficznym spokojem.

– Niezbadane są wyroki losu.

Przy końcu stołu Sirparak trącił łokciem Gurlka.

– Ten szczerzący zęby to kto? – wysapał, zerkając podejrzliwie na Virvena, który właśnie z nudów wyginał ostrze miecza.

– Faworyt Jej Wysokości – wyjaśnił Siódmy, któremu od tego trącenia prawie dech zaparło.

Sirparak zmarszczył brwi. W okolicach Wzgórz nikt nie tracił czasu na eufemizmy i niektóre rzeczy nazywano po imieniu. Oznaczało to brak zrozumienia dla bardziej wyrafinowanych sformułowań.

– Fawo-co? – zapytał nowy Dziewiąty na cały głos. – Co taki ktoś robi?

Salianka oderwała się od rozmowy z Dawaszem, który właśnie opisywał jej rozmieszczenie pułapek na demony. Królowna, chociaż siedziała w podziemiach, życzyła sobie wiedzieć, co się dzieje na górze. Żeby, jak to określiła, być na bieżąco.

– W tym akurat przypadku głównie morduje ludzi – wytłumaczyła spokojnie. – Niech im ktoś wyjaśni podstawy – poleciła.

Pozostali członkowie Rady entuzjastycznie podeszli do jej polecenia. Żaden nie zamierzał przepuścić okazji uchodzenia za eksperta i dawania nowym licznym wskazówek, które zapewnią im przetrwanie, przynajmniej w teorii.

– Lepiej się nie wychylać – powiedział życzliwie Czwarty. – Wypadki chodzą po ludziach.

– Często? – zainteresował się Talok. Kwestia wypadków była nader zajmująca. W końcu na własne oczy widział, że Rada ma jeszcze jednego zupełnie nowego członka, z Rozstajów, a przy stole wciąż pozostawało wolne miejsce.

– Nie tak często jak za panowania jej ojca, ale ostatnio częściej – westchnął Siódmy. – Przez prawie trzy lata był spokój, a potem nagle...

– Nagle co? – podchwycił Ernalik. Miał już trochę dość aluzji, którymi wszyscy opisywali to, co się działo ostatnio w Twierdzy. Nikt nie chciał wprost wyjaśnić, co się zmieniło i dlaczego na gorsze.

– Policzcie sobie – zaproponował Gurlek, cmokając z z troskaniem. – Z poprzedniego składu Rady zostało nas dwóch i Dawasz. Jak dotąd straciliśmy siedmiu.

– Dwóch przeżyło – dodał uczciwie Czwarty.

– I co się z nimi teraz dzieje?

– Byłego Szóstego zamknęliśmy w jednej z cel. Jest szalony – wyjaśnił sucho Plaskat. – A były Piąty pęta się gdzieś po zamku ze szmatą. Szoruje posadzki.

Na twarzy Sirparaka pojawił się wyraz zgrozy. Nie wiadomo, co przeraziło go bardziej: możliwość zostania opętanym czy oddelegowanym do mycia podłóg.

– Nie jest tak źle – Gurlek machnął lekceważąco ręką. – Trzeba tylko przestrzegać kilku zasad. Po pierwsze, nie denerwować królowny.

– Trzymać się z daleka, kiedy królowna się denerwuje – dodał Czwarty tonem człowieka wyjątkowo doświadczonego.

– Nie brudzić posadzek – uzupełnił Plaskat, zerkając złośliwie na Czwartego i Siódmego. Tym dwóm nadal zdarzało się zapomnieć wytrzeć buty i musieli po sobie sprzątać.

– Wiernie i lojalnie służyć swojej Pani – dorzuciła z naciskiem Jala. Wydawało jej się, że wymieniając panujące w Twierdzy zasady, zapominali o najważniejszym.

– Eee... no tak – zgodził się skwapliwie Siódmy. – Rzecz jasna.

Jala spojrzała na niego podejrzliwie.

– Przydałoby się, żebyście o tym pamiętali – zasugerowała.

– Mnie, mnie nazywasz zdrajcą?! – Gurlek poderwał się na równe nogi, tak że aż przewrócił krzesło. Nie podobało mu się, że kwestionowano jego lojalność, zwłaszcza wtedy, gdy tuż obok krwiożerczy faworyt królowny związał miecz w harmonijkę.

– Jala, nie czepiaj się go – powiedział z niechęcią Plaskat.

– Ja się go nie czepiam! – zdenerwowała się Jala, bardziej niż zarzutem przejęta tonem, jakim mówił do niej ukochany. – Ja tylko mówię, jak powinno być, a że on wszystko bierze do siebie...

Minutę później kłócili się już wszyscy poza Virvenem, który z zachwytem obserwował widowisko, i Salianką.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wspaniałe, płomienny romans, powiedziały fatalistycznym tonem Wrota. I to jeszcze zanim zrobiłaś ja namiestniczką.

– Szkoda – mruknęła królowna, spoglądając z zalem na krzyczących na siebie Plaskata i Jale. Szczerze mówiąc, wbrew zdrowemu rozsądkowi i własnej opinii o świecie miała nadzieję, że wszystko skończy się jak w bajce. Ale jak dotąd żadna bajka nie działa się w Twierdzy.

Bywa, stwierdziły Wrota. Fortuna kołem się toczy.

– A życie jest podle, złośliwe i niesprawiedliwe – dokończyła Salianka. Nie chciała dłużej patrzeć, jak wygasa płomienne uczucie, więc wstała i wyszła. Virven, oglądając się za siebie na wypadek, gdyby doradcy zaczęli się spektakularnie okładać pięściami, podążył za nią.

Jedynym, który zwrócił uwagę na wyjście królowny, był Talok, od jakiegoś czasu obserwujący ją uważnie. Wiele rzeczy słyszał o Czarownicy z Twierdzy, ale teraz musiał przyznać, że większość z tego, co ludzie gadali, była nieprawdą. Jednak najbardziej zaskoczył go wyraz smutku w jej oczach, gdy patrzyła na kłójącą się Radę.

* * *

Rozwieszona nad mniejszym dziedzińcem siatka ugiwała się, za każdym razem omal nie pękając. Spleciono ją z łańcuchów, bo sznury nie byłyby w stanie zatrzymać demonów, coraz częściej nadlatujących do Twierdzy.

Ten, który właśnie próbował się przedrzeć, był ogromny. Cztery odnóża, każde wyposażone w trzy stawy, szarpały łańcuchy, na szczęście jak dotąd bezskutecznie. Na murach zebrali się strażnicy. Mieli już kilkanaście dni doświadczenia w radzeniu sobie z nadlatującymi potworami. Początkowo paraliżował ich strach, teraz już zaczęli

przyzwyczajając się do swoich nowych obowiązków. Zwłaszcza że ich Pani powiedziała podobno, że nawet ten głupek Ulk radzi sobie z demonami, a jej łupieżcy nie są przecież od niego gorsi. Te słowa podziwianej władczyni wlały męstwo w łupieżcze serca. Zresztą, jak się okazało, demony nie były już takie straszne, zwłaszcza gdy stawało przeciw nim kilkunastu mężczyzn poinstruowanych, jak działać, przez Piątego Rady i faworyta królowej. Ten ostatni zresztą najbardziej zasłużył się w powstrzymaniu stworów. Mówiono, że sam jeden, uzbrojony tylko w maczugę, rzucał się im naprzeciw i do tego jeszcze się śmiał zadowolony. Łupieżcy byli dumni z takiego dowódcy i tym bardziej chcieli służyć godnie jemu, swojej Pani i Twierdzy.

Pojmanie ogromnego demona nie było niewykonalne. Strażnicy przynieśli obciążone hakami łańcuchy i zarzucili je na grzbiet szarpiącego się stwora. Spętali i powlekli go w stronę pomieszczeń, gdzie paskudztwa trzymano.

Z samego dołu dziedzińca obserwowała wszystko ukryta za kolumną Salianka. Zadzieriała głowę, żeby dojrzeć to, co rozgrywało się na tle nieba. Nie powinna była opuszczać podziemi, wiedziała o tym, ale bardzo chciała zaczerpnąć świeżego powietrza i zobaczyć nad sobą coś innego niż kamienny sufit. A kiedy już wyszła na krużganek i zobaczyła, co się dzieje na górze, nie mogła się powstrzymać, żeby nie zostać i nie popatrzeć. Było coś fascynującego w tej walce ludzi z potworem.

– Nie powinnaś tu przebywać, Pani.

Aż podskoczyła ze strachu, słysząc za sobą znajomy głos.

– Wybacz, Pani. – Drugi bynajmniej nie był skruszony tym, że ją przeraził, zajął się czynieniem jej wyrzutów. – Ale pozwól sobie przypomnieć, że...

– Wiem, wiem. – Oparła się plecami o kolumnę. – Ale to już dwa tygodnie! Dwa tygodnie bez słońca, bez wiatru, bez pór dnia, bez powietrza, bo tą stęchlizną i tak prawie nie da się oddychać!

– Nie czułem żadnej stęchlizny. – Dawasz zmarszczył lekko nos, przypominając sobie unoszące się w składach zapachy i odory.

– Bo nie wdychasz jej codziennie od dwóch tygodni. Nawet jedzenie smakuje w tym lochu inaczej, gorzej! Jeszcze trochę, a oszaleję i bez pomocy demonów.

Swoją drogą, i tak Rada posądzała ją o pomieszczenie zmysłów, nie takie spowodowane opętaniem, tylko normalne, ludzkie, zwłaszcza po tym, jak Wrota uznały, że mogą się na chwilę otworzyć i przepuścić kilka zamkniętych w skrzyniach demonów. Salianka weszła do lochu tylko w towarzystwie Virvena, a kiedy było już po wszystkim, on musiał ją stamtąd wynieść. Cały kolejny dzień spędziła, siedząc przy stole, naprzeciw butelki pełnej szlachetnego trunku, mrużąc pod nosem: „Jesteście pewne, że nie mogę?”

– Który to już? – zapytała.

– Siódmy, nie licząc tych, które już... przeszły. – Drugi odchrząknął nerwowo. Nikt z członków Rady nie lubił wspominać o tym, jak demony wracają do piekieł, woleli też nie

przypominać sobie, jakie to niebezpieczne. Na pocieszenie mieli tylko słowa Virvena, który, uśmiechając się paskudnie, jak to miał w zwyczaju, zapewnił, że nie pozwoli, by cokolwiek opętało jego Panią.

– A jak długo jeszcze będą przybywać?

– Obawiam się, że dłużej, niż przewidywaliśmy – przyznał Dawasz. Nie lubił popełniać błędów, jeszcze bardziej nie lubił się do nich przyznawać. Ale faktem było, że tym razem nie docenili przeciwnika. – Egzorcyści zaczęli toczyć z nami wojnę, pojawia się ich coraz więcej.

– Po prostu świetnie – mruknęła ponuro królowna. Miała rację. Egzorcyści byli jak karaluchy. Mnożyli się szybciej, niż łupieżcy byli w stanie ich tępić. – Mam nadzieję, że mimo wszystko wygrywamy?

– Oczywiście, Pani. – Drugi był wręcz urażony tym, że ośmiela się wątpić w siłę Twierdzy. – Nasi łupieżcy są coraz lepsi, zwłaszcza zwycięstwo nad Rozstajami podniosło ich morale. I mamy też do dyspozycji barbarzyńców Sirparaka.

– To z powodu tych barbarzyńców przyjęliśmy go do Rady, prawda? – domyśliła się Salianka.

– Podziwiam twoją przenikliwość, Pani.

– Nie ma co podziwiać – stwierdziła trzeźwo królowna. – Od dwóch tygodni nie mam nic innego do roboty, tylko myśleć. I nie wymyśliłam żadnego innego powodu, dla którego ten spaślak byłby dla nas użyteczny.

– Czysta polityka – stwierdził z satysfakcją Dawasz. Był dumny ze swojego wyboru. Przemyślał dokładnie, kogo należałoby przyjąć do Rady, i znalazł idealnych kandydatów. – Taloka natomiast wybraliśmy, bo jest inteligentny, zna się na dyplomacji i, co ważniejsze, na szpiegowaniu.

– A kiedy już coś wyszpiegujecie, będzie można to podbić, tak? – dokończyła pozornie obojętnym tonem Salianka.

– W rzeczy samej, Pani.

– Macie może już coś na oku? – zapytała uprzejmie. Tym razem nie udało jej się ukryć cienia złośliwości, który pobrzmiwał w jej głosie.

– No cóż... – Drugi nagle poczuł się wyjątkowo niekomfortowo. Miał wrażenie, że ubrał się za ciepło, kołnierz miał zdecydowanie za ciasny, do tego zaczęły go swędzić nogi. Marzył o tym, żeby sobie pójść gdzieś, gdzie będzie mu wygodniej. Gdzieś, gdzie nie będzie jego Pani unoszącej pytająco brwi.

– Poza Dolinami, oczywiście, bo, jak doskonale pamiętasz, powiedziałam, że nie będziemy ich podbijać – ciągnęła, spoglądając na niego wymownie. – Co jest bardzo rozsądną decyzją, zważywszy, że oni tany już od dawna wiedzą, że niejaki Bolurek nie jest tak całkiem lojalny.

Spojrzała na Dawasza. Ten cofnął się o krok, jakby szukając możliwości ucieczki. Słowa królowny były dla niego szokiem. Ze wszystkich sekretów Rady ten był najsilniej strzeżony,

nie tylko przed Pierwszą, ale też przed nowymi członkami zgromadzenia. Podbicie Dolin miało być triumfem Rady, dowieść ich wpływów i użyteczności, utrzyć nosa Pani Twierdzy i pokazać jej, jak mało zna się na rządzeniu. A ona wiedziała!

– Też znam się na szpiegowaniu – powiedziała zimno Salianka, nie spuszczać z niego wzroku. – Jak widać, lepiej niż wy wszyscy razem wzięci.

Drugi milczał, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Królowna westchnęła. Nadszedł czas na kilka słów prawdy.

– Chciałam zdobyć u was posłuch w sposób... powiedzmy, że pokojowy. Nie wybijając was wszystkich. Nie do końca mi wyszło, ale to nie tylko z mojej winy. Mam jednak nadzieję, że powoli zaczyna do was docierać, że zamierzam tu rządzić, i to tak naprawdę. Więc pogódźcie się z tym, bo przecież nikt nie chce kolejnych wypadków. Poza Virvenem, rzecz jasna – dodała uczciwie.

– Tak, Pani – Dawasz skłonił się nisko, niżej niż zazwyczaj. Kiedy podnosił głowę, po raz pierwszy w jego oczach, w całej jego postawie widać było podziw i szacunek dla swojej Pani.

Salianka odwróciła się, dając znak, że rozmowa skończona i spojrzała w górę, na błękitne, przesłonięte żelazną siecią niebo. Aż dziwne, że było takie niebieskie. Z reguły gromadzące się nad Twierdzą chmury sprawiały, że wszędzie było szaro. Gdyby jeszcze na dziedzińcu docierały ciepłe promienie słońca...

– Pani? – odezwał się z tyłu Drugi. Nerwowo zacierał pomarszczone dłonie.

– Co jeszcze? – spytała, obserwując lecące w górze, ponad siatkami, ptaki.

– Ten... Bolurek... bełkotał coś o Saliance, posługaczce z zamku Dolin... Nie uznaliśmy tego za ważne i nie słuchaliśmy go dokładnie. Może zechciałabyś, Pani...

– Trzeba było go słuchać – rzuciła obojętnie królowna. Nie życzyła sobie rozmawiać na ten temat. To oczywiste, że członkowie jej Rady okazali się zbyt zadufani, żeby Bolurka do końca wysłuchać. Interesowało ich tylko, jak można go wykorzystać do szpiegowania sąsiednich krain. Nigdy nie mieli zamiaru wypełniać swojej części umowy. A skoro wtedy nie uznali opowieści o Saliance-posługaczce za ważną, to już ich kłopot, że nigdy jej nie usłyszą.

– Tak, Pani – Dawasz skłonił się i odszedł. Nie odważył się drażnić tematu.

Salianka słyszała jego kroki cichnące w oddali. Gdzieś w głębi Twierdzy rozległ się ryk demona, wpychanego na siłę do okutego kufra. Krzątający się po dziedzińcach ludzie nawet nie odwrócili głów. Przyzwyczaili się. Gdzieś niedaleko ktoś zamiatał korytarz. Królowna wsłuchiwała się w uspokajające szuranie miotły o kamienie. Usłyszała coś jeszcze. Odwróciła się gwałtownie.

– Mówiłam przecież, nigdy więcej... – urwała. Spodziewała się zobaczyć za sobą Dawasza, tymczasem stał tam nowy Szósty.

– Wybacz, Pani – Talok skłonił się nisko. – Nie było moim zamiarem przerazić cię.

– Podśluchiwałaś – domyśliła się Salianka. Ciekawa była, czy Drugi, sprowadzając do Rady szpiega, wziął pod uwagę, że ten może szpiegować nie tylko poza Twierdzą, ale i

wewnątrz. Pewnie tak. Niewiele było rzeczy, które mogły starego wygę zaskoczyć.

– Starych nawyków trudno się pozbyć. – Szósty uśmiechnął się do niej przepraszająco. Ten uśmiech zmieniał całą jego twarz, nadając mu łobuzerski, chłopięcy wygląd. Królowna musiała się powstrzymać, żeby nie odwzajemnić uśmiechu.

– Doprawdy? – zdziwiła się tak uprzejmie, że prawie jadownicie. – I usłyszałeś coś ciekawego?

– Mam swoich szpiegów w Dolinach – powiedział, wpatrując się uważnie w jej twarz, szukając jakiegokolwiek reakcji na swoje słowa.

– Ach tak – rzuciła jeszcze uprzejmiej królowna. Stała swobodnie oparta o kolumnę, nie dając niczym po sobie poznać, że ta rozmowa jest dla niej czymś więcej niż niewinną pogawędką.

– Jest ich kilku – dodał Talok. Nie dał się zwieść jej pozie, zdecydowany był rozegrać swoje karty do końca. – I donoszą mi o wszystkim, co tam się dzieje. Już od wielu lat dowiaduję się od nich o każdym najdrobniejszym wydarzeniu. Spotkaniach, wyprawach, powrotach... Ocalonych wieśniaczkach.

Salianka popatrzyła mu prosto w oczy. Wydawało się prawie niemożliwe, żeby czyjeś spojrzenie nagle tak stwardniało, ale ona miała wśród przodków bez liku podłych drani, którzy patrzyli na świat jak na jedno wielkie, niesprawiedliwe siedlisko pluskiew.

– Doprawdy? – zapytała obojętnie.

– Oczywiście w większości te informacje to nic niewarty bełkot – sam Talok nie byłby w stanie stwierdzić, czy powiedział tak, żeby ratować potencjalnie zagrożone życie czy żeby zagrać w jedną z dworskich intryg. Kiedy patrzył na swoją nową Panią, nie był pewien, z kim ma do czynienia: czy z okrutną władczynią, zagubioną na dworze dziewczynką czy może kimś innym, ukrytym pod wieloma maskami. Wiedział o niej tylko jedno: z pewnością była najatrakcyjniejszą kobietą, jaką spotkał w całym swoim życiu. A piętrzące się wokół tajemnice tylko potęgowały jej czar.

– Niestety, tak to bywa z informacjami – przyznała królowna, wydymając wargi w udawanym zafrasowaniu. – Trzeba je starannie... odcedzić, zanim przekaże się je dalej.

– Też tak uważam – zgodził się natychmiast Szósty. A potem, zanim zdążył pomyśleć, co właściwie robi, dodał impulsywnie: – A przy okazji, Pani... Zauważyłem, że zwykle jadasz samotnie w swoich komnatach.

– Nie ma sensu, żeby inni też dusili się w lochach razem ze mną – powiedziała Salianka zdumiona nagłą zmianą tematu. Spodziewała się, że po skończonej rozmowie Talok oddali się z ulgą, tak jak robili to inni członkowie Rady.

– Ja osobiście byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała przyjąć moje towarzystwo przy kolacji – wyrzucił z siebie jednym tchem. Nie pierwszy raz uwodził kobietę. Ale tym razem wszystko było o wiele trudniejsze, bynajmniej nie dlatego, że miał do czynienia z Panią Twierdzy. Wszystko komplikował fakt, że nie był w stanie myśleć jasno i planować kolejnych

poczynań. Miał wrażenie, że znajduje się pod wpływem uroku przyciągającego go jak ćmę do światła. Tylko że Szósty był światłym człowiekiem i nie wierzył w czary i uroki. O wiele szybciej był gotów uwierzyć w uczucia.

Królewnę na jedną sekundę замуrowało. Pierwszy raz w życiu spotykało ją coś takiego.

No, no, mruknęły z niechętnym podziwem Wrota.

Królewnę natychmiast odmurowało.

– Ależ oczywiście – uśmiechnęła się do Taloka czarująco i wolnym krokiem odeszła do swoich podziemnych komnat, w pełni świadoma, że szósty podąża za nią spojrzaniem.

Dlaczego nie chcesz słuchać naszych dobrych rad, irytowały się później Wrota.

– Jak to: „nie chcę słuchać”? – zdziwiła się obłudnie Salianka, sięgając po puderniczkę. – Nie mam wyboru: tkwicie w mojej głowie i cokolwiek mówicie, ja i tak muszę to słyszeć.

Słyszeć tak, słuchać nie! – sprostowały wyraźnie niezadowolone.

– A, tu macie rację – zgodziła się złośliwie królowna. – Ku mojej niezmierzonej radości muszę co prawda wysłuchiwać waszego bełkotu, ale nie muszę robić tak, jak wy chcecie.

A powinnaś! – zauważyły kąśliwie.

– A nie. Nie muszę i nie powinnam. W przeciwieństwie do was nie zależy mi na życiu pełnym wrażeń.

Odstawiła puderniczkę i sięgnęła po grzebień. Mówiła prawdę. Nie chciała wyjątkowo ekscytującego życia, już jej własne było absorbujące. Nie czuła też potrzeby, żeby urozmaicić swoją egzystencję odrobiną pikanterii. Wystarczyło jej to, co miała: władza, pozycja, plany na przyszłość. Nie miała zamiaru na siłę starać się o więcej. W końcu i tak los nie zwykł uśmiechać się do złych czarownic.

Powinno! – wykrzyknęły desperacko Wrota. *Nie byłoby tak nudno!*

– I tak nie jest – zauważyła przytomnie. Życie w podziemiu było co prawda chwilami monotonne, ale na nudę nie można było narzekać. Zwłaszcza że Virven codziennie wychodził na powierzchnię, żeby przyłożyć jakiemuś demonowi, a potem opowiadał jej o tym ze szczegółami. To był jego sposób na umilenie swojej Pani przymusowego zamknięcia.

– Zresztą miałyście dwadzieścia trzy pokolenia moich przodków i ich szaleństwa. Na starość należałoby trochę odpocząć.

Nie jesteście stare! – obraziły się.

– Obawiam się, że jesteście – głos królowny aż ociekał fałszywym współczuciem. – Ale nie to jest najlepsze.

Wrota milczały, ale słuchały tak intensywnie, że niemal wydawały dźwięk.

– Najlepsze jest to, że wszędzie jest pełno demonów i nie możecie się otworzyć – ciągnęła Salianka, uśmiechając się jak kotka, która właśnie odkryła, jak otworzyć klatkę kanarka. – I nie będziecie się wtrącać.

Wrota obraziły się jeszcze bardziej. Nie raczyły więcej się odezwać, ale potępienie i dezaprobata aż z nich promieniowały. Jeśli myślały, że zepsują tym choć trochę humor

królowie, bardzo się myliły. Jej dobrego, wręcz wyśmienitego nastroju nic nie było w stanie zburzyć. Miała przed sobą interesujący wieczór, podczas którego, co ważne, będzie tylko i wyłącznie sobą i żadne wścibskie wierzeje nie przejmą nad nią kontroli. Poza tym pozostawała jeszcze kwestia towarzystwa. Salianka nie miała może doświadczenia z mężczyznami, ale instynktownie umiała rozpoznać sposób, w jaki wodzi za nią wzrokiem Talok. I nie miało znaczenia, że on jej nic a nic nie obchodził – i tak czuła się atrakcyjna, dowartościowana, miała wręcz wrażenie, że cały świat czeka, by rzucić się jej do stóp.

– Pani – w proggu stanął sługa – kolacja gotowa. Jego Wielmożność już czeka.

– Już idę. – Królowa wstała i rzuciła jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie w lustro. Wyglądała dokładnie tak, jak powinna: nie po prostu pięknie, ale zabójczo. Jak na Czarownicę z Twierdzy przystało.

Pomyśl, odezwały się jeszcze Wrota, kiedy szła do drzwi. Masz to wszystko na wyciągnięcie ręki! Przygoda, romans, szaleństwo, żar!

– To tylko słowa – mruknęła obojętnie Salianka. Już dawno wyleczyła się z tych naiwnych mrzonek. – To się nie zdarza w życiu. Przynajmniej nie w moim.

* * *

Czyjeś towarzystwo przy posiłku było miłą odmianą. Zwykle Salianka jadała razem z Virvenem, który nigdy nie był rozmowny, a już na pewno nie wtedy, gdy jadł. Talok wręcz przeciwnie, bardziej koncentrował się na rozmowie niż na potrawach. Właśnie był w połowie uroczej anegdotki o kucharzu, błaznie i hrabinie, kiedy królowa mu przerwała. Anegdotki były być może czymś, co bawiło wyrafinowane szlachcianki, ale Salianka uważała je za całkowitą stratę czasu.

– Nieważne, co na to powiedział hrabia.

Talok spojrział na nią zdumiony. Nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby dama przerwała mu tak bezceremonialnie. Do tego kobieta, na której tak bardzo starał się zrobić wrażenie, w ogóle nie wyglądała na zainteresowaną tym, co on mówi. Siedziała naprzeciw niego, piękniejsza niż zazwyczaj, a jednocześnie o wiele bardziej niedostępna.

Gratulacje, mruknęły kąśliwie Wrota. Nastrój diabli wzięli.

Królownę mało to obchodziło. Nie nastrój był dla niej najważniejszy. Tak naprawdę niezbyt interesowała ją też osoba jej towarzysza, a już zupełnie nie miała głowy do jakichś romansów. Owszem, pochlebiało jej zainteresowanie Szóstego, ale nie miała zamiaru udawać, że je odwzajemnia, no chyba że byłby to jedyny sposób, żeby wykorzystać jego wiedzę i umiejętności. Niezależnie od tego, w jakim celu Talok wprosił się na jej kolację, Saliance chodziło tylko o jedno.

– Chcę porozmawiać o twoich szpiegach – oznajmiła, odsuwając się odrobinę od stołu i rozpięrając wygodnie na krześle. – O tych w Dolinach konkretnie – uzupełniła, gdy Szósty

nie zareagował. – A jeszcze konkretniej, to chcę wiedzieć, co wiesz i jak mam cię skłonić, żebyś zatrzymał tę wiedzę dla siebie.

– Mogę mu wyssać mózg, szefowo – odezwał się siedzący na kandelabrze Szutel.

Królewna i szlachcic podnieśli głowy.

– Co ty tam robisz? – zapytała złowrogo Salianka. Nie zauważyła wcześniej obecności demona, musiał podkraść się, kiedy już rozmawiali. Królewna nie była tym zachwycona. Tego wieczoru nie musiała obawiać się, że Wrota przejmą nad nią kontrolę, nie musiała też przejmować się Virvenem, który z chęcią przedłożył nocne polowanie na demony nad wspólny posiłek. Ale jak na złość, ktoś musiał jej przeszkodzić.

– Podśłuchuję – wyjaśnił mózgojadek. Wisiał do góry nogami, różowe ślepia łupały pożądliwie w stronę potraw na półmiskach. – No i tego, byłbym ciekaw, co powiedział hrabia.

– Wynoś się – poleciała zimno jego Pani. Miała gdzieś, co powiedział hrabia, poza tym chciała zostać z Szóstym sama, żeby móc się dowiedzieć, ile on wie o jej pobycie w Dolinach.

– To demon? – zapytał zmienionym głosem Talok. Miał dziwny wyraz twarzy, jakby zastygłej grozy i niedowierzania.

– Tak, ale nieszkodliwy, nie taki jak te, które strażnicy łapią na murach. – Królewna nawet na niego nie spojrzała. Obserwowała mózgojadka, który posłusznie, choć niechętnie pełzł po suficie w stronę drzwi.

– Jestem bardzo szkodliwy! – obraził się Szutel, oglądając się na nią z bolesną pretensją w różowych oczkach. – Mogę wyssać mózg, zanim powiecie asparagusulenum!

Talok odwrócił głowę bardzo powoli, jakby ten ruch wymagał zmobilizowania wszystkich sił. Salianka obdarzyła go roztargnionym spojrzeniem i natychmiast popatrzyła na niego uważniej, zaniepokojona, czy on przypadkiem zaraz nie skona przy stole.

– Na murach łapią prawdziwe demony? – mówił to dziwnie zdławionym głosem, jakby mu któraś z potraw zaszkodziła.

– Tak, a co myślałeś? – Salianka przyjrzała mu się podejrzliwie. Podobnie patrzyłaby na kogoś, kto twierdziłby, że krowy latają.

– To nie jest tania sztuczka dla wieśniaków i łupieżców, żeby podtrzymać kult Czarownicy z Twierdzy? – upewnił się Szósty. Wcześniej siedział sztywno wyprostowany, teraz zaczynał się lekko trząść.

– Myśliciel się znalazł – prychnął znad drzwi Szutel.

Królewna straciła do niego cierpliwość. Skoro kazała mu się wynosić, powinien to zrobić od razu, a nie zwłóczyć ile się tylko da, żeby zaspokoić swoje niezdrowe wścibstwo. Nie patrząc na demona, machnęła ręką w powietrzu, jakby odganiała niewidocznego komara. Jednocześnie z jej dłonią zaczęła się poruszać srebrna patera. Szutel w ostatniej chwili uniknął uderzenia i uciekł z komnaty. Pozbywszy się pyskatego natręta, Salianka poświęciła całą swoją uwagę blednącemu Talokowi. Z każdą chwilą Szósty wyglądał coraz gorzej. Nie

zauważał już nawet siedzącej naprzeciw niego kobiety, wbijał spojrzenie szaleńca w wygiętą patelnię, która odbiła się od kamiennej ściany i teraz leżała nieruchomo na podłodze. Wyglądało na to, że ten element zastawy jest dla niego w tej chwili najpotworniejszą rzeczą na ziemi.

– Niech zgadnę – powiedziała domyślnie królowna. – Myślałeś, że to całe gadanie o Czarownicy to też tylko tania sztuczka?

– Nie wierzę w magię – oświadczył desperacko, w nadziei, że przekona sam siebie, a może nawet wszystkich wokół, i świat znowu będzie normalny.

– Serio? – zdziwiła się uprzejmie Salianka. Pierwszy raz miała do czynienia z kimś, kto podważał prawa rządzące wszechświatem, a przynajmniej tym jego kawałkiem, na którym stała Twierdza. Nie była pewna, czy uznać Taloka za kuriozum warte pokazywania na jarmarkach, czy za wariata, którego należałoby zamknąć w odosobnieniu. – Cóż, wszyscy inni wierzą. Ale twoje prawo. Ty – skinęła na stojącego pod ścianą lokaja – dolej mu wina. – Szlachcic wyglądał na kogoś, kto naprawdę musi się napić.

Podczas gdy Talok jednym haustem opróżniał puchar, królowna pochyliła się w stronę sługi. Lokaj natychmiast zgiął się niemal wpół gotów wysłuchać polecenia.

– Mamy już nowego medyka? – zapytała szeptem Salianka.

– Nie, Pani. Ale łupieżcy mają felczera. Życzysz sobie, Pani, by go wezwano?

– Nie, może lepiej nie – zdecydowała królowna. Wątpiła, by felczer łupieżców znał się na leczeniu kogokolwiek czy czegookolwiek. Już prędzej mógłby pomóc pacjentowi opuścić ten nędzny padół. – Ale niech ktoś znajdzie moją nianię. I dolej mu jeszcze wina.

* * *

– Nie przyszło nam do głowy, że można nie znać prawdy o Twierdzy – Drugi był tak zdumiony, że stracił całkiem swoją zwykłą samokontrolę. – Przecież wykonywał dla nas drobne... hmm... usługi! To nie do pomyślenia, że miał nas za bandę sztukmistrzów zabawiających gawieź – te słowa prawie wypluł z odrazą. Przyrównanie członków Rady do kuglarzy musiało być dla niego osobistą obrazą.

– Strasznych gawieź – poprawiła Salianka.

– Nieistotne – Dawasz zbył jej uwagę lekceważącym machnięciem dłoni. Królowna litościwie, mając na uwadze stan swego doradcy, nie zganiała go za uchybienie obyczajom. W tej chwili mieli ważniejsze sprawy na głowie. – Musimy pomyśleć o czymś innym – ciągnął Drugi, składając w zamyśleniu ręce. – O tym, czy nie zmieni teraz swojego stosunku do Twierdzy. Nie jesteśmy tym, czego się spodziewał. Jesteśmy... no cóż... jego koszmarem.

Salianka nie przejęła się specjalnie. Jako Czarownica z Twierdzy od zawsze była czyimś koszmarem. Gdyby nagle okazało się, że już nie jest, nie wiedziałaby, co ze sobą zrobić.

Dawasz zatrzymał się i odwrócił do siedzącej w fotelu królowny.

– Jak przyjął prawdę?

– Źle – poinformowała krótko Salianka. Prawdę mówiąc, określenie „źle” było zbyt delikatne. Kiedy opuszczała jadalnię, Talok wciąż siedział przy stole, prawdopodobnie całkiem nieświadomy tego, gdzie się w danej chwili znajduje. Wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w przestrzeń i trząsł straszliwie. Pouczony przez królową lokaj dolewał mu wina, chociaż większość trunku i tak lądowała na obrusie, a nie w żołądku Szóstego. Z braku medyka Salianka musiała polegać na wiedzy i umiejętnościach niani, która przyrządzała jakiś tajemniczy napar. Istniała nadzieja, że napitek złagodzi objawy szoku.

– Należałoby przedsięwziąć jakieś kroki... – zaczął Drugi. Nie musiał kończyć. W Twierdzy podejmowano tylko jeden rodzaj kroków.

– Potrzebujemy jego szpiegów – przypomniała królowa. – Tylko on wie, gdzie ich ma. Lepiej, żeby z nami współpracował, a jeszcze lepiej, żeby to robił dobrowolnie...

Sama chciała się najpierw zorientować, jak ma się sprawa z tymi szpiegami. Było mało prawdopodobne, żeby mogli zdradzić swojemu mocodawcy jakieś tajemnice, ale lepiej było się upewnić. Gdyby jakimś cudem wiedzieli za dużo... Cóż, Virven z radością odbyłby krótką wycieczkę i odwiedził kilka wskazanych osób. Oprócz tego Saliankę interesowało wszystko, czego Szósty mógł się dowiedzieć o egzorcystach. W obecnej sytuacji miała małe szanse na wydobyć z niego jakichkolwiek informacji. Należało poczekać... i utrzymać go przy życiu.

– Co więc rozkażesz?

– Poczekamy, aż dojdzie do siebie. Wtedy trzeba będzie ostrożnie wy badać, czy istnieje szansa, żeby dalej był członkiem Rady. Porozmawiasz z nim – zasugerowała Salianka. W całej Twierdzy nie było nikogo bardziej podstępnego i przebiegłego niż Dawasz. Chociaż królowa coraz dzielniej dotrzymywała mu kroku. Miała zamiar uciąć sobie pogawędkę z Talokiem tuż przed tym, zanim zrobi to na jej rozkaz Drugi. Gdyby Szósty nie chciał rozmawiać z Czarownicą, zawsze mogła wysłać do niego Plaskata, Jalę albo, w ostateczności, Virvena. – Tylko zrób to ostrożnie, żeby znowu nie doznał szoku – ostrzegła.

– Oczywiście. – Dawasz skłonił się i opuścił komnatę, wciąż mamrocząc coś pod nosem o niemożliwych niedowiarkach.

– Można by to załatwić inaczej – mruknął siedzący w kącie Virven. Przysłuchiwał się całej rozmowie, bawiąc się ostrzem miecza i wyginając je na wszystkie możliwe strony.

– Wiem, że ty mógłbyś, a nawet chciałbyś załatwić to inaczej – mruknęła królowa. Nawet mogła sobie wyobrazić, jak to inaczej by wyglądało.

– Powinienem – warknął złowrogo, podrywając się z krzesła. Rzucił w kąt miecz i teraz on zaczął przemierzać komnatę szybkim krokiem, przypominając przy tym żądną krwi bestię zamkniętą w małej klatce.

– Dawno nie wypruwałeś komuś flaków? Nudzi ci się?

Demon zatrzymał się gwałtownie przed Salianką. Kiedy tak stał wyprostowany, z gniewnie zmarszczonymi brwiami, wydawał się być jeszcze potężniejszy niż w

rzeczywistości. Tyle że na królownie nie robiło to żadnego wrażenia, w końcu jej faworyt miał być straszakiem na innych ludzi, nie na nią samą.

– Ludzie są dziwni – wyjaśnił niecierpliwie Virven. – Widzą zaskakująco dużą różnicę pomiędzy staniem po stronie złych ludzi a staniem po stronie złych demonów z piekła.

– Demony mamy tylko dwa, nie licząc tych pozamykanych w skrzyniach – powiedziała melancholijnie Salianka. Czasami zaskakiwało ją, jak dobrze nieczłowiek może znać się na ludziach. Niekiedy miała wrażenie, że rozmawia nie z Virvenem, ale z kimś zupełnie obcym, w kim jest coś więcej niż tylko niezaspokojony instynkt zabijania. – Założmy, że rozumiem, o co ci chodzi. Myślisz, że Talok nas zdradzi, bo jesteśmy za bardzo źli.

Coś w tym jest, wtrąciły milczące dotąd Wrota. Może rzeczywiście lepiej byłoby go usunąć.

– A jeszcze parę godzin temu chcieliście, żebym rzuciła mu się w ramiona! – wypomniała im królowna. Doprawdy, mogłyby się zdecydować, czego właściwie od niej chcą.

Trzeba być elastycznym, pouczyły ją mentorskim tonem. Mamy za sobą dwadzieścia trzy pokolenia doświadczeń. Wiemy lepiej.

– Idźcie do diabła – zasugerowała królowna. Ogólnie rzecz biorąc, nie była przeciwna mordowaniu ludzi, czy jak to eufemistycznie można określić, skazywaniu ich na śmierć. Nie zmartwiłaby się też specjalnie śmiercią Taloka. Była nawet skłonna przyznać Virvenowi i Wrotom rację, z tym że nie głośno. No i, poza wszystkim, nie mogła raczej liczyć, że którekolwiek z nich wykaże zrozumienie dla kwestii szpiegów, a ta kwestia interesowała Saliankę najbardziej. Dowiedzieć się wszystkiego, a potem wykorzystać tę wiedzę, a najlepiej i samych szpiegów.

Rozległo się nieśmiałe pukanie. Virven jednym susem znalazł się przy wejściu. Gotów w każdej chwili zaatakować, jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Do komnaty wszedł sługa, z obawą zerkając na bardziej niż zwykle rozdrażnionego królewskiego faworyta.

– Pani – wyjąkał, kłaniając się nisko – zwołano nagłe posiedzenie Rady.

Salianka zamyśliła się głęboko. Coś tu nie pasowało.

– Przecież to ja zwołuję zgromadzenia Rady – oznajmiła odkrywczo.

Sługa na wszelki wypadek przestraszył się i uciekł. Królowna doszła do wniosku, że należałoby sprawdzić, kto uzurpuje sobie jej prawo do rządzenia. W związku z tym wstała i energicznym krokiem ruszyła do sali tronowej. Virven poderwał się, chwycił pierwszą lepszą broń i pobiegł za nią gnany nie tyle obawą o jej bezpieczeństwo, co nadzieją, że rozżłoszczona dziewczyna nakaże mu kogoś skrzywdzić.

– Kto zwołał zgromadzenie? – zapytała gniewnie królowna, stając w drzwiach.

Sześciu obecnych członków Rady spojrzęło po sobie nerwowo. Ich Pani nie była w humorze, to pewne. Za długo siedziała pod ziemią i zrobiła się odrobinę zbyt drażliwa. Ktokolwiek ośmielił się zwołać zgromadzenie, mógł się liczyć z ostrą reprymendą.

– Yyyyy... – zaczął Czwarty. Chciał jakoś załagodzić sytuację, ale nie przyszło mu do głowy nic, co mogłoby ukoić niezadowolenie Salianki.

– Ja – zgłosiła się dobrowolnie Jala, przepychając się w drzwiach obok królowny. Targała ze sobą trzy okazałe, oprawione w skórę księgi. – To ważne – sapnęła, odkładając je na stół.

– To słuchamy. – Salianka podeszła do stołu, za nią reszta Rady. Skoro Jala mówiła, że coś było ważne, to pewnie było. Dziewczyna nie miała w zwyczaju rzucać słów na wiatr. No i niewątpliwie przewyższała inteligencją większość pozostałych Doradców i w przeciwieństwie do nich nie lubiła tracić czasu na bzdury. Reszta Rady tolerowała jej inteligencję tylko i wyłącznie dlatego, że była dama dworu była teraz jedną z nich.

– Chodzi o te przylatujące demony – powiedziała z roztargnieniem Ósma, kartkując księgi w poszukiwaniu istotnego fragmentu tekstu.

– Wiesz, jak się ich pozbyć? Nareszcie jakaś dobra wiadomość! – ucieszył się Siódmy. Przepchnął się bliżej stołu, żeby zajrzeć jej przez ramię. Nic z tego nie wyszło, bo dziewczyna była od niego wyższa i musiał wspiąć się na palce, żeby cokolwiek widzieć.

– Nie wiem, czy dobra – przyznała uczciwie Jala. Znalazła już właściwą stronę. Pozostali pochylili się, żeby zobaczyć, co jest tam napisane, ale litery były tak obficie zdobione, że prawie niemożliwe do odczytania, przynajmniej nie bez znacznego wysiłku. – Właściwie tylko jeden kawałek jest dobry: to nie Wrota w głowie Salianki przyciągają tu demony.

– A niby co? – zapytał Czwarty.

– Twierdza – wyjaśniła Jala. Członkowie Rady nie wyglądali na przekonanych. Dziewczyna wskazała palcem ustęp tekstu, ale nikt nie był w stanie odcyfrować starego pisma. – Zbudowano ją jako coś na kształt magicznej pułapki, przyciąga wyegzorcyzmowane demony, żeby na pewno trafiły do Wrót – ciągnęła Ósma zniecierpliwiona ich niedowierzaniem.

– Czyli do mojej głowy? – upewniła się królowna. Nie podobało jej się to, co słyszała. Bardzo jej się nie podobało.

– W takim razie trzeba Jej Wysokość wywieźć z Twierdzy – stwierdził Dawasz, zadowolony, że to on pierwszy wpadł na tak proste rozwiązanie.

– Nie da się – ostudziła jego zapał Jala.

– Jak to się nie da? – zirytował się Plaskat. Po pierwsze, uważał, że nie ma rzeczy niemożliwych. Po drugie, najbardziej na świecie chciał, żeby możliwym okazało się coś, co Jala uznała za niewykonalne. Miał nadzieję, że coś takiego przygasiłoby trochę tę jej denerwującą samodzielność i inteligencję. Nie chciał przyznać nawet przed sobą, jak bardzo irytuje go fakt, że Ósma bywa niekiedy bardziej błyskotliwa od niego i że to na nią patrzą wszyscy wyczekująco, kiedy trzeba szukać rozwiązania problemu.

– Zwyczajnie się nie da – powiedziała spokojnie kuglarka. – Twierdza jest również pułapką na Strażnika Wrót.

– Co? – zdziwił się Ernalik. Tak jak i inni, nigdy nie słyszał o tej funkcji budowli.

– Jak to możliwe? – zbulwersował się Gurlek. Nie mieściło mu się w głowie, że Twierdza, ICH Twierdza, może mieć przed nimi jakieś tajemnice, może skrywać sekret, na który oni nie mają wpływu.

Zwyczajna dla Rady kłótniowość wzięła górę nad chęciami przedyskutowania dość palącego problemu.

Owszem, możliwe, odpowiedziały Wrota na pytanie, którego Salianka nie odważyła się głośno zadać. *Twierdza powstała jako drogowskaz, przyciąga demony, prowadzi jak latarnia morska statki. Jej zadaniem jest doprowadzić je do nas, czyli też do ciebie.*

– Wiedziałyście od początku – szepnęła królowna. Wiedziały... i jak mogły jej nie powiedzieć! Przecież zawarła z nimi coś na kształt przymierza, może ich nie polubiła, ale zaczęła akceptować ich obecność, przynajmniej w pewnym stopniu. A one nawet jej nie powiedziały. Rodziło się pytanie, ile jeszcze mają przed nią tajemnic.

Oczywiście, przyznały. Ale od co najmniej piętnastu pokoleń nie kręcili się w okolicy egzorcyści. Przegnali ich twoi przodkowie, choć nie obyło się przy tym bez opętań. Egzorcyści mogą wygnać demony z każdego człowieka, ale nie ze Strażnika Wrót. Kiedy robiło się niebezpiecznie, otwierałyśmy się i wpuszczaliśmy demony do ciała władcy Twierdzy. Z nimi egzorcyści nie dawali rady wygrać, pokonani musieli opuścić najbliższe krainy. W ogóle zresztą nie powinni byli pojawić się w okolicy. Wezwano ich po raz pierwszy po tym, jak twoi przodkowie zbuntowali się przeciw traktowaniu ich jako magazynu na odpadki i uniezależnili Twierdzę.

– Od kogo?

Pytanie Salianki pozostało bez odpowiedzi, bo przez kłótnie i rozgardiasz przebił się głos Plaskata.

– Przecież królowna wyszła z Twierdzy! – przypomniał gromko, przekrzykując wszystkie kłótnie.

– I to z hukiem – przyświadczył Czwarty. Trudno było nie zauważyć, że Pierwsza raczyła ich opuścić.

– Wiem, że wyszła – zgodziła się Jala. Przygryzła nerwowo wargi. Nie umiała znaleźć żadnego wyjaśnienia, jak królownie się to udało, i gryzło ją to. – Ale nie wiem jak. W tych księgach jest napisane, że Strażnika Wrót uwolnić z więzienia mogą tylko konstruktorzy Twierdzy lub ich dziedzice.

I co, zapytały w głębi umysłu królowny Wrota, dalej nie chcesz podbijać Dolin?

Salianka nie odpowiedziała. Przez chwilę stała nieruchomo, a potem odwróciła się gwałtownie i wybiegła z sali. Za nią rzucił się Virven, a za nim Rada.

Królowna wypadła z lochu, nie zważając na krzyki goniących ją poddanych. Zatrzymała się tylko na chwilę, kiedy oślepiło ją światło słońca. Mrużąc oczy, wybiegła na zewnętrzny dziedziniec. Na jej widok słudzy i łupieżcy zdumieni odrywali się od zajęć. Nie widzieli swojej Pani już od kilku tygodni, a teraz nagle pojawiła się z rozwianymi włosami, zataczając

się jak pijana.

– Otworzyć bramę – rozkazała. – Otworzyć bramę!!! – wrzasnęła ile sił w płucach, gdy nikt się nie ruszył.

Kilku odważnych uchyliło przed nią potężne skrzydła. Virven i Rada zatrzymali się kilka metrów za Salianką. W milczeniu patrzyli, jak królowna spokojnym krokiem podchodzi do otwartej bramy i przechodzi przez nią.

Uderzenie było tak potężne, że gdyby Virven nie schwycił jej w powietrzu, Salianka z pewnością wybiłaby dziurę w murze. Przez chwilę, całkiem oszołomiona, nie potrafiła sobie uświadomić, co się stało. Potem zrozumiała.

– A więc to prawda – powiedziała, z trudem stając na własnych nogach.

– Przecież raz już wyszła – przypomniał nerwowo Czwarty. Wodził spojrzeniem od jednej osoby do drugiej, szukając potwierdzenia własnych słów.

– I wyjdę jeszcze raz – stwierdziła twardo Salianka. Wiedziała, że musi wyjść. Zaszyć się gdzieś na czas wystarczający, żeby łupieżcy rozgromili egzorcystów raz na zawsze, żeby przekłete demony przestały przylatywać. Nie miała zamiaru dać się powstrzymać jakimś bzdurnym trudnościami.

– Jak?

– Znajdę sposób. To nie wasza sprawa. Wy macie zająć się egzorcystami. Tak żeby nie został po nich żaden ślad. Nianiu! – Starowinka wyrosła jak spod ziemi. – Trzeba mi przygotować bagaż.

Rozdział 7

Była już późna noc. Twierdza wyglądała jeszcze bardziej ponuro niż za dnia.

Plaskat zszedł w dół wąskimi, upiornymi schodkami. Kiedy znalazł się już na samym dole, zapukał do uchylonych drzwi komnaty swojej Pani.

– Wejść. – Królowna z bezradnie opuszczonymi ramionami stała pośród kufrów, do których niania radośnie pakowała kolejne suknie. – Nianiu, ja naprawdę tego wszystkiego nie zabiorę – powtórzyła po raz kolejny. – Zresztą kto to niby będzie targał? A ty czego chcesz? – Odwróciła się do Piątego.

Plaskat rozejrzał się po komnacie. Oprócz Salianki, niani, kufrów i sukien był tam jeszcze Virven, najwidoczniej szykujący się do drogi. W jego przypadku polegało to na selekcji posiadanego arsenału. Kilka wybranych sztuk broni, wypolerowanych i naostrzonych, było już zapakowanych.

– Wiesz, gdzie szukać konstruktorów Twierdzy, prawda? – zapytał domyślnie Piąty. Był pewien, że jego Pani pośród wielu swoich tajemnic skrywa i tę. Poświęcił trochę czasu na wydobywanie informacji od strażników, którzy przeżyli dzień, kiedy po raz pierwszy opuściła Twierdzę.

– Nie twoja sprawa – warknęła królowna. Denerwowało ją, że Plaskat robi się wścibski wtedy, kiedy nie powinien. Poza tym, gdyby się dowiedział, kto zbudował Twierdzę, pewnie nalegałby na podbicie Dolin. A tego Salianka nie zamierzała robić i już. Bez przyznawania się do jakichkolwiek konkretnych powodów.

– Za pierwszym razem nie wyszłaś stąd sama, ktoś z tobą był. Podobno młody chłopak.

– Nie twoja sprawa – powtórzyła jego Pani. Nie dość, że chciał wszystko wiedzieć, to jeszcze rzeczywiście udawało mu się skądś tę wiedzę wydobyć. To jeszcze było w porządku, kiedy zdobywał informacje dla niej, ale nie o niej!

– A potem nagle trafiłaś do Dolin. On stamtąd pochodził? – ciągnął Plaskat, nie spuszczać wzroku z królowny. Tym razem nie udało jej się nad sobą zapanować, zbyt wiele miała za sobą ciężkich przeżyć. Coraz bardziej nerwowo splatała palce smukłych dłoni.

– Głuchy jesteś czy co? – zdenerwowała się. Miała na głowie podróż, pakowanie, do tego musiała wymyślić, jak ściągnąć do Twierdzy Ulka, szybko i bez wzbudzania sensacji. To nie była dobra pora na odpowiadanie na niewygodne pytania. Zresztą żadna pora nie była dobra.

– Konstruktorzy Twierdzy byli z Dolin, prawda?

– A jeśli tak, to co? – zniecierpliwiła się Salianka.

– To nie musisz ich szukać. Ja mogę cię wyprowadzić z Twierdzy. – Widać było po Piątym, że sporo go kosztowało to wyznanie. Wyrzucił je z siebie jednym tchem, jakby bał się, że zadławią go własne słowa. Królowa znieruchomiała z suknią w dłoniach.

– Zaraz mi pewnie powiesz, że w rzeczywistości jesteś prawowitym dziedzicem tronu Dolin – westchnęła. Najwidoczniej to był po prostu dzień kolejnych wstrząsów i niespodzianek. Pozostawało tylko czekać, kto następny wyciągnie królika z kapelusza.

– Nie jestem dziedzicem tronu, ale pochodzę z rodziny królewskiej – przyznał.

– Ach tak? – Salianka, ku swojemu zdumieniu, nie była tą rewelacją specjalnie zaskoczona. W końcu Plaskat od pierwszej chwili przypominał jej Gawarka. Miał takie same jasne włosy, niebieskie oczy, nawet coś w rysach twarzy przypominało księcia. Nawet ambicją był przeżarty w podobnym stopniu. A do tego, skoro miała pod ręką potomka konstruktorów Twierdzy, nie musiała się kłopotać sprowadzaniem jego bufonowego kuzyna. Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy.

– Ojciec obecnego króla miał siostrę – Piąty mówił dalej, najwyraźniej, skoro już wyjawiał swoją tajemnicę, miał zamiar wyrzucić z siebie wszystko. – Porwano ją, kiedy była jeszcze małym dzieckiem, i jakoś nigdy potem nie oddano. Była moją babką. Nie wiedziała, kim naprawdę jest. Dorosła, wyszła za męża, urodziła syna. Kiedy się w końcu dowiedziała... Miała wypadek podczas przejażdżki konnej. A może podczas ucieczki.

– Wzruszająca historia – mruknęła obojętnie królowa. Nie robiły na niej wrażenia pogmatwane losy jakiejś księżniczki, która pewnie miała cudne błękitne oczy i złociste włosy jak jej wnuk. – Ciebie nigdy nie korciło, żeby tak uciec?

Plaskata zaskoczyło jej pytanie.

Nigdy nic takiego nie przyszło mu do głowy. Jego rodzina, i w konsekwencji on, zawsze była po stronie Twierdzy. Zresztą gdzie miałyby uciekać? Do nudnych i porządnym Dolin?

– Tu jest więcej możliwości – przyznał uczciwie. W Dolinach nigdy by nie zaakceptowano pewnych skutecznych, choć wątpliwych moralnie metod, które wiodły do celu najprostszą drogą. Tam ludzie byli uczciwi i, co gorsza, wymagali tego od innych. To nie było właściwe miejsce dla kogoś, kto miał sporo ambicji, ale niedostatek skrupułów.

– Rzeczywiście, w Dolinach nie wykańczają rady królewskiej. Trzeba czekać, aż stare pryki zadławią się w końcu owsianką – zgodziła się Salianka. Rozejrzała się jeszcze po komnacie, sprawdzając, co spakowała, a co po postu rozrzuciła po podłodze. – Chyba wszystko już mamy. Nie ma sensu tracić czasu. Idziemy.

– Już? – zdziwił się Plaskat. Nie spodziewał się, że królowa rzeczywiście postanowi opuścić Twierdżę, i to tak nagle, właściwie bez zastanowienia.

– Mam dalej siedzieć w podziemiach, dusić się stęchłym powietrzem i obrastać pleśnią z wilgoci? – wybuchła Salianka. – Wolę zrobić sobie wycieczkę i odczekać, aż wybijecie

egzorcystów. Wtedy te przeklęte demony przestaną nadlatywać, będzie można zdjąć siatki z murów, a ja nie będę musiała się bać, że któryś kolejny potwór znajdzie jakiś słaby punkt zabezpieczeń i osiedli się w moim ciele. Bierzemy konie i wyjeżdżamy. Szutzel będzie krążył między nami a Twierdzą i roznosił wieści.

– Wyruszasz, Pani, tylko z nim?

– Nie z nim, tylko z Virvenem. Nie rób takiej miny, poprzednio pojechałam sama i jakoś przeżyłam. – Królowna zarzuciła sobie torbę na ramię i wyszła z komnaty. Miała dość lochów. Chciała pożyć sobie na świeżym powietrzu, w przyjemniejszych warunkach. Poza tym opuszczenie Twierdzy było świetną okazją do wystawienia się na promienie słońca. Od powrotu z Dolin tego brakowało jej najbardziej. Odkąd pojawił się jej faworyt, nad Twierdzą nie było już burz, ale choć Virven radził sobie z pogodą, nie miał wpływu na architekturę. W Twierdzy nadal panował mrok. – Zresztą wszystkich łupieżców będziecie potrzebowali, żeby pozbyć się egzorcystów.

Virven chwycił topór i drugą torbę i poszedł za nią. Piątemu pozostało tylko im towarzyszyć.

Jakimś cudem niania dotarła do stajni przed nimi. Stojący obok niej stajenni trzymali już przyszykowane konie. Nikt nie pofatygował się, żeby obudzić resztę Rady, więc obyło się bez oficjalnych pożegnań. Piątemu sprawiło to ulgę. Wolał uniknąć tłumaczenia się przed pozostałymi, co ma wspólnego z konstruktorami Twierdzy i kim właściwie byli ci konstruktorzy.

Saliance też nie przeszkadzała nieobecność jej teoretycznie zaufanych Doradców. Do niczego nie byli w tej chwili potrzebni. Miała nadzieję, że podczas jej nieobecności Plaskat i Jala będą ich pilnować, a mózgojadek, jej specjalny posłaniec, sprawi, że reszta członków Rady poczuje się obserwowana.

Królowna zatrzymała się przy wierzchowcach i pogładziła Wiatrobiegłego po szyi.

– Znowu w siodle – skrzywiła się. Jazda konna nie należała do jej ulubionych czynności, doświadczenia w tym względzie zaliczała do boleśniejszych wspomnień.

Znowu poza Twierdza! – ucieszyły się Wrota. *Witaj przygodo!*

Królowna skrzywiła się jeszcze bardziej. Nie wyruszała po przygody, tylko po spokój i słońce. Niczego więcej nie życzyła sobie spotkać.

– Miejmy to już za sobą – westchnęła. – Otwórzcie bramę – poleciała.

Strażnicy rzucili się wypełniać rozkaz. Salianka wyciągnęła rękę do Plaskata. Ujął jej dłoń i razem przeszli przez bramę.

Tym razem królowna nie czuła żadnego oporu. Po drugiej stronie dziewczyna obejrzała się na dziedziniec.

– Więzienie – mruknęła posepnie. Wiadomość o tym, że całe życie spędziła zamknięta z woli kogoś, kto żył pięćset czy sześćset lat wcześniej, nie podziałała na nią dobrze. Jej świat już zaczynał odzyskiwać równowagę, a teraz właśnie zawaliły mu się fundamenty.

Potrzebowała trochę czasu, by je odbudować. – Kto by przypuszczał? Zawsze myślałam, że to tylko mój dom. Gdzie konie? – otrząsnęła się z zamyślenia.

– Tutaj. – Virven stał o krok za nimi, prowadząc wierzchowce, najwyraźniej pogodzone z faktem, że przyjdzie im podróżować w towarzystwie nieczłowieka.

– A gdzie drabina? – Salianka rozejrzała się z niezadowoleniem. Zapomniała o najistotniejszej rzeczy.

– Drabina? – zdziwił się Piąty.

– Przecież muszę jakoś wsiąść, prawda? – dziewczyna była urażona supozycją, że ma się sama wdrapywać na koński grzbiet.

Virven bez słowa chwycił królowną i posadził na siodło. Salianka podjęła próby usadowienia się wygodnie, ale po chwili dała sobie spokój. Cokolwiek próbowała, efekt był taki sam. Przyszło jej do głowy, że mogła posłać nianię do lochów po poduszkę, ale to by tylko opóźniło odjazd, a tego akurat Salianka życzyła sobie najmniej.

– Będziemy w pobliżu – oznajmiła złowrogo na pożegnanie. Nawet pod jej nieobecność wszyscy powinni czuć, że Pani Twierdzy ma na nich oko i w każdej chwili może wrócić, by wyrazić swoje niezadowolenie. – Jeśli zajdzie taka potrzeba, Szutzel nas znajdzie.

Plaskat spoglądał jeszcze chwilę za odjeżdżającymi. Królowna chwiała się na końskim grzbiecie, ale jakimś cudem udawało jej się na nim utrzymać. Zresztą tuż obok niej jechał Virven, gotów w każdej chwili powstrzymać swoją Panią przed upadkiem. Mógł być potworem, ale można było na nim polegać, że zadba o Saliankę lepiej niż ktokolwiek inny w Twierdzy czy poza nią. Ta świadomość w dziwny sposób uspokoiła Piątego. Nie spodziewał się, że bezpieczeństwo królowny będzie go obchodzić. Rzecz jasna, tylko z przyczyn ambicjonalnych. Jak długo ona rządziła, mógł być pewien swojej pozycji i wpływów. Kiedy dwoje jeźdźców było już tylko niewyraźnymi kształtami w ciemności, Plaskat wrócił do Twierdzy i do planowania kampanii przeciw egzorcystom.

* * *

Ujechali zaledwie mały kawałek od Twierdzy. Pojedyncze drzewa powoli przechodziły w całe kępy, a te w las. Ponure gmaszysko razem z pozamykanymi w skrzyniach demonami zostawało z każdą chwilą coraz bardziej w tyle. Z zewnątrz wyglądało równie odstręczająco jak od środka, ale ani królowna, ani Virven nie odwrócili się, żeby podziwiać widoki. Żadne z nich nie było specjalnie sentymentalne, w przeciwieństwie do Wrót.

To powietrze, powiedziały z rozmarzeniem. Od razu inaczej pachnie.

– Wolnością? – domyśliła się Salianka. O wiele lepiej rozumiała, dlaczego tak bardzo paliły się do wyjścia na zewnątrz, dlaczego tak zachwycał je cały świat. – Teraz nie dziwi mnie, dlaczego tak bardzo chcieliście zobaczyć świat poza Twierdzą.

Nie dość, że zamknięto nas w ludzkim umyśle, to jeszcze uwięziono w budowli z kamienia,

poskarżyły się.

– Z nikim innym nie byliście wcześniej na zewnątrz? – zdziwiła się. Na dwadzieścia trzy pokolenia jej przodków ktoś musiał znaleźć sposób, żeby ruszyć swój tyłek z Twierdzy. Niemożliwe było, żeby cały ród od pokoleń siedział zamknięty i nikt nie próbował uciec ze swojego więzienia.

Raz czy dwa, odpowiedziały, a w ich głosie zabrzmiała tęsknota za dawnymi czasami. Kiedy twoi przodkowie zbuntowali się przeciw swoim ciemżycielom. Podstępem porwali jakiegoś królewicza z Dolin i w jego towarzystwie wyruszyli na podboje. Tylko pożary, rzezie i tym podobne. No i jeszcze silne dranie to były. Zamykali nas i otwierali, kiedy chcieli.

– Ja tak nie potrafię – stwierdziła ponuro królowa. Tylko czasami, kiedy była bardzo, bardzo rozgniewana albo przerażona, miała dość siły, żeby zapanować nad Wrotami. Gdyby udawało jej się to robić cały czas, życie byłoby o wiele prostsze.

Ród się zdegenerował, rzekły nie bez satysfakcji Wrota. Nie ma w tobie siły twoich przodków. To dopiero byli ludzie: mocni, nieustraszeni, nieustraszeni. Inaczej nie daliby sobie rady z nami w głowie.

– Ja sobie daję radę – mruknęła buntowniczo Salianka.

Jako tako, oceniły bezlitośnie. Oni byli od nas silniejsi. Dlatego ich wybrano...

– Wybrano?! – prawie wykrzyknęła królowa. – Wiecie coś więcej, tak?! Kto ich wybrał? Po co w ogóle was sprowadzono? Powiedźcie mi wreszcie!

Tego nie wiemy, przyznały ze smutkiem. Nie wiemy, co było, zanim zamknięto nas w umyśle pierwszego Pana Twierdzy. Wcześniej byliśmy... tylko Wrotami. Gdzieś... daleko? Nie pamiętamy. To było dawno, bardzo dawno. A potem wyrwano nas z tamtego miejsca i umieszczono w ludzkim umyśle, tak niewyobrażalnie silnym, że nie miałyśmy nad nim żadnej władzy, ani my, ani demony. Przechodziło przez nas wtedy tyle demonów... A my trwałyśmy na samym końcu jego umysłu, nie dopuszczał nas bliżej, nie chciał z nami rozmawiać. Następni też... Dopiero później ich siła trochę osłabła, a my nauczyłyśmy się podchodzić bliżej. Demonów było coraz mniej, a oni nie chcieli już służyć Dolinom. Wtedy przyszli egzorcyści. Nie mogli pokonać Władców Twierdzy, odeszli. A potem rzucono klątwę...

– Jaką klątwę? – spytała Salianka. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Jeszcze trudniej było pogodzić się z faktem, że przez cały czas Wrota ukrywały przed nią to wszystko.

Bez nas Strażnik Wrót jest tylko pustym naczyniem, przypomniały z naciskiem. Nie zawsze tak było. Kiedyś wasza świadomość była niezależna od nas.

– Kto nam to zrobił?! – Królowa niemal wyłamała sobie palce, zaciskając dłonie. Zaplątane między nimi wodze wpiły się głęboko w skórę.

Nie zawsze utrata Wrót oznaczała niebyt. Jakby nie dość było, że jej ród nosił w głowie drzwi do piekieł, to jeszcze zrobiono im coś takiego, uzależniono ich świadome życie od tego przekłętą przejścia! Gdyby sprawca tego ohydny czynu wpadł jej w ręce, rozszarpałaby go sama, nawet bez pomocy Virvena.

Nie jesteśmy wszechwiedzące, westchnęły. Ostrożnie uchylily się leciutko, na tyle tylko, by zmusić ją do rozluźnienia uścisku. Po wodzach spływała już strużka krwi. Nawet nasi Strażnicy mieli przed nami tajemnice.

– A wy miałyście tajemnice przede mną! – wykrzyknęła. Jadący obok demon spojrzał na nią. Nie dostrzegł żadnego zagrożenia, a ona, pogrążona w rozmowie z Wrotami, już zupełnie zapomniała, gdzie i z kim się znajduje. – Mogłyście mi powiedzieć!

Byłaś słaba, mruknęły. Balaś się wszystkiego. Prawda osłabiłaby cię jeszcze bardziej.

– A teraz co? – zapytała drwiąco. – Nagle jestem wystarczająco silna?!

Jesteś coraz silniejsza, przyznały z niechętnym podziwem. Zmieniasz się. Ale w końcu płynie przecież w tobie krew tamtych wspaniałych ludzi. Coś musiałaś po nich odziedziczyć...

– Oprócz bezczelnych, starych wierzei w głowie? – wpadła im złośliwie w słowo królowa. Jeśli sądziła, że to, czego dowiedziała się w Twierdzy, zatrzęsło jej światem, to co miała powiedzieć teraz? Od setek lat los wyzywał się na jej rodzice i pewnie wcale nie zamierzał przestać. Na domiar tego wszystkiego gdzieś w głowie kołatała się myśl, że Wrota miały rację. Gdyby powiedziały jej to wszystko wcześniej... Sama nie była w stanie wyobrazić sobie, co by zrobiła, ale pewnie byłoby to coś głupiego i tchórzliwego. Ale teraz naprawdę była silniejsza. Nawet one to przyznały. Uchwyciła się tej myśli niczym kotwicy utrzymującej świat na właściwym miejscu. Jest silna. Da sobie radę. Ze wszystkim. Jeśli los chce z nią zadrzeć, to proszę bardzo, ona zadrze z losem. I zobaczymy, kto tego będzie bardziej żałował.

Wrota milczały, dając jej czas na przetrwanie tego wszystkiego, co od nich usłyszała.

– Jedno mnie zastanawia – odezwała się po chwili Salianka. – Skoro moi przodkowie wyszli z Twierdzy, skoro wiedzieli, że to ich więzienie, to dlaczego tam wrócili?

Z tego samego powodu, dla którego ty wróciłaś tam raz i teraz też tam wrócisz, wyjaśniły Wrota. To był ich dom.

W lesie coś zawyło. Królowa wzdrygnęła się nerwowo, ale niepokój zaraz minął. Tym razem nie miała się czego bać. Lasy wokół Twierdzy nie były z pewnością bezpieczne, ale tym razem Saliance towarzyszył Virven. A on, była tego pewna, był daleko groźniejszy niż jakikolwiek leśny potwór.

* * *

Krzyk był potwornie głośny, do tego jednostajny i brzmiał mniej więcej: „AAAaaaaaaaAAaaaPooooomooooocyyyyy”. Zasnana Salianka usiadła i zamrugowała nieprzytomnie. Poprzedniej nocy znaleźli ustronną polankę i rozbili coś, co raczej nie zasługiwało na miano obozu. Virven po prostu rzucił na murawę koc, a królowa poszła spać, wcześniej nakazując demonowi mieć oczy i uszy szeroko otwarte, a ewentualnych morderstw dokonywać w ciszy i oddaleniu żeby nie zakłócać snu, ale i nie pozostawiać jej na pastwę

leśnych stworów. Teraz miała wrażenie, że te życzenia nie zostały uwzględnione.

– Virven? – zapytała sennie i odrobinę podejrzliwie.

– Tutaj. – Demon wspiął się prawie na czubek drzewa i obserwował okolicę.

– To nie ty? – upewniła się Salianka. – To kto tak wrzeszczy? Myślałam, że robisz komuś krzywdę.

– Jakiś stwór goni żabę – wyjaśnił Virven, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć. Obserwowanie, jak ktoś kogoś morduje, było prawie tak zabawne jak mordowanie kogoś osobiście.

– Ale kto tak wrzeszczy? – chciała wiedzieć królowna. Ani żaby, ani potwory nie zwykły krzyżeć. Już prędzej ryczeć albo kumkać.

– Żaba – odparł krótko.

– Nie rób sobie ze mnie głupich żartów o tak upiornie wczesnej porze. – Salianka właśnie spojrzała przytomniej na świat i stwierdziła, że dopiero zacznie świtać. – Żaby nie wrzeszczą.

– Ta wrzeszczy – powiedział spokojnie demon. – I jeszcze ma koronę.

– Koronę? – zmarszczyła brwi królowna. Coś jej to przypominało, ale skandalicznie wczesna pora nie sprzyjała myśleniu.

Koronę! – skojarzyły sobie Wrota i przepchnęły się na przód umysłu Salianki.

– *To Jontek! Ratuj go, natychmiast!* – rozkazały.

Virven jednym skokiem znalazł się na ziemi i wbiegł między drzewa.

– I wracaj szybko – zawołała za nim królowna, kiedy odzyskała kontrolę nad własnymi ustami.

Wraz z odejściem demona las gwałtownie przestał jej się podobać. Drzewa szumiały bardziej złowrogo, gałęzie przybierały podejrzane kształty, a szary przedświt zamiast obietnicy jasnego dnia niósł ze sobą zamgloną groźbę. Wszystko zdawało się być o wiele większe, drapieżniejsze i bardziej chętne do spożycia samotnej dziewczyny.

– Świetna robota – jęknęła zgryźliwie Salianka, wygrzebując się ze swojego posłania. Wstała i przytuliła się do szyi Wiatrobiegłego, który był dzielnym księżęcym rumakiem i nie zwracał uwagi na takie drobiazgi jak ponura atmosfera.

– Virven uratuje Jontka, a kto uratuje nas?

E tam, parę kreatur w lesie, nie ma się czego bać, zlekceważyły jej obawy Wrota. Dasz sobie z nimi radę sama, a ostatecznie możemy się na chwilę otworzyć.

– Ale jesteście łaskawe – odburknęła królowna, ale Wrota jej nie słuchały.

Ciiiiii!! – uciszyły ją gwałtownie. *Słyszysz?*

– Co? – Zdezorientowana Salianka rozejrzała się wokoło, na wypadek gdyby z krzaków wybiegł jakiś głodny stwór. Zdążyła się nawet zastanowić, czy w takim wypadku dałaby radę wskoczyć na grzbiet konia i uciec. Trzeźwo musiała przyznać, że nie i pewnie skończyłaby jako czyjś posiłek, zakładając oczywiście, że Virven nie wróciłby akurat w porę, żeby temu czemuś rozszarpać gardło.

Nic nie zobaczyła, ale posłusznie zaczęła nasłuchiwać. Gdzieś w górze rozlegał się wizz, albo może świst, coraz głośniejszy i przybliżający się gwałtownie. Królowna zadarła głowę.

– Co... – Wrota nie dały jej dokończyć. Wepchnęły się na przód jej umysłu.

– *Demon leci!* – krzyknęły, dając nura w najbliższe zarośla.

Nad polaną przeleciało coś z dużą prędkością, zmierzając do Twierdzy. Poruszało się tak prędko, że nie można było stwierdzić, co to jest.

Kiedy świst wreszcie ucichł, Salianka wyrzuciła Wrota na tył umysłu i odzyskała kontrolę nad swoim ciałem. W pierwszej kolejności wypłuła mech, w który Wrota wcisnęły jej twarz.

– Przecież one lecą do Twierdzy jak ćmy do płomienia – powiedziała gniewnie. – A nas już w Twierdzy nie ma!

A jak zbroczą z drogi? – podsunęły Wrota. *Stała czujność to podstawa!*

– Stała czujność – mruknęła królowna, podnosząc się z mchu. Poślizgnęła się na wilgotnej ściółce i ponownie wylądowała twarzą w ziemi. Za drugim razem też by się jej pewnie nie udało wstać, gdyby nie czyjaś ręka; która chwyciła ją za suknię i skutecznie, chociaż brutalnie wyciągnęła z krzaków. Ręka należała do Virvena. W drugiej ścisłał rozpaczliwie wyrywającą się żabę w koronie.

– Macie swojego Jontka.

Salianka zajęła się otrzepywaniem sukni. Wrota radośnie wypchnęły ją na tyły umysłu.

Jontek przestał się szarpać, bo dostrzegł znajomą postać.

– Wielka czarodziejka Wrota! – zakumkał radośnie. – Ratuj mnie, błagam, z łap tego potwora.

– *To mój potwór, nic ci nie robi* – powiedziały uspokajająco Wrota. – *No, puść go* – szturchnęła Virvena. Demon posłuchał.

Jontek podskoczył parę razy radośnie i usiadł na pniu.

– Cudnie, że cię spotkałem – powiedział z uczuciem. – Odczarujesz mnie?

Wrota lekko zbaraniały. Na szarym końcu własnego umysłu zbaraniała też Salianka.

– *Przecież ostatnio mówiłeś, żeby cię nie odczarowywać* – przypomniała wielka czarodziejka. – *Panienki lecą na gości w koronach, czy jak to szło.*

– To już przeszłość – wyznał pastuch. – Dojrzałem. Poza tym teraz mam gospodarstwo, majątek, odpowiedzialność. Nie potrzebuję jakiejś niezyciowej, przygłupiej babki, co da się złapać na numer z żabą i koroną. Potrzebuję solidnej i rozsądnej kobiety. Nie znajdę takiej, będąc żabą.

– *No racja* – zgodziły się ostrożnie Wrota.

– To co? – Jontek zatarł łapki. – Czarujesz?

– *Skoro chcesz* – zgodziły się Wrota i odczarowały go. Skoncentrowały się i uchyliły trochę szerzej. Za nimi coś już musiało czekać, ale nie pozwoliły demonowi wyrwać się na zewnątrz. Wypuściły go odrobinę, a gdy tylko zaczerpnęły jego mocy, odepchnęły stwora z powrotem do piekieł i zamknęły się, zostawiając tylko maleńką szparę, przez którą nie mógł

wyjsć.

W jednej chwili na miejscu żaby stanął rośl, kanciasty młodzian z burą grzywką opadającą na czoło. Obejrzał z zachwytem wszystkie swoje ludzkie kończyny i podskoczył parę razy z entuzjazmu, a zapewne także z przyzwyczajenia.

– Dzięki, dzięki przeogromne – powiedział. – Jesteś dziesięć razy lepsza od tej tam, lafiryndy. Co ja mówię, dwadzieścia!

– *Od jakiej lafiryndy?* – zainteresowały się Wrota.

– No tej, co mnie kiedyś w żabę zmieniła – wyjaśnił Jontek. – A teraz nie chciała odczarować, bo jako żaba nie mogłem jej w gospodarstwie odharować za czar. Upierała się, że zapłatę pobiera z góry, bo w dzisiejszych czasach ludziom nie można wierzyć. Mieszka tu niedaleko. – Machnął ręką w kierunku ciemnej gęstwiny.

Kiedy odchodził, oglądając się za siebie, krokiem już nie żabim, ale jeszcze nie do końca ludzkim, Wrota machały mu energicznie, a kiedy znikł im z oczu, obejrzały się na ciemny gąszcz.

„Nie”, powiedziała królowna tonem w zamyśle twardym i stanowczym, w rzeczywistości trochę za bardzo błagalnym.

– *To pewnie ta sama czarodziejka, o której mówił Gawarek* – zauważyły Wrota, coraz bardziej podekscytowane.

„Nie”, uparła się Salianka.

– *A dlaczego nie?* – zainteresowały się Wrota. – *Siedzimy w gąszczu i gapimy się na Twierdzą, to samo pewnie będziemy robić jutro. Co nam szkodzi obejrzeć sobie prawdziwą czarodziejkę?*

Królowna rozważyła nowy punkt widzenia. Kolejne dni zapowiadały się, co tu dużo mówić, nudno. Czarodziejka nie była chyba groźna, skoro nawet magicznego miecza nie potrafiła porządnie zaczarować. Trudno sobie zresztą wyobrazić jako niebezpiecznego kogoś, kto w zamian za czar każe klientowi przerzucać gnój. Ktoś taki musiał być dziwaczny, a nawet warty obejrzenia.

„Zgoda”, powiedziała wreszcie. „Ale wynocha na tyły!”

– *Dobrze, dobrze* – zgodziły się skwapliwie.

Salianka odzyskała kontrolę nad własnym ciałem i odwróciła się do Virvena, który cierpliwie przeczekiwał jej dyskusje z Wrotami. Wyglądało na to, że już się do tego przyzwyczaił.

– Idziemy szukać czarodziejki – oznajmiła dostojnie. – Gdzieś tu mieszka.

– Co z końmi? – zapytał.

– Idą z nami, oczywiście.

– Będą przeszkadzać.

– Nie zostawię zwierząt samych w lesie pełnym potworów! – zaciętrzewiła się królowna.

– Bierz konie i idziemy szukać tej czarodziejki, ale już!

* * *

– Miało być niedaleko – jęknęła Salianka po dwóch godzinach włóczenia się po lesie. Wszystkie drzewa wyglądały tak samo, ściółka złośliwie uginała się pod stopami i oczywiście nie było nikogo, kogo można byłoby zapytać o drogę.

Odległość jest rzeczą względną, pouczyły ją Wrota.

– Zamknijcie się – warknęła królowna, ich mentorski ton działał jej na nerwy. Mogły sobie wygłaszać takie uwagi, w końcu to nie je bolały nogi i to nie one co chwila ślizgały się na wilgotnych liściach. – Takie ruiny w lesie powinny być łatwe do znalezienia.

W tym momencie potknęła się i runęła na ziemię.

– Znowu – warknęła, wypływając mech. – Mogłeś mnie złapać – wytknęła Virvenowi.

Wzruszył ramionami, dając w ten sposób jasno do zrozumienia, że takie drobiazgi jak chronienie jej przed nabiciem sobie siniaka nie wchodzi w zakres jego obowiązków. Co innego, gdyby zniecka zaatakował ją jakiś potwór. Wtedy demon z radością rzuciłby się na ratunek, szatkując bestię przy pomocy swojego podręcznego arsenału.

– Prowadzę konie – powiedział obojętnie. – Mam zajęte ręce.

Królowna wydała z siebie coś pomiędzy jękiem a warczeniem i sama podniosła się z ziemi. Przy okazji zerknęła na rzecz, o którą się potknęła.

Znaleźliśmy ruiny, ucieszyły się Wrota.

– To? – Salianka podejrzliwie obejrzała kawałek omszałego murku, całkiem skryty pod pierzynką mchu. Gdyby się przez niego nie przewróciła, pewnie w ogóle by nie wiedziała, że tam cokolwiek jest. – A ta czarodziejka to jest pewnie małym, skurczonym krasnoludkiem?

– Nie obrażaj krasnoludków! – Przechodzący nieopodal skrzat w czerwonej czapeczce pokazał jej język. – Bo nie urośniesz!

Spytaj go o drogę, przynagliły Wrota.

– Ej, ty – posłusznie zawołała za karzełkiem królowna. Przykurcz nie wydawał jej się wiarygodnym źródłem informacji, ale nikogo innego w pobliżu nie było. – Do czarodziejki to którądy?

– Prosto, wy wyrostki jedne. – Krasnoludek zadarł dumnie brodę i poszedł sobie.

– Wyglądał nieźle – stwierdził Virven, patrząc krytycznie na znikającą w krzakach czapeczkę. – Jak na przekąskę. – Nie był wybredny i w przypadku braku potworów chętnie wypróbowałby broń na skrzacie.

– Ani się waż. – Mordowanie leśnych ludków wydawało jej się odrobinę niewłaściwe. Poza tym zajęłoby pewnie trochę czasu, demon był pod tym względem jak kot: uwielbiał bawić się swoją ofiarą. – Idziemy.

Potykała się jeszcze kilka razy, ale udawało jej się unikać upadków. Murki stały się coraz wyższe, z zarośli wyglądały też na wpełn zwalone arkady, ale po czarodziejce nie było

śladu.

– Pewnie chodziło o jakieś zupełnie inne ruiny – stwierdziła z rezygnacją królowna. – Wracamy.

– To tu – powiedział Virven. – Czuć dym.

Salianka bezskutecznie próbowała coś wywęszyć. Nocleg w lesie zaowocował katarem. Miała zatkany nos i przez to mocno upośledzony węch.

– Nic nie czuję – mruknęła.

– Ludzie mają marne i zawodne zmysły – wyjaśnił pogardliwie demon. – Ktoś pali tam ognisko. – Wskazał na wyższy kawałek muru i gąszcz splątanych roślin za nim. – Jedna osoba.

Królowna zastanowiła się. Virvenowi z całą pewnością można było wierzyć, skoro mówił, że ktoś tam jest, że pali ognisko, to ktoś tam był i palił ognisko. Nie musiała być to koniecznie czarodziejka, ale kto inny siedziałby w leśnej głuszy przy tych... ruinach ruin.

– Skoro tak mówisz. Zostań tu, tylko tego brakuje, żebyś mi wystraszył czarodziejkę. – Podkasała spódnicę i zaczęła przedzierać się w stronę hipotetycznego ogniska. Droga, pozornie łatwa, była prawdziwym utrapieniem. Resztki murów chowały się bezczelnie pod mchem i ściółką, kolczaste gałęzie drapały niemiłosiernie po nogach. Z drzew zwisały wilgotne pajęczyny. Salianka nie widziała nawet, dokąd idzie, zbyt była zajęta odgarnianiem ich z twarzy.

– Coś mu się musiało pomylić – oznajmiła, kiedy kolejna gałązka przyłożyła jej w nos. Wiedziała, że na pomyłkę demona nie ma co liczyć, ale droga, a raczej jej brak zniechęcał do wysiłków.

Nie, to tu, powiedziały pospiesznie Wrota. Nie słyszysz?

Salianka posłusznie zaczęła nasłuchiwać. Nie znała się na przyrodzie i trudno było jej odróżnić, co przynależy do właściwych dźwięków lasu, a co jest tu obce. Udało jej się rozpoznać szum drzew i jeszcze inny dźwięk, znajomy, kojarzący się z łupieżcami wracającymi z jakiegoś rabunku. W rezultacie tego nasłuchiwania przekradła się za zwaloną kolumnę, nad którą malowniczo wyrosła wierzba płacząca. Po rozchyleniu zwieszających się aż do ziemi gałęzi ujrzała niewielką polankę, na której stała schludna, choć skromna chatka, kurnik, obórka i studnia z żurawiem. Pośród rozwrzeszczanego drobiu miotła się wysoka kobieta, co rusz pociągając z dzbana. Czarodziejka, jeśli to ona była, błyszczała blaskiem mocno zużytej urody. Miała jasne włosy utrefione w wymyślne loki. Z bladej twarzy sterczały ostry nos i ostra broda. Kiedy już królownie udało się oderwać wzrok od tych najbardziej wystających elementów fizjonomii, poraził ją widok misternie uczernionych oczu i uczerwionych ust. Na policzkach kwitł sztuczny rumieniec. Suknię miała strojną, ale odrobinę zbyt wyuzdaną.

To jest ta czarodziejka? – zdziwiły się Wrota i zamilkły nagle.

– Chyba tak – stwierdziła z lekkimi oporami królowna. Postać wśród kurczaków nie

pasowała do ogólnie przyjętego wizerunku dobrych czarodziejek. W bajkach takie osoby opisywano jako zwiewne, słodkie i piękne istoty, obdarzone do tego pełnym słodczy uśmiechem. Próżno było szukać takich cech w karmiącej drób kobiecie. Za to określenie „podstarzała lafirynda” przystawało jak ulał. – Jakoś nie wydaje mi się, żeby normalna kobieta tak się stroiła do karmienia kur.

Przypuszczalna czarodziejka odwróciła się, ukazując swój wyjątkowo charakterystyczny i łatwy do zapamiętania profil, przywodzący na myśl półksiężyc z jednym dodatkowym rogiem pośrodku.

O rany, powiedziały Wrota tonem śmiertelnego zdumienia.

– Co? – zainteresowała się Salianka.

Nie pamiętasz jej? – zapytały z nieśmiałą nadzieją.

– Nigdy jej nie widziałam!

Dzięki nam masz wspomnienia wszystkich przodków, przypomniały.

– Ale do nich nie zaglądam. Jeszcze bym oszalała, tyle tego jest! – oburzyła się królowna.

Mogłabyś zrobić wyjątek, zasugerowały.

– Niby dlaczego? – zapytała podejrzliwie.

Zrób, poradziły z naciskiem Wrota jakimś niepokojąco dziwnym tonem.

– Dobra, niech wam będzie – poddała się Salianka. – Ale może chociaż dacie mi jakąś wskazówkę?

Dwadzieścia trzy pokolenia to masa czasu, przeglądanie wszystkich wspomnień mogło potrwać.

Wspomnienia twojego ojca, jeszcze zanim został opętany, jakieś dwadzieścia lat temu, powiedziały.

– No dobrze. – Salianka skupiła się na przeszukiwaniu pamięci poprzednich władców Twierdzy, a przynajmniej tego, co zapisało się we Wrotach.

Wrażenie było jedyne w swoim rodzaju, coś pomiędzy gubieniem się w labiryncie a grzebaniem w cudzych szufladach. Wystarczyło się chwilę zagapić, a wspomnienia wypełniały się krwią. Dwadzieścia trzy pokolenia wiodły ciekawe życia, polegające głównie na wysyłaniu innych do diabła w możliwie interesujący sposób. Salianka otrząsnęła się z tych wizji. Dwadzieścia lat temu... Kiedy już trafiła na szufladę ze wspomnieniami swojego ojca, było względnie łatwo. Większą część swojego życia był opętany. Tak naprawdę sobą bywał tylko chwilami. Pomiędzy tymi przebłyskami następowały długie tygodnie, a czasami nawet miesiące, kiedy pozostawał we władzy demonów. Wystarczyło sobie tylko przypominać jeden wycinek po drugim. Aż do tego właściwego.

Co tak długo? – zniecierpliwiły się Wrota.

Królowna ich nie słuchała. Kompletnie była zatopiona w nie swoich wspomnieniach.

– Mamo?! – wyrwało jej się mimowolnie.

Ciii! – syknęły nerwowo Wrota.

Salianka przestała zwracać na nie uwagę. Naprawdę miała ważniejsze sprawy na głowie: choćby niebo, które nagle się na nią zważyło.

Wylazła spod wierzby, potykając się o resztki kolumny. Jakoś udało jej się nie przewrócić i dotrzeć na skraj polanki.

– Mamo?! – powtórzyła, tym razem głośniej.

Czarodziejka wzdrygnęła się nerwowo, odwróciła w kierunku nadchodzącej. Zmrużyła oczy, żeby dojrzeć, kto idzie, a jak już dojrzała, to kilkoma kopniakami rozpędziła kury.

– Szukasz matki, dziewczeczko? – zapytała przymilnie. Głos miała piskliwy i sztucznie wymodulowany, przypominający swoim brzmieniem wrzask drobiu.

– Nie szukam. Ale przypadkiem znalazłam – stwierdziła gorzko królowna. – Do głowy by mi nie przyszło, żeby cię szukać. Założyłam z góry, że nie żyjesz już od dawna, dajmy na to, zatłuczona przez mojego opętanego ojca. W życiu bym nie przypuszczała, że karmisz radośnie kury gdzieś w ruinach, i to tak blisko Twierdzy! Tylko tego mi brakowało. Dowiedzieć się, że moja rodzona matka porzuciła mnie na pastwę Rady i pełnego demonów ojca, żeby w lesie nabierać na swoje niby-czary naiwnych młodzieniaszków!

– Tylko nie niby-czary – zdenerwowała się natychmiast czarodziejka. Jakoś się jednak opanowała. Przyjrzała się Saliance dokładnie, badawczo i podejrzliwie. – Moje dziecko? – spytała niepewnie.

– No świetnie! – wkurzyła się królowna, czyniąc gest, jakby miała zamiar powyrywać sobie włosy z głowy. Sama nie wiedziała, wrzeszczeć ze złości czy płakać z żalu. Wybrała to pierwsze: wołała być już wściekła na swoją wyrodną rodzicielkę, niż rozpaczać nad tym, że nawet własna matka jej nie chciała. – Nawet nie wiesz, jak mam na imię! – wytknęła. Pierwsze łzy, które nieśmiało napłynęły jej do oczu, od razu wyparowały, bo dziewczyna zaczęła niemal gotować się ze złości.

– Oczywiście, że wiem – obraziła się czarodziejka, chwytając się smukłą, choć już pomarszczoną dłonią za serce w geście obrazującym jej dogłębnie zranione uczucia. – Zaraz... zaraz... – Zmarszczyła swoje wymalowane brwi. – Euadora! – wykrzyknęła triumfalnie.

Zaraz przekonała się, że to nie była właściwa odpowiedź. Spojrzenie, jakim obrzuciła ją Salianka, wystarczyło do sprowadzenia lodowca na co najmniej trzy najbliższe królestwa.

– Ja w każdym razie zawsze chciałam cię tak nazwać – dodała obronnie czarodziejka.

– Do widzenia, mamó – rzuciła drewnianym głosem królowna. Odwróciła się i już miała odejść, ale przystanęła jeszcze, żeby rzucić na matkę ostatnie, pełne jadu i pretensji spojrzenie. – Powiedziałabym, że miło cię było poznać, ale nie chce mi się kłamać – dodała tonem kogoś, kto ma naprawdę, ale to już naprawdę wszystkiego dość.

– Stój! – Czarodziejka rączym i w zamyśle wdzięcznym skokiem zastąpiła jej drogę. – Po tylu latach odnalazłyśmy się przypadkiem, a ty tak po prostu odchodzisz? Nie chcesz wiedzieć, co u mnie słychać? – Zamrugała filuternie podkręconymi i prawdopodobnie sztucznymi rzęsami. Najwyraźniej był to jedyny sposób, w jaki okazywała życzliwe uczucia.

– Nie – odpowiedziała jej córka z absolutną pewnością.

– Nie zapytasz nawet, dlaczego cię... ehram... hmmm... porzuciłam? – czarodziejka nie zamierzała się poddawać, choć widać było wyraźnie, że pewne rzeczy z trudem przychodzą jej na myśl, a z jeszcze większym trudem przechodzą przez usta.

– I bez tego mam dość problemów w życiu – westchnęła Salianka. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to taka matka: wypacykowana niczym paleta malarza, z adekwatnym do wyglądu charakterkiem, nabierająca nieszczęsnych młodzieńców na niby-czary, żeby skłonić ich do pomocy w gospodarstwie. Postanowiła odejść stąd natychmiast, przenieść się na drugą stronę lasu i udawać, że jej nigdy nie spotkała. Dowiedziała się już wystarczająco wielu strasznych rzeczy o swojej przeszłości, o przeszłości całego swojego rodu. Lepiej było nie dodawać do tego podstarzałej kurtyzany.

– Moja córeczka ma problemy? – zatroszczyła się czarodziejka. Na jej twarzy pojawił się grymas mający znamionować szczerą troskę. Kilkuwarstwowy makijaż nie przewidywał wykonywania jakichkolwiek min, więc na białej warstwie pudru pojawiło się kilka pęknięć. – Nic się nie przejmuj, mamusia zrobi ci wywar miłosny i raz-dwa ten głupiec będzie twój.

– Jaki głupiec? – Królowna była lekko zdezorientowana, aż się zatrzymała, patrząc na czarodziejkę pełnym niezrozumienia wzrokiem.

– Ten, który złamał ci serce, oczywiście – wyjaśniła jej matka jak tępiej krowie na miedzy.

– Nikt mi nie złamał serca – stwierdziła Salianka. *Widzisz*, wtrąciły optymistycznie Wrota, *przynajmniej jedno nieszczęście cię w życiu ominęło.*

– Przynajmniej wy się zamknijcie – mruknęła królowna. Co do nieszczęścia, to miały rację, chociaż nie zamierzała tego głośno przyznawać. Miała podłe życie, wierzeje do piekieł w głowie, prześladowały ją demony, egzorcyści, Rada (choć oni ostatnio mniej), a masa dobrych z definicji ludzi pałała do niej nienawiścią, ale przynajmniej serce miała całe. Teraz spotkała ją osobista tragedia. Może dla niektórych odnalezienie zaginionej matki byłoby powodem do świętowania, ale nie dla Salianki. Ona była pewna: to było kolejne nieszczęście. Chciała je sobie przeżyć w samotności, a ponieważ ze względu na obecność Wrót było to niemożliwe, to przynajmniej w ciszy.

Czarodziejka spojrzała na nią przenikliwie.

– Masz TO w głowie – wytknęła, celując oskarżycielsko palcem w ciało królowny, a konkretniej we Wrota.

– To jest dziedziczne – warknęła Salianka. Nie podobał jej się oskarżycielski ton, w końcu jej nikt nie pytał, czy chce TO w głowie mieć. W związku z tym nikt nie miał prawa mieć o TO do niej pretensji.

– Czyli twój ojciec nie żyje. – Czarodziejka nie wydawała się specjalnie zmartwiona. – Cóż, trudno. Zawsze był strasznie denerwujący – stwierdziła obojętnie.

– Mało się przeżyłaś jego śmiercią – powiedziała podejrzliwie królowna. W końcu coś

musiało łączyć ojca z tą kobietą, inaczej jej by na świecie nie było!

– Niezbyt go lubiłam – wyjaśniła matka.

– Niezbyt? – Saliance na takie stwierdzenie po prostu opadły ręce. – A skąd ja się w tym wszystkim wzięłam?

– Ech – czarodziejka tylko machnęła lekceważąco ręką. – Chwila nieodpowiedzialnej namiętności. Porwał mnie, rozumiesz, żeby zrobić na złość wielkiemu wojownikowi Lugowi... tak, wtedy to był wielki wojownik Lug. Więził mnie w Twierdzy ze trzy dni, zanim Lug mnie odbił, i był taki pociągająco stanowczy, kiedy żądał, żebym wyjawiała mu wszystkie tajemnice obrońcy Dolin. – Zagapiła się rozmarzonym wzrokiem w dal.

Królowna też spojrzała w dal, ale nie było tam nic interesującego, więc odchrząknęła głośno i znacząco.

Czarodziejka niechętnie i z oporami oderwała się od rozmyślań.

– O czym to ja... A, o twoim ojcu. Sama rozumiesz, że ja, wielka czarodziejka, patronka obrońców Dolin, nie mogłam oficjalnie mieć bękarta z głównym wrogiem królestwa. Poza tym byłaś strasznie niekomunikatywnym dzieckiem. Taki drewniany klocek. No i za ładna też nie byłaś...

– Zapewne urodę odziedziczyłam po mamusi – zgrzytnęła zębami Salianka. Może i rzeczywiście była niekomunikatywnym klokiem, ale w końcu to nie była jej wina, tylko Wrót, a właściwie to także rodziców. Przecież musieli wiedzieć, że Strażnik zyskuje świadomość dopiero z chwilą przyjęcia do swojego umysłu Wrót. To było jak choroba dziedziczna i to oni byli odpowiedzialni za przekazywanie jej następnym pokoleniom. Posiadanie matki miało przynajmniej jedną zaletę. Miała kogoś, kogo mogła winić za całe zło swojego życia.

– Wstrętna smarkula – skrzywiła się czarodziejka. – Nie pyskuj, bo zamienię cię w żabę.

– To może jeszcze potrafisz. Bo na patronkę obrońców Dolin to już jesteś za słaba. Latek nie ubywa, co? – zauważyła złośliwie królowna. Kłócenie się z tą wymalowaną kukłą przychodziło jej tak naturalnie, jakby nic innego przez całe życie nie robiła.

– Jak śmiesz! – Czarodziejka poczerwieniała, i to tak bardzo, że było to widać pod grubą warstwą białego pudru. – Ja, ja dałam młodemu księciu miecz! – Położyła sobie patetycznie dłoń na podwiedłej piersi, na której obcisła suknia bezskutecznie usiłowała się opinać. – Dzięki niemu zmienia się w wielkiego wojownika... jak mu tam... Ulka, obrońcę Dolin!

– Akurat – parsknęła Salianka. – Dużo by mu przyszło z tego zardzewiałego miecza, gdybym nie zaklęła w niego demona!

To my zaklęliśmy demona, sprostowały urażone Wrota.

– Zamknijcie się – warknęła pod nosem królowna. Nie miała teraz zdrowia ani głowy do Wrót, zresztą, wszyscy i tak czynili ją odpowiedzialną za to, co one wyprawiały. Co jej szkodziło raz się wreszcie do tej odpowiedzialności przyznać.

– Bezczelna! Niewdzięczna! – czarodziejce aż zabrakło tchu.

– Wyrodna matka! – Salianka nie pozostała jej dłużna.

– Mam ją zabić? – zainteresował się Virven, który od dłuższego czasu przysłuchiwał się rozmowie. Stał sobie z boku, oparty o kurnik, a przerażony drób uciekał na drugą stronę podwórka, słusznie wyczuwając drapieżnika.

– Kazałam ci czekać – przypomniała królowa. Do niego też nie miała głowy. W ogóle co on tu robił, powinien grzecznie warować przy koniach. Salianka miała zamiar lada chwila zostawić swoją przybitą matkę jej nędzemu losowi, odejść z godnością i natychmiast stąd odjechać. A teraz, zamiast sobie po prostu pójść, będzie musiała Virvena odciągać od przedstawienia, które w widoczny sposób mu się podobało. Pewnie miał nadzieję, że lada chwila matka i córka skoczą sobie do oczu.

Demon wzruszył ramionami, nieświadomy widać sprecyzowanych planów swojej Pani.

– Nudziło mi się.

– Gust to masz po mnie – stwierdziła czarodziejka, obchodząc Virvena wokół. Momentalnie straciła zainteresowanie córką i zajęła się mruganiem rzęsami i kręceniem biodrami. – Skąd wzięłaś takiego przystojniaczka? – uśmiechnęła się szeroko i zalotnie.

– Z piekła – odburknęła Salianka. Obserwowanie własnej matki mizdrzącej się niczym podstarzała lafirynda do młodzieniaszka napawało ją niesmakiem. Nieważne, że Virven byle jakim młodzieniaszkiem nie był.

– Ach, to stąd ta dziwna aura. A ja to wzięłam za taki zwierzęcy magnetyzm – czarodziejka nie przejęła się specjalnie. Dalej trzepotała rzęsami. – Ma może brata?

– No wiesz co! – jęknęła królowa. Tego już było za dużo.

– Tylko żartowałam, tylko żartowałam – zarzekła się natychmiast czarodziejka. – Masz? – szepnęła konspiracyjnie do demona.

– Pięciuset sześćdziesięciu trzech. – Nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem.

– Mamo! – warknęła Salianka, tracąc resztki cierpliwości.

– To naprawdę twoja matka? – zainteresował się Virven, patrząc na obie jak na jakąś zoologiczną osobliwość.

– Nie – burknęła królowa. – To taka jedna zwariowana lafirynda.

Czarodziejka wydała okrzyk świętego oburzenia, co niewiele jej dało, bo Salianka, głucha na wszystko, co działo się wokół niej, uparcie wpatrywała się tragicznym spojrzeniem w bliżej niesprecyzowany horyzont. Wyglądała jak ktoś, kto dostał tępym narzędziem po głowie, a teraz z braku lepszych pomysłów czeka na następny cios. Oprócz tego na kilometr biła z niej desperacja i determinacja, żeby to wszystko jakoś wreszcie zakończyć, w miarę możliwości bez jej udziału.

– Jestem wspaniała Pawlinka – powiedziała dumnie czarodziejka, godząc się z tym, że ciężar podtrzymania rozmowy spadł tylko i wyłącznie na jej barki. – Pani wielkich mocy, strażniczka potęgi i patronka obrońców Dolin.

Królowa, nie odrywając wzroku od horyzontu, prychnęła pogardliwie.

– A także matka tu obecnej, cudownie odnalezionej po latach rozłąki Euadory – dodała natychmiast Pawlinka, tonem jeszcze bardziej afektowanym.

Królowna prychnęła głośniej i stanowczym krokiem ruszyła z powrotem do ruin.

– Salianki – sprostował Virven, odrywając się od kurnika.

– Salianka. – Czarodziejka zmarszczyła brwi. – Też może być, choć wolałabym Euadorę. Wracaj! – zawołała tęsknym głosem za odchodzącą królowną. – Niech ci będzie, nie jesteś bękartem, tylko... dzieckiem namiętności! Chwilowej co prawda i będącej skutkiem obustronnego zidiocenia, ale zawsze – dodała.

– Wielkie dzięki – burknęła Salianka, ale zatrzymała się. Tylko zatrzymała. Nie raczyła się nawet odwrócić.

– Napijemy się czegoś – zaproponowała życzliwie i gościnnie Pawlinka. Dobre chęci aż jej parowały uszami. – Chodźcie, ty i ten twój...

– Faworyt – podpowiedział demon.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – roześmiała się perliście czarodziejka, potrząsając sztywnymi lokami.

– Daleko, oj, daleko – wpadła jej w słowo królowna. Zdecydowała się odwrócić, a nawet podejść bliżej, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Rozsądniej byłoby wynieść się na drugi koniec świata. – Nie śmiem nawet przypuszczać, do czego służyli faworyci za czasów twojej raczej odległej młodości, ale aktualnie nazywamy tak w Twierdzy kogoś, kto uparcie morduje członków Rady.

– Faktycznie – zgodziła się Pawlinka. – Za czasów mojej nie tak odległej młodości było weselej. – Uchyliła drzwiczki od chatki.

Wnętrze domku wyglądało jak sen pozbawionego gustu, rozpieszczonego i uwielbiającego słodczyce dzieciaka, ozdobiony na dokładkę wszystkim tym, co w teorii nadaje buduarowi damy szczególną atmosferę. Ściany były różowe, przy czym stara farba już odpadała, odsłaniając poprzednią warstwę (błękit z wymalowanymi chmurkami). Przy oknach zawieszono ciężkie aksamitne story, porastające mchem i kurzem. W fikuśnym wazonie wędły kwiaty, a poplamiony obrus na stole był haftowany w kupidyny.

Saliankę na widok czegoś takiego zamurowało. Zatrzymała się w drzwiach niepewna, czy wchodzenie dalej nie grozi czymś strasznym. Do domku wepchnął ją Virven, który po ludziach spodziewał się wszystkiego, więc nic nie było w stanie go zaskoczyć.

Pawlinka przeszła niby-tanecznym krokiem po dywanie, który kiedyś był puchaty, a teraz straszyl posklejanym włosiem, i uchyliła skrzypiące drzwiczki prowadzące, jak się okazało, do spiżarni.

– Piwo? Wino? – zaproponowała gościnnie.

– Masz mleko? – zainteresowała się Salianka, siadając przy stole. Wyhaftowany na obrusie kupidyn gapił się na nią, zezując.

– Przecież jesteś już dorosła – przypomniała czarodziejka, uśmiechając się dobrotliwie.

Doszła właśnie do etapu, w którym zaczynała jej się podobać posiadanie dziecka, i zaczynała odgrywać rolę wspaniałej matkującej mentorki.

– I mam w głowie Wrota do piekieł, których nie chciałabym przypadkiem otworzyć – przypomniała jej córka. Nie podobało jej się to nowe wcielenie Pawlinki, niewiele zresztą różniło się od poprzedniego. Nawet rzęsami mrugała tak samo, choć w zamierzeniu nie chciała już prezentować zalotności, ale przyjaźń i wyrozumiałość.

– No tak. – Pawlinka pochyliła się, opierając dłonie o stół, i zajrzała jej w oczy. – Siedzą tam. I co się gagicie? – spytała Wrót.

– *Sama się gapisz* – odparowały Wrota, przepychając się na przód umysłu królowy. Łatwo można było poznać, że nie przepadają za czarodziejką.

– Wynocha – Salianka brutalnie wyrzuciła je do tyłu. – Widzisz przeze mnie Wrota? – zapytała matkę. To była nowość. Nikt wcześniej nie dostrzegwał Wrót, chociaż wszyscy w Twierdzy naturalnie wiedzieli, że one tam są. Nikt nie zaglądał do jej umysłu, żeby je zobaczyć, nikt nawet nie zakładał, że mogą one mieć osobowość, być czymś więcej niż tylko przejściem do piekieł.

– W końcu jestem potężną czarodziejką, prawda? – Pawlinka zaśmiała się serdecznie, zadowolona z siebie. – Dla ciebie mleko, a dla uroczego mordercy? – Rzuciła demonowi powłóczyście spojrzenie.

– Też mleko – powiedziała królowa, zanim Virven, wyraźnie zde gustowany zalotami, zdążył otworzyć usta. – Ostatnia rzecz, jaka mi potrzebna, to pijany demon.

– Demony się chyba nie upijają? – Czarodziejka zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała na ten temat.

– Może i nie, ale to nie pora na eksperymenty – ucięła jej córka. Ton, jakim to powiedziała, nie zachęcał do dalszej dyskusji.

Pawlinka postawiła przed Salianką i obrażonym Virvenem kubki z mlekiem, a sobie przyniosła dzban piwa, pełen do tego stopnia, że prawie się z niego przelewało. Usiadła naprzeciw córki.

– Na czym skończyłyśmy? – Uśmiechnęła się słodko, niczym ucieleśnienie dobrych wróżek-matek chrzestnych ze wszystkich bajek świata.

– Na tym, jaka z ciebie potężna czarodziejka – burknął demon, wachając z odrazą mleko. Nie podobał mu się taki napitek, choć nie miał zamiaru głośno protestować.

– Jestem potężną czarodziejką. Naprawdę – dorzuciła pospiesznie, widząc minę królowy. Niedowierzenie było tylko jednym z wielu odczuć, jakie ta mina prezentowała. – Tylko ostatnio większość mocy przeznaczam na... – zarumieniła się, co było prawie niewidoczne pod grubą warstwą pudru – ...sprawy kosmetyczne.

– Aha – Salianka ku swojemu przerażeniu złapała się na tym, że ze zrozumieniem kiwa głową. Zszokowała ją myśl, że ma coś wspólnego z siedzącą naprzeciw niej kobietą. Potem przyszło jej do głowy, że kto wie, minie trochę czasu i może sama będzie tak wyglądać,

wypacykowana do granic możliwości, nieustająco goniąca za przemijającą urodą. Taka wizja przyszłości przyprawiła ją o dreszcze. – Mnie wystarczają zwyczajne specyfiki.

– Bo ty jesteś młoda – westchnęła ciężko Pawlinka. – Poza tym bardzo przypominasz swojego ojca, a z niego był przystojny drań. – Westchnęła znowu, tym razem nostalgicznie. Może nie przepadała za Panem Twierdzy, ale zdawało się, że przeżyła u jego boku parę miłych chwil, które wspominała z rozrzewnieniem. – Ja, niestety, urodę odziedziczyłam po twojej babce, poprzedniej czarodziejce z Dolin, oby ją pochłonęły ze trzy piekła co najmniej.

– Nie żyje?

– Od dziewięćdziesięciu trzech lat, na szczęście – skrzywiła się z mściwą satysfakcją czarodziejka. Było oczywiste, że nie żywiła ciepłych uczuć wobec własnej rodzicielki.

– Dziewięćdziesięciu? – zaskoczona królowna prawie zachłysnęła się mlekiem na śmierć. Potrwało trochę, zanim przestała kasłać. Pomogło solidne walnięcie w plecy, jakie zaserwował jej Virven. – Ile ty właściwie masz lat?

Pawlinka nagle straciła cały animusz. Spojrzała gdzieś w kąt i wymamrotała coś pod nosem, cichutko i niewyraźnie.

– Ile? – zapytała Salianka, która nie dosłyszała. *Akurat*, prychnęły Wrota, które usłyszały doskonale.

Czarodziejka spojrzała na nie z odrazą poprzez królownę. Nie uważała za sprawiedliwe, żeby ktokolwiek wypominał jej wiek, nieważne, czy to było jej dorosłe dziecko, samo w sobie stanowiące żywy dowód jej dojrzałości, czy piekielne wierzeje, z pewnością o wiele starsze od niej, a mimo to beczelnie sobie drwiące.

– Podłe – warknęła pod adresem Wrót. – Niech wam będzie, sto czterdzieści dwa. – Nadeła się obrażona za to, że zmuszono ją do wyjawienia największego sekretu.

– Nieźle wyglądasz jak na swój wiek – stwierdziła szczerze Salianka, powoli dochodząc do siebie. Miała już trochę dość tych wszystkich wstrząsów. Przestała się dziwić ilości mazideł na twarzy kobiety. Sto czterdzieści dwa lata... Dziwne, że jeszcze nie rozpadła się na kawałki. Zresztą kto wie, może wśród specyfików co rano stosowanych przez Pawlinkę do odbudowy resztek urody był też klej. Pociuszające było, że skoro jej matka żyła tak długo, to Salianka też ma przed sobą długie i być może ciekawe życie, o ile, rzecz jasna, uniknie opętania. I egzorcyzmów.

– Przywilej czarodziejki – Pawlinka lekceważąco machnęła ręką. – Poza tym pochodzę z długowiecznej rodziny. Twoja babcia męczyła ten świat swoją osobą przez ponad czterysta lat.

– Nie lubiłaś babci – domyśliła się królowna. To jej akurat wcale nie dziwiło. Uczuciowość jej rodziny działała według dość prostego schematu: córki nie lubiły matek.

– Pewnie, że nie! A niby za co ją lubić? – oburzyła się czarodziejka. Dla uspokojenia nerwów pociągnęła wielki łyk piwa. – To ona wymyśliła całą tę hecę z obrońcami Dolin. Znudziły jej się wojaże, więc osiadła sobie w tej okolicy i szybko zaczęła ustawiać wszystko

według swojego widzimisie. Stworzyła pierwszego obrońcę Dolin, potem następnego, zrobiła z siebie szarą eminencję, a po dwustu latach dostała fioła na punkcie młodego wojaka, który, rzecz jasna, szybko padł w jakiejś kolejnej wojnie. Pewnie nie mógł z moją matką wytrzymać. Zostałam jej na pocieszenie ja, ale chyba nie miała pomysłu, co z dzieckiem można zrobić, więc oddała mnie jakimś dobrym ludziom na wychowanie, a jak miałam ze dwadzieścia lat i plany na przyszłość, to pojawiła się, powiedziała, kim jest i kim ja jestem, i kazała objąć „schedę” po sobie. Co nie znaczy, że przestała się we wszystko wtrącać, co to, to nie! – Opary nienawiści zrobiły się nagle tak gęste, że można by je krajać nożem. Czarodziejka zaciskała usta, które teraz przypominały wąską, białą kreskę. Ręce jej się trzęsły na samo wspomnienie tamtych lat. Salianka zaczęła poważnie podejrzewać, że jej babcia nie zeszła z tego świata samodzielnie. Powstrzymała się jednak od wyrażenia głośno swojego zdania. Jeszcze by się okazało, że ma rację.

– Porzucanie dzieci to u nas tradycja – zauważyła zamiast tego niewinnie.

– A owszem. – Pawlinka zamaszystym ruchem dolała sobie piwa, rozlewając przy okazji trochę na obrus. Łypnęła na córkę przekrwionym okiem. – Ciesz się przynajmniej, że ty rodzinnej schedy na pewno nie obejmiesz.

– Dlaczego? – zapytała królowna z mimowolną urazą. Nie zależało jej na schedzie, a już na pewno nie na zapuszczonym domku i zaszczytnym tytule czarodziejki, ale nie podobało jej się, że czegoś się ją pozbawia ot tak.

– Bo jesteś z Twierdzy! – wytłumaczyła czarodziejka, opróżniając kolejny kufel. – Nie możesz być jednocześnie tą dobrą czarodziejką i tą złą wiedźmą.

– Czarownicą – poprawiła odruchowo Salianka.

– Wszystko jedno. Jesteś tą złą choćby z powodu tego, kim był twój ojciec.

– A kim jestem z powodu tego, kim jest moja matka? – zapytała złośliwie królowna. Odpowiedź na to pytanie mogła być naprawdę interesująca, ale nie udało się jej uzyskać.

– To się nie liczy. Jesteś z Twierdzy i tyle. Predestynowana do zła. Wszystko, co robisz, musi być złe! – Dla zaakcentowania wagi swoich słów Pawlinka walnęła pięścią w stół. Trafiała dokładnie we wsiąkającą powoli w obrus kałużę piwa. Złociste krople rozbryznęły się wokoło, ochlapując wszystkich.

– Łącznie z aktualnym obrońcą Dolin? – upewniła się Salianka, ścierając sobie piwo z twarzy.

– Owszem. Tak działa ten świat.

– Bez sensu – mruknęła królowna. Ostatnią rzeczą, jaką mogła powiedzieć o Ulku, to że był zły. Powinien być, w końcu był demonem, ale jednocześnie zdawał się być naprawdę oddany sprawie ratowania maluczkich. Poza tym nie lał przecież złych łupieżców dla przyjemności!

– Nie musi być z sensem – pouczyła ją czarodziejka, unosząc w górę wyciągnięty palec. – Ważne, że działa, i już. Zresztą, nie masz co tej schedy żałować. Wszystko, co się na nią

składa, to oficjalny tytuł, ta chałupa i obowiązek siedzenia tu na wypadek, gdyby coś się stało. Jak ja bym chciała się stąd wyrwać! Ale nie, muszę siedzieć, wędnać i udzielać pomocy jakimś kmiotkom. – Ponownie walnęła pięścią w stół.

– Hojnie sobie każesz płacić za tę pomoc – zauważyła zgryźliwie Salianka. Praca w gospodarstwie, przierzucanie gnoju, a to wszystko po to, by zyskać wątpliwej jakości czar. Ludzie, którzy się na to godzili, musieli być bardzo naiwni albo bardzo zdesperowani.

– Dobroczynność nie popłaca. Nie masz pojęcia, ile w gospodarstwie jest roboty. Nakarmić ten przeklęty drób, wydoić krowy, narąbać drew, wypielić warzywnik... Kiedyś załatwiałam wszystko czarami, a teraz... Cóż, magia służy mi do czego innego.

– Virven – rzuciła królowna, nie patrząc na demona. – Idź i zajmij się gospodarstwem. – Wydawało jej się, że słowa wypłynęły z jej ust bez udziału mózgu, który planował jak najszybciej opuścić to miejsce. Jednak oprócz umysłu i zamkniętych w nim Wrót Salianka posiadała całkiem pokaźny zbiór uczuć. I teraz właśnie odczuwała współczucie, żal, a nawet, co było największym zaskoczeniem, zrozumienie. Czarodziejce na pewno nie było łatwo mieszkać tu samotnie ze świadomością, że magii ma już coraz mniej, podczas gdy tak dobrze pamiętała czasy, gdy była potężniejsza i zapewne piękniejsza. Kto wie, może za kilkadziesiąt lat, zakładając, że pożyje tak długo, jej córkę czeka ten sam los. Oczami wyobraźni Salianka widziała już siebie włóczącą się po Twierdzy w czarnym welonie zakrywającym pomarszczoną twarz, z wiecznie młodym i przystojnym Virvenem u boku. Wizja była naprawdę przerażająca.

– Ja? – demon parsknął mlekiem. Wielu poleceń mógł się spodziewać, rzeczy, które robił, mogły być krwawe i brutalne, ale żadna nie dotyczyła gospodarstwa.

– Ale już. I kury mają z tego wyjść żywe – krzyknęła za nim, gdy wychodził zniesmaczony, ale posłuszny.

– Przydałby mi się taki parobek na stałe – westchnęła Pawlinka, odprowadzając Virvena tęsknym wzrokiem. Z dość smętnym wyrazem twarzy dołała sobie piwa. – Ale dość o mnie – mężnie wysiliła się na ton promieniejący sztucznym entuzjazmem i równie sztuczną troską. – Opowiedz coś o sobie.

– Nie jest tego wiele.

– Rozumiem. Jak długo masz... no wiesz... – czarodziejka w sposób znaczący uniosła brwi.

Zbędna afektowana konspiracja, oceniły oschle Wrota. Same przecież wiemy, od kiedy nas masz.

– Mniej więcej trzy lata – królowna zignorowała Wrota i skoncentrowała się na rozmowie z Pawlinką. W końcu zaraz sobie stąd pójdzie, to może matce wyświadczyć grzeczność i poodpowiadać na pytania.

– Wystarczająco dużo czasu, żeby zaszaleć na tym świecie – stwierdziła czarodziejka. – Zaszalałaś? – Pochyliła się nad stołem chciwa ekscytujących historii.

– Ja... – Salianka zawahała się. Od znaczących spojrzeń rzucanych przez matkę prawie udławiła się mlekiem. Miała wrażenie, że cokolwiek powie, i tak nie sprosta to oczekiwaniom. W związku z tym zdecydowała się na prawdę. – Uciekłam z Twierdzy, przy okazji rozwalłam parę ścian i zabiłam trzech członków Rady. To znaczy Wrota ich zabiły, ale wszyscy myślą, że ja. Potem one stworzyły wielkiego wojownika Ulka, obrońcę Dolin, a ja wróciłam do Twierdzy, zrobiłam tam porządki i podbiłam Rozstaje. Teraz znowu musiałam wyjechać, bo zbliżają się egzorcyci. Póki łupieżcy ich nie wytrzebią, muszę trzymać się z daleka.

– Miałam na myśli raczej sprawy damsko-męskie, ale cieszę się, że dobrze się bawiłaś. – Pawlinka uśmiechnęła się życzliwie, tak że jej twarz niemal się w tym grymasie rozplynęła, podczas gdy ciało płynnym ruchem zsunęło się z ławy.

Królowna poderwała się i pochyliła nad nią. Nie była pewna, czy bardziej troszczy się o to, czy kobieta nie zrobiła sobie krzywdy, czy martwi o ewentualne trudności związane z pogrzebem. Może nie zaczynała swojej matki lubić, ale powoli przestawała jej nie lubić.

Nic dziwnego, że zużywa tyle magii na podtrzymanie urody, stwierdziły z przyganą Wrota. Jeśli codziennie pije piwo na dzbany... Musiała być już nieźle wstawiona, kiedy przyszliśmy.

– A niech to. – Salianka stanęła bezradnie nad czarodziejką. Właściwie to była już przekonana, że gorzej być nie może. Do tego nie miała najmniejszego pojęcia, co ma teraz zrobić. Iść sobie? Zaopiekować się matką? Nawet nie wiedziała, jak zająć się kimś pijanym.

Z uchylonych ust Pawlinki dobiegło gromkie chrapnięcie, zdumiewająco przypominające chrząknięcie prosiaka.

Nie przejmuj się, pocieszyły ją Wrota. Wiele rzeczy jest dziedzicznych, na przykład my, ale chyba nie nałogi.

Królowna zostawiła leżącą czarodziejkę. Przeszła się po chatce, sprawdzając, co jest za najbliższymi drzwiami, potem za następnymi, aż wreszcie znalazła coś, co z grubsza przypominało sypialnię. W każdym razie było tam różowo i stało łóżko. Nad nim, na suficie, ktoś przymocował lustro, które kiedyś może było czyste.

Z braku lepszych pomysłów Salianka złapała czarodziejkę za nogi i zawlokła do sypialni. Wtaszczenie jej na łóżko było zadaniem trudnym, ale nie niemożliwym. Udało się już za trzecim razem. Pawlinka przetrwała wysiłki królowny z błogim spokojem, od czasu do czasu pochrapując niemelodyjnie. Królowna przykryła ją kocem i wychodząc, zamknęła za sobą drzwi. Rozejrzała się krytycznie po wnętrzu chatki.

– Jak to jest – mruknęła, zakasując rękawy – że ilekroć opuszczam Twierdzę, to po to, żeby gdzieś sprzątać?

Pewnie ma to coś wspólnego z predestynacją, uznały Wrota. W tamtym kącie jest chyba miotła.

* * *

Straszliwy krzyk rozległ się we wnętrzu chatki, spłoszył kury i zirytował konie, a potem odleciał w las, odbijając się echem od drzew i brzmiąc coraz bardziej upiornie. Dramatyczniej byłoby co prawda, gdyby straszliwy krzyk odczekał jeszcze kilka chwil i rozległ się w nocy. Zachodzące słońce odebrało mu wiele z mocy rażenia.

Na podwórku Virven oderwał się od rąbania drewna na zapas, Salianka podniosła głowę znad szorowanego koryta. Spojrzeli na siebie niepewnie. Żadne nie śmiało nawet zgadywać, co taki wrzask może oznaczać.

Obudziła się, stwierdziły domyślnie Wrota. *Nareszcie.*

Królowna pozwoliła unoszącej się w powietrzu ścierece opaść na ziemię, a sama odłożyła szmatę. Wytarła ręce o fartuch, zrobiła kilka energicznych kroków, wzięła głęboki oddech i zajrzała do chatki.

– Mamo? – zapytała ostrożnie.

Odpowiedziało jej niewyraźne chlipanie. Przeszedłszy na palcach przez główną izbę, Salianka uchyliła kolejne drzwi i zajrzała do sypialni. Na łóżku siedział owinięty prześcieradłem tobołek i trząsał się. Gdzieś wewnątrz niego zapewne była Pawlinka.

– Mamo? – powtórzyła głośniejszą królowna, rzucając niepewne spojrzenia na drżącą kupkę nieszczęścia. – Coś się stało?

Tobołek wystawił jeden chudy palec i wycelował go w górę.

– Wymyłaś lustro – wycharczał z rozpaczą głosem czarodziejki.

– Zamiotłam też podłogę, a potem ją wypastowałam, wyprałam wszystko, co znalazłam, i umyłam okna – wyliczyła monotonna Salianka. Nie wydawało jej się, żeby Pawlinka miała zamiar wyrazić wdzięczność za wypucowanie chatki.

– Wymyłaś lustro!

– Było brudne – zauważyła królowna. Jak dla niej był to wystarczający powód.

– Od szesnastu lat było brudne! – jęknął dramatycznie tobołek.

– Było bardzo brudne – przyznała beznamiętnie Salianka.

– Miało być brudne – wyznała rozdierającym głosem czarodziejka. – Myślisz, że to przyjemne budzić się i od razu widzieć swoje odbicie, włosy w nieładzie, oczy zaczerwienione, wszystkie zaklęcia... wyczerpane...

– Aha – zrozumiała królowna. Gdzieś w głębi duszy ukuło ją podstępnie współczucie. – To po co trzymasz lustro nad łóżkiem?

Tobołek poruszył się kilka razy w sposób wyraźnie nerwowy.

– Kiedyś... ehmm... ehmmm... było... użyteczne.

– Aha – stwierdziła Salianka. Na nic więcej nie było jej stać, zresztą nic więcej wiedzieć nie chciała. Wystarczający kłopot miała z tym, co już do niej dotarło. Pawlinka i użyteczne lustro w sypialni... Na samą myśl o tym królownie zaczynało brakować powietrza.

– No co? – zacietrzewił się tobolek.

– Nic. Pójdę już. Mam masę zamiatania, szorowania i innych praktycznych zajęć. – Salianka wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

* * *

Przedzierający się przez krzaki młodzieniec co rusz potykał się o podstępny korzeń albo zaplątywał w perfidnie kolczaste jeżyny. Zdradzieckie gałęzie uporczywie szarpały go za jasne włosy, a bezczelny krasnoludek napluł mu na buty. Jednak nie zrażało go to i dzielnie parł naprzód przez nieprzyjazne leśne gęstwiny, aż ujrzał chatkę czarodziejki.

W ciągu tygodnia zaszły w niej duże zmiany. Przede wszystkim była różowa, i to nie subtelnie różowa w stylu chmurek na wieczornym niebie, ale wręcz amarantowa. Nie sposób było jej nie zauważyć, wprost biła całą sobą po oczach. Przy takiej kolorystyce inne zmiany, takie jak czystość i porządek, a także całkowite odnowienie większości stolarki, pozostawały niezauważone.

Na czystym podwórku młoda, ciemnowłosa dziewczyna zmiała w sposób sugerujący, że chociaż nie zostało już nic do sprzątnięcia, to ona nie ma do roboty nic przyjemniejszego i spokojniejszego niż bezcelowe machanie miotłą.

Kiedy młodzieniec wy dostał się wreszcie z krzaków, nadepnął niechętny na przechodzącą kure. Nieszczęsny ptak, broniąc swego drobiowego życia, dziobnął go w kostkę i uciekł z rozpaczliwym gdakaniem. Dziewczyna z miotłą odwróciła się.

– Ty?! – Zaskoczony Gawarek cofnął się tak gwałtownie, że aż upadł.

– Ano ja – przyznała Salianka, wspierając się na miotle. Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się z miernym zainteresowaniem. – Zgaduję, że nie mnie się spodziewałeś.

– Co zrobiłaś z czarodziejką? – zapytał podejrzliwie książe, podnosząc swój arystokratyczny zadek z ziemi.

– A, do niej przyszedłeś. – Królowa odwróciła się w stronę domku. – Mamo!!! – wrzasnęła na całe gardło, płosząc przy okazji wszelką okoliczną zwierzynę.

– „Mamo”? – upewnił się słabym głosem Gawarek. Nieomal usiadł z powrotem.

– Cóż za ironia losu, prawda? – stwierdziła z pewną dozą złośliwości Salianka i wróciła do zmiatania w sposób dający do zrozumienia, że jednak zmiatanie jest najbardziej interesującą z rzeczy, które mogłaby teraz robić.

Drzwi chatki otworzyły się i wyszła przez nie wdzięcznym kroczeniem Pawlinka. W dłoni miała różowy patyczek udający różdżkę. Na twarzy kwitł jej uśmiech nieograniczonej życzliwości. Widać wyjrzała wcześniej przez okno i zobaczyła gościa, co skłoniło ją do zamiany dzbana na bardziej pasujące do konwencji akcesoria.

Salianka i Wrota zgodnie prychnęły.

– Witaj, zacy młodzieńcze – zaintonowała radośnie czarodziejka, niemalże płynąc w

powietrzu i czyniąc przy okazji wdzięczne wygibasy na boki. – Jakież zmartwienie sprowadza cię w me progi? Zapewne mały problemik miłosny? – zatrzepotała filuternie rękami.

– To aktualny obrońca Dolin – wtrąciła rzeczowo znad miotły królowa. – W swej codziennej postaci.

– Tak? – Pawlinka zrezygnowała ze śpiewnego intonowania i przyjrzała się Gawarkowi podejrzliwie, pochylając się w jego stronę.

– Byłem tu już – powiedział księżę obronnie. Miał wrażenie, że spiczasty podbródek kobiety usiłuje go zaatakować. – Po miecz. Ciężko na niego harowałem. Nie pamiętasz mnie?

Czarodziejka zastanowiła się. Sprawilo jej to dużą trudność, widać nie uważała młodzieńców przychodzących po czary za warty zapamiętania.

– Nie bardzo – przyznała.

– Nieważne – stwierdził wspaniałomyślnie po chwili milczenia Gawarek. – Ten miecz i tak był do niczego, ale ponieważ wskutek niezwykłego zbiegu okoliczności wszystko jakoś się ułożyło, to postanowiłem nie mieć pretensji.

– Czyli masz problemik miłosny – stwierdziła triumfalnie Pawlinka. Problemy w jej świecie zdawały się ograniczać tylko do kwestii uczuciowych, zgodnie z zasadą „głodnemu chleb na myśli”.

– Nie mam – powiedział natychmiast księżę. Na myśl o tym, że miałby powierzać swoje ewentualne „problemiki miłosne” do rozwiązania komuś takiemu jak czarodziejka, aż się wzdrygnął z odrazą.

– Jesteś pewny? Mam dużą skuteczność – dodała zachęcająco Pawlinka, uśmiechając się zalotnie.

– Jestem absolutnie pewny – stwierdził stanowczo Gawarek. Nigdy w życiu nie był niczego bardziej pewien.

– Trudno – czarodziejka wzruszyła ramionami, tracąc prawie całe zainteresowanie. – To czego chcesz?

– Zostałem wysłany z Dolin z misją zapewnienia ci bezpieczeństwa przed wrogimi hordami podłych łupieżców wylewających się z Twierdzy niczym zaraza na nasze spokojne i miłujące pokój ziemie – oznajmił tonem patetycznym, lecz odrobinę znękanym. Obrona niewiasty przed złymi ludźmi była niewątpliwie zadaniem godnym rycerza, nawet jeśli niewiasta była mocno posunięta w latach i trochę odstręczająca w wyglądzie. Większy problem miał z rzeczonymi wrogimi hordami, a raczej z osobą, która te hordy wysyłała. Na szczęście nikt poza nim nie wiedział, ile naprawdę łączyło go z Czarownicą z Twierdzy. Nawet się jej oświadczył, niewątpliwie w przypiływie głupoty, i teraz dziękował losowi, że dziewczyna się nie zgodziła. Pomyśleć tylko, co by było, gdyby powiedziała „tak”! Jako bohater Gawarek już i tak znalazł się w wyjątkowo skomplikowanej moralnie sytuacji. A teraz jeszcze okazało się, że niewiasta, którą ma chronić, jest matką wiedźmy, która, przynajmniej oficjalnie, jest jego największym wrogiem. Łatwo było od tego wszystkiego

zwariować.

– Hordami? – można by przyjąć, że Pawlinka zastrzygła uszami z zainteresowaniem. Na jej upudrowaną twarz z wysiłkiem wdarł się rumieniec podekscytowania. – Liczne te hordy?

– Eeee... nie wiem – przyznał Gawarek. Mimowolnie spojrzął na królową. W końcu kto, jak nie ona, wiedział najlepiej.

– Bardzo liczne – rzuciła Salianka znad miotły.

– I zapewne spragnione duchowego przewodnictwa, amuletów, wróżenia z ręki, takich rzeczy – odpowiedziała sobie czarodziejka, zacierając z ukontentowaniem ręce.

– No... – zaczął książę. O amuletach i wróżbach nic mu nie było wiadomo. O ile się orientował, wrogie hordy powinny raczej być spragnione krwi.

– To dopiero będzie – rozemocjonowała się Pawlinka. Zupełnie zapomniała już o stojącym przed nią młodzieńcu. Wzrok miała wbity w horyzont, a konkretniej: we wspaniałą przyszłość, jaka się za nim rysowała. – Klienci przez całą dobę! Może nawet będą mieli złoto, żeby normalnie zapłacić.

Gawarek wyglądał na lekko zaskoczonego. Od strony Salianki dobiegło prychnięcie. Skupiona na porządkach dziewczyna podniosła głowę dopiero, kiedy poczuła na sobie zagubione spojrzenie księcia i wściekłe czarodziejki.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi – zaproponowała. – Ja tu tylko sprzątam.

– Tobie też radziłbym uważać – burknął Gawarek, niezadowolony z zastanej sytuacji, z rozwoju zastanej sytuacji i ogólnie z całego świata. – Nadchodzi armia egzorcystów, a ich bronią jest czystość i dobro.

– Czyli to już – zamyśliła się królowa. Lada dzień jej łupieżcy rozgromią, miejmy nadzieję, egzorcystów. Zło zatriumfuje, demony przestaną latać w powietrzu, a ona będzie mogła wrócić do domu.

– Y dopfe. – Zza kurnika wyszedł Virven, wypluwając trzymane w zębach gwoździe. – Dość mam już naprawiania, malowania i rąbania. Będę mógł kogoś rozszarpać? – Oparł się nonszalancko o drewnianą ściankę. W oczach miał drapieżny błysk, pod ubraniem wyraźnie rysowały się mięśnie. Pawlinka tak się zagapiła z rozmarzonym wyrazem twarzy, że do rzeczywistości przywrócił ją dopiero kłęb kurzu, który jej córka wznieciła, machając energicznie miotłą. Czarodziejka odsunęła się na bezpieczną odległość, strzepując pył z falban swojej sukni.

Zgódź się, polecily Wrota. Czasem trzeba demonowi popuścić, bo jeszcze zacznie się buntować.

– Może – powiedziała na głos Salianka, opierając miotłę o ścianę. – Prawdopodobnie. Tak. – Przypomniała sobie przylatujące do Twierdzy demony. Wszystkie przybyły tam za sprawą egzorcystów. Tym ludziom zdecydowanie należała się nauczka. – Nawet kilku.

Virven aż się rozpromienił.

– Ale najpierw skończ z kurnikiem. No co? – warknęła, napotkawszy pełen bolesnego

zdumienia wzrok księcia. – Spodziewałeś się, że po prostu dam się im wyegzorcyzmować?

– Mogliby docenić zmianę twych niecnych obyczajów – zauważył chłodno Gawarek. – Teraz, gdy porzuciłaś swe królestwo i pokutujesz u boku dobrej czarodziejki...

Królowna roześmiała się, trochę gorzko, trochę ironicznie.

– Ja tu tylko sprzątam, a nie pokutuję. A poza tym, skoro ja jestem ta źle prowadząca się, a ona ta dobrze, to cud, że niebo jeszcze nie spadło nam na głowy.

– Mówiłam, że działanie świata nie karmi się sensem i rozsądkiem – mruknęła z urazą czarodziejka.

– Wolę nie pytać, czym się karmi – westchnęła Salianka.

Nie dokończyły tej dyskusji, bo zaszeleściły krzaki przy ruinach i wygramolił się z nich straszliwie brudny Pazur. Sierść miał pozlepianą błotem i przyozdobioną masą liści, mchów i gałązek. Na widok królowny zaskomlał radośnie i rzucił się ją witać. Salianka pogłaskała go po łbie, przy okazji taksując spojrzeniem brudną sierść. Pies niewątpliwie wymagał kąpieli, i to natychmiastowej. Złapała go za obrozę i poprowadziła w stronę chatki. Stare koryto, które stało za domem, świetnie nadawało się na wannę. Ale najpierw przydałoby się pieska nakarmić, żeby przypomniał sobie, kogo kocha najbardziej.

* * *

Na podwórku zostali Gawarek i Pawlinka. Virven odszedł wcześniej, bo nie interesowało go nic poza obietnicą, że będzie mógł sobie rozszarpać parę gardeł. Zza kurnika dobiegało postukiwanie młotka świadczące, że demon umiła sobie oczekiwanie robotami w obejściu.

– Egzorcyści idą, tak? – upewniła się czarodziejka. Ta wiadomość zafrasowała ją do tego stopnia, że na białym czole pojawiła się głęboka zmarszczka. – Oj, niedobrze, niedobrze – skrzywiła się. – Oni nie kupują amuletów. Gdyby mogli, to i mnie by wysłali na drugą stronę Wrót.

– Ciebie? – zdziwił się szczerze książę. – Nie powiem, wad masz masę albo i więcej, ale jesteś ta dobra.

– Na moje szczęście – mruknęła Pawlinka. – Chodź, chłopcze, napijemy się. – Klepnęła Gawarkę przyjacielsko w ramię.

Książę aż się zachwiał od tego klepnięcia. Jak już odzyskał pion, niepewnie i podejrzliwie wszedł za nią do różowej chatki. Wnętrze nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia, w końcu był tu już kiedyś i pierwszy szok miał dawno za sobą.

– Siadaj – Pawlinka machnęła zapraszająco smukłą dłonią w stronę ławy. – Gdzieś tu było piwo... – rozejrzała się po izbie.

– Schowałam do spiżarki – wyjaśniła Salianka. Wpychała właśnie uszczęśliwionemu psu do pyska kawał surowej szynki.

– We własnym domu nie mogę już niczego znaleźć – poskarżyła się czarodziejka,

przynosząc do stołu pełen dzban.

– Nie narzekaj – królowna uśmiechnęła się pogodnie i podrapała Pazura za uchem. Obecność psa zdecydowanie dodała jej otuchy. Tak bardzo się cieszył na jej widok, aż zrobiło jej się ciepło w środku. – Pewnie od wieków nie było tu tak czysto.

– Nie musiało być. – Pawlinka naląła piwa sobie i księciu. – Za czasów twojej babki to był domek dla służby. A ona mieszkała w zamku. Wtedy ona była najważniejsza. Żadni egzorcyci nie ośmieliliby się wejść na jej terytorium.

Drzwi uchyliły się i do środka wszedł Virven, otrzepując ręce i siebie z trocin.

– Skończyłem z kurnikiem – oznajmił. – Nie zostało już nic do naprawienia, chyba że odbudować zamek.

– Mógłby? – ożywiła się Pawlinka. Przez chwilę majaczyła przed nią wizja odbudowy siedziby i przy okazji potęgi czarodziejek.

– Nie ma czasu – ostudziła jej zapał Salianka. – Egzorcyci nadchodzą, niedługo rozgromią ich moi łupieżcy i będziemy mogli wrócić do Twierdzy.

– Rozgromią ich? – zainteresował się gwałtownie Gawarek. – To jest... chciałem powiedzieć... oni są, rzecz jasna, dobrzy i wspaniali i wszyscy będziemy ich wspierać w dążeniach do oczyszczenia świata, ale byłoby lepiej, gdyby twoi łupieżcy jednak ich rozgromili.

Królowna i czarodziejka uniosły brwi w identyczny sposób, tyle że z Pawlinki obsypało się przy tej okazji trochę pudru.

– Nie powinieneś przypadkiem stać po ich stronie, tak z zasady? – zapytała podchwytliwie.

– Przecież stoję – odburknął książę, wbijając wzrok w podłogę. – Tylko mam nadzieję, że nasza strona zostanie rozgromiona, zanim komuś stanie się krzywda.

– A to ciekawe – zauważyła Salianka. Oparła się wygodnie plecami o ścianę i zapatrzyła na młodzieńca jak na jakieś kuriozum.

– Nie ma się czemu dziwić – wybuchnął nagle Gawarek, za dużo było w nim już złości, żeby mógł ją utrzymać w ryzach. – Wy nie wiecie, jacy oni są! Nie wiecie, co robią ludziom. Co zrobili z Bolurkiem!

Naszym Bolurkiem? – zainteresowały się Wrota.

– Tym Bolurkiem? – zapytała ostrożnie królowna. Bolurek jako taki źle jej się kojarzył.

– Zdemaskowałem go jako zdrajcę... to znaczy Ulk go zdemaskował. A oni... – Książę przyssał się do swojego piwa. Wypił je duszkiem. – Nie zasłużył sobie na to! Przecież to był tylko jakiś idiota, który upadł na głowę i zakochał się w niej – wskazał na Saliankę.

– Ktoś się w tobie zakochał? – rozczuliła się czarodziejka. – Musisz mi o tym opowiedzieć.

– Nie ma o czym, mamó – powiedziała cicho królowna. Zrobiło jej się nagle jakoś dziwnie. – On już i tak nie żyje, prawda?

Książę skinął głową.

Masz wyrzuty sumienia, zauważyły z lekkim zdziwieniem Wrota.

– Nawet jeśli, to co? – mruknęła pod nosem Salianka. – Nie wasza sprawa.

Miała te wyrzuty sumienia, w tym cały problem.

– Pełno ich wszędzie – ciągnął Gawarek nieświadomy ponurych myśli krążących w głowie królowej. – Na wszystkich patrzą, jakby tylko się zastanawiali, kiedy ich dopaść. Węszą po kątach, wypytują, denerwują ludzi. Nie możemy ich wyrzucić z Dolin, bo to by oznaczało, że stajemy przeciwko nim. A oni są dobrzy – dodał z goryczą. Po raz pierwszy zaczął go uwierać ten sztywny podział świata, w który sam tak długo wierzył. Cóż z tego, że egzorcyści byli „tymi dobrymi”, skoro posługiwali się metodami, jakie nawet łupieżcom nie przyszłyby do głowy. – Czepiali się nawet Ulka, że niby nie do końca wiadomo, co za mroczna siła za nim stoi.

– Tu akurat mieli rację – stwierdziła rzeczowo Salianka. Temu zarzutowi nie dało się zaprzeczyć. Za Ulkiem stała nie tylko Czarownica z Twierdzy, ale i Wrota, które sprowadziły z piekiel demona.

– Ty stoisz za nim nieoficjalnie – poprawiła z naciskiem Pawlinka. Może tak naprawdę nie miała zasług, ale mogła je sobie oficjalnie przypisywać. – Nikt o tobie nie wie. Czarodziejką od stwarzania obrońców Dolin jestem oficjalnie ja. – Wprostowała się dumnie.

– I właśnie ciebie się czepiali – powiedział książę. – Że nie wypada takich rzeczy tolerować.

– Dranie! – Czarodziejka poderwała się. Tego ścierpieć nie mogła. Od tylu lat ona, a wcześniej jej matka stały na straży Dolin. A tu taki brak wdzięczności! – Już ja im pokażę!

– Nie starczy ci mocy – zwróciła jej uwagę córka. – Będzie ich wielu.

– Im więcej, tym lepiej – oblizal się siedzący dotąd cicho w kącie Virven. Jego ilość egzorcyistów nie martwiła. Nie bał się też ich, choć ci potężniejsi mogli mu zagrozić. Opracował już dokładny plan: wystarczyło pozbywać się ich jednego po drugim, a najsilniejszych dopaść, gdy będą sami, bez towarzyszy i wsparcia. Już nie mógł się tego doczekać.

– Niech będzie – zgodziła się łaskawie Pawlinka, siadając na powrót i sięgając po dzban. Nie przyznała tego głośno, ale dobrze było mieć kogoś, na kogo można było scedować brudną robotę. Zwłaszcza że ona sama nie była w stanie stanąć przeciw egzorcyistom. Jej moc nie wystarczała, by ich wszystkich pokonać. – Wy im pokażcie. W moim imieniu.

– Chwileczkę – wtrąciła się królowa, która żeby nie pogrążyć się w chandrę, uczyniła wysiłek logicznego myślenia. – Skoro egzorcyści są przeciw czarodziejce, to kto wysłał cię z misją zapewnienia jej bezpieczeństwa?

– Sam się wysłałem – westchnął ciężko Gawarek. – W Dolinach już nie mogłem wytrzymać, ani jako ja, ani jako Ulk. Wiecznie ktoś się mnie czepiał. Jak nie egzorcyści, to rodzice, zwłaszcza o ten romans, który rzekomo z tobą miałem, kiedy u nas sprzątałaś.

– Miałaś romans? – Pawlinka odsunęła kufel i pochyliła się w stronę córki. W oczach miała dwa pulsujące chciwą ciekawością znaki zapytania. – I sprzątałaś w Dolinach?

– Spokojnie, mamó. – Salianka nie miała zamiaru się zwierzać. – To było dawno, zresztą to i tak nieprawda, przynajmniej w zakresie romansu.

– Ojciec nie jest pewien, czy powinienem powiedzieć o tym egzorcystom, żeby mieć czyste sumienie, czy wręcz przeciwnie, milczeć i zaprzeczać, żeby nie można mnie było w żaden sposób powiązać z Bolurkiem i z tobą... – ciągnął ponurym tonem ksiązę. – To znaczy nie z tobą Czarownicą z Twierdzy, ale z tobą służącą, która została najpierw opętana przez złe moce, a potem porwana do Twierdzy. Chciałem jemu oszczędzić nerwów, a sobie konieczności przebywania z jego nerwami, więc wysłałem się bohatersko z misją. Ponieważ do rozwiązania kwestii egzorcystów i łupieżców czarodziejka jest zagrożona, zamierzam tu zostać. Nie musicie się kłopotać kwestią kwatery, zadowolę się...

– Sianem w stajni – podpowiedziała królowna.

– Jestem księciem! – oburzył się Gawarek.

– Gdzie spałeś, kiedy byłeś tu poprzednio?

– Na sianie, ale teraz jestem tu z misją wagi państwowej!

Salianka wzruszyła ramionami.

– Do wyboru masz siano w stajni albo trawę w ruinach, albo powrót do Dolin.

Ksiązę zastanowił się szybko.

– Ale gnoju nie będę musiał przerzucać?

Królowna spojrzała pytająco na Virvena.

– Już przerzucony – mruknął demon.

– Można uznać, że to twój szczęśliwy dzień – powiedziała Salianka do księcia.

* * *

Trawa była miękka i zielona, a niebo błękitne. Spośród wielu dostępnych sposobów spędzania wolnego czasu ksiązę wybrał ten najmniej wyczerpujący. Poszedł na łączkę możliwie mało widoczną z domku czarodziejki i gapił się tępo w przestworza.

Co pewien czas jego spokój zakłócało jakieś przerażone leśne zwierzę uciekające przed polującym Virvenem albo szalejący ze szczęścia Pazur, który spędzał dnie, bawiąc się z Salianką.

Lub też, jak to się z nagle stało, para ogromnych różowych oczu, która przesłoniła mu niebo. Oczy mrugnęły zielonymi powiekami.

Ksiązę odturlał się na bok z wrzaskiem, który z całą pewnością nie przystoi bohaterowi incognito, i chwycił leżący obok miecz.

– Wyluzuj – zaproponował zachrypniętym głosem mały zielony jaszczur, do którego należała para różowych oczu.

– Pożałujesz, że tu zawędrowałeś, potworze! – Gawarek uniósł miecz, zamierając w bohaterskiej pozie, którą wcześniej wielokrotnie ćwiczył przed lustrem.

– Spokojnie, spokojnie – przestraszył się demonek. – Ja tylko chciałem zapytać. Średniego wzrostu, ciemne włosy, trochę niezadowolona z życia, chodzi z takim zębatym typem. Nie widziałeś tu takiej?

Książę zawahał się, ale nie opuścił miecza.

– Mówisz o Saliance?

– Tak, tak – ucieszył się Szutel. – Właśnie o niej. Szukam jej, choroba, i szukam, a kości już nie te...

– Po co ci ona? – Gawarek podejrzliwie zmarszczył brwi. W teorii damy należało bronić przed szukającymi ich potworami, ale królowa, co tu dużo mówić, nie mieściła się w jego definicji dam jako takich.

– Tajne – oznajmił z dumą demonek, przęcąc wątlą zieloną pierś.

– Nie jesteś przypadkiem podstępny wysłannikiem wrogich sił? – upewnił się książę, a w jego głosie słychać było echo umierającej nadziei.

Szutel podrapał się po łysym łbie.

– Że jak...? – zapytał po kilku chwilach poświęconych na próbę zrozumienia pytania.

Z zarośli rozległo się warczenie i na polankę wyczołgał się zjeżony Pazur. Za nim pojawiła się królowa.

– A, to ty – mruknęła na widok demonka. – Spokój – rzuciła w stronę psa. – To jest dobry demon.

– Nie ma dobrych demonów – poprawił ją natychmiast Gawarek.

Dziewczyna spojrzała na niego w taki sposób, że poczuł się odrobinę nieswojo.

– Co ty możesz wiedzieć... – powiedziała zamyślonym głosem.

– He... Khe... – odkaszlnął dyskretnie siedzący na trawie Szutel. Pazur odważnie podczołgał się do niego i zaczął obwąchiwać dziwnego stwora.

– Przeziębilesz się? – zapytała sucho Salianka. Niespecjalnie obchodził ją stan jego zdrowia, prędzej wpływ tego stanu na przydatność mózgojadka.

– Nie. Mam ważne i tajne wiadomości – oznajmił z dumą.

– Gadaj.

– Tajne! – Demonek zazezował znacząco w kierunku Gawarka.

– Gadaj, bo oberwiesz – zniecierpliwiła się królowa. Nie było sensu ukrywać czegokolwiek przed księciem, zwłaszcza że chwilowo był, można by powiedzieć, sojusznikiem.

– Już, już... Ale wy tu wszyscy jesteście brutalni...

– Wiadomości – przypomniała z naciskiem Salianka. Nie miała czasu na wysłuchiwanie demonich narzekania.

– Jutro – powiedział z godnością Szutel.

Dębowy konar, który królowna zmarszczeniem brwi poderwała z ziemi, o włos ominął jego łeb.

– Co jutro? – warknęła Salianka.

– Jutro będzie bitwa. – Demonek spojrział z pretensją na konar, wciąż unoszący się w powietrzu i wywierający presję. – Łupieżcy zaatakują egzorcystów. Ostateczne starcie. Twarzą w twarz, brat przeciwko bratu...

– Wystarczy, zrozumiałam. – Nie musiał mówić już nic więcej, królownie wystarczyło to, co usłyszała.

– Będą niedaleko – dodał ostrzegawczo mózgojadek, przerywając rozmyślenia swojej Pani. – Lepiej uważajcie, może się tu jakiś egzorcysta zabłąkać.

– I dobrze, obiecałam Virvenowi, że kilku będzie mógł rozszarpać – stwierdziła królowna. Nie wydawało jej się, żeby egzorcyści w pobliżu stanowili duży problem. Jej faworyt z pewnością zadba, by nie dotarli zbyt blisko. Pod tym względem można było na nim polegać. – To wszystko?

Szutzel potwierdził skinieniem zielonego łba.

– To wynoś się stąd. Możesz powiedzieć w Twierdzy, że zrobili kawał dobrej roboty, jestem z nich dumna i takie tam bzdury. Zmyśl coś – rzuciła obojętnie na odchodne.

* * *

Dzień bitwy był irytująco słoneczny. Po błękitnym niebie przemykały niespiesznie nieliczne białe, puchate chmurki przypominające stadka baranków. Skąpiany w jasnych promieniach świat wydawał się być lepszym miejscem niż zwykle. Zdegustowany takim brakiem wycucia natury Gawarek spędził poranek, wpatrując się kwaśno w niebo i czekając na ciemne chmury, grzmoty i pioruny. Chmury, grzmoty i pioruny miały gdzieś jego zdegustowanie i nie nadeszły. Nie nadeszła też Pawlinka, która nie zwykła wstawać z łóżka przed południem i nie miała zamiaru robić wyjątków tylko dlatego, że ktoś miał się bić.

– To frustrujące – skrzywił się książę, kiedy drzwi chatki uchyliły się i wyjrzała przez nie Salianka. Spojrzała na niebo, szukając na nim jakichkolwiek znaków, choćby stad wygłodniałych sępów. – Starcie dobra ze złem, a tu nawet nie ma odpowiedniej atmosfery. Mogliby chociaż walczyć na odludnym, skalistym stepie, a nie na łąkach.

– *Jak skończą walczyć, to to już będzie odludny, skalisty step* – oceniły trzeźwo Wrota, dopychając się do ust królowny. – *I do tego będzie śmierdzieć.*

– Tę uwagę mogliście sobie darować – zauważyła Salianka, wypychając je na tył swojego umysłu.

Gawarek dalej smętnie patrzył w niebo.

– Miejmy nadzieję, że przed bitwą pogoda zdąży się pogorszyć – westchnął. W jego pojęciu bitwy nie miały prawa rozgrywać się w takich warunkach. Powinno być mrocznie i

ponuro, w powietrzu powinna wisieć groza, nie zaszkodziłoby też trochę zwodniczej mgły. W końcu walka to nie piknik.

– Przecież bitwa już dawno się zaczęła – zauważyła beztrząsowo królowna.

– Jak to? Już? – Księżę poczerwieniał.

– Virven wyszedł jeszcze przed świtem. Ale może po prostu chciał kogoś rozszarpać wcześniej, kiedy nie będzie jeszcze tłoku – dodała. Zawczasu wymogła na demonie obietnicę, że nikt z pola bitwy nie przedostanie się w stronę chatki, więc teraz mogła sobie pozwolić na odprężenie. Tu egzorcyści nie mieli szans jej dopaść. A hen na łąkach stanęli przeciw oddziałom uzbrojonych po zęby łupieżców, wspartych jeszcze przez najemników z północy, którym obojętne było, czy walczą po stronie dobrej czy po złej, byle zleceniodawcy mieli czym płacić.

– Już się zaczęło, spóźnię się!!! – Gawarek rzucił się szukać miecza.

Posuń się, mruknęły Wrota do Salianki. Posłuchała niechętnie. Od pewnego czasu zaczęły odnosić się do niej uprzejmiej, zwłaszcza kiedy chciały przejąć kontrolę. Królowna miała nadzieję, że to oznaka tego, że rzeczywiście staje się coraz silniejsza, tak jak jej najstarsi przodkowie, którzy w pełni władali Wrotami.

– *Stój* – krzyknęły do księcia, który znalazł broń i miał zamiar się zmienić w wielkiego wojownika Ulka. – *Po czyjej stronie zamierzasz walczyć?*

– Po właściwej, oczywiście – wyjaśnił godnie Gawarek.

– *A która to jest?*

– Ta dobra, oczywiście. – Księżę popukał się w czoło osłabiony ich głupotą.

– *No tak* – mruknęły Wrota, patrząc na niego z ukosa. – *Wolałbyś, żeby wygrali ci źli, zresztą wszyscy byśmy woleli. Ale swoim magicznym zbrojnym ramieniem będziesz wspomagał tych dobrych.*

– Wielki wojownik Ulk nie może walczyć po stronie zła – oznajmił twardo Gawarek, chociaż widać po nim było, że zaczyna się łamać. Nie chciał zwycięstwa egzorcyistów za nic w świecie. Chciał wrócić do domu, gdzie już nie będzie żadnego śladu ich obecności. Gdzie nikt nie będzie się już bał.

– *Nie może też walczyć po tej stronie, która przegra* – wytknęły Wrota. – *A egzorcyści mają przegrać. Zresztą wątpliwe, czy udałoby im się to, gdybyś walczył w ich szeregach.*

– No rzeczywiście – przyznał im rację zakłopotany księżę. – Ale Ulk nie może nie wziąć udziału w walkach! Wielki wojownik musi dbać o swoje dobre imię.

– Idź pomagać nieszczęsnym przypadkowym przechodniom, okolicznym mieszkańcom i tym podobnej hołocie – poradziła Salianka, odpychając na bok Wrota. – To zrobi na motłochu dobre wrażenie: wielki Ulk dba o potrzeby zwykłych ludzików. Pewnie ułożą o tym następną chwytliwą pioseczkę.

– Masz rację! – ucieszył się Gawarek. – To właśnie zrobię! – Uszczęśliwiony rozwiązaniem rzucił się pędem między drzewa.

Na polanie przed chatką została tylko królowna spoglądająca za oddalającym się księciem. Nie rozumiała, co takiego wspaniałego jest w bitwie.

Słońce było już wysoko na niebie, puchate chmurki przewędrowały hen daleko, a gdzieś w oddali bitwa trwała już w najlepsze, kiedy Pawlinka zdecydowała się wstać. Trochę potrwało, zanim upiększyła się i odmłodziła przy pomocy kunsztownych zaklęć i wreszcie, upudrowana i ufryzowana, wyrzała na podwórko.

– Co tu tak cicho? – zapytała, przeciągając się.

– Poszli na bitwę – wyjaśniła Salianka. Siedziała na ławeczce pod ścianą domku i czekała na wieści. Wokół chatki nie było już nic, co mogłaby zamieść albo wypucować dla zabicia czasu. Pozostawało więc tylko czekanie na pojawienie się kogoś z demonów albo księcia.

– To prędko nie wrócą – stwierdziła czarodziejka.

Leżący u stóp królowny Pazur podniósł łeb i zaczął z rosnącym natężeniem wpatrywać się w zarośla na ruinach. Nie spodobały mu się zapachy, które przyniósł stamtąd wiatr. Warknął cicho.

– Kogo niesie? – zdziwiła się Pawlinka. – Bitwa niedaleko, może jacyś maruderzy się zgubili?

Saliance na jedną chwilę serce podeszło do gardła. Jeśli to byli egzorcyci... Zaraz jednak wzięła głęboki oddech i uspokoiła się. Jej wrogowie nie mieli szans tu dotrzeć. Virven i Szutzel pilnowali okolic chatki. Poza tym egzorcyci nadchodziliby ze wschodu, a nie z zachodu.

– Zostań tu – poleciła psu. Niechętnie usłuchał. Nie miał co prawda zamiaru rzucać się na jakiegokolwiek natręta, bo taki natręt to mógł być na przykład niebezpieczny, ale wolałby być przy swojej pani. Ona by go na pewno obroniła, był tego pewien całym swoim psim sercem.

– A ty dokąd? – zapytała czarodziejka.

– Sprawdzić, kto idzie. To może być ktoś niebezpieczny – powiedziała królowna.

– I co niby ty zamierzasz z tym kimś zrobić? – Pawlinka uniosła do góry brwi. – Nie prościej zaczekać, aż wróci nasz bohater albo twój demon?

Salianka spojrzała na nią spode łba. Ani Virvena, ani Gawarka nie było w tej chwili w pobliżu. Mogli wrócić za chwilę albo na przykład jutro. Nie była skłonna spędzić tego czasu zagrzebana w mchu i ściółce leśnej, ukrywając się, bo może do chatki zbliżał się ktoś niebezpieczny. Nie tak postępowała Pani Twierdzy.

– Też potrafię komuś dać po głowie – powiedziała chłodno. Stojąca pod ścianą miotła poderwała się posłuszna rozkazom królowny i wsunęła jej się w dłoń. Może nie był to morgenstern Virvena, ale z pewnością można nią było komuś przyłożyć. – Do tego nie potrzeba aż bohatera.

Na palcach, z miotłą w ręku Salianka podkrađła się do zarośli i ostrożnie rozchyliła gałęzie na tyle, żeby móc wyrzeć na drugą stronę ruin, ale samej nie być widzianą.

– Jeźdźcy, prowadzą konie – szepnęła, zapominając o tym, że stojąca przy domku

czarodziejka nie może jej usłyszeć. – Są jeszcze kawałek od nas, dopiero weszli w ruiny. Wyglądają, jakby czegoś szukali.

Spiczasty podbródek Pawlinki ukłuł ją w ramię. Najwyraźniej jej matka nie była skłonna przejmować się potencjalnym zagrożeniem, nie w obliczu zysku.

– Klienci – ucieszyła się czarodziejka, rozpromieniając się wewnątrz.

Mężczyźni powoli zmierzali w ich stronę. Nie szło im to łatwo, zwłaszcza ze względu na prowadzone wierzchowce. Widać bali się zostawić konie same w niebezpiecznym lesie, bo twardo wiedli je ze sobą mimo trudności.

Było ich czterech, wszyscy opancerzeni, wszyscy uzbrojeni. Rozglądali się po lesie wzrokiem prawdziwych zdobywców. Ten idący przodem wyglądał na przywódcę, prowadził pozostałych. Jasne oczy spoglądały na świat, jakby widziały całą zgromadzoną na nim niesprawiedliwość, tyle w nich było smutku. Zaciskał wargi z determinacją, był skupiony i poważny, nawet trochę melancholijny. Królowie wydał się napuszony. Jakby obnosił się demonstracyjnie z tym swoim cierpieniem nad niedoskonałościami okrutnej rzeczywistości. Te przemyślenia zaraz wywietrzały Saliance z głowy, bo dostrzegła kolejnego rycerza. Szedł powoli, unikając pułapek, jakie tworzyły mech, ściółka i gałęzie. Prawą dłoń miał wspartą na rękojeści miecza, w lewej trzymał tarczę z wymalowanym czarnym gryfem. Obserwował uważnie otoczenie gotów w każdej chwili odeprzeć możliwy atak. Był wzrostu swojego dowódcy, ale wyraźnie od niego młodszy. W potarganych przez wiatr czarnych włosach zaplątało mu się kilka liści. Więcej królowna nie zauważyła, bo właśnie spojrzała w jego zielone oczy, najpiękniejsze, jakie zdarzyło jej się kiedykolwiek widzieć.

– Kto to? – zapytała zachłannie, na chwilę zapominając o bitwie, egzorcystach, wszystkich swoich planach podboju i o bajkach, w których czarownice kończyły na cmentarzu, a nie w męskich ramionach. To wszystko nie miało teraz znaczenia. Liczył się tylko mężczyzna o zielonych oczach. Saliankę coś uparcie ciągnęło, żeby z tych zarośli wyjść rycerzom naprzeciw. No, może nie wszystkim rycerzom.

– Jakiś szlachetny młodzieniec szukający sposobu na odnalezienie miłości swojego życia – wyjaśniła obojętnie Pawlinka. Klient to klient, reszta jej nigdy specjalnie nie obchodziła. – Coraz jakiś do mnie zachodzi. Czasem bierze kolegów, żeby było raźniej.

– I znajdują tę miłość? – Królowna oderwała z wysiłkiem tęskne spojrzenie od rycerza i zerknęła na nią podejrzliwie. Po swojej matce spodziewała się wszystkiego.

– No przecież nie u mnie – zirytowała się czarodziejka, urażona nie tyle posądzeniem, co niesmakiem w oczach Salianki. – Zwykle wskazuję kierunek, rzucam parę szczegółów typu: niech prowadzi cię wiatr, panienska będzie paśla gęsi albo będzie miała włosy koloru miodu.

– I to wystarczy?

– Zawsze.

– A skąd bierzesz te szczegóły?

– Z głowy. – Pawlinka wzruszyła ramionami. – Przełkną każdą bzdurę, byle brzmiała jak

przepowiednia. Potem, dajmy na to, wiatr wieje na wschód, oni z tym wiatrem natkną się na jakąś blondynkę i już są opętańczo szczęśliwi, że znaleźli swoją miłość. Chyba nawet żyją potem długo i szczęśliwie, i to tylko dlatego, że wierzą, że tak powinni żyć.

– Aha. – Salianka nie odrywała już oczu od ciemnowłosego mężczyzny, jakby chciała wyrycić jego obraz w swojej pamięci na zawsze. Trochę przykro było pomyśleć, że tacy wspaniali rycerze, a konkretniej: taki wspaniały rycerz jest takim głupkiem, żeby przełknąć kłamstewka serwowane im przez czarodziejkę. Chociaż z drugiej strony, do Pawlinki wybierał się zapewne ten przywódca, a pozostali tylko mu towarzyszyli. To wyjaśnienie łatwiej było zaakceptować, o wiele łatwiej. Królowna patrzyłaby tak jeszcze pewnie długo, ale Wrota wepchnęły jej się na przód umysłu, odpychając ją tak brutalnie, że na kilka chwil straciła kontakt z własnym ciałem i wszystkimi zmysłami.

Wrota odwróciły się i spojrzały na Pawlinkę wymownie.

– No co? – zaperzyła się czarodziejka, rozpoznając od razu, że już nie z Salianką ma do czynienia. Wrota jako takie ją denerwowały, głównie dlatego, że siedziały za oczami królowny i patrzyły na wszystko, w tym na nią, ironicznie. Była tego pewna.

– *To twoja córka* – przypomniały z naciskiem Wrota. Nie miały wiele czasu, lada chwila królowna ocknie się i zechce odzyskać kontrolę nad własnym ciałem, a przynajmniej wiedzieć, co się dzieje.

– Wiem!

– *Dalaś jej kiedyś prezent na urodziny?*

– Nie – odburknęła czarodziejka. Już wiedziała, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

– *No właśnie* – stwierdziły z oskarżycielską satysfakcją.

– Ale załatwiać takie rzeczy po znajomości to nie wypada – skrzywiła się Pawlinka.

– *A wykorzystywać młodzieńców do prac domowych we własnym gospodarstwie to wypada?*

– Muszą się namęczyć, bo inaczej co to by był za czar, dany ot tak?! – oburzyła się.

Wrota już tylko patrzyły na nią oczami Salianki, tak podobnymi do oczu jej ojca. Z jedną drobną różnicą. Pan Twierdzy zwykł się śmiać, przeważnie tubalnym rechotem okrutnika, ale jednak, a wtedy w jego oczach zapalały się wesołe iskierki. Królowna nigdy się nie śmiała, co najwyżej pozwalała sobie na ironiczny grymas.

– Dobrze, dobrze – skrzywiła się czarodziejka. Nawet nie przypuszczała, że ma jeszcze sumienie i że można w niej wywołać poczucie winy. W końcu nie porzuciła przecież córki dla własnej wygody! Chociaż właściwie... Zamiast rozważać możliwe pobudki i szukać usprawiedliwienia, łatwiej było po prostu zrobić to, czego chciały Wrota. Zerknęła sobie na rycerzy. Jej zdaniem wszyscy wyglądali całkiem interesująco. Na którego to Salianka wytrzeszczała oczy...? Na tego z czarnym gryfem. Czarodziejka też umiała być spostrzegawcza, chociaż zwykle szkoda jej było na to czasu.

Zakasała spódnicę i przedarła się przez chaszczę do jeźdźców. Trochę sobie przy tym

spowiewiała starannie utrefioną fryzurę, co zepsuło jej humor. Na jej widok przywódca zaczął coś mówić, ale Pawlinka nawet nie pofatygowała się, żeby słuchać. Uciszyła go lekceważącym machnięciem dłoni. W końcu to ona tu była od wieszczania, a oni od słuchania.

– Twierdza, jasne? – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Miałam wizję, to, czego szukacie, znajdziecie w Twierdzy. Po prostu tam jedźcie, jasne? Tylko jeszcze nie dziś, za kilka dni... Jak będzie pełnia... albo nów... Zaraz, zaraz, co będzie szybciej...?

– *Nów* – podpowiedziały gromko ukryte w zaroślach Wrota.

Rycerze na dźwięk krzyku odbijającego się echem od powykrzywianych drzew aż podskoczyli nerwowo.

– No właśnie – ucieszyła się beztrząsco czarodziejka. – To jedźcie do Twierdzy, jak będzie nów, najlepiej dzień przed.

– *Konkretniej* – wrzasnęły zniecierpliwione Wrota. Czują, że w głębi swojego umysłu Salianka zaczyna dochodzić do siebie.

Rycerze rozejrzeli się niespokojnie, usiłując dostrzec, skąd pochodzi głos. Ciało królowny zrobiło krok w tył, żeby na pewno go nie dostrzegli.

Czarodziejka westchnęła z rezygnacją. Sprawę należało najwidoczniej załatwić jak z tępą krową na miedzy, żeby na pewno nie doszło do jakichś nieporozumień. Podeszła do ciemnowłosego z gryfem wymalowanym na tarczy. Skinęła dłonią, żeby pochylił się do niej.

– Powiedz mi... – zaczął szeptem.

– Pytaj o Saliankę – przerwała mu Pawlinka. – *Konkretniej* już nie można.

Odsunęła się i zanim oszołomieni rycerze zdążyli zadać jakieś pytanie, dała nura w zarośla. Mężczyźni porozglądali się chwilę. Ponieważ nic już się nie wydarzyło, a po czarodziejce nie było śladu, odeszli, prowadząc swoje konie. Wrota ustąpiły miejsca lekko oszołomionej królownie, która dopiero teraz zaczęła na powrót zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje wokół niej.

– Odjeżdżają? – zapytała Salianka. Wiedziała, że przed chwilą Wrota musiały przejąć nad nią kontrolę, pewnie koniecznie chciały się wtrącić do rozmowy, jak to miały w zwyczaju. Powinna je za to zganić, ale nie miała teraz czasu. Rycerze już znikali między drzewami, a ona chciała patrzeć na tego jednego tak długo, jak to jeszcze możliwe.

– Tak – przyświadczyła czarodziejka. – Dostali swoją przepowiednię, więc nie mają już tu czego szukać.

– Daleko jadą? – królowna wysiliła się na obojętny ton.

Pawlinka wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru przejmować się, co będzie dalej. Zrobiła, o co Wrota ją prosiły. Reszta zależała już tylko od nich i od jej małej córeczki, która przecież aż tak głupia nie była, żeby z jednym rycerzem sobie nie poradzić.

– A bo to wiadomo. Zależy, jak sobie zinterpretują moje słowa. Głodna jestem. – Odeszła w stronę domku. – Byłaś może dobrą córeczką i zrobiłaś śniadanie?

– Obiad – poprawiła odruchowo Salianka. – Już idę. – Obejrzała się jeszcze na znikających między drzewami jeźdźców. – Szkoda – szepnęła do siebie.

* * *

Wieczorem, kiedy słońeczko już zachodziło, a puchate chmurki nie były już białe, tylko różowawe, pojawił się Szutel. Nadleciał w sposób wyjątkowo ospały, trzymając się za wzdęty brzuch. Co chwila przystawał, kiedy mu się odbijało.

– Macie coś na niestrawność? – zapytał, opadając ciężko na grządki z malwami.

Królewna zzieleniała, porzuciła sztucce, które właśnie polerowała, i pobiegła do lasu. Pawlinka oderwała się od pasjansa, którego z oddaniem, posługując się wszelkimi możliwymi oszustwami, układała na stole przed domkiem. Popatrzyła najpierw z zaskoczeniem na oddalającą się pospiesznie dziewczynę, a potem na zielonego stwora pojękującego z cicha.

– Coś ty za jeden? – zapytała.

– Szutel – przedstawił się demonek. – Specjalny wysłannik na usługach Czarownicy z Twierdzy.

– A po co jej taki kurdupel jak ty? – Gdyby chociaż wyglądał tak jak Virven... Użyteczność kogoś takiego Pawlinka mogła sobie wyobrazić. Ale taki pokurcz...

Szutel chciał się poderwać z oburzeniem, ale ze względu na wzdęty brzuch nie bardzo mu to wyszło.

– Jestem niesamowicie pożyteczny – stęknął zgorzony niedocenianiem własnej, wspaniałej, choć aktualnie lekko wzdętej osoby. – Przenoszę wiadomości i pożeram mózgi wroga.

Czarodziejka popatrzyła na niego zamyślona, kojarząc fakty. Potem wstała i spokojnym krokiem udała się w ślad za Salianką. Minęły się po drodze.

– Gratulacje – powiedziała królewna, zatrzymując się przy grządkach z malwami. – Udało ci się wykończyć moją matkę. A sądziłam, że to niemożliwe – dodała w zadumie. Szczerze mówiąc, ostatnio już nie próbowała nawet być wobec niej złośliwa. Można powiedzieć, że zawarły niewypowiedzianą umowę. Mieszkały razem w małym domku, obok siebie, choć nie do końca ze sobą. Salianka gotowała i sprzątała, Pawlinka głównie usiłowała wróżyć z kart lub po prostu leniuchowała. Królewnie, o dziwo, odpowiadał ten układ. Miała dach nad głową na czas pobytu poza Twierdzą, nie musiała udawać kogoś, kim nie była. I chociaż za nic w świecie by się do tego nie przyznała, całkiem dobrze dogadywała się z matką. Pod pewnymi względami były do siebie podobne. Obie od samego początku miały spartaczone życie z winy swoich rodziców.

– Ani słowa o twoich przeżyciach gastrycznych – warknęła, widząc, że demonek otwiera usta. – Zaparzę ci mięty, tylko nie mów o swoich posiłkach.

– Umowa stoi – jęknął Szutel i powłókł się za nią do chatki.

Salianka powiesiła nad paleniskiem kociołek i pomogła demonkowi wdrapać się na stół. Ugryzła się w język, zanim zdążyła powiedzieć coś na temat jego monstrualnie wypchanego brzucha.

– Już po bitwie? – zapytała zamiast tego.

– Tak – sapnął Szutel. – Zaczęły się zlatywać sępy. Bezczelne, nie było mi z nimi łatwo... – urwał, napotkawszy spojrzenie królowny. – Ehhh... tego... przepraszam.

– Nie szkodzi – powiedziała chłodno Salianka, starając się odegnać wizję pola bitwy, jaka pojawiła jej się przed oczami. – Kto wygrał?

– Nasi, oczywiście. Zmiażdżyli wrogów bez trudu. Ale to nie koniec z egzorcystami.

– Jak to?! – wykrzyknęła z oburzeniem królowna. Ta bitwa miała być kresem wszystkich jej kłopotów z egzorcystami. Wszystko miało się ułożyć po jej myśli. Jak oni śmieli w ogóle nie dać się wybić do ostatniej nogi?

– To szczwane lisy – wyjaśnił z niechętnym podziwem demonek. – Chyba przypuszczali, że ich rozgromimy. Wysłali do bitwy tylko część swoich sił, armie sojuszników z Dolin, Ujścia. Grube szychy zaszyły się gdzieś z małymi oddziałami. Ale nie ma obaw. Dorwiemy i ich. Nie będą nawet mieli czasu wygnać choćby jednego demona. Rada już wyznaczyła nagrodę za głowę każdego egzorcysty. Lud za nimi nie przepada, wydaliby ich nam pewnie i bez nagrody, zresztą, jak mawia pan Plaskat, hołota szybko pojmie, którzy są tymi dobrymi.

– Którzy? – spytała królowna, która w przeciwieństwie do ludu dobrze wiedziała, którzy są tymi dobrymi, jak również że tymi dobrymi jest się raz na zawsze i raczej nie ma mowy o żadnych przetasowaniach stron.

– Ci, którzy wygrali, rzecz jasna. Dobro zawsze wygrywa, co nie? – Mózgojadek mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Obawiam się, że to nie jest takie proste – westchnęła. – Jak Rada?

– Szczęśliwi do upojenia. Już przebąkują o następnych podbojach. Podobno mamy teraz otwartą drogę na Ujście i Doliny...

– Trzeba będzie wracać – stwierdziła melancholijnie Salianka.

Dalej nie chcesz ich podbijać? – zdziwiły się Wrota. *Przecież to wszystko, Twierdza, my, to przez nich.*

Królowna je zignorowała. Gdzieś w głębi żywiła niejasne podejrzenia, że niewykluczone, iż jej przodkowie w sposób wydatny przyczynili się do obecnej sytuacji, w końcu z tego, co wiedziała, niezłe z nich były dranie. A poza tym władcy Dolin sprzed dwudziestu trzech pokoleń i władcy Dolin teraz... To wszystko było o wiele bardziej skomplikowane.

– Widziałeś gdzieś Virvena? – zainteresowała się. Skoro bitwa się skończyła, powinien już wracać.

– Ostatnio bawił się w kotka i myszkę z niedobitkami – przypomniał sobie Szutel. – Zmierzał w tę stronę.

– To dobrze. – Salianka nasypała do kubka ziół, zalała gorącą wodą. – Zaraz będzie

gotowe.

– Świetnie – jęknął mózgojadek. – Bo od tego obza... Ehmmm... znaczy się ja nic nie mówiłem.

Drzwi uchyliły się i do domku zajrzała Pawlinka. Na widok Szutzela zmarszczyła swój spiczasty nos.

– Ten jaszczur jeszcze tu jest? – w jej głosie słychać było mieszaninę niechęci i obrzydzenia. W zasadzie nie miała nic przeciwko demonom pod warunkiem, że były przystojne. Szutel nie był.

– Zaraz się wyniesie – uspokoiła ją królowna. – My zresztą też. Czas wracać do Twierdzy.

– Nareszcie... To jest, chciałam powiedzieć, odwiedzaj mnie częściej. – Czarodziejka weszła do izby i usiadła przy stole, jak najdalej od demonka. Nie żeby nie lubiła swojej córki. Lubiła bardziej nawet, niż była skłonna zakładać w chwili, gdy się poznały. Radziła też sobie bez trudu z kwestią wyrzutów sumienia, jakie czasami wywoływała obecność Salianki. Owszem, fakt, że w ogóle miała jakiegokolwiek wyrzuty, był dla Pawlinki nowością, ale nie spędzały jej snu z powiek. Tak naprawdę czarodziejkę irytowała osobowość jej odnalezionej po latach córeczki. Pawlinka zawsze uważała, że jej córka powinna być podobna do niej: uwodzicielska, ciesząca się życiem i męskim towarzystwem, chwytająca każdą okazję do zabawy. Taka, przynajmniej swoim zdaniem, była czarodziejka. Natomiast królowna... była niewątpliwie atrakcyjna i przy odrobinie wysiłku mogła łamać męskie serca w dowolnej ilości, ale jej się nie chciało! Oprócz tego była ponura, pesymistycznie nastawiona do świata i cały czas sprzątała. Zwłaszcza to ostatnie doprowadzało Pawlinkę do szału. We własnym domu zaczynała się czuć jak szkodnik, który nie robi nic innego, tylko brudzi.

– Wyjeżdżamy, jak tylko wróci Virven – poinformowała ją Salianka. Zupełnie jakby czytała w myślach swojej rodzicielki.

– A ten szlachetny młodzieniec? – zapytała ostrożnie Pawlinka. Jego towarzystwo też nie było zbyt interesujące. W gospodarstwie nic nie chciał robić, a do samej czarodziejki odnosił się z coraz większym brakiem szacunku, zwłaszcza odkąd dowiedział się, czyją jest matką.

– Z nami na pewno nie pojedzie – stwierdziła królowna. Tylko tego by brakowało: Czarownica wracająca do Twierdzy w towarzystwie dziedzica tronu Dolin. – Widziałeś księcia? – szturchnęła Szutzela.

– Nie – jęknął, łapiąc się za brzuch. Jego Pani udało się go ukłuć palcem dokładnie w wątrobę.

– A wielkiego wojownika Ulka?

– Też nie, ale podobno nie mieszał się w bezsensowną bitwę, tylko pomagał nieszczęsnym pospolitym mieszkańcom. Jakiś bard układał o tym piosnkę...

– No tak – westchnęła Salianka. Tego się można było spodziewać. Takie wydarzenie jak bitwa dobra ze złem nie mogła umknąć uwagi wsiowych źródeł informacji, jakimi byli

domorośli minstrele.

– ...ale nie skończył, bo mu wyszałem mó... Przepraszam, nie powiedziałem tego – dodał pośpiesznie.

– Mięta już się zaparzyła. – Królowna podsunęła mu kubek. Nie miała zamiaru się do tego głośno przyznawać, ale popierała wysysanie mózgowi bardom jako takim. Chwytniwe piosneczki działały jej na nerwy. Nie dość, że robili z niej starą żołą, to jeszcze najbardziej twórczym rymem, jaki udało im się wynaleźć do słowa „czarownica”, było „gęba jak donica”. Żalotne.

Demonek przyssał się dla odmiany do kubka i zaczął straszliwie siorbać.

– To co z naszym bohaterem? – powtórzyła Pawlinka.

– Nie wiem, to ty tu jesteś patronką obrońców Dolin. – Salianka zaczęła zbierać swoje rzeczy pozostawione w izbie i pakować je do sakwy. – Pewnie tu wróci, w stajni zostawiam jego konia. Nie sprzedawaj go – zastrzegła.

– Za kogo ty mnie masz – oburzyła się czarodziejka. Gdyby zrobiła to mniej teatralnie, może ktoś by nawet uwierzył, że taka myśl nie powstała jej w głowie.

Królowna nie raczyła odpowiedzieć, rzuciła tylko w jej stronę jedno wymowne spojrzenie. Kiedy przeszła obok śpiącego przy palenisku Pazura, ten otworzył oczy i zamerdał ogonem.

– Ty oczywiście wracasz ze mną. – Poglaskała go po łbie.

– Demona mogłabyś mi zostawić – wtrąciła obojętnie Pawlinka, zachowując przy tym najdoskonalej kamienny i niewinny wyraz twarzy. – Przydałby się... To trzeba coś naprawić, to drwa narąbać...

– *Sprowadź sobie własnego* – zasugerowały kąśliwie Wrota, w pełni świadome, do czego w rzeczywistości miały się demon przydawać. – *Nasz jest potrzebny w Twierdzy.*

– Poza tym nie sądzisz chyba, że sama przejadę w nocy przez puszcę – dodała praktycznie królowna, przepychając się na przód własnego umysłu. – Słońce już zaszło, wszystkie paskudne leśne potwory wylazły na żer.

– Możesz jechać rano, nikt cię na noc nie wygania – zauważyła czarodziejka, wciąż mająca nikłą nadzieję, że może demon jednak u niej zostanie.

– W dzień też nie przejadę sama przez las – ucięła dyskusję Salianka. Szczerze mówiąc, w razie konieczności przejechałaby sama i w nocy, ale nie zamierzała się do tego przyznawać. To tylko przeciagnęłoby tę niesmaczną dyskusję.

– O wilku mowa, chyba Virven wrócił. – Wyjrzała na zewnątrz i przez ułamek sekundy wpatrywała się w nadchodzącego demona. Na jej twarzy pojawił się wyraz skamieniałej grozy. – Umyj się! – rzuciła krótko i zatrzasnęła drzwi.

Biorąc kilka głębokich wdechów dla uspokojenia, rozejrzała się po izbie.

– Chyba wszystko spakowałam – stwierdziła lekko drżącym głosem. To, co zobaczyła za drzwiami, trochę nią wstrząsnęło.

Na zewnątrz rozległo się prychnanie i chlapanie, przypominające trochę nadciągający huragan, a trochę powódź.

– Co on tam robi? – zainteresowała się Pawlinka, wychylając się w stronę okna.

– Myje się – wyjaśniła królowna.

– Brzmi raczej, jakby rozwałił studnię.

– Jest bardzo, bardzo brudny – nie zamierzała wdawać się w opis szczegółów, wystarczy, że zobaczyła je na własne oczy.

– Pewnie – mruknął Szutel. – Rozszarpywanie ludzi to brudna praca.

– Zamknij się – warknęła Salianka. Chciała zapomnieć o tym, co widziała, możliwie szybko i na zawsze. Miała nadzieję, że pokryty cudzą krwią i nie tylko krwią Virven nie będzie jej się śnił po nocach. – Dasz radę polecieć?

– Nie bardzo – westchnął z udawanym smutkiem. – Źle się czuję. Ale z pewnością pomogłoby mi, gdyby ktoś mnie utulił i ukołysał. – Uśmiechnął się przymilnie, wytrzeszczając różowe oczęta.

– Sam się ukołysz – zaproponowała królowna. Na takie gadki mógł nabierać Jale, ale nie ją. Złapała go za kark, w drugą rękę wzięła swój tobolek, Pazur już czekał pod drzwiami. – Zmyłeś już z siebie te flaki? – wrzasnęła.

Z zewnątrz dobiegło potwierdzające prychnięcie. Wobec tego Salianka odwróciła się do czarodziejki. Żadna z nich nie zamierzała płakać przy pożegnaniu, tak naprawdę żadnej nie było przesadnie żal, że się rozstają.

– Do widzenia, mamó. Miło było cię poznać.

Kłamczucha, powiedziały Wrota.

– Pa, córeczko – burknęła Pawlinka, nieszczęśliwa, że wyrodne dziecko nie chce jej zostawić... no, chociażby wypożyczyć demona.

Królowna kopniakiem otworzyła sobie drzwi i wyszła na podwórko, gdzie z ulgą przekazała bagaż i Szutela w ręce Virvena.

– Wiatrobiegły zostaje – powiedziała. – Załaduj to na swojego konia. Poniesie tobołki, a my pójdziemy.

– Chcesz wracać na piechotę do Twierdzy? – zdziwił się demon. Jemu nie robiło to różnicy, trudno było go zmęczyć, ale Salianka nigdy specjalnego zapału do aktywności fizycznej nie przejawiała.

Piechotą, czolgając się, wszystko jedno, oznajmiły Wrota. Tylko idźmy już sobie stąd.

Drogę powrotną oświetlały im gwiazdy. Przodem szedł demon, prowadząc konia objuczonego bagażami i pojękującym Szutelem, a za nim powoli i dość okrężną drogą podążali Pazur i Salianka zbierająca rosnące obficie wokół kwiatki.

– Po co ci to? – zapytał Virven, zerkając z odrazą na bukiet.

Królowna przyjrzała się kwiatom, jakby dopiero teraz zauważyła, że je ma.

– Nie wiem – wrzuszyła ramionami. – Nigdy nie zbierałam kwiatków przy świetle

księżycyca – dodała. Właściwie to roztropniej byłoby zbierać je przy świetle słońca, przynajmniej nie wlaźłaby w pokrzywy, których oparzenia wciąż czuła na dłoniach.

– Księżyc już prawie nie świeci – zwrócił jej uwagę demon. – Za jakieś dwa dni będzie nów.

– No to przy świetle gwiazd – sprostowała Salianka, zła, że ktoś się czepia tak nieistotnych szczegółów. Co to za różnica, księżyc czy gwiazdy. – W ogóle nigdy nie zbierałam kwiatków.

– I nagle poczułaś, że po prostu musisz?

– W książkach królowy i księżniczki zawsze zbierają kwiatki na łąkach – powiedziała obronnie. Nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Tak naprawdę to rwała roślinki, żeby je później wstawić do wazonu w Twierdzy. Długo nie pożyją, ale przynajmniej przez kilka dni będzie miała w szarych murach namiastkę zieleni, do której, mieszkając w lesie, już się zdążyła przyzwyczać. Podejrzewała, że będzie jej brakowało słońca i przestrzeni. Trudno, nie można mieć wszystkiego.

– Ale chyba nie w środku nocy? – zauważył z jadowitą uprzejmością Virven. Nie czytywał książek o królowiach i księżniczkach, ale mógł się domyślać, co tam jest napisane.

– Jestem królową z Twierdzy – przypomniała z naciskiem. – Dziwne byłoby, gdybym zbierała kwiatki w ciągu dnia.

Z grzbietu konia rozległo się beknięcie. Spomiędzy tobołków wygrzebał się Szutel, łypiąc w jej stronę różowym okiem.

– Słyszałem o tym – wychrypiał. – To naturalny instynkt księżniczek, zbierać kwiatki i czekać, aż jakiś cudny młodzian je dojrzy.

– To będziesz miała problem – zarechotał złośliwie Virven. – Bo wszyscy urodziwi młodzieńcy z okolicy aktualnie zaczynają gnąć na polu bitwy.

Salianka rzuciła w niego bukietem.

Rozdział 8

Powoli i opornie wstawał świt. Wartownika śpiącego przy wejściu do Twierdzy ktoś kopnął w nagolennik. Łupieżcę ze słodkiego snu wyrwało brzdąknięcie zbroi i czyjeś krzyki. Gdy otworzył oczy, ujrzał swoją Panią podskakującą na jednej nodze i jęczącą.

– Pani – jęknął w oszołomieniu.

– Śpisz na warcie, kretynie? – warknęła królowna, łapiąc się za obolałą stopę.

– Eeee... – Wartownik przetarł przekrwione oczy. Nie był do końca pewien, czy to, co widzi, nie należy przypadkiem jeszcze do świata snu. Oprócz podskakującej Czarownicy z Twierdzy, która z nieznanego mu powodów trzymała w dłoni bukiet zmarnowanych kwiatów, widział przed sobą także jej faworyta, wyjątkowo ponurego i z bliżej nieokreślonych powodów upstrzonego jakimś zielskiem. Faworyt prowadził konia, z którego grzbietu zezował ku niemu zielony stwór ze wzdętym brzuchem. Wokoło tej grupki biegał duży czarny pies, machając radośnie ogonem. Wartownikowi zdarzało się już w Twierdzy wiele osobliwych rzeczy widzieć, więc nie miał problemów z opanowaniem zdziwienia. Stał pospiesznie w bojowej pozycji i trwał tak, póki nie minęła go Pani ze swoim oryginalnym orszakiem. Potem z ulgą klapnął na ziemię i wrócił do przerwanej drzemki. Cokolwiek jeszcze miało się dziać, będzie się działo wewnątrz Twierdzy. A on miał za zadanie pilnować bram od zewnątrz. Wszelkie kłopoty spadną więc na innych. Po chwili wartownik już chrapał, śpiąc błogim snem spokojnego człowieka.

Przegapiliśmy ucztę po zwycięstwie, zmartwiły się Wrota. Ciekawe, czy była muzyka i tańce.

– Urządzimy drugą. – Salianka wkuśtykała do Twierdzy. Ledwo przeszła przez bramę, rozejrzała się z niedowierzaniem.

– Dlaczego tu jest tak brudno?! – wrzasnęła z pretensją.

Jej głos odbił się echem od murów i obudził wojowników słodko odsypiających bitwę, a także ucztę po bitwie. Łupieżcy, którzy w nocy posnęli tam, gdzie padli z przepicia, teraz otwierali przekrwione oczy i spoglądali na swoją Panią. Jakiś grubas wyrwał się do przodu.

– Na cześć naszej Pani, która prowadzi nas ku kolejnym zwycięstwom – ryknął basem – hurra!!!

– Hurra!!! – podchwycili inni, echo poszło w górę i spłoszyło nieliczne wyliniałe ptaki

gniezdzące się pod dachami Twierdzy.

Królownie zrobiło się przyjemnie. Poczwała się doceniona i uwielbiana.

Przez wysokie zabudowania Twierdzy przebiły się ostrożnie pierwsze promyki słońca. Królowna zadarła głowę i spojrzała do góry. Widziała wysokie czarne mury i mały kawałek błękitnego nieba nad nimi, prawie całkiem przysłonięty przez wieżę.

Witamy z powrotem w więzieniu, westchnęły Wrota.

– W domu – poprawiła Salianka.

Wiść o powrocie władczyni obiegała Twierdzę jak błyskawica i cała niewyspana ze względu na spiskowanie po nocach Rada stawiała się na piętrze w sali tronowej, którą słudzy pod dyktando Sampsy przenosili z lochów z powrotem na dawne miejsce.

Królowna siedziała na stosie gobelinów, plotła wianek z polnych kwiatków (po tym jak rzuciła pierwszym bukietem w Virvena, zdążyła sobie uezierać drugi) i krytycznie obserwowała przenosiny. Obok niej czarne psisko ocierało się o posąg przodka.

– Głęboko się na was zawiodłam – oznajmiła, gdy już cała Rada zgromadziła się wokół niej.

– Przecież wygraliśmy bitwę – wyrwał się Czwarty.

– Nie o to mi chodzi – powiedziała Salianka.

– A nie mówiłam, żeby posprzątać – syknęła Jala.

Królowna westchnęła. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby wszyscy wokół zrozumieli, czym jest porządek i dlaczego trzeba go szanować.

My z nimi pogadamy, zaproponowały Wrota.

– Była bitwa... – zaczął Gurlek, ale urwał pod wpływem spojrzenia królowny.

– No to co? – powiedziała z naganą w głosie. – A skoro już o bitwie mowa, to kto chce podbić Doliny i Ujście?

Odpowiedziało jej milczenie. Jakoś nikt nie wyrwał się z wyjaśnieniami. W kamiennej i nader wymownej ciszy Salianka skończyła pleść wianek i nie mając co z nim zrobić, wsadziła go sobie na głowę. Spod bujnego polnego kwiecica spojrzała na Radę.

– A tak poza tym to jestem z was zadowolona – oznajmiła łaskawie.

Rada rozluźniła się w sposób widoczny.

– Możecie już sobie iść, chyba że ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia – dodała życzliwie Salianka.

– Nie ma Szutzela – wyrwała się z troską Jala. – Wyleciał przed bitwą i nie wrócił.

– Wrócił z nami – uspokoiła ją królowna. Tylko kuglarka zdolna była do tego, żeby martwić się o mózgojadka. – Przeżarł się i ma niestrawność. Ktoś jeszcze czego chce? Nie? To idźcie dopilnować sprzątanía.

Kiedy odchodzili, jej spojrzenie napotkało wzrok Taloka. Nie było w nim już sympatii, nie było nawet uczuć neutralnych. Szósty patrzył na nią chłodno i bez wyrazu, jakby była powietrzem, jakby wolał udawać, że jej tam nie ma.

Już cię chyba nie lubi, stwierdziły Wrota.

– Chyba nie – zgodziła się Salianka. Nie przejęła się tym. Wtedy jej na nim nie zależało, teraz tym bardziej. Przede wszystkim dlatego, że nie miał pięknych zielonych oczu. Talok mógł o niej myśleć, co mu się podobało, istotne było tylko, co z tego jego myślenia wyniknie.

– Dawasz! – gestem wezwała do siebie doradcę.

Drugi Rady posłusznie zbliżył się do niej.

– Rozmawiałeś z nim? – zapytała królowna, wskazując na wychodzącego z sali Taloka. Przypomniało jej się, że sama chciała z Szóstym zamienić kilka słów na osobności, ale nie zdążyła przed opuszczeniem Twierdzy. Teraz już na pewno nie miała szans na to, że on zechce z nią odbyć przyjacielską pogawędkę.

– Tak, Pani.

– I?

– Wydaje mi się, że pojął, na czym wszystko tu polega. Jednakże...

– Będą z nim kłopoty? – zgadła Salianka.

Dawasz zmarszczył lekko brwi.

– Nie dał nic po sobie poznać, ale nie byłbym dziś żywym człowiekiem, gdybym lekceważył swoje przeczucia. A czuję, że zbliża się zagrożenie. W Szóstym jest wiele wątpliwości, wahania. To oczywiście, że to, czego się dowiedział, zmieniło jego nastawienie do Twierdzy. Pojął wszystko, co usłyszał, pogodził się z tym, ale nie spodobało mu się to, komu tak naprawdę służy. Śmiem twierdzić, że bardzo.

Królowna pokiwała głową. Kolejne kłopoty... A miało być tak miło.

– Miej na niego oko – poleciła.

– Pani... – zaczął Drugi. Mówił powoli, ale pewnie. Musiał sobie wszystko wcześniej dokładnie przemyśleć. – Talok nie jest nam już aż tak potrzebny. Złamaliśmy potęgę egzorcyistów, nadwerżyliśmy siły Dolin i Ujścia. Bez jego szpiegów też damy im radę. A skoro nie planujesz na razie podbojów...

– Sugerujesz, żeby...

– Może czas porozmawiać o nim z twoim faworytem? – To było coś nowego. Rada raczej unikała tematu Virvena, jego ewentualnego pochodzenia i morderstw, które ewentualnie popełniał.

– Nie – Salianka potrząsnęła głową. – Jeśli uznasz, że będą, ale naprawdę będą z nim kłopoty, zamknij go w jakimś lochu. Na pewno gdzieś jest jakaś pusta cela. Virvenowi nawet o tym nie wspominaj.

– Jak każesz. – Zaskoczyło go jej polecenie. Królowna nigdy dotąd nie miała problemów ze skazaniem kogoś na śmierć. Po prostu skazywała, resztą nie zwracając sobie głowy.

– Czy to nie dziwne – powiedziała, jakby odgadła, o czym myślał. Mówiła jednak bardziej do siebie niż do niego. – Egzorcyści są dobrzy, a ja jestem zła. I to ja zaczynam mieć skrupuły...

– Czy to już wszystko, Pani? – spytał Drugi. Nie wiedział, co odpowiedzieć na takie wyznanie, wołał więc odejść i przemyśleć jej słowa. Salianka pokręciła głową.

– Co wiesz o mojej matce? – tym pytaniem udało jej się zaskoczyć go jeszcze bardziej. – Miałam jakąś matkę – ciągnęła zniecierpliwiona jego przedłużającym się milczeniem. – Inaczej nie byłoby mnie na świecie. Bocian mnie przecież nie przyniósł!

– Nie wiemy, co Waszą Wysokość przyniosło – wyznał Dawasz i dla odmiany królownę zatkało ze zdumienia. Spodziewała się różnych odpowiedzi, ale nie takiej. – Pewnego dnia znaleźliśmy Waszą Wysokość pod bramą.

– Tak bez niczego?

– Zawiniętą w różowy kocyk – sprecyzował Drugi. – Był też list zaadresowany do Pana Twierdzy.

– Co było w liście?

– Był prywatny – zaznaczył dostojnie Dawasz. – Nie czytałem.

– Nie kłam mi tu – zdenerwowała się królowna. Akurat, on by nie przeczytał prywatnego listu, który wpadł mu w ręce.

– Było napisane: „Nie sądzisz chyba, że JA będę się nią zajmować” – powiedział pospiesznie Drugi. – Było też postscriptum: „Uważam, że Euadora to piękne imię, ale oczywiście to TWOJE dziecko i TY decydujesz”.

– Więc dlaczego nie nazywam się Euadora? – zapytała Salianka.

– Odniosłem wrażenie, że ojciec Waszej Wysokości nie przepadał za matką Waszej Wysokości. Poza tym imię mu się nie podobało.

– Nic więcej nie wiesz?

– Krótco potem ojca Waszej Wysokości zaczęło opętywać, więc...

– Nie mieliście głowy do dzieci – dokończyła z rezygnacją królowna. – Dziękuję. To wszystko. Możesz już iść.

Kiedy już sobie poszedł, a ona została sama, usiadła na gobelinach i przytuliła do siebie psa.

Pazur właśnie mościł sobie wygodne posłanie na łóżku królowny, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Można? – Jala zajrzała do komnaty. Zachęcona skinieniem głowy Salianki weszła do środka. – Szutelowi już lepiej – powiedziała Ósma, siadając w fotelu. – Strasznie się musiał objeść.

– Nie przypominaj mi o tym – poprosiła królowna.

– Właściwie to przyszłam zapytać, jak było poza Twierdzą. Dawno nie widziałam tamtego świata.

– Możesz sobie pojechać na wycieczkę w każdej chwili – przypomniała jej Salianka. Twierdza to nie było więzienie, przynajmniej nie dla wszystkich. – Chociaż rozsądniej byłoby, gdybyś zabrała ze sobą oddział łupieżców w charakterze eskorty.

– Wiem, ale to już nie będzie to samo – westchnęła Jala. – Nawet kiedy tam pojedę, nie będę już patrzyła na ten świat jak Jala-kuglarka. Nie żebym żałowała – dodała. – Tu jest mi o wiele lepiej mimo pewnych... spraw.

– Aha – domyśliła się królowna. Właściwie to mogła na to od razu wpaść. Problemy nie chodziły parami, tylko stadami. Dobrze przynajmniej, że ją samą ominęły rozterki uczuciowe. Dobrze, chociaż... trochę szkoda. Zamyśliła się na chwilę, przywołując w pamięci obraz ciemnowłosego rycerza. Stał przed nią prawie jak żywy. Od tej wizji oderwał ją dopiero dźwięk głosu Ósmej.

– Miłość jest stanowczo zbyt zachwalana – stwierdziła zdecydowanie Jala. Salianka energicznie pokiwała głową. Jej doradczynie wiedziały, co mówi, w końcu sama to przeżyła. Z pewnością miała rację. Nie warto gonić za uczuciem. Potem i tak okazuje się, że bajki nie są dla zwykłych ludzi, a już na pewno nie dla tych z Twierdzy. – A skoro już o tym mowa, nie masz przypadkiem planów nowych podbojów...? Dalekich. Chciałabym pojechać z armią na ochotnika. Żeby mieć na nich oko.

Albo żeby po prostu być daleko od Plaskata, powiedziała sobie w duchu Salianka.

– Nie – pokręciła głową. Jej plany podbojów na razie były dość odległe. Przede wszystkim musiała się pozbyć resztek egzorcystów. – Ale mogę cię zrobić namiestniczką Rozstajów – zaproponowała, przyznając tym samym rację Wrotom.

– Cudownie – ucieszyła się Ósma. Widać było ulgę, jaką sprawiło jej szybkie i proste rozwiązanie trudności. – Nie żeby było mi tu źle, ale natykanie się na niego... ciągle... jest strasznie irytujące. Muszę odpocząć.

– Rozumiem – skłamała królowna. Nie miała najmniejszego pojęcia, o czym jej przyjaciółka mówi, i jakoś wcale tego nie żałowała. Chociaż gdzieś w sercu piknęło jej irytująco wspomnienie zielonych oczu. Spróbowała je zignorować, ale to nic nie dało. Czy chciała tego czy nie, nie mogła nie myśleć o rycerzu z czarnym gryfem na tarczy.

* * *

Pobudka, oznajmiły rześko Wrota.

Salianka otworzyła jedno oko. Oceniała otaczający ją świat i szarą poświatę rodzącego się dnia.

– Dopiero świta – mruknęła i zamknęła je z powrotem. Chciała dalej spać i wyśnić do końca swój sen. Nie pamiętała dokładnie o czym, a raczej o kim śniła, ale wiedziała, że na jawie nigdy tak wspaniale nie będzie.

Wstawaj, zniecierpliwiły się Wrota.

– Dlaczego? – zapytała żałośnie królowna. Krzyki we wnętrzu jej umysłu zdecydowanie uniemożliwiały jej nie tylko spokojny sen, ale w ogóle jakikolwiek.

Bo jest piękny dzień, stwierdziły radośnie.

– Byłby piękniejszy, gdybym mogła zostać w łóżku – zaprotestowała Salianka. – Nie muszę sprzątać, czyścić, gotować ani odpowiadać na denerwujące pytania mojej matki. Gdybym jeszcze mogła pospać trochę dłużej...

Wstawaj!!! – zażądały gromko Wrota.

– Podłe. – Królowna z trudem doprowadziła się do pozycji pionowej.

Śpiący w nogach łóżka Pazur przeciągnął się i zamerdał ogonem.

Dobry piesek, lubi wstawać, rozczuliły się Wrota.

– Zdrajca – ziewnęła Salianka, poklepała Pazura po łbie i zajęła się poranną toaletą, którą na szczęście mogła wykonać, nie angażując do tego sił umysłowych. Tak naprawdę obudziła się dopiero z godzinę później, kiedy zamknęła ostatnie puzdreczko i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Pięknie wyglądasz, pochwały ją szczerze Wrota.

– Dziękuję – odparła zdziwiona królowna. Nie zdarzało się zbyt często, właściwie to prawie nigdy, żeby Wrota były nie tylko miłe, ale jeszcze prawy jej komplementy.

To możemy już iść, dodały zaraz.

– Gdzie? – jęknęła rozpaczliwie Salianka. Miała nadzieję, że skoro już wylazła z łóżka, to się od niej odczepią, ale jej ciało przestało jej słuchać, wstało i szybkim krokiem wyszło na dziedziniec.

Wrota przebiegły prawie całą Twierdzę, rozpędzając przy okazji sprzątającą zapamiętałe służbę. Zatrzymały się dopiero na krużgankach. Rozejrzały się uważnie i, wyraźnie niezadowolone z wyniku oględzin, dopadły najbliższego służącego, który właśnie zamiatł schody.

– *Pytał ktoś o mnie?* – zapytały go zachłannie.

– Nie, Pani – wyjąkał zaskoczony sługa.

Wrota dały mu spokój i zeszły na dziedziniec, rozglądając się pilnie wokoło.

„Czy ja się mogę dowiedzieć, o co tu chodzi?” – zapytała odrobinę zgryźliwie królowna. One coś knuły, była tego pewna. Pytanie tylko co.

– *O nic, o nic* – zapewniły ją Wrota tonem absolutnej niewinności.

– Ach tak? – Salianka wypchnęła je na koniec swojego umysłu. – To skoro o nic, to uspokójcie się! – Złapała się za głowę, która uparcie odwracała się w stronę bramy.

Dobrze, skapitulowały Wrota. Ale zerkniesz czasami w stronę bramy?

– Po co?

Po nic, po nic, tylko zerkaj, poprosiły przymilnie.

Królowna zastanowiła się. Ta cała konspiracja Wrót połączona z wyczekiwaniem czegoś tak gorączkowym, że aż nawet ona to czuła, nie wróżyła niczego dobrego.

– Czy ja wam mówiłam, że nienawidzę niespodzianek? – zapytała nieufnie.

Mówiłaś, a co? – zainteresowały się Wrota.

– A nic, tylko się chciałam upewnić – powiedziała Salianka. Rozejrzała się wokół. Skoro

już wstała, to mogła znaleźć sobie jakieś zajęcie, możliwie mało męczące i polegające na rozkazywaniu innym.

* * *

Czterech rycerzy wjeżdżających do Twierdzy wzbudziło mierne zainteresowanie. Nawet strażnicy przy wejściu tylko machnęli na ich widok ręką, dając wolną drogę. Łupieżcy przywykli do widoku najemników, do których dotarła wieść o podboju Rozstajów i o sukcesach w kampanii przeciw egzorcystom. Większość spragnionych złota wagabundów była gotowa nawet zaciągnąć się do armii pod wodzą demonów.

Niezaczepiani przez nikogo, a przy tym lekko zdeorientowani zastaną sytuacją jeźdźcy zatrzymali się na środku zewnętrznego dziedzińca. Nikt nie zwracał na nich uwagi, nikt nie zadawał niewygodnych pytań. Nie tego spodziewali się w legendarnej Twierdzy.

Jedyną osobą, która w ogóle raczyła zwrócić na nich uwagę, była Salianka. Przechadzała się akurat po zewnętrznym dziedzińcu, na próżno szukając sobie jakiegoś zajęcia. I łupieżcy, i służba sami doskonale wiedzieli, co mają robić, więc nawet nie było co nadzorować. Rozglądając się w poszukiwaniu kogoś, komu można by wytknąć parę błędów, królowna zahaczyła o przybyłych wzrokiem i już nie mogła go oderwać. Prawie się zamieniła w słup, czego pochłonięta sprzątaniami służba i pochłonięci segregowaniem zdobyczy łupieżcy i tak nie zauważyli. Tymczasem ciemnowłosa mężczyzna z czarnym gryfem na tarczy zsiadł z konia. Nie reagował na nawoływanie swoich towarzyszy, tylko zatrzymał jednego z przechodzących łupieżców.

– Niech to diabli – wyrwało się zaskoczonej Saliance. Tego się nie spodziewała. Co innego wyobrazić sobie, jak to by było wspaniale, gdyby obiekt jej uczuć był w pobliżu, co innego zobaczyć go zniemacka na własne oczy w Twierdzy.

Niespodzianka, powiedziały radośnie Wrota.

– Jak to? – Królowna nie odrywała oczu od mężczyzny. Zadał właśnie jakieś pytanie zatrzymanemu łupieżcy, a ten, bardzo zdziwiony, wskazał na nią.

Skoro może szukać miłości swojego życia gdziekolwiek, to dlaczego nie tu, wyjaśniły Wrota. Wiemy, że ci zależy, dodały dobrodusznie.

Mężczyzna był coraz bliżej. Nie ulegało wątpliwości, że zmierza do Salianki. Królowna wpatrywała się w niego jak urzeczona. Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, ale zaraz wątpliwości znikły wyparte przez stan przypominający panikę. Wspaniały rycerz zaraz do niej podejdzie, a ona... Nie miała najmniejszego pojęcia, co powinna zrobić. Uśmiechnąć się? Rzucić mu się w ramiona? A może po prostu coś powiedzieć, coś inteligentnego, błyskotliwego i najlepiej zarazem uwodzicielskiego. Z tym byłby jednak duży problem, bo nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów, w ogóle miała kłopot z przypomnieniem sobie, jak się mówi. Spoglądała tylko w jego zielone oczy i

zdawało jej się, że poza nimi nic się nie liczy, w ogóle nic innego nie istnieje, tylko to piękne, obezwładniające spojrzenie. Wrota też na niego patrzyły, chociaż nie ograniczały się tylko do pięknych oczu. Całe szczęście, bo zauważyły, jak wyciąga miecz.

– Powinno to się dokonać w uczciwej walce – powiedział zimno do królowny. – Ale jak walczyć uczciwie z czarownicą? – Uniósł broń. Pozostali jeźdźcy coś do niego krzyczeli. Wrota nie zwracały na nich uwagi, w ostatniej chwili zdążyły przejąć kontrolę nad ciałem Salianki i zrobić unik, zanim ostrze przebiło dziewczynę.

„Co to ma być, wy przeklęte wierzeje?!” – krzyknęła rozpaczliwie królowna, której świat, przed chwilą jeszcze taki piękny, nagle zawałił się w gruzy.

Mężczyzna zamierzał się do kolejnego pchnięcia, zdeterminowany, żeby doprowadzić swój zamiar do końca. Nie zdążył ponownie zaatakować Salianki. Dopadł go Virven, który pojawił się jakby znikąd. Wytrącił napastnikowi miecz, wykręcił ramię. Drugą ręką złapał człowieka za włosy i przechylił jego głowę na bok, odsłaniając kark. Ludzka twarz Virvena rozciągnęła się, ukazując paszczę demona.

– Nie!!! – wrzasnęła królowna, wypychając się na przód własnego umysłu. Nieważne, że rycerz chciał ją zabić, ona nie byłaby w stanie sobie wybaczyć, gdyby pozwoliła zabić jego. – Jak mu przegryziesz gardło, to koniec z naszą umową!

Virven zawahał się. Zamknął paszczę. Wciąż jego usta nie do końca przypominały ludzkie, ale przynajmniej nie szczyrzył już ogromnych zębów nad karkiem rycerza.

– To mam go wypuścić?

Salianka spojrzała na niego bezradnie. Nie chciała, żeby rycerz zginął, ale sama też nie chciała ginąć z jego rąk. A nie miała wątpliwości, że gdyby był wolny, od razu spróbowałby ją zabić. Widziała to w jego oczach, które mimo to wcale nie stały się mniej piękne.

– Chwileczkę – powiedziała słabym głosem. – To ma być niespodzianka? – zapytała szeptem Wrota.

No, tak sobie myślimy, że chyba Pawlinka nie zapytała go, czego on szuka, przyznały uczciwie. Te oczy, szukanie czarodziejki, melancholia, wyglądał na szukającego wielkiej miłości, a nie na mordercę.

Tymczasem pośrodku dziedzińca zakończyła się krótka i nierówna potyczka między łupieżcami a trzema pozostałymi jeźdźcami. Słudzy Twierdzy, ledwie zauważyli, że ktoś śmie napadać na ich Panią, i to tuż pod ich nosem, zaraz złapali za broń i rzucili się na atakującego ją mężczyznę i na jego towarzyszy. Tych, którzy biegli na ratunek królownie, ubiegł Virven. Otoczyli więc pozostałych rycerzy. Przybysze zdecydowanie lepiej radzili sobie z bronią, ale łupieżców było wielu, poza tym byli niesamowicie zapalczywi. Kres walce położył postępek demona: rycerze dojrżeli potwora, który kłapał zębiskami nad ich kompanem. Ten widok ich oszołomił, a wojacy z Twierdzy natychmiast wykorzystali okazję. Rozbroili przybyszów i pojmali w niewolę, nie szczędząc im przy tym kuksańców. Okrzyki triumfu sprawiły, że Salianka odwróciła się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Zadowoleni z siebie łupieżcy właśnie

prowadzili do niej swoich jeńców. Królowna rozejrzała się po dziedzińcu, jakby szukając ratunku. Nie miała nawet siły zastanawiać się, co powinna zrobić. Miała za to wrażenie, że cały świat postanowił jej zrobić okrutny, nieśmieszny kawał. Mogła się spodziewać, że szczęśliwa miłość nie jest dla niej. Ba, nawet się z tym pogodziła, choć ostatnio prześladowało ją wspomnienie zielonych oczu i myśli o tym, co by było, gdyby jednak... Ale nigdy, przenigdy nie spodziewała się, że pierwszy mężczyzna, którego pokocha, przybędzie do Twierdzy po to, by ją zabić. Tego było na nią jedną za wiele.

– Ja się załamię – obiecała Salianka, siadając na najbliższej skrzyni z łupami. Gdyby nie usiadła, może by się przewróciła. Patrzyła, jak łupieżcy pętają wszystkich czterech rycerzy, a w głowie miała kompletną pustkę. Nie wiedziała, co myśleć, nie wiedziała, co robić.

No, może to nie do końca melancholia, zgodziły się z cieniem skruchy Wrota. Ale przecież liczą się nasze intencje, co nie?

– Zdrada! – zagrział jakiś głos nad nimi. Na dziedziniec dotarł zawiadomiony o wydarzeniach Dawasz, za nim powoli schodziła się reszta Rady. – Zdrajcy podstępem dostali się do naszej Twierdzy. Poniosą karę!

Wśród łupieżców rozległ się pomruk aprobaty. Tego właśnie chcieli, niech ci, którzy odważyli się stanąć przeciw ich Pani, zginą! Tak załatwiano sprawy w Twierdzy.

– Nie! – krzyknęła królowna. Tylko nie to, niech on zostanie przy życiu, nieważne, co chciał jej zrobić. Wszyscy łupieżcy, słudzy i członkowie Rady spojrzeli na nią. Ostatnią rzeczą, jakiej mogła się po nich spodziewać, było zrozumienie dla jej rozkazu.

A to się porobiło, mruknęły Wrota i zaszyły się na najdalszym końcu jej umysłu.

– Nie... teraz – powiedziała Salianka, uginając się pod naciskiem spojrzeń. – Jeszcze nie teraz. Zdrajcy zginą w odpowiedniej chwili. By swoją śmiercią podkreślić nasz triumf.

Łupieżcy zaczęli wznosić okrzyki na jej cześć. Doradcy pokiwali głowami z uznaniem. Królownie na przemian robiło się zimno i gorąco.

– Do lochów z nimi – poleciła, ze wszystkich sił starając się, żeby głos nie zdradził targających nią uczuć. W końcu była Panią Twierdzy. Zwykle nastawanie na jej życie nie powinno robić na niej wrażenia.

Więźniów zawleczono do podziemi, a za nimi podążyła większość łupieżców, radośnie witając okazję do zelżenia kogoś i obrzucenia go zgniłymi warzywami. Salianka odprowadzała ich wzrokiem, a kiedy zeszli jej z oczu, rozejrzała się bezradnie. Dostrzegła Plaskata.

Dojście do niego było jedną z najtrudniejszych rzeczy w jej życiu. Dziedziniec zdawał się ciągnąć na niewyobrażalną odległość, a bruk falować i uginać pod stopami. Kiedy w końcu jej się udało, złapała go gorączkowo za kubrak. Piąty spojrział na nią zdumiony.

– Dobrze się czujesz, Pani? – zapytał z niepokojem. Królowna miała wyraz twarzy, jakiego nie zdarzyło mu się widzieć nigdy u nikogo prócz konających w mękach na polu bitwy.

– To jest straszna pomyłka – wykrztusiła Salianka. Musiała komuś o tym powiedzieć, ktoś musiał znaleźć sposób, żeby to jakoś odkręcić. Przeklęła w myślach Pawlinkę, która nawet nie zapytała rycerzy, kogo szukają i po co, tylko od razu wysłała ich do Twierdzy. Gdyby czarodziejce albo Wrotom przyszło do głowy dowiedzieć się, jakiej jeźdźcy chcą przepowiedni... Zamiast od razu odsyłać ich do Twierdzy w przekonaniu, że wyświadczą jej wielką przysługę! – Oni wcale nie przyjechali tu, żeby właśnie mnie zabić.

– Widzieliśmy...

– Tak, ale oni wcale mnie nie szukali. Pomylili się. Nie chcieli zabić MNIE, rozumiesz? – Prawie oderwała mu rękaw, szarpiąc za niego gorączkowo. – Szukali kogoś, nie wiem kogo, ale przez pomyłkę trafili tutaj. Ktoś ich źle skierował.

– Kto mógłby...

– Moja przeklęta matka! – wpadła mu w słowo Salianka. – Ona nie wiedziała, kogo właściwie szukają, nie przyszło jej do głowy, że będą chcieli mnie zabić, myślała... Zresztą to nieważne, trzeba ich jakoś ratować. To nie ich wina, nie chodziło im o mnie, rozumiesz? Ona im powiedziała, że szukają właśnie mnie, okłamała ich, żeby trafili do Twierdzy! Przez pomyłkę!!! – Wyglądała, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem. Plaskat zaczął się poważnie niepokoić.

– To pomyłka? – upewnił się.

– Tak! Trzeba ją jakoś odplątać, tylko nie wiem jak! – Królowna z rozpaczy walnęła czołem o jego ramię.

– O bogowie!!! – krzyknął nagle Ernalik.

Salianka natychmiast podniosła głowę. Omiotła dziedziniec szalonym wzrokiem. Trzeci Rady stał nad bronią, którą zabrano więźniom. Oglądał tarcze. Na wszystkich czterech były gryfy: złoty, srebrny, brązowy i czarny.

– Co jest? – zainteresował się Czwarty. Pozostali podeszli bliżej.

Ernalik spojrział na nich znad tarcz. Był bardzo blady.

– Oto powrócił prawowity król Rozstajów – oznajmił lekko trzęsącym się głosem.

– Bzdura – zaprotestowała Jala. – Już ustaliliśmy, że prawowitym królem, to jest królową Rozstajów jest Salianka.

– No, była to trochę naciągana interpretacja – przyznał Siódmy.

Jala zgromiła go wzrokiem.

– Skąd wiadomo, że to niby jest prawowity król Rozstajów? – zapytał chłodno Dawasz.

Ernalik wskazał na tarcze.

– Napisane jest w księdze przepowiedni, że cztery gryfy przybędą, by wyzwolić kraj spod jarzma.

Pozostali członkowie Rady zgodnie spojrzeli na Jalę. Zwykle to ona ofiarnie wszystko czytała. Pozostali uznali, że skoro ona się poświęca, to oni już nie muszą.

– Chyba rzeczywiście było coś o gryfach – zastanowiła się.

– O ile pamiętam – wtrącił z naciskiem Gurlek – to ustaliliśmy, że nasza królowna ratuje Rozstaje przed swoim jarzmem.

– Widocznie króla Rozstajów nikt o tych ustaleniach nie powiadomił – warknął Dawasz.

– Czyli prawowity król Rozstajów przybył, by wyzwolić swój kraj spod jarzma Twierdzy – powiedział spokojnie Talok.

Pozostali spojrzeli na niego spode łbów.

– To pochopna i fałszywa interpretacja wydarzeń – powiedział z naciskiem Drugi.

– Znajdę jakiegoś barda i opowiem mu, jak to było naprawdę – zaofiarowała się Jala.

Czyli oni naprawdę szukali ciebie, stwierdziły odkrywczo Wrota. To przeznaczenie rzeczywiście ma swoje sposoby.

– Więc to jednak nie była pomyłka – jęknęła cicho królowna. Miała ochotę przeklinać los na wszystkie możliwe sposoby. Rzeczywiście znajdował najbardziej pokrętne ścieżki, żeby spełniać swoje zamierzenia. Czterej rycerze przybyli do czarodziejki, by zapytać, jak mają wyzwolić Rozstaje. Pawlinka, myśląc, że szukają miłości, za namową Wrót wysłała ich do Twierdzy przekonana, że robi coś wspianalego dla swojego dziecka. Gdyby wiedziała, po co przyszyli, pewnie zaserwowałyby im jakieś niejasne kłamstwo. Może nie przepadała za własną córką, ale nie chciała mieć jej śmierci na sumieniu. I tak rycerze trafili do Twierdzy, tam gdzie od początku powinni byli trafić. Przepowiednia się spełnia, krąg się zamyka. Król Rozstajów przybył, by wyzwolić swój kraj spod jarzma Pani Twierdzy. To, że jej przy okazji prawie pękło serce, nie ma znaczenia.

– Obawiam się, że nie, Pani – przyświadczył Plaskat.

Salianka puściła jego rękaw i zastąpiła mu gwałtownie drogę. Była bardzo blada, a jej ciemne oczy wydawały się większe niż zwykle. I z pewnością więcej w nich było rozpacz.

– Wszystko jedno – stwierdziła. – On... oni nie mogą zginąć! Wymyśl coś!

– A ty, Pani? – zapytał z niepokojem. Królowna wyglądała na jeszcze bardziej chorą niż kilka minut temu.

– Ja idę płakać – oznajmiła i odeszła.

* * *

Pazur wył na tyle głośno, że zagłuszał szlochy królowny, która zresztą bardzo szybko szlochać przestała. Nie była do płaczu przyzwyczajona, a już na pewno nie do takiego płaczu. Do tego lzy rozmazały wszystkie mazidła i wyglądała naprawdę okropnie. Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, żeby dzielnie pociągnęła nosem, otarła ciemne smugi z policzków i wysłała służącą po miskę zimnej wody. Lodowatej, konkretnie.

Kiedy już poczuła, że twarz zamarzła jej prawie na kamień, spojrzała w lustro po raz drugi. Przynajmniej czarne zacieki pod oczami znikły. Z przyzwyczajenia sięgnęła po najbliższe puderko.

– Teraz możecie mi to wszystko wyjaśnić – powiedziała.

Jak tylko go zobaczyłaś, od razu wiedziałyśmy, co się święci... – mruknęły Wrota. A raczej co mogłoby się święcić, gdybyśmy trochę pomogły nadać pewnym sprawom właściwy bieg. Dla twojego własnego dobra.

– Dla mojego dobra? – powtórzyła kąśliwie królowna.

Może miałyśmy nadzieję na drobne urozmaicenia w naszej wspólnej nudnej egzystencji, przyznały opornie.

– Ja się nie nudziłam! – Ciśnięte na toaletkę pudzderko obtukło się na krawędzi. – Było mi dobrze... w miarę – dodała uczciwie. – A teraz jest mi źle!!!

Może należało ich spytać, czego szukają, westchnęły Wrota. Ale tego nie zrobiłyśmy i Pawlinka wysłała ich prosto do Twierdzy, a tego jednego konkretnie do ciebie.

– Nienawidzę niespodzianek – stwierdziła Salianka, wpatrując się tępo w swoje odbicie. – Jak ja nienawidzę niespodzianek.

Kiedy Plaskat ostrożnie zajrzał do komnaty, zastał królownę siedzącą bez ruchu przed toaletką. Gapiła się tępo na swoje odbicie, jakby od tego zależało jej życie. Na jej policzkach nie było już śladu po wylanych łzach, zimna woda zniszczyła wszelkie oznaki lamentów. Twarz Salianki przypominała maskę, tylko w oczach tliła się jakaś oznaka świadomości, a może szaleństwa. Pod ścianą siedzieli obok siebie Virven i Pazur i spoglądali na swoją Panią w identyczny, zaniepokojony i pełen niezrozumienia sposób.

– Ehm... – odchrząknął Piąty. Salianka powoli obróciła głowę i wbiła w niego obłąkane spojrzenie. – Udało mi się przełożyć egzekucję na czas pełni. Reszta łatwo się zgodziła. Uznali... zwłaszcza Jala uznała, że to będzie bardzo symboliczne. To daje nam dwa tygodnie na wymyślenie czegoś.

Królowna wróciła do gapienia się na swoje odbicie. Przynajmniej na razie miała pewność, że przez dwa tygodnie jej rycerz zostanie żywy. A potem... Musiała coś wymyślić, ale myślenie przychodziło jej wyjątkowo trudno, przygłuszone wszechogarniającą rozpaczą. Nie przypuszczała, że cokolwiek może ją aż tak zboleć.

– Co z więźniami? – jej własny głos brzmiał, jakby dobiegał z oddali.

– Kazałem ich pilnować przed ewentualnymi atakami.

– Który z nich to król Rozstajów?

– Ten ze złotym gryfem na tarczy – wyjaśnił Plaskat.

– A pozostali?

– Jego wierni towarzysze, potomkowie szlacheckich rodów.

– Naprawdę przyszli tu, żeby mnie zabić? – zapytała. Gdzieś w głębi duszy hodowała małą iskierkę nadziei, że to wszystko jednak pomyłka.

– Tak. – Piąty poczuł się wyjątkowo głupio i nie na miejscu. Jakby osobiście deptał jej marzenia. – Choć w zasadzie plan mieli inny. Król miał zamiar wyzwać cię na pojedynek czy coś w tym rodzaju. Zrobić to honorowo. Jego towarzysz... najlepszy druh, jak się zdaje... miał

zamiar wybrać drogę być może mniej honorową, ale gwarantującą szybkie wyzwolenie Rozstajów spod jarzma.

– Przecież ja nawet nie zaczęłam tyranizować Rozstajów – rzuciła w przestrzeń Salianka.
– Owszem, kazałam je podbić, ale potem nałożyłam na nich rozsądne i niewygórowane podatki i zapewniłam ochronę przed napaściami łupieżców i egzorcystów.

– Obawiam się, że do króla to nie przemawia – zauważył Plaskat. – On i jego towarzysze to świetnie wyszkoleni żołnierze. Do tego mają po swojej stronie legendę... ludowy mit o bohaterze wyzwalającym swoich ziomków. Ludzie na to pójdą. Jeśli nie chcemy mieć dużych kłopotów, powinniśmy jednak...

– Nie – przerwała mu królowna. Jedyne, czego była w tej chwili pewna, to że rycerz z czarnym gryfem na tarczy musi przeżyć. Dla jej własnego dobra.

– Planujesz dość nierozsądne działania, Pani. Skoro nie ma mowy o żadnej pomyłce, to...

– Nic mnie to nie obchodzi! – wybuchła. Spojrzała na niego z przygnębieniem. – Przecież byłeś przynajmniej raz tak naprawdę zakochany – powiedziała. Plaskat spojrzał na nią zaskoczony. Dopiero po chwili zrozumiał, co oznaczają jej słowa i jej wcześniejsze zachowanie.

– Byłem – przyznał. Złapał się na tym, że zaczyna jej współczuć. Zła czarownica zaplątana w pajęczą sieć własnych uczuć i powinności.

– Mimo to nie oczekuję, że pomożesz mi, bo rozumiesz moje uczucia – stwierdziła królowna.

– Nie?

– Zrobisz to, bo jestem twoją Panią, Pierwszą Rady, i ode mnie zależy, czy wespniez się na szczyty bogactwa i władzy, czy z nich spadniesz w podskokach jak poprzedni Piąty!!! – Przerażony jej krzykiem Pazur schował się za plecy Virvena.

– Oczywiście, Pani. – Plaskat skłonił się. Ten krzyk sprawił mu ulgę. Skoro była w stanie tak się unieść, to oznaczało, że nie poddała się całkiem przygnębieniu, że wciąż była tą samą Panią z Twierdzy co jeszcze dzień wcześniej. – Rozumiem.

– To wymyśl coś – westchnęła Salianka, wstając z krzesła. – Bo ja nie jestem w stanie myśleć.

Piąty zastanowił się. Tak naprawdę to właśnie dostał to, czego od początku chciał. Stał się najbliższym i najważniejszym Doradcą królowny. To jego pytała o zdanie w najważniejszej dla siebie sprawie, to od niego oczekiwała rozwiązania. Osiągnął swój cel: miał większe wpływy niż ktokolwiek inny z członków Rady. Teraz tylko musiał znaleźć sposób, żeby uratować skórę rycerzy i tym samym ugruntować swoją pozycję.

– Pani! – powiedział. Salianka odwróciła się do niego z nadzieją. – Skoro zakochałaś się w królu Rozstajów, to może najprostszym bezkrwawym rozwiązaniem byłby po prostu ślub, z rozsądku i względów politycznych. Podejrzewam, że przy całej swej szlachetności zgodziłby się na to, żeby oszczędzić swoim poddanym wojny.

– Pewnie masz rację – zgodziła się królowna. – Ale ja nie zakochałam się w królu.

* * *

– Z całą pewnością nie możesz ich ułaskawić – poinformował królownę przy śniadaniu Plaskat.

Salianka smętnie zapatrzyła się w jajko na miękko. Już wcześniej Wrota mówiły jej to samo, tylko głośniejszym, bardziej dosadnie i kilkakrotnie.

– Na pewno? – zapytała ponuro.

– Spędziłem ostatnie trzy dni, grzebiąc w kronikach. – Dla podkreślenia swoich słów strzepnął z ramienia pajęczynę wraz z zaskoczonym pajęczkiem. – W Twierdzy nigdy nikogo nie ułaskawiano. Rzadko kiedy kogokolwiek sądzono. Twoi przodkowie, Pani, od wieków preferowali szybkie i ostateczne rozwiązania problemów. Niektórzy celowali w rozwiązaniach ostatecznych, ale niezbyt szybkich.

– Nie mieli wiary w ludzi – westchnęła królowna i oddała swoje jajko Pazurowi. Całkiem straciła apetyt.

Dziwisz im się? – spytały retorycznie Wrota.

– Sprawdziłem też lochy – ciągnął Plaskat. – Wszędzie wokoło kręcą się łupieżcy, kraty są solidne, drzwi żelazne, nawet gdybyśmy otworzyli wszystkie zamki, to rycerze zginą lub zostaną schwytani, zanim opuszczą Twierdzę.

Virven podniósł głowę znad swojego wypełnionego po granice możliwości półmiska.

– Mogę rozszarpać strażników – zaoferował się ochoczo.

Piąty pokręcił głową.

– Wykluczone. Jeszcze ktoś by cię zobaczył. Nikt nie może kojarzyć Jej Wysokości ze zniknięciem więźniów, to najważniejsze.

– Mogę się przebrać – nie ustępował Virven. Rozszarpywanie kogoś było bardzo miłą perspektywą i nie zamierzał z niej łatwo rezygnować.

– To nic nie da – stwierdził z naciskiem Plaskat. – Usuwasz ludzi ze swojej drogi w dość... charakterystyczny sposób. Potkną się o parę rozszarpanych szczątków i każdy będzie wiedział, kto je zostawił.

Demon prychnął z niezadowoleniem i zajął się posiłkiem. Był zdania, że jego Pani niepotrzebnie komplikuje sobie życie, rezygnując z najprostszej metody usuwania problemów.

– Chociaż sprowadzenie pomocy z zewnątrz to nie taki zły pomysł – zastanowił się głośno Piąty. – Gdyby kogoś wynająć, kogoś, kto pomógłby więźniom z zewnątrz... Może mieliby szansę... Chociaż właściwie to raczej nie – uznał po chwili. – Za dużo straży. Mały oddział byłby za słaby, duży zbyt widoczny.

Salianka westchnęła smętnie i nawet nie zauważyła, że Wrota przejęły nad nią kontrolę.

– *A jeden człowiek?* – zapytały. – *Jego chyba nikt by nie zauważył.*

– Jeden człowiek nie dałby rady – pokręcił głową Plaskat.

– *Chyba że byłby bohaterem* – zauważyły Wrota.

„Ulk!”, ożywiła się królowna. Wreszcie mógł jej się na coś przydać! Bez namysłu odepchnęła Wrota.

– Musisz przygotować plany lochów z zaznaczonymi strażnikami – powiedziała gorączkowo. – Jak najszybciej. A kiedy będą gotowe, wyprowadzisz mnie z Twierdzy.

– Pani...

– Do roboty, ale już. – Salianka wyrwała mu z ręki niedojedzoną grzanekę. Nie było czasu na jedzenie, tu chodziło o ważniejsze sprawy.

Plaskat posłusznie opuścił jadalnię. Nie wiedział, na jaki wspaniały pomysł wpadła jego Pani, ale był zdecydowany zrobić wszystko, by pomóc w jego realizacji. Nie ze względu na dobro zakochanej dziewczyny, ale dla własnych korzyści.

– Nie jesteście takie głupie – pochwaliła królowna Wrota.

Dziękujemy ci bardzo, mruknęły urażone.

– To gdzie się wybieramy? – zapytał Virven, dzieląc się z Pazurem golonką. Nie szło mu dogadywanie się z ludźmi, ale, o dziwo, z psem dogadywał się bez trudu. Chociaż jeden był krwiożerczym demonem, a drugi tchórzliwym kundlem, to zdawało się, że wiele ich łączy. Choćby sposób, w jaki patrzyli na swoją Panią.

– Ja do Dolin, a wy nigdzie – oznajmiła stanowczo Salianka. Miała wrażenie, że nagle świat stał się lepszym miejscem, słońce zaczęło jaśniej świecić, a jej samej przybyło sił, by stawić czoło wszelkim trudnościom. Perspektywa ocalenia ukochanego sprawiła, że jej rozpacz i ponury nastrój znikły. Nawet już nie myślała o tym, że rycerz chciał i pewnie nadal będzie chciał ją zabić. To było teraz nieważne, liczyło się tylko, że jest szansa na uratowanie mu życia. – Tam są jeszcze egzorcyciści, lepiej nie rzucać się im zbytnio w oczy.

– Mógłbym ich rozszarpać – zauważył demon. Lepiej by się czuł, wyrывая komuś gardło albo przynajmniej będąc w pobliżu swojej Pani.

– Nie. – Królowna ugryzła trzymaną w rękę grzanekę, obejrzała ją i oddała psu. – Zostajecie w Twierdzy. Nie martw się, będziesz miał pełne ręce roboty. Nikt nie może zauważyć, że mnie nie ma.

– Mam się ubierać w twoje sukienki i włóczyć po murach? – skrzywił się Virven. Zrobiłby to oczywiście, gdyby kazała, ale wołał takiej maskarady uniknąć. Są pewne rzeczy, które demonowi po prostu nie przystoją.

– Nie. Tak. Mniej więcej – odpowiedziała Salianka. – Wymyśl sobie jakiś sprytny plan, ja nie mam do tego głowy. – Wstała i wyszła. Pazur oderwał się od stołu pełnego smakołyków i podążył za nią. W jadalni samotny demon pogryzał w zamyśleniu jabłko.

Bezczelowy spacerek doprowadził królownę na dziedziniec, a konkretnie przed drzwi prowadzące do składów: Teraz stały przed nimi strażę, bo części magazynów przywrócono

dawne przeznaczenie. Salianka pokręciła się trochę wokół, skontrolowała system segregowania zdobytych elementów uzbrojenia, rzuciła Pazurowi patyk i w końcu oparła się o ścianę dokładnie naprzeciw wejścia do tego niewielkiego fragmentu podziemi, który wciąż jeszcze pełnił funkcję lochów.

– Jak myślicie, ile czasu zajmie Plaskatowi sporządzenie planów? – zapytała.

Pewnie przyniesie je najpóźniej wieczorem, odparły Wrota. Jeśli tak, to zdążymy dolecieć do Dolin do rana.

– Dolecieć? A jakiś latający demon czyhający podstępnie po waszej drugiej stronie nie przejmie nade mną kontroli? – upewniła się podejrzliwie królowna.

Nie. Dawno się nie otwierałyśmy, demony nie czekają już po drugiej stronie. Znudziło im się.

– No więc dolecimy do Dolin, znajdziemy Ulka – ciągnęła Salianka. – I co dalej?

Przez jeden dzień będziesz musiała zostać w Dolinach, powiedziały. Do Twierdzy będziemy mogli wrócić, dopiero gdy zapadnie noc. Każemy Plaskatowi odwrócić uwagę strażników, a reszta należy do Ulka. My będziemy tylko patrzeć.

– W ciemnościach wiele nie zobaczymy – zauważyła krytycznie królowna.

I nas też nikt nie zobaczy, odpowiedziały Wrota.

– A myślicie, że ja go jeszcze kiedyś zobaczę? – spytała zniecierpliwiona.

Nie, jeśli oboje będziecie mieli szczęście, stwierdziły.

Salianka milczała, gapiąc się na składy tak, jakby jej wzrok mógł przebić mury. Gdzieś tam, za grubymi ścianami, siedział mężczyzna, dla którego zrobiłaby wszystko. Prawie wszystko – nie miała zamiaru dać mu się zabić.

Właściwie to od początku wiedziała, że nic z tego nie będzie. Czarownice nie żyją długo i szczęśliwie. Ona owszem, zamierzała wbrew wszystkiemu żyć najdłużej jak się da, ale na brak szczęścia już nic nie mogła poradzić. Na tym polu przegrywała z losem i musiała uznać jego zwycięstwo. Nie była jej pisana wielka miłość, a przynajmniej nie wielka odwzajemniona miłość. Jedyne, co mogła zrobić, to zatroszczyć się, żeby jej ukochany bezpiecznie opuścił Twierdzę. Potem, przynajmniej taką miała nadzieję, wyniesie się w ogóle z okolicy albo przynajmniej będzie trzymał od niej z daleka. Nigdy, przenigdy już się nie spotkają. I, niestety, tak będzie najlepiej dla obu stron.

Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś zobaczyła go teraz, powiedziały Wrota. Później raczej już nie będziesz miała okazji.

Królowna natychmiast oderwała się od ściany i ruszyła w stronę lochów, ale po kilku krokach stanęła jak wryta, a potem popędziła do kuchni.

Zwariowałaś? – zdziwiły się Wrota.

– Wiem, co robię – mruknęła Salianka. W drzwiach potrąciła służącą z kociołkiem pełnym brunatnego czegoś. – Gdzie to niesiesz? – zapytała.

– Więźniom, Ppani – wyjąkała dziewczyna, przerażona tym, że wielka Pani Twierdzy

zwraca się do niej osobiście. – Pposiłek.

– Ja to wezmę – królowna zabrała jej kociołek. – Przy okazji sprawdzę, czy dokładnie wysprzątałyście lochy i magazyny.

Cała obecna służba zgodnie stłumiła jęk obawy. Niestety, ich władczyni miała zwyczaj co jakiś czas, z nienacka, urządzać inspekcje wszystkiego, co jej się akurat nawinęło pod rękę. Jakiś uczonek w słowie lokaj powiedział, że to znaczy, że jest ekscentryczna. Wszyscy zgodnie przetłumaczyli sobie to dziwne słowo jako „okrutna”. O tym, co ich Pani robi z ludźmi, którzy nie posprzątały czegoś dokładnie, krążyły po twierdzy krwawe legendy. Znaczącą rolę odgrywały w nich latające topory.

– Ależ, Wasza Wysokość! – wyrwał się odważnie kuchcik. – Wasza Wysokość nie może iść do więźniów. Jak Waszą Wysokość poznają, jeszcze czymś rzuca albo co...

Pozostali pokiwali energicznie głowami. Mniej z troski o władczynię, a bardziej dlatego, że każdy powód był dobry, żeby uniknąć inspekcji.

– Masz rację. – Salianka odstawiła kociołek. – Muszę się przebrać!

Westchnienie ulgi zamarło służącym na ustach. Nie zwracając na nich uwagi, królowna dopadła wiadra z wodą i kilkoma energicznymi ruchami zmyła z twarzy wszystkie upiększające mazidła. Ich resztki rozmazane na policzkach bardzo udatnie imitowały brud.

– Będzie mi potrzebny twój fartuch – powiedziała do służącej, której zabrała kociołek. – I chustka.

Przywdziała te elementy garderoby, przyjrzała się krytycznie swojemu odbiciu w szklanym gąsiorze i wyciągnęła spod chustki kilka kosmyków, które zasłoniły jej twarz.

Nieźle, oceniły Wrota.

– Czasami lepiej być nieładną i niezauważaną niż piękną i znenawidzoną – mruknęła Salianka, wzięła kociołek i wyszła odprowadzana pełnymi zgrozy spojrzeniami służby.

– Ty tu zostań – poleciła Pazurowi, który wiernie podążał za nią. – Niech ci dadzą coś do jedzenia. Ja zaraz wrócę.

Opuściwszy kuchnię, królowna skierowała się do wejścia do lochów. Pilnujący go strażnicy zastąpili jej drogę.

– Stój, kto idzie?! – huknął groźnie jeden z nich.

– Olaboga, aleście mnie przestraszyli – zajęczała Salianka. Łatwo jej to przyszło, nie zapomniała jeszcze, jak się udaje głupią wieśniaczkę. – Jedzenie więźniom niosę – wskazała na kociołek z czymś, co prawdopodobnie było pomyjami.

Strażnicy zajrzeli do kotła, ocenili jego zawartość, skrzywili się z niesmakiem i wreszcie rozstąpili się.

– Możesz wejść – zahuczał któryś.

Inteligentni to oni chyba nie są, zauważyły Wrota.

– I dobrze – szepnęła królowna, taszcząc kociołek w dół po schodach. – Nie będzie z nimi kłopotu i nie będziemy zbyt żałować, jeśli coś im się stanie podczas ucieczki więźniów.

– Ależ to jest ciężkie – sapnęła, stawiając garnek u stóp schodów.

– To dlatego, panienko, że nasi gospodarze zapewniają nam najlepsze i najbardziej pożywne posiłki – wyjaśnił jej czyjś wesoły głos.

Gdyby Salianka wcześniej nie odstawiła kociołka, to pewnie by go upuściła. Wytrzeszczyła oczy w stronę, z której dochodziły słowa. Kilka metrów od niej znajdowała się krata, o którą opierał się nonszalancko jeden z więźniów, mężczyzna o długich brązowych włosach i wesołych oczach. Za nim widać było siedzących w dawnym magazynie, a obecnie lochu, pozostałych rycerzy.

Królowna dojrzała w półmroku obiekt swych tkliwych uczuć i zaniemówiła z zachwytu. Na Wrotach męska uroda nie robiła specjalnego wrażenia, więc beztrząsco przejęły kontrolę.

– *Olaboga, ależ mnie waszmość przestraszył* – wyjęczały, chwytając się za fartuch w miejscu, gdzie Salianka miała bijące w tej chwili jak oszalone serce.

– Nie było moim zamiarem przyprawianie tak zacnej panny o drżenie serca. – Żartowniś skłonił się dwornie.

Wrota spojrzały na niego podejrzliwie.

– *Hę?* – powiedziały na wszelki wypadek, wykrzywając się nieinteligentnie.

– Tord, daj dziewczynie spokój – wtrącił się król Rozstajów.

– Przecież jej nie zaczepiam – oburzył się Tord. – Chciałem się tylko dowiedzieć, co nam przyniosła.

Wrota popatrzyły na zawartość kociołka.

– *Wygląda jak pomyje* – powiedziały. – *Pachnie też jak pomyje* – dodały, pociągając nosem.

– Cóż – westchnął ciężko Tord. – Spodziewałem się w końcu jakiegoś urozmaicenia.

Wrota tylko wzruszyły ramionami i podeszły do kraty. Mogły się teraz lepiej przyjrzeć więźniom. Nie wyglądali na specjalnie przygnębionych pobylem w lochach. Raczej na tymczasowo przyczajonych, niczym dzikie zwierzęta czekające na dogodną okazję do ataku.

– *Podajcie, waszmościowie, miski* – powiedziały Wrota, starannie ignorując cztery uważne spojrzenia, które śledziły każdy ich ruch.

– Tu będzie drobny kłopot – powiedział jasnowłosy rycerz siedzący przy kracie. W przeciwieństwie do pozostałych prezentował fatalistyczne zasepienie. – Szczury je potłukły.

– Szczury? – Salianka oderwała się od biernego obserwowania miłości swojego życia i rozejrzała się nerwowo. – W Twierdzy nie ma szczurów. Olaboga – dodała pospiesznie.

– Może i mieliśmy halucynacje – zgodził się uprzejmie ponury.

– Jedna halucynacja tam siedzi – zauważył Tord.

Królowna spojrzała we wskazanym kierunku i zatkała sobie usta dłońmi, żeby nie wrzasnąć. Pod ścianą siedział szary szczur i bezczelnie poruszał wąsikami. Salianka popatrzyła na niego przez chwilę, a potem odwróciła się na pięcie i pobiegła w głąb korytarza.

– Mogłeś jej powiedzieć o tym szczurze, jak już poda nam jedzenie – zauważył ponurak.

– Wraca – powiedział Tord.

Królewna rzeczywiście wróciła, taszcząc wygrzebaną w magazynie łopatę. Stała z nią w bezpiecznej odległości od szczura i przyjrzała mu się z wyrazem zafasowania na twarzy.

– Jednym energicznym ciosem – zachęcił ją ponury.

Salianka rzuciła mu urażone spojrzenie i ostrożnie wsunęła łopatę pod szczura. Gryzoń popatrzył na nią z podejrzliwym namysłem, ale nie uciekł. Królewna ostrożnie podniosła łopatę i niosąc ją tak, żeby koniec, na którym siedział szczur, był jak najdalej od niej, wyszła na zewnątrz. Po chwili wróciła bez zwierzątka.

– Gdzie szczur? – zainteresował się Tord.

– Waszmościowie mają większe zmartwienia niż jakiś szkodnik – burknęła Salianka, odstawiając łopatę pod ścianę. Rozejrzała się na pozór bezradnie, po czym znikła w korytarzu łączącym lochy ze składami. Kiedy wróciła, niosła cztery lśniące misy. Wsunęła je jedną po drugiej przez kraty.

– To jakiś żart? – zapytał ponury, oglądając otrzymane naczynie. – Nie słyszałem o lochach, w których więźniów karmiono na złotej zastawie.

– Co za różnica, złoto czy glina? – mruknęła królewna, nabierając chochłłą brunatnej brei. – I tak będziecie z tego jeść pomyje.

Nałożyła wszystkim po kolei, swojego niedoszłego zabójcę obdarzając odrobinę dłuższym spojrzeniem niż pozostałych. Potem zabrała kociołek, chochłłą i wróciła do kuchni.

Nawet z nim nie porozmawiałaś, powiedziały Wrota.

– Nie chciałam rozmawiać – mruknęła Salianka, zdejmując fartuch. – Chciałam tylko popatrzeć.

No tak, westchnęły Wrota. Teraz będziesz żyła tym „popatrzeniem” przez sześćdziesiąt lat, aż zdziwaczysz, zwariujesz i zmienisz się w pomarszczoną staruchę wpychającą dzieciaczki do pieca.

Królewna rozważyła tę perspektywę.

– Dlaczego akurat dzieciaczki? – zapytała.

Dorośli się nie mieszczą, wyjaśniły Wrota.

Salianka podeszła do największego pieca, żeby obejrzeć go dokładnie. Potem odwróciła się i odszukała wzrokiem kucharkę.

– Zmieści się tu dorosły człowiek? – zainteresowała się. Wrota co prawda twierdziły, że nie, ale jej zdaniem nie były kompetentne w tej dziedzinie. Wołała zapytać fachowca.

Cała służba kuchenna zgodnie zbladła. Rozległ się gulgot grupowo przełykanej śliny.

– Jakby mocniej upchnąć... – odpowiedziała zaskoczona kucharka.

Królewna z satysfakcją pokiwała głową i opuściła kuchnię. Za nią pobiegł merdający ogonem Pazur.

* * *

– Naprawdę planujesz spalić więźniów w piecu kuchennym? – zapytał podejrzliwie Plaskat, wchodząc wieczorem do komnat Salianki.

Królewna spojrzała na niego zdziwiona. Miała ważniejsze rzeczy na głowie niż palenie kogokolwiek w piecu, a już na pewno nie więźniów, których starała się za wszelką cenę uratować.

– Planuję?

– Chodzą takie plotki. Podobno najpierw obejrzałaś sobie więźniów, a potem piec.

– Obejrzałam – przyznała Salianka.

– To już nie chcesz ich ratować? Mam to wyrzucić? – wskazał na trzymany w ręku zwój.

Królewna wyrwała mu pergamin. Obejrzała uważnie mapę.

– Idealnie – powiedziała. – Słońce już zachodzi, możemy iść.

Schowała zwój, wygładziła prostą czarną suknię, którą miała na sobie, na ramiona narzuciła purpurowy płaszcz. Z toaletki zabrała coś białego, Piąty nie zdążył dostrzec, co to jest, bo zaraz ukryła przedmiot w fałdach płaszcza.

– Skończyłeś? – zawołała w głąb komnat.

W drzwiach sypialni stanął Virven targający wypchany worek. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Gotowe – oznajmił z satysfakcją.

– Skoro tak, to idziemy – rozkazała. Pochyliła się jeszcze nad leżącym na łóżku Pazurem, podrapała go za uszami. – Niedługo wrócę.

Opuściła komnatę w towarzystwie mężczyzny i demona. Dojście do bramy zajęło im kilka minut. Nieliczni słudzy, jakich napotkali, błyskawicznie umykali im z drogi. Widać było, że dotarła już do nich wieść o oględzinach pieca dokonanych przez ich Panią. Stojący pod bramą strażnicy usunęli się na bok z szacunkiem. Od czasu próby zabójstwa wejścia do Twierdzy były strzeżone pilniej niż zazwyczaj, ale nikt nie ośmieliłby się zakazać królewnie udania się, gdziekolwiek by chciała, niezależnie od pory dnia czy nocy.

– Otwierajcie – poleciła Salianka strażnikom. Wyglądali na nie do końca przekonanych, czy dobrze robią, ale nie w głowie im było się sprzeciwić.

Królewna chwyciła Plaskata za rękę i wyszła za bramę. Ledwo opuściła Twierdzę, skrzyła w lewo i przytuliła się plecami do muru, tak żeby nikt spoglądający z góry nie mógł jej zobaczyć. Zrzuciła z ramion płaszcz i podała go Virvenowi. Teraz Plaskat mógł się przyjrzeć białemu przedmiotowi, który trzymała w dłoni, a który odznaczał się na tle szarego muru i czarnej sukni. Była to maska z wymalowanymi na policzku gwiazdami.

– Już nie jesteście mi potrzebni – powiedziała. – Wracajcie i postarajcie się, żeby jutro w nocy wybuchło porządne zamieszanie.

Piąty już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale zanim zdążył wydobyć z siebie głos, demon wytrząsnął z worka zawartość, którą był wypchany słomą manekin. Salianka i Plaskat

zgodnie zaniemówili.

Kukła była ubrana w czarną suknię, miała postrzępione włosy z brązowej włóczki i kretyński wyraz wymalowanej węglem twarzy. Czerwona plama farby mająca w zamyśle udawać usta przywodziła na myśl wampira po posiłku. Całość była bardziej nieudaną karykaturą niż podobizną Salianki.

Virven narzucił na kukłę płaszcz królowny i podtrzymał ją ramieniem, jakby była żywą osobą.

– To masz być ty, Pani? – wydusił z siebie Piąty.

– Oby tylko nikt nie przyglądał się zbyt dokładnie – stwierdziła z nadzieją Salianka, przyglądając się z lekką obawą swojemu sobowtórowi. – Dopilnuj, żebym ja.. żeby to miało zawsze kaptur nasunięty na twarz. I pogłaszcz czasem Pazura, on tego potrzebuje. To wszystko, idźcie sobie – pogoniła ich.

Kiedy już razem z troskliwie podtrzymywanym manekinem weszli do środka, a strażnicy, przekonani, że ich Pani wróciła do Twierdzy, zatrzasnęli bramę, królowna uniosła maskę na wysokość twarzy.

– Gotowe?

Gotowe, odparły Wrota, przejęły kontrolę i włożyły maskę.

Już po chwili oderwały się od ziemi i poszybowały w stronę Dolin.

„Trochę wolno”, zauważyła z niezadowoleniem Salianka.

– *Musimy uważać na wyegzorcyzmowane demony* – wyjaśniły. – *Nie martw się, dolecimy na czas.*

„Nie martwię się”, zapewniła je ponuro królowna.

* * *

Jesteśmy na miejscu, poinformowały Wrota.

Salianka otworzyła oczy, potarła je i ze zdziwieniem stwierdziła, że stoi w pałacowych ogrodach Dolin. Było tu tak samo zielono, jak zapamiętała, tylko może mniej czysto. Widać służba nie przykładła się już do pucowania tak skrupulatnie.

– Tak szybko?

Przespalaś prawie całą drogę, wytknęły Wrota. *Zamiast podziwiać widoki.*

– Było za ciemno na widoki – ziewnęła królowna i nie niepokoiona przez nikogo weszła do pałacu. Nikomu widocznie nie przyszło do głowy, że strażę powinny stać też wewnątrz budynku.

W szarym świetle wstającego poranka Salianka doszła do komnaty księcia. Zapukała cichutko. Kiedy nic się nie stało, zapukała głośniej. Po kilku minutach ziewnęła potężnie i walnęła w drzwi z całej siły.

– Mpfiffbbrazamajestatu – wymamrotał Gawarek, otwierając drzwi.

Na widok osoby stojącej za nimi zdębiał, a potem zatrzasnął je bez wahania.

Królewna powstała chwilę przed progiem, ziewając metodycznie. Potem zaczęła się dobijać, co bardzo szybko odniosło skutek. Książę otworzył drzwi, rzucił niespokojne spojrzenia na boki, chwycił Saliankę za łokieć i wciągnął do komnaty. Oddychając ciężko, oparł się o ścianę.

– Ładnie mnie witasz – wytknęła królewna.

– Zwariowałaś? – wyjęczał w odpowiedzi. – Co tu robisz? Widział cię ktoś?

– Nikt – uspokoiła go. – Dopiero co przyleciałam.

– A latającej nikt cię nie widział? – zapytał nerwowo.

– Nikt. – Przyjrzała mu się podejrzliwie. – Co ci się stało?

– Oni – powiedział.

– Jacy oni? – nie zrozumiała Salianka.

– Egzorcyści.

– Przecież przegrali bitwę – wzruszyła ramionami.

– Bitwę, ale nie wojnę – zauważył gorzko Gawarek. – Wciąż tu są, jeszcze bardziej wścibscy i podejrzliwi niż przedtem. Wszędzie węszą, wszystkich wypytyują. Szukają przyczyn przegranej, zdrajców.

– Nie było żadnych zdrajców – stwierdziła królewna. – Wiedziałabym.

– Ich to nie obchodzi. Mówią, że inaczej dobro nie mogłoby przegrać. Musieli być zdrajcy.

– To się namęczą, szukając ich – ponownie wzruszyła ramionami.

– Oni już ich znaleźli – odparł książę. – Wielu. Wydali nawet wyrok śmierci na Ulka.

– Żartujesz – nie uwierzyła Salianka. To był już kompletny idiotyzm, wydawać wyrok śmierci na obrońcę Dolin. To jak odpilowywać gałąź, na której się siedzi. W końcu pomiędzy łupieżcami z Twierdzy a Dolinami stał tylko wielki wojownik Ulk i widzimi się królewny, choć o tym ostatnim mało kto wiedział.

– Straciłem poczucie humoru. – Gawarek pochylił się i wyciągnął spod łóżka owinięty w szmaty miecz. – Zabierz go – powiedział, wręczając jej broń. – Za bardzo się denerwuję na myśl, że mogliby go znaleźć.

– Chcesz przestać być wielkim wojownikiem Ulkiem? – przeraziła się Salianka. – Ale... Nie możesz! – Nie teraz, kiedy był jej tak bardzo potrzebny. Cały misterny plan ocalenia miłości jej życia rozsypał się królewnie w pył.

– Mogę – burknął książę. – Kto mi zabroni?

– A co z ratowaniem niewinnych, z obroną Dolin, z byciem prawdziwym bohaterem? – dopytywała się Salianka.

– Miło było, ale się skończyło – skwitował Gawarek.

– Ale nie możesz! Nie teraz – jęknęła królewna. – Musisz ratować tych dobrych przed tymi złymi i podstępnyimi.

– Sama ich sobie ratuj – zaproponował książę. – Albo biorąc pod uwagę, że sama jesteś podstępna i zła, po prostu ich nie prześladuj!

– Żeby to było takie proste – zmartwiła się Salianka. – Wiesz, jak trudno być Czarownicą z Twierdzy, podstępna i zła, i mną jednocześnie?

– A wiesz, jak trudno być wielkim wojownikiem Ulkiem, bohaterem gawiedzi i wrogiem numer dwa egzorcystów, i mną jednocześnie? – jęknął Gawarek.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, królowa zrozpaczona, książę ponury i nadęty.

– To są naprawdę dobrzy ludzie – zaczęła Salianka.

– Nie chcę tego słuchać!

– Król Rozstajów i jego wierni druhowie, którzy przybyli, by wyzwolić ciemżony kraj – ciągnęła w desperacji.

– Nie ty go przypadkiem ciemżysz? – zainteresował się Gawarek.

– Przypadkiem ja – przyświadczyła z rezygnacją królowa.

– A nie mogłabyś przestać?

– A nie mógłbyś wyrzucić egzorcystów z Dolin?

– No wiesz – stropił się. – Ja jestem dobry i oni są, w teorii, podobno dobrzy.

– A ja jestem zła, a ciemżenie krajów podbitych jest, przynajmniej w teorii, złe – przypomniała.

– Aha. A nie możesz udawać, że tego króla nie zauważasz?

– Trudno go nie zauważać, skoro siedzi w moim lochu – westchnęła Salianka.

– Ach tak – pokiwał głową w zadumie.

– Tak – przytaknęła. – Zostanie stracony podczas pełni, razem z towarzyszami.

– Na pewno?

– Sama podpisałam rozkaz.

– I nie możesz ich na przykład ułaskawić? – zapytał książę.

– W Twierdzy nie ułaskawiamy ludzi – przypomniała królowa. – Zresztą nie powinnam ich ułaskawiać. Chcieli mnie zabić.

– I mimo to chcesz, żeby Ulk ich uratował?

– To dobrzy ludzie – powtórzyła. – Tak jak ty. Robią to, co uważają za słuszne.

Szkoda tylko, dodała w duchu, że tym, co słuszne, jest zabicie mnie.

Gawarek westchnął ciężko. Widać było, jak pragnienie bycia bohaterem zyskuje przewagę nad strachem i niepokojem.

– Czasami nie znoszę być tym dobrym i szlachetnym.

– Jeśli cię to pocieszy, to ja czasami nie znoszę być tą złą – powiedziała Salianka, oddając mu miecz. Nie była pewna, czy przypadkiem nie promienieje przy tym ze szczęścia.

– Oczywiście oczekujesz, że Ulk wpadnie tam z dzikim rykiem, rozgromi połowę strażników, drugiej połowie okaże miłosierdzie i wyjedzie z oswobodzonymi więźniami

główną bramą? – zapytał księżę z przekąsem.

– Gdzie tam! – Królowna wyciągnęła z kieszeni pergamin z wyrysowaną mapką. – Oczekuję, że zrobisz wszystko według mojego planu, uszkadzając jak najmniej moich strażników, nie wyważając głównej bramy i nie robiąc zbytniego bałaganu.

– He? – Gawarka lekko zatkało.

– Nie musisz nic mówić – zapewniła go wspaniałomyślnie Salianka. – Po prostu mnie posłuchaj.

* * *

Krótko przed zachodem słońca, kiedy niebo zrobiło się różowopomarańczowe, a dziwny blask odbijał się od białych ścian pałacu, komnatę księcia opuściły dwa cienie. Ten bardziej skulony i rozglądający się na boki należał do Gawarka. Za nim, równie ostrożnie, ale o wiele bardziej niecierpliwie, podążała Salianka. Z tej niecierpliwości potrafiła jeden z posągów. Zachybotał się, ale nie przewrócił.

Gawarek prawie podskoczył ze zdenerwowania.

– Ciiii! – położył palec na ustach. – Wiesz, co by się stało, gdyby nas zauważyli?

– Nie – przyznała królowna.

– Ja też nie. I nie chcę się dowiedzieć – dodał desperacko.

Wiesz, chyba go nie poznajemy, powiedziały zasmucone przemianą księcia Wrota.

– Ja też nie – szepnęła Salianka. – Ale to on, prawda? Nie jakiś podstawiony szpieg czy coś w tym stylu?

On, on, uspokoiły ją Wrota. *Tylko strasznie przestraszony*.

– Skrupuły to dziwna rzecz – mruknęła królowna, bardziej do siebie niż do nich. – Kiedyś w ogóle o nich nie myślałam, potem nagle miałam ich mnóstwo, a teraz zaczynają znikać.

Jakimż cudem jest życie, zaintonowały sentencjonalnie Wrota.

– Mówiłaś coś? – zapytał nerwowo księżę.

– Nie – odparła Salianka. – Długo jeszcze będziemy się włóczyć po pałacu? Tu i tak nigdzie nikogo nie ma! Wszystko wygląda na opuszczone.

Księżę rozejrzał się nerwowo. Królowna miała rację. Pałac, choć majestatyczny i lśniący jak zwykle, wydawał się być wymarły. Nieliczni ludzie zmuszeni koniecznością do przejścia korytarzami byli bardziej przestraszeni niż Gawarek.

– Ludzie wolą nie wchodzić w oczy egzorcystom. – Wyjrzał na najbliższy taras. – Myślę, że możemy tu zaryzykować. – Wyciągnął miecz.

Salianka obserwowała, jak księżę zmienia się w Ulka. Cichym gwizdem wojownik przywołał swojego orła. Zaraz nad Białymi Szczytami pojawił się mały czarny punkcik, który zbliżał się i rósł w oczach.

– Zauważą Płomiennoskrzydłego – powiedział Ulk. – Musimy być szybsi od nich.

– Ach tak? – zapytała uprzejmie królowna.

Wyścigi nie należały do jej ulubionych zajęć.

Ulkowi nie pozostało nic innego, jak porwać ją na ręce i z tym ciężarem puścić się biegiem przez tarasy aż do skraju murów. Z rozbiegu odbił się i wzleciał w powietrze, by razem z Salianką bezpiecznie wylądować na grzbiecie orła.

* * *

Koło północy, kiedy mrok był najbardziej nieprzenikniony, a czarna budowla wyglądała bardziej złowrogo niż zwykle, dwie postaci podkradły się do murów Twierdzy.

– A strażę? – spytała głębokim głosem postać wyższa i szersza w barach.

– Mają niespodziewaną inspekcję – powiedziała postać niższa i drobniejsza.

– Jak długo ona potrwa?

– Całą noc – wyjaśniła Salianka. – Twierdza jest duża, długo potrwa, zanim wszystko zostanie skontrolowane.

– Czy strażnicy nie będą przypadkiem czujniejsi niż zwykle? – spytał nieufnie Ulk. – Właśnie z powodu inspekcji?

– Nie wtedy, gdy ja przeprowadzam kontrolę. Nie wtedy, kiedy ktoś puścił plotkę, jak bardzo jestem niezadowolona. Będą śledzić każdy mój krok, na wypadek gdybym nagle postanowiła powyrzucić ich wszystkich za mur.

– Hmm – chrząknął wojownik. – Nie powinnaś przypadkiem tam być?

Królowna spojrzała na niego z politowaniem.

– Jestem tam – powiedziała. – Nie sądzisz chyba, że mogłabym być tu, pomagając największemu wrogowi uwolnić mojego niedosłęgo zabójcę i jego kompanów.

– Aha. – Ulk nie do końca pojmował to, co mówiła, ale postanowił się do tego nie przyznawać. – To gdzie ten kanał?

Salianka przeszła kilka kroków w lewo, aż do kępki kolczastych zarośli. Odgarnęła gałęzie. Za nimi ukryty był czarny, okrągły otwór.

– Nie śmierdzi – powiedziała, widząc, że wojownik odruchowo marszczy nos. – Nie używano go od wieków.

– Nikt go nie zamurował?

– Co to by był za zamek Czarownicy – zapytała retorycznie królowna – gdyby nie było ukrytego przejścia, którym mógłby wejść bohater?

– Zapewne pełno tam pułapek...

– Było – wpadła mu w słowo. – Wysłałam Virvena, żeby się nimi zajął. Idź już, im szybciej wydasz ich z lochu, tym lepiej dla nich.

– A ty? – zatroszczył się.

– Posiedzę sobie jeszcze trochę na świeżym powietrzu.

I przy okazji będziesz mogła zobaczyć plecy ukochanego, który zwiewa z twojego lochu, uzupełniły złośliwie Wrota. Może nawet ujrzysz, jak poprzysięga ci krwawą zemstę.

– I wszyscy wiemy, czyja to będzie wina, prawda? – szepnęła zgryźliwie Salianka, patrząc, jak Ulk wciska się w wylot kanału. – Dalej robi się szerzej! – zawołała za nim, odczekała jeszcze chwilę, żeby upewnić się, że nie ma żadnych nieprzewidzianych trudności, a kiedy okazało się, że trudności nie występują, poszła poszukać sobie wygodnego miejsca obserwacyjnego.

Tymczasem w górze, na szczycie murów, Jej Wysokość Salianka, Pani Twierdzy, obserwowała swoich złąknionych łupieżców parą zezowatych, wymalowanych węglem oczu. Kukłę starannie usadzono na wystawionym na balkon fotelu, zakrywając jej twarz kapturem. Dostępu do swojej pani bronili demon i pies, a coraz bardziej nerwowy Plaskat udawał się co chwila na balkon, żeby usłyszeć rzekome rozkazy.

– Już po północy – warknął, pochylając się nad kukłą, jakby słuchał, co ma do powiedzenia. – I nic się nie dzieje!

– Spokojnie. – Nonszalancko rozparty w fotelu Virven powiódł spojrzeniem po strażnikach stojących na baczność na murach i blankach. – Do świtu jeszcze daleko.

– Wolałbym, żeby już było po wszystkim – westchnął Plaskat. – Jakkolwiek by na to patrzeć, to zdrada...

– Stanu? Władczyni nam miłościwie panującej, która właśnie wprowadza w życie szalony plan uwolnienia swoich nowych wrogów? – dokończył ironicznie demon. Ludzie i niektóre ich pomysły naprawdę go bawiły.

Plaskat już nic nie mówił, za to leżący w stóp kukły Pazur podniósł łeb i spojrzał w stronę komnaty. Wydał z siebie krótkie warknięcie. Na ten znak Virven oderwał się od fotela i stanął w drzwiach prowadzących na balkon, zagradzając drogę Talokowi.

– Jej Wysokość nie życzy sobie nikogo widzieć – oznajmił.

– To pilne – powiedział chłodno Szósty.

– Poczekaj do rana – zapewnił go demon.

Talok spróbował go wyminąć, ale muskularne ramię Virvena wyrosło nagle przed nim niczym zaporą. Pochylony dotąd nad kukłą Piąty wyprostował się.

– Jej Wysokość przyjmie cię jutro – wyrecytował, jakby powtarzał zasłyszane słowa. – W południe. Dziś nie czuje się najlepiej.

Rad nierad, Szósty musiał opuścić komnatę, rzucając na odchodnym niechętnie spojrzenia samozwańczym strażnikom strzegącym przed nim królewny.

– Czego on tu szukał? – zastanowił się Plaskat, kiedy już trzasnęły prowadzące na korytarz drzwi. – Unika jej jak ognia, odkąd dowiedział się, że jest naprawdę Czarownicą.

– Wiesz, czym pachniał? – zapytał demon, a w jego oczach zapalił się złowrogi żółty blask. – Zdradą.

Piąty wzruszył ramionami.

– Zanosiło się na to. Czy naszej Pani się to spodoba czy nie, jutro pewnie będzie musiała skazać go na śmierć.

* * *

Przejście przez kanał trwało krócej, niż Ulk się spodziewał. Czasami potykał się o szczątki przemysłnych pułapek, które Virven potraktował z całkowitym brakiem poszanowania dla ich technicznego geniuszu. Na końcu tunelu zamocowano kratę. Wyważenie jej byłoby niemożliwe dla zwykłego śmiertelnika. Wojownik już miał napiąć mięśnie i wyrwać żelazne sztaby, kiedy zauważył, że ktoś zrobił to przed nim. Kratę wystarczyło tylko pchnąć, żeby wypadła.

Ulk poczuł się odrobinę nieswojo. Nie tak powinno wyglądać oswabadzanie więźniów. Chociaż jedną przeszkodę chciał pokonać sam, siłą swoich bohaterskich mięśni. Idąc ciemnymi korytarzami, których rozkładu nauczył się na pamięć (Salianka nie chciała mu dać planu, twierdząc fatalistycznie, że na pewno go zgubi w lochach, a wtedy wszystko się wyda i ona, choć wydaje się to niemożliwe, będzie miała życie jeszcze trudniejsze), pocieszał się, że przynajmniej kratę w lochu wyrwie samodzielnie. Ale kiedy już grzotnął w łeb strażników, przekradł się tylnym wejściem do składów i zaszedł do cel, spotkało go srogie rozczarowanie: krata w lochu była już otwarta. Kluczem. Dokonał tego średniego wzrostu mężczyzna o śniadej skórze i ciemnych włosach. Czterej więźniowie przywdziewali właśnie dostarczone przez niego zbroje i uważnie słuchali wskazówek.

– To ja miałem was uwolnić! – wyrwało się Ulkowi z głębi rozżalonych trzewi. Żal był podwójny, bo oprócz rozczarowania bohatera dochodziło do niego rozgoryczenie księcia, który podjął ryzyko ostatniej wyprawy w obronie dobrych i uciśnionych tylko po to, żeby przekonać się, że broni ich już ktoś inny.

Pięciu mężczyzn wytrzeszczyło na niego oczy w krótkiej chwili zdumienia, a potem chwyciło za miecze. Już miała się rozpocząć walka, gdy Tord, przyjrawszy się uważnie potężnemu wojownikowi, skojarzył fakty.

– Czy ty nie jesteś przypadkiem... – zaczął.

– Wielki wojownik Ulk, obrońca Dolin, wasz niedoszły zbawca – dokończył zniechęcony Ulk, któremu w tak perfidny sposób zepsuto ostatni bohaterski czyn. – Ale skoro nie jestem potrzebny...

– Czekaj! – zawołał za nim mężczyzna, który otworzył lochy. – Twoja pomoc, jeśli zechcesz nam ją zaoferować, będzie więcej niż pożądana.

Wielki wojownik spojrzał na niego nieufnie.

– A ty kim jesteś? Miało być tylko czterech więźniów.

Zielonooki mężczyzna z czarnym gryfem na tarczy ścisnął mocniej rękojeść miecza.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał podejrzliwie.

Ulk zmierzył go spojrzeniem. Widać było, że ma przed sobą rycerza nie tylko dzielnego, ale też myślącego, co stanowiło dość rzadkie połączenie.

– Wielu na tej podłej ziemi kryje w głębi serca dobro – powiedział, starając się nie myśleć o Saliance, która, był tego pewien całym swym bohaterskim sercem, z całą pewnością nie chciała ocalić rycerzy z tak błahego powodu jak ogólnie pojmowane „dobro”.

– I ja jestem jednym z nich – powiedział Talok, Szósty Rady, który zgodnie z przewidywaniami Plaskata miał najpóźniej w południe zostać skazany za zdradę. – Nie mogę patrzeć na podłości, jakich dopuszczają się władcy Twierdzy, i rad jestem, że mogę choćby w taki sposób wspomóc dobrą stronę.

Król Rozstajów położył mu dłoń na ramieniu.

– Radzi jesteśmy, że walczysz u naszego boku.

Wielki wojownik odchrząknął.

– To jestem wam potrzebny czy nie? – spytał. – Bo jeśli tak, lepiej się stąd wynośmy. Znam tajne przejście.

– Mamy wymykać się ukradkiem jak tchórze? – oburzył się jasnowłosy rycerz, krzywiąc się z niesmakiem.

– Na górze jest pełno łupieżców – powiedział Ulk. – To nie czas ani miejsce, by ginać.

– Ma rację – powiedział król Rozstajów. – Wrócimy tu z armią, by walczyć o prawdę z honorem.

– Nie musisz patrzeć na mnie znacząco, Eindzie – rzucił zielonooki. – Obiecałem, że nie będę się więcej rzucał z mieczem na czarownice, chyba że w otwartej walce.

– Nie wątpię w twoją obietnicę, przyjacielu – uspokoił go król.

– Ale nie da się ukryć, gdyby Alwadowi udało się przeszyć ją ostrzem, wiele problemów rozwiązałoby się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – westchnął Tord.

– Dość tych rozważań – zarządził Eind. – Prowadź, dzielny wojowniku – zwrócił się do Ulka.

Wojownik ruszył przodem, za nim rycerze. Pochód zamykał Talok. Przejście przez tunel na zewnątrz murów zajęło im niewiele czasu i mimo że czujnie rozglądali się na wszystkie strony, nie dojrzeli ani jednego strażnika i ani jednej śmiertelnie niebezpiecznej pułapki. Ucieczka była łatwa i zostawiła po sobie uczucie palącego niedosytu. Wszyscy spodziewali się, że wydostanie się z Twierdzy będzie trudne, ba, powinno być trudne. Co to za sztuka wyjść z lochów pustym korytarzem bez choćby jednej pułapki? To nie była droga godna bohaterów.

Idą, powiedziały Wrota.

Salianka przestała wpatrywać się w gwiazdy i wbiła wzrok w pięć ciemnych, niewyraźnych postaci, które kolejno odrywały się od murów Twierdzy i rozplywały w mroku nocy.

Niewiele widać, zauważyły Wrota.

Królewna nie potrzebowała widzieć uciekających dokładniej. Wystarczyło, że zamknęła oczy, a pojawiała się przed nią twarz o zielonych, pełnych nienawiści oczach. Kiedy już po rycerzach i Ulku nie pozostał nawet cień, policzyła powoli do dziesięciu i wygrzebała się ze swojej kryjówki w zaroślach. W ciemnościach nie było już nic widać, więc tylko spoglądała smętnie w miejsce, gdzie, jak przypuszczała, czekał Płomiennoskrzydły. Taloka zauważyła dopiero, gdy Wrota syknęły ostrzegawczo.

– To ty – stwierdziła obojętnie Salianka. – Czy mi się wydaje, czy nasi więźniowie właśnie uciekli?

– Obawiam się, że masz rację, Pani – skłonił głowę.

– Można się było po nich tego spodziewać – westchnęła królewna. – W końcu to bohaterowie. Idź, znajdź jakichś łupieżców, niech ich gonia. – Wzięła się w garść i oderwała wzrok od miejsca, w którym rycerze znikli jej z oczu. Odwróciła się do Twierdzy, wyminęła Taloka i ruszyła w stronę bramy. Przed uderzeniem, które pozbawiło ją przytomności, Wrota nie zdążyły jej ostrzec.

* * *

Dawaszowi trzęsła się broda, szyja i grdyka. Pozostali członkowie Rady prezentowali różne stopnie zirytowania i zaciekawienia. Gromada łupieżców przeszukiwała okolicę tak na wszelki wypadek, chociaż nikt nie wierzył, że cokolwiek znajdą. Przeszukiwanie okolicy było po prostu jedną z rzeczy, którą należało zrobić.

– Sprawnie im poszło – zauważył z podziwem Czwarty.

– Musieli mieć pomoc z zewnątrz – ocenił Siódmy.

Virven, kręcący się z Pazurem wokół wejścia do kanału, nagle gwałtownie zamarł, złapał psa za obroź i siłą zaprowadził do Plaskata.

– Znalazłeś ją? – zapytał zaniepokojony Piąty.

Salianka dotąd nie wróciła, co zmusiło ich do dalszego odgrywania komedii z kukłą w roli chorej Jaśnie Pani.

– Znalazłem trop – powiedział demon. – Ktoś ją stąd zabrał, pewnie nieprzytomną.

– Chcesz powiedzieć, że ją porwano? – Plaskatowi z trudem przychodził szept. Porwanie królewny komplikowało sytuację, która już i tak była zbyt skomplikowana. – Kto?

Virven pociągnął nosem, wachając zapachy unoszące się wokół tunelu.

– Nasz przyjaciel zdrajca – odparł. – I nasi byli więźniowie.

Piąty milczał dłuższą chwilę, wodząc wzrokiem po pozostałych członkach Rady. Wszyscy miotali się po łące, wrzeszcząc na każdego, kto nawinął im się pod rękę. Jala właśnie dopadła barda i tłumaczyła mu, dlaczego nie napisze ballady o ucieczce króla Rozstajów. Jako jej koronny argument występowali dwaj barczyści łupieżcy z tępyimi toporami.

– Nie możemy im powiedzieć – szepnął.

– Możemy ich zabić – zaproponował beztrudno demon. – Tak tylko mi się powiedziało – dodał, gdy Plaskat odwrócił się do niego gwałtownie i spojrzał na faworyta królowy prawie tak samo jak Salianka, kiedy się złościła.

– Lepiej, żeby zostali przy życiu – warknął. – I nie dowiedzieli się, że królowy nie ma.

– Mamy substytut – zauważył Virven. – Podziękuj, jeśli nikt nie będzie podchodził za blisko.

– Jak długo? – zapytał nerwowo Plaskat. Wolał nie myśleć, co by było, gdyby członkowie Rady dowiedzieli się, jak ich nabrano.

Demon wzruszył ramionami.

– Będzie musiał wystarczyć, dopóki nie znajdę prawdziwej Salianki. A ty będziesz musiał trzymać ich z dala, dopóki nie wrócę.

– Łatwo powiedzieć – zasepił się Piąty, bo przez gwar głosów przebiły się właśnie krzyki Dawasza pytającego, co na to wszystko królowa. Jala zostawiła w spokoju trzęsącego się barda i zaofiarowała się, że pójdzie sprawdzić. Plaskatowi zaświtała w głowie szalona myśl.

– Jej Wysokość już wie! – wrzasnął. Kiedy wszyscy ucichli i wytrzeszczyli na niego oczy, mówił dalej już normalnym głosem. – Jest głęboko zasmucona i rozczarowana brakiem odpowiednich zabezpieczeń i ucieczką więźniów, którzy prawdopodobnie nadal będą nastawać na jej życie. Oczywiście nie podejrzewa nikogo o działanie na swoją szkodę... – Zrobił krótką pauzę, żeby wszyscy mogli sobie w pełni uświadomić, co właśnie powiedział. – W zaistniałej sytuacji z pełną ufnością składa ciężar odnalezienia zbrodniarzy na barki swojej wiernej Rady, czyli nas, wierząc, że z pewnością wywiążemy się z tego zadania znakomicie i oczyścimy się ze skazy, jaką pozostawił po sobie zdrajca.

– Naprawdę tak powiedziała? – spytała nieufnie Jala, przerywając niezręczną ciszę.

– Niezupełnie w takich słowach – sprecyzował Virven, zanim Piąty zdążył odpowiedzieć.

– Dodała też coś o tym, że uciekinierzy zostawili straszny bałagan w lochach i ktoś powinien to jak najszybciej posprzątać. I w ogóle postarajcie się nie nabrudzić.

– Zdrajca? – syknął Dawasz, przyskakując do Plaskata.

– Mamy znowu wolne miejsce Szóstego – wyjaśnił spokojnie Piąty.

Dawasz pobałdł. Nad lewą brwią zaczęła mu pulsować błękitna żyłka.

– Mówiłem! Ostrzegałem! – wypluwał z siebie słowa.

– Jej Wysokość – powiedział, spoglądając na niego z ukosa, demon, któremu to zamieszanie zaczęło się nawet podobać – była zdania, że każdemu – zaakcentował lekko to słowo – należy dać szansę poprawy, zanim pójdzie na szafot. Na szansę zasługiwali zwłaszcza jej wierni Doradcy. Jednak obecnie Jej Wysokość zdecydowała się rozważyć ponownie to stanowisko.

Zapanowała ogólna konsternacja, ale już po chwili Rada energicznie przystąpiła do działania. Taloka ogłoszono zdrajcą i wyznaczono nagrodę za jego głowę. Zarządzono

wzmoczone poszukiwania uciekinierów. Na posępnego Plaskata i Virvena, który poszedł na przechadzkę wokół Twierdzy i już nie wrócił, mało kto zwracał uwagę. A jeśli ktokolwiek coś zauważył, to i tak nie miał odwagi o nic zapytać. Na Twierdzę padł cień gniewu jej Pani, to wystarczało, żeby wszelkie ewentualne inne troski zostały odłożone na przyszłość, o ile takowa miała w ogóle nastąpić.

* * *

No ładnie, powiedziały z niezadowoleniem Wrota.

– Hmm...? – Salianka postarała się na chwilę zapomnieć o bólu głowy i rozejrzała się. Albo jej się wydawało, albo była zamknięta w niewielkiej celi składającej się z trzech drewnianych ścian i zbitej z desek kraty. Za kratą był nieduży korytarzyk. – Coście znowu zrobiły? – zapytała.

Nie my, zastrzegły Wrota. Co więcej, ostrzegałyśmy cię przed Talokiem. Nie słuchałaś nas i teraz masz. Jesteś więźniem.

– Tak? – Królowna delikatnie przesunęła dłonią po swojej głowie. Syknęła z bólu. – A dlaczego ja jestem więźniem?

Bo cię pojмали w niewolę, wytłumaczyły niecierpliwie Wrota.

– A dlaczego wy nic nie zrobiłyście?

Wrota lekko się zafrasowały.

Nie możemy robić wszystkiego, mruknęły defensywnie.

Salianka ostrożnie wymacała wielkiego guza na potylicy.

– Ale możecie... Auuu... strzec i chronić swojego Strażnika, czyli mnie, w naszym wspólnym interesie. Nawet nie tyle możecie, co powinniście.

Zalóżmy, że wystąpiły pewne trudności, podsunęły Wrota niepewnie.

– Słucham?

Zalóżmy, ciągnęły tym samym tonem, że nie byłyśmy w stanie powstrzymać Taloka i nie jesteśmy w stanie uwolnić cię z więzienia.

– Co?! – Królowna poczuła, że robi jej się gorąco.

Powiedzmy, że solidnie się przygotował, westchnęły Wrota. Wiedział o nas i czekał na chwilę, kiedy osłabimy czujność. Zapewne sprzymierzył się z egzorcystami, oni mogli mu o nas sporo opowiedzieć, pouczyć, jak poznać, kiedy się nie pilnujemy. Teraz też nie możemy ci pomóc.

– Dlaczego? – zapytała beznadziejnym tonem Salianka. Miała poważne obawy co do tego, co zaraz jej odpowiedzą.

Nie możemy się otworzyć, wyjaśniły niechętnie. Nie możemy wypuścić demona. Wokół jest wielu egzorcystów, jeśli zauważą aktywność demonów, zaczną je zaraz egzorcyzmować. A one wrócą do nas i jeśli będziemy miały naprawdę wielkie szczęście, przejdą przez nas. Jeśli

nie, zostaniesz opętana. Nie możemy nic zrobić, jesteś zdana tylko na siebie.

Królewna przemysłała sprawę.

– Zawsze mi to robicie w najgorszych możliwych momentach – powiedziała z wyrzutem.
– Czy mi się wydaje, czy po ścianie naprzeciwko chodzi karaluch? – dodała z niesmakiem.

Wrota spojrzały.

Chodzi, przyznały.

– A miałam nadzieję, że to tylko halucynacja wywołana uderzeniem – zmartwiła się Salianka. Mały kamyczek poderwał się z podłogi celi i trafił prosto w karalucha. Królewna skrzywiła się z odrazą, słysząc plaśnięcie. – Została mi moja moc – stwierdziła pogodnie. – Jak tylko przyjdą strażę, przylewituję im coś ciężkim w głowę. Talok też oberwie, jak tylko go dopadnę – obiecała.

W zasadzie jest to dobry plan, powiedziały ostrożnie Wrota. Ale lepiej poczekać na jakąś naprawdę odpowiednią chwilę na ucieczkę.

– Każda chwila jest dobra – zaprotestowała Salianka. Nie widziała powodu, dla którego miałaby pozostawać w zamknięciu dłużej niż to absolutnie konieczne.

Wyjrzyj przez okno, poleciły.

W celi był jeden maleńki, zakratowany lufcik. Królewna wspięła się na palce, chwyciła drewniane pręty i podciągnęła się do góry. Patrzyła przez kilka minut na świat po drugiej stronie, a potem zeskoczyła na podłogę, oparła się plecami o ścianę pod lufcikiem i przełknęła ślinę.

– Tam są żelazne klatki, prawda? – upewniła się lekko drżącym głosem.

Tak, odpowiedziały Wrota.

– Kilka świeżych stosów?

Tak.

– I kilka zużytych?

Tak.

– I egzorcyciści?

Tak.

– Przywiązują kogoś do pała białego w środek stosu?

Tak.

– I zaraz będą podpalać?

Tak.

Królewna osunęła się powoli do pozycji siedzącej.

– Nie dam im wszystkim rady! – poskarżyła się, czując wzbierającą panikę. Była zdana tylko na siebie. A jej własne siły okazały się mniejsze, niż sądziła.

Nie, dobiły ją Wrota.

– Spalą mnie! – ta perspektywa doprowadzała ją na granicę hysterii. Nie tak miało to wszystko być, to było niesprawiedliwe! Ona tylko chciała uratować komuś życie, czy to takie

karygodne? Raz spróbowała być dobra, i jakie to przyniosło skutki? Utknęła w jakiejś prowizorycznej celi, zdana tylko na siebie, bez szans uratowania się i do tego jeszcze skazana na potworną śmierć w płomieniach. Poczula, że zaczyna jej brakować powietrza. Otworzyła usta i zaczęła oddychać coraz szybciej, spazmatycznie, walcząc o każdy haust powietrza.

Nie od razu, pocieszyły ją Wrota.

– Skąd wiecie? – zapytała nieufnie.

Jeszcze żyjesz, prawda? – zauważyły z naciskiem. Gdyby chcieli cię tylko zabić, rzuciliby cię nieprzytomną na stos, byłoby o wiele łatwiej.

Salianka musiała przyznać im rację.

– Pewnie mnie wyegzorcyzmują – oświadczyła ponuro. Zaczęła już oddychać normalnie, atak paniki minął. Skoro jeszcze żyła, to przecież nie było aż tak źle.

W końcu pewnie tak, przytaknęły Wrota. Najpierw będę z ciebie chcieli wyciągnąć jakieś informacje.

– I bardzo dobrze! – zaperzyła się nagle. – Pokażę im, jak umiera Pani Twierdzy, i pociągnę ich za sobą!

Nie.

– Jak to nie?! – zdenerwowała się Salianka. Nie podobało jej się, że ośmielają się niszczyć jej wizję, godną uwiecznienia na fresku na jednym z sufitów w Twierdzy.

Nie umrzesz, rozwinęły myśl Wrota.

– Tym lepiej – ucieszyła się.

Nie możemy pozwolić ci umrzeć, sprecyzowały. Jeśli to będzie konieczne, zaryzykujemy i otworzymy się. Ale żeby pokonać egzorcyzmów, będziemy musiały uwolnić kilkanaście demonów. Uratują ci życie, ale będzie to miało swoje konsekwencje. Niektóre pewnie wrócą, przez egzorcyzmy albo z własnej woli, i zamieszkają w twoim ciele. Już ich się nie pozbędziesz. Opętają cię nieodwołalnie i na zawsze.

– Ja się załamie – załamała się królowa.

Szczękneły drzwi prowadzące do więzienia. Salianka poderwała się na nogi i dopadła kraty, która oddzielała jej celę od korytarza. Nie mogła dojrzeć drzwi, widziała tylko inne cele, w większości puste. W niektórych mieszkaly kreatury, które kiedyś być może były ludźmi. Zanim zabrali się za nich egzorcyści.

Kroki odbiły się echem od grubych ścian i po chwili królowa zobaczyła Taloka. Był blady, a na twarzy miał zastygły wyraz godnego cierpienia.

– Niech cię diabli! – warknęła ze szczerego serca, patrząc na niego z nienawiścią. Pomyśleć tylko, że wahała się, czy skazać go na śmierć. Miała skrupuły! A on tak jej odplacił! Gdyby wiedziała, że ją zdradzi, i to jeszcze w jakich okolicznościach, kazałaby go poćwiartować w dniu, kiedy przybył do Twierdzy. – Coś ty zrobił, idioto przeklęty?! Ładnie tak własną Panią wysyłać na stos?!

– Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić – powiedział były Szósty, stając naprzeciw niej.

– Szczerść twoich zapewnień podważa guz wielkości śliwki, który mam na głowie!

– Nie mogłem patrzeć, jak niszczą cię moce zła i ciemności! – wyznał. – Jak zabijają to, co w tobie piękne! Zrozumiałem, że jest tylko jeden sposób, by cię ocalić.

– Yyyy? – Saliankę zatkało.

Wariat! – przestraszyły się Wrota.

– Są tu mistrzowie, którzy ulecą twoją duszę – ciągnął Talok. – Wyrzucą z ciebie zło.

– Chcesz mnie wysłać na egzorcyzmy? – osłupiała królowna. Cała rozpacz, jaką wcześniej czuła, zaczęła znikać przytłumiona przez wszechogarniającą wściekłość. Jak on w ogóle śmiał wygłaszać do niej takie bzdury! Oszalał, niewątpliwie, było to widać po wyrazie jego twarzy, tylko dlaczego ona ma cierpieć z powodu jego obłądu?

– To dla twojego dobra – powiedział z przekonaniem.

– Czyżby? – parsknęła drwiąco Salianka. Jej dobro musiało być pojmwane przez niego w nader szczególny sposób.

– Nie zrozumiesz tego... nie teraz. To nie pozwala ci myśleć. Jesteś opętana.

– Dopiero będę opętana! – Królowna straciła cierpliwość. Ten głupiec naprawdę nic nie rozumiał! Pal licha życie Szóstego, pal licha nawet jej los, ale nie zielonookiego. Salianka nie po to niemal stawiała na głowie, żeby ocalić rycerza, aby teraz przyczynić się do jego śmierci.

– Jeśli pošlesz mnie na egzorcyzmy, sprowadzisz zgubę w pierwszej kolejności na mnie, a potem na siebie i twoich nowych przyjaciół!

– Demony, które cię opętały, starają się zwieść mnie z dobrej ścieżki, ale nadaremno – uśmiechnął się pobłaźliwie Talok. Nie wyglądało na to, żeby jakikolwiek z jej argumentów miał szansę do niego trafić.

– Nie ma żadnych demonów, przynajmniej we mnie. Dawasz miał rację. – Ze złości walnęła pięścią w kraty. – Trzeba cię było zabić albo przynajmniej dać wiadro i kazać myć schody.

– Nie mogłaś mnie skazać na śmierć – oznajmił pewnie. – Bo gdzieś w tobie jest cząstka dobra, a ja pozwolę jej wypłynąć na powierzchnię.

– Czyżby? – uśmiechnęła się krzywo Salianka. Myśl o tym, co spotka jej zdradliwego doradcę, gdy otworzą się Wrota, była jedyną jasną stroną tej sytuacji. Żałowała, że ona sama nie będzie mogła już tego oglądać przytłoczona przez obecność demonów. – Skąd pomysł, że pożyjesz dostatecznie długo, żeby cokolwiek zobaczyć? Jeśli trafię na egzorcyzmy, skończę jak mój ojciec... co najmniej.

– To tylko kłamstwa powtarzane przez demony.

– Nie ma tu żadnych demonów! – wrzasnęła królowna, którą doprowadzało do szału, że rozmowa z nim przypominała rzucanie grochem o ścianę. – Tyle jest ludzi na świecie, dlaczego musiałeś ze swoją bzdurną teorią przyczepić się właśnie do mnie?

Nie odpowiedział mimo jej natarczywego spojrzenia. Stał tylko ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt na jej twarzy. Gapił się tak, że aż jej się zrobiło nieswojo.

Aha! – powiedziały Wrota, które były bardziej spostrzegawcze i doświadczone życiowo od Salianki.

– Co? – mruknęła wrogo królowna. Talok spojrział na nią podejrzliwie.

Jak by ci to powiedzieć... – zaczęły. *Pamiętasz, jak namawialiśmy cię na płomienny romans z nim?*

– Uhhh. – Salianka pamiętała. To, że wtedy nie dała się namówić, dostarczyło jej teraz pewnej satysfakcji.

On najwyraźniej jest zdania, że ten płomienny romans rzeczywiście was czeka. Jak tylko wypleni z ciebie zło wszelkie, a ty rzucisz mu się z wdzięczności na szyję, uzupełniły Wrota.

Królowna uniosła brwi z niedowierzaniem. Nie, to nie mogła być prawda... Wszystko, co najgorsze w życiu, miało ją spotykać przez czyjeś wielkie uczucia? Patrzyła podejrzliwie na Taloka, jakby szukała w jego twarzy zaprzeczenia słów Wrót. Próbując mu się lepiej przyjrzeć, wyrznęła czołem w kratę. Wrzasnęła na cały głos. Wyraz twarzy mężczyzny, który uczynił ruch, jakby miał się ku niej rzucić, wystarczył za potwierdzenie słów Wrót.

– Ty... ty... – Saliance zabrakło słów. Tego było już za wiele. Najpierw Bolurek, teraz Talok, a za to jedyny mężczyzna, na którego uczuciu naprawdę jej zależało, próbował ją zabić. – Ty cholerny, przeklęty idioto!

Teraz to on patrzył na nią z przerażeniem i niedowierzaniem. Cokolwiek działo się w głowie kobiety, którą kochał, pozostawało dla niego niezrozumiałą tajemnicą. Zapewne za sprawą demonów. Królowna odjęła dłonie od czoła, sprawdziła, czy nie ma na nich krwi. Nie było.

– Chcę lustro – zażądała.

– Lustro? – Talok zdębiał.

– Nie pójdę na stos czy egzorcyzmy nieuczesana i z siniakiem na czole – oznajmiła patetycznie i odwróciła się do niego plecami, dając znak, że audiencja skończona.

Były Szósty stał jeszcze chwilę bezradnie przed celą, a potem odszedł.

Lustro? – zapytały Wrota, gdy już ucichły kroki. *W takiej chwili myślisz o uczesaniu? Chcesz, żeby ten drań, w którym się nieopatrznie zakochałaś, zachował w swoim sercu ładny, choć znieawidzony obrazek?*

– To też mi przyszło do głowy – przyznała z westchnieniem Salianka. Zaraz jednak głos jej stwardniał. – Ale głównie to myślę o dużej ilości cienkich, ostrych odłamków, na które można lustro rozbić. I o tym, co można zrobić z kilkudziesięcioma kwitującymi szklanymi drzazgami.

No, no, zdziwiły się Wrota. *Tego to się po tobie nie spodziewaliśmy.*

– Jestem Panią Twierdzy – przypomniała chłodno królowna. – Takie rzeczy mam we krwi. – Milczała przez chwilę, po czym dodała ucziwie: – Mam tylko nieśmiałą nadzieję, że ten drań, w którym się nieopatrznie zakochałam, wyjdzie z tego z życiem.

Marne szanse, oceniły Wrota. *Kiedy opętają cię demony, i tak nie będziesz miała już na to*

wpływu.

– Ale nadzieję chyba mieć mogę – warknęła buntowniczo Salianka.

Możesz, możesz, zgodziły się Wrota. Nic ci z niej nie przyjdzie, ale miej sobie. Skoro ma ci to umilić ostatnie chwile świadomej egzystencji...

Królewna nie raczyła odpowiedzieć. Wygrzebała kawałek glinianej miski i zajęła się wydlubowaniem dziury w jednej z drewnianych ścian. Udało jej się wykruszyć odrobinę kurzu, zanim odłamek pękł.

* * *

Plaskat spędził cały dzień w towarzystwie kukły i Pazura. Pies albo skamlał dramatycznie, albo wył pod oknem, a manekin gapił się tępo swoimi wymalowanymi ślepiami. Nie wpływało to dobrze na samopoczucie Piątego. Ostoją względnego spokoju była niania, która przynosiła im posiłki i poprawiała płaszcz na kukle, żeby wyglądała jak najbardziej prawdziwie. Plaskat próbował nawiązać z nią rozmowę, ale kobieta tylko pogłaskała go po głowie i pokwiliła coś pod nosem, jak zwykle.

Nikt go nie niepokoił, bo Rada nie miała czasu zajmować się swoją Pierwszą. Uznali, że Piąty poświęca się dla nich, zostając z królewną i zabawiając ją rozmową, żeby przypadkiem nie przypomniła sobie, jak bardzo jest z nich niezadowolona. Nawet Jala spojrzała na niego przychylniej, co od dawna się nie zdarzało.

Oczekiwanie przeciągało się, a Plaskat pograżał się w coraz bardziej ponurych myślach. Kiedy ktoś nagle stanął tuż za nim, poderwał się z mieczem w rękę.

– To tylko ja – powiedział Virven i opadł na zwolniony fotel.

– Gdzie królewna? – zapytał Piąty, rozglądając się w poszukiwaniu swojej Pani, mając nadzieję, że jednak wróciła.

– Nadal ją mają.

– Jak to?

– Egzorcyci – wyjaśnił demon. – Rozbili obóz w lesie, blisko granicy Dolin. Parę namiotów, kilkanaście stosów i jakiś drewniany barak, chyba służy za więzienie. Tam Talok zabrał królewnę. Nie mogę podejść za blisko, zauważą mnie i wyegzorcyzmują, zanim cokolwiek zrobię.

– Podczas bitwy nie byli dla ciebie problemem – zauważył Plaskat.

– Podczas bitwy mieli przeciw sobie setki łupieżców. Nie zwracali uwagi na jednego demona. Poza tym w obozie są najwyżsi rangą, mistrzowie. Sam dałbym radę jednemu, góra dwóm.

Piąty rozważył sytuację. Był strategiem właściwie od urodzenia, najłatwiej przychodziło mu planowanie kolejnych posunięć.

– A gdyby byli zajęci, na przykład paroma setkami łupieżców? – zapytał. To niweczyło

całą konspirację, ale innego wyjścia nie widział. Życie królowny było najważniejsze, na ewentualne długie i wyczerpujące tłumaczenia przyjdzie czas, jak ich Pani będzie już bezpieczna.

– W Twierdzy mamy w tej chwili najwyżej trzystu, z czego połowa jest gotowa do wymarszu w tej chwili – zwrócił mu uwagę Virven. Wciąż, przynajmniej tytułarnie, dowodził wojskami Saliarki i najlepiej orientował się, w jakim są aktualnie stanie. – Ale tylu by wystarczyło. Mógłbym dostać się do królowny i zabrać ją stamtąd.

– Zwołam oddziały – zdecydował Plaskat. – Tylko muszę jeszcze wymyślić jakieś kłamstwo dla pozostałych.

Nie mógł powiedzieć członkom Rady, o co naprawdę chodzi, jeszcze nie teraz. Po pierwsze, natychmiast zaczęliby się kłócić o to, kto ma dowodzić, jaką przyjąć taktykę i tym podobne bzdury. Po drugie, mogliby, rzecz jasna, w skrytości swych plugawych dusz dojść do wniosku, że lepiej byłoby ich Pani wcale nie ratować. Królowna z tronu, Radzie rządzić lżej.

Oczy siedzącego dotąd nieruchomo demona nagle zwięzły się, a on sam poderwał się z fotela i jednym skokiem znalazł przy oknie. Sięgnął ręką na zewnątrz, a kiedy ją cofnął, trzymał w niej za ogon szamoczącego się Szutzela.

– Mały szpieg! – warknął Piąty, zaciskając pięści. – Jala cię tu przysłała, tak? – To oczywiście, wścibska kobieta nie mogła wytrzymać, że coś się dzieje bez jej udziału, bez jej wpływu!

– Skąd! – Schwytany mózgojadek szamotał się bezradnie. – Ja tylko tak... Auuuuu! – wrzasnął, gdy Virven ścisnął go mocniej. – Tak! Tak! Pani Jala mnie przysłała! Ale w dobrym celu, miałem sprawdzić, jak się ma Jej Wysokość. I ja nic, nic, szefie, nie słyszałem.

Plaskat jednym ciosem zrzucił kukłę z fotela na podłogę i usiadł na jej miejscu. Cały misterny plan zaczynał się sypać.

– Świetnie – powiedział, nie kryjąc wściekłości. – Zaczynają coś podejrzewać. Zabij go albo gdzieś zamknij, będzie jeden kłopot mniej.

– Nie! Nie! – Szutzel zaczął się szarpać.

Virven postawił go na parapecie.

– Co robisz? – poderwał się Plaskat. – Ucieknij! – Rzucił się w stronę mózgojadka, chcąc go złapać.

– Nie – uspokoił go demon. – Pani Jala może go rozpieszczać i posyłać, gdzie chce, ale on zawsze będzie służył tylko królownie.

Na twarzy Piątego odmalowało się powątpiewanie. Z jego doświadczenia wynikało, że bywa odwrotnie.

– Demony to nie ludzie – ciągnął Virven, jakby odgadując jego wątpliwości. – Wy nawet nie jesteście w stanie pojąć związku między demonem i jego panem, czy też panią. To więc silniejsza niż cokolwiek, co możecie sobie wyobrazić. A pani Saliarka nie życzyła sobie, by Rada wiedziała o jej nieobecności – dodał pod adresem mózgojadka.

– Pani Salianka nie życzyła sobie – powtórzył posłusznie Szutzel.
– Chcesz powiedzieć, że musicie być wobec niej... bezwzględnie lojalni? Wierni? Jak on?
– Plaskat wskazał na Pazura.

– Przyjmijmy, że tak – zgodził się demon. – Jeśli to ci ułatwi zrozumienie.

– I wszystko jedno, ile słodyczy wepchnie w niego Jala...

– To nie ma żadnego znaczenia.

– Świetnie – ucieszył się Piąty. To zupełnie zmieniało postać rzeczy. Co więcej, otwierało nowe, użyteczne możliwości. – Uspokoisz panią Jalę co do stanu królowny – polecił mózgojadkowi. – I zrobisz coś jeszcze. – Podszedł do przybitej do ściany mapy, na której Salianka węglem zaznaczyła dominium Twierdzy. – Gdzie jest obóz egzorcystów?

Virven bez słowa wyciął szponem niewielki krzyżyk na południowy zachód od Twierdzy.

– Zapamiętaj to miejsce – rozkazał Szutzelowi Plaskat. – Powiesz Jali, że tam byłeś, że widziałeś obóz egzorcystów i naszych więźniów. Zapewnisz ją, że jej pierwszej o tym donosisz, żeby mogła przypodobać się królownie, przywożąc z powrotem uciekinierów.

– Tak jest, szefie – wychrypiał mózgojadek, wyprężył się i poderwał do lotu.

Piąty odwrócił się do Virvena. W jego głowie skryztałizował się już dokładny plan, jak uwolnić królownę i przy okazji uniknąć trudności ze strony pozostałych członków Rady.

– Wracaj w okolice obozu. Jak tylko pojawią się łupieżcy, zabierz stamtąd królownę.

– A co z naszymi byłymi więźniami? – zainteresował się demon. On osobiście porozrywałby im gardła, tak jak i wszystkim pozostałym napotkanym przeciwnikom, ale ktoś inny miał decydujące zdanie w tej sprawie. – Nie byłaby chyba zadowolona, gdyby coś im się stało.

Plaskat nerwowo przygryzł wargi. Przypomniał sobie wyraz twarzy królowny, gdy okazało się, że rycerze przybyli do Twierdzy, by ją zabić, i ból w jej oczach, gdy domagała się, by jakoś ich ocalił. Salianka z pewnością nie chciałaby śmierci ukochanego. Ale jego zadaniem, jako Doradcy, było uratowanie królowny, nie jej niedoszłego zabójcy i jego towarzyszy.

– Będziemy jej musieli wyjaśnić, że lepiej, żeby była żywa i mogła opłakiwać stratę.

– Zrozumie? – powątpiewał Virven. Nie przypuszczał, żeby królowna spokojnie przyjęła wiadomość o śmierci rycerzy. Zwłaszcza jednego rycerza.

– Lepiej dla nas, żeby tak. – Piąty rzucił mu znękaną spojrzenie. Nie miał teraz czasu martwić się o to, co Salianka robi, gdy dowie się, że nie kiwnęli palcem, by uratować jej rycerza. Obchodziło go tylko życie królowny. – Dopilnuj, żeby naszej Pani nic się nie stało.

* * *

– Nie możemy być daleko od Twierdzy – oceniła realistycznie Salianka. – Nie dotarliby tak daleko pieszo, jeszcze niosąc mnie. Chyba że... Ulk im pomógł?

Raczej nie, stwierdziły Wrota. *Nie mógłby pozwolić, żebyś wpadła w ręce egzorcystów, choćby dla własnego bezpieczeństwa.*

– To dobrze. – Uświadomiła sobie, że gdyby wielki wojownik pomógł w jej porwaniu, poczułaby się zdradzona. Może nawet przez przyjaciela. – Czyli jesteśmy naprawdę blisko Twierdzy.

Coś nam z tego przyjdzie? – zainteresowały się.

– Może mnie szukają.

Może, zgodziły się bez entuzjazmu Wrota.

– To dlaczego jeszcze ich tu nie ma?! – warknęła Salianka. Akurat teraz, kiedy potrzebowała swoich wojsk, ich tu nie było.

Wrota nie zdążyły jej udzielić żadnej filozoficznej odpowiedzi, bo szczęknęły drzwi i w korytarzu pojawiło się dwóch parobków niosących lustro. Ustawili je pod ścianą, naprzeciwko celi.

– Mam się przegłądać przez kraty? – wrzasnęła na nich oburzona królowna.

Chłopi spojrzeli na nią lękliwie i zwiali, aż się za nimi kurzyło, omal nie przewracając po drodze męzczyzny idącego w stronę celi.

Mamy gościa, zauważyły Wrota.

Salianka stanęła przy kracie i ponuro obserwowała zbliżającego się króla Rozstajów. Jedno spojrzenie rzuciła w lustro, żeby sprawdzić, czy aby na pewno wygląda tak, jak królowna z Twierdzy wyglądać powinna. Była rozczochrana, duża część upiększających specyfików starła się lub spłynęła z jej twarzy, ale nie było tak źle. Z oczu niemal ciskała gromy, zawadiacko zadarty podbródek odsłaniał szczupłą szyję. Złość zdecydowanie dodawała jej urody.

Eind zatrzymał się po drugiej stronie krat i przyglądał jej się w milczeniu. Salianka też mu się przyglądała, ale szybko jej się to znudziło. Król, chociaż nawet przystojny, był o wiele mniej interesujący od rycerza z czarnym gryfem na tarczy. Właściwie to nie był wcale interesujący, do tego gdyby nie ruszył tyłka z dalekich krain i nie przybył wybawiać Rozstajów od rzekomego jarzma, życie byłoby o wiele prostsze.

– No? – rzuciła niezyczliwie. Skoro już przyłazł do celi, to równie dobrze mogła z nim porozmawiać. Ewentualnie mogła jedną myślą sprawić, by stojące za plecami męzczyzny lustro stłukło się, a największy odłamek wbił mu się na przykład w oko. To była alternatywa warta rozważenia.

Nie uzyskała odpowiedzi.

– Skoro tak lubisz na mnie patrzeć, każę ci przysłać mój portret – dodała zgryźliwie. Nie była pewna, kogo król spodziewał się zastać, ale jeśli liczył na przerażoną dziewczeczkę, drżącą z lęku przed nieuchronną karą za swoje złe uczynki, to nie miała zamiaru dać mu tej satysfakcji. Prędzej dałaby sobie rękę uciąć, niż okazała choćby cień strachu.

Twarz Einda utraciła nieodgadniony wyraz.

– Chciałem spojrzeć...

– W oblicze zła wszelkiego – dokończyła domyślnie i złośliwie królowa. Zupełnie jakby ona była dziwadłem, a ten barak obwoźnym cyrkiem. – Jak już się napatrzyłeś, to spadaj. To więzienie, nie objazdowa wystawa dziwołagów. – Odwróciła się do niego plecami. Zastanawiała się, czy rozsądniej byłoby zabić go teraz, czy może poczekać.

– Chciałem spojrzeć na ciebie i spróbować cię zrozumieć – ciągnął król. Po tonie jego głosu można było poznać, że rzeczywiście mu na tym zależy.

Salianka zerknęła na niego przez ramię. Chwilowo odroczyła egzekucję. To stojący przy kracie mężczyzna, a nie ona, stanowił w tym hipotetycznym cyrku większe kuriozum.

– Ludzkie podejście, co? – skrzywiła się. Nie przypuszczała, że tacy w ogóle istnieją w prawdziwym świecie, ich miejsce było w bajeczkach, tych co bardziej naiwnych zresztą. – Szlachetność wobec wroga i dobroć wypływają ci uszami. Strasznie to irytujące.

– Chciałem cię przeprosić.

Królowa była tak zdziwiona, że aż odwróciła się do niego. Przysięgłaby, że ma omamy słuchowe.

– Słucham?

– To nie tak miało wyglądać – powiedział ze smutkiem Eind. Zmarszczka na jego czole pogłębiła się. Przez chwilę wyglądał, jakby się postarzał pod ciężarem trosk. – Chciałem uczciwego starcia, walki w polu. Gdyby nie przepowiednia...

– Ach tak – przerwała mu z irytacją Salianka. – W końcu wszystko sprowadza się do czarodziejki. Jakoś mnie to nie zaskakuje.

– Skąd wiesz o czarodziejce? – wykrzyknął zdumiony. Pewnie myślał, że w lesie w ruinach byli tylko on, jego rycerze i Pawlinka. Ciekawe, jak zareagowałby, gdyby się dowiedział, jak wielka czarodziejka wymyśla swoje wspaniałe przepowiednie.

– Nieważne – królowa zbyła pytanie machnięciem ręki. Nie miała zamiaru tłumaczyć mu, co myśli w tej chwili o własnej matce. – Intryguje mnie, co ci w ogóle strzeliło do głowy, żeby do niej pójść?

– W sytuacji, kiedy... – zaczął. – Wobec... – urwał. Wyglądało na to, że prawda nie chce mu przejść przez gardło.

– Zapytam inaczej – powiedziała cicho Salianka, patrząc mu uważnie w oczy. Nie miała problemów ani z domyśleniem się prawdziwej przyczyny wizyty u czarodziejki, ani z wypowiedzeniem jej na głos. – Jak długo musiałeś czekać, zanim wreszcie pojawił się wróg, spod którego jarzma mógłbyś wyzwolić Rozstaje?

Nie odpowiedział. Co więcej, wyglądał na zawstydzonego.

– Nie mam pretensji – zapewniła go wspaniałomyślnie królowa. – Ktoś musi być zły. Rozumiem, że byłoby wam łatwiej się mnie pozbyć, gdybym była, dajmy na to, obrzydliwą, zбочoną, rechoczącą staruchą, ale w życiu nie można mieć wszystkiego. – Zerknęła w lustro i strzepnęła z warkocza niewidoczny paproch. Była już prawie pewna, że teraz go nie zabije.

Istniały gorsze rzeczy od śmierci, na przykład wyrzuty sumienia. Na królu można było polegać, że będzie je miał. I to jakie! – Jeśli to już wszystko, to idź do diabła. O wiele lepiej bawię się w towarzystwie swojego odbicia.

Eind zbierał się do odejścia, ale przystanął jeszcze na chwilę.

– Co się stało ze szczurem? – zapytał.

– Ze szczurem? – zdziwiła się Salianka. – O ja głupia – uśmiechnęła się gorzko. – Myślałam, że wystarczy kilka pudełek różnych mazideł i już staję się inną, dziesięć razy piękniejszą osobą.

– Co się z nim stało? – powtórzył natarczywie król.

– Wyniosłam go na dziedziniec – odparła dla świętego spokoju.

Eind skinął jej głową i odszedł nieświadomy, jak blisko był śmierci.

Nie wspomniałaś o tym, że na dziedzińcu strażnicy rozgnietli go na miazgę, zauważyły Wrota.

– Nie wymagaj ode mnie za dużo – powiedziała cicho królowna, odprowadzając króla spojrzeniem. Może tylko jej się wydawało, ale garbił się bardziej, niż kiedy wchodził do baraku. – Jeśli przez resztę życia będzie miał wyrzuty sumienia, że być może przyczynił się do zgładzenia niewinnej ofiary pechowego zbiegu okoliczności, to odejdę w niebyt w miarę usatysfakcjonowana.

Wygląda na takiego, co miałby te wyrzuty, oceniły Wrota. Tyle że jeśli ty odejdiesz w niebyt, to nikt z tu obecnych nie pożyje wystarczająco długo, żeby choć trochę cię pożałować. Demony już o to zadbają.

– To też mogłoby być satysfakcjonujące. – Salianka usiadła tak, żeby widzieć swoje odbicie. Chciała ponapawać się sobą, póki jeszcze miała świadomość. – Choć z przyczyn oczywistych wołałabym, żeby jeden konkretny rycerz został przy życiu. Oczywiście, gdyby jakimś cudem nie trafił do Twierdzy i nie rzucił się na mnie z mieczem, nie musiałabym się teraz martwić o jego życie. Właściwie to w ogóle nie musiałabym się o nic martwić, boby mnie tutaj nie było.

Tak, pewnie, przypominaj nam ciągle, że to wszystko nasza wina, zrzędziły Wrota.

– Wcale nie wszystko – orzekła królowna. – Część jest winą mojej matki.

* * *

Przejście przez las prostą drogą w dzień po solidnej popijawie miało wręcz zbawienny wpływ na organizm. Znikały mroczki sprzed oczu, a i wnętrzości zaczynały się uspokajać. Pawlinka uznała, że leśne powietrze ma błogosławiony wpływ na jej obolałą głowę. Obolałą nie do końca z powodu wieczornego picia, a raczej z przyczyny bardziej metafizycznej: o poranku czarodziejka doświadczyła wizji. Nie zdarzały jej się takie rzeczy często, ale ostatecznie obcowiała ze zjawiskami ponadzmysłowymi i potrafiła porządną wizję odróżnić

od delirium. A wizja była ponura.

Pawlinka nie czuła się na siłach poradzić sobie z nią sama, dlatego ogarnęła ją wielka ulga, gdy pomiędzy drzewami mignęła jej góra atrakcyjnie opakowanych mięśni.

Wielki wojownik Ulk, bo on to był właśnie, chciał w spokoju rozważyć sens bycia dalej bohaterem. Rozważania przerwała mu postać płci żeńskiej, zaawansowana w latach, o niesamowicie ostrym podbródku, który wpił się Ulkowi boleśnie w mięśnie klatki piersiowej, gdy Pawlinka rzuciła się na niego wypłakiwać swoje żale.

– Zabiją moją córeczkę! – zawyła. – Moją Euadorkę!!!

Wielki wojownik wyrwał się z osłupienia i rozpoznał szlochającą postać. Ostre krawędzi stanowiących jej profil nie sposób było zapomnieć.

– Chyba Saliankę – zauważył niepewnie.

– Nieważne, nieważne. – Pawlinka zamachała rękami, jakby odganiała od siebie nieistotne drobiazgi. – Moja śliczna dziewczynka wydana na pastwę egzorcystów! Wyegzorcyzmują ją i oczywiście to będzie moja wina – dodała z żalem, bardziej nad sobą i ciężarem, jaki spadnie na jej wątłe barki, niż nad losem jedynaczki. – Ale skąd ja mogłam wiedzieć! Chciałam dobrze – zapewniła Ulka, bijąc się z całej siły w piersi. – To był pomysł tych paskudnych Wrót, to nie moja wina!

– Egzorcyci mają Saliankę? – przejął się Ulk. Ta część jego osobowości, która była Gawarkiem, wpadła w panikę w obawie o własną skórę. Ta, która należała do bohatera, zapalała żądzą ruszenia na ratunek. Obie zgodnie odstawiły od piersi czarodziejkę i popędziły przez las.

Zostawiona sama sobie Pawlinka pociągnęła jeszcze parę razy nosem, po czym ruszyła w ślad za Ulkiem, tyle że wolniej i zataczając się z lekka.

* * *

Kiedy oddział łupieżców zniknął w ciemnej kniei, Plaskat przestał bębnić nerwowo palcami w parapet i odszedł od okna. W komnacie oprócz niego była tylko kukła i leżący pod stołem Pazur, spoglądający na świat z bezkresną rozpaczą. Panujący nastrój był co najmniej grobowy. Piąty usiadł przy stole naprzeciw manekina i zastanowił się, co będzie, jeśli nie uda się uratować królowy. Przedstawienie z kukłą dałoby się właściwie ciągnąć długo, choć oczywiście niedostatecznie długo. Radę można by stopniowo eliminować, a on, Plaskat, mógłby przejąć kontrolę nad całą Twierdzą. O dziwo, nagle odkrył, że przestało mu na władzy, nawet tej największej, zależeć. Sam nie był pewien dlaczego. Przecież dotąd ambicja była motywem wszystkich jego działań, wyznaczała cele jego życia. A teraz władza i wpływy nagle nie miały znaczenia.

Z rozmyślań wyrwał go dotyk czegoś zimnego. To pies wyczołgał się spod stołu i teraz szturchał jego dłoń nosem.

– Nie martw się. – Piąty pogłaskał go po łbie. – Ona wróci.

* * *

Oparte o ścianę lustro zachybotało się niebezpiecznie. *Jeszcze nie teraz*, ostrzegły Wrota.

– Nudzi mi się – poskarżyła się królowna. – Zostawianie więźniów w lochach bez żadnego zajęcia powinno być zabronione.

Możesz się pozastanawiać nad swoją nędzną i krótką przyszłością, zaproponowały Wrota.

– Nie chcę – skrzywiła się Salianka. Myślenie o nędznej i krótkiej przyszłości sprawiało, że łzy jej się cisnęły do oczu z żalu nad własnym losem. A już postanowiła, że nie będzie płakać. Pokaże im wszystkim, jak odchodzi z tego świata Pani Twierdzy. A odchodzi przede wszystkim w towarzystwie.

– O wiele przyjemniej jest się łudzić, że mam jakąkolwiek przyszłość dłuższą niż dzień. – Wstała, wspięła się na palce i wyjrzała przez okienko. – Niedługo zajdzie słońce, a ja mam wrażenie, że siedzę tu już z rok co najmniej – westchnęła. – Nie miałam pojęcia, że bycie więźniem jest takie koszmarnie nudne.

W niewoli nie może być przyjemnie, poinformowały ją Wrota.

– Nie wymądrzajcie się – pouczyła je królowna.

Nie narzekaj, odburknęły. Ciesz się, że masz nas. Pomyśl, jak by było nudno i strasznie, gdybyś siedziała tu sama.

Salianka pomyślała.

– Niech wam będzie, jako towarzystwo w ponurym więzieniu jesteście niezastąpione – przyznała łaskawie.

Coś się dzieje na zewnątrz, zwróciły jej uwagę, już udobruchane.

Królownie nie trzeba było dwa razy powtarzać, błyskawicznie dopadła okienka. Wspięła się na palce, żeby przez nie wyjrzeć.

– Ktoś atakuje! – ucieszyła się. – Mam nadzieję, że skopie tyłki egzorcystom.

To nasi łupieżcy, stwierdziły Wrota.

– Tak? – Salianka przyjrzała się uważniej. Rzeczywiście, napastnicy wyglądali znajomo. – Moi dzielni wojacy! – rozczuliła się. – Nie opuścili swojej Pani! Hej! – wrzasnęła gromko. – Tu jestem!!!

Jak im wyjaśnisz, skąd się tu wzięłaś? – zainteresowały się Wrota.

– Musicie mi psuć chwilę oczekiwania na wolność? – zdenerwowała się królowna. – Coś później wymyślę albo po prostu zabronię im pytać! Ratunku!!! – wydarła się. – Tu jestem!!! Wydostańcie mnie stąd!!!

Jacyś oni głusi, zauważyły zde gustowane.

Salianka rozejrzała się na tyle, na ile pozwalało wąskie okienko. Szukała czegoś, czym mogłaby zwrócić uwagę łupieżców. Konkretniej: czegoś, czym mogłaby im lekko przyłożyć,

tak żeby nie stracili przytomności, ale żeby wreszcie zauważyli jej obecność.

Poszukiwania nie zakończyły się sukcesem, bo królowna nagle została oderwana od krat. Zaabsorbowana wydarzeniami dziejącymi się na zewnątrz nie zauważyła, że ktoś wszedł do celi. Już miała przylewitować mu lustrem w głowę, gdy dojrzała twarz mężczyzny, który właśnie ją wyprowadzał na korytarz.

Niech to, jęknęły Wrota.

Salianka nic nie powiedziała, rozdarta pomiędzy chęcią wyrwania się na wolność a pragnieniem wpatrywania się w twarz ukochanego. Zapatrzona w zielone oczy pozwoliła się wywlec z lochów i przeprowadzić przez pół dziedzińca, nie zwracając uwagi na posykiwania Wrót, które desperacko starały się przekonać ją do przyłożenia rycerzowi, choćby lekko, w głowę.

O, Ulk, wrzasnęły w końcu w skrajnej desperacji.

Podziałało, królowna odwróciła głowę i dojrzała wielkiego wojownika, jak przedzierał się pomiędzy łupieżcami a egzorcystami, dzieląc równo pomiędzy nich swoje ciosy.

Nie widzi nas, powiedziały gorączkowo Wrota. Zawołaj go.

Salianka posłusznie otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Wolaj, ponagliły Wrota.

Królowna, wpatrzona teraz w Ulka, w milczeniu pozwalała się rycerzowi ciągnąć w stronę stajni.

Wolaj! – krzyknęły.

– Nie mogę – szepnęła samymi wargami.

Wrota zrozumiały. Pośród walczących, desperacko nacierających łupieżców i skutecznie odpierających ich ataki egzorcystów, Ulk był jedynym demonem. Sam nie był tego do końca świadomy, przynajmniej jeśli chodzi o tę jego część, która była Gawarkiem i święcie wierzyła, że to magia zaklęta w mieczu daje mu nadludzką siłę. I do tego był tym dobrym. Wielki wojownik po prostu nie mógł uratować Czarownicy z Twierdzy, nie tracąc przy tym reputacji, swojej mocy, a może i życia.

To może być nasza jedyna szansa, powiedziały łagodnie Wrota. On albo my.

Salianka tylko pokręciła głowę. Naprawdę nie mogła tego zrobić. Sama się sobie dziwiła, jak bardzo zależy jej, żeby bufonowaty książę i jego demonie alter ego wyszli z tego wszystkiego bez szwanku. Już myślała, że po tym, co ją spotkało ze strony Taloka, pozbędzie się wszelkich skrupułów i wątpliwości, ale nie... Może i była Panią Twierdzy, może i była uosobieniem zła wszelkiego, ale prędzej gotowa była sama zginąć, niż narazić Ulka i Gawarka. Może i wielki wojownik był tak naprawdę demonem, może sprowadziły go Wrota, ale przecież nie zasługiwał na zniszczenie tylko dlatego, że wywodził się ze zła. Był lepszy od wszystkich ludzi, jakich królowna знаła. Król Rozstajów może i był szlachetny, ale czy był dobry? Tak dobry jak demon, który przybył z piekieł i ratował ludzi przed ich oprawcami. Ze wszystkich walczących on jeden tak naprawdę nie miał nic na sumieniu. Ale dla egzorcystów

nie miałyby to znaczenia.

Jest z Dolin! – nie poddawały się Wrota. *To jego przodkowie zbudowali Twierdzę, zamknęli nas w głowach twojego rodu. Nie chcesz się zemścić? Za pokolenia uwięzione w Twierdzy, za to, że przez siedemnaście lat byłeś chodzącym warzywem, za demony, które przez nas przechodziły.*

Nie uzyskały odpowiedzi.

Do diabła, nie próbuj być szlachetna! – wydarły się wreszcie rozpaczliwie, chwytając się ostatniej szansy. Sto razy bardziej wołały tkwić w umyśle świadomego Strażnika niż kogoś opętanego przez demony. A ona nie robiła kompletnie nic, żeby się uratować! *Jesteś tą złą, pamiętasz?!*

Królowna pamiętała. Ale jakie to miało znaczenie teraz, pośród walczących. Pozwalała ciągnąć się rycerzowi w bliżej nieokreślonym kierunku, nie odrywając oczu od Ulka. Gdyby mogła, odesłałaby go stąd jak najdalej. Ale pozostawało tylko mieć nadzieję, że jej nie zauważy. Zapomniała o tym, co jej samej grozi, zapomniała o mężczyźnie, którego pokochała od pierwszej chwili. Jedyne, co ją teraz obchodziło, to bezpieczeństwo wojownika. Czarownica z Twierdzy nie miała przyjaciół. Ale Salianka była kimś więcej, była po prostu sobą. I w głębi duszy wiedziała, że są ludzie, a właściwie nie ludzie, ale istoty, dla których warto poświęcić nawet siebie. I to z powodów o wiele ważniejszych niż tylko miłość.

Gdzieś obok szczęknęły miecze, pod nogi prącego uparcie naprzód Alvada upadł trup łupieżcy, pociągając za sobą płótno jednego z namiotów. Zza zwalonej konstrukcji wyjrzał trzymający w dłoni zakrwawiony miecz Tord.

– Nieźle się biją – zaczął z podziwem, ale urwał, kiedy dostrzegł Saliankę. – Co z nią...

– Obiecałem Eindowi, że jej nie zamorduję – warknął rycerz. – Nie mam zamiaru pozwolić im ją uwolnić. Niech ma uczciwy proces i spłonie na stosie, skoro to będzie sprawiedliwsze.

Królowna gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na niego. Zabolało ją to bardziej, niż się spodziewała. Wiedziała, że jej wielka miłość jest nieodwzajemniona, że na uczucia inne niż nienawiść nie ma z jego strony co liczyć. Ale ta świadomość w niczym nie zmniejszyła żalu i bólu. Ona ryzykowała dla niego wszystko, życie, władzę, przyszłość Twierdzy. Rozpętała burzę, w której ucierpieć mógł ktoś, kogo niemal wbrew sobie uważała za przyjaciela. A ten drań przez cały ten czas, kiedy ona dręczyła się rozważaniami, jak go mimo wszystko ocalić, planował tylko, jak podpalić jej stos, żeby wolniej płonął.

Nie myślałaś chyba, że nagle dojdzie do wniosku, że jesteś miłością jego życia? – zapytały Wrota.

– Nie – powiedziała Salianka, trochę do nich, a trochę do Alvada, któremu wyrwała się jednym mocnym szarpnięciem. Miłość i poświęcenie mają swoje granice.

– Wracaj! – Nie dopadł jej, bo ręka martwego łupieżcy nagle uniosła się i podcięła mu nogi.

– Czary! – przestraszył się Tord, odskakując nerwowo pod ścianę.

– Wracaj, przekłeta wiedźmo, bo tu zginiesz! – wrzasnął Alvad, wyciągając miecz i przymierzając się do ataku.

Jego krzyk usłyszał Ulk, dostrzegł królownę, zbliżającego się do niej uzbrojonego rycerza i rzucił się w ich stronę. Tymczasem Salianka cofała się krok po kroku. Nie wiedziała, do czego zmierza, nawet nie zdawała sobie sprawy, co w tej chwili robi. Czuła żal, większy niż kiedykolwiek wcześniej, ciężący na sercu jak kamień. Przemknęło jej nawet przez głowę, że może najprościej byłoby dać się zwyczajnie zamordować, skoro i tak czeka ją przyszłość w niebycie, a ukochany mężczyzna jest draniem i do tego pała żądzą mordy. Jej śmierć przy okazji ocaliłaby Ulka, nikt wtedy nie odkryłby, że wielki wojownik ma coś wspólnego z Czarownicą. Ale prawie od razu dotarło do niej, że to nie jest takie proste. Przecież Wrota nie pozwolą jej zginąć, nie będzie martwa, tylko opętana przez demony, które zaraz zaczną rzeź wszystkich bez wyjątku – łupieżców, rycerzy i egzorcystów. Z tej sytuacji po prostu nie było żadnego wyjścia, żadnej szansy na ocalenie tych, na których tak jej zależało.

Przyczajony na skraju lasu Virven miał na to wszystko świetny widok. Podrywał się właśnie, żeby ratować swoją Panią, kiedy pomiędzy królownę i rycerza wpadł Ulk. Demon z powrotem skrył się w gęstwinie, gotów interweniować, gdyby to było konieczne. Zdawał sobie sprawę, że wejście pomiędzy egzorcystów jest ryzykowne. Wciąż było ich zbyt wielu. Póki łupieżcy nie przetrzebią bardziej ich szeregów, miał małe szanse wydostania Salianki. Uznał, że lepiej poczekać tak długo, jak to było możliwe. Do tego musiał coś zrobić z Pawlinką, którą kilka chwil wcześniej siłą powstrzymał od wyjścia na polanę. Pijana winem, piwem i wizją przyszłości czarodziejka sprawiała same problemy. Na przemian rzucała się w stronę córki, bełkocząc coś o tym, że ją ocali własną piersią, albo próbowała rzucać kamieniami w znajdujących się najbliżej wojaków, bez różnicy, czy byli to łupieżcy czy egzorcyci.

Nagła zmiana w polu widzenia z rozwścieczonego rycerza na czyjeś szerokie, umięśnione plecy zaskoczyła królownę. Przez chwilę przestała rozumieć, co się dzieje, dopiero po chwili poznała Ulka. Jej żal został momentalnie zastąpiony przez strach, nie o siebie, ale o los, jaki spotka bohatera.

– A ty czego tu? – zapytał chłodno Alvad. – To nie twoja sprawa, nie mieszaj się.

Wojownik bez słowa wyciągnął przed siebie miecz. Szykował się do walki.

– Co robisz? – zdziwił się Tord. – To Czarownica... Salianka rzuciła się do przodu, chwyciła Ulka za ramię.

– Nie rób tego – poprosiła. Nie zwróciła uwagi na zdumienie, jakie odmalowało się na twarzy Torda i Alvada na widok tej komitywy wojownika i Czarownicy.

Ci, którzy znajdowali się najbliżej, zamarli zdumieni tak bardzo, że zapomnieli o walce. To zaskoczenie rozprzestrzeniło się niczym powiew wiatru. Kolejni egzorcyci i kolejni łupieżcy opuszczali miecze. Na ich oczach działo się coś niemal niemożliwego i absolutnie

niezrozumiałego. Wszyscy, nieważne, ci dobrzy czy ci źli, wpatrywali się z niedowierzaniem w bohatera, który robił coś niewyobrażalnego. Nagła cisza zwróciła uwagę królowny, wojownika i rycerzy. Wokół nich stali nieruchomi, zdumieni ludzie, którzy nagle przestali rozumieć świat, w którym żyli. Salianka rozejrzała się bezradnie. Już nic nie dało się zrobić. Lada chwila wszyscy pojmą, że skoro wielki wojownik broni złej Czarownicy, to sam też musi być zły. I tyle. Żadnych więcej wyjaśnień, żadnych usprawiedliwień. Znienawidzą go, zniszczą, zapomną o wszystkim, co dla nich zrobił. Egzorcyści skupią się na nim i dojrzą w nim demona. I to będzie koniec legendy i co gorsza, koniec Ulka i Gawarka. A ich śmierć tak naprawdę będzie jej winą. *Za późno*, powiedziały Wrota.

– Nie jest za późno! – Królowna błagalnie pociągnęła Ulka za rękę. – Wezwij Płomiennoskrzydłego! Zdamy uciec!

Wojownik delikatnie uwolnił ramię z uścisku jej dłoni. Uśmiechnął się do niej. Saliance łzy stanęły w oczach. Ulk bez wysiłku podniósł ją do góry jedną ręką i wyrzucił w powietrze, w kierunku lasu. Lecząca królowna nie zdążyła się nawet przestraszyć, widziała tylko przez łzy, jak rycerz i wojownik krzyżują miecze.

Rozbijemy się! – wrzasnęły Wrota.

Nie miały racji. Zanim ciało Saliarki choćby musnęło gałęzie, Virven wyskoczył do góry i złapał ją w powietrzu. Ledwo wylądował z królowną na ziemi, dopadła ich Pawlinka.

– Moja kruszynka! – wybełkotała, tuląc Saliarkę do kościstego łona.

Potrwało chwilę, nim królowna wyrwała się z oszołomienia i z objęć czarodziejki. Kiedy pół idąc, pół pełznąc, dotarła na skraj lasu, rycerze i egzorcyści już otaczali Ulka. W powietrzu iskrzyły zaklęcia.

Teraz jest już naprawdę za późno, powiedziały cicho Wrota. *Egzorcyci rozpoznali demona*.

– Nie! – krzyk uwiązał Saliance w gardle, kiedy postać Ulka zalaśniała dziwnym światłem i upadła na ziemię, pomiędzy wrogów. Coś uniosło się ponad nich w powietrze, szary, niewyraźny kształt, który przyspieszając, zbliżał się do królowny, żeby wreszcie przez nią przeniknąć.

Przeszedł, rzekły Wrota. *Mało brakowało, a inne demony wyszłyby na zewnątrz. Trzeba uważać...*

Salianka ich nie słuchała. Biegiem ruszyła w stronę grupy egzorcyistów. Wyrwała się Virvenowi, który próbował ją zatrzymać. Wypadła z lasu, dotarła do zrujnowanego obozowiska, roztrąciła stojących wokół ludzi i opadła na kolana przy ciele Gawarka. Książę był nienaturalnie błydy. Powieki miał zamknięte, ale widać było, jak poruszały się pod nimi oczy – gwałtownie, spazmatycznie, jakby młodzieńca dręczył straszliwy koszmar. Z uchylonych ust dobiegał urywany, świszczący oddech. Całym ciałem co chwila wstrząsały drgawki. Egzorcyści zaszkodziły nie tylko demonowi, ale też człowiekowi, w którego ciele ten zamieszkał.

Alvad sięgnął po miecz, ale zawahał się. Są rzeczy, których podle czarownicy robić nie powinny. Nie powinny płakać nad umierającym księciem.

– On nie robił nic złego! – ciężko było stwierdzić, czy mówiła do ludzi stojących wokół, czy do siebie. – Chciał tylko być bohaterem, chciał ratować swój świat! Czy to ma znaczenie, że używał do tego demona? Zresztą on nawet nie wiedział. – Łzy płynęły jej coraz gęściej po policzkach. – Nie powiedziały mu, nie powiedziały nawet mnie!

Wokół ponownie rozgorzały walki. Nie wszyscy egzorcyści rzucili się odpierać ataki kolejnych, naciągających od strony Twierdzy łupieżców. Mistrzowie zostali przy ciełe Gawarka. Księżę już ich nie interesował, skupili się wokół szlochającej królowny. Oto wreszcie mieli przed sobą Czarownicę, bezbronną, zdaną na ich łaskę. Tylko, że oni tej łaski nie zamierzali okazywać. Przybyli do tej krainy, by dokonać tego, co nie udało się trzysta lat wcześniej ich poprzednikom: aby ukarać władców Twierdzy za ich bunt przeciw ustalonemu porządkowi. Nareszcie mogli wypełnić tę misję. Jeden z mistrzów uniósł dłonie i rozpoczął egzorcyzmy. Przerwał prawie natychmiast, gdy poczuł na gardle ostrze miecza.

– Wystarczy – powiedział twardo król Rozstajów. Rycerze, chociaż z wahaniem, poszli w jego ślady i skierowali ostrza w pozostałych mistrzów. Przywykli słuchać swego władcy, nawet jeśli kazał im stawać w obronie wroga.

– Co robisz? – oburzył się egzorcyista. – Ona jest zła! Opętana!

– Tak jak on? – Eind wskazał na księcia. – Pomógł nam uciec, ratował chłopów i biedaków.

– Był opętany! – wrzasnął egzorcyista. – Odejdź, nim uznam, że sprzyjasz złu!

– Dość już zabijania – oznajmił stanowczo król. Nie wyglądało na to, by jakiegokolwiek groźby mogły go skłonić do zmiany stanowiska. – Opuście ten kraj w pokoju i nigdy nie wracajcie.

Szlachetny aż do bólu, mruknęły Wrota.

Siedząca dotąd nieruchomo nad ciałem księcia Salianka podniosła głowę. Łzy przestały już spływać po policzkach, rozpacz w jej oczach ustąpiła miejsca nienawiści. Spojrzała w twarz egzorcyście. Cofnął się o krok przerażony tym, co wyczytał z jej twarzy. Królowna na jedną chwilę zamknęła powieki, koncentrując całą moc Strażnika. Potęga, którą w sobie obudziła, karmiona jej bólem była większa niż kiedykolwiek wcześniej. Ziemia zaczęła się trząść. Nie wszyscy wojownicy ścierający się w walce dali radę utrzymać równowagę. Niektórzy runęli na piach, inni w panice rzucili się do ucieczki. Ułożone w stosy drewno, to spalone i to jeszcze nietknięte płomieniami, uniosło się w powietrze, szczapa po szczapie. Polana zawisła w powietrzu, drgając lekko w upiornym tańcu. Ściany baraku służącego za więzienie zaczęły pękać.

– Odejdźcie – powiedziała królowna do egzorcyistów. W jej głosie nie było słyhać żadnych emocji, ani rozpacz, ani nienawiści. Zupełnie jakby nie miała już sił, by cokolwiek czuć. – I lepiej nie wracajcie.

Posłuszne jej woli szczapy opadły na ziemię, ale już nie na stosy. Poleciały w stronę egzorcystów, uderzając w nich niczym przerośnięty grad. Nikogo nie zabiły, ale uderzenia były bolesne. Polana przewracały egzorcystów na ziemię, przerywały im zaklęcia, którymi ci usiłowali się bronić. Wystarczyła jedna myśl Salianki, żeby szczapy skoczyły im do twarzy, łamiąc nosy i szczęki. Wtedy do egzorcystów dotarło wreszcie, że nie mają żadnych szans w dalszej walce. Do tego król i jego rycerze, których dotąd mieli za sojuszników w walce ze złem, stali teraz nieruchomo, obojętnie obserwując los niedoszłych pogromców zła.

Mistrzowie zaczęli się wycofywać, poganiani przez kwitujące kawałki drewna. Za nimi pobiegli nowicjusze i pachołkowie. Pozostali na placu boju łupieżcy zaczęli wznosić triumfalne okrzyki. Bitwa była skończona. Twierdza odniosła bezapelacyjne zwycięstwo. Po raz kolejny. Salianka pogładziła Gawarka po rozpalonym czole, wstała i otrzepała suknię.

– Wy też lepiej idźcie – powiedziała do rycerzy, nie podnosząc głowy. – Jeśli traficie z powrotem do Twierdzy, czeka was tam tym razem pewna śmierć. Nie ma już bohatera, który mógłby was ocalić.

– Ale Rozstaje... – zaczął zapalczywie Alvad.

– Idźcie! – warknęła królowa. Nie życzyła sobie na niego patrzeć, nie życzyła sobie go słuchać.

Eind położył towarzyszowi dłoń na ramieniu. Teraz nie był czas ani miejsce, by rozmawiać o losie jego królestwa.

– Jeszcze się spotkamy. – Skinął Saliance głową.

– Oby nie – szepnęła królowa, uparcie patrząc w bok i w dół.

Żadnych ostatnich spojrzeń? – zapytały Wrota.

– Nie. – Salianka nie poruszyła głową, dopóki nie usłyszała, jak odjeżdżają. Dopiero gdy uciął tętent kopyt, spojrzała w górę.

Pojechali, westchnęły Wrota.

Królowa nie odpowiedziała. Nagle poczuła straszliwy ból w klatce piersiowej, gdzieś w okolicach serca. Niech to diabli, złamało się, pomyślała w popłochu i zwała się na ziemię. Wydawało jej się jeszcze, że słyszy gdzieś w oddali krzyki Wrót, ale wszystko ogarnęła ciemność.

Epilog

O, żyje, zdziwiły się Wrota.

– Żyjesz? – Pawlinka potrząsnęła Salianką. – Moja dziecinka!

– Żyję – powiedziała niepewnie królowna. Potrząsanie chyba jej zaszkodziło, jakoś dziwnie się czuła.

– *Myślałyśmy, że umarłaś* – powiedziały Wrota.

– Myślałyście? – powtórzyła apatycznie Salianka. Potrwało chwilę, zanim do niej dotarło.

– Myślałyście?! – Wytrzeszczyła oczy na Pawlinkę. Jednocześnie dotarło do niej, dlaczego czuła się inaczej. Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, była sama w swoim umyśle.

– *Zginęłaś z nagłą śmiercią tragiczną* – poinformowały uprzejmie Wrota ustami czarodziejki. – *Musiałymy się ewakuować. Właściwie to nie wiemy, co powinno się z nami stać, gdyby ostatnia Strażniczka umarła, więc spróbowałyśmy się jakoś ratować. Dotąd władcy Twierdzy dziedziczyli nas po więzach krwi, więc uznaliśmy, że skoro to może być nasza jedyna szansa, to warto spróbować. W końcu płynie w tobie nie tylko krew królów, ale i Pawlinki. Zaklęcia dziedziczenia są skomplikowane, niełatwo było je nagiąć. Nie udało się, gdyby nie była czarodziejką. A tak: dalej istniejemy!* – ucieszyły się. – *Poza umysłem Strażnika! Pierwszy raz od dwudziestu trzech pokoleń!* – Twarz czarodziejki wykrzywiła się w grymasach ekscytacji. Widocznie Wrota cieszyły się niemal jak małe dziecko z tego, że udało im się oszukać władców Dolin, którzy kiedyś postanowili, że tylko Panowie Twierdzy będą nosić je w swoich umysłach. Ale jak dotąd żaden z królów czy królowych Twierdzy nie miał za matkę prawdziwej czarodziejki. Widać takiej możliwości nikt nie przewidział.

– A ja? – Królowna uniosła się na łokciach. Zakręciło jej się w głowie. – Co ze mną? Zaraz przestanę myśleć! Zmienię się w klocek drewna! Taki, jakim byłam przedtem! – Przeraziła ją ta perspektywa. Nie miała już nadziei na miłość, straciła kogoś, kto był dla niej przyjacielem. Świadome życie to jedyne, co jej pozostało, za nic nie chciała go tracić. Nawet jeśli nie było szans, że przyszłość przyniesie coś wspaniałego, to chciała żyć. Choćby dlatego, żeby poświęcenie Ulka nie poszło na marne.

– *Nie jest tak źle* – pocieszyły ją Wrota. – *Jak na razie myślisz, histeryzujesz i w ogóle jak na nieboszczkę masz się świetnie.*

– Nieboszczkę?

Pawlinka podniosła do góry rękę, w której trzymała zakrwawioną strzałę. Podsunęła ją Saliance prawie przed sam nos.

– Jeden z egzorcystów trafił cię w plecy – wyjaśniła. – Niestety, prosto w serce. Wyjęłam strzałę, ale już i tak było za późno.

Królewnie zrobiło się słabo. Rzeczywistość zaczęła robić jej głupie dowcipy. Najpierw okazało się, że opuściły ją Wrota, choć sądziła, że to niemożliwe, teraz matka próbowała jej wmówić, że to dlatego, że Salianka umarła. Coś tu się nie zgadzało i przez chwilę królowna nie mogła dojść co. W końcu uświadomiła sobie, co jej najbardziej nie pasuje.

– Założmy, że umarłam – powiedziała ostrożnie. – To dlaczego żyję?!

– Eeee... – Na twarzy Pawlinki pojawiło się zakłopotanie. – *Virven* – wyjaśniły Wrota.

Salianka rozejrzała się. Nie widziała nigdzie demona, ale całkiem możliwe, że buszował po okolicy, masakrując niedobitki egzorcystów. To było do niego podobne.

– Gdzie on jest?

– *No właśnie.* – Wrota westchnęły ciężko. – *Już go nie ma. Przeszedł.*

– Przez was?

– *Zdażył w ostatniej chwili. Właśnie opuszczaliśmy twój umysł. Tyle że nie do końca mu się udało. Właściwie nie wiemy, co się tak naprawdę z nim stało. Część na pewno wróciła do piekiel, a część została... w tobie.*

Królowna skupiła się. W jej ciele była tylko ona. Ani śladu obcej osobowości, kogoś, kto próbowałby nią zawładnąć lub po prostu w niej trwał.

– Zauważyłabym, gdyby był w moim umyśle.

Wrota wzruszyły ramionami Pawlinki.

– *Widocznie ta myśląca część przeszła. W tobie zostało tylko to, co niezbędne, żebyś przeżyła.*

– Czyli jestem opętana?

– *Skąd mamy wiedzieć?* – zirytowały się Wrota. – *A czujesz się opętana?*

– Nie. Czy on to... rozdarcie... mógł przeżyć? – zapytała ostrożnie, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

Pawlinka ponownie wzruszyła ramionami.

– *Diabli wiedza, w sensie dosłownym* – mruknęły Wrota. – *Jeśli jego umysł przeszedł, to być może zdoła za jakiś, pewnie dość długi czas odbudować ciało. Chyba postanowił zaryzykować.*

– Jak to? – Salianka podniosła głowę.

– *Sądźmy, że zrobił to specjalnie. Tylko tak mógł cię uratować.*

Królowna z powrotem położyła się na ziemi. Nad sobą widziała ciemne niebo i pierwsze, nieśmiało mrugające gwiazdy. W sobie czuła pustkę, spowodowaną bynajmniej nie brakiem Wrót. Straciła dziś już jednego przyjaciela, a na dodatek jeszcze... sama nie potrafiła określić, kim był dla niej *Virven*. Nie sługą, nie przyjacielem, nie faworytem. Kimś więcej. Do tego

obaj poświęcili się dla niej, żeby utrzymać ją przy życiu. Czy w ogóle było warto? Dwa istnienia za jej jedno. Obaj wrócili nie wiadomo w jakim stanie do piekieł, do świata, z którego wszyscy mieszkańcy chcieli uciec. A mimo to zdecydowali się zapłacić tę cenę. Ulk zrobił to, bobo to było dobre, należało ratować życie innych i już. Może zresztą też uważał ją za przyjaciółkę, tego już się nie dowie. Ale dlaczego Virven? Bo skłoniła go do tego ta jego demonia lojalność? O to najbardziej chciała go zapytać. Może gdyby wiedziała, byłoby jej lżej. Albo ciężej. Ale przynajmniej znalazłyby odpowiedź. Wobec całej tej sytuacji myśl o tym, że Alvad, jej wielka miłość, odszedł i przy odrobinie szczęścia nigdy go już nie zobaczy, sprawiła tylko ulgę.

– Co za przekłety dzień – wyrwało jej się z głębi serca. – Wszyscy odchodzą.

– Nie jest aż tak źle – pocieszyła ją Pawlinka. – Ten młodzieniec z Dolin przeżył. Nie chwaląc się, dzięki moim umiejętnościom znachorskim. Kazałam twoim łupieżcom odwiedzić go do domu.

– Nie będzie zadowolony, kiedy się obudzi – stwierdziła apatycznie Salianka. Gawarek żył, to dobrze. Nie miała już głowy do martwienia się o to, jak sobie da radę. Byli inni, których musiała opłakać. – W Dolinach też nie będą zadowoleni.

– Stracili bohatera, ale odzyskali księcia. W końcu nie można mieć wszystkiego. – Czarodziejka wzruszyła ramionami.

– I co teraz? – W pytaniu królowny słychać było zdziwienie tym, że świat dalej jakoś funkcjonuje mimo wszystkiego, co się stało.

– *A skąd mamy wiedzieć?* – odpowiedziały pytaniem Wrota. – *Świat się dalej kręci.*

– Co będzie ze mną? – uściśliła Salianka.

– *Nie jesteśmy wszystkowiedzące* – mruknęły. – *Poradzisz sobie bez nas.*

– A jeśli znowu trafię w niebyt?

– *Nie dramatyzuj, na razie masz się świetnie i wcale ci nie jesteśmy potrzebne. Wracaj do Twierdzy.*

– Nie wracacie ze mną? – przestraszyła się królowna. Nie wyobrażała sobie siebie w Twierdzy bez Wrót.

– *Pewnie, że nie* – powiedziały Wrota, nie ukrywając satysfakcji. – *Najwyższy czas zobaczyć kawalek świata.*

– W tym jesteśmy zgodne – dodała Pawlinka, przejmując kontrolę nad swoimi ustami. – Do widzenia, córeczko – cmoknęła królowną w czoło.

– *Za jakiś czas wrócimy i opowiemy ci, jak wyglądają inne krainy* – obiecały Wrota.

– A ja? – zapytała Salianka, rozglądając się po resztkach obozu egzorcyistów. Poza nią i czarodziejką nie było tam nikogo. – Co ze mną? Gdzie moi łupieżcy?

– Odesłałam ich do domu, przecież nie mogłam im wszystkiego wyjaśniać – uśmiechnęła się pobłaźliwie Pawlinka. – Pospiesz się, to będziesz na miejscu przed nimi.

– Niby jak?

– A tak. – Czarodziejka wskazała na niebo. Ponad nimi unosił się ciemny kształt orła. – Pa, pa – pomachała jej i odeszła.

Królowna została sama. Bezradnie spojrzała w górę. Płomiennoskrzydły, jakby wezwany jej wzrokiem, opadł przed nią na ziemię. Kiedy Salianka wdrapała się na jego grzbiet, wzleciał w górę, w kierunku Twierdzy. Trwało zaledwie kilka chwil, nim dotarli na miejsce. Orzeł wylądował na jednym z balkonów, królowna ześlizgnęła się na ziemię.

– Możesz zostać – powiedziała. – Na wieżach jest dość miejsca.

Nie poruszył się, ale wiedziała, że odpowiedź brzmi „nie”. Nie ona była jego panią, nie wobec niej był lojalny. Na jedną chwilę przytuliła się do opierzonego łba.

– Dziękuję – szepnęła i weszła do Twierdzy. Płomiennoskrzydły odleciał, wzbudzając niezdrowe emocje u strażników, ale na to Salianka nie zwracała uwagi. Udała się prosto do swoich komnat. Kiedy otworzyła drzwi, Plaskat i Pazur jednocześnie poderwali się na nogi. Królowna przytuliła psa, zrzuciła kukłę na podłogę i usiadła w fotelu.

– Pani... – Piąty usiadł obok.

Salianka uciszyła go gestem dłoni i zaczęła mówić. Musiała wszystko z siebie wyrzucić, a Plaskat był dobrym słuchaczem. Zanim skończyła, na dziedzińcu rozległy się okrzyki powracających łupieżców. Chwilę później na korytarzu wybuchło zamieszanie i do komnaty, nawet nie pukając, wpadła reszta Rady. Widok ich Pierwszej całej i zdrowej odrobinę ich przystopował.

– Żyjesz? – wyrwała się Jala. W jej głosie brzmiał ocean ulgi.

– Przecież widać – zauważyła królowna.

– Łupieżcy mówili...

– Zapewne halucynacje wywołane przez egzorcystów – przerwała Czwartemu Salianka.

– Zapewne – zgodził się chłodno Dawasz. – Łupieżcy przywieśli ze sobą jeńców: egzorcystów...

– Ściąć wszystkich. Natychmiast.

– ...i naszego byłego Szóstego, Taloka – dokończył Drugi.

– Aha – westchnęła królowna. Jeden ze sprawców całego zamieszania przeżył. To dopiero ironia losu.

– Co rozkażesz, Pani? – zapytał uprzejmie Dawasz. Dobrze pamiętał ich ostatnią rozmowę na temat Szóstego.

– Stracić go, oczywiście. – Salianka spojrzała na niego jak na ostatniego głupca. – Przecież to zdrajca. – Wstała i ruszyła w kierunku drzwi.

Opuściła komnatę, zostawiając swoją Radę w stanie lekkiej konsternacji. Potrwało, zanim Plaskat po złożeniu setki przysięg, że królowna przez ostatnie dwa dni nie ruszała się z Twierdzy, mógł wreszcie opuścić zgromadzenie. Potrwało, zanim wreszcie znalazł Saliankę siedzącą przy małym okienku na tyłach Twierdzy i oglądającą wschód słońca nad światem poza Twierdzą.

– Pani... – Na dźwięk głosu Plaskata królowna poruszyła się, ale nie oderwała wzroku od świata widocznego za oknem. – Dobrze się czujesz?

– Dobrze? Nie mam już Wrót, nie mam Virvena, tego drania, miłości mojego życia, też nie mam.

– I co teraz zrobisz?

Odwróciła się do niego, zeskoczyła z parapetu.

– Będę żyć dalej – westchnęła. – Chyba że masz jakiś lepszy pomysł.

Po głębokim namyśle Plaskat musiał przyznać, że lepszego pomysłu nie ma.

Koniec